Andrzej Paczkowski

Pół wieku dziejów Polski 1939-1989

PWZN
Print 6
Lublin 1999

Przedruku dokonano
na podstawie pozycji
wydanej przez PWN
Warszawa 1998

Wstęp

Bez względu na to, jaki będzie bieg wydarzeń w Polsce i na świecie, jak długo i w jaki sposób przebiegać będzie proces tworzenia się nowych form ustrojowych, wydaje się być zupełnie oczywiste, iż zakończyła się pewna epoka w dziejach państwa i narodu. Zakończył też żywot - przynajmniej w dotychczasowym kształcie - imperialny system z centrum dyspozycyjnym w Moskwie, budowany na podstawie ideologii marksistowskiej od listopada 1917 r. System ten, różnie nazywany: komunizmem, socjalizmem czy bolszewizmem, także w zależności od swych wewnętrznych przekształceń, nieomal od swego powstania wywierał wpływ na losy Polski. Przez około pół wieku był to wpływ bezpośredni, a nawet - decydujący.

Sytuacja "końca epoki" zachęca do podejmowania prób jej opisania, a zarazem próby takie ułatwia. Pozwala bowiem lepiej ogarnąć nieodległą przeszłość i z masy faktów, zdarzeń czy zjawisk celniej wyróżnić te, które były istotne. Osłabia także, przynajmniej do pewnego stopnia, emocje towarzyszące zwykle analizie i opisowi dziejów najnowszych, aczkolwiek nie zaciera generalnego podziału na tych, którzy minioną właśnie epokę oceniają przychylnie, i tych, którzy widzą tylko jej czarne strony.

Ułatwieniem szczególnie oczywistym jest nagłe poszerzenie się naszej wiedzy faktograficznej, gdyż niezależnie od tego, jak miniony system zechcemy określać - jako totalitaryzm, autorytaryzm czy "demokrację socjalistyczną" - chronił on pieczołowicie dokumenty i ściśle kontrolował cały ruch wydawniczy. Jakkolwiek trudno mówić o swobodnym dostępie do wszystkich źródeł archiwalnych, wiele dokumentów o podstawowym znaczeniu dla znacznej części epoki może już być przedmiotem analiz. Baza źródłowa, na której winien opierać się historyk, jest w każdym bądź razie nieporównywalnie szersza niż kiedykolwiek dotąd.

Książka, którą przedstawiam Czytelnikom, nie jest - i nie miała być - podręcznikiem o charakterze faktograficznym. Zamiarem moim było "oswobodzenie" tekstu od nadmiernej liczby dat, nazw i nazwisk, a przeniesienie punktu ciężkości na opis zjawisk, postaw społecznych, struktur i mechanizmów decyzyjnych. Wprawdzie całość wykładu podzielona została na krótsze lub dłuższe "podokresy", niemniej w ich obrębie starałem się unikać wywodu czysto chronologicznego. Pociąga to za sobą oczywiste niedogodności i łamie nieraz ciągłość wykładu (co jest - sądzę - szczególnie wyraźne w pierwszym, najobszerniejszym rozdziale), było to jednak nieuniknione podczas realizacji - wskazanego wyżej - zamiaru.

O ile cezura końcowa - wybory z 4 czerwca 1989 r. - jakkolwiek nie bezdyskusyjna, jest dosyć powszechnie przyjmowana, o tyle należy się krótkie wyjaśnienie dotyczące cezury początkowej. Niewątpliwie najbardziej oczywiste i naturalne byłoby rozpoczęcie wykładu od lipca 1944 r., gdy powstały pierwsze struktury nowej państwowości, odmiennej - i

przeciwstawnej - tej, która narodziła się w jesieni 1918 r. Przyjęcie takiej granicy czasowej pociągałoby za sobą konieczność dosyć częstych wycieczek w przeszłość, przypominanie faktów i osób, a także przedstawienie zasadniczych tendencji, które doprowadziły do narodzin państwa nazywanego później Polską Ludową. Ponieważ istota i forma tej państwowości wynikła przede wszystkim jako skutek określonego biegu wydarzeń II wojny światowej, uznałem, iż objęcie ich wspólnym wykładem raczej ułatwi niż skomplikuje całość wywodu.

Pisząc tę książkę opierałem się, rzecz oczywista, na istniejącej już, niezmiernie obfitej, literaturze. W tym także na opracowaniach o charakterze syntetycznym, które się niedawno ukazały - Wojciecha Roszkowskiego Historii Polski 1914-1993 (lata 1939-1990 obejmują 4/5 jej objętości), Antoniego Czubińskiego Dziejach najnowszych Polski 1944-1989 oraz Jerzego Eislera Zarysie dziejów politycznych Polski 1944-1989. Nie ma chyba tu potrzeby omawiania ani tych prac, ani dziesiątków monografii i publikacji źródłowych czy setek artykułów wydawanych zarówno w "obiegu cenzurowanym", jak i na emigracji oraz "poza zasięgiem cenzury", a także opublikowanych po 1989 r., gdy ograniczenia cenzorskie już przestały istnieć. W wielu miejscach powołuję się na nazwiska autorów tych prac. Czuję się wszakże w (miłym) obowiązku powiedzieć, że największy wpływ na to, co napisałem, wywarła Krystyna Kersten. Nie tylko w tym sensie, że jej dwie podstawowe monografie - Narodziny systemu władzy. Polska 1943-1948 i Jałta w polskiej perspektywie - były mi niezmiernie pomocne w konstruowaniu odpowiednich chronologicznie fragmentów przedstawianej tu pracy, ale także dlatego, że zarówno to, co pisała w przywołanych książkach, jak i w licznych artykułach, stanowiło dla mnie pewien wzór traktowania naszej, dopiero co minionej, przeszłości.

Nie pomijając ani nie pomniejszając dotychczasowego dorobku kolegów-historyków - także tych, którzy swego czasu zajmowali się pisaniem historii pod dyktando władzy - dążyłem do tego, aby wprowadzić do naukowego i dydaktycznego obiegu nie znane dotychczas fakty. Oczywiste jest, iż zamiar taki nie mógł objąć całego zakresu chronologicznego. Byłoby to po prostu fizycznie niewykonalne. Skoncentrowałem się więc głównie na dwóch okresach. Pierwszy to lata 1944-1956, którymi zajmuję się w mojej bieżącej pracy badawczej (monografia aparatu bezpieczeństwa publicznego). Drugim był okres 1981-1989, przez historyków dotychczas - z oczywistych względów - słabo spenetrowany. Udało mi się dotrzeć do części dokumentacji kierowniczych instancji PZPR z tych lat, co pozwoliło na, niepełne rzecz jasna, wniknięcie w motywy i mechanizmy podejmowania, niektórych przynajmniej, kluczowych decyzji. Możliwość powstania tej książki zawdzięczam więc zarówno historykom, którzy ogłaszali swoje analizy lub publikowali dokumenty, jak i archiwistom - przede wszystkim z Archiwum Akt Nowych i archiwów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych - którzy ułatwiali mi poszukiwania źródłowe. Na jej ostateczny kształt wpłynęli też recenzenci wybrani przez wydawcę - wspomniana już Krystyna Kersten i Wojciech Wrzesiński - choć z wieloma ich uwagami (krytycznymi) nie zgodziłem się.

Chciałbym na zakończenie podnieść kwestię zasługującą, jak sądzę, na szersze potraktowanie, na które tu wszakże nie ma miejsca. Otóż we wspomnianym wyżej, schematycznym podziale na apologetów i przeciwników systemu panującego w Polsce lat 1944-1989, czuję się niewątpliwie bliżej

tych drugich, choć rzadko dawałem temu czynny wyraz. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż negatywny stosunek zarówno do ideologii, na którą ów system się powoływał, jak i - przede wszystkim - do partii, która była tego systemu jądrem, wywarły wpływ na treści przedkładane Czytelnikom. Starałem się zachowywać rygory wymagane w rzetelnej historiografii, zarówno wówczas, gdy dokonywałem selekcji faktów i ich analizę, jak i w warstwie językowej. Nie jestem w stanie ocenić, na ile mi się to udało.

Luty 1994 r.

Rozdział I.ă
Niewola i walka

Ocalenie instytucji państwa

Agresja niemiecka rozpoczęta wczesnym rankiem, w piątek 1 września 1939 r., po krótkich walkach granicznych przekształciła się w serię błyskawicznych uderzeń przeważających sił III Rzeszy. 6 września Naczelny Wódz wydał rozkaz o wycofaniu wojsk za linię Wisły-Sanu, a naczelne władze państwowe opuszczały stolicę już od 5 września. Dwa dni później wszystkie centralne instytucje znajdowały się na wschód od Bugu - Naczelny Wódz i sztab w twierdzy brzeskiej, rząd w Łucku, prezydent w Ołyce. 12 września podczas narady u prezydenta, w której wzięli udział premier, minister spraw zagranicznych i Naczelny Wódz, przyjęto założenie o przygotowaniu ostatecznej walki obronnej w widłach Stryja i Dniestru, co dawało możliwość oparcia się na sojuszniczej Rumunii i neutralnych Węgrach. Na krótko tylko jednostkom Armii "Poznań" i "Pomorze" udało się zahamować niemiecką ofensywę na odcinku środkowym (bitwa nad Bzurą 9-16 września).

Związane z Polską układami sojuszniczymi Wielka Brytania i Francja wypowiedziały wprawdzie 3 września wojnę III Rzeszy, ale Najwyższa Rada Wojenna aliantów - na naradzie, która odbyła się tego samego dnia, co obrady w Ołyce - postanowiła nie podejmować ofensywy. Niemieckie zagony pancerne przełamywały już linię Wisły na odcinku południowym i środkowym, na północy przeszły przez Narew, docierały na przedpola stolicy. Polskie zgrupowania walczyły izolowane, ludność cywilna masowo ewakuowała się na wschód bezlitośnie atakowana przez lotnictwo niemieckie.

Od 15 września władze państwowe znalazły się już na obszarze tzw. przedmościa rumuńskiego, ale działania zmierzające do uporządkowanego wycofywania się wojsk walczących między Wisłą a Bugiem nie powiodły się.

Tymczasem od 1 września przygotowania do inwazji - zgodnie z tajnymi klauzulami "paktu o nieagresji" zawartego między ZSRR a III Rzeszą 23 sierpnia 1939 r. (pakt Ribbentrop-Mołotow) - rozpoczął wschodni sąsiad Polski. 4 września zarządzono częściową mobilizację, 11 września utworzono Front Białoruski i Front Ukraiński, które w ciągu kilku dni osiągnęły stany bojowe. Józef Stalin, przynaglany przez Niemców, którzy niepewni co do reakcji aliantów Polski dążyli do jak najszybszych rozstrzygnięć militarnych, a nadto dogodniejsze dla nich byłoby nie okazać się jedynym napastnikiem, ostateczną decyzję o terminie agresji podjął zapewne dopiero

15 września, wówczas gdy zawarł rozejm z Japonią.
W niedzielę 17 września, o godz. #3#/00, ambasadorowi RP w Moskwie próbowano wręczyć notę informującą, że "straciły ważność traktaty zawarte między ZSRR a Polską", a dwie godziny później jednostki Armii Czerwonej zaczęły przekraczać granicę polską. W wydanej o godz. #16#/00 "dyrektywie ogólnej" Naczelny Wódz nakazywał podejmowanie walki z wojskami radzieckimi "tylko w tym wypadku, o ile będą nacierały" oraz wycofywanie się ku Rumunii i Węgrom. W nocy z 17 na 18 września granicę rumuńską przeszły wszystkie najwyższe władze Rzeczpospolitej. Wbrew przypuszczeniom, które opierały się zarówno na polsko-rumuńskiej umowie sojuszniczej, jak i na powszechnie uznanych zasadach prawa międzynarodowego, Rumunia - pod mocnym naciskiem Niemiec i przy bierności Francji i Wielkiej Brytanii - internowała władze polskie, a w dodatku rozdzielono je i ulokowano w różnych miejscowościach na ogół odległych od Bukaresztu.
W dwóch kolejnych bitwach pod Tomaszowem Lubelskim (18-20 i 23 września) rozbite zostały resztki wojsk frontu środkowego i północnego. Oblężona stolica broniła się bez nadziei na otrzymanie pomocy. Nieliczne i rozproszone jednostki Korpusu Ochrony Pogranicza nie były w stanie stawić czoła blisko półmilionowej masie Armii Czerwonej i osłonić wojsk, które wycofywały się ku południowi. Nad państwem polskim zawisła groźba nie tylko całkowitej klęski militarnej, ale utrata ciągłości prawnej i konstytucyjnej. Nieomal całe terytorium opanowane było przez sprzymierzonych wrogów, a konstytucyjne władze ubezwłasnowolnione przez niedawnego sojusznika. Sytuację komplikowały dodatkowo głębokie, nawet drastyczne, podziały wewnętrzne między rządzącym nieprzerwanie od maja 1926 r. obozem Józefa Piłsudskiego a opozycyjnymi wobec niego ugrupowaniami politycznymi zarówno lewicowymi (PPS), centrowymi (SL), jak i prawicowymi (SN). Ani w obliczu zagrożenia, ani nawet w chwili wybuchu wojny, obóz rządzący nie odpowiedział na propozycje dojścia do porozumienia i utworzenia koalicji. Nie miałoby to najpewniej wpływu na bieg wydarzeń militarnych, ale stało się dodatkowym czynnikiem podważającym autorytet rządzących. Środowiska opozycyjne nie wystąpiły publicznie z zarzutami wobec władz, ale stosunkowo wcześnie niektóre z nich zaczęły brać pod uwagę możliwość wymiany ekipy. Już 3 września odbyło się spotkanie gen. Władysława Sikorskiego z działaczami Stronnictwa Ludowego. Polityk ten, dawny współpracownik Józefa Piłsudskiego, wyróżniający się wojskowy w wojnie 1919-1920, premier w latach 1922-1923, od czasu zamachu majowego odsunięty od wojska i związany z centrową opozycją (Front Morges), znany w Europie teoretyk wojskowości, ceniony zwłaszcza we Francji, stał się w ciągu pierwszej połowy września kandydatem na najwyższe urzędy w państwie. Nie otrzymując żadnego przydziału, gen. Sikorski opuścił Warszawę jednocześnie z władzami cywilnymi i wojskowymi, a 18 września znalazł się w Rumunii. Nie tylko zyskał poparcie oraz przychylność francuskiego ambasadora, który wraz z korpusem dyplomatycznym dotarł także do Bukaresztu, ale znalazł zwolenników w ambasadzie RP. W stolicy Rumunii gromadzili się politycy opozycyjni, choć zabrakło wśród nich wielu tych, którzy cieszyli się największym autorytetem - niektórzy (jak socjalista Mieczysław Niedziałkowski i ludowiec Maciej Rataj) przebywali w oblężonej Warszawie, inni (jak Wincenty Witos) nie zdecydowali się na opuszczenie kraju.

Władze Rzeczpospolitej na próżno usiłowały wydostać się z "rumuńskiej pułapki", i wobec oczywistej już całkowitej klęski militarnej, uznały za konieczne zachowanie ciągłości istnienia i funkcjonowania struktur państwowych. Toteż gdy 22 września ambasador Francji wyjeżdżał z Bukaresztu - zresztą w towarzystwie gen. Sikorskiego - wiózł zalakowane koperty, które wręczył mu prezydent Ignacy Mościcki. Jedna z nich adresowana była do ambasadora RP w Paryżu, druga do jego odpowiednika w Rzymie, gen. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego. Ta ostatnia właśnie zawierała powołanie "najwierniejszego z wiernych" podwładnych marszałka Piłsudskiego na następcę Prezydenta RP. Rząd francuski jednak stwierdził wprost, iż "nie widzi, ku żywemu swemu żalowi, możliwości uznania jakiegokolwiek rządu", który powołałby desygnowany prezydent. Po serii gorączkowych narad, które toczyły się w Paryżu między napływającymi tam coraz liczniej politykami polskimi różnych obozów, gen. Wieniawa przekazał do Rumunii swoją rezygnację. Trzej ambasadorzy - Julian Łukasiewicz z Paryża, Edward Raczyński z Londynu i gen. Wieniawa - wieczorem 28 września postanowili wysunąć kandydaturę Władysława Raczkiewicza, aktualnie urzędującego marszałka Senatu, byłego wielokrotnego ministra spraw wewnętrznych i wojewodę, który nie angażował się od pewnego czasu w bezpośrednie rozgrywki polityczne. Kandydatura ta znalazła poparcie środowiska skupionego wokół gen. Sikorskiego, a więc i Francuzów. Dnia 29 września prezydent Mościcki podpisał dokument o powołaniu Raczkiewicza i równocześnie o własnej rezygnacji. Dymisję złożył też w imieniu całego rządu premier Felicjan Sławoj-Składkowski. Następnego dnia odbyło się uroczyste zaprzysiężenie nowego prezydenta, który - po krótkich wahaniach - powierzył misję utworzenia rządu gen. Sikorskiemu. Gabinet gen. Sikorskiego zaprzysiężony został 1 października. Miał on zrazu charakter koalicyjny, konieczny dla "łagodnego" przekazania władzy.

Tak czy inaczej, dzięki noszącej cechy autorytarne konstytucji z 1935 r., której art. 24 przewidywał możliwość wyznaczenia następcy prezydenta bez konieczności potwierdzania tej decyzji przez jakiekolwiek inne władze, zachowana została ciągłość formalnoprawna państwa.

W nocy z 26 na 27 wrzenia, a więc wówczas, gdy formalnie piastowali jeszcze swoje urzędy zarówno prezydent i premier, jak i Wódz Naczelny, a stolica znajdowała się w przeddzień kapitulacji, dowodzący jej obroną gen. Juliusz Rómmel przekazał otrzymane od marsz. Edwarda Rydza-Śmigłego pełnomocnictwa do utworzenia wojskowej organizacji konspiracyjnej gen, Michałowi Karaszewiczowi-Tokarzewskiemu. Decyzję tę uznali zarówno Komisarz Cywilny Obrony Warszawy Stefan Starzyński, jak i obecni w stolicy czołowi politycy opozycyjni. Nim oddziały Wehrmachtu wkroczyły do Warszawy, powstała, mająca formalną sankcję, Służba Zwycięstwu Polski.

Rozgromione przez dwóch nieporównanie silniejszych wrogów państwo polskie - rozumiane jako instytucje działające na podstawie Konstytucji Rzeczpospolitej - stosunkowo szybko i dzięki daleko posuniętemu porozumieniu głównych sił politycznych potwierdziło swoją trwałość.

Założenia polityki okupantów

Zapewnienie trwałości instytucji państwa i utrzymanie ich konstytucyjnej legitymizacji oraz uznania międzynarodowego były istotne także dlatego, że obaj zwycięzcy napastnicy już w pakcie z 23 sierpnia postanowili, iż "w toku dalszych wydarzeń" porozumieją się co do ewentualności "utrzymania odrębnego państwa polskiego". Jak się wydaje, szczególnie III Rzeszy zależało na powołaniu jakiegoś rodzaju satelickiej struktury państwowej (reststaat), gdyż Hitler wciąż liczył na dojście do porozumienia z Francją i - przede wszystkim - Wielką Brytanią. Ewentualność taka brana była pod uwagę także w Moskwie, choć trudno było sobie wyobrazić istnienie swoistego kondominium radziecko-niemieckiego. W każdym bądź razie jeszcze we wspólnym oświadczeniu III Rzeszy i ZSRR podpisanym w dzień po agresji ZSRR na Polskę oba rządy stwierdzały, iż celem ich jest m.in. "przywrócenie pokoju i ładu w Polsce" oraz "dopomożenie ludności polskiej do odbudowania warunków swego istnienia politycznego". Także komunikat z 22 września (ogłoszony następnego dnia) mówiący o "linii demarkacyjnej", a nie o "granicy", mógł sugerować, że plan taki nie został zarzucony. Dopiero 25 września Stalin w rozmowie z ambasadorem Niemiec w Moskwie wyraźnie stwierdził, iż "uważa za błędne pozostawienie niepodległego, kadłubowego państwa polskiego".

"Umowa w sprawie granic i przyjaźni", podpisana w nocy z 28 na 29 września w Moskwie, przyjmowała już, że wytyczona linia graniczna jest "ostateczna", a "niezbędny porządek państwowy" przejmują po obu jej stronach odpowiednio rządy Rzeszy i ZSRR. Stalin proponując nowelizację tajnej klauzuli układu z 23 sierpnia i "oddając" Niemcom ziemie polskie aż po linię Bugu (zamiast Wisły) - w zamian za przesunięcie do "radzieckiej strefy wpływów" Litwy - miał niewątpliwie na celu pozbycie się terytoriów o przygniatającej przewadze ludności polskiej, a tym samym poważnego problemu politycznego. Niemniej zarówno w III Rzeszy (tzw. plan Moltkego), jak i w ZSRR czynione były w pierwszej połowie września zaczątkowe przygotowania do wypełnienia zapisu układu Ribbentrop-Mołotow. Umowa z 28 września - zgodnie z propozycją Stalina - wytyczała granicę linią San-Bug-Narew-Pisa, choć trwały jeszcze walki izolowanych polskich punktów oporu (załoga Helu skapitulowała 2 października), a nawet większych zgrupowań (Grupa Operacyjna "Polesie" gen. Franciszka Kleeberga złożyła broń 6 października). Całkowita klęska Polski oczywista była już wcześniej i obaj napastnicy świętowali swoje zwycięstwo po raz pierwszy 23 września wspólną defiladą w Brześciu. Szczególnie wiele powodów do zadowolenia miał Stalin. Nie tylko małym kosztem powiększył Kraj Rad, zdobył dominację nad państwami nadbałtyckimi oraz zachodnią częścią Rumunii (co miał niebawem "skonsumować" na drodze inkorporacji) i wyprowadził Armię Czerwoną na linię Bugu, co oznaczało, iż znajduje się co najmniej u wrót Europy Środkowej, ale mocarstwa zachodnie zachowały - mówiąc oględnie - daleko idącą wstrzemięźliwość wobec jego agresji na Polskę. Rząd brytyjski (po dyskusji) uznał, że Wielka Brytania "nie jest traktatowo zobowiązana do wzięcia udziału w wojnie przeciwko ZSRR", a publicznie wyraził "najgłębsze zastrzeżenia". Identyczne stanowisko zajęła Francja. Oba państwa najwyraźniej uznały, że w obliczu wojny z III Rzeszą i prawdopodobieństwa jej dalszych agresywnych poczynań w Europie, nie leży w ich interesie zaostrzenie stosunków z ZSRR. Ponieważ nie podjęły także żadnych ofensywnych działań wojskowych przeciwko Niemcom, dwa wielkie mocarstwa totalitarne uznały, iż mają pełną swobodę kształtowania sytuacji na

ziemiach, które między siebie podzieliły.
Dalszych działań dotyczących ziem polskich już nie koordynowano ani nawet nie powiadamiano się wzajemnie o nich. Różniły się one, jeśli chodzi o "porządek państwowy", co wynikało nie tylko z odmienności dalekosiężnych celów i ustrojów, ale także z faktu, iż po stronie niemieckiej znalazła się podstawowa część ziem etnicznie polskich.
Pierwsze poczynania ZSRR związane były z przejęciem przez Moskwę kontroli nad Litwą. Aby ułatwić sobie początkowy etap jej wykonywania, 10 października zawarta została umowa, na mocy której przekazano Kownu część

dawnego pasa granicznego polsko-litewskiego wraz z Wilnem, uważanym przez Litwinów za ich historyczną stolicę. W zamian Litwa wyraziła zgodę na stacjonowanie na jej terytorium garnizonów Armii Czerwonej. Na pozostałym obszarze ziem wschodnich II Rzeczpospolitej, po krótkiej, ale gwałtownej kampanii propagandowej i w atmosferze brutalnego nacisku, przeprowadzono 22 października wybory (a raczej akty głosowania w stylu totalitarnym) do Zgromadzeń Ludowych - Zachodniej Białorusi w Białymstoku i Zachodniej Ukrainy we Lwowie. Powołane w ten sposób ciała wystąpiły do Rady Najwyższej ZSRR o przyłączenie ich odpowiednio do Białoruskiej i Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. 1 listopada Rada przychyliła się do prośby deputowanych białostockich, a dzień później podobnie potraktowała wniosek ich towarzyszy ze Lwowa. Polskie ziemie wschodnie zostały więc wprost wcielone do republik wchodzących w skład ZSRR i stały się jego integralną - z punktu widzenia Moskwy - częścią. Szybko rozwinięto tu struktury administracyjne (oraz partyjne etc.) radzieckie, a 29 listopada dekretem Prezydium Rady Najwyższej ZSRR nadano wszystkim stałym mieszkańcom tych ziem obywatelstwo radzieckie. Oznaczało to m.in. obowiązek pełnienia służby wojskowej w Armii Czerwonej.
Łącznie inkorporowano niemal równo połowę terytorium Rzeczpospolitej zamieszkane przez ok. 14,3 mln osób (nie licząc uciekinierów z zachodniej i centralnej Polski). Wedle szacunkowych danych z pewnością ponad połowę stanowili Ukraińcy i Białorusini.
Nieco szybciej niż Stalin swoje "porządki państwowe" na terytorium Polski wprowadził Hitler nie uznający demokratycznej mimikry stosowanej w ZSRR. Dekretem z 8 października wcielono do III Rzeszy Pomorze, Wielkopolskę i województwo śląskie. W ciągu następnych tygodni - do końca listopada - podobny los spotkał łódzkie, północne Mazowsze, Suwalszczyznę i tzw. Zagłębie Krakowskie. Ziemie wcielone obejmowały terytorium ok. 90 tys. km kw. z ludnością ok. 10 mln.
Osobnym dekretem, z 12 października, ogłoszonym dwa tygodnie później, na pozostałych ziemiach polskich ustanowiono Generalgouvernement f□r die besetzen polnische Gebiete (po klęsce Francji z nazwy tej usunięto sformułowanie "polnische Gebiete", tak aby nie pozostał żaden ślad po ich dawnej przynależności państwowej). Generalna Gubernia (GG) podzielona została na cztery dystrykty, "stolicą" jej stał się królewski Kraków, a zarządzający nią gubernator urzędował na Zamku Wawelskim. Tak wykrojona część Polski liczyła 98 tys. km kw. i ponad 12 mln mieszkańców, których wnet zaczęło przybywać, gdyż od początku października rozpoczęto na masową skalę wysiedlanie Polaków i Żydów z ziem wcielonych.
Tak więc w ciągu kilku tygodni po zakończeniu kampanii wrześniowej ziemie

Rzeczpospolitej znalazły się pod czterema różnymi reżimami okupacyjnymi: małą cząstkę wchłonęła Litwa, a mniej więcej jednakowej wielkości i o podobnym zaludnieniu terytoria zostały inkorporowane do ZSRR, wcielone do III Rzeszy lub znalazły się w specjalnej, czysto okupacyjnej strukturze GG. Choć w układzie z 28 września Stalin i Hitler zapewniali, że wprowadzany przez nich "porządek" będzie "pewnym fundamentem postępującego rozwoju przyjacielskich stosunków między narodami", postanowienia tego IV rozbioru Polski zostały złamane, zanim minęły dwa lata.

Polityka okupantów - ZSRR

Jakkolwiek dalekosiężne cele obu okupantów były zupełnie odmienne, to ich postępowanie wobec mieszkańców zagarniętych ziem wykazywało pewne podobieństwa. Inkorporacja do ZSRR polskich kresów wschodnich traktowana była zapewne przez Stalina jako cząstkowa realizacja generalnego planu kwiatowej rewolucji, sprzężonej z imperialnymi interesami państwa radzieckiego. Celem bliższym była więc unifikacja zdobytych ziem z całością ZSRR, m.in. przez rozciągnięcie na nie struktury administracyjnej, instytucji i przepisów prawnych, w tym także tych, które odnosiły się do własności i zarządzania gospodarką. Uznając kresy za ziemie białoruskie i ukraińskie raczej je "białorutenizowano" i "ukrainizowano" niż rusyfikowano, ale w gruncie rzeczy chodziło o ich sowietyzację. Nacjonalizacji, słabego tu, przemysłu, towarzyszyło "uspołecznienie" handlu i przekształcenie większej własności ziemskiej w sowchozy (gospodarstwa państwowe). Zlikwidowano nie tylko polskie, ale także białoruskie, ukraińskie i żydowskie organizacje polityczne, społeczne, gospodarcze, kulturalne, młodzieżowe. Zamykano gazety i czasopisma niezależnie od ich kierunku ideowego czy narodowości wydawców. Ograniczano działalność duchownych i instytucji wyznaniowych, na równi katolickich, prawosławnych czy żydowskich. Cała dotychczas istniejąca tkanka życia społecznego i publicznego została zniszczona, a na jej miejsce wprowadzano instytucje i organizacje typu sowieckiego.

Nie jedyną, ale bez wątpienia główną ofiarą tego szybko przeprowadzanego procesu unifikacji stali się Polacy, w których upatrywano najważniejszej przeszkody wobec zmian ustrojowych. Już w czasie działań wojennych oficerowie polityczni Armii Czerwonej wzywali do rozprawienia się z "biełopolakami" i "polskimi panami". Należało to wprawdzie do dawnego rewolucyjnego repertuaru wojny klasowej, ale dość ściśle splatało się z agresją wobec wszystkich Polaków, tym wyraźniej, że taż sama propaganda utożsamiała ludność polską z wrogiem klasowym i odwoływała się do "uciemiężonych braci" Ukraińców i Białorusinów. W dniach wkraczania wojsk radzieckich i w pierwszym okresie instalowania się nowej władzy dochodziło do licznych aktów przemocy, rozstrzeliwań i samosądów, których ofiarą padło co najmniej wiele tysięcy osób, także cywilów. W większości, zwłaszcza mniejszych, miast i na wsi powstawały ochotnicze milicje, rekrutujące się głównie z Białorusinów, Ukraińców i Żydów, które wspomagały w utrzymywaniu (nowego) porządku najpierw jednostki frontowe, a potem służby Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych (NKWD), nieomal bez wyjątków pochodzące z

głębi ZSRR. Podobnie znaczną część stanowisk kierowniczych w administracji, gospodarce, a także w szkolnictwie i kulturze obejmowali przybysze z Kijowa, Mińska czy nawet Moskwy, a nie "wyzwoleni spod polskiego panowania" miejscowi. Ograniczenie to dotyczyło i komunistów, którzy obciążeni byli hipoteką rozwiązanej w 1938 r. KPP, w szczególności zaś Polaków i Żydów uciekających na wschód przed posuwającym się frontem i dość licznych zbiegów spod niemieckiej okupacji.

Wygląd zewnętrzny ziem zabranych zmieniał się bardzo szybko, upodabniając je do całego ZSRR: nazwy ulic, placów, a nawet kin i teatrów zmieniano na pochodzące z rewolucyjnego czy też "postępowego" repertuaru (dając przewagę lokalnym, ale niepolskim tradycjom); w sklepach towary znikały w mgnieniu oka, a przed nimi rosły kolejki nie znane tu od końca poprzedniej wojny (do czego przyczynił się masowy wykup wszelkich produktów przez przybyszy z ZSRR); stałym elementem pejzaży miast i miasteczek były plansze i transparenty propagandowe; we Lwowie, największym - a w istocie jedynym - centrum kulturalnym, "zukrainizowano" obie istniejące tam uczelnie, ale w dalszym ciągu wykładali w nich Polacy, w tym także uchodźcy z GG (jak Tadeusz Boy-Żeleński). Kościoły, cerkwie i synagogi stopniowo zamieniano na magazyny, a w niektórych organizowano "muziei atieizma"; w szkołach wprowadzano radzieckie programy i takież obyczaje; pojawiły się nowe gazety, a wydawana po polsku nosiła charakterystyczny tytuł "Czerwony Sztandar"; zmieniły się repertuary kin i teatrów, a w tych ostatnich także i publiczność - najwidoczniejsze znamię zainicjowanej przez władze rewolucji kulturalnej.

W żadnym z podstawowych narodów zamieszkujących ziemie wcielone nie zabrakło chętnych do uczestniczenia w tych przemianach. Jedni włączyli się w nie z pobudek ideowych, co dotyczyło nie tylko komunistów, lecz także (przynajmniej jeśli chodzi o Polaków) niektórych lewicowych inteligentów bez wyraźniejszej przynależności partyjnej. Inni czynili to z prostego konformizmu czy karierowiczostwa. Wśród dawnych mniejszości narodowych znaczącą rolę odgrywały urazy i sprzeciw wobec Polski, w której czuli się (na ogół zasadnie) obywatelami drugiej kategorii. Toteż pomiędzy współpracującymi z nową władzą nie brakło nawet niedawnych nacjonalistów, choć oczywiście większość ich nie tylko nie podejmowała współpracy, ale próbowała prowadzić działalność konspiracyjną. W styczniu 1941 r., w wielkim pokazowym procesie, skazano na karę śmierci 40 członków OUN Stepana Bandery.

Aczkolwiek w samym ZSRR, pod nowym (od grudnia 1938 r.) kierownictwem Ławrientija Berii, NKWD złagodziła nieco terror, nie dotyczyło to ziem świeżo inkorporowanych. Jesienią 1939 r. przetoczyła się przez nie fala masowych aresztowań, których ofiarą padali różnej proweniencji działacze polityczni, społeczni, gospodarczy, urzędnicy, emerytowani wojskowi, księża, a w styczniu 1940 r. do więzień trafili także niektórzy prokomunistyczni pisarze. Cele zapełniali też "granicznicy", ludzie złapani podczas prób ucieczki (najczęściej na Węgry lub do Rumunii). Już w listopadzie nastąpiły pierwsze aresztowania w obrębie rodzącej się konspiracji niepodległościowej. Wiele z tych aresztowań spowodowanych było donosami, działalnością agentów i informatorów, a w przypadku "graniczników" także prowokacją. Osławione już w ZSRR sądy specjalne sypały

wysokimi wyrokami, bardzo często ferowanymi zaocznie. W marcu 1940 r. Biuro Polityczne KC WKP(b) podjęło decyzję o rozstrzelaniu 11 tys. spośród 19 tys. więźniów. Nie szczędzono "spekulantów", którymi nader często byli ludzie po prostu gromadzący w domu zapasy na ciężką, okupacyjną zimę.

Wszakże terror, aby mógł być w pełni skuteczny, musiał być w dosłownym znaczeniu masowy: w pierwszej połowie 1940 r. dokonano deportacji całych rodzin i grup społecznych, obejmując nimi - wedle tajnych danych NKWD - co najmniej 330 tys. osób. W lutym ofiarą padli polscy osadnicy, niemal cała służba leśna i pracownicy administracji; w kwietniu rodziny jeńców, aresztowanych i skazanych, w czerwcu zaś uciekinierzy z centralnej i zachodniej Polski (w tej kategorii większość stanowili Żydzi). W straszliwych warunkach wywożono deportowanych do Kazachstanu, na Ural i zachodnią Syberię, gdzie traktowani byli jako "specpieriesieleńcy", pozbawieni nie tylko wszelkich praw, ale też pracy i źródeł utrzymania, nie budząc tym stanem zresztą specjalnego zdziwienia, jako że były to tereny od co najmniej dziesięciu lat zaludniane w podobny sposób, głównie przez ofiary kolektywizacji.

Okrutny też był los ponaddwustutysięcznej rzeszy jeńców wojennych. W kwietniu 1940 r. - po wyselekcjonowaniu kilkuset osób, które przeniesiono do osobnego obozu (Griazowiec) - na mocy decyzji Biura Politycznego KC WKP(b) wymordowano wszystkich oficerów, na równi zawodowych i rezerwy, żołnierzy KOP i funkcjonariuszy Policji Państwowej, przetrzymywanych w obozach w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie. łącznie ok. 15 tys. osób, w tym nauczycieli, lekarzy, naukowców, prawników, inżynierów. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem 1939 r, z obozów tych zniknęli na zawsze kapelani i duchowni wszystkich wyznań. Tylko część żołnierzy i podoficerów zwolniono lub przekazano Niemcom; część pozostała w obozach pracy rozrzuconych na. Ukrainie i Białorusi; innych przetransportowano do łagrów w Republice Komi, na północnym Uralu w głębi Syberii. Znaczne grupy wysłano do regionów, z których się nie wracało - na Kołymę i Czukotkę. Po inkorporacji państw nadbałtyckich i w nich dokonywano "czystek", ale wielka fala deportacji nastąpiła tuż przed wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej, w maju - czerwcu 1941 r., kiedy to wywieziono z dawnych ziem polskich ok. 90 tys. osób.

Łącznie z mniejszymi falami wywózek deportowano nie mniej niż 400 tys. osób, w tym Polacy stanowili ok. 2/3, a Żydzi ok. 20%. W łagrach i więzieniach przetrzymywano - nie licząc jeńców - co najmniej kilkadziesiąt tysięcy osób, a rzeszę ("byłych") obywateli polskich, którzy znaleźli się wbrew własnej woli w głębi ZSRR, powiększała młodzież podlegająca służbie wojskowej, którą odbywała z reguły w "strojbatalionach" lub była "zmobilizowana" do pracy (wedle różnych szacunków nawet do 200 tys. osób). W ciągu niespełna 2 lat różne formy pozbawienia wolności objęły zapewne do 1 mln osób, z których znaczna część (szacuje się, że nawet 20-25%) została zamordowana lub zmarła wskutek skrajnie trudnych warunków bytowych. Gdy wybuchła wojna niemiecko-radziecka - na początku której wycofujące się wojska NKWD wymordowały co najmniej kilka tysięcy więźniów - ziemie wschodnie Rzeczpospolitej były już wykrwawione i dosłownie zdziesiątkowane.

Polityka Stalina wobec tych ziem nie była wszakże tak jednokierunkowa, jak wynikałoby to z zasięgu szalejącego na nich terroru. Terror ów nie był bowiem celem samym w sobie, ale stanowił integralną część systemu. Ci, którzy mniej lub bardziej ochoczo brali udział w sowietyzacji, raczej nie

byli zagrożeni, a nawet mogli liczyć na - stosowne do radzieckich zwyczajów i możliwości - przywileje i apanaże. Po klęsce Francji moskiewska centrala najwyraźniej dążyła do zbudowania czegoś na kształt "polskiej alternatywy". Przechwyconych na Litwie ok. 9,5 tys. internowanych wojskowych i policjantów nie spotkał już los kolegów, których zaledwie dwa miesiące wcześniej pomordowano. 25 listopada 1940 r. specjalną, uroczystą sesją z udziałem radzieckich slawistów, uczczono 85-lecie śmierci Adama Mickiewicza. Wprawdzie spośród czterech b. premierów RP aż trzech znalazło się w więzieniach (Leon Kozłowski, Aleksander Prystor, Leopold Skulski), ale Kazimierz Bartel - kontynuujący zajęcia na Politechnice Lwowskiej - był parokrotnie wzywany do Moskwy, gdzie, jak się sądzi, prowadzono z nim rozmowy nie tylko na temat geometrii wykreślnej. Wczesną jesienią 1940 r., na mocy decyzji Berii, niewielka grupa dobranych oficerów (wśród nich odsunięty od przydziału liniowego na krótko przed wybuchem wojny płk Zygmunt Berling) skierowana została do Małachowki (do tzw. willi szczęścia) z zadaniem rozpoczęcia przygotowań do utworzenia armii. W pierwszych dniach czerwca 1941 r. zapadła uchwała najwyższych czynników radzieckich o utworzeniu dywizji "z osób polskiej narodowości".

W tym samym mniej więcej czasie skupiono w szkole Kominternu grupę polskich komunistów, którzy mieli debatować nad przyszłością ich kraju. Od stycznia 1941 r. zaczął ukazywać się miesięcznik "Nowe Horyzonty", pismo polskich komunistów. Redaktorem naczelnym została Wanda Wasilewska, córka jednego z bliskich współpracowników Józefa Piłsudskiego, którą w grudniu 1940 r. przyjęto do WKP(b). Od marca 1941 r, coraz większa liczba członków b. KPP otrzymywała polityczną rehabilitację, a wraz z nią legitymacje WKP(b). Nie zaniedbywał swych obowiązków wywiad NKWD, rekrutując wśród Polaków chętnych do działalności na terenach okupowanych przez Niemcy.

Skuteczność akcji sowietyzacyjnej trudna jest do jednoznacznego określenia. Jeśli wierzyć niektórym świadectwom literacko-wspomnieniowym - takim jak Józefa Mackiewicza - przystosowanie się do nowej rzeczywistości przybrało szeroki zasięg, a liczba chętnych do współpracy, także do delatorstwa, zaspokajała potrzeby władz. Już w październiku 1939 r. zastraszona ludność masowo szła do urn, choć można sądzić, iż o wysokiej frekwencji zadecydowały złudzenia żywione przez niepolskich mieszkańców tych ziem wobec systemu, który tak silnie eksponował swój internacjonalizm. Ogromne trudności, które napotykały środowiska podejmujące niepodległościową konspirację, mogą na równi świadczyć o głębokości penetracji NKWD, co o rezerwie znacznych kręgów społeczności polskiej wobec tych prób. Szczególne trudności miała konspiracja lwowska, ale i na Białostocczyźnie przybrała szerszy zasięg dopiero w drugiej połowie 1941 r. Liczne też były grona osób udzielających się w życiu kulturalnym i naukowym, a szeroko upowszechniane w GG "dekalogi Polaka" nie były tu chyba publikowane.

Równocześnie jednak dłużej niż słynny "oddział wydzielony" mjr. Hubala działały zgrupowania partyzanckie zasilane od wiosny 1940 r. uchylającymi się od poboru. Gdy zaś z początkiem lata 1941 r. całe kresy znalazły się pod okupacją niemiecką, rozkwitły tu nie tylko polskie, ale także - słabe i ostro prześladowane od 1939 r. - ukraińskie elementy niepodległościowe. Ujawniły się własne siły polityczne białoruskie i pojawili się znów

działacze litewscy. Można chyba stwierdzić, że w latach 1939-1941 na postawę ludności kresów wpływał bardziej terror niż perswazja i to raczej niezależnie od narodowości.

Przypadek Wileńszczyzny

Zupełnie inaczej, ale tylko przez niespełna 9 miesięcy, ułożyły się losy ludności Wilna i Wileńszczyzny. Wojsko i administracja litewska objęły miasto i region dopiero 27 października 1939 r., co dało NKWD ponad miesiąc na przeprowadzenie dość licznych aresztowań i grabienie mienia. Tym większe było uczucie ulgi, gdy nadciągnęły nowe władze. Polityka rządu kowieńskiego była zdecydowanie wroga wobec Polaków (Żydzi też nie cieszyli się jej przychylnością), ale obce były jej terrorystyczne metody NKWD. Polscy żołnierze i oficerowie zostali internowani, warunki, w jakich przebywali, były trudne, lecz rzecz jasna nie groziła im eksterminacja. Wilno poddano pospiesznej lituanizacji, ale młoda republika nie miała ani sił, ani środków na radykalne posunięcia. "Zdepolonizowano" uniwersytet, straciło pracę wielu urzędników państwowych i samorządowych, pozbawiono praw publicznych sporą część zamieszkałych tu Polaków, radykalnie nacjonalistyczne środowiska litewskie usiłowały zastraszyć ludność polską i żydowską przy pomocy bezkarnie hulających bojówek. Niechętną polskości akcję prowadziło też wielu litewskich księży. Nie załagodziło tych konfliktów uaktywnienie się - tradycyjnych tu - zwolenników ugody polsko-litewskiej, którzy uzyskali nawet zgodę na wydawanie dziennika ("Gazeta Codzienna"). Choć wiele środowisk polskich - zwłaszcza inteligencja i dość liczni uciekinierzy spod okupacji niemieckiej i radzieckiej - boleśnie odczuwało degradację, niezły stan gospodarczy Litwy powodował, że status materialny ludności był zdecydowanie lepszy niż w GG czy w Białymstoku i Lwowie, stan zaś bezpieczeństwa zupełnie nieporównywalny. Aczkolwiek dla większości Polaków była to po prostu okupacja, prawdziwa groza nadeszła wraz z Armią Czerwoną, która wkroczyła na Litwę 15 czerwca 1940 r.

Polityka okupantów - III Rzesza

Jeśli polityka Moskwy była jednolita wobec wszystkich inkorporowanych ziem Rzeczpospolitej (choć zapewne dałoby się wyróżnić jakieś lokalne odchylenia), to plany III Rzeszy co do losów terytoriów, które okupowała, były zarówno bardziej złożone, jak i długofalowe. Z góry przyjęto całkowitą i możliwie rychłą germanizację ziem, które wcielono do Niemiec, a których posiadanie uważano za oczywiste nawet w przypadku dojścia do porozumienia z Francją i Wielką Brytanią. Toteż ludność ziem wcielonych stała się pierwszym obiektem terroru.

Jego początek przebiegał równolegle z posuwaniem się na wschód linii frontu, a faza szczytowa przypadła na pierwsze tygodnie po inkorporacji. Specjalnie przygotowane jednostki przeprowadziły akcję pn. Unternehmen

Tannenberg, w wyniku której zabitych na miejscu lub zakatowanych w więzieniach zostało ok. 16 tys. osób. Uderzono przede wszystkim w inteligencję, działaczy społecznych i większą własność. Te same grupy społeczne - a także wszyscy Żydzi - stały się głównymi, ale nie jedynymi, ofiarami deportacji. Do wiosny 1940 r., wydziedziczając ze wszystkiego (co "zalegalizowano" rozporządzeniem dopiero 17 września 1940 r., a więc blisko rok po rozpoczęciu wywózek), wysłano do GG ok. 400 tys. osób, głównie z Pomorza i Wielkopolski.

Akcja wywłaszczeń i wysiedleń trwała, ze zmiennym nasileniem, przez dłuższy jeszcze czas, przy czym znaczną część deportowanych skierowano jako robotników przymusowych w głąb Rzeszy.

Wielu chłopów pozbawionych ziemi pozostawiono na miejscu jako parobków u

niemieckich osadników, którzy napływali stopniowo nie tyle z głębi Rzeszy, ile ze skupisk niemieckich na Łotwie, w Estonii czy Siedmiogrodzie. Likwidacji uległy nie tylko wszystkie polskie instytucje i organizacje, łącznie z gospodarczymi, oraz szkolnictwo wszystkich stopni, ale uniemożliwiono Polakom nawet wyznawanie we własnym języku wiary: z 681 księży diecezji poznańskiej 461 zesłano do obozów koncentracyjnych, a niemal wszystkich pozostałych deportowano do GG; w Kraju Warty (Warthegau) z ponad 800 kościołów pozostawiono 30 polskich (i 15 niemieckich).

Pewnym odstępstwem od germanizacji ziemi przez usunięcie z niej Polaków była podjęta - w drugiej fazie wojny, tj. po ataku na ZSRR - akcja wpisywania na "niemiecką listę narodowościową" (Deutsche Volksliste - DVL). Wedle niektórych szacunków trafiło na nie, zarówno dobrowolnie, jak i pod naciskiem, ok. 2 mln Polaków. Część z nich była kandydatami na zniemczenie, inni mieli być tylko "mięsem armatnim" dla Wehrmachtu. Zbliżony charakter miał rabunek - odpowiadających "kryteriom rasowym" - polskich dzieci. Wedle szacunków Czesława Madajczyka poddano w ten sposób germanizacji 150-200 tys. dzieci (ale nie tylko z ziem wcielonych do Rzeszy). W polityce wobec terytoriów wcielonych istniały pewne, dość wyraźne, różnice: najokrutniej traktowano Polaków na Pomorzu, stosunkowo słabszy był terror na Śląsku, na północnym Mazowszu (włączonym do Prus Wschodnich) stosunki bardziej przypominały istniejące w GG.

Ziemie, które znalazły się w granicach Generalgouvernement, o zdecydowanej przewadze żywiołu polskiego, który tylko w miastach i miasteczkach uzupełniany był ludnością żydowską, a na południowym wschodzie ukraińską, przewidywane były do stopniowego zniemczenia. Choć jego tryb i tempo trudne były do sprecyzowania, oczywiste było dążenie do przekształcenia Polaków w warstwę niewolniczą o liczebności określonej "zapotrzebowaniem" oraz powolne wyniszczenie lubż8şi deportowanie "zbędnych" na wschodnie tereny przyszłej Wielkiej Rzeszy. Zakładano też, zrazu "wyspową", kolonizację regionów, z których zamierzano usunąć ludność polską (eksperyment taki podjęto, bez powodzenia, na Zamojszczyźnie). Na

czas wojny wszakże ów Generalny Plan Wschód musiał być zawieszony.

Jeśli nie liczyć (ale czemu nie liczyć?) morderstw dokonywanych na zapleczu frontu, systematyczny, fizyczny terror rozpoczął się wkrótce po ustanowieniu cywilnej administracji i utworzeniu GG. Najpierw było to uderzenie o charakterze właściwie symbolu: 6 listopada aresztowano i wywieziono do obozów koncentracyjnych 183 pracowników naukowych krakowskich

wyższych uczelni (w tym 34 członków PAU). Inteligencja polska stała się wrogiem nr 1. Inny akt terroru, mający zastraszyć ludność, dokonany został 27 grudnia w podwarszawskim Wawrze, gdzie w odwet za zabójstwo dwóch żołnierzy niemieckich rozstrzelano jako zakładników 106 Polaków. Późną wiosną 1940 r. przeprowadzono zakrojoną na szeroką skalę Ausserordentliche Befriedungsaktion (znaną jako akcja AB), w wyniku której aresztowano ok. 3,5 tys. działaczy politycznych i społecznych, w większości rozstrzelanych w ciągu następnych tygodni (zamordowano m.in. Macieja Rataja i Mieczysława Niedziałkowskiego). Nie można wykluczyć, że akcja ta skoordynowana była z decyzjami Stalina o rozstrzelaniu polskich oficerów, wśród których większość stanowili oficerowie rezerwy.

Akcje tego rodzaju, koordynowane w skali całej GG lub podejmowane na niższych szczeblach skomplikowanej machiny cywilno-policyjnego terroru, podejmowane były - ze zmiennym nasileniem - przez cały czas okupacji. Wszyscy nie-Niemcy zamieszkujący GG poddani byli, wprowadzonym 31 października 1939 r., sądom doraźnym. Z dniem 1 stycznia 1942 r. obowiązywać zaczęło "specjalne prawo karne" (Polenstrafrecht) obejmujące także polskich robotników przymusowych w Rzeszy. 21 czerwca 1943 r. terytorium GG uznane zostało za "Bandenkampfgebiete", co oznaczało nie tyle zmianę zasad prawnych, co wzmocnienie sił policyjnych. Rozciągnięto też na GG sieć obozów koncentracyjnych - w maju 1940 r. rozpoczęto budowę obozu oświęcimskiego - tak tu potrzebnych z uwagi na nieogarniony rezerwuar kandydatów do uwięzienia. Odrębnym sposobem terroryzowania społeczeństwa były uliczne łapanki - pierwsze już jesienią 1939 r. - których ofiary mogły równie dobrze trafić do obozu, zostać deportowane jako przymusowi robotnicy lub też stać się zakładnikami przeznaczonymi na rychłą śmierć.

Polityka niemiecka wobec ludności polskiej wyraźnie zaostrzyła się po tym, gdy armie ruszyły na wschód. Atak na ZSRR był jednocześnie sygnałem do rozpoczęcia realizacji imperialnych zamierzeń w skali światowej. W samym tylko 1942 r. rozstrzelano 17 tys. Polaków, a jesienią tegoż roku zaczął się, od wysiedlenia 150 tys. osób, "eksperyment zamojski". Maszyna śmierci rozkręciła się i nie wyhamowały jej podjęte po klęsce stalingradzkiej (luty 1943 r.) pewne próby "nowego nastawienia" postulowane przez Goebbelsa. W samej Warszawie między październikiem 1943 a lipcem 1944 r. rozstrzelano 8 tys. osób. W więzieniach i obozach koncentracyjnych osadzano każdego roku ponad 100 tys. osób. Do śmiercionośnych obozów trafić mógł - od marca 1943 r. - każdy Polak skazany na więcej niż pół roku więzienia, także za wykroczenie porządkowe lub drobną kradzież.

W odróżnieniu od ziem wcielonych, na terenie GG pozostawiono niektóre instytucje, gwarantując sobie nad nimi zwierzchność i całkowitą kontrolę. Zlikwidowano szkolnictwo wyższe i średnie, ale funkcjonowały nadal szkoły powszechne i część zawodowych. Administracja lokalna (uprzednio samorządowa) znajdowała się na ogół w rękach Polaków, choć trwała była tendencja nie tylko do drastycznego ograniczenia jej kompetencji, ale także wprowadzania do niej Niemców lub volksdeutschów. Utrzymano polskie sądy powszechne, tyle że zakres ich kompetencji ograniczono do spraw cywilnych (jeśli nie dotyczyły Niemców). Utworzono, opierając się na dawnych kadrach - także dowódczych - formacje porządkowe, nadając im nazwę Policji Polskiej (powszechnie zwanej "granatową"), liczącej łącznie 11-12 tys. funkcjonariuszy.

Działały także niektóre organizacje gospodarcze, m.in. sieć spółdzielcza "Społem", a także popularny bank Pocztowa Kasa Oszczędności. Pozostawiono PCK i pozwolono na istnienie ogólnokrajowej (tj. obejmującej GG) polskiej instytucji charytatywnej (Rada Główna Opiekuńcza). Na stanowiskach wykonawczych pozostali też Polacy na poczcie, kolei, w urzędach skarbowych. Poczta GG wydawała własne znaczki, m.in. z wyobrażeniem Wawelu, w którym znajdowała się siedziba wielkorządcy Generalnej Guberni Hansa Franka. Ze względów ekonomicznych - m.in. dla ułatwienia gospodarczej eksploatacji GG - puszczono w obieg, pod firmą Banku Emisyjnego w Polsce, nowe banknoty złotowe. Własność państwa polskiego została skonfiskowana, a średnia i większa własność prywatna znalazła się pod administracją niemieckich zarządców. Pozostawiono wszakże własność ziemską, tyle, że cała produkcja rolna toczyła się pod dyktando potrzeb III Rzeszy za pośrednictwem dostaw obowiązkowych (kontyngentów), a wiele dóbr zarządzanych było przez niemieckich Treuh"nderów.

Już w październiku 1939 r. wprowadzono obowiązek pracy, od grudnia obowiązujący od 14-tego (do 60-tego) roku życia. Nakaz ten miał głównie na celu dostarczenie rąk pracy gospodarce Rzeszy i choć przez cały czas ponawiano agitację za dobrowolnym wyjazdem "na roboty", przytłaczająca część znalazła się tam pod przymusem, a często po prostu z łapanek. Jeszcze w 1939 r. trafiło w głąb Niemiec (a także na ziemie wcielone) kilkadziesiąt tysięcy osób, a w latach 1940-1941 wysłano tam blisko 550 tys. osób. Wiosną 1940 r. do prac przymusowych skierowano też znaczną część spośród blisko 400-tysięcznej rzeszy polskich jeńców wojennych (szeregowców i podoficerów). Latem 1944 r, polskich robotników przymusowych - czy prościej mówiąc: niewolników - było ok. 1,3 mln.

Po rozpoczęciu wojny z ZSRR do Generalnego Gubernatorstwa włączono Małopolskę Wschodnią (ze Lwowem), tworząc z niej dodatkowy, piąty, dystrykt i rozciągając nań wszystkie zasady i metody stosowane w GG. Nawet z naddatkiem: pierwsze tygodnie niemieckiej okupacji tych ziem w okrucieństwie przekraczały to, co działo się w pierwszym okresie istnienia GG. Uczonych z Krakowa "tylko" zesłano do obozu Sachsenhausen - lwowska profesura stała się przedmiotem krwawej rozprawy wykonanej przez jedną z "grup specjalnych" przygotowanych do sterroryzowania ludności na tyłach frontu. Odmienny nieco był los Białostocczyzny, którą wydzielono podporządkowano administracji Prus Wschodnich. Poza GG pozostały także Wołyń, Nowogródczyzna i Wileńszczyzna, rozdzielone pomiędzy różne organizmy okupacyjne.

Rozciągnięcie okupacji niemieckiej na ziemie wcielone uprzednio do ZSRR niezmiernie skomplikowało tam sytuację ludności polskiej. Totalitaryzm radziecki, jakkolwiek na ogarniętych przezeń terenach Rzeczpospolitej za najgroźniejszego przeciwnika uważał Polaków, nie był w gruncie rzeczy nacjonalistyczny w tradycyjnym rozumieniu tego pojęcia. Pod jego uciskiem znaleźli się także niepodległościowcy ukraińscy, białoruscy czy litewscy. Niemcy, aczkolwiek dalecy byli od zaspokojenia nawet najskromniejszych aspiracji tych narodów, prowadzili politykę - dobrze kontrolowanej przez siebie - "wolnej gry sił" między narodami zamieszkującymi polskie ziemie kresowe. Popierali, mniej lub bardziej dyskretnie, naturalne antypolskie odruchy i sankcjonowali niemal od początku okupacji tych ziem powstawanie różnego rodzaju formacji para- lub wręcz militarnych czy policyjnych. Poza

rodzimymi komunistami (a najczęściej po prostu osobami, które współpracowały z władzami radzieckimi), a w przyszłości radziecką partyzantką, ich głównymi wrogami byli Polacy i Żydzi. Jakkolwiek główna fala agresji wobec ludności polskiej rozpoczęła się w drugiej połowie 1942 r. - a jej najstraszliwszym owocem były rzezie na Wołyniu w 1943 r., w których wymordowano co najmniej kilkadziesiąt tysięcy osób - od samego początku zarówno w dystrykcie galicyjskim, jak i na Wileńszczyźnie, Polacy mieli przeciwko sobie nie jednego, lecz w istocie dwóch wrogów.

Tak więc po 22 czerwca 1941 r. wszystkie ziemie II Rzeczpospolitej znalazły się pod panowaniem różnych okupacyjnych struktur niemieckich: GG obejmowało ok. 39%, do Rzeszy wcielonych było ok. 30%, a reszta - jeśli nie liczyć skrawków przekazanych Państwu Słowackiemu - znalazła się w zasięgu Komisariatów: Ukraine i Ostland. Mimo to los ludności polskiej wszędzie był taki sam. A i jej reakcje podobne.

Osobny, o wiele bardziej od innych tragiczny, był los znajdującej się na ziemiach polskich największej w Europie Diaspory żydowskiej. Rasizm był jądrem światopoglądu Hitlera i nazistów, antysemityzm zaś jego najważniejszą częścią. W niektórych przypadkach, uzasadnianych doraźnymi potrzebami, f□hrer potrafił powstrzymać np. swój antyslawizm lub stosować go wybiórczo (np. w stosunku do Slovenskeho Statu czy Drżavy Hrvatskej), ale w antysemityzmie nie uznawał taktyki czy pragmatyzmu politycznego. Z miejsca też, na okupowanych ziemiach polskich, wprowadzono serię przepisów specjalnych: od obowiązku noszenia niebieskich lub żółtych Gwiazd Dawida, przez przymusowe przesiedlanie do tworzonych "dzielnic żydowskich" (getta) i konfiskatę majątku, po zamknięcie gett i skazanie ich mieszkańców na śmierć głodową.

W marcu 1941 r. wszyscy Żydzi - i Cyganie, którym też zakazano poruszania się po kraju i zamykano w specjalnych obozach - zostali wyjęci spod prawa, a od października tegoż roku karą śmierci obłożono zarówno tych, którzy bez zezwolenia opuścili teren getta, jak i osoby, które udzieliły pomocy bądź schronienia. W gettach stopa śmiertelności wynosiła ok. 20%, a ponad połowa mieszkańców znajdowała się w strefie śmierci głodowej. Grasowały choroby zakaźne. Dziesiątki tysięcy wysyłano do obozów koncentracyjnych. Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej przygotowania do "ostatecznego rozwiązania" (Endlosung) - jak enigmatycznie i urzędowo określono akcję wymordowania wszystkich Żydów - zostały przyspieszone: jesienią 1941 r. rozpoczęto budowę ośrodków zagłady (m.in.: Majdanek, Chełmno, Bełżec, Treblinka, Sobibór), a w Oświęcimiu przeprowadzono próby z komorami gazowymi. Wiosną 1942 r., od likwidacji mniejszych gett w GG - "dzielnice żydowskie" w Kraju Warty "likwidowano" od stycznia, często przesiedlając ich mieszkańców do dużych gett w centralnej Polsce - zaczął się ostatni, apokaliptyczny rozdział w historii polskiego (i europejskiego) Żydostwa. Setki tysięcy osób, także z okupowanych państw Europy Zachodniej, przewożono do ośrodków zagłady, truto w komorach gazowych, a ciała palono w specjalnie zbudowanych krematoriach lub na stosach. Na ziemiach wschodnich, częściej niż gdziekolwiek indziej, stosowano "tradycyjne" metody - rozstrzeliwanie z broni automatycznej, na ulicach, w domach lub w obozach.

Likwidacja ponadpółmilionowego getta warszawskiego rozpoczęła się w lipcu 1942 r. W niektórych gettach wybuchały desperackie powstania (m.in. w listopadzie 1942 r. w Białymstoku) z najsłynniejszym z nich powstaniem

warszawskim (kwiecień-maj 1943 r.). Wedle dotychczasowych szacunków zmarło w gettach i obozach ok. pół miliona, a wymordowano ok. 2,2 mln polskich Żydów (do czego trzeba dodać tysiące zmarłych i zamordowanych w ZSRR). Stanowiło to łącznie ok. 90% polskiej części Diaspory, z której ocalało w ukryciu lub obozach pracy ok. 100 tys. osób, a w głębi ZSRR dwa-trzy razy tyle. Zginęło także ok. 1 mln Żydów radzieckich i drugie tyle z pozostałych krajów Europy. W swym ludobójczym amoku, przygotowanym wszakże z żelazną dokładnością, naziści - wspomagani często przez kolaboracyjne rządy lub powolne sobie formacje policyjne i wojskowe - odrzucili wszelkie kalkulacje ekonomiczne, a nawet militarne. Realizacja rasistowskiej idei okazała się główną racją stanu III Rzeszy.

Hitler wszakże, gdy nie stały mu na przeszkodzie aberracyjne poglądy, potrafił prowadzić grę polityczną, czego dowiódł nie tylko w latach 1933-1939 - gdy wykorzystał wszelkie słabości mocarstw zachodnich, konflikty między niektórymi krajami lub narodami (np. w basenie naddunajskim) czy rewolucyjno-imperialne ambicje Stalina - ale także już po wybuchu wojny. Rozgromił armię francuską i upokorzył Paryż, ale pozwolił na stworzenie tam satelickiego rządu; zgodził się na budowę kolaboracyjnego państwa chorwackiego; w okupowanej Danii pozostawił u władzy ten sam gabinet, któremu wypowiedział wojnę; w Holandii działała lokalna administracja i organizacje gospodarcze oraz zawodowe. Niewątpliwie, w przypadku krajów uznawanych za "rasowo bliskie" czy wręcz tożsame z Niemcami, polityka ta miała swój ideologiczny podkład i mieściła się w generalnym programie Tysiącletniej Rzeszy. Lecz kolaborację i tworzenie struktur satelickich inicjowano nie tylko wśród "nordyków", a w nazistowskiej elicie nie brakło zwolenników bardziej tradycjonalistycznej polityki imperialnej, np. wykorzystania konfliktów narodowościowych w obrębie ZSRR czy antykomunizmu wśród samych Rosjan.

Aczkolwiek w polityce niemieckiej wobec podbitej Polski także występowały pewne niuanse, wynikały one raczej z rozbieżności doraźnych interesów (i ambicji) poszczególnych części aparatu okupacyjnego niż z jakichś generalnych koncepcji. Żadna decydująca instancja III Rzeszy nie wystąpiła wobec żadnej ważniejszej polskiej grupy politycznej z jakąkolwiek propozycją kolaboracyjną, ale też polskie elity nie złożyły żadnej oferty współpracy na płaszczyźnie politycznej, a nieliczne inicjatywy podejmowane przez izolowane jednostki zdają się potwierdzać tę regułę. Hitler nie był zainteresowany w zastosowaniu do Polski i Polaków zasady kolaboracji. Ponieważ nie było w Polsce kolaboracyjnego rządu ani nawet struktur militarnych lub paramilitarnych uprawiających polityczną kolaborację i nie powstały żadne polskie jednostki Waffen SS (a w Europie zebrano niemal 200 tys. ochotników do takich formacji) uważa się, iż społeczeństwo polskie - z nielicznymi, pojedynczymi wyjątkami - stawiało świadomy i wytrwały opór wobec niemieckiej okupacji.

Sytuacja była tu rzeczywiście odmienna niż pod okupacją radziecką, gdzie wprawdzie nie powstały żadne polskie struktury administracyjne czy pararządowe, ale znalazło się dość liczne grono osób, które na podstawie motywów ideologicznych współpracowały z władzami i nawet starały się podejmować działalność polityczną, co stało się nieco bardziej realne od końca 1940 r. Jak by się nie oceniało antypolskich skutków polityki Stalina, była ona zawsze raczej "klasowa" niż nacjonalistyczna czy

rasistowska (przynajmniej w tym okresie).

W Generalnej Guberni, a tym bardziej na ziemiach wcielonych do Rzeszy, nie istniało żadne pole manewru, nawet dla tych, którzy w wielu elementach swego programu ideowego nie byli dalecy od faszyzmu (np. skrajne grupy ONR). Toteż w istocie postawa społeczeństwa polskiego wobec tego okupanta była znacznie bardziej jednolita niż w jakimkolwiek innym podbitym (lub zwasalizowanym) państwie europejskim. Nie oznaczało to wszakże, iż wszyscy Polacy "chwycili za broń" lub uczestniczyli w konspiracji. Było najzupełniej naturalne, że w masie przeważały postawy przystosowawcze, ostrożność i strach, a najbardziej rozpowszechnione formy uchylania się od obowiązków narzucanych przez okupanta miały raczej "przyziemne" motywy ekonomiczne i stanowiły warunek fizycznego przetrwania niż cele patriotyczne.

Ukrywanie zbiorów i inwentarza, wszechobecny czarny rynek, szmugiel, "lipne" zatrudnienie, a także rozpowszechnione kradzieże - w miejscach pracy czy przewożonych towarów - trudno zakwalifikować jako akcje sabotażowe, choć przecież działały na niekorzyść okupanta. Tak też przez niego były traktowane i znaczna - choć chyba niemożliwa dziś do oszacowania - część aresztowanych, skazanych, wysyłanych do obozów koncentracyjnych, a nawet rozstrzeliwanych na miejscu, chwytana była na owych "przestępstwach gospodarczych". Trudno ocenić, czy skala "podziemnego rynku" w Polsce była większa niż w innych okupowanych krajach. Działały one wszędzie, także w samej Rzeszy, ich istnienie zaś - a przynajmniej osiągane rozmiary - nie byłoby możliwe bez korupcji aparatu okupacyjnego, która osiągała niezwykłe rozmiary (co wykorzystywał zresztą także ruch oporu).

Zarówno życie gospodarcze - jawne, półlegalne i czarnorynkowe - jak i funkcjonowanie na terenie GG lokalnej administracji czy organizacji gospodarczych sprzyjały współpracy z okupantem, który w każdym przypadku sprawował władzę zwierzchnią, wprzęgając podporządkowane sobie instytucje czy ekonomicznych kontrahentów w realizację własnych celów. Współpraca taka miała bardzo szeroki zasięg, ale nawet jeżeli odbywała się bez zgody - także pośrednio wyrażonej - struktur konspiracyjnych, nie musiała prowadzić do kolaboracji, czyli czynnego i świadomego uczestnictwa w działaniach zmierzających do zniewolenia społeczeństwa.

Granica wszakże nie była ostra i nawet samo przyjęcie niektórych stanowisk (np. wójta) związanych z wykonywaniem poleceń administracyjnych okupanta, takich jak prowadzenie spisów osób podlegających obowiązkowi pracy czy ściąganie obowiązkowych dostaw, mogło być traktowane jako coś więcej niż nieuchronna, a nawet konieczna współpraca. Na granicy tej znajdowała się np. policja "granatowa", która obok obowiązków - można rzec neutralnych - takich jak łapanie złodziei, uspokajanie awanturujących się czy dbanie o porządek, brała udział (choćby tylko asystując) w łapankach, pacyfikacjach czy ściganiu Żydów. Choć w policji spora część funkcjonariuszy współpracowała z podziemiem - wedle niektórych szacunków w 1944 r. co dziesiąty policjant i co piąty oficer - przez ogół społeczeństwa policja traktowana była w całości jako środowisko kolaboracyjne.

Za "kolaborację", choć pojęcie to w tym przypadku z trudem daje się zastosować, traktowano też prostytucję uprawianą z Niemcami, a często w ogóle wszelkie kontakty z okupantem, w tym także takie, które nie wykraczały poza naganną może, lecz w istocie dla społeczeństwa niegroźną,

współpracę w obrębie czarnego rynku i różnych form spekulacji. Zasięg tych zjawisk jest praktycznie niemożliwy do oszacowania. Pośrednio o jego wielkości może świadczyć fakt, że kierownictwo konspiracji powołało specjalne Komisje Sądzące, które ferowały wyroki infamii, nagany, grzywny, a nawet chłosty. Jak się wydaje, liczniejsze niż wyroki wydane przez komisje były działania spontaniczne - od bojkotu, przez pobicie po zastrzelenie. Szczególną - i jak się sądzi bardzo rozpowszechnioną w GG - formą kolaboracji było donosicielstwo oraz praca agenturalno-informacyjna na rzecz jednej z licznych formacji okupacyjnych: gestapo, Abwehry, służb bezpieczeństwa i policji. O zasięgu sieci agenturalnej nie zdołano, jak dotąd, zebrać wystarczająco reprezentatywnych informacji, ale Włodzimierz Borodziej szacuje, że "niemal 1/3 podejrzanych lub aresztowanych trafiała do kartotek Gestapo przez informacje konfidentów". Znaczna część "wsyp", w tym także w najwyższych kręgach konspiracji, spowodowana była działalnością tajnych współpracowników. Na mocy wyroków sądów konspiracyjnych od stycznia 1943 r. do czerwca 1944 r. zlikwidowano ok. 2 tys. agentów i konfidentów. Jednak ten nadzwyczaj niebezpieczny dla konspiracji rodzaj kolaboracji rzadko miał podłoże ideowe czy polityczne. Motywem był raczej spodziewany zarobek, zapewnienie sobie i bliskim bezpieczeństwa czy uczucie zemsty.

Niezbyt rozpowszechniona była jawna kolaboracja przez podejmowanie działalności potępianej przez ośrodki konspiracyjne (i zapewne większość społeczeństwa), takiej jak praca w polskojęzycznej prasie okupacyjnej (m.in. Feliks Burdecki i Jan Emil Skiwski) czy występowanie w filmach lub spektaklach propagandowych (m.in. Bogusław Samborski, Igo Sym). I w tych jednak przypadkach - wciąż jeszcze słabo zbadanych - motywy "ekonomiczne" przeważały chyba nad politycznymi. Pewna część tego typu kolaborantów rekrutowała się zresztą spośród volksdeutschów, członków dawnej mniejszości niemieckiej, którzy lojalność narodową przedkładali nad - ryzykowną w czasie okupacji - lojalność wobec państwa polskiego. Osobnym przypadkiem była kolaboracyjna działalność grupy skupionej wokół znanego na Podhalu Wacława Krzeptowskiego. Zaakceptował on niemiecką propozycję i przyjął rolę "f□hrera" zakopiańskich górali.

Dochodziło też - niezmiernie rzadko - do swoistej kolaboracji wojskowej, która nie musiała mieć żadnych podtekstów politycznych. Zwłaszcza na ziemiach wschodnich w latach 1943-1944 miały miejsce lokalne "zawieszenia broni" między oddziałami partyzanckimi a władzami okupacyjnymi. Najbardziej znanym - a zarazem mającym oczywiste podłoże ideowe - przypadkiem była decyzja silnego zgrupowania Narodowych Sił Zbrojnych (Brygada Świętokrzyska) o wycofywaniu się na zachód wraz z ustępującymi wojskami niemieckimi i w porozumieniu z nimi.

Ani społeczeństwo polskie, ani żadne grupy polityczne nie zareagowały, gdy w 1943 r, w propagandzie niemieckiej podniesiono hasło "obrony Europy" przed bolszewickim najazdem. Na apel o ochotniczy zaciąg latem 1944 r. zgłosiło się kilkaset osób - głównie awanturników i ludzi marginesu - i Niemcy nie zdołali sformować polskiego legionu, Nie sposób oczywiście powiedzieć, jak zachowałoby się społeczeństwo i polityczne elity, gdyby Niemcy wystąpili z projektem kolaboracyjnym na szerszą skalę lub podjęli którąś z nielicznych ofert (np. Władysława Studnickiego). Pokusy takiej jednak nie było.

Niezamierzonym, lecz i nieuniknionym skutkiem wojny i okupacji była

społeczna demoralizacja, w tym także silny wzrost bandytyzmu, z którym - oczywiście bez porozumienia - walczyli i okupanci, i konspiracja (z jej wyroków tylko w 1943 r. rozstrzelano blisko 700 bandytów). Jednym zaś z najbardziej ohydnych procederów, które ta właśnie wojna przyniosła, było "szmalcownictwo", czyli szantażowanie ukrywających się Żydów. Obok mniej lub bardziej systematycznie działających agentów, którzy penetrowali różne środowiska i wydawali Żydów (nazywano ich "sztorkarzami") za stosownym wynagrodzeniem, grasowali pojedynczy lub zbierający się w bandy szantażyści "polujący" na własną rękę i bynajmniej nie współpracujący z Niemcami. Szczególnie w tej drugiej formie brakowało w zasadzie motywacji ideowych czy nawet rasowych, choć nie można pomniejszać roli rozpowszechnionego i głęboko w wielu warstwach zaszczepionego antysemityzmu. Nie da się zapewne nigdy obliczyć, ilu Żydów padło ofiarą donosicieli i szmalcowników (którzy nieraz po ograbieniu ofiary wydawali ją w ręce Niemców). Niezbyt skuteczne okazywały się liczne apele i nakazy władz konspiracyjnych, a nawet wyroki wykonywane na najbardziej niebezpiecznych osobnikach. Wojna i okupacje przyniosły wyraźnie natężenie postaw nacjonalistycznych, ale o ile udało się wykorzystać konflikty między narodami zamieszkującymi II Rzeczpospolitą, o tyle fiaskiem zakończyły się hitlerowskie próby "rozklinowania" Polaków przez takie działania jak propagowanie goralenvolku lub kierowanie przeciwko rodakom pomorskich Kaszubów.

Jakkolwiek nie można minimalizować tych wszystkich zjawisk i to niezależnie od tego, czy brać się będzie pod uwagę wymiar moralny czy skutki działalności konfidentów, denuncjatorów i szmalcowników - nie obejmowały one większości społeczeństwa i stanowiły, groźny i o każdą jednostkę zbyt wielki, margines. Mieściły się wszakże w szerokim polu demoralizacji, która obejmowała przecież także formy nie prowadzące do zaprzaństwa czy udziału w hitlerowskim ludobójstwie. Drakońskość okupacji, stała obecność śmierci, nieustanne zagrożenie w połączeniu z niesłychanym zubożeniem wielu grup społecznych, dotkliwymi brakami w aprowizacji, a jednocześnie skorumpowaniem samych okupantów - wszystko to powodowało niezwykłe rozplenienie się postaw egoistycznych, cynizmu, znieczulenia na nieszczęścia innych, obojętności wobec łamania norm moralnych, oswojenie z brutalnością.

Mimo tego wszystkiego społeczeństwo polskie okazało - jak sądzę - znaczącą odporność wobec zagrożeń Epoki Pieców, jak nazwał ją Jan Strzelecki. Instytucjonalnymi niejako formami tej odporności zajmę się nieco dalej, ale już teraz trzeba powiedzieć, że zorganizowany ruch oporu nie byłby możliwy bez wielkiej otoczki, którą tworzyli ludzie nie mający nic wspólnego z konspiracją, ale gotowi na akceptowanie jej haseł, udzielenie spontanicznej pomocy tym "z podziemia". Większość tych, którzy nie ulegli, była po prostu wierna odwiecznym wartościom, które nakazują nieść pomoc potrzebującym, i lojalna wobec swego środowiska, ojczyzny bliższej i dalszej. A także wobec państwa polskiego. Nie zabrakło też nigdy autorytetów politycznych, intelektualnych, a nade wszystko duchowych, podtrzymujących na co dzień ową odporność, która przecież nie musiała wyrażać się w walce zbrojnej czy działalności konspiracyjnej. Wobec masowego terroru i niezwykłej brutalności aparatu okupacyjnego, przeważały czynniki integrujące społeczeństwo i wzmacniające postawy solidarności narodowej. Te same czynniki, aczkolwiek inny wróg je wywoływał, grały swoją

rolę także na ziemiach zagarniętych przez ZSRR.

Państwo Podziemne - początki

Gdy od października 1939 r. polskie władze na obczyźnie, polscy wygnańcy i emigranci podejmowali nie kończące się wysiłki - zarówno na płaszczyźnie politycznej, jak i wojskowej - dla obrony państwowej racji stanu, kraj przygnieciony okupacjami nie ustawał w pracach nad budową podziemnego państwa, ochroną godności i tożsamości narodowej. Gotował się też na dzień wyzwolenia.

W ciągu kilku miesięcy po wrześniowej klęsce, w podzielonym, okupowanym kraju, powstało - wedle niektórych szacunków - nie mniej niż 150 grup i organizacji konspiracyjnych. Małych, całkowicie nieformalnych, kilko- lub kilkunastoosobowych zespołów, "ludzi, którzy skupili się, aby podjąć konkretne działania lub po prostu wymieniać poglądy", było - jak pisze Tomasz Strzembosz - "tysiące". Grupki te najczęściej znajdowały, raczej prędzej niż później, drogę do istniejących już organizacji lub stawały się zaczątkiem nowych. Strzembosz z naciskiem zwraca uwagę nie tylko na ów stan nieomal gorączkowej aktywności, ale także na konstytutywną dla całej polskiej konspiracji rolę małych grup i spajających je więzów - koleżeńskich czy wręcz przyjacielskich, opartych na "wspólnocie życia i zainteresowań". Był to, jak się wydaje, rzeczywiście czynnik o wielkim, choć raczej psychologicznym niż politycznym znaczeniu. Trzeba, jak sądzę, wskazać także na charakterystyczną cechę pozwalającą lepiej zrozumieć pewne mechanizmy konspiracji, choć oczywiście nie była to cecha wyjątkowa. Wymogi konspiracji narzucały działalność w małych zespołach, Nawet największe organizacje skonstruowane były na zasadzie "trójek" czy "piątek", konspiratorzy znali stosunkowo niewielką liczbę najbliższych kolegów czy współpracowników. Spora część uchwał czy decyzji ciał kierowniczych różnych organizacji podejmowana była przez akceptowanie dokumentów krążących obiegiem. Dowódcy nie dokonywali inspekcji swoich oddziałów, a często nawet sztabów w pełnym składzie. Przywódcy polityczni nie mieli szans na spotkania ze zwolennikami swoich partii. Żołnierze i członkowie partii nie znali nawet nazwisk wyższych dowódców czy leaderów, a bezpośrednich przełożonych znali najczęściej z widzenia, pseudonimu lub fałszywego nazwiska. W tych warunkach lojalność i zaufanie były nieporównanie ważniejsze niż w czasie normalnej, jawnej działalności.

Konspiracja stwarzała też, zwłaszcza w pierwszym okresie okupacji, warunki do powstawania inicjatyw spontanicznych, lokalnych czy środowiskowych. Sprzyjała decentralizacji, a nawet "dekompozycji" istniejących partii i organizacji społecznych, pojawianiu się nowych przywódców i oczywiście dowódców. Nawet marginalne w stosunku do głównych podziałów politycznych grupy i środowiska, jeśli miały odważnych i rzutkich działaczy, mogły być równie "głośne" (wydawać gazetki, broszury, ulotki) co tradycyjne ośrodki polityczne. Aczkolwiek niektóre nurty polityczne od pewnego już czasu ostrzegały przed groźbą wojny, nikt w istocie nie był

przygotowany na taki obrót wydarzeń, jaki nastąpił, a szybkość załamania się frontu i opuszczenie kraju przez sporą część elit politycznych i dowódców wojskowych, nie sprzyjały dostosowywaniu się do niespodziewanej sytuacji. Także pierwsze działania okupantów były pewnym zaskoczeniem, głównie z uwagi na ich niesłychaną brutalność. Istota i metody totalitaryzmu - jakby się obie okupacje od siebie nie różniły, były wykonywane przez państwa totalitarne - nie były przecież znane ani nawet wyobrażane, choć wiedziano sporo i o państwie nazistowskim, i o stalinowskim bolszewizmie. Władze państwowe w istocie nie przygotowały ani zwartej koncepcji, ani odpowiedniej siatki. Zarówno istniejąca od 1923 r. Grupa Operacyjna Dywersji Sztabu Głównego, jak utworzony w 1934 r. tzw. Komitet Siedmiu (K-7), będący ciałem koordynacyjnym Oddziału II SG i MSZ, przygotowywały się do działalności na terenie przeciwnika. Dopiero po wybuchu wojny naprędce przystosowywano je do aktywności na ziemiach polskich ogarnianych przez wroga.

Na nastroje społeczne i zachowania bardzo silnie oddziaływały polityczne i psychologiczne reperkusje militarnej klęski i opuszczenia - walczącego jeszcze, choć już w beznadziejnej sytuacji - kraju przez najwyższe władze państwowe i wielu wysokich dowódców. Doprowadziło to nie tylko do gwałtownych i często niezwykle emocjonalnych oskarżeń pod adresem całego obozu rządowego i ustroju "pomajowego". Obóz ten, stanowiący wszakże bardzo poważną siłę społeczną, znalazł się w stanie politycznej zapaści i właściwie już do końca wojny i okupacji nie zdołał z niej wyjść. Podobnie jak na emigracji także w kraju ośrodki wywodzące się z przedwrześniowej opozycji dążyły do usunięcia na margines ludzi z dotychczasowego obozu rządzącego. Przesunięcia w nastrojach i opiniach wpływały na różnicowanie się i swoistą "decentralizację" konspiracyjnego życia politycznego. A także wojskowego.

Pierwsze organizacje konspiracyjne powstały jeszcze przed, wspomnianą już, Służbą Zwycięstwu Polski. 17 września w Stanisławowie (a więc jeszcze przed okupacją) na podstawie siatki dywersji pozafrontowej utworzono pod dowództwem ppłk. Jana Mazurkiewicza Pogotowie Obywatelskie (nast. pn. Tajna Organizacja Wojskowa). 19 września powstała w Krakowie grupa "Silesia" wydająca pierwsze pismo konspiracyjne "Polska żyje", a kilka dni później, też w okupowanym Krakowie, utworzono Związek Orła Białego (nast. pn. Organizacja Orła Białego) oparty na siatce dywersyjnej oraz na strukturach i działaczach Związku Strzeleckiego. 29 września w Warszawie, do której wkraczały dopiero wojska niemieckie, działacze Związku Powstańców Śląskich utworzyli Związek Powstańców Niepodległościowych. W końcu września powstała "Ojczyzna", organizacja utworzona przez poznańskich działaczy obozu narodowego. W ciągu października zorganizowały się - lub raczej zaczęły się organizować - m.in.: Komenda Obrońców Polski, utworzona na podstawie rozkazu (i środków) rozformowanego zgrupowania KOP gen. Wilhelma Orlika-R□ckemana, "Warszawianka" Jana Hoppego, Związek Obrony Rzeczypospolitej Tadeusza Żenczykowskiego, "Muszkieterzy" Stefana Witkowskiego, Miecz i Pług ks. Leona Peplau, Organizacja Wojskowa "Wilki" por. Józefa Br□cknera, Tajna Armia Polska ppłk. Jana Włodarkiewicza, Polska Ludowa Akcja Niepodległościowa (PLAN), Komenda Zbrojnego Wyzwolenia.

Także w ciągu października środowiska przywódcze niemal wszystkich głównych partii politycznych podjęły decyzje o podjęciu działalności

konspiracyjnej - 13 października uczyniło to Stronnictwo Narodowe, 16 października Polska Partia Socjalistyczna (która po formalnym rozwiązaniu partii występowała pod nazwą Wolność - Równość - Niepodległość = WRN), potem Stronnictwo Demokratyczne, Stronnictwo Pracy, ONR-ABC, które przyjęło nazwę "Szaniec" (od swego pisma), ONR-Falanga pod nazwą "Pobudka". Najpóźniej, bo dopiero w połowie lutego 1940 r., formalną decyzję o wznowieniu działalności podjęło Stronnictwo Ludowe (znane pod kryptonimem "Roch" - Ruch Oporu Chłopskiego), czynne w konspiracji od samych jej początków.

Do działalności konspiracyjnej włączyły się też niektóre organizacje społeczne. Obok Związku Strzeleckiego, który był główną bazą Organizacji Orła Białego czy Związku Powstańców Śląskich, podobne decyzje podjęły m.in. ZMW "Siew", występując pn. Chłopskiej Organizacji Wolności "Racławice", czy Strażacki Ruch Oporu "Skała". Niektóre reaktywujące się w podziemiu partie powoływały swoje organizacje wojskowe: Narodowa Organizacja Wojskowa

(Stronnictwa Narodowego) powstała już w październiku, pepeesowska Gwardia Ludowa w listopadzie, grupa "Szańca" swoje oddziały zbrojne (Związek Jaszczurczy) utworzyła jednocześnie ze strukturą cywilną. Zdarzały się też sytuacje odwrotne: Tajna Armia Polska w grudniu 1939 r. utworzyła jako swoje polityczne zaplecze organizację "Znak".

Warunki konspiracyjne umożliwiły - czy ułatwiły - "skonsumowanie" niektórych rozbieżności wewnątrzpartyjnych. Obok poznańskiej "Ojczyzny" ze Stronnictwa Narodowego oddzieliła się grupa kierowana przez Karola Stojanowskiego pn. Narodowo-Ludowa Organizacja Wojskowa (NLOW). Lewicowe skrzydło PPS nie weszło do WRN, a Stanisław Dubois utworzył grupę "Barykada Wolności" (od nazwy pisma). W tworzeniu "Pobudki" nie brał udziału leader ONR Bolesław Piasecki, który z czasem stworzył własną organizację, opanowując koalicyjną zrazu Konfederację Narodu.

Już wymienione powyżej organizacje i grupy - wojskowe, polityczne i polityczno-wojskowe - wskazują, jak zróżnicowane, a zarazem rozproszone były początki konspiracji. A przecież kolejne powstawały wiosną 1940 r., dochodziło zarówno do mniej lub bardziej trwałych fuzji, ale i do secesji, rozłamów, których tylko część wynikała z ciosów okupanta uderzających w

kierownictwo i zmuszających do tworzenia się nowego, nieraz o odmiennych poglądach. Nader często bowiem, zwłaszcza w strukturach powstających "na świeżym pniu", bez uprzedniej wspólnoty środowiskowej czy politycznej, złożenie przysięgi w tej a nie innej organizacji było kwestią przypadku, a tajność poczynań zarówno wytwarzała silne więzy lojalności, jak i utrudniała dotarcie do grupy, która bardziej odpowiadałaby poglądom konspiratora. Dla większości zresztą najważniejsze było uczestniczenie w wysiłku konspiracyjnym - dowolnego rodzaju czy typu - a nie szukanie możliwości dla wyrażania swoich poglądów. Stąd np. założony z inicjatywy czynników wojskowych KOP zbliżył się z czasem do współpracującej z komunistami lewicy. Podobna była też droga polityczna części Gwardii Obrony Narodowej (organizacji założonej jeszcze 12 października 1939 r.) na czele z płk. Julianem Skokowskim, zawodowym wojskowym.

Istotnym czynnikiem owego zróżnicowania był - jak już pisałem - stan "wrześniowego szoku". Fakt, iż gen. Karaszewicz-Tokarzewski tworzył SZP z

mandatu marsz. Rydza-Śmigłego nie tylko odstręczał wielu, ale przyczynił się do powstania koncepcji utworzenia ośrodka politycznej konsolidacji innych środowisk. Próbom takim nie zapobiegło nawet to, iż organizator SZP - uważany jeszcze przed wojną za "liberalnego piłsudczyka", teozof i człowiek dużej kultury - od samego początku skutecznie zabiegał o współpracę głównych stronnictw przedwrześniowej opozycji. Już 10 października, krótko przed jego wyruszeniem w objazd południowej i wschodniej części przyszłego GG, powstała Główna Rada Polityczna, która miała być częścią składową całej organizacji pomyślanej na wzór POW z lat I wojny światowej. W formowaniu Rady brali udział czołowi przedstawiciele PPS (Mieczysław Niedziałkowski i Zygmunt Zaremba), SL (Maciej Rataj, Stefan Korboński), SD (Mieczysław Michałowicz), a uczestniczył w nich także działacz obozu narodowego Leon Nowodworski. W myśl koncepcji twórcy SZP miało to być ciało doradcze, a przewodniczący Rady (został nim Niedziałkowski) pełnić miał funkcję Komisarza Cywilnego i II Zastępcy Dowódcy SZP.

Można się dziwić, iż politycy zgadzali się na rolę subalterna przy dowództwie wojskowym, ale instytucję tę tworzono jeszcze pod bezpośrednim wrażeniem walk o Warszawę i z wyobrażeniem o tymczasowości sytuacji. Łatwo zauważyć, iż nie wszystkie ośrodki polityczne - pomijając już nawet "obóz rządzący", który był w sytuacji krytycznej także z uwagi na opuszczenie kraju przez większość jego przywódców - brały udział w tworzeniu Rady. SN wnet zdezawuowało Nowodworskiego, brakło przedstawicieli SP, nie było reprezentantów ani ONR-ABC, ani ONR-Falanga, nie uczestniczyli w rozmowach przedstawiciele NPR. Nieobecny był też "Front Morges", ośrodek wprawdzie nie zinstytucjonalizowany, ale wpływowy, zwłaszcza po objęciu stanowiska premiera przez gen. Sikorskiego. Nie było oczywiście także przedstawicieli różnych - niejednokrotnie bardzo silnych - organizacji społecznych, a niektóre z nich podejmowały właśnie decyzje o przystąpieniu do działalności konspiracyjnej, Swoją rolę odegrał też niewątpliwie fakt tajności tych wszystkich działań, trudności komunikacyjne, trwający wciąż ruch: jedni wracali ze wschodu, inni podążali na południe, aby przedostać się na Węgry czy do Rumunii, jeszcze inni ukrywali się.

Jedyną poważniejszą próbę konsolidacji poza sferą partii wiążących się z SZP podjął - i to już w październiku - Ryszard Świętochowski, znany publicysta związany z "Frontem Morges" i ruchem ludowym. Powołał on Centralny Komitet Organizacji Niepodległościowych (CKON), do którego zgłaszały akces niektóre z tradycyjnych partii (SP, NPR, ONR-ABC), organizacji społecznych (ZMW "Siew") i nowo utworzonych struktur konspiracyjnych ("Muszkieterowie", TAP, Gwardia Obrony Narodowej, Związek Czynu Zbrojnego). Sytuację ułatwiał mu nie tylko fakt, iż był osobą politycznie bliską gen. Sikorskiemu, ale także powstałe w Paryżu koncepcje działalności konspiracyjnej, które nie uwzględniały w ogóle partii politycznych. Świętochowski uzyskał nieformalne, ale wyraźne poparcie od premiera wyrażające się m.in. w przekazaniu mu przez kurierów środków pieniężnych. Wobec tego, że SZP było dopiero in statu nascendi, nie uznawał jej wyłączności na organizowanie podziemnego wojska, a tym bardziej prawa do nadrzędności wobec partii politycznych. Premier potrzebował własnego zaplecza politycznego, "ekskluzywizm" Głównej Rady Politycznej oraz "sanacyjność" SZP stworzyły zapotrzebowanie, a brak szybkiego i

systematycznego kontaktu między krajem a emigracją pogłębiał zamieszanie. Po aresztowaniu - na Słowacji, w drodze do Francji - Świętochowskiego (kwiecień 1940 r.) CKON wprawdzie zniknął, ale znaczna część tworzących go organizacji utworzyła Komitet Porozumiewawczy Organizacji Niepodległościowych (w czerwcu 1940 r. należało doń ok. 25 grup), a we wrześniu niektóre z nich utworzyły Konfederację Narodu, którą przejął - po ustąpieniu większości organizacji - Bolesław Piasecki. Jeszcze w październiku 1942 r. kilkanaście mniejszych organizacji - w tym także niektóre należące swego czasu do CKON - utworzyło Społeczną Organizację Samoobrony (SOS), tym razem bez ambicji konkurowania z dużymi partiami, ale zapewne z poczuciem, że są odsuwane od głównego nurtu ruchu oporu.

Twórca SZP okazał się osobą energiczną, a wielką rolę w tworzeniu struktury wojskowej odegrał płk Stefan Rowecki, mianowany szefem sztabu i I Zastępcą Głównego Dowódcy. Już na początku grudnia powstały zalążki dowództw siedmiu okręgów (województw) i wszystkich oddziałów sztabu, przecierano też drogi kurierskie. Tymczasem w Paryżu Komitet Ministrów ds. Kraju (KMK) przygotował własną koncepcję ruchu oporu i powołał Związek Walki Zbrojnej (ZWZ), którego Komendantem Głównym mianowany został gen. Kazimierz Sosnkowski. 4 grudnia 1939 r. podpisana została Instrukcja nr 1, w myśl której ZWZ składać się miał z sześciu obszarów podporządkowanych bezpośrednio KG. ZWZ miał być organizacją ściśle wojskową, będącą integralną częścią polskich sił zbrojnych. Nie przewidywano w niej reprezentacji żadnych sił politycznych. Rowecki mianowany został dowódcą Obszaru 1 (Warszawa), Karaszewicz zaś Obszaru 3 (Lwów).

Dokument ten dotarł do okupowanej stolicy w miesiąc po podpisaniu i wywołał dość znaczną konfuzję, a także zastrzeżenia. Niemniej dotychczasowe kierownictwo SZP zaczęło wcielać go w życie, wykorzystując fakt, iż gen. Sosnkowski upoważnił płk. Roweckiego - na którego instrukcję zaadresowano - do "elastyczności". Zamysł polityczny twórców koncepcji ZWZ był dosyć oczywisty: władze RP na emigracji miały być jedynym czynnikiem centralnym. U premiera swoją rolę odegrała też nieufność wobec oficerów angażujących się w prace konspiracyjne i obawa przed powstaniem zbyt silnego ośrodka mogącego mieć ambicje polityczne.

Pierwotna koncepcja ZWZ była nie do utrzymania i gen. Sosnkowski zrozumiał to dosyć szybko. W kolejnej instrukcji (z 16 stycznia 1940 r.) nakazywał utworzenie osobnych komend dla okupacji niemieckiej i radzieckiej i ustanowił dla pierwszej komendantem Roweckiego, a dla drugiej Karaszewicza. Odpowiadało to mniej więcej intencjom obu twórców SZP, choć uważali oni, iż w kraju powinno istnieć stanowisko zastępcy Komendanta Głównego z dość dużymi uprawnieniami. Tak też się stało, gdy klęska Francji zmieniła w zasadniczy sposób sytuację. 18 czerwca, tuż przed ostateczną ewakuacją do Anglii, gen. Sosnkowski mianował - promowanego na generała - Roweckiego swoim zastępcą, a 30 czerwca, już z Londynu, mianował go Komendantem Głównym ZWZ, tworząc przy sztabie Naczelnego Wodza Samodzielny Wydział Krajowy (Oddział VI) dla kontaktów z KG ZWZ. W ten sposób powstał zrąb podstawowego członu Polskiego Państwa Podziemnego - konspiracji wojskowej. Pozostało jednak skoncentrowanie pod wspólną komendą kilkudziesięciu organizacji podziemnych, gdyż ZWZ było wprawdzie największą, ale bynajmniej nie jedyną. Należało też zastanowić się nad koncepcją uczestnictwa sił konspiracyjnych w ogólnym wysiłku militarnym

aliantów. Takie zadania stały przed 45-letnim wówczas generałem "Grotem", którego nazwisko znane było tylko nielicznym. Rozwiązanie SZP oznaczało dla struktur wojskowych dość proste przekształcenie, ale Instrukcja nr 1 nie przewidywała istnienia reprezentacji politycznej i "pionu cywilnego". Planowano powoływanie "mężów zaufania" ("delegatów"), nie został jednak określony ani ich status, ani sposób mianowania. Ze swej strony krajowe

kierownictwo ZWZ pragnęło podtrzymania zasad określonych w statucie SZP i uzgodnionych już z kilkoma partiami. Te jednak, nawet współpracując od początku z gen. Tokarzewskim, niezbyt przychylnie traktowały ograniczenie ich do funkcji doradczych. Tym bardziej negatywnie przyjęły stanowisko rządu, uważając, że zostają zepchnięte na margines życia państwowego.

Stronnictwa zgrupowane wokół powstającego ZWZ należały do opozycji i dość już miały walki z "partyjniactwem", uprawianej od 1926 r. Fakt zaś, że gen. Sikorski wspierał inicjatywę Świętochowskiego, umacniał je w przekonaniu o potrzebie koalicji i utrzymywania związków z oficjalną konspiracją wojskową. Aresztowanie Niedziałkowskiego i Rataja, pierwszych współpracowników dowódcy SZP, wzmocniło te tendencje. W ciągu lutego odbyła się seria spotkań (z udziałem kierownictwa ZWZ), które zakończyły się powołaniem 26 lutego 1940 r. Politycznego Komitetu Porozumiewawczego (PKP). Wchodzili doń pełnomocni przedstawiciele trzech największych partii "przedwrześniowej" opozycji: PPS-WRN (Kazimierz Pużak), SL "Roch" (Stefan Korboński) i SN (Aleksander Dąbski). Bliska współpraca z ZWZ i uznanie dla fachowych kompetencji jego dowództwa nie oznaczały pełnego zaufania politycznego dla wojskowych, choć w istocie mało było wśród nich takich, którzy przed wojną zajmowali się bezpośrednio polityczną działalnością. Politycy nie bagatelizowali też zapewne faktu, iż formalnym komendantem był piłsudczyk gen. Sosnkowski.

Współpraca z partiami dawnej opozycji była na rękę płk. Roweckiemu, gdyż osłabiała zarzuty - zgłaszane i w kraju, i na emigracji - o "sanacyjności" organizowanego przezeń wojska. Wytwarzało się też pewne poczucie wspólnoty "kraju" wobec "emigracji", zupełnie naturalne w podobnych sytuacjach. Nie oznaczało to, rzecz jasna, nielojalności wobec konstytucyjnie umocowanych władz, choć wszystkie partie PKP były przeciwnikami konstytucji z 1935 r. Dążności do autonomii ZWZ wynikały głównie ze względów technicznych (sprawność dowodzenia, łączność etc.). Politykom chodziło przede wszystkim o stanie się partnerem rządu, którego zasadnicza baza społeczna znajdowała się przecież w kraju. Aresztowanie twórcy CKON, dobra - choć nie bezkonfliktowa - współpraca PKP, w którym główną rolę odgrywał Pużak, z płk. Roweckim, ale przede wszystkim klęska Francji zmusiły rząd do zmiany stosunku do PKP. 18 czerwca, razem z depeszą nominacyjną dla gen. Roweckiego, nadeszło uznanie PKP za oficjalną reprezentację polityczną kraju.

W tych właśnie dniach, niezwykle trudnych dla społeczeństwa polskiego, gdy trzeba było się żegnać - i nikt nie wiedział na jak długo - z popularnym wówczas powiedzonkiem: "im słoneczko wyżej, tym Sikorski bliżej", dotarł do Warszawy płk Jan Skorobohaty-Jakubowski zaopatrzony w nominację na Delegata Rządu na Kraj, a więc w pełnomocnictwa do zorganizowania i kierowania całością niewojskowego ruchu oporu. Jednak klęska Francji, która zachwiała autorytetem "emigracji", a szczególnie

premiera, wzmocniła tym samym pozycję "kraju". 28 czerwca, na posiedzeniu z udziałem gen. Roweckiego i Delegata, PKP postanowił uznać zespół w tym składzie za Delegaturę (tzw. Zbiorową), która "sprawować będzie na całym terenie Rzeczypospolitej swe czynności imieniem rządu RP". Uczyniono pewien gest pod adresem premiera, kooptując do PKP przedstawiciela Stronnictwa Pracy (Franciszka Kwiecińskiego), partii najbliższej mu i najwierniejszej. Powstanie takiej instancji oznaczało ukonstytuowanie się jednolitego, centralnego ośrodka konspiracji, co mogło sprowadzić władze państwowe rezydujące w Londynie do funkcji reprezentacyjnych, prowadzenia polityki zagranicznej i dowodzenia skromnymi siłami zbrojnymi.

Gen. Sikorski przebrnął jednak przez trudności kryzysu gabinetowego, umacniając swoją pozycję wobec najbardziej zdeklarowanych przeciwników, a i im chyba nie zależało na wzroście kompetencji ciała politycznego tworzonego przez partie, z którymi tak zaciekle walczyli przez kilkanaście lat. Toteż

rząd nie uznał Delegatury Zbiorowej, a partie - nazywane "grubą czwórką" - nie chciały (i nie bardzo mogły) wejść z nim w otwarty konflikt. Delegatura została rozwiązana, a tym samym odtworzono PKP, zastrzegający sobie jednak prawo wysuwania kandydatów na Delegata, który w ten sposób musiałby się liczyć z jego zdaniem. Mimo zastrzeżeń socjalistów i ludowców, przyjęto do wiadomości nominację z 3 grudnia 1940 r., która na Delegata wyznaczała Cyryla Ratajskiego, b. prezydenta Poznania i działacza SP.

W ten sposób, po roku od rozpoczęcia organizacji podziemnych struktur państwowych, ich zrąb został definitywnie skonstruowany składał się z trzech odrębnych, ale powiązanych ze sobą pionów: wojskowego (ZWZ), administracyjnego (Delegat) i politycznego (PKP). Poza Delegaturą, ich sieci konspiracyjne były już rozbudowane.

Na obczyźnie

Niewątpliwie jednym z głównych, choć mających małe możliwości bezpośredniego oddziaływania na społeczeństwo, autorytetów były polskie władze na obczyźnie. Powstały one, jak pisałem, w wyniku dość daleko idącego porozumienia między głównymi siłami politycznymi, których przedstawiciele znaleźli się na obszarze sojuszniczej Francji (a po jej klęsce przedostali się do Wielkiej Brytanii). Najdobitniejszym przykładem tego kruchego kompromisu był pierwszy skład gabinetu gen. Sikorskiego: weszli doń zarówno politycy opozycyjni wobec systemu pomajowego (Stanisław Stroński jako wicepremier, Jan Stańczyk, gen. Józef Haller, Marian Seyda, Aleksander Ładoś, a od grudnia Stanisław Kot), jak i wybitni przedstawiciele obozu piłsudczykowskiego (August Zaleski, Adam Koc i gen. Kazimierz Sosnkowski).

Gen. Sikorski, aczkolwiek należał do polityków o demokratycznym systemie wartości, skupił w swym ręku władzę o znacznym zasięgu. Po złożeniu dymisji przez marsz. Rydza-Śmigłego objął (7 listopada) stanowisko Naczelnego Wodza łącząc je z funkcją ministra spraw wojskowych, jego zastępcami zaś w ministerstwie byli oficerowie bezwzględnie mu oddani i od dawna skłóceni ze środowiskiem piłsudczykowskim (gen. Marian Kukiel i gen. Izydor Modelski).

Stosunkowo szybko pozbył się kilku niewygodnych mu polityków: już w listopadzie 1939 r. zdymisjonowano ambasadora Łukasiewicza, a w grudniu odszedł z rządu Adam Koc. 10 października powołano specjalną komisję - pod przewodnictwem gen. Hallera - do "ustalenia przyczyn ostatnich zdarzeń w Polsce", w oczywisty sposób skierowaną przeciwko dawnej elicie władzy i mającej ją ostatecznie skompromitować. Inną komisję "w związku z wynikami kampanii wrześniowej" powołano latem 1940 r. W sumie jednak, jak stwierdza Eugeniusz Duraczyński, gen. Sikorski "nie dopuścił do generalnego rozrachunku [...], uważając, że przyjdzie na to stosowna chwila w

uwolnionym od okupantów kraju".

Choć poddano różnorodnym szykanom wielu czołowych polityków, a nawet oficerów służby stałej, nie oznaczało to, że wszyscy przeciwnicy premiera zostali zdani na jego łaskę. Mimo wyraźnych nacisków ze strony gen. Sikorskiego, Prezydent RP na swego następcę wyznaczył gen. Sosnkowskiego, a jedno ze stanowisk najważniejszych w warunkach emigracyjnych - ministra spraw zagranicznych - otrzymał dawny szef tego resortu z lat 1926-1932 August Zaleski. Także w wojsku, co było naturalne z uwagi na profesjonalny charakter tej służby i toczącą się wojnę, premier nie mógł sobie pozwolić na gwałtowniejsze ruchy personalne. Przyjęta w listopadzie 1939 r. koncepcja organizacji konspiracyjnych sił zbrojnych w kraju była o tyle na rękę politykom niechętnym premierowi, iż zarówno na czele (utworzonego 8 listopada) Komitetu Ministrów ds. Kraju, jak i powołanego instrukcją z 4 grudnia Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), stanął gen. Sosnkowski, główny w istocie rywal gen. Sikorskiego.

Aczkolwiek cała opozycja - a i pewna część obozu "pomajowego" - ostro krytykowała konstytucję z 1935 r., dla wszystkich oczywiste było, iż w istniejących warunkach utrzymanie jej i postępowanie zgodnie z jej literą jest ważnym warunkiem zewnętrznej legitymizacji państwa polskiego, a także powściągnie tych wszystkich, którzy chcieliby - także z inspiracji okupantów - ogłosić się za rząd lub quasi-państwową reprezentację narodu. Dawna opozycja obawiała się jednak potężnej władzy, jaką dzierżył w myśl ustawy zasadniczej Prezydent RP i wymogła na prezydencie Raczkiewiczu przyjęcie pewnych samoograniczeń. Po zrozumiałych oporach prezydent przyjął je w postaci deklaracji (ogłoszonej przez radio 30 listopada i opublikowanej w "Monitorze Polskim"), w której stwierdzał, iż wszystkie przepisy, które uprawniają go do "samodzielnego działania" (prerogatywy) wykonywać będzie "w ścisłym porozumieniu z prezesem Rady Ministrów". Zaznaczył jednocześnie, iż samoograniczenie to rozciągać się będzie na ewentualnego jego następcę. Ta tzw. umowa paryska, choć nigdy nie stała się prawem w dosłownym tego słowa znaczeniu, była istotnym składnikiem kompromisu zawartego na emigracji. Fakt, iż w deklaracji prezydenckiej wymieniona była osoba premiera a nie np. całej Rady Ministrów, wzmacniał bardzo wyraźnie pozycję gen. Sikorskiego i to nie tylko wobec prezydenta, ale także wobec kolegów z własnego gabinetu.

W ciągu listopada i grudnia 1939 r. dokonano jeszcze kilku posunięć w sferze polityczno-prawnej. 2 listopada prezydent rozwiązał Sejm i Senat, a 1 grudnia rozpisał nowe wybory do obu izb, zaznaczając, iż odbędą się one w dwa miesiące "od chwili ustania działania siły wyższej" (tzn. wojny i okupacji). Natomiast dekretem o tydzień późniejszym powołał Radę Narodową

RP jako organ doradczy Prezydenta RP i rządu. Instytucja ta nie miała uprawnień stanowiących i miała być raczej politycznym wsparciem dla rządu, o czym także świadczył jej skład: nominalnym przewodniczącym był zasłużony i dość popularny, ale już schorowany Ignacy J. Paderewski, a zastępował go najwyższy stanowiskiem działacz opozycyjnego SL znajdujący się na emigracji Stanisław Mikołajczyk, który rozpoczynał błyskotliwą karierę polityczną. Trzon Rady - podobnie jak rządu - stanowili działacze przedwrześniowej opozycji, ale poza Hermanem Liebermanem (PPS), Tadeuszem Bieleckim (SN) i Stanisławem Mackiewiczem nie było w niej bardziej znanych polityków. Wśród 21 członków Rady z pierwszej nominacji znalazł się też przedstawiciel Żydów polskich (poseł Ignacy Szwarcbart).

Ta struktura formalna - prezydent, Wódz Naczelny, Rada Ministrów, Rada Narodowa - przetrwała przez cały okres wojny mimo kilku poważnych przesileń i kryzysów gabinetowych. Ich głównym tłem była zarówno rywalizacja między dawnym obozem rządzącym a dawną opozycją, jak i pogłębiające się rozbieżności na temat polityki zagranicznej, a ściślej rzecz biorąc polityki wobec ZSRR. Konstytucyjna legitymacja władz RP na obczyźnie ułatwiła sojusznikom Polski i krajom neutralnym uznanie nowego rządu. Stosunki dyplomatyczne ze wszystkimi dotychczasowymi partnerami - oczywiście poza III Rzeszą i ZSRR - zostały utrzymane mimo wyraźnych nacisków niemieckich. Dopiero dalszy rozwój wydarzeń militarnych spowodował zmiany, ale wbrew nadziejom Ausw"rtiges Amt tylko kraje satelickie, i to z wielkimi oporami, zażądały od polskich placówek dyplomatycznych zaprzestania działalności (Rumunia w listopadzie, Węgry w grudniu 1940 r., Bułgaria w marcu, Finlandia zaś w czerwcu 1941 r.). Zerwała stosunki dyplomatyczne także Japonia (w październiku 1941 r.), a po ataku włoskim na Francję (czerwiec 1940 r.) Polska sama odwołała z Rzymu swego ambasadora. Oczywiście kraje tracące niepodległość lub tworzące rządy kolaboracyjne przestawały być partnerami politycznymi Rzeczpospolitej, ale pozostawały nimi rządy emigracyjne, których w latach 1940 i 1941 wciąż przybywało. Gen. Sikorski usiłował nawet odgrywać rolę swego rodzaju "dziekana" rządów - lub mniej formalnych ciał - emigracyjnych, ale oczywiście nie miało to poważniejszego znaczenia wobec rozmiarów konfliktu, który w ciągu drugiej połowy 1941 r. przekształcił się w wojnę rzeczywiście światową. Niemniej dla autorytetu państwa polskiego, zarówo na zewnątrz, jak i w społeczeństwie, obecność przedstawicieli RP w tak wielu państwach miała swoje znaczenie.

Kluczowe dla Polski były, oczywiście, stosunki z sojuszniczymi mocarstwami - Francją i Wielką Brytanią. Choć na zewnątrz wydawały się być, żeby użyć dyplomatycznego żargonu, "szczere i serdeczne", trudno uznać je za równoprawne. Już sam fakt, że we wrześniu 1939 r., mimo składanych obietnic, państwa zachodnie zachowały olimpijski spokój wobec niemieckiej agresji, skłaniał do rezerwy i wyraźnie przypominał, że zachodni alianci nie zamierzają - jak to już od wielu lat czynili - wykraczać poza swoje własne interesy. Niepokojąca była nie tylko całkowita pasywność militarna (nazwana złośliwie, ale celnie, "dr"le de guerre") czy opieszałość w stwarzaniu warunków dla formowania armii polskiej - nowe umowy wojskowe podpisano z Wielką Brytanią 18 listopada, a z Francją dopiero 4 stycznia 1940 r. - ale także pomijanie spraw ziem wschodnich inkorporowanych przez ZSRR. Jakkolwiek stanowisko takie dobrze świadczyło o przenikliwości

aliantów, którzy nie tracili wiary w kruchość radziecko-niemieckiego sojuszu, było ono tym samym nieprzychylne Polsce i stawiało władze RP w trudnej sytuacji.

W pierwszych miesiącach nikt zresztą w polskich środowiskach emigracyjnych nie podejrzewał, iż jeden z tych sojuszników okaże się niezdolny ani militarnie, ani psychicznie do wytrzymania ataku niemieckiego. Władze RP, a szczególnie gen. Sikorski, przykładały wielką wagę do sformowania armii. Polskie placówki w Budapeszcie, Bukareszcie, Belgradzie i Rzymie - zwłaszcza dwie pierwsze - nastawiły się całkowicie na przerzucanie wojskowych do Francji: do połowy czerwca 1940 r. ewakuowano ok. 43 tys. żołnierzy i oficerów, tj. 60% tych, którym udało się przejść granice rumuńskie czy węgierskie. Podjęto też, uwieńczone połowicznym skutkiem, starania o pobór wśród ponadpółmilionowej Polonii francuskiej. W rezultacie do maja 1940 r. utworzona została dość znaczna, choć różnie przygotowana, siła zbrojna licząca ok. 80 tys. żołnierzy i oficerów. Jako pierwsza do walki miała wejść Brygada Podhalańska. Przewidywano jej udział w wojnie radziecko-fińskiej, ale aliancki korpus ekspedycyjny nie został na czas przygotowany (12 marca 1940 r. Finlandia złożyła broń) i polska jednostka uczestniczyła w krótkotrwałych walkach o Narvik (od 8 maja).

10 maja 1940 r., w chwili rozpoczęcia kampanii francuskiej w stanie gotowości bojowej znajdowały się dwie polskie dywizje i kilka mniejszych jednostek (łącznie ok. 40 tys. ludzi). Nie stanowiły one jednak jednolitego zgrupowania i działały wśród wojsk francuskich, których morale było stanowczo nie wystarczające dla stawienia oporu. Gen. Sikorski usiłował pełnić funkcje dowódcze na polu walki, ale było to oczywiście nierealne i zwiększyło tylko - i tak niemałe - zamieszanie wynikłe z niemieckiego ataku. Po czterech tygodniach kampania była przegrana, a, co ważniejsze, władze francuskie zdecydowały się na kapitulację i znalezienie kompromisu z Hitlerem. Tylko części polskich jednostek, nie biorących udziału w kampanii, udało się ewakuować do Wielkiej Brytanii (ok. 27 tys. żołnierzy i oficerów). Ewakuacja rozpoczęła się 19 czerwca, w dzień po błyskawicznej wizycie gen. Sikorskiego w Londynie. Dwa dni później w stolicy Zjednoczonego Królestwa - które pod nowym przywództwem Winstona Churchilla (od 10 maja) odrzuciło możliwość jakiegokolwiek kompromisu z III Rzeszą - znalazł się Prezydent RP. Odtąd Londyn stał się stolicą emigracyjnej Polski.

Klęska Francji miała doniosłe znaczenie dla dalszego biegu wydarzeń nie tylko w skali globalnej, potęgując niemieckie poczucie mocy, ale także dla biegu spraw polskich władz, wojsk i elit politycznych znajdujących się na obczyźnie. Dla polityków i wojskowych z dawnego obozu rządzącego była ona "łykiem tlenu", stawiając przegraną w kampanii wrześniowej we właściwych proporcjach, a wielokrotnie podkreślane zaufanie gen. Sikorskiego do Francji - a zwłaszcza dowódców jej armii - obróciło się przeciwko niemu. Doszło do poważnego przesilenia, dodatkowym zaś argumentem był - co najmniej niefortunny - przygotowany przez premiera memoriał dotyczący możliwości utworzenia polskich jednostek wojskowych w ZSRR.

Prezydent Raczkiewicz 18 lipca odwołał gen. Sikorskiego ze stanowiska premiera, ale pod naciskiem kilku wojskowych (co było pogwałceniem prawa) i dzięki mediacji gen. Sosnkowskiego doszło do kompromisu i gen. Sikorski zachował oba kluczowe stanowiska. Wzmocniło to jego pozycję, tym bardziej

że w nowych warunkach bezpośrednie dowództwo całością działań konspiracji wojskowej w kraju znalazło się w rękach gen. Stefana Roweckiego (o co zresztą instytucje konspiracyjne dopominały się) pozbawiając gen. Sosnkowskiego najważniejszej funkcji. Już wcześniej bowiem, dzięki posunięciom premiera i jego zwolenników - a zwłaszcza min. Kota, który był zarówno zręcznym politykiem, jak i zaciekłym przeciwnikiem piłsudczyków - rozdzielono "sprawy krajowe" na wojskowe i polityczne.

Wydarzenia lipcowe w "polskim Londynie", mimo kompromisowego zakończenia, raczej stłumiły niż rozładowały konflikt. Spowodowały one także wzrost znaczenia przedstawicieli partii politycznych - a szczególnie Stanisława Mikołajczyka i Karola Popiela - którzy poparli gen. Sikorskiego. Premier starał się, aby jego gabinet miał charakter "autorski" i chciał sam decydować o doborze ministrów. Partie polityczne zaś - co oczywiste - stały na stanowisku, iż do rządu, który zwał się Rządem Jedności Narodowej, one winny desygnować kandydatów. Zarysowały się też pewne rozbieżności między premierem a częścią członków Rady Narodowej RP, którzy dążyli do zwiększenia kompetencji tej instancji m.in. przez składanie interpelacji, debatowanie nad budżetem i expos□s premiera i poszczególnych ministrów.

Rozbieżności i konflikty między politykami nie mogły zahamować - i nie zahamowały - wspólnych wysiłków nad odbudową siły zbrojnej. W sierpniu pod bronią znajdowało się ok. 26 tys. osób, w tym ponad 7 tys. oficerów, a ponadto ze znajdującej się pod francuskim protektoratem Syrii do brytyjskiej Palestyny przeszła licząca 4,4 tys. ludzi Brygada Karpacka, która miała wsławić się udziałem w obronie Tobruku. Wobec milionowych armii zaangażowanych w tej wojnie była to siła mało znacząca, ale w tej fazie Wielka Brytania była osamotniona i militarnie stosunkowo słaba. Dodatkowym atutem Polski stał się fakt, że następną wielką kampanią po francuskiej była lotnicza Bitwa o Anglię, w której 151 polskich pilotów stanowiło 1/10 walczących w powietrzu po stronie aliantów (przy 14 Francuzach). Już w połowie lipca 1940 r. zaczęto formowanie pierwszego polskiego dywizjonu - w numeracji RAF nosił on numer 302, a nazwę Dywizjonu Poznańskiego. Dwa tygodnie później sformowano słynny Dywizjon 303 (Warszawski im. T. Kościuszki).

Rząd RP, a szczególnie premier, starali się wykazywać aktywność w sferze polityki międzynarodowej. Jednym z ważniejszych tego przejawów była inicjatywa porozumienia z emigracyjnymi politykami Czechosłowacji. 11 listopada 1940 r. - nieprzypadkowo w rocznicę zakończenia I wojny światowej - podpisana została deklaracja zawierająca m.in. projekt ścisłych związków państwowych między obu krajami. Postulowała także przyszły kształt całego regionu, jako połączonej więzami konfederacyjnymi całości mającej zabezpieczyć Europę Środkową przed potęgami z zachodu i wschodu. Dyskusje i debaty toczyły się na różnych szczeblach, choć od początku istniały istotne różnice wynikające zarówno z odświeżonego w 1938 r. konfliktu o Zaolzie, jak i odmiennego stosunku partnerów do ZSRR. Kontakty te były potrzebne Polsce także i z tego powodu, że ułatwiały podważanie - wciąż pojawiających się - głosów o trudnej do usprawiedliwienia roli Polski w podporządkowaniu jej południowego sąsiada III Rzeszy (jak zwykle łatwo komentatorzy zapominali o roli Francji i Wielkiej Brytanii). Zarówno gen. Sikorski, jak i jego najbliżsi w tej sprawie współpracownicy (m.in. ambasador Edward Raczyński), rzeczywiście przykładali dużą wagę do ukształtowania w Europie

Środkowej bliskiego sobie bloku państw.

Gen. Sikorski odbył też, rozpoczętą 1 kwietnia 1941 r., podróż do Kanady i Stanów Zjednoczonych, mając na celu zarówno zmobilizowanie tamtejszej Polonii do angażowania się w Polskich Siłach Zbrojnych co zakończyło się właściwie całkowitym fiaskiem (zgłosiło się ok. tysiąca ochotników) - jak nawiązanie bliższych kontaktów z prezydentem Franklinem Delano Rooseveltem, który był zwolennikiem włączenia się USA do konfliktu europejskiego. Trzy tygodnie przed wyjazdem polskiego premiera za Atlantyk Kongres uchwalił Lend Lease Act upoważniający prezydenta do sprzedaży i wypożyczania sprzętu wojskowego państwom ważnym dla obrony Stanów Zjednoczonych. Stał się on niebawem istotnym czynnikiem mechanizmu wojennego i ważnym elementem współpracy koalicji antyniemieckiej.

Jednym z kluczowych problemów, którym zajmowały się polskie władze na obczyźnie, było utrzymywanie łączności z krajem, zwłaszcza od jesieni 1940 r., gdy skończyły się możliwości wykorzystywania polskich placówek dyplomatycznych w Bukareszcie i Budapeszcie. Od lutego 1940 r. istniała z nimi łączność radiowa, a 5 kwietnia otrzymano via Budapeszt pierwsze depesze z kraju. Po zainstalowaniu się w Londynie łączność dość szybko wznowiono i to (od 18 września) bezpośrednio z Warszawą. Jak oblicza Józef Garliński, jeszcze przed upadkiem Francji wysłano do kraju 23 emisariuszy, a przyjęto 14. Istniały też ścisłe kontakty Oddziału VI Sztabu Naczelnego Wodza ze Special Operations Executive (SOE), organem brytyjskiego wywiadu i dywersji, utworzonym 22 lipca 1940 r. Nie miały one jednak odegrać większej roli w walce toczonej w kraju, gdyż kierunki działania Brytyjczyków wytyczane były tradycyjnymi interesami wyspiarzy w Europie. A obok najbliższych sąsiadów zza kanału La Manche obejmowały wschodni basen Morza Śródziemnego, z Bałkanami włącznie. Polska, cenna jako wojskowy sojusznik - tym bardziej że brakło innych - nie leżała w sferze bezpośrednich zainteresowań Anglii, a Francuzi, którzy, jak się wydaje, lepiej rozumieli polskie niepokoje, przestali być mocarstwem odgrywającym rolę w toczącej się walce.

Wielu polityków liczyło na rozpadnięcie się aliansu radziecko-niemieckiego - dużo wydaje się wskazywać, że należał do nich także gen. Sikorski - od wiosny 1941 r. coraz bardziej oczywiste było narastanie sprzeczności między Moskwą a Berlinem (m.in. w wyniku ataku niemieckiego na Jugosławię). Coraz więcej raportów donosiło o koncentracji sił niemieckich na linii granicznej z ZSRR. Jednakże atak rozpoczęty 22 czerwca 1941 r. na całej szerokości granicy był zaskoczeniem. Także dla Stalina, który był nań absolutnie nie przygotowany.

Zaskoczył on także polskie władze w Londynie, gdzie nikt na serio nie brał pod uwagę takiej możliwości, a w każdym razie nie przygotowano żadnych scenariuszy rozwoju wydarzeń i polskiej reakcji na nie. Wybuch wojny radziecko-niemieckiej nie zmieniał polskich celów; odbudowy, poszerzonego na zachodzie i północy, niepodległego państwa i zbudowania ścisłej koalicji państw Europy Środkowej. Zmieniał jednak, i to w zasadniczy sposób, warunki i możliwości osiągnięcia tych celów.

Jako pierwszy wypowiedział się Churchill, zdający sobie sprawę, że decyzja Hitlera otwiera szansę na zahamowanie nieustającej ekspansji III Rzeszy i złamanie jej potęgi. Już w dniu rozpoczęcia działań zbrojnych wygłosił przemówienie deklarując, iż Rząd Jego Królewskiej Mości "udzieli

Rosji i narodowi rosyjskiemu wszelkiej pomocy, na jaką będzie nas stać". Nie stawiał żadnych warunków i - o ile wiadomo - nie odbył przed zabraniem głosu spotkania z ambasadorem radzieckim.

Następnego dnia przemówił przez radio premier Sikorski. Uznając, iż "rozwój wydarzeń jest dla Polski wielce korzystny", stwierdził, że Rosja winna uznać za niebyłe pakty z sierpnia i września 1939 r., co "logicznie sprowadza nas z powrotem na grunt traktatu zawartego w Rydze". Dodał też, że setkom tysięcy uwięzionych i "ćwierć milionowi jeńców wojennych" należy zwrócić wolność. 4 lipca - gdy wojska niemieckie parły niepowstrzymanie na wschód - rozpoczęły się w Londynie rozmowy polsko-radzieckie z udziałem Anglików. Wbrew temu, co można by sądzić na podstawie przebiegu wydarzeń na froncie, ambasador Iwan Majski nie wykazywał tendencji kompromisowych w dwóch nader ważnych sprawach: jednoznacznego stwierdzenia, że traktat ryski zachowuje moc prawną i że wszyscy aresztowani obywatele polscy oraz jeńcy wojenni zostaną bezwarunkowo zwolnieni. Sugerował natomiast, iż istnieje możliwość, że w Moskwie utworzony zostanie "polski komitet narodowy", co miało cechy szantażu. Jak pisałem wyżej (czego nie wiedziano wówczas w środowisku polskim w Londynie), przygotowania do tego zostały już na polu wojskowym podjęte przez grupę płk. Berlinga.

W kolejnych turach rozmów (5, 11 i 17 lipca) nie uzyskano zadowalającego Polskę kompromisu, Brytyjczycy zaś - i osobiście Churchill - naciskali gen. Sikorskiego na jak najszybsze finalizowanie pertraktacji. 25 lipca, na posiedzeniu Rady Ministrów, premier stwierdził, że "nie ma i być nie może żadnej nadziei uzyskania dziś czy jutro zgody Sowietów na zmianę tekstu". Zwrócił też uwagę, iż jeżeli wynegocjowany tekst nie zostanie przyjęty, grozi utrata brytyjskiego poparcia i zaproponował zaakceptowanie projektu.

Trzech członków rządu (M. Seyda, gen. K. Sosnkowski i A. Zaleski), którzy już wcześniej stwierdzali, iż wobec rozpaczliwej sytuacji Armii Czerwonej należy raczej odczekać niż zbyt pospiesznie zgadzać się na proponowane warunki, głosowało przeciw projektowi i podało się do dymisji. Pięciu pozostałych (J. Haller, S. Kot, J. Stańczyk, H. Strasburger i S. Stroński) poparło premiera. 29 lipca prezydent Raczkiewicz odmówił zgody na upoważnienie gen. Sikorskiego do złożenia podpisu. Mimo to premier postawił na swoim i następnego dnia układ został zawarty. Stało się to w siedzibie Foreign Office, a przy składaniu podpisów asystowali Churchill i brytyjski minister spraw zagranicznych Anthony Eden. Ani w polsko-brytyjskiej wymianie not, ani w wystąpieniu Edena w Izbie Gmin - wszystko to odbyło się tego samego dnia - Brytyjczycy nie wyszli poza sformułowania układu i nie złożyli żadnych gwarancji dotyczących granic Rzeczpospolitej.

Fakt ten, iż układ nie potwierdzał granicy wschodniej sprzed najazdu radzieckiego na Polskę, a także z uwagi na - zawartą w tajnym protokole do umowy - klauzulę o udzieleniu amnestii obywatelom polskim (co można było traktować jako uznanie ich win, które wspaniałomyślnie puszcza się w niepamięć), wywołał kryzys polityczny o znacznie rozleglejszych skutkach od tego, który rozegrał się rok wcześniej. Głębokość jego wynikała m.in. z tego, iż tym razem podział nie biegł już wedle dawnej linii, ale przeciwko decyzji gen. Sikorskiego opowiedzieli się także niektórzy politycy z "przedwrześniowej" opozycji, i to zarówno z prawicy (jak chociażby Seyda), jak i z lewicy (m.in. Adam Ciołkosz). W 1940 r, wobec braku kanałów szybkiej łączności ani ZWZ, ani konspiracyjne stronnictwa nie miały

faktycznie możliwości przekazania swojego stanowiska wobec wydarzeń w Londynie. Tym razem aprobata dla poczynań gen. Sikorskiego wprawdzie z Warszawy nadeszła, ale daleka była od entuzjazmu, a co istotniejsze, zastrzeżenia zgłosiła PPS-WRN. Niemniej dzięki mocnemu poparciu emigracyjnych leaderów SL, SP i PPS, a także jednoznacznej postawie Anglików - i osobiście Churchilla, który był wszakże wielkim bohaterem tej wojny - premier utrzymał się na stanowisku.

Rząd przestał już jednak być gabinetem "jedności narodowej": wycofało się zeń SN i nie było żadnego przedstawiciela piłsudczyków. Personalną ofiarą kryzysu stał się gen. Sosnkowski, który został formalnie zwolniony ze stanowiska Komendanta Głównego ZWZ. Wobec decyzji jeszcze z czerwca 1940 r. powierzającej gen. Roweckiemu analogiczną funkcję było to wprawdzie aktem bardziej symbolicznym niż realnym, niemniej stanowiło przejaw już nie tylko braku zaufania, ale wręcz wrogości. Aczkolwiek gen. Sikorski wyszedł z tej batalii zwycięsko, "wielkim wygranym" okazał się Stanisław Mikołajczyk, któremu premier w ciągu tych paru tygodni wiele zawdzięczał. Przywódca ludowców otrzymał - bardzo ważną politycznie - tekę ministra spraw wewnętrznych (w istocie Ministerstwa ds. Kraju) oraz stanowisko wicepremiera i faktycznego zastępcy gen. Sikorskiego. Był to pierwszy polityk z generacji rozpoczynającej udział w życiu publicznym dopiero w odrodzonej Polsce, który osiągnął tak wysokie stanowisko państwowe.

Kryzys z lipca-sierpnia 1941 r, utrwalił ostre podziały w całej elicie emigracyjnej i w miarę upływu czasu - oraz narastających wydarzeń - miały one tendencję do pogłębiania się. Choć istotnymi elementami tych konfliktów były zarówno "dowojenne" rozbieżności polityczne i związana z nimi wizja przyszłości kraju, jak i konflikty oraz ambicje osobiste, to - jak się wydaje - nakładały się one na stary polski dylemat często określany jako spór (walka) "realistów" z "idealistami" czy też "romantyków" z "pozytywistami". Wszystko to właśnie nadawało im głębi, kontrastowało postawy i utrudniało kompromis. Podział taki - lub zbliżony - obejmował oczywiście nie tylko "polski Londyn", lecz całe społeczeństwo, a największe napięcie, polityczne i emocjonalne, przybrał wraz z dogasaniem wojny. Tymczasem, przynajmniej wśród Polaków znajdujących się poza zasięgiem okupacji, główną uwagę skupiała sprawa setek tysięcy deportowanych, jeńców i więźniów oraz tworzenie w oparciu o nich armii.

Państwo Podziemne - wojsko

W strukturze Państwa Podziemnego największą rolę odgrywał "pion wojskowy", choć proces scalania grup i organizacji oraz oddziałów wojskowych partii politycznych był powolny i w istocie nie został zakończony. W początkach 1940 r. swoje oddziały wojskowe do dyspozycji ZWZ przekazała PPS-WRN, a Organizacja Orła Białego w całości weszła do ZWZ. Był to dobry początek, ale na długo jedyny sukces płk. Roweckiego i kierownictwa organizacji, która w myśl nakazów władz Rzeczpospolitej miała być jedyną ogólnonarodową i pozapartyjną strukturą wojskową i stanowić integralną część Polskich Sił Zbrojnych.

Nie tylko wiele partii i grup pozostających poza "grubą czwórką" nie

spieszyło się z podporządkowaniem Komendzie Głównej ZWZ. Od przekazania Narodowej Organizacji Wojskowej uchylało się SN, a SL "Roch" zaczęło organizować swoje Bataliony Chłopskie (Chłopska Straż = Chłostra) dopiero w sierpniu 1940 r., co było dowodem nieufności wobec KG ZWZ, a także niewiary, iż uda się likwidacja "wojsk partyjnych". Przełom nastąpił po rozkazie Naczelnego Wodza przemianowującym ZWZ w Armię Krajową (14 lutego 1942 r.), a zwłaszcza po rozkazie z 15 sierpnia tegoż roku, który nakazywał wszystkim organizacjom wojskowym podporządkowanie się Komendantowi Głównemu AK. Wykonanie niektórych decyzji scaleniowych powodowało rozłamy w istniejących organizacjach, a najgłośniejsza i najpoważniejsza była odmowa podporządkowania się znacznej części Narodowej Organizacji Wojskowej. Jednostki "zbuntowane" przeciw politycznej decyzji połączyły się ze Związkiem Jaszczurczym grupy "Szańca" (b. ONR-ABC) i utworzyły 20 września 1942 r. Narodowe Siły Zbrojne, których część włączono do AK dopiero w marcu 1944 r. Opierało się też SL "Roch" i na mocy rozkazu scaleniowego (30 maja 1943 r.) przekazało do AK tylko "oddziały taktyczne".

Niemniej ogromny wysiłek włożony przez oficerów sztabowych KG AK, osobiście przez komendantów gen. Roweckiego i jego następcę gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego oraz niektórych polityków, przyniósł widoczne owoce. Na ile to było w ogóle możliwe w warunkach konspiracji, doprowadzono do poważnej rozbudowy, koordynacji i ujednolicenia podziemia wojskowego: jesienią 1941 r. w ZWZ zaprzysiężonych było ok. 40 tys. oficerów i żołnierzy, latem 1942 r. ponad 140 tys., w marcu 1943 r. ok. 185 tys., a w rok później, gdy rozpoczynała się mobilizacja, formacje podlegające zwierzchnictwu KG AK liczyły ponad 300 tys. ludzi. Nie była to jednak armia regularna. Na przełomie 1943ż8ş1944 jednostki bojowe (oddziały partyzanckie i dyspozycyjne oraz patrole dywersyjne - łącznie ok. 270 jednostek) liczyły niewiele ponad 7 tys. oficerów i żołnierzy, a więc 2% ówczesnego stanu AK. Przeważająca część scalonych różnego rodzaju "wojsk partyjnych" pozostawała pod dotychczasowymi dowódcami i miała zagwarantowane prawo utrzymania łączności z macierzystymi organizacjami.

Większość konspiracyjnego wojska nie miała za sobą regularnego szkolenia w zakresie walk partyzanckich, dywersji i walk ulicznych (których teoretykiem był gen. Rowecki). Podobnie było ze znaczną częścią dowódców, a kroplą w morzu potrzeb była obecność 316 zrzucanych, od połowy lutego 1941 r., "cichociemnych" przeszkolonych w dywersji. Bardzo skromne było uzbrojenie - w początkach 1944 r. AK dysponowała 53 tys. sztuk broni (w czym 33% stanowiła broń krótka, a maszynowa niespełna 6%), znaczna część tej broni pochodziła jeszcze z kampanii wrześniowej i nie zawsze nadawała się do użytku bez reperacji. Zrzuty alianckie były nieznaczne, gdyż zrazu (1941-1942) istniały bardzo duże przeszkody techniczne, a potem (od 1943 r.) ziemie polskie zgodnie uznano za obszar operacyjny Armii Czerwonej nie zainteresowanej uzbrajaniem podziemia, które miała zwalczać. W masie swej wojsko to miało cechy pospolitego ruszenia i nie było w stanie odgrywać na nowoczesnym polu walki samodzielnej roli.

Taki właśnie kształt podziemnego wojska uformował się po części via facti, dzięki powstawaniu już w początkowym okresie konspiracji "wojsk partyjnych" o masowym zasięgu (BCh liczyło ponad 100 tys. zaprzysiężonych, NOW wedle danych własnych "do 100 tys."), jak i doktrynie przyjętej przez dowództwo ZWZ-AK i w emigracyjnym sztabie Naczelnego Wodza.

Jakkolwiek w okresie tworzenia SZP i ZWZ powszechnie uważano, iż losy wojny rozstrzygną się stosunkowo szybko (mało kto wierzył, iż alianci trwać będą przy pasywnej polityce dłużej niż do lata 1940 r.), zarówno dowódcy w kraju, jak i rząd oraz Komendant Główny ZWZ we Francji przeciwni byli spontanicznym inicjatywom "kontynuowania kampanii polskiej". Inicjatywy takie podejmowane były zarówno na terenie okupacji niemieckiej - słynny Oddział Wydzielony Wojska Polskiego mjr. Henryka Dobrzańskiego "Hubala" - jak i na ziemiach wcielonych do ZSRR, na których oddziały partyzanckie powstające z jednostek regularnych WP jesienią 1939 r. działały co najmniej do lata 1940 r. (m.in. rotmistrza Jerzego Dąmbrowskiego, zagończyka słynnego jeszcze z wojny 1919-1920). Doktryna ta zakładała, że celem ZWZ jest przygotowanie powstania, które miałoby nastąpić z chwilą wkroczenia na ziemie polskie regularnych jednostek WP. Głównym zadaniem było więc organizowanie służb sztabowych i gromadzenie kadry oficerskiej (i podoficerskiej) jednostek, które miały być w odpowiednim momencie odtworzone, aby wziąć udział w regularnych walkach. Toteż od początku istnienia ZWZ prowadzone były prace koncepcyjne, długotrwałe i żmudne zwłaszcza wobec zmieniającej się sytuacji globalnej. Po roku, 5 lutego 1941 r., gen. Rowecki podpisując plan operacyjny powstania, sam już oczekiwał zapewne, iż niebawem niektóre przewidziane w nim warianty stracą aktualność. Tak też się stało po 22 czerwca, wybuchu wojny radziecko-niemieckiej i zawarciu układu z ZSRR. Kolejna wersja planu podpisana została we wrześniu 1942 r., gdy ostatnie oddziały wojsk gen. Władysława Andersa opuszczały ZSRR, a rozpad sojuszu polsko-radzieckiego był już faktycznie przesądzony, co w istotny sposób miało wpłynąć na możliwości przeprowadzenia powstania.

Kontynuacją tych prac, z uwzględnieniem nowych, wysoce dla Polski niekorzystnych, uwarunkowań, był plan akcji "Burza", zawarty w rozkazie Komendanta Głównego AK z 20 listopada 1943 r. Był on ostatecznie realizowany począwszy od lutego 1944 r. (mobilizacja na Wołyniu) do Powstania Warszawskiego włącznie. Dla ZWZ-AK-AK jako całości, a także miejsca i roli tej formacji w Polskich Siłach Zbrojnych, ta właśnie sprawa - powstanie powszechne - była najważniejsza, niezależnie od faktu, iż warunki i termin powstania uległy zmianom. W akcji "Burza" zmobilizowano (bez powstańców w Warszawie) ok. 100 tys. oficerów i żołnierzy - odpowiadało to mniej więcej planom dotyczącym liczebności pierwszego rzutu.

Mobilizacja ta obejmowała ponad 60 oddziałów partyzanckich, tworzonych w ciągu 1943 r., które od 15 października tegoż roku otrzymały dawne nazwy pułków WP, co miało nadać jednostkom charakter regularnej armii. Od początku 1944 r., w ramach prowadzonej lub przygotowywanej mobilizacji, rozpoczęto tworzenie jednostek na szczeblu dywizji. Nie były to oczywiście jednostki o pełnych obsadach etatowych, ale większość z nich zdolna była do prowadzenia działań bojowych o charakterze dywersyjno-partyzanckim na tyle, na ile pozwalało im uzbrojenie i wyszkolenie. AK nie osiągnęła efektu militarnego, który był zakładany przy jej tworzeniu u schyłku 1939 r. - zabrakło wojsk, z którymi mogłaby współpracować, a same jednostki zaplecza Wehrmachtu (bez frontowych) liczyły w maju-czerwcu 1944 r. ok. 270 tys. żołnierzy wspieranych przez znacznie liczniejsze tzw. Osttruppen (rekrutowane głównie wśród jeńców radzieckich). Niemniej wykonała podstawowe zadanie, dla jakiego była powołana. w miarę przesuwania się

frontu przeprowadzano masową mobilizację i przystępowano do walki z cofającym się nieprzyjacielem.

Mimo iż zwieńczeniem działalności podziemnej armii miało być owo masowe wystąpienie zbrojne, dość szybko stało się oczywiste, iż przygotowania doń nie mogą stanowić jedynej formy działalności. Wróg był przecież w kraju i gdy okazało się, że nieprędko opuści polskie ziemie, konieczne były różne formy prowadzenia z nim walki bieżącej. Tak więc obok prac sztabowych mających na celu przygotowanie oddziałów do wystąpienia w otwartym polu, podejmowano działalność dywersyjną, samoobronę (w tym także odwetową), wywiad oraz - nader ważną - akcję propagandową i informacyjną, która miała przede wszystkim podtrzymać ducha oporu w społeczeństwie. Wedle przyjętej doktryny, której częścią była konstatacja, iż Polska ma dwóch wrogów, stosowano taktykę walki ograniczonej, a podejmować ją miały jednostki odpowiednio przeszkolone, wyposażone i działające wedle skoordynowanych planów.

Pierwszą jednostką dla prowadzenia - a raczej przygotowania walki bieżącej był powołany 20 kwietnia 1940 r. Związek Odwetu, a w grudniu 1940 r. powstała Organizacja Małego Sabotażu "Wawer". Jednak zarówno wstępny etap działalności, jak i bieg wydarzeń wojennych, spowodowały, iż walka bieżąca rozpoczęta została na dobre od 1942 r. Szczególnie nie sprzyjające było pierwsze półrocze 1941 r., gdyż na terenach GG koncentrowała się ogromna armia, która miała uderzyć na ZSRR. Ani dowódcy ZWZ w kraju, ani władze polskie w Londynie nie chciały narażać konspiratorów - i ludności cywilnej - na straty, które musiałoby przynieść przedwczesne i źle przygotowane wystąpienie. Gen. Sosnkowski jeszcze w czerwcu 1940 r., w obliczu katastrofy Francji, wydał formalny zakaz prowadzenia akcji zbrojnych z wyjątkiem "koniecznych dla bezpieczeństwa organizacji".

Sytuacja ta uległa zmianie po 22 czerwca 1941 r., gdy ziemie polskie stały się (najpierw bardzo głębokim) zapleczem dla frontu wschodniego. Od jesieni tego roku organizowano elitarne oddziały dywersyjne, które pod nazwą "Wachlarz" prowadziły akcje na wschód od granic państwowych Rzeczpospolitej. W maju 1942 r. utworzono Organizację Specjalnych Akcji Bojowych ("Osa"), a jesienią, na bazie Odwetu, powstała szybko rozbudowana jednostka pn. Kierownictwo Dywersji (Kedyw), której pierwszym dowódcą był płk August E. Fieldorf "Nil". Struktury dywersyjne istniały w każdym okręgu. Całość działalności dywersyjnej i odwetowej koordynowana była przez grono dowódców z KG, nazywane Kierownictwem Walki Konspiracyjnej (KWK), w którego bezpośrednich kompetencjach znajdowały się także niektóre komórki Biura Informacji i Propagandy (BiP) i kontrwywiad. Na czele KWK stał Komendant Główny. W ten sposób oddzielono w sztabie KG (i w okręgach) te działy, które prowadziły przede wszystkim działalność przygotowującą AK do akcji powstańczej, od prowadzących walkę bieżącą. KWK miało też, w intencji gen. Roweckiego, stać się koordynatorem wszystkich działań konspiracyjnych w kraju: "muszą mu być podporządkowane - pisał w meldunku do Londynu - wszystkie środki i inicjatywy prywatne". Zrealizowanie tego zadania było jednak w praktyce niemożliwe, choć zasięg takiej koordynacji zwiększył się nieco, gdy w lipcu 1943 r. powołano Kierownictwo Walki Podziemnej (KWP). Obok dotychczasowego KWK znalazł się w nim także szef Kierownictwa Walki Cywilnej (Stefan Korboński), znajdującego się w strukturze Delegatury, a z instancją tą współpracowało kilkanaście mniejszych organizacji

konspiracyjnych. Uporządkowano również działalność samoobronną: obok rozwijanych struktur kontrwywiadu coraz skuteczniejsza była walka z konfidentami (też ze "szmalcownikami"), której zapleczem prawnym były tzw. Sądy Kapturowe, powoływane już od wiosny 1940 r., a przekształcone później w Wojskowe Sądy Specjalne. Szacuje się, iż grupy egzekucyjne AK wykonały ok. 2,5 tys. wyroków śmierci.

Niezwykle trudne - i do dzisiaj właściwie nie wykonane - jest podsumowanie całości działań dywersyjnych, sabotażowych i walk partyzanckich przeprowadzonych przez wszystkie konspiracyjne organizacje zbrojne. Niewiele wiadomo o akcjach podejmowanych na obszarze okupacji radzieckiej, brak zbiorczych zestawień dla tak znaczących formacji jak NLOW czy NSZ. Gromadzone informacje pochodzą zasadniczo ze źródeł własnych konspiracji i na ogół nie były konfrontowane z danymi zbieranymi przez władze okupacyjne. Wedle oficjalnej publikacji przygotowanej na podstawie informacji sztabu Polskich Sił Zbrojnych, obejmującej tylko działalność ZWZ-AK-AK i tylko okres od stycznia 1941 r. do końca czerwca 1944 r., różne jednostki tej formacji m.in. wykoleiły 732 transporty, uszkodziły lub zniszczyły ok. 26 tys. wagonów i parowozów, ponad 4 tys. pojazdów wojskowych oraz blisko 3 tys. maszyn w fabrykach. Wykonały ok. 5,7 tys. zamachów na Niemców. Wedle danych Wehrmachtu, obejmujących działania wszystkich organizacji konspiracyjnych w okresie od lipca 1942 r. do lipca 1944 r., na terenie GG dokonano łącznie ok. 110 tys. akcji. W tym ok. 7,5 tys. na transport kolejowy i tyleż samo na sieć łączności, zniszczono 135 mostów drogowych, wykonano ok. 4,5 tys. napadów na żołnierzy i funkcjonariuszy służb policyjnych.

O skali zaangażowania w działalności konspiracyjnej mogą też świadczyć poniesione straty. Były one niezwykle wysokie. Wedle danych sztabu PSZ różne struktury ZWZ-AK do lipca 1944 r. - a więc do chwili rozpoczęcia akcji "Burza" i nie licząc Powstania Warszawskiego - straciły ok. 62 tys. żołnierzy, czyli blisko 20% swych maksymalnych stanów. Poważne straty poniosły też jednostki BCh, GL-AL i NSZ. Gdyby przyjąć, że wskaźnik procentowy strat był podobny we wszystkich organizacjach konspiracyjnych, oznaczałoby to, iż do lata 1944 r. zginęło (nie tylko z bronią w ręku) nie mniej niż 90-100 tys. uczestników walki podziemnej. Jakkolwiek wszelkie

porównania wydają się być niemożliwe, można zwrócić uwagę, iż były to straty znacznie większe niż poniosła 700 tys. armia polska w czasie kampanii wrześniowej i wielokrotnie większe niż straty wszystkich regularnych wojsk walczących pod polskimi barwami w latach 1940-1944.

Państwo Podziemne - Delegatura

Drugim, obok AK, filarem Państwa Podziemnego była administracja cywilna, kształtowana "od góry" przez Delegata Rządu. Mniej więcej równolegle powoływano ją na szczeblu centralnym (departamenty) i w terenie (Okręgowi Delegaci Rządu). Do lipca 1944 r. powstało 15 departamentów, będących odpowiednikami ministerstw. Departament Prezydialny zajmował się bieżącą działalnością biura Delegata, a kilka innych prowadziło prace konspiracyjne na szeroką skalę. Należał do nich Departament Oświaty i Kultury (kierowany

przez Czesława Wycecha), organizujący, koordynujący i wspomagający finansowo potężny ruch tajnego szkolnictwa powszechnego, średniego i wyższego, który ogarniał rzeszę setek tysięcy dzieci i młodzieży. Departament Informacji i Propagandy (Stanisław Kauzik) wydawał m.in. oficjalny organ prasowy ("Rzeczpospolita Polska") i prowadził agencję prasową ("Kraj"). Departament Pracy i Opieki Społecznej zajmował się głównie pomocą dla rodzin osób uwięzionych lub straconych. Pod patronatem Delegatury działała też Rada Pomocy Żydom ("Żegota") utworzona 4 grudnia 1942 r., na czele której stał Julian Grobelny.

Większość centralnych agend Delegatury prowadziła prace studialne nad funkcjonowaniem odpowiednich części administracji państwowej w niepodległym kraju. przygotowywano analizy stanu gospodarczego i społecznego, opracowywano projekty dekretów i rozporządzeń, szykowano kadry dla służby państwowej. Departament Spraw Wewnętrznych, obok organizowania delegatur terenowych, których powstało 15 (na całym terytorium Rzeczpospolitej), zajmował się także tworzeniem przyszłej Policji Państwowej, która powstała w konspiracji pn. Państwowy Korpus Bezpieczeństwa. Działalność PKB miała rozpocząć się, w koordynacji z planami wojskowymi, w chwili wybuchu powstania. Ważne, choć nie prowadzące bieżącej działalności organizacyjnej, było Biuro Ziem Nowych (pod kierownictwem Władysława Czajkowskiego), które zajmowało się planami przejęcia w ręce polskie Prus Wschodnich, Zachodniego Pomorza i Śląska Opolskiego. Przygotowano odpowiednio przeszkolone i zaznajomione z terenem ekipy, liczące kilka tysięcy osób. Bardzo ważną częścią aparatu Delegatury była własna łączność radiowa z rządem w Londynie, wykorzystywana nie tylko do przekazywania opinii i informacji bieżących, ale także jako podstawa działania Radiostacji "Świt", która ulokowana w Wielkiej Brytanii pozorowała emitowanie programów w kraju.

Jeśli konspiracja wojskowa, mimo różnych nacisków, znajdowała się poza bezpośrednim oddziaływaniem partii politycznych, to Delegatura nie mogła być organem "czysto administracyjnym". Partie należące do Politycznego Komitetu Porozumiewawczego zapewniły sobie wpływ na obsadę stanowiska Delegata, a także Delegatów Okręgowych, przy czym toczyła się dość subtelna gra polityczna pomiędzy stronnictwami "grubej czwórki", w której w najlepszej sytuacji było SP, stosunkowo słabe, ale ulokowane w centrum i w związku z tym "strawne" dla innych. Mocną pozycję zdobyło też SL. Po dłuższych utarczkach na linii "kraj-emigracja" premier ustąpił i po dymisji Ratajskiego jego funkcję objął umiarkowany ludowiec Jan Piekałkiewicz. Po jego aresztowaniu (19 lutego 1943 r.) Delegatem został Jan S. Jankowski Z SP. W tym czasie kompetencje Delegata i jego urzędu zostały już precyzyjnie określone dekretem prezydenta (z 1 września 1942 r.), a urząd ewoluował w kierunku przekształcenia się w działającą na terenie kraju część Rady Ministrów, co zostało ostatecznie potwierdzone dekretem z 26 kwietnia 1944 r. powołującym Krajową Radę Ministrów. Obok Delegata posiadającego rangę wicepremiera, wchodzili do niej ministrowie reprezentujący trzy inne niż Delegat partie (Adam Bień z SL, Stanisław Jasiukowicz z SN i Antoni Pajdak z PPS). Centralny i terenowy - aż do szczebla powiatu - aparat administracji państwowej liczył co najmniej kilkanaście tysięcy zaprzysiężonych.

Państwo Podziemne - politycy i polityka

Trzecim składnikiem Państwa Podziemnego stała się reprezentacja polityczna konspiracji. De facto pozycję tę uzyskał już PKP w czerwcu 1940 r., ale de iure stan faktyczny został usankcjonowany wspomnianym dekretem z 1 września 1942 r., który przyznawał PKP rolę doradczą i - co ważniejsze - opiniodawczą przy Delegacie Rządu. "Gruba czwórka" wytrwale i skutecznie broniła swoich pozycji, choć nie była bynajmniej monolitem.

Ściślejsza współpraca połączyła zrazu socjalistów i ludowców, którzy podjęli nawet próbę wypracowania wspólnej platformy programowej. Zakończyła się ona jednak niepowodzeniem i PPS-WRN ogłosiła, w 1941 r., "Program Polski Ludowej" jako własny. Głównym źródłem konfliktu między SL "Roch" a PPS-WRN był - obok naturalnych ambicji politycznych - stosunek do "polityki wschodniej" gen. Sikorskiego. Socjaliści (także większość emigracyjnej PPS) byli przeciwni postanowieniom układu polsko-radzieckiego z 1941 r. uważając, iż sankcjonuje on w istocie wcielenie ziem wschodnich do ZSRR. K. Pużak wystąpił z PKP i przez półtora roku jego miejsce zajmowali delegaci Polskich Socjalistów, partii coraz widoczniej sterującej "na lewo", ku współpracy z komunistami. Szczególnie w pierwszym okresie konspiracji główną siłą spajającą ludowców i socjalistów była niechęć do obozu narodowego oraz obawa przed opanowaniem wojska przez dawny obóz rządowy. Zbieżne były też koncepcje ustrojowe przyszłej Polski (parlamentaryzm, dość daleko idące reformy społeczne i gospodarcze), a także poglądy na miejsce Polski w Europie (koncepcje federacyjne).

Radykalnie różniła się od tego wizja "III Rzeczpospolitej" - jak często wówczas pisano - prezentowana przez SN. Zasadzała się ona na haśle Katolickiego Państwa Narodu Polskiego, zawierała dość silne akcenty autorytarne, odrzucała równouprawnienie mniejszości narodowych i postulowała dla Polski rolę centrum kształtującego losy całej Europy Środkowej i Wschodniej. Nie były obce SN inklinacje do "przewrotu" i jednostronnego przejęcia władzy, ale już w ciągu 1942 r. przeważyły tendencje zmierzające do uznania konieczności współpracy z pozostałymi siłami politycznymi i wypracowania kompromisu, koniecznego zarówno w okresie wojny, jak i odbudowy państwa.

W związku z dekretem prezydenta PKP przekształcił się - 21 marca 1943 r. - w Krajową Reprezentację Polityczną (KRP), nie zmieniając swego składu. 15 sierpnia tegoż roku, nieprzypadkowo w rocznicę Bitwy Warszawskiej 1920 r., ogłoszona została deklaracja porozumienia politycznego czterech stronnictw. Dokument ten zapowiadał trwanie koalicji aż do wyborów do ciał konstytucyjnych i apelował o utrzymanie takiej koalicji na emigracji. Podkreślano w nim niepodważalność integralności ziem wschodnich i wysuwano postulaty dotyczące zmian granicznych na północy i zachodzie. Deklaracja stwierdzała konieczność dokonania w wolnej Polsce reform społecznych (na czele z agrarną), gwarantowała uznanie praw mniejszości narodowych i systemu parlamentarnego, a także postulowała powstanie konfederacji państw środkowoeuropejskich opartych na ściślejszym związku państwowym polsko-czeskim. Sygnatariusze zapowiadali utworzenie Rady Jedności Narodowej jako konspiracyjnego parlamentu. Treść deklaracji oznaczała sukces ludowców i socjalistów, ale przede wszystkim sukces idei

porozumienia i współpracy głównych polskich sił politycznych. W swych licznych wystąpieniach KRP wspierała stanowisko Rządu RP wobec roszczeń radzieckich, występowała na rzecz dobrych stosunków z Ukraińcami, apelowała o skupienie się wokół krajowej reprezentacji władz Rzeczpospolitej. Odgrywała więc rolę zaplecza politycznego zarówno dla Delegata, jak i dla rządu, a pośrednio także dla AK.

Zgodnie z ewolucją "oficjalnych" struktur konspiracyjnych i podnoszeniem ich rangi, 9 stycznia 1944 r. w miejsce KRP powołana została Rada Jedności Narodowej (RJN), co miało oznaczać poszerzenie wachlarza sił politycznych wpływających bezpośrednio na Delegaturę i tajną administrację oraz AK. Do RJN, obok "grubej czwórki", powołano także przedstawicieli: duchowieństwa katolickiego (ale nie formalnego reprezentanta Kościoła), grupy "Ojczyzna", "Racławic" i Zjednoczenia Demokratycznego. Jednak uczestnicy b. KRP mieli po trzech reprezentantów, a pozostali po jednym. W istocie zmiana miała więc charakter kosmetyczny, choć formalna rola nowego ciała była znacznie większa. 15 marca Rada ogłosiła obszerną deklarację pt. "0 co walczy Naród Polski", która była rozwinięciem dokumentu z 15 sierpnia 1943 r. i stanowiła najpełniejszą wykładnię tego wszystkiego, co udało się głównym partiom konspiracyjnym wspólnie ustalić. Wszakże sygnatariuszami porozumienia były wciąż te same partie. "Gruba czwórka" do końca utrzymała faktyczny monopol polityczny i stanowiła swego rodzaju elitę konspiracyjną.

Tymczasem życie polityczne, także w obrębie stronnictw i grup uznających krajowe władze państwowe, było coraz bardziej urozmaicone. Znaczną aktywność przejawiała prowadzona przez B. Piaseckiego Konfederacja Narodu. Zachodziły kolejne przesunięcia na lewicy z tendencją do odsuwania się od partii "grubej czwórki" i Delegatury. Od połowy 1942 r. ożywiły się środowiska piłsudczykowskie przygniecione "winą za Wrzesień" i emigracją ich elit. W sierpniu powstał Obóz Polski Walczącej (OPW), zorganizowany pod auspicjami ukrywającego się po ucieczce z Rumunii marsz. Edwarda Rydza-Śmigłego (niebawem miał przedostać się do Warszawy), a w październiku, opozycyjny wobec OPW Konwent Organizacji Niepodległościowych, kierowany przez Zygmunta Hempla. Żaden z tych ośrodków nie został dopuszczony do RJN i ten ekskluzywizm - zrozumiały po części ze względów konspiracyjnych - osłabiał w istocie autorytet KRP (RJN) i Delegatury.

Pełna koordynacja akcji podziemnych była niemożliwa z uwagi na to, że stały na przeszkodzie po prostu warunki konspiracyjne. Ponadto, w miarę upływu czasu, coraz wyraźniej zachodziły dwa równoległe procesy: ZWZ-AK i Delegatura krzepły jako struktury, rozbudowywały się, ogarniając coraz to nowe pola aktywności i coraz więcej ludzi, a jednocześnie organizacje działające poza tym Państwem Podziemnym nadal istniały i rozwijały swoją działalność. Najważniejsze zmiany i umocnienie struktur będących poza ZWZ-AK, Delegaturą i PKP nastąpiło w latach 1942-1943.

Wspomniana już odmowa scalenia z AK części NOW i powstanie w wyniku tego NSZ, wydatnie wzmocniło skrajnie nacjonalistyczne skrzydło podziemia. Jądrem tej formacji była głęboko zakonspirowana jeszcze przed wrześniem 1939 r. Organizacja Polska (OP). Uformowane przez OP Związek Jaszczurczy i grupa "Szaniec" - z osobnym pionem pn. Komisariat Cywilny - już od 1940 r. tworzyły całość wyraźnie opozycyjną wobec ZWZ i PKP. Z czasem system ten rozbudowano powołując własną służbę bezpieczeństwa (Akcja Specjalna), a nawet aparat sprawiedliwości. Po utworzeniu NSZ tendencje do separowania

się środowisk kierowanych przez OP, w którym czołową rolę odgrywali m.in. Kazimierz Gluziński, Tadeusz Salski i Jerzy Iłłakowicz, umocniły się. Doszło do połączenia z częścią SN, która zajmowała stanowisko niechętne - nawet wrogie - Delegatowi i PKP, a latem 1942 r. dokonała secesji tworząc Tymczasową Komisję Rządzącą SN (TKR SN). Znaleźli się w niej zarówno działacze dawnej (z 1939 r.) secesji NLOW, jak i nowi. Po dłuższych rozmowach, w maju 1943 r., OP i TKR SN powołały Tymczasową Narodową Radę Polityczną (TNRP), do której weszli m.in. Jan Matłachowski, Zbigniew Stypułkowski (sekretarz Rady), Jerzy Iłłakowicz i Otmar Wawrzkowicz. TNRP przejęła zwierzchnictwo nad NSZ i przekształciła Komisariat Cywilny w Cywilną Służbę Narodu. CSN, kierowana przez K. Gluzińskiego, miała 19 wydziałów - będących odpowiednikami resortów ministerialnych - i rozbudowywała instancje terenowe. W sumie, jak pisze Zbigniew S. Siemaszko, "wchłonęła kilka tysięcy fachowców". Utworzenie TNRP i NSZ spotkało się z ostrym atakiem ze strony kierownictwa Państwa Podziemnego. M.in. Delegat Rządu przygotował odpowiednie oświadczenie, które pt. "Warcholstwo" ukazało się w oficjalnym organie KG AK "Biuletynie Informacyjnym". Środowisko NSZ odpowiedziało kampanią prasową, w której nie unikano dosadnych sformułowań. Same NSZ dosyć szybko rozwijały się pod względem liczebnym - wedle danych własnych z jesieni 1943 r. zrzeszały ok. 72 tys. oficerów i żołnierzy, z tym, że w znacznie większym stopniu niż AK było to wojsko typu pospolitego ruszenia (niespełna tysiąc oficerów).

Środowisko radykalnych nacjonalistów różniło się od partii wchodzących w skład "grubej czwórki" nie tylko w swych wizjach przyszłej Polski, w których miała być ona państwem o cechach totalitarnych. Poważne odmienności istniały też w ocenie sytuacji międzynarodowej, co stało się szczególnie wyraźne po bitwie stalingradzkiej i zerwaniu przez Moskwę stosunków z Rządem RP. Przywódcy NSZ - a za nimi zapewne przytłaczająca większość ich żołnierzy - uznali, że wobec coraz bliższej perspektywy klęski III Rzeszy, najważniejszym wrogiem staje się ZSRR. Z oceny tej wyciągnięto wnioski nie tylko natury programowej, ale także praktyczne: uznano mianowicie, że jednym z głównych (jeśli nie najważniejszym) zadań winno być zwalczanie partyzantki komunistycznej oraz - coraz liczniejszych - radzieckich grup dywersyjnych. Działania takie podjęły jednostki Akcji Specjalnej i doszło do lokalnych potyczek. Najgłośniejszym z tych starć było rozstrzelanie 9 sierpnia 1943 r. pod Borowem (Lubelskie) "wziętych do niewoli" 26 członków jednego z oddziałów GL oraz 4 współpracujących z nim chłopów z Borowa. Akcje takie spotykały się ze zdecydowanym potępieniem KG AK, niemniej oddziały NSZ nie zmieniły swego nastawienia. Innym przykładem specyficznego oblicza politycznego NSZ było podjęcie na szczeblu dowództwa przygotowań do koncentracji wojsk przed nadejściem frontu, które jednak miały - inaczej niż zakładał plan akcji "Burza" - wycofywać się na bezpośrednim zapleczu wojsk niemieckich i przejść "na tereny zajęte przez aliantów zachodnich".

Aczkolwiek zarówno w kierownictwie Państwa Podziemnego, jak i wśród polityków oraz wojskowych na emigracji, nie brakowało zwolenników podobnej strategii, znajdowali się oni w mniejszości lub nie mieli bezpośredniego wpływu na decyzje państwowe. Kontrwywiad KG AK prowadził wprawdzie obserwację środowisk komunistycznych, powstał także - związany ze strukturami delegatury - Społeczny Komitet Antykomunistyczny ("Antyk"), ale żadne centralne instancje nie wydawały polecenia przejścia do akcji czynnej

i zbrojnego zwalczania formacji GL.

Pomimo toczonych znów rozmów na temat scalenia, NSZ były więc wyraźnie odseparowane od podstawowych struktur Państwa Podziemnego. Ponowne scalenie, które ogłosił Komendant Główny AK w rozkazie z 31 marca 1944 r., nie zniwelowało rozbieżności. Przywódcy Organizacji Polskiej, obawiając się utraty kontroli nad swymi oddziałami bojowymi i nie widząc szansy na opanowanie "od wewnątrz" AK, zdołali w znacznym stopniu zablokować akcję scaleniową. W rezultacie większość oddziałów NSZ wywodzących się z dawnego Związku Jaszczurczego odmówiło podporządkowania się. W miejsce TNRP stworzono Radę Polityczną NSZ, do której wchodzili już wyłącznie członkowie OP.

Z punktu widzenia dalekosiężnych skutków największe znaczenie miała - początkowo lekceważona - organizacja konspiracyjna znajdująca się na przeciwnym biegunie niż NSZ. 5 stycznia 1942 r., zrzuceni na spadochronach członkowie komunistycznej Grupy Inicjatywnej, przeszkoleni i przygotowani w ZSRR, utworzyli Polską Partię Robotniczą (PPR).

Polscy komuniści, sparaliżowani po rozwiązaniu w 1938 r. KPP, zepchnięci na zupełny margines życia politycznego po pakcie Ribbentrop-Mołotow i agresji 17 września, od lata 1940 r. rozpoczęli tworzenie niewielkich organizacji, w zasadzie o charakterze lokalnym. Większość tych grup podtrzymywała dawną linię KPP wobec państwowości polskiej, co wyrażało się nie tylko w hasłach rodzaju "Niech żyje Polska Republika Rad!", ale także w nazwach niektórych grup (np. Stowarzyszenie Przyjaciół ZSRR czy Rewolucyjne Rady Robotniczo-Chłopskie). Wybuch wojny radziecko-niemieckiej ożywił je i w październiku 1941 r. doszło do połączenia kilku w Związek Walki Wyzwoleńczej.

Tymczasem znajdująca się w kominternowskiej szkole grupa polska przygotowywała się do reaktywowania partii, co było nierealne dopóki trwał sojusz Berlin-Moskwa. Do grupy tej ściągano z Francji, kanałami NKWD i wywiadu wojskowego, uczestników hiszpańskiej wojny domowej, którzy mieli doświadczenie bojowe. Po 22 czerwca 1941 r. prace zostały zintensyfikowane i we wrześniu pierwszy zespół tzw. Grupy Inicjatywnej był gotowy do przerzutu do kraju. Wypadek samolotu wiozącego grupę za linię frontu pokrzyżował te plany i dopiero na przełomie grudnia 1941 i stycznia 1942 r. dziesięcioro członków grupy znalazło się w kraju.

Znajdowali się wśród nich sekretarz generalny przyszłego KC Marceli Nowotko oraz wyznaczony na dowódcę oddziałów wojskowych, "dąbrowszczak" Bolesław Mołojec. W krótkim czasie, na podstawie istniejących już grup i dawnych "siatek" kapepowskich stworzono niewielką, ale prężną partię konspiracyjną. Ściągano też komunistów, którzy w trakcie ofensywy niemieckiej zostali - z własnej inicjatywy lub w siatkach wywiadu radzieckiego - za linią frontu. W ten sposób w centrali PPR znaleźli się m.in. Władysław Gomułka, Franciszek Jóźwiak i (w 1943 r.) Bolesław Bierut.

PPR wystąpiła z wytyczonym przez Komintern programem politycznym zbliżonym do założeń z okresu Frontu Ludowego - co zresztą charakteryzowało wszystkie partie komunistyczne w okupowanej Europie - i hasłem podjęcia natychmiastowej walki zbrojnej. Stworzyła też strukturę wojskową (Gwardia Ludowa). PPR miała także - do dziś w szczegółach nie opisane - kontakty z radziecką siatką wywiadowczą, która - jak wskazują niektóre źródła - "przekazała" jej m.in. Michała Żymierskiego, b. legionistę i b. generała

WP, zdegradowanego w procesie sądowym w 1921 r. W 1944 r. został on - pod pseudonimem "Rola" - formalnym dowódcą komunistycznej partyzantki.

W końcu 1942 r., a więc po niespełna roku istnienia, PPR straciła obu swych przywódców. W nie wyjaśnionych do dziś okolicznościach zastrzelony został Nowotko, a za inspiratora zamachu większość ścisłego kierownictwa (KC) uznała Mołojca, którego zabito z jej polecenia. Wobec wielu niejasności w krótkich dziejach konspiracyjnej PPR, trudno stwierdzić czy rację mają ci, którzy sądzą, że wypadki te miały za tło walkę wewnętrzną w PPR lub ambicje osobiste, czy też wynikały z konfliktów między różnymi agendami wywiadu radzieckiego działającymi na terenie Polski. Rok później, jesienią 1943 r., wpadł w "kocioł" i zginął następca Nowotki, Paweł Finder, który także przerzucony był z ZSRR. Na czele partii stanął Władysław Gomułka, działający w kraju od końca 1941 r.

Niezależnie od tych wydarzeń PPR była, w proporcji do swej wielkości, nader aktywna i prowadziła ożywioną działalność propagandową, wzywając do rozszerzenia dywersji i walk partyzanckich, których zresztą bynajmniej nie unikała. Prowadząc walkę propagandową z "obozem reakcji" i atakując "stojącą z bronią u nogi" AK, PPR zamierzała, zgodnie z linią Kominternu, który zalecał tworzenie Frontów Narodowych, wejść w struktury Państwa Podziemnego. W lutym 1943 r., z jej inicjatywy, odbyła się seria spotkań przedstawicieli PPR z reprezentantami KG AK i Delegatury. Komuniści jednak nie zgodzili się na potwierdzenie, że nie są związani z czynnikami obcymi (przez co rozumiano Komintern), ani na potępienie paktu Ribbentrop-Mołotow (i jego konsekwencji). Rozmowy zostały przerwane, co i tak by niechybnie nastąpiło z chwilą odkrycia zbrodni katyńskiej.

Od wiosny 1943 r., gdy Stalin w sposób jednoznaczny i jawny podjął przygotowania do uzyskania bezpośredniego wpływu na sprawy wewnętrzne Polski (maj - utworzenie Dywizji im. T. Kościuszki, czerwiec - I zjazd Związku Patriotów Polskich), także PPR przeszła do ofensywy politycznej. Wzmagała kampanię propagandową i zaczęła energicznie poszukiwać sojuszników wśród lewicowo nastawionych działaczy ludowych i socjalistycznych. Późną jesienią 1943 r. przystąpiła do tworzenia własnej struktury parapaństwowej. W nocy z 31 grudnia 1943 r, na 1 stycznia 1944 r. komuniści powołali Krajową Radę Narodową (KRN), która sama uznała się za jedyne autentyczne i legalne przedstawicielstwo narodu polskiego. Podobną inicjatywę podjęli - z błogosławieństwem Kominternu i Stalina - ich towarzysze przebywający w ZSRR. W końcu 1943 r. postanowiono utworzyć Polski Komitet Narodowy, przygotowana została nawet obsada personalna planowanych resortów i "Projekt deklaracji programowej". Informacje o powstaniu KRN spowodowały zaniechanie tych działań. Szykując jednak - jak pisze Zbigniew Kumoś - "rezerwę kadrową i centrum dyspozycyjne", na mocy decyzji Stalina utworzono Centralne Biuro Komunistów Polskich w ZSRR, będące zalążkiem partii. CBKP objęło polityczny nadzór nad ZPP i wojskiem.

Działania PPR wspomagane były przede wszystkim przez lewicę socjalistyczną, która jeszcze jesienią 1939 r. weszła w konflikt z kierownictwem PPS-WRN i znalazła się poza partią. We wrześniu 1940 r. utworzyła organizację pn. Polscy Socjaliści (PS) z Adamem Próchnikiem na czele. Rola PS niepomiernie wzrosła, gdy w proteście przeciwko układowi

Sikorski-Majski PPS-WRN wycofała się (od 10 września 1941 r.) z PKP i miejsce Pużaka zajął w nim Próchnik. Stan taki trwał aż do marca 1943 r., powodując liczne konflikty wewnętrzne w PS, które doprowadziły do rozłamu: część działaczy włączyła się do PPS-WRN, większość utworzyła Robotniczą PPS (RPPS), która zbliżyła się do komunistów. Ruch ludowy, drugi obok socjalistycznego nurt polityczny, w którym można było się spodziewać ewolucji "na lewo", okazał się bardziej zwarty i tylko nieliczne grupki skłonne były do współpracy z komunistami. PPR musiała się więc oprzeć na komunistycznych działaczach chłopskich. Dopiero w lutym 1944 r. powołano SL "Wola Ludu", które uzależnione było od PPR także pod względem techniki konspiracyjnej.

Wiosną 1944 r. komunistyczna partyzantka wyraźnie wzmogła aktywność. Po części związane to było z pojawieniem się w GG polskich "zrzutków" (pierwsze grupy lądowały 4 i 24 kwietnia) oraz utworzeniem osobnego Polskiego Sztabu Partyzanckiego (5 maja), którego centrum dowódcze znajdowało się koło Równego, wyzwolonego już przez Armię Czerwoną. Sztab ten, analogiczny do sztabów ukraińskiego, białoruskiego i litewskiego, miał do dyspozycji liczący ok. 1,5 tys. żołnierzy batalion szturmowy wydzielony z armii Berlinga. Jednak tylko niewielka część odpowiednio przygotowanych żołnierzy została przerzuconych do kraju. Oddziały Armii Ludowej liczyły już jednak ok. 20 tys. ludzi, z których część działała w ponad 100 jednostkach partyzanckich. Stanowiło to wcale poważną siłę, tym większą, że koncentrowała się ona wzdłuż osi przewidywanej na lato ofensywy radzieckiej.

Powstanie PPR, utworzenie przez nią konspiracji zbrojnej, a także Powołanie KRN, komplikowało sytuację wewnętrzną. Przede wszystkim jednak stanowiło - szczególnie KRN - dla Stalina wygodny oręż w walce z władzami Rzeczpospolitej, umożliwiało mu szantażowanie Rządu RP i wywieranie nacisku na Anglosasów.

W ciągu 1943 r, ukształtowały się ostatecznie dwa ośrodki aspirujące do przejęcia władzy a nie uznające Państwa Podziemnego: z jednej strony NSZ i ich polityczna nadbudowa, z drugiej komuniści. Jednak między partiami "grubej czwórki", Delegaturą i KG AK a NSZ i jego zapleczem politycznym istniała wyraźna i mocna wspólnota postaw. Podobne np. założenia ideologiczne miała kierowana przez Bolesława Piaseckiego Konfederacja Narodu, która wchodziła w skład AK czy SN, które choć często spierało się z socjalistami czy ludowcami, należało do PKP i brało udział w pracach Delegatury. Wszystkim wspólna była idea niepodległego państwa polskiego i jego integralności terytorialnej, choć różnie widziano jego kształt ustrojowy.

PPR zarówno z uwagi na tradycje ideowe tej partii, jak i - a dla wielu przede wszystkim - jej związek z wrogim Polsce mocarstwem, z którego posunięciami zgadzała się posłusznie i otwarcie, oddzielona była od całej konspiracji pogłębiającą się przepaścią, której nie była w stanie zasypać nieliczna i coraz mniej samodzielna lewica socjalistyczna czy pozbawione autorytetu osoby deklarujące się jako "demokraci", "spółdzielcy" lub "radykalni ludowcy". Poparcie społeczne NSZ, choć mniejsze niż to, którym cieszył się ruch ludowy czy Stronnictwo Narodowe, było z pewnością znacznie większe niż PPR. Ale siła polityczna komunistów rosła w miarę, jak zagony pancerne Armii Czerwonej wkraczały na ziemie Rzeczpospolitej.

W warunkach drakońskiej okupacji życie polityczne konspiracji było więc niezwykle zróżnicowane i - paradoksalnie - bardzo wolne. Komendant Główny AK mógł potępić antykomunistyczne ekscesy NSZ, ale ani on, ani Delegat Rządu nie byli w stanie postawić ich autorów przed sądem. Partia komunistyczna, nielegalna przez całe międzywojenne dwudziestolecie, konspirowała teraz na równi ze wszystkimi innymi. Żaden starosta nie mógł zakwestionować artykułu prasowego, choćby był on najbardziej krytyczny wobec rządu czy nawet prezydenta. Skrajna sytuacja, w jakiej wszyscy się znajdowali, wyzwalała też najbardziej radykalne i fantastyczne projekty polityczne (których zresztą i przed Wrześniem w Polsce nie brakowało). Walka polityczna wykraczała nieraz poza ramy - nawet najostrzejszych - polemik i konfliktów, przechodząc do rozprawy fizycznej z przeciwnikami. Mówi się nieraz o początkach "wojny domowej", za przejaw której uznawano mord pod Borowem. Mniej spektakularnych działań tego typu było więcej - np. kierownictwo AL przez pomyłkę "zasypało" Niemcom drukarnię pepeerowską zamiast akowskiej. Zdarzały się też akcje odwetowe, a "likwidacja przeciwników" nie oszczędziła osób o lewicowych przekonaniach związanych z centralnymi ogniwami AK.

Można wszakże powiedzieć, że znaczna część sporów i konfliktów była swego rodzaju "podziemiem w podziemiu", szczegóły ich nie docierały do społeczeństwa, nawet sporego odłamu konspiratorów zaangażowanych w działalność zbrojną czy sabotażową. Tym, co kształtowało obraz Polski Podziemnej - i tej z "obozu rządowego" i tej stojącej poza nim - była walka z okupantem: wojskowa i cywilna. Najbardziej spektakularne były wielkie "akcje kolejowe", takie jak "Wieniec I" (7ż8ş8 października 1942 r.) i "Wieniec II" (w noc sylwestrową tego samego roku). Emocje budziły zamachy na czołowe osobistości aparatu represji, niezależnie od tego, czy kończyły się powodzeniem (m.in. na SS-Gruppenf□hrera Krugera, gen. Kutscherę czy wysokiego oficera policji Koppego), a także odbijanie więźniów, z najsłynniejszą akcją pod warszawskim Arsenałem. Od lata 1943 r. nasilały się też akcje oddziałów partyzanckich różnych formacji, a w okresie mobilizacji związanej z nadciąganiem frontu dochodziło na Lubelszczyźnie do poważnych bitew z regularnymi jednostkami niemieckimi, które "czyściły" teren na zapleczu frontu. Działalność dywersyjna i sabotażowa była nie tylko wkładem Polski do wysiłku militarnego antyniemieckiej koalicji, ale także niezwykle ważnym czynnikiem kształtującym postawy społeczne, wzmacniającym bierny opór, wpływającym na autorytet państwa i stopień lojalności wobec niego. Oddziaływanie to było brane pod uwagę przez twórców ZWZ, a szczególnie jego rolę podkreślał gen. Rowecki. "Zewnętrznym" świadectwem zasięgu zorganizowanego oporu była prasa konspiracyjna istniejąca od, pierwszych dni okupacji. Zrazu były to w większości dosyć prymitywnie powielane gazetki, ale z czasem niektóre wydawnictwa zdobyły dobre zaplecze poligraficzne. W 1939 r. ukazało się ponad 30 tytułów, w 1940 r. nie mniej niż 250. w 1941 ok. 320, w 1942 r. blisko 400, w 1943 r. ponad 500, a rok później około 600. Łącznie wydano co najmniej 1500 tytułów. Znaczna większość wydawana była pod okupacją niemiecką, ale nielegalne gazetki ukazywały się też w latach 1939-1941 na ziemiach wschodnich. Najpotężniejszym wydawcą było środowisko ZWZ-AK, które wydawało co najmniej 250 tytułów, a więc niemal co szósta gazetka konspiracyjna ukazywała się pod tymi barwami. Wobec niskiego poziomu czytelnictwa na wsi

swoistym fenomenem była prasa ruchu ludowego, licząca ok. 170 tytułów. PPS-WRN i inne grupy socjalistyczne wydawały ponad 100 pism, a szeroko pojmowany obóz narodowy nie mniej niż 120. Dużą wagę do prasy przykładali komuniści wydający łącznie ok. 200 tytułów.

Nader często decyzja o wydawaniu gazetki była pierwszym działaniem konspiracyjnym i zaczątkiem grupy formującej się w trakcie zbierania materiałów (nasłuch radiowy był głównym źródłem informacji), drukowania ich i kolportażu. Znakomita większość pism konspiracyjnych miała charakter na równi informacyjny i propagandowy, ale każde większe środowisko polityczne dążyło do posiadania pisma programowo-ideowego, tajne wojsko wydawało zaś wiele pism fachowych. Istniała garść pism społeczno-kulturalnych, satyrycznych, dziecięcych, a same organizacje harcerskie wydawały ok. 50 tytułów. Funkcjonowały "gazetki dla gazetek", czyli serwisy informacyjne, ukazywały się pisma dla jeńców francuskich i dla Anglików. Specyficzną grupę stanowiły wydawnictwa specjalnego zespołu propagandy dywersyjnej (Akcja "N" KG AK) w języku niemieckim przeznaczone dla żołnierzy Wehrmachtu. W gettach - głównie warszawskim - także istniała prasa konspiracyjna sięgająca 50 tytułów, w tym większość ukazywała się po polsku. Niemal wszystkie organizacje konspiracyjne posiadały swoje komórki prasowe, najczęściej połączone z agendami propagandowymi. Największą z nich było Biuro Informacji i Propagandy KG AK, wywodzące się jeszcze z SZP, które wydawało najbardziej popularną gazetkę - założony w początkach listopada 1939 r. przez Aleksandra Kamińskiego "Biuletyn Informacyjny". "BI" na przełomie 1942 i 1943 r. przekroczył 20 tys. jednorazowego (tygodniowego) nakładu, a rok później drukował ok. 40 tys. Przy zbieraniu informacji, redagowaniu, drukowaniu (powielaniu) i kolportażu prasy konspiracyjnej zaangażowane były dziesiątki tysięcy osób - armia zapewne większa niż ta, która podejmowała działalność zbrojną czy dywersyjną. Redaktorzy, drukarze czy kolporterzy narażeni byli na równie wielkie niebezpieczeństwa, jak walczący z bronią w ręku.

Prasa konspiracyjna miała być także antidotum na wydawane przez okupantów pisma w języku polskim. Ten "opozycyjny" charakter nielegalnych gazetek mniej był widoczny pod okupacją radziecką, gdzie zarówno zsowietyzowana prasa polska, jak i druki nielegalne były stosunkowo nieliczne. W GG natomiast władze niemieckie przykładały do działalności prasowej duże znaczenie. Przez ponad 5 lat okupacji niemieckiej ukazywało się wprawdzie tylko kilkadziesiąt pism - zwanych popularnie "gadzinówkami" - ale było wśród nich kilkanaście dzienników, a ich łączny nakład jednorazowy sięgał (w 1942 r.) 400 tys. egzemplarzy. Rekordy, porównywalne do największych nakładów przedwojennych dzienników, bił "Nowy Kurier Warszawski" wydawany w 200 tys. egzemplarzy. Mimo ponawianych apeli i haseł nie udało się konspiracji doprowadzić do widocznego bojkotu "gadzinówek".

Prasa tajna tworzyła otoczkę społeczną dla zorganizowanego ruchu oporu, choć rzeczywisty zasięg jej czytelnictwa nie jest chyba możliwy do oszacowania. Pełniła także bardzo istotne funkcje wewnątrz samej konspiracji jako podstawowe - a właściwie zasadnicze i nieomal jedyne - forum wymiany poglądów, polemik i walk politycznych. Był więc ruch oporu strukturą niezwykle złożoną i wewnętrznie zróżnicowaną. Wielkim organizacjom towarzyszyły parunastoosobowe grupy; występował pełny wachlarz postaw i poglądów politycznych (po trockistów włącznie); działały związki o

charakterze czysto wojskowym, partie posiadające własne oddziały i takie, które ograniczały się do działalności wyłącznie politycznej i agitacyjnej. Wiele działań propagandowych (napisy na murach, ulotki) i sabotażowych podejmowanych było przez pojedyncze, nigdzie nie zorganizowane, osoby. Szacuje się, że w różnych formach oporu zorganizowanego uczestniczyło około pół miliona osób, a działania indywidualne czy udzielanie dorywczej pomocy konspiratorom podejmowało znacznie więcej.

Konspiracja docierała wszędzie: w więzieniach istniały komórki wywiadu i pomocy, zorganizowane były grupy oporu w obozach koncentracyjnych, jenieckich i wśród robotników przymusowych, silnie spenetrowana była policja "granatowa", nie mówiąc już o urzędach. Systematyczną działalność konspiracyjną podejmowały wszystkie grupy i warstwy społeczne, choć oczywiście najlepsze warunki istniały w dużych miastach. Niektóre środowiska angażowały się niemal w całości - takim fenomenem była aktywność harcerstwa, które dało tysiące bojowców i było głównym wykonawcą akcji "małego sabotażu". Istotnym, choć z natury rzeczy elitarnym, elementem oporu była działalność kulturalna: ukazywały się tomiki wierszy, organizowano tajne spektakle teatralne i koncerty. Spora część Polaków żyła podwójnym życiem, a to nielegalne było najważniejsze - zarówno dla elewów tajnych podchorążówek, dla poetów recytujących swoje wiersze, dla nauczycieli tajnych kompletów, dla kolporterów, jak i dla osób, które "tylko" dawały swoje mieszkania na skrzynki kontaktowe.

Polacy wobec mniejszości narodowych

Warunki konspiracyjne, zadawnione urazy i wytrwale utrzymujące się stereotypy, postawy przeważające lub najbardziej widoczne wśród mniejszości narodowych II Rzeczpospolitej, a także polityka niemiecka (w pewnym stopniu też i radziecka na ziemiach wschodnich) powodowały, że polski ruch oporu - jakkolwiek nie bez znaczących wyjątków - stanowił całość dość zamkniętą w sobie.

Na ziemiach wschodnich do wybuchu wojny radziecko-niemieckiej nie utrzymywał w zasadzie żadnych kontaktów z niepodległościowymi środowiskami ukraińskimi (były one zresztą wówczas raczej słabe). Po czerwcu 1941 r. kontakty między partyzantką polską a radziecką opierały się - w najlepszym razie - na wzajemnej tolerancji, a przypadki walk były bez porównania częstsze niż współpracy. W istocie toczyła się tam "druga wojna" między Polakami a Ukraińcami - w mniejszym stopniu polsko-litewska - którą starali się częściowo kontrolować Niemcy i w której osobną stroną była partyzantka radziecka. Jedynie Białorusini, pozbawieni w istocie własnego ruchu oporu, chętniej przyłączali się do oddziałów AK.

Najważniejsze, nie tylko z polskiego punktu widzenia, były stosunki polsko-ukraińskie, ale żadna ze stron nie była skłonna do nawiązania kontaktów. Stały się szczególnie istotne od końca 1942 r., gdy coraz liczniejsza była antyniemiecka konspiracja ukraińska (UPA), a ZSRR coraz bardziej drastycznie podkreślał swoje aspiracje do ziem wschodnich Rzeczpospolitej. Pierwsze oficjalne deklaracje polskie (uchwała Rządu RP z 31 marca 1943 r.) mieściły się w obrębie stanowiska uznającego równe prawa

dla wszystkich narodów zamieszkujących Polskę, co nie mogło satysfakcjonować ukraińskich niepodległościowców. Mimo starań niektórych polityków emigracyjnych nie wprowadzono też reprezentanta Ukraińców - tak jak uczyniono to w stosunku do Żydów - do Rady Narodowej RP. Latem 1943 r. rozpoczęło się krwawe "oczyszczanie" Wołynia i Małopolski Wschodniej z ludności polskiej, a apel KRP "Do narodu ukraińskiego" spotkał się z głuchym milczeniem.

Słabymi nitkami, ale jednak połączona z polską była konspiracja żydowska, działająca w skrajnych warunkach. Jej zaczątkiem był niewielki Żydowski Związek Wojskowy (ŻZW) utworzony w grudniu 1939 r. w Warszawie. W 1940 r. wznowiły działalność niektóre partie polityczne i organizacje społeczne (głównie młodzieżowe) - Bund, Hechaluc, Poalej Syjon, Syjoniści, Cukunft. W miarę jak coraz bardziej jasny stawał się straszliwy los ludzi zamkniętych w gettach, środowiska żydowskie więcej uwagi poświęcały przygotowaniom wojskowym i silniejsze były wśród nich tendencje do koordynowania działalności. W listopadzie 1942 r. powstał Żydowski Komitet Narodowy, zrzeszający sześć partii, który wspólnie z Bundem powołał Komisję Koordynacyjną. Współpracujące organizacje utworzyły 2 grudnia 1942 r. Żydowską Organizację Bojową (ŻOB), której zalążkiem były grupy bojowe Hechaluc istniejące od lata tegoż roku. ŻZW od chwili powstania utrzymywał kontakty z polskim podziemiem, co wynikało z faktu, iż jego organizatorami byli m.in. zawodowi oficerowie-Żydzi. Komendant Główny AK uznał ŻOB za stowarzyszoną organizację paramilitarną, ale pomoc, jakiej mógł udzielić, była raczej mizerna. Kontakty z konspiracją w getcie warszawskim miała też GL.

Powstanie w getcie warszawskim, największy, ale nie jedyny, zryw zbrojny Żydów, nie było przewidziane w doktrynie powstańczej ani planie powstania powszechnego opracowanym przez KG AK. Nie wybuchło też z rachubą na sukces. było w swej istocie wyrazem poczucia godności narodowej, tym dla zdesperowanej młodzieży ważniejszym, iż miliony ludzi marły i szły na okrutną śmierć bez słowa protestu i przy powszechnej obojętności polskiego otoczenia skupionego na własnym losie, a w znacznym procencie niechętnego lub nawet wrogiego Żydom. Walki wybuchły 19 kwietnia 1943 r., gdy oddziały niemieckie przystąpiły do "oczyszczania" getta. Na czele walczących grup ŻOB stał Mordechaj Anielewicz, a głównym oddziałem ŻZW dowodził Dawid Apfelbaum. Nieliczne grupy Kedywu, Socjalistycznej Organizacji Bojowej i GL starały się udzielić pomocy powstańcom, ale przecież nikt z walczących nie liczył na zwycięstwo. Celem walki była honorowa śmierć.

Walka trwała parę tygodni, a momentem przełomowym było wykrycie bunkra, w którym mieściła się komenda ŻOB - wszyscy jej członkowie popełnili samobójstwo. Nielicznym bojowcom udało się wyrwać z getta. Część z nich utworzyła oddziały partyzanckie, inni weszli do polskich jednostek, a oddział ŻOB Icka Cukiermana walczył potem w Powstaniu Warszawskim. Powstanie, mimo apeli rządu polskiego i desperackiego gestu członka Rady Narodowej RP w Londynie Szmula Zygielbojma, który, aby wstrząsnąć opinią światową, popełnił 13 maja samobójstwo, nie wywołało żadnej reakcji aliantów, podobnie jak cała hekatomba Zagłady, o której polskie władze wielokrotnie informowały przywódców zachodnich demokracji.

Wojna i okupacje, tak drastycznie i tragicznie zmieniając stosunki narodowościowe na ziemiach Rzeczpospolitej, nic właściwie nie zmieniły we

wzajemnym odnoszeniu się narodów je zamieszkujących. Można sądzić, że pogłębiły istniejące uprzednio konflikty i niechęci, a nawet dorzuciły nowe wywołane czy to rzeziami na wschodzie, czy rozżaleniem Żydów, którzy czuli się rozpaczliwie osamotnieni w trwającej kilka lat Zagładzie. Pogłębianiu się przepaści nie zapobiegły ani efemeryczne i skazane na niepowodzenie próby rozmów polsko-ukraińskich, ani fakt, że tysiące Polaków zostały zamordowane za udzielanie pomocy lub schronienia uciekinierom z gett. Nie była zresztą Polska wyjątkiem w okupowanej Europie ani w walczącym świecie: pogłębiły się podziały między Słowakami a Czechami; Chorwaci dokonali rzezi setek tysięcy Serbów; francuscy policjanci "polowali" na Żydów, których mordowali nie tylko Niemcy, ale też faszyści węgierscy; nasilały się bratobójcze walki między czetnikami gen. Mihajlovicia a komunistyczną partyzantką Tity; krwawy odwet za lata reżimu Mussoliniego wzięli w latach 1943-1944 włoscy partyzanci. Wszędzie roiło się od żądnych władzy, mniejszych i większych kolaborantów, donosicieli i pomocników hitlerowskich oberkatów. Taka była ta Epoka Pieców.

Polska - ZSRR: od Kremla do Katynia

Dnia 14 sierpnia 1941 r. podpisana została w Moskwie umowa wojskowa, wzorowana na umowach zawartych uprzednio z Francją i Wielką Brytanią. Dowódcą powołanej Armii Polskiej w ZSRR mianowany został gen. Władysław Anders, więziony od jesieni 1939 r. na Łubiance, oficer o wielkiej energii i wyobraźni, dzielnie sprawujący się w kampanii wrześniowej, a mający nadto - przynajmniej dla gen. Sikorskiego - także i ten walor, że w czasie zamachu majowego występował po stronie legalnego rządu. Biorąc pod uwagę liczbę żołnierzy zagarniętych we wrześniu 1939 r. oraz Polaków wcielonych do Armii Czerwonej i "strojbatalionów", można było spodziewać się, że w głębi ZSRR znajduje się rezerwa pozwalająca na rekrutację co najmniej 200-tysięcznej armii z niemal całym korpusem oficerskim. Umowa opiewała jednak początkowo na 30 tys. racji żywnościowych, a napływ ludzi był znacznie wolniejszy niż sądzono.

Wynikało to, w pewnym stopniu z przyczyn, które - z trudem - można nazwać obiektywnymi: większość Polaków w wieku nadającym się do służby wojskowej znajdowała się nad Peczorą, na Uralu i Syberii i nie było możliwości szybkiego przetransportowania ich w rejony koncentracji armii. Nie brakło jednak, mniej czy bardziej rozmyślnych, oporów ze strony radzieckiej: w wielu obozach i "strojbatalionach" ukrywano przed Polakami fakt tworzenia armii lub na różne sposoby utrudniano im wyjazd. Ważniejsze było jednak co innego: znaczna część jeńców zmarła lub zginęła, a niemal wszyscy oficerowie zostali wymordowani. Strona radziecka unikała odpowiedzi na pytania o los polskich jeńców lub twierdziła, że przetrzymywanych było tylko 20 tys., jeńców, co mniej więcej odpowiadało stanowi w lipcu 1941 r. Także ci, którzy ocaleli, nie byli w stanie udzielić informacji innych niż potwierdzenie, że wiosną 1940 r. wywożono całe grupy z obozów oficerskich i że warunki, w jakich przebywali szeregowcy, były straszliwe. Poszukiwania trwały, ale wiosną 1942 r. stało się jasne, że oficerów już się nie odnajdzie.

Dla strony polskiej oczywiste było, iż nie można ograniczać się do spraw wojska. W grę wchodził również los setek tysięcy "specpieriesieleńców" - najczęściej kobiet i dzieci. Troska o nich zasadniczo spadała na służby cywilne, ambasadę i organizowane przez nią delegatury terenowe, lecz rejony formowania armii były naturalnymi ośrodkami przyciągania, a nadto dawały większą niż gdzie indziej szansę przeżycia kolejnej zimy. Zamiarem gen. Sikorskiego było też ewakuowanie części żołnierzy dla wzmocnienia Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, w czym zainteresowani byli także Brytyjczycy poważnie zaniepokojeni sytuacją militarną w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie.

Odbycie rozmów na najwyższym szczeblu było niezbędne i 30 listopada gen. Sikorski przyleciał do Kujbyszewa, gdzie znajdowała się - wraz z innymi - Ambasada RP. Zanim doszło do spotkania ze Stalinem, rząd radziecki dając wyraźny sygnał co do swoich intencji ogłosił, iż za obywateli polskich uważa tylko Polaków. W decyzji tej chodziło nie tylko o wykluczenie z rekrutacji do wojska i spod opieki konsularnej wielkiej rzeszy Żydów, Białorusinów czy Ukraińców, ale przede wszystkim o potwierdzenie zwierzchności nad ziemiami wcielonymi w 1939 r. Dwa dni później, 3 grudnia, odbyła się pierwsza rozmowa, a następnego dnia bankiet i podpisanie wspólnej deklaracji. Uzgodniono, iż armia polska obejmie sześć dywizji, ośrodki koncentracji zostaną przeniesione ku południowi (do Uzbekistanu i Kirgizji), a ZSRR przyznał 100 mln rubli pożyczki na pomoc dla ludności cywilnej. Stalin zgodził się też na ewakuację na Bliski Wschód 25 tys. żołnierzy. Nie został wyjaśniony los oficerów, nie zmieniono statusu obywateli polskich niepolskiego pochodzenia. A co ważniejsze, kremlowski gospodarz zignorował całkowicie polskie próby nawiązania do sprawy granic. Przed swymi brytyjskimi sojusznikami nie ukrywał jednak, iż nie zamierza ustąpić z ziem zagarniętych w 1939 r., czego ci nie przekazali Sikorskiemu. Min. Eden relacjonując polskiemu premierowi rozmowy, które odbył w Moskwie, nie wspomniał o stanowisku ZSRR w sprawie integralności terytorialnej alianta.

W czasie gdy gen. Sikorski, po zakończeniu mało owocnych rozmów w stolicy ZSRR, wizytował formujące się polskie dywizje, na arenie światowej zaszły wydarzenia o konsekwencjach znacznie wykraczających poza sprawy tej jednej wojny, jakby nie była ona krwawa i trudna. 7 grudnia Japończycy zaatakowali amerykańską flotę na Pacyfiku w bazie Pearl Harbour na Hawajach, a cztery dni później Hitler podpisał na siebie wyrok śmierci, wypowiadając wojnę największej potędze gospodarczej globu - Stanom Zjednoczonym. Konflikt do tej pory w gruncie rzeczy europejski stał się globalny. Poczęty został - a powicie miało niebawem nastąpić - nowy układ sił na świecie, który przez kilka dziesięcioleci kształtować miał bieg wydarzeń od Arktyki po Antarktydę. Zapewne niewielu obserwatorów zdawało sobie wówczas z tego sprawę. Dla większości, w tym też dla Polaków, bezpośrednie zaangażowanie się Stanów Zjednoczonych oznaczało przede wszystkim niepomierne zwiększenie szans sojuszu antyhitlerowskiego. Politycy polscy, a w każdym razie premier i jego zwolennicy, sądzili także, iż "największa demokracja świata" - a w szczególności prezydent Roosevelt - będą orędownikami wszystkich spraw słusznych.

Choć stosunki polsko-radzieckie nie należały bynajmniej do serdecznych, a wiele oznak wskazywało na to, że ich poprawa nie będzie wcale sprawą łatwą,

fakt, iż w ciągu 1942 r. ulegały wyraźnemu zaostrzeniu, budził coraz poważniejszy niepokój. Przyczyniało się to także do powstawania kolejnych napięć wśród samych Polaków. Gen. Anders, wyrażając niewątpliwie obawy i urazy znacznej części - jeśli nie wyraźnej większości - swoich żołnierzy, nie zgadzał się na wprowadzenie do walki pojedynczych jednostek, jeszcze niedostatecznie wyposażonych i składających się z ludzi, którzy tak niedawno słaniali się z głodu, a nadal podatni byli na choroby mające za podłoże nędzę i więzienie. Żołnierze, rekrutujący się w wielkim stopniu z mieszkańców ziem wcielonych do ZSRR, żyli też w nieustannej obawie i trosce o swoje rodziny, które wegetowały w straszliwych warunkach, a pomoc z ambasady nie do wszystkich docierała. Coraz bardziej popularna była więc koncepcja ewakuacji armii, a to, z kolei, byłoby niemożliwe do zaakceptowania bez "zabrania" ze sobą rodzin, swoich czy krajanów.

Tendencje te współgrały - nie zawsze w sposób świadomy - z tymi opiniami, w których ogniskowała się daleko idąca nieufność wobec Rosji (każdej), rezerwa wobec wchodzenia w układy sojusznicze z ZSRR, a w tym krytyka polityki gen. Sikorskiego. Sam premier skłonny był, jak się wydaje, podtrzymywać swoje dotychczasowe koncepcje strategiczne. Choć był przeciwny szafowaniu krwią polskich żołnierzy, uważał, że wystawienie silnej armii na froncie wschodnim i wojskowa obecność wśród wojsk sojuszniczych tam, gdzie są one bezpośrednio zaangażowane (Morze Śródziemne, Europa Zachodnia), będzie ważnym atutem w rozgrywkach międzynarodowych. Stąd popierał koncepcję częściowej ewakuacji i 10 marca 1942 r. wyraził zgodę na wyjście do Iranu wszystkich jednostek ponad ówczesny limit racji żywnościowych przyznanych przez Stalina (44 tys. porcji). Pierwsze transporty wyruszyły 24 marca i do 3 kwietnia z Krasnodaru odpłynęło 24 tys. wojskowych (bez broni) oraz 10 tys. osób cywilnych (w tym 3 tys. dzieci). W rejonach koncentracji pozostawało jeszcze ok. 40 tys. żołnierzy. Ani ich dowódca, ani oni sami nie chcieli pozostać w ZSRR. Przemieszczeniem wojska żywotnie byli zainteresowani Brytyjczycy, znajdujący się pod wrażeniem sukcesów Afrika Korps gen. Rommla (21 czerwca 1942 r. padł Tobruk).

Kierownictwo Kremla uznało, że z politycznego punktu widzenia nieobecność armii polskiej na froncie wschodnim będzie dla ZSRR dogodniejsza: rozwiązywał się problem nie chcianego sojusznika, co - w ich przekonaniu - zwalniało z jakichkolwiek zobowiązań wobec Polski. W dniach 10-31 sierpnia odbyła się druga faza ewakuacji, w której ZSRR opuściło blisko 70 tys. osób, w tym ok. 25 tys. cywilów. Mimo wyraźnych oporów ze strony radzieckiej zdołało wyjechać też kilka tysięcy Żydów polskich. W sumie poza granicami ZSRR znalazło się ok. 110 tys. osób z ok. 1 mln deportowanych, uwięzionych i wcielonych do formacji radzieckich. W głębi Kraju Rad znajdowało się jeszcze - wedle szacunków Ambasady RP - ok. 680 tys. osób. One właśnie stały się pierwszymi ofiarami "oziębienia" stosunków polsko-radzieckich, gdyż w drugiej połowie 1942 r. władze administracyjne i NKWD ograniczały działalność polskich placówek opiekuńczych - a było ich kilkaset - aresztowały znaczną część ich pracowników, blokowały dostawy. Wstrzymały też całkowicie napływ ochotników do armii, a placówki rekrutacyjne zostały zlikwidowane.

Gen. Sikorski bezskutecznie przekonywał polityków brytyjskich o konieczności wsparcia polskiego stanowiska. Tak samo niczym skończyły się rozmowy z Rooseveltem, które premier przeprowadził w Waszyngtonie w marcu

1942 r. Armie niemieckie dotarły do Wołgi i na Kaukaz, ważyły się losy nie tylko frontu wschodniego, ale całej wojny i sojusznicze mocarstwa nie zamierzały zrobić niczego, co mogłoby podważyć alians ze Stalinem. Polskie propozycje otwarcia drugiego frontu na Bałkanach i sugestie dotyczące federalizacji Europy Środkowo-Wschodniej Amerykanie odsyłali do Brytyjczyków, ci zaś najwyraźniej uznali już prymat ZSRR w tym rejonie i troszczyli się bardziej - rzecz naturalna - o swoje interesy na Bliskim Wschodzie i w Azji niż o los Polski. Toczyła się bitwa o Stalingrad i jej wynik był ważniejszy: przełamanie frontu mogło oznaczać nie tylko opanowanie Zakaukazia i utratę zasobów ropy naftowej w Iranie i Iraku, ale także całkowite załamanie się Armii Czerwonej i wyeliminowanie z wojny ZSRR. Ta wizja towarzyszyła zresztą już od dawna gen. Andersowi i była jednym z powodów, dla których wyprowadził swoje wojska. Stalin łatwo szermował argumentem o "ucieczce" Polaków, a Anglicy uważali ich za pozbawionych realizmu: "Gen. Sikorski - mówił Eden - jest rozsądniejszy niż większość Polaków, a mimo to niewiele się nauczył".

Polityka radziecka stwarzała zaś wciąż nowe fakty dokonane i nie zapobiegły im ani podróże polskiego premiera, ani obecność na stanowisku ambasadora zawodowego dyplomaty Tadeusza Romera, który zastąpił wrogo przez Rosjan traktowanego Stanisława Kota, ani niezwykle ciężkie położenie Armii Czerwonej. 19 stycznia 1943 r. władze ZSRR ogłosiły, iż uważają za obywateli radzieckich wszystkich mieszkańców ziem anektowanych w 1939 r., także Polaków. Oznaczało to nie tylko pozbawienie ich - coraz bardziej iluzorycznej - pomocy ze strony ambasady, ale potwierdzało raz jeszcze, iż granice z radziecko-niemieckiego traktatu "o przyjaźni" Moskwa uznaje za nienaruszalne. Po krótkim okresie poprawności z późnego lata i jesieni 1941 r. stosunki polsko-radzieckie zbliżały się do punktu krytycznego. W marcu 1943 r. wicepremier Mikołajczyk, w depeszy do swych partyjnych kolegów z konspiracyjnego ruchu ludowego, pisał, że zerwanie ich "nie jest wykluczone [...] nawet w najbliższych dniach".

Stało się to faktem kilka tygodni później. 13 kwietnia radio berlińskie podało wiadomość o odkryciu w Katyniu (koło Smoleńska) zbiorowych grobów oficerów polskich, jeńców z obozu w Kozielsku. Początkowe niedowierzanie zmieniało się w szok. 15 kwietnia gen. Anders depeszował do Londynu, aby rząd domagał się zajęcia stanowiska przez Moskwę i przypominał, iż w 1941 r. wiele miesięcy nadaremnie poszukiwano tych jeńców i żądano jakiejkolwiek informacji na ich temat. Tego samego dnia radio Moskwa ogłosiło komunikat obarczający winą za katyńską masakrę Niemców, choć decyzję o rozstrzelaniu podjęli osobiście - i potwierdzili to podpisami na wniosku przedstawionym przez Berię - zarówno Stalin, jak i Mołotow. 16 kwietnia polskie Ministerstwo Obrony Narodowej wydało komunikat stwierdzający konieczność zbadania sprawy "przez odpowiedzialne czynniki międzynarodowe", a Rząd RP zwrócił się o dokonanie tego do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie. Tego samego dnia z podobnym wnioskiem wystąpił do Genewy niemiecki Czerwony Krzyż.

Zachodni alianci, a osobiście premier Churchill, nie zwlekali z wywieraniem nacisku na Polaków, pragnąc skłonić ich do umiarkowania i niewnoszenia sprawy na forum międzynarodowe. Ale nawet gen. Sikorski, tak często skłonny do ustępstw pod presją Anglików, nie uważał za możliwe ani zaniechania tej sprawy, ani tym bardziej przyjęcia stanowiska Kremla.

Upewniały go w tym depesze nadchodzące z kraju, w których na podstawie wiadomości od wiarygodpych świadków potwierdzano prawdziwość niemieckiego komunikatu. W oficjalnym wystąpieniu Rząd RP odmówił Niemcom prawa "do czerpania ze zbrodni, które zarzuca innym, argumentów w obronie własnej", ale nie wycofał wniosku do MCK. Propaganda radziecka uderzyła w wielki dzwon uznając, że stanowisko polskie poświadcza wpływy "elementów prohitlerowskich"w rządzie gen. Sikorskiego. Zgodnie z kremlowskimi obyczajami, w nocy z 24 na 25 kwietnia min. Mołotow wezwał polskiego ambasadora i odczytał mu dość obszerną notę, która kończyła się stwierdzeniem, że postanowiono "prierwat" stosunki z Polską. Mimo depesz Churchilla i Roosevelta "chytry Gruzin" nie zmienił swojej decyzji. 5 maja amb. Romer opuścił ZSRR.

W cieniu Teheranu

Choć wybór momentu podjęcia decyzji podyktowany został straszliwym odkryciem dokonanym przez Niemców, Stalin natychmiast wykorzystał nadarzającą się okazję postawienia kropki nad "i" w swej polityce wobec Polski. Wprawdzie grupa oficerów z Małachowki po podpisaniu umowy Sikorski-Majski została skierowana do gen. Andersa, a polscy komuniści, którzy w lipcu 1941 r. ogłosili w Homlu wezwanie do organizowania partyzantki "we wszystkich zakątkach Polski", nie zyskali żadnego oficjalnego poparcia, niemniej już jesienią 1941 r. strona radziecka podjęła przygotowania do stworzenia własnego zaplecza wśród Polaków uruchamiając polskojęzyczną rozgłośnię radiową (im. Tadeusza Kościuszki). W maju 1942 r, wznowiono "Nowe Widnokręgi", po zakończeniu zaś drugiej ewakuacji komendant bazy załadunkowej w Kisłowodsku ppłk Berling na polecenie NKWD zdezerterował i pozostał w ZSRR. W grudniu zjawił się w Moskwie, gdzie złożył zamówiony memoriał w sprawie organizowania armii polskiej: adresatem był Wsiewołod N. Mierkułow, najbliższy współpracownik Berii i szef NKGB. Nie było przypadkiem, iż ten właśnie organ aparatu radzieckiego był inspiratorem i kontrolerem.

Wprawdzie w tej wielkiej wojnie każdy karabin był cenny, sprawa miała jednak charakter polityczny, a nie militarny. Równolegle toczyły się bowiem przygotowania po innej linii, formalnie związanej z Kominternem. 1 marca 1943 r. powstał w Moskwie komitet organizacyjny Związku Patriotów Polskich (ZPP), na którego czele stanęła, znana już z działalności we Lwowie, Wanda Wasilewska, od sierpnia 1941 r. pułkownik Armii Czerwonej, żona Aleksandra Kornijczuka, wiceministra spraw zagranicznych ZSRR. Tydzień później ukazał się pierwszy numer organu ZPP "Wolna Polska", w którym uznano przynależność kresów wschodnich do ZSRR. W ciągu dwóch tygodni od zerwania stosunków z Polską odbyło się kilka narad z udziałem enkawudzisty gen. Żukowa, dawnego pełnomocnika ds. formowania armii polskiej. 8 maja ogłoszony został komunikat o rozpoczęciu formowania Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, a 9-10 czerwca odbył się w Moskwie I zjazd ZPP.

Stalin rzucił Polsce - i Polakom - jawne wyzwanie. Był to także sygnał dla zachodnich sprzymierzeńców, że ZSRR będzie kształtował sytuację w Europie wedle swoich interesów. Wzmocnieniem tego sygnału było utworzenie w

sierpniu 1943 r. komitetu "Wolne Niemcy" - w którym obok komunistów znaleźli się też wybrani spośród jeńców oficerowie - oznaczające, iż aspiracje radzieckie mogą sięgać daleko na zachód od "linii Curzona". Wszystko to, w połączeniu z euforią, jaką wzbudziło błyskotliwe zwycięstwo pod Stalingradem i wzięcie do niewoli całej armii feldmarszałka von Paulusa, przy zaangażowaniu Amerykanów na Pacyfiku i braku frontu zachodniego w Europie, stawiało groźne znaki zapytania co do losów Polski, choć wciąż można było uważać, że chodzi "tylko" o ustępstwa terytorialne. Niewątpliwie zgoda Polski na utratę ziem wschodnich mogłaby rozładować napięcie, ale decyzja taka była praktycznie niemożliwa, gdyż nie tylko godziła w imponderabilia suwerennego państwa, uczestnika antyniemieckiej koalicji, ale oznaczałaby także Polskę słabą, małą i już tylko przez to podatną na wszelkie naciski wschodniego sąsiada.

Nie było ani w kraju, ani na obczyźnie odpowiedzialnego polityka czy dowódcy wojskowego, który mógłby - i chciał - nie tylko podjąć, ale nawet zaproponować taką decyzję. Niemniej wzajemna nieufność między stronami w polskim, wewnętrznym sporze narastała, tym bardziej że zarówno gen. Anders, jak i większość żołnierzy i oficerów skoncentrowanych na Bliskim Wschodzie popierała polityków krytycznych wobec premiera. Dla zażegnania konfliktu między Naczelnym Wodzem a dowódcą i żołnierzami największego polskiego zgrupowania bojowego - a także wobec spodziewanej inwazji na południu kontynentu (12 maja 1943 r. armia niemiecka w Afryce definitywnie skapitulowała) - gen. Sikorski udał się na Bliski Wschód. 27 maja odbył pierwszą rozmowę z gen. Andersem, a w dniach 1-17 czerwca inspekcjonował oddziały stacjonujące w Iraku. Bez większych problemów uzgodniono działania mające na celu sformowanie II Korpusu, spotkania z wojskiem przebiegały w dobrej atmosferze, a osobisty kontakt między obu generałami wyraźnie rozładował napięcia istniejące między nimi, choć premier nie ukrywał, iż nadal liczy na pewną elastyczność Stalina i nacisk aliantów na ich radzieckiego sprzymierzeńca.

Nie było mu jednak dane poznać owoców swych rozmów z przyszłym zdobywcą Monte Cassino: późnym wieczorem 4 lipca 1943 r., w drodze powrotnej do Londynu, samolot wiozący premiera-Naczelnego Wodza, tuż po starcie z brytyjskiej bazy w Gibraltarze runął do morza. W katastrofie zginął gen. Sikorski, jego córka Zofia, szef jego sztabu, szef oddziału operacyjnego sztabu, oficer łącznikowy między premierami polskim i brytyjskim i inne towarzyszące osoby. Z załogi liberatora ocalał tylko, ranny, pierwszy pilot, Czech Eduard Prchal. Choć podejmowano liczne próby ustalenia przyczyn katastrofy, a także poszukiwania ewentualnych inspiratorów sabotażu - zarówno w oficjalnych śledztwach brytyjskich i polskich, jak i w badaniach mniej lub bardziej naukowych - do tej pory nie zdołano stwierdzić z całą pewnością, co było bezpośrednią przyczyną wypadku. Nie znaleziono też jednoznacznych potwierdzeń hipotezy zamachu.

Jakiekolwiek były przyczyny - katastrofa czy dywersja - śmierć gen. Sikorskiego była poważnym ciosem dla Polski. Premier cieszył się znacznym prestiżem międzynarodowym utrwalonym niezależnością poglądów, którą wykazywał jeszcze przed wojną. Dla Polaków w kraju - nawet i dla niechętnych mu oficerów i żołnierzy na obczyźnie - był symbolem polskiego oporu i wytrwałości. Bardziej niż prezydent utożsamiany był z Polską Walczącą. Jego nagłe odejście otwierało pole do walk wewnętrznych, które

komplikowały sytuację i to w momencie tak krytycznym: po zerwaniu przez Stalina stosunków dyplomatycznych i ujawnieniu przez Kreml swych faktycznych intencji co do przyszłości państwa polskiego. O ile trudno dywagować co do biegu spraw polskich na arenie międzynarodowej pod nieobecność gen. Sikorskiego - nie wiemy przecież, jak by postępował w konkretnych sytuacjach, ani nawet, jaką linię polityczną by przyjął - o tyle na polskim forum wewnętrznym skutki jego śmierci były oczywiste i nieomal natychmiastowe.

5 lipca, po dotarciu do Londynu wiadomości o gibraltarskiej tragedii, urzędowanie rozpoczął dotychczasowy wicepremier Mikołajczyk, co stało się za wiedzą i zgodą prezydenta. Przeciwnicy gen. Sikorskiego - i jego linii politycznej - uznali, iż nadarzyła się dobra sposobność, aby nie tylko doprowadzić do pożądanych dla siebie zmian personalnych, ale także co najmniej poważnie skorygować dotychczasową politykę. Niektóre zmiany były oczywiste: Mikołajczyk miał wprawdzie za sobą udział w Powstaniu Wielkopolskim i kampanii 1920 r., ale był przecież zaledwie "starszym strzelcem" i nie mógł objąć stanowiska Naczelnego Wodza. Już w pierwszej rozmowie prezydent Raczkiewicz stwierdził, że ma zamiar powołać do tej funkcji gen. Sosnkowskiego. Przywódca ludowców ostro się temu przeciwstawił, poparli go w tym pozostali członkowie gabinetu, a Brytyjczycy nie omieszkali powiadomić prezydenta, iż mają zastrzeżenia do wysuwanej przez niego kandydatury. Doszło do otwartego konfliktu i przesilenia, które z najwyższym trudem - dzięki mediacji socjalistów i naciskowi Anglików - rozwiązano.

Mikołajczyk, jako zdecydowany zwolennik kontynuowania linii gen. Sikorskiego, otrzymał misję utworzenia rządu, a Naczelnym Wodzem, którego kompetencje od przeszło roku były nieco ograniczone, został gen. Sosnkowski. Trudno jednak byłoby mówić o poważniejszym kompromisie politycznym, który uprzednio wymuszał sam tylko autorytet zmarłego premiera. Ani nowy Naczelny Wódz, ani znaczna część najwyższych rangą wojskowych, a tym bardziej liczni polityczni przeciwnicy, nie ukrywali swej wrogości, a nawet lekceważenia dla nowego szefa gabinetu. Widoczny, nawet w okresach względnego "pokoju wewnętrznego" konflikt przerodził się w otwartą walkę, która z biegiem czasu nabierała na ostrości stawała się coraz bardziej bezwzględna. Poza wszystkim działał mechanizm samonapędzającej się sprzeczności poglądów, interesów i ambicji, w wyniku czego między stanowiskami stron poszerzała się przepaść, choć sytuacja nakazywałaby raczej zbieżność i zgodność działań.

Wprawdzie wyczekiwana inwazja na kontynent zaczęła się (na Sycylii) 10 lipca, ale najważniejszym wydarzeniem militarnym z lata 1943 r. na europejskiej scenie wojennej było złamanie przez Armię Czerwoną największej w tej wojnie ofensywy pancernej. 4 sierpnia radzieckie wojska pancerne zakończyły sukcesem kontratak na łuku kurskim. Dwa tygodnie później rozpoczęło się w Quebecu spotkanie Churchill-Roosevelt, na którym przyjęto amerykański plan generalnej inwazji w Europie. Postanowiono, iż odbędzie się ona na wybrzeżu atlantyckim. Zbieżność tych wydarzeń była raczej przypadkowa - sztabowcy amerykańscy dawniej już opracowali ten wariant - ale ich wymowa dla Polski była dość oczywista. jeżeli nie zajdzie jakaś niespodziewana katastrofa, Armia Czerwona wejdzie na ziemie polskie przed zachodnimi sojusznikami.

Scenariusz taki został przyjęty mimo zastrzeżeń brytyjskich. Zgodny był bowiem z długofalowymi planami prezydenta Stanów Zjednoczonych, który wizję świata powojennego opierał na współpracy czterech mocarstw (USA, ZSRR, Wielka Brytania i Chiny), wśród których prym będą wiodły najpotężniejsze gospodarczo Stany Zjednoczone. W tych gigantycznych zmaganiach, które toczyły się na Równinie Rosyjskiej i na Pacyfiku, nie było miejsca na samodzielność mniejszych państw, zwłaszcza takich, które znajdowały się w polu bezpośredniego zainteresowania jednego z mocarstw, a nadto były okupowane. Do tego odnosi się przypadek Polski, tak jak i innych krajów znajdujących się na przedpolu imperialnych ambicji Stalina. Nadzieje gen. Sikorskiego i jego następcy na ugodę ze wschodnim sąsiadem stawały się ułudą. Ale realny był fakt, iż dwadzieścia kilka milionów Polaków żyło na ziemi przodków i nie będzie mogło wyemigrować.

Mikołajczyk i wyraźna mniejszość na emigracji, która go popierała, uznali za konieczne szukanie wszelkich możliwości dojścia do porozumienia ze Stalinem, licząc na wsparcie Anglosasów i nie wykluczając ewentualnych ustępstw terytorialnych. Większość Środowisk przebywających na obczyźnie opowiadała się za twardym trzymaniem się zasad Karty Atlantyckiej - przyjętej przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone jeszcze w sierpniu 1941 r. - która mówiła o nienaruszalności dowojennych granic. Choć opcja ta była w zasadzie bardzo krytyczna wobec mocarstw zachodnich, a gen. Sosnkowski nie wykluczał, że "może nastąpić ostry konflikt między polską racją stanu a brytyjską", jej zwolennicy zakładali jednocześnie, iż to te właśnie mocarstwa przeciwstawią się radzieckiej dominacji. Nawet zbrojnie. Z dużą siłą wróciła na porządek dzienny koncepcja "dwóch wrogów", oczywista przed 22 czerwca 1941 r.

Tymczasem sytuacja militarna i polityczna stawała się dla Polski coraz trudniejsza. Tydzień przed planowaną na 18 października 1943 r. konferencją ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Trójki, która miała przygotować pierwsze spotkanie na szczycie, dywizja - mianowanego przez Radę Najwyższą ZSRR generałem - Berlinga rozpoczęła na Smoleńszczyźnie swój szlak bojowy. Wprawdzie bitwa pod Lenino (12-13 października) była niezwykle krwawym chrztem bojowym i zakończyła się w rzeczywistości niepowodzeniem, chodziło jednak o polityczny wydźwięk pojawienia się na froncie wojsk działających pod egidą komunistów. Wykorzystał to na konferencji Mołotow, któremu Eden mógł odpowiedzieć, że i inne dywizje polskie gotują się do walki. Ale korpus gen. Andersa rozpoczął załadunek w drodze na Półwysep Apeniński dopiero 15 grudnia.

Czas naglił i czuli to wszyscy. 28 października Komendant Główny Armii Krajowej wysłał do Londynu depeszę, w której domagał się instrukcji co do postępowania wobec Armii Czerwonej mającej lada miesiąc wkroczyć na terytorium Rzeczpospolitej. Z kraju żądano, aby decyzje w tej sprawie były "politycznie celowe i historycznie czyste".

Jak trudno jest pogodzić polityczną skuteczność z osądem przyszłych pokoleń, mieli się niebawem przekonać wszyscy polscy politycy i wojskowi. Dokładnie o dzień wcześniej gabinet Mikołajczyka zaakceptował przygotowaną przez gen. Sosnkowskiego instrukcję - był to dokument wielowariantowy, biorący pod uwagę zarówno ewentualność zawarcia separatystycznego pokoju między ZSRR a III Rzeszą, jak i wkroczenie na ziemie polskie wojsk

zachodnich aliantów. W przypadku najbardziej prawdopodobnym - wejścia Armii Czerwonej w warunkach nieuznawania przez Moskwę władz Rzeczpospolitej - instrukcja przewidywała antyniemieckie akcje dywersyjne o celach demonstracyjnych, trwanie w konspiracji wobec wyzwoliciela-okupanta i stosowanie jedynie działań samoobronnych. Z instrukcji tej przebijały niepokój i niepewność.

Debaty Wielkiej Trójki, a jeszcze bardziej jej decyzje podjęte podczas konferencji, która toczyła się od 28 listopada do 1 grudnia 1943 r. w Teheranie, musiały ten niepokój pogłębić, chociaż wiele spraw na niej postanowionych pozostało tajemnicą. Definitywnie odrzucono brytyjski plan ataku od Włoch i Adriatyku ku linii Wiednia. Ostatniego dnia uzgodniono też - co oficjalnie wobec Polaków zostało potwierdzone dopiero niemal rok później - że wschodnia granica Polski przebiegać będzie mniej więcej wedle linii z traktatu radziecko-niemieckiego, a zachodnia zostanie przesunięta "na linię Odry"; przyjęto też zasadę przesiedleń ludności. Stanowisko Rządu RP, przekazane w dobrze przygotowanym memoriale premiera Mikołajczyka z 16 listopada, zostało zignorowane. Domagano się w nim utrzymania granicy wschodniej wedle postanowień traktatu ryskiego oraz przyznania nabytków na północy i zachodzie, podkreślając, że nie mogą być one traktowane jako rekompensata za ewentualne odstąpienie ZSRR ziem wschodnich. W debatach teherańskich nie uczestniczył oczywiście przedstawiciel Polski, nawet w charakterze eksperta, podobnie jak nie zaproszono do stolicy Iranu ani gen. Charlesa de Gaulla, ani nawet reprezentantów Chin, które miały być wnet uznane za "wielkie mocarstwo". Z polskiego punktu widzenia był to dyktat. Ale tak było i żadne gesty, a nawet czyny, nie mogły temu zapobiec. W nocy z 4 na 5 stycznia 1944 r. czołówki Armii Czerwonej wkroczyły - po raz drugi od 17 września 1939 r. - na terytorium Rzeczpospolitej. Tym razem jako wróg wroga i jako sprzymierzeniec sprzymierzeńców Polski. A więc czym były dla Polaków?

Prawdę powiedziawszy nie były to pierwsze oddziały radzieckie, które tu działały. Co najmniej od Jata 1942 r., a ze szczególnym natężeniem od wiosny 1943 r., północno-wschodnie kresy nasycone były radziecką partyzantką, koordynowaną i zaopatrywaną zza linii frontu, a wypełniającą zadania zarazem wojskowe, jak i polityczne. Pojawienie się jednostek regularnej armii stwarzało jednak zupełnie nową sytuację. Wobec nieustępliwego stanowiska Rządu RP w sprawie granicy wschodniej i narastających raczej niż temperowanych ambicji Stalina, nieuchronna była eskalacja konfliktu. Wprawdzie polskie oświadczenie (6 stycznia) zostało pod brytyjskim naciskiem nieco złagodzone, ale deklaracja radziecka (z 11 stycznia) jednoznacznie uznawała prawomocność "wyborów" z 1939 r. Publiczna wymiana deklaracji powtórzyła się 14 i 16 stycznia, przy czym Moskwa dorzuciła jeszcze oskarżenia o prowadzenie antyradzieckiej - a więc oczywiście "prohitlerowskiej" - kampanii w związku z mordem katyńskim. ZSRR domagał się rekonstrukcji rządu polskiego (usunięcia dwóch najwybitniejszych "sikorszczyków" - Kota i Kukiela) oraz zmiany na stanowisku Naczelnego Wodza.

Stanowisko radzieckie usztywniało się wraz z przesuwaniem się frontu, a alianci nie byli skłonni do zdecydowanego wsparcia stanowiska Rządu RP. Roosevelt odkładał spotkanie z Mikołajczykiem, a Churchill w swym przemówieniu parlamentarnym z 22 lutego 1944 r. oświadczył wprost, iż

postulaty graniczne Stalina Rząd Jego Królewskiej Mości uważa za zasadne. Pole manewru polityki polskiej zawężało się do niebezpiecznie małego marginesu. I nic już nie mogło temu zapobiec: ani działania rządu na arenie międzynarodowej, ani realizacja akcji "Burza", która zgodnie z rozkazem Komendanta Głównego AK z 20 listopada 1943 r, miała polegać na mobilizacji konspiracyjnego wojska, podejmowaniu walki z cofającymi się Niemcami, nawiązywaniu taktycznej współpracy z Armią Czerwoną i ujawnianiu wobec niej przedstawicieli podziemnej administracji.

Wojska radzieckie parły na zachód i choć pierwsze doświadczenie po ich spotkaniu (marzec 1944 r.) z silną 27 Wołyńską Dywizją Piechoty AK mjr. Jana Kiwerskiego "Oliwy" były raczej ambiwalentne niż jednoznacznie negatywne, sytuacja ogólna pozostawała nie zmieniona. Równocześnie ZSRR rozbudowywał pospiesznie oddziały znajdujące się pod dowództwem gen. Berlinga: jeszcze późnym tatem 1943 r, zdecydowano o przekształceniu ich w korpus, a 16 marca 1944 r. dekret Rady Najwyższej ZSRR stanowił o sformowaniu I Armii Polskiej. W końcu kwietnia trzy jej dywizje przesunięto na Wołyń, jako drugi rzut Frontu Białoruskiego, który posuwał się po osi Warszawa-Berlin. Dowodził nim gen. Konstanty Rokossowski, przyszły marszałek Polski.

W tym samym czasie do wyjścia na linię frontu szykowały się jednostki gen. Andersa. Od 11 do 18 maja 3 Dywizja Karpacka i 5 Dywizja Kresowa, ponosząc ciężkie straty, poprowadziły zwycięski szturm na Monte Cassino, walnie przyczyniając się do przełamania niemieckiej obrony (Linia Gustawa) zagradzającej drogę na Rzym. Do stoczenia pierwszych od czerwca 1940 r. bojów gotowała się też 1 Dywizja Pancerna płk. Stanisława Maczka, która 1 sierpnia - a więc 7 tygodni po rozpoczęciu inwazji na plażach Normandii - wylądowała na kontynencie. W nocy 7ż8ş8 sierpnia wzięła udział w pierwszych starciach, a kluczową fazą tego etapu jej aktywności była bitwa pod Falaise (15-21 sierpnia). Nieustannie czynne były polskie jednostki lotnicze (w samym 1944 r. zestrzeliły 100 samolotów Luftwaffe, odbywały też rajdy bombowe), ale wobec niezwykłego wzrostu liczebnego sił alianckich ich udział w walce nie mógł już być tak znaczny, tak widoczny i tak skuteczny, jak w czasie pamiętnej Bitwy o Anglię w 1940 r. Tylko do ataku na kontynent gotowych było 2 mln żołnierzy sprzymierzonych i ok. 11 tys. samolotów. W tym czasie Polskie Siły Zbrojne wystawiały w pierwszej linii ok. 81 tys. ludzi (50 tys. w II Korpusie), a jednostki nieliniowe liczyły ok. 33 tys. osób. Choć więc żołnierze walczyli mężnie, polski wysiłek wojskowy stawał się proporcjonalnie coraz mniejszy i nie miał realnego wpływu na bieg wydarzeń wojennych.

Nie mogła go mieć też polityka polska i to chyba niezależnie od tego, czy linia polityczna byłaby mniej czy bardziej elastyczna. W coraz większym stopniu Polska stawała się przedmiotem w grze wielkich mocarstw, a przecież era świata dwubiegunowego dopiero się zaczynała. W polskiej elicie politycznej na londyńskiej emigracji w sposób najbardziej widoczny przeciwstawne wizje rozwoju wydarzeń i właściwych na nie reakcji przedstawiali premier i Naczelny Wódz. Gen. Sosnkowski uważał, iż przede wszystkim należy troszczyć się o przetrwanie: był przeciwny ujawnianiu się podziemnych władz w kraju i zaangażowaniu sił konspiracyjnych w bezpośrednie walki, miał zastrzeżenia nawet do udziału wojsk gen. Andersa w bitwę o Linię Gustawa, uważał, iż wszelkie rozmowy z Moskwą wzmacniają

Stalina.
Mikołajczyk twierdził, że tylko elastyczna polityka może przynieść - częściowy choćby - sukces. Wyraźnie już mówił o konieczności ustępstw terytorialnych jako cenie za suwerenność wewnętrzną, skłaniał się też do koncepcji "wielkiej koalicji" rządowej z udziałem komunistów, na wzór tych, które powstawały we Francji czy Włoszech. Zgodny był z dyrektywami KG AK w sprawie postawy wobec Armii Czerwonej. Nie ustawał w zabieganiu u mocarstw zachodnich o wsparcie - zarówno wojskowe, jak i przede wszystkim polityczne. Tyle udało mu się wywalczyć, że po czerwcowej wizycie w Stanach Zjednoczonych prezydent Roosevelt wyjednał polskiemu premierowi spotkanie z gospodarzem Kremla. 23 lipca, w dzień po ogłoszeniu w Moskwie wiadomości o utworzeniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i podaniu do wiadomości tekstu jego manifestu, Stalin wyraził zgodę na odbycie rozmów z Mikołajczykiem.
Gdy 26 lipca odlatywał z Anglii, Rada Komisarzy Ludowych podpisywała z PKWN (tajną) umowę o granicach wschodnich Polski i (jawną) o poddaniu pasa przyfrontowego pod jurysdykcję wojskową ZSRR. Gdy 30 lipca wylądował na moskiewskim lotnisku, akcja "Burza" dogorywała stłumiona przez Armię Czerwoną: oddziały walczące o Wilno (6-13 lipca), Lwów (22-25 lipca), dziesiątki mniejszych i większych miast na wschód od Wisły, były rozbrajane, dowódcy aresztowani, a ich żołnierze - jeśli nie chcieli zaciągnąć się do "berlingowców" - szli do niewoli. Za dwa dni miało rozpocząć się postanowione już powstanie w Warszawie.
Jeżeli można powiedzieć, że ten, kto ma w ręku wszystkie atuty, gra Po mistrzowsku, to tak właśnie grał Stalin - gości z Londynu przetrzymano do 3 sierpnia, gdy front w rejonie Warszawy zastygł i jasne było, iż powstańcy nie zdołali (i już nie zdołają) opanować stolicy Polski. To, co Polacy usłyszeli na Kremlu, było spełnieniem najbardziej czarnego scenariusza z tych, które antycypował Mikołajczyk w swym expose w Radzie Narodowej RP z 23 czerwca 1944 r., kiedy mówił, iż od wymuszania zgody na zmianę granic, Stalin Przejdzie do szantażowania utworzeniem konkurencyjnego rządu, a następnie stwierdzi, że Polacy powinni porozumieć się między sobą. W Polsce - powiedział na Kremlu radziecki przywódca - nie może być "dwóch władz [...]. Do tego w żadnym razie nie dopuścimy". Na spotkaniu z delegacją PKWN, odbytym wbrew stanowisku gabinetu, dowiedział się Mikołajczyk dodatkowo, że proponuje mu się wprawdzie stanowisko premiera, ale większość w ewentualnym rządzie (14 na 18 tek) otrzymają ludzie "z Lublina", gdy on sam myślał o proporcjach dokładnie odwrotnych. "Lublinianie" zlekceważyli też całkowicie zbrojny wysiłek Warszawy, a Stalin niezobowiązująco potwierdzał chęć przyjścia z pomocą walczącym o stolicę, a zarazem jeden z najważniejszych węzłów komunikacyjnych Europy Środkowej.
Polityka Mikołajczyka utknęła wobec nieustępliwości Stalina. Polityka jego przeciwników znalazła się na bocznym torze, będąc całkowicie zależną od tego, czy mocarstwa zachodnie zdecydują się na zbrojną konfrontację z Armią Czerwoną.

Rozdział II.ă
Dwie Polski

Powstanie Warszawskie i przedproże klęski

W początkach sierpnia 1944 r. trwająca od pięciu tygodni ofensywa Armii Czerwonej na najkrótszej drodze do Berlina utknęła na linii Wisły. Od 20 tegoż miesiąca główny wysiłek Stalin skierował na Bałkan gdzie w ciągu kilkunastu dni obóz państw - okaleczonej już mocno - Osi porzuciły Rumunia (23 sierpnia) i Bułgaria (9 września). Czołówki wojsk radzieckich dotarły niemal nad cieśniny, które zagradzały Flocie Czarnomorskiej wyjście na Morze Śródziemne. Jak w 1878 r. wojska Aleksandra II, tak i teraz jednostki prowadzone przez Fiodora Tołbuchina nie okopały się nad Bosforem - oznaczałoby to nie tylko pogwałcenie neutralności Turcji (z czym Moskwa zapewne poradziłaby sobie), ale także wtargnięcie w strefę bezpośrednich interesów Wielkiej Brytanii.

Inne były powody, dla których wojska marszałka (od miesiąca) Konstantego Rokossowskiego nie przebiły się - zgodnie z planem do 6 sierpnia - na Pragę i nie uchwyciły przyczółków w stolicy Polski. Niemiecki kontratak pancerny wyhamował impet ofensywy, a rozkazy, które przyszły ze STAWKi, sztabu głównodowodzącego, nakazywały wstrzymanie ataku. Niezależnie od tego, jak istotne były względy militarne, Stalin nie był zainteresowany tym, aby Armia Czerwona podjęła bitwę o Warszawę: w mieście od popołudnia 1 sierpnia trwało powstanie będące zarazem kontynuacją i zwieńczeniem akcji "Burza".

Oddziały warszawskiego garnizonu AK miały opanować główne punkty strategiczne miasta i dopomóc wojskom Rokossowskiego w forsowaniu Wisły. Krajowa Rada Ministrów, Rada Jedności Narodowej i Komendant Główny AK mieli przyjąć je w imieniu Rzeczpospolitej. Kontynuowanie ofensywy przez armie Frontu Białoruskiego oznaczałoby udzielenie pomocy walczącym Polakom i przyczynienie się do osiągnięcia zarówno militarnych, jak i politycznych celów, które stawiało kierownictwo Polski Podziemnej i Rząd RP. Udział w bitwie o Warszawę, rozpoczętej przez 30 tys. żołnierzy AK, stawiałby Stalina w nader niezręcznej sytuacji: musiałby albo uznać krajowe władze Rzeczpospolitej, albo postąpić podobnie jak to uczynił w Wilnie czy Lwowie, likwidując akcję "Burza". Zapewne nie byłoby to zadanie łatwe, a z pewnością pociągnęłoby za sobą poważne reperkusje międzynarodowe.

Dla Moskwy oba wyjścia były równie złe. Wybrano więc trzecie. Armia Czerwona przez sześć tygodni nie podjęła żadnej próby uderzenia, nawet na prawobrzeżną część Warszawy, skazując powstańców na własne siły. Niezliczone próby podejmowane przez rząd i prezydenta o uzyskanie pomocy materiałowej ze strony aliantów rozbijały się o brak zgody ZSRR na lądowanie sojuszniczych samolotów na radzieckich lotniskach. Równało się to wyrokowi śmierci na dziesiątki tysięcy żołnierzy i ludność Warszawy. Linia frontu podzieliła Polskę. Na zachód od Wisły trwała okupacja niemiecka, której zbrodniczy charakter nie uległ najmniejszej zmianie. Na wschód panowała niepodzielnie Armia Czerwona, a "za Bugiem", na ziemiach wschodnich Rzeczpospolitej, miała miejsce krwawa repetycja sytuacji z lat 1939-1941. Areszty zapełniały się żołnierzami AK, działaczami partii i grup konspiracyjnych, inteligencją. Znów ruszyły transporty w głąb ZSRR z deportowanymi i skazańcami. Nie ukazały się polskie gazety, nie odrodziły

organizacje społeczne. Trwał nacisk na przesiedlenia się "za linię Curzona" wywierany zarówno przez władze, jak i przez partyzantkę ukraińską. W Galicji Wschodniej i na Wołyniu główne uderzenie Sowieci skierowali jednak na ludność ukraińską. Od zimy 1944 r. trwały zacięte walki oddziałów niepodległościowej partyzantki ukraińskiej, której żołnierze - jeśli nie zdołali (tak jak uczyniła to w styczniu 1945 r. Brygada Świętokrzyska NSZ) wycofać się na zachód wraz z frontem - znaleźli się w beznadziejnej sytuacji. W latach 1944-1945, wedle oficjalnych danych radzieckich, w akcjach pacyfikacyjnych zabito dziesiątki tysięcy osób, a deportowano nie mniej niż 120 tys. Wśród ofiar zapewne nie brakowało także Polaków, ale - jak się wydaje - stanowili oni zdecydowaną mniejszość. Podobne w proporcjach do ogółu ludności były represje na Litwie, gdzie w większym stopniu objęły ludność polską. W zasadzie jednak dążono do tego, aby Polacy ewakuowali się do "nowej Polski". Dla "niepożądanych" w ich ojczyźnie Ukraińców i Litwinów pozostawały tylko eszelony formowane przez wojska konwojowe NKWD. Proces sowietyzacji został gwałtownie przyspieszony, choć "walka z kułakami" miała się rozpocząć na dobre dopiero w latach 1948-1949.

Dla niemałej części Polaków, niezależnie, czy byli w walczącej Warszawie, w Lublinie, we Lwowie, w Londynie czy Chicago, najzupełniej oczywiste było, iż między Wisłą a Bugiem, w "Polsce lubelskiej", powstają zalążki "siedemnastej republiki", "Polskiej SRR". Nie ma żadnych podstaw, aby twierdzić, iż takie właśnie zamysły miał Stalin, nawet jeżeli jego publiczne deklaracje o Polsce "niepodległej", "demokratycznej" i "silnej" traktować jako propagandowe kłamstwa. Trudno, rzecz jasna, stwierdzić, ilu, ale z pewnością wielu Polaków - w tym zapewne i premier Mikołajczyk - uważało, że istnienie PKWN oznacza nie tylko uzależnienie Polski od gigantycznego sąsiada, ale także otwiera proces skomunizowania życia wewnętrznego kraju. Obie te postawy prowadziły do przekonania, iż walki przerwać nie można. Problem polegał wszakże na tym, jakimi środkami ją prowadzić.

Trwała jednak wciąż jeszcze wojna i na zachód od Wisły istniała - od pięciu blisko lat - Polska Podziemna. Na dwa krwawe miesiące wyszła na warszawskie ulice i panowała na kurczącym się skrawku niepodległej Rzeczpospolitej.

Powstanie w stolicy kraju wybuchło na podstawie licznych przesłanek: politycznych - zademonstrowania woli walki z Niemcami i okazania tego, że prowadzona jest ona przez legalne władze suwerennego państwa; wojskowych - Wehrmacht znajdował się w odwrocie, a niedawny (20 lipca) zamach na Hitlera ujawniając istnienie w wojsku jego zdeterminowanych wrogów, zdawał się świadczyć, iż III Rzesza znajduje się w przededniu upadku przypominającego bieg wydarzeń z jesieni 1918 r.; psychologicznych - warszawska AK, największe skupisko konspiracyjnego wojska, gotowała się do tej chwili od kilku lat, chciała walczyć, bez względu na wszystko. Utworzenie PKWN, ogłoszenie jego manifestu, uznanie go przez ZSRR i udział "wojsk Berlinga" w lipcowej ofensywie - a także na poły prowokacyjne wezwania Radiostacji "Kościuszko" do bitwy o Warszawę - były dodatkowymi bodźcami do podjęcia decyzji o walce.

Bieg wydarzeń na froncie i wyjazd premiera do Moskwy stawiały sprawę raczej na szczeblu operacyjnym niż strategicznym, choć ani w konspiracji, ani na emigracji nie brakowało polityków, którzy zapatrywali się

sceptycznie - lub nawet byli przeciwnikami - na kontynuowanie, mimo dramatycznych doświadczeń z Wilna, akcji "Burza". Jednak nie znajdowali się oni ani w cywilnym, ani wojskowym kierownictwie konspiracji, a Naczelny Wódz, który zgłaszał poważne zastrzeżenia co do całej koncepcji "Burzy", przebywał z wojskami gen. Andersa we Włoszech i nie mógł zdecydować się na zgłoszenie swego weta na ręce prezydenta.

Dla przywódców Państwa Podziemnego problemem była nie tyle sama decyzja, ile wybór stosownego momentu. Powstanie rozpoczęte o dzień za wcześnie mogło napotkać zbyt wielki opór Niemców, wszczęte zaś w chwili, gdy żołnierze marsz. Rokossowskiego i gen. Berlinga przejdą przez warszawskie mosty, mogło oznaczać polityczną klęskę. Nikt też, ani gen. Komorowski, ani wicepremier Jankowski, ani przewodniczący RJN Pużak nie byli w stanie przewidzieć, że osamotniona stolica będzie musiała toczyć tak długotrwały bój z tak silnym i pewnym swego przeciwnikiem.

Decyzję o wybuchu powstania podejmowano między 21 a 31 lipca, gdy otrzymano potwierdzony meldunek o pojawieniu się radzieckich czołgów na Pradze. Wczesnym wieczorem Komendant Główny i Delegat Rządu ustalili godzinę "W" na #17#/00 następnego dnia. Mimo iż Niemcy wiedzieli o polskiej decyzji, wstępny etap bitwy zakończył się istotnymi, acz nie decydującymi sukcesami powstańców. Byłyby one zapewne wystarczające, gdyby front toczył się nieprzerwanie na zachód.

Dowództwo wojsk niemieckich w Warszawie objął gen. SS Erich von dem Bach-Zelewski, doświadczony w działaniach antypartyzanckich, i 5 sierpnia jego oddziały - w tym jednostki Osttruppen i brygada złożona z kryminalistów (zwolnionych do odbycia służby wojskowej) - rozpoczęły kontratak ofensywą wzdłuż głównych osi komunikacyjnych oraz uderzeniem na Wolę bronioną przez doborowe, ale nieliczne oddziały Kedywu pod dowództwem ppłk. Jana Mazurkiewicza "Radosława". Obszar Warszawy lewobrzeżnej został rozczłonkowany (Śródmieście, Żoliborz, Wola, Ochota, Mokotów). Po Woli padła Ochota, druga zachodnia dzielnica. Na Pradze, znajdującej się na linii frontu, powstanie w ogóle nie mogło wybuchnąć. Po miesiącu AK ewakuowała Stare Miasto, a od 6 września, wzrastające wciąż siły niemieckie rozpoczęły zwycięskie walki o opanowanie całego brzegu Wisły. 24 września zaczął się atak na Mokotów, który padł po trzech dniach walki, 29 września Niemcy podjęli natarcie na Żoliborz. Broniło się jeszcze Śródmieście.

Walki uliczne należą do najbardziej krwawych i niszczących - tak właśnie było w Warszawie. Oddziały niemieckie uderzyły nie tyle z determinacją (choć i tej im nie brakło), ile z niesłychanym okrucieństwem. Na Woli rozstrzelano ok. 40 tys. cywilów, podobnie wielka była liczba wymordowanych po wzięciu Starówki. Ludność wypędzano z miasta, a ataki lotnicze miały raczej za zadanie sterroryzowanie mieszkańców niż uderzanie w pozycje powstańców. W bombardowanym mieście dramatycznie kurczyły się zapasy żywności, coraz nowe kwartały pozbawiane były prądu i wody, szalały nie dające się ugasić pożary.

Życie stawało się koszmarem, przestawano już nawet oczekiwać na pomoc. Tu była jednak wolna Polska. Ukazywały się bez ograniczeń gazety (także komunistyczne), funkcjonowała lokalna administracja i służba zdrowia, uruchomiono radiostację, Delegat Rządu, Krajowa Rada Ministrów i RJN wydawały deklaracje i apele, opublikowano "Dziennik Ustaw" z przepisami dotyczącymi życia publicznego po odzyskaniu niepodległości. Nie tylko dla

walczących każdy dom był fortecą. Samopomoc sąsiedzka była jednym z podstawowych warunków przetrwania fizycznego i duchowej trwałości: wspólnie zdobywano żywność, gaszono pożary, chroniono najsłabszych. I wspólnie modlono się.

W początkach września władze rozważały złożoną przez Niemców, jeszcze 18 sierpnia, propozycję kapitulacji, ale wobec rysujących się zmian na wschodzie została ona odrzucona. 10 września Armia Czerwona wznowiła atak na Pragę i równocześnie Stalin wyraził zgodę na lądowanie samolotów alianckich. 16 września oddziały 3 DP wojsk gen. Berlinga podjęły próbę uchwycenia przyczółków na lewym brzegu Wisły, ale wobec utraty przez powstańców kontroli nad tym rejonem zakończyła się ona całkowitą klęską i niezwykle wysokimi stratami. Los Warszawy został przesądzony.

Dowództwo powstania zdecydowało się na podjęcie rokowań kapitulacyjnych, które zakończono 2 października bezwarunkowym poddaniem się, ale z uznaniem praw jeńców wojennych dla żołnierzy AK. Akt kapitulacji przewidywał opuszczenie miasta przez całą ludność, co skazywało ją na tułaczkę, obozy lub przymusowe roboty. Oznaczało także, że miasto przeznaczone jest na zagładę. I tak też się stało - do akcji przystąpiły jednostki, których zadaniem było fizyczne unicestwienie stolicy Polski.

W gruzach miasta zostały ciała ok. 180 tys. ofiar cywilnych. W walce poległo ok. 18 tys. powstańców (tj. ok. 40% stanu) oraz ok. 3,5 tys. żołnierzy z Dywizji Kościuszkowskiej. Straty niemieckie wynosiły ok. 10 tys. zabitych i 7 tys. zaginionych (na ok. 50 tys. zaangażowanych w bitwie), co świadczy o zaciętości walk. Powstanie w Warszawie odegrało także pewną rolę operacyjną w szerszej skali. Walki odciągnęły wiele sił niemieckich z frontu, zdezorganizowały komunikację w ważnym węźle, co bez wątpienia ułatwiło Armii Czerwonej zdobycie przyczółków na lewym brzegu Wisły na południe od Warszawy.

Powstanie zakończyło się jednak nie tylko klęską militarną połączoną z niezwykle wysokimi stratami i zagładą największego miasta polskiego. Była to także klęska polityczna. Zginęła w walce lub poszła do niewoli większość doborowych jednostek, które pozostawały w dyspozycji KG AK, co pozbawiło Rząd RP realnego oparcia. Stwarzała powszechne poczucie kolejnej po Wrześniu narodowej katastrofy i wznawiała ponownie pytania o odpowiedzialność elit. Obniżała autorytet sojuszników Polski, którzy okazali się bezsilni (jeśli nie bezduszni). Odbierała nadzieje na utrzymanie integralności terytorialnej i państwowej suwerenności. Heroizm powstańców i godność ludności cywilnej budziły podziw wśród Polaków i obcych, ale poczucie dumy miało nadejść później, gdy walka "nieujarzmionego miasta" stała się jednym z najbardziej nośnych symboli oporu wobec wszystkich wrogów i wszelkich przeciwności.

Komendant Główny AK gen. Tadeusz Bór-Komorowski - mianowany w przeddzień kapitulacji Naczelnym Wodzem - szef sztabu gen. Tadeusz Pełczyński i dowódca powstańców gen. Antoni Chruściel na czele ok. 12 tys. żołnierzy i oficerów poszli do niewoli. Z ludnością cywilną wydostali się jednak ze stolicy nie tylko (niemal in gremio) członkowie KRM, RJN i wyżsi pracownicy Delegatury, ale także gen. Leopold Okulicki wyznaczony jeszcze przed wybuchem powstania przez gen. Komorowskiego na następcę, oficerowie przydzieleni do jego sztabu i prawdopodobnie kilka tysięcy akowców. Na

wolności był także gen. Emil Fieldorf "Nil", stojący na czele tworzonej od wiosny organizacji "Niepodległość" ("Nie"), mającej stanowić kadrową, wojskowo-polityczną konspirację w przypadku okupacji radzieckiej.

Dramatyczne były przede wszystkim losy wypędzonych, bez środków do życia i w przededniu zimy, setek tysięcy warszawiaków: obozy przejściowe, wywózki na roboty, przesiedlenia do przypadkowych miejsc w wyniszczonym pięcioletnią wojną kraju. Z pomocą spieszyła Rada Główna Opiekuńcza, PCK, wspomagał ich aparat Delegatury, wspierali - przyjmując pod swój dach - mieszkańcy resztek GG. Propaganda niemiecka usiłowała wykorzystać poklęskowe nastroje, obawę przed "bolszewicką nawałą" i zmęczenie społeczeństwa, wzmagając pojawiające się już od 1943 r. próby przekonania Polaków o konieczności wspólnej "obrony Europy przed azjatyckim barbarzyństwem". Nie przyniosło to wyraźniejszych efektów - być może poza pogłębieniem nieufności do stojących na Wiśle wojsk radzieckich - a trwanie represji, liczne aresztowania, łapanki, rozstrzeliwanie zakładników umacniały obraz niezwykłego okrucieństwa Niemców.

Jednostki zmobilizowane do akcji "Burza", najliczniej w Okręgu Radomskim, które w połowie sierpnia bezskutecznie usiłowały przebić się do walczącej Warszawy, utrzymano w stanach bojowych - łącznie do 10 tys. ludzi - rezerwę odsyłając do domu. Jednak wobec ogromnego nasycenia całego terenu oddziałami frontowymi i bezpośredniego zaplecza, podejmowanie akcji bojowych było niezwykle ryzykowne i właściwie skazywało wykonujące je oddziały na całkowite rozbicie. Toteż aktywność partyzancka i dywersyjna (zresztą także radzieckich zrzutków) słabła i miała zasadniczo charakter samoobronny. 26 października gen. Okulicki nakazał wstrzymanie "Burzy". Sztab komendanta AK zdołał dość szybko nawiązać kontakt z dowódcami okręgów na zachodnim brzegu, ale oczywiste było, że Armia Krajowa utraciła zdolność bojową w szerszej skali. Problemem stawało się raczej, jak przetrwać po nieuchronnym ruszeniu - wiosennej, jak sądzono - ofensywy. Kierownictwo wojskowe pozostawało w ścisłym kontakcie z konspiracyjnymi władzami cywilnymi i RJN, ale wszyscy skazani byli na polityczną bierność.

Walczyły wszakże polskie wojska przełamujące Linię Gotów, która broniła dostępu do północnej części Włoch, dywizja gen. Stanisława Maczka toczyła twarde boje w Holandii, a Brygada Spadochronowa gen. Stanisława Sosabowskiego - którą tworzono z myślą o lądowaniu w kraju i wsparciu przez nią planowanego powstania powszechnego - wykrwawiła się w operacji pod Arnhem. Straty uzupełniano polskimi jeńcami z Wehrmachtu, np. II Korpus wcielił ich 20 tys.

Głównym spornym tematem stało się położenie międzynarodowe Polski i wynikające zeń rozbieżności wewnętrzne. Sierpniowe rozmowy Mikołajczyka w Moskwie zakończyły się niepowodzeniem, z którego różne polskie środowiska emigracyjne - także żołnierskie - wyciągnęły nieomal diametralnie przeciwstawne wnioski. Według premiera i wyraźnej mniejszości opinii, dla uratowania nawet ograniczonej suwerenności i stworzenia bazy, która mogłaby stać się podstawą oporu społecznego przeciwko przewidywanej sowietyzacji kraju, należało zdecydować się na daleko idące ustępstwa. terytorialne - przez potraktowanie "granic ryskich" jako linii demarkacyjnej, broniąc Wilna i Lwowa (a ostatecznie tylko tego ostatniego); polityczne - przez uznanie partii komunistycznej i włączenie jej do rządzącej koalicji jako

piątego uczestnika; międzynarodowe - przez wyrażenie gotowości do zapewnienia ZSRR dobrego sąsiedztwa i szeroko zakrojonej współpracy.

Najmniej zastrzeżeń budziła ta ostatnia sprawa, ale pozostałe propozycje, przedstawione przez Mikołajczyka prezydentowi, Radzie Narodowej i rządowi oraz przekazane do konsultacji w kraju, napotkały otwarty i dramatycznie wyrażany opór. Głosy sprzeciwu podniosły się zarówno w prasie, jak i napływać zaczęły z jednostek wojskowych, głównie z dowodzonego przez gen. Andersa II Korpusu. Napięcie potęgowała walka osamotnionej Warszawy i wiadomości o tym, co działo się na ziemiach wschodnich oraz między Wisłą a Bugiem. Najostrzej reagowali dowódcy wojskowi i otoczenie prezydenta, a polityczni przeciwnicy premiera ze wszystkich orientacji uznali moment za stosowny do obalenia gabinetu. Dramatycznym wyrazem tej atmosfery był rozkaz gen. Sosnkowskiego wydany w rocznicę wybuchu wojny, w którym wprost zarzucał on aliantom opuszczenie Polski w 1939 r.

Mikołajczyk przeforsował jednak swoje stanowisko i 29 sierpnia gabinet przyjął tekst memorandum do rządu ZSRR. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać: 6 września komunikat TASS doniósł, iż pismo zostało skierowane do rozpatrzenia przez PKWN. Stalin odrzucał wszelkie kompromisowe propozycje - warunki miał dyktować sam. I dyktował. Niektórym wydawało się jeszcze, że istnieje jakieś pole manewru i poparcie aliantów pozwoli na, jeżeli nie honorowy - bo na to było już za późno - to akceptowalny kompromis. Do dotychczasowych ustępstw doszły jeszcze następne: pod naciskiem rządu i Brytyjczyków prezydent zdymisjonował Naczelnego Wodza, który jeszcze w sierpniu przestał być następcą prezydenta (miejsce to zajął przerzucony z kraju Tomasz Arciszewski). Było to już chyba wszystko, na co mógł zgodzić się gabinet Mikołajczyka.

Premier jednak, za namową Churchilla, który najwyraźniej miał wyrzuty sumienia wobec Polaków, raz jeszcze pojechał do Moskwy. Było to już po kapitulacji warszawskich oddziałów AK, w Lublinie rządził od 2 miesięcy PKWN i Stalin (także Bierut) nie byli skłonni do najmniejszych ustępstw. Po wielokrotnych rozmowach, które odbyły się między 12 a 20 października, żadnego porozumienia nie zawarto, Mikołajczyk zaś dowiedział się przy okazji, że alianci już w Teheranie zgodzili się na "linię Curzona".
Przebieg rozmów moskiewskich i dramatyczne wiadomości napływające z ziem ogarniętych przez Armię Czerwoną wzmocniły determinację premiera i jego najbliższych zwolenników wobec perspektywy powrotu do kraju nawet w charakterze słabszego partnera komunistów. Gdy Roosevelt nie zgodził się na żadne gwarancje dla polskich starań o utrzymanie Lwowa i drohobyckiego zagłębia naftowego, Mikołajczyk uznał, iż możliwości działania władz RP na emigracji zostały wyczerpane. Znalazł się w mniejszości we własnym rządzie i 24 listopada złożył dymisję, na którą znaczna część opinii emigracyjnej od tak dawna czekała.

Nowy rząd, sformowany przez socjalistę Arciszewskiego i bez udziału ludowców, nie znalazł poparcia u Anglików i Amerykanów, co wykorzystał Stalin dla uczynienia następnego kroku - z dniem 1 stycznia 1945 r. PKWN przemianował się w Rząd Tymczasowy i władze Rzeczpospolitej ostatecznie przestały być dla Kremla kandydatem na partnera. Niebawem znad Wisły miała ruszyć ostatnia ofensywa Armii Czerwonej, przekreślając ostatecznie szanse

na Polskę suwerenną.

Komunistyczny Piemont

Na ziemiach między Wisłą a Bugiem stało się to, czego tak bardzo obawiał się Mikołajczyk: PKWN, osłaniany przez Armię Czerwoną, umocnił swoje pozycje i stworzył bardzo silny przyczółek - swego rodzaju "komunistyczny Piemont" - do dalszej ekspansji. Działania podejmowano w dwóch generalnych kierunkach. Pierwszy to destrukcja podziemnych struktur i terroryzowanie społeczeństwa. Drugi to budowa własnych instytucji, przejmowanie kontroli nad tymi, które istniały w czasie okupacji, "wyławianie" środowisk (a nawet jednostek) skłonnych do współpracy oraz przyciąganie tych warstw społecznych, które były najbardziej podatne na wizję społecznej rewolucji.

Wszystko to odbywało się nie tylko pod obecność paromilionowego wojska, ale zadania "czyszczenia" terenu wykonywały bezpośrednio zarówno kontrwywiad Smiersz (Smiert Szpionam), jak i jednostki NKWD. Na stosunkowo niewielkim obszarze działała - powołana 15 października - dywizja NKWD licząca 11 tys. dobrze wyposażonych i wyszkolonych żołnierzy. Wojska NKWD, które działały na terenie "Polski lubelskiej", miały za sobą doświadczenia niedawnych walk z partyzantką ukraińską, wraz z frontem nadciągnęli nie tylko żołnierze, lecz także dobrze już znany specjalista od masowych akcji pacyfikacyjnych gen. Iwan Sierow, zastępca komisarza ludowego spraw wewnętrznych. Oddziały NKWD i tyłowe jednostki Armii Czerwonej przeprowadzały nie tylko wielkie obławy, ale także dokonywały aresztowań poszczególnych osób, wykorzystując informacje gromadzone m.in. przez nadsyłane do Polski już od 1943 r. grupy dywersyjne. Tylko wspomniana dywizja NKWD aresztowała do końca 1944 r. blisko 17 tys. osób. łącznie z żołnierzami AK internowanymi w ramach likwidacji akcji "Burza", do stycznia 1945 r. aresztowano zapewne kilkadziesiąt tysięcy osób. Znaczną ich część wysłano w głąb ZSRR. Wedle danych NKWD latem 1945 r. w obozach na terenie ZSRR znajdowało się ponad 20 tys. internowanych żołnierzy AK, a liczba skazanych była z pewnością niewiele mniejsza. Setki, jeśli nie tysiące zamordowano na miejscu.

Prawdziwymi władcami w terenie byli komisarze wojenni miast i powiatów, którzy ingerowali we wszystkie szczegóły życia publicznego i społecznego, tym łatwiej, że dysponowali siłą zbrojną. Mieli też formalne oparcie w umowie z 26 lipca, w której PKWN przekazywał Armii Czerwonej jurysdykcję na "zapleczu frontu". Ale obce bagnety, nawet tak liczne, nie mogły rozwiązać sytuacji. Zarówno Stalinowi, jak i polskim komunistom nie zależało przecież, aby stan istniejący postrzegany był jako okupacja.

Jednym z pierwszych segmentów aparatu administracyjnego, który tworzono na opanowanych terenach, był aparat bezpieczeństwa. W strukturze PKWN stanowił on osobny Resort Bezpieczeństwa Publicznego, na czele którego stanął przedwojenny komunista Stanisław Radkiewicz. Trzon kadrowy resortu tworzyło ok. 200 osób, które przeszły paromiesięczny kurs w szkole NKWD w Kujbyszewie oraz członkowie grup dywersyjnych i partyzanckich, także przeszkoleni w zakresie kontrwywiadu. Nieomal wszyscy należeli przed wojną do KPP lub (częściej) jej młodzieżowej organizacji, większość przeszła

przez pobyt w "strojbatalionach" lub na zsyłce, skąd trafiła do Dywizji im. Kościuszki. Z dywizji tej, jeszcze jesienią 1943 r., wydzielono Specjalny Batalion Szturmowy - podporządkowany faktycznie ZPP - który stał się zaczątkiem wojsk wewnętrznych podległych Radkiewiczowi. Po paru tygodniach wahań do Resortu Bezpieczeństwa włączono Milicję Obywatelską (MO), której kadry rekrutowały się głównie z członków AL. W początku października 1944 r. resortowi podporządkowano też więzienia i obozy (w których zrazu trzymano głównie volksdeutschów). W końcu 1944 r. w aparacie bezpieczeństwa - bez MO, wojsk wewnętrznych i więziennictwa - pracowało ok. 2,5 tys. funkcjonariuszy.

PKWN troszczył się o to, aby działalność służb bezpieczeństwa miała za sobą sankcję prawną, choć z reguły odpowiednie akty prawne ukazywały się z opóźnieniem. Najważniejszymi były dekrety o "rozwiązaniu tajnych organizacji" (z 24 sierpnia), o wymiarze kary dla zbrodniarzy wojennych i "zdrajców Narodu polskiego" (z 31 sierpnia), o wojskowym kodeksie karnym i sądach wojskowych (z 23 września) oraz o ochronie państwa (z 30 października, ale działający wstecz od 15 sierpnia). Szczególnie perfidnie - i to przez wiele jeszcze lat - wykorzystywano przepisy dekretu dotyczącego "zdrajców". Pod pojęcie to podciągano bowiem, zgodnie z założeniami politycznymi, przynależność do AK i struktur Delegatury, które generalnie kwalifikowano nie tylko jako "reakcyjne", ale po prostu jako "prohitlerowskie" i "kolaboracyjne".

Mimo zapowiedzi manifestu z 22 lipca, iż reformy społeczne nie zakłócą porządku prawnego ustanowionego w Konstytucji z 1921 r., dosyć szybko zrezygnowano z "pokojowej" realizacji najważniejszej z nich, tzn. reformy rolnej. Dekret o jej wykonywaniu, uchwalony 6 września 1944 r., został zignorowany i przystąpiono do wywłaszczania i dzielenia ziemi poza powołanymi do tego urzędami. Decyzja ta miała charakter wyraźnie polityczny - chodziło o przyciągnięcie do nowej władzy rzesz bezrolnych i małorolnych.

Z miast wyruszyły "brygady parcelacyjne", które dość często znajdowały pozytywne przyjęcie, ale asysta wojskowa bywała też konieczna. Znaczna część chłopów znajdowała się w trudnej sytuacji. Wieś wyniszczona działaniami wojennymi i rabunkową gospodarką okupanta musiała dostarczać nowe kontyngenty i żywić ogromną armię. Niemniej właśnie na wsi - biednej i rozdrobnionej - komuniści znaleźli wówczas stosunkowo największe poparcie, choć oczywiście na pewno nie wszyscy członkowie ok. 100 tys. rodzin, które otrzymały nadziały z parcelacji, stawały się automatycznie entuzjastami nowej władzy. To właśnie wieś i chłopi byli najbardziej naturalną bazą dla niepodległościowej partyzantki.

W życiu społecznym miast nowe porządki były znacznie mniej dostrzegalne. Nieliczny na tych terenach przemysł został przejęty jako mienie poniemieckie, ale kierownictwo zakładami sprawowali z reguły dawni fachowcy. Handel pozostawał w rękach prywatnych, z tym, że wzrosła rola "Społem", spółdzielni rozbudowanej w czasie okupacji. Do pracy powróciła (lub w niej pozostała) przeważająca część urzędników niższej administracji i pracowników komunalnych, w sądach znaleźli się dawni sędziowie, do uruchamianych szkół powrócili "starzy" nauczyciele. Jesienią wznowił zajęcia KUL, a dla przeciwwagi otwarto Uniwersytet Lubelski obsadzony w większości przez przedwojenną kadrę.

Po koszmarze okupacji niemieckiej, nieustannym zagrożeniu wszystkich i wszędzie, nowa sytuacja wydawała się wielu - zapewne większości - etapem powrotu do normalności. Wprawdzie teren był niezwykle nasycony Armią Czerwoną, a jej żołnierze wyróżniali się często grubiaństwem i rabunki oraz gwałty były na porządku dziennym, wprawdzie ścigano bezwzględnie akowców a "bezpieczeństwo" było wszechobecne, niemniej istniał przecież w Londynie Rząd RP i prezydent, istniały na Zachodzie Polskie Siły Zbrojne, Mikołajczyk jeździł do Moskwy na rozmowy z samym Stalinem. Spora część opinii liczyła, że nie dojdzie do definitywnego opanowania kraju przez komunistów. Jedni pokładali nadzieje w nacisku zachodnich sojuszników, inni wierzyli, że wraz z pobiciem III Rzeszy koalicja antyniemiecka rozpadnie się i wybuchnie nowa wojna światowa, która musi zakończyć się zwycięstwem demokracji nad bolszewizmem.

Ale nawet ci, którzy tak myśleli, w większości przystosowywali się do sytuacji i podejmowali pracę w instytucjach publicznych, które przecież musiały funkcjonować. Wchodzenie do nich bywało uważane za swego rodzaju kontynuację konspiracji i ułatwić miało przywrócenie Polski suwerennej. Zdarzało się, że całe "dołowe" komórki milicji opanowywane były przez grupy konspiracyjne AK czy NSZ. Robotnicy folwarczni przyjmowali ziemię z przymusowej parcelacji, dosyć powszechnie dochodziło nie tylko do dzielenia, ale wręcz grabienia majątków. Aczkolwiek władze nie stawiały wyraźnie takiego wymogu, tworzono już rady fabryczne, które dążyły do przejęcia zarządzania zakładami. Dla wielu ogromną rolę odgrywało istnienie polskiego wojska, aczkolwiek większość stanowisk dowódczych zajmowali w nim oficerowie Armii Czerwonej. Powszechna mobilizacja nie przebiegała wprawdzie zgodnie z oczekiwaniami władz, wielu poborowych uchylało się od służby, niemniej tradycyjny w Polsce prestiż armii ułatwiał akceptację "wojska Berlinga". Tym bardziej że walczyło ono na przyczółkach, podjęło próbę desantu w Warszawie, a 15 sierpnia - w rocznicę Bitwy Warszawskiej 1920 r. - odbyły się solenne uroczystości Dnia Żołnierza z mszą polową i defiladą włącznie.

Wpływ na nastroje społeczne miały też działania komunistów zmierzające do skupienia wokół PKWN (a co najmniej neutralizacji) różnych grup i środowisk politycznych oraz - do czego od początku przywiązywano dużą wagę - elit kulturalnych. Główną uwagę skoncentrowano na tych samych nurtach, w których już wcześniej próbowano znaleźć partnerów. Dodatkową pomocą byli działacze przybyli z ZSRR.

W dniach 10-11 września 1944 r. obradowali w Lublinie socjaliści, których zebranie nazwano konferencją (a potem nawet XXV Kongresem) PPS, reaktywując formalnie legalną działalność partii. Podjęte uchwały poświadczyły niesamodzielny charakter tej inicjatywy, niemniej twórcami PPS byli autentyczni, acz drugorzędni, działacze i stopniowo przyłączali się następni, tak że w grudniu partia liczyła ok. 8 tys. członków. Mniej jednoznacznego poparcia "nowej rzeczywistości" udzielili ludowcy. Na odbytym w dniach 17-18 września zjeździe działaczy chłopskich podjęto wprawdzie uchwałę o reaktywowaniu Stronnictwa Ludowego, ale w przyjętych tam deklaracjach politycznych m.in. "zalecano" Mikołajczykowi i emigracyjnym ludowcom powrót do kraju, domagano się przeprowadzenia natychmiast po wyzwoleniu wyborów do Sejmu i Senatu, przywrócenia Konstytucji z 1921 r. oraz "pełni swobód obywatelskich", a nawet "linii

Curzona" nie uznawano za ostateczną. Wprawdzie miesiąc później komunistom udało się wyeliminować z kierownictwa SL bardziej niezależnych działaczy (jak Andrzeja Witosa, członka prezydium ZPP, brata Wincentego), ale PPR nie mogła liczyć na pełną lojalność tej partii. 24 września reaktywowano z kolei, zawsze nieliczne, Stronnictwo Demokratyczne. W grudniu kierownictwo PPR podjęło decyzję o wykorzystaniu rozłamowej grupy Zrywu Narodowego do utworzenia powolnego sobie Stronnictwa Pracy, a rozważano nawet możliwość powołania kontrolowanego Stronnictwa Narodowego. Reaktywowano ZMW RP "Wici" oraz socjalistyczne TUR i OMTUR, w końcu listopada utworzono zaś Komisję Centralną Związków Zawodowych, zachowując dawną nazwę jednej z największych organizacji pracowniczych okresu międzywojennego. Jakkolwiek organizacje te nie cieszyły się bynajmniej szerokim poparciem, stanowiły zarówno pewien kamuflaż "demokratyzacyjny", ułatwiały zwalczanie środowisk niezależnych, i dawały ujście naturalnym skłonnościom do aktywności społecznej. W sumie w tych pierwszych miesiącach im środowisko było bardziej lewicowe, tym łatwiej znajdowano w nim chętnych do współpracy, ale też i na opanowanie tych właśnie środowisk poświęcano więcej wysiłku.

Niemniej działała nadal w podziemiu PPS-WRN, na wsi szczególnie aktywne było konspiracyjne SL. Obie partie pozostawały w ścisłych kontaktach z innymi stronnictwami (głównie z najsilniejszym na tym terenie SN). Wydawano wspólne apele i odezwy, odbywano narady, podtrzymywano podziemną administrację, ukazywały się ulotki i (nieliczne) gazetki. Mimo brutalnych represji, aresztowań i wywózek, nie udało się zlikwidować konspiracji wojskowej i oddziałów partyzanckich. Odtworzona została komenda Okręgu Lubelskiego AK, która dysponowała łącznością radiową z Londynem, na Białostocczyźnie zaś (jej przynależność państwowa nie była dla wszystkich oczywista), która w mniejszym zakresie włączyła się do akcji "Burza", działało "stare" dowództwo z płk. Mieczysławem Liniarskim "Mścisławem" na czele. Szczególnie wiele na tym właśnie terenie było też oddziałów, które wycofały się z ziem wschodnich. Nie ujawniły się ani nie rozformowały jednostki terenowe BCh. Działało też AK na Rzeszowszczyźnie. Niektóre grupy podjęły akcje odwetowe, dokonując zamachów i atakując posterunki milicji. W niektórych rejonach środowiska konspiracyjne przeciwdziałały też parcelacji i niszczeniu majątków.

Trwała, w niezmiernie trudnych warunkach, konspiracja AK i partii podziemnych na ziemiach wcielonych do ZSRR, na których wywózki w głąb Rosji przybrały niepokojące rozmiary. Ograniczano się tu w zasadzie do akcji propagandowej, mającej m.in. na celu przekonanie o konieczności pozostawania na ziemi ojczystej i niezgłaszania się do przesiedleń "za Bug" - zwanych oficjalnie "repatriacją" - które rozpoczęto wkrótce po podpisaniu przez PKWN stosownych umów z Białoruską i Ukraińską SSR (9 września) i z Litewską SSR (22 listopada). Niepodległościowe podziemie-wojskowe i polityczne - wracało powoli do siebie po szoku spowodowanym rozbiciem akcji "Burza" i zainstalowaniem się nowej władzy. Obecność milionowej Armii Czerwonej i potężnych sił NKWD uniemożliwiały jednakże podejmowanie jakichkolwiek akcji na szerszą skalę, nawet czysto politycznych. Pękała też coraz widoczniej solidarność narodowa stanowiąca główną podporę podziemia w czasie okupacji niemieckiej.

Jednym z powodów wpływających na to była prawdziwa ofensywa "na odcinku" kultury. Już na początku sierpnia reaktywował się Związek Zawodowy Polskich

Artystów Plastyków, we wrzeniu wznowił działalność Związek Zawodowy Literatów Polskich, na czele którego stanął znany poeta awangardowy Julian Przyboś. Nieco później odtworzono Stowarzyszenie Architektów i Związek Kompozytorów. Starannie odszukiwano wszystkich twórców, którzy znaleźli się na ziemiach wyzwolonych, zwożono ich - nawet samolotami - do Lublina, w którym znaleźli się też bardzo szybko ci wszyscy, którzy mieli jakiekolwiek kontakty z ZPP. 3 września, jeszcze przed emisją centralnego organu partyjnego PPR, ukazał się pierwszy numer tygodnika literacko-kulturalnego "Odrodzenie", a jesienią pierwsze tomiki wierszy. Scena lubelska inaugurowała sezon premierą Wyzwolenia S. Wyspiańskiego, a wykłady publiczne otworzył prof. Juliusz Kleiner, jeden z najbardziej znanych historyków literatury. Podobnie jak Dzień Żołnierza uroczyście obchodzono Święto Niepodległości 11 listopada, zaszczycone nawet depeszą gratulacyjną samego Stalina.

Opanowanie podstawowych instrumentów tworzonej władzy państwowej ułatwił komunistom fakt, iż na terenie "Polski lubelskiej" znalazła się nie tylko cała czołówka przebywająca w ZSRR, ale także większa część krajowej centrali PPR. Zarówno Bolesław Bierut, stojący na czele KRN, jak i sekretarz generalny Władysław Gomułka jeszcze w ostatnich dniach lipca przeszli z Warszawy na prawy brzeg Wisły, oczekując tu nadejścia wojsk. Szybko też zostali ściągnięci do Lublina. Aczkolwiek w ekipie komunistycznej nie brakło rozbieżności - także na tle ambicjonalnym - wymogi chwili cementowały ją i pepeerowskie kierownictwo stanowiło dość zwartą ekipę polityczną. W nowo utworzonym Biurze Politycznym KC znalazło się dwóch "krajowców" (Bierut i Gomułka) oraz trzech "moskali" (Jakub German, Hilary Minc i Aleksander Zawadzki), a obok nich ważniejszą rolę odgrywali m.in. Edward Ochab, Franciszek Jóźwiak, Stanisław Radkiewicz, Roman Zambrowski - wszyscy byli komunistami z długoletnim stażem. Z ekipy ZPP tylko Wanda Wasilewska wycofała się z życia politycznego w kraju, decydując się na pozostanie w ZSRR u boku męża. Komuniści objęli niemal wszystkie ważniejsze pozycje w aparacie PKWN, na inne wysuwając najbardziej uległych działaczy "partii demokratycznych" (jak Edward Osóbka "Morawski" z PPS - przewodniczący PKWN, a potem premier Rządu Tymczasowego, Stanisław Szwalbe także z PPS, Wincenty Rzymowski z SD). Naczelnym Dowódcą WP został gen. Żymierski. Starannie dobierano też kierowników administracji lokalnej oraz prezydia terenowych rad narodowych. Jeszcze uważniej kompletowano składy grup operacyjnych przygotowywanych do przejęcia władzy po rozpoczęciu generalnej ofensywy.

Równocześnie z budowaniem nowych instytucji (UB, rady narodowe) i obsadzaniem tradycyjnych, trwała gorączkowa działalność organizacyjna samej PPR, która w podziemiu była stosunkowo nieliczna. Do grudnia szeregi jej powiększyły się do 20 tys. osób, wśród których nie brakło karierowiczów zwykle popierających partię rządzącą. W zasadzie jednak PPR rekrutowała się z dawnych komunistów, członków różnych lewicowych organizacji, zwłaszcza na wsi, partyzantów AL.

W początku października, z inicjatywy i na bezpośrednie polecenie Stalina, który uznał, że pierwszy etap - tworzenie podstawowej siatki administracji, głównych instrumentów władzy i kaptowanie zwolenników - został zakończony, przystąpiono do zaostrzenia kursu. Być może moment ten

wybrano, aby wykorzystać pesymistyczne nastroje po upadku powstania. Z pewnością obawiano się, że mało prawdopodobny, ale możliwy kompromis z Mikołajczykiem oznaczać będzie wzmocnienie oporu. Wspominane wyżej zmiany w sposobie wykonywania reformy rolnej były jednym z przejawów "nowej linii". Przede wszystkim jednak zarówno polskie, jak i radzieckie władze bezpieczeństwa wzmogły walkę z partyzantką i konspiracją. Po kilku zbiorowych dezercjach, internowano niemal wszystkich oficerów i żołnierzy WP wywodzących się z AK. Towarzyszyła temu natężająca się kampania propagandowa przeciwko Armii Krajowej i władzom Rzeczpospolitej. Nie zadowalano się już sloganami o "reakcyjnej klice", ale uznano "Londyn" i podziemie za "wspólników faszystowskich Niemiec". Uderzenie to przyniosło doraźny sukces, choć niebawem miało okazać się, iż zgniecenie konspiracji będzie procesem długotrwałym i chyba znacznie bardziej krwawym niż się spodziewano.

W początkach 1945 r. PPR okrzepła organizacyjnie i kadrowo, panowała nad stworzonymi przez siebie instrumentami władzy, wypracowała i wypróbowała podstawowe mechanizmy kontroli życia publicznego. Mogła także poszczycić się - co było chyba ważniejsze na użytek wewnętrzny niż międzynarodowy - pierwszym osiągnięciem dyplomatycznym: gen. Charles de Gaulle (mocno naciskany przez Stalina) zgodził się na wysłanie misji do Polski. Struktury konspiracyjne pod okupacją niemiecką stanowiły cień dawnej siły Państwa Podziemnego. Elity polityczne na emigracji były skłócone, a od utworzenia gabinetu Arciszewskiego Rząd RP utracił zaufanie swoich aliantów.

Finał

Taki był mniej więcej stan "sprawy polskiej" w chwili, gdy 12 stycznia 1945 r, ruszyła ofensywa zimowa Armii Czerwonej, a była to, zwłaszcza na ziemiach południowych i centralnych Polski, akcja rzeczywiście błyskawiczna: 17 stycznia zdobyto Warszawę, 19 stycznia Kraków i Łódź, 30 stycznia jednostki polskie przekroczyły dawną granicę z Niemcami, a radzieckie czołówki pancerne dotarły do linii Odry. Przed końcem lutego wojska niemieckie zostały wyparte z całego terytorium Rzeczpospolitej (z wyjątkiem wybrzeża, gdzie walki trwały do końca marca). Radość ze zniknięcia znienawidzonych okupantów mieszała się z lękiem o przyszłość. Najbardziej radykalną decyzję podjęła Brygada Świętokrzyska NSZ, uchodząc wraz z niemieckimi wojskami na zachód, by oprzeć się aż w Czechach, gdzie przeszła na stronę amerykańską. Gen. Okulicki nie wydał rozkazu o wznowieniu akcji "Burza", która nie miałaby wówczas ani militarnego, ani politycznego znaczenia. Niemniej jednak niektóre oddziały AK podjęły ataki na cofających się Niemców, niejednokrotnie współdziałając z wojskami radzieckimi. 19 stycznia Komendant Główny AK rozwiązał organizację i uwolnił oficerów i żołnierzy z przysięgi, ale nie było już oczywiście mowy o ujawnianiu się i utrzymana została organizacja "Nie".

Przez wiele jednostek rozkaz ten uznany został za swego rodzaju wybieg mający formalnie ochronić przed zarzutami o przynależność do nielegalnej organizacji. Nie wszystkie oddziały wykonały polecenie (m.in. cały Okręg Białostocki), a wszystkie sztaby, także lokalne, trwały nadal. Nie

rozwiązały się pozaakowskie duże organizacje konspiracyjne - NSZ i powstały jesienią po oddzieleniu się od AK Narodowy Związek Wojskowy (NZW). Także Delegat Rządu i RJN postanowili kontynuować działalność konspiracyjną.

Na wyzwalanych spod niemieckiej okupacji terenach zarówno jednostki NKWD, jak i polskie siły bezpieczeństwa, przystąpiły natychmiast do "oczyszczania terenu" - wszędzie masowo aresztowano członków AK i pracowników tajnej administracji. Z wielu regionów sygnalizowano powszechne aresztowania sędziów i adwokatów, częstym przedmiotem represji byli też ziemianie i małomiasteczkowa inteligencja. Wywiad radziecki i AL miały już dość dobre rozeznania w polskim podziemiu. Wszędzie też notowano silne wahania wśród niektórych działaczy politycznych (głównie z SL), a także inteligencji, w sprawie podejmowania jawnej działalności, bądź zgłaszania się do pracy w instytucjach. Już 25 stycznia członek Krajowej Rady Ministrów Stanisław Jasiukowicz informował premiera, że "zezwala na obejmowanie wszelkich stanowisk z wyjątkiem politycznych, pod warunkiem posłuchu dla nas". Gen. Okulicki z kolei powiadamiał, że "ze względu na nastroje dołów [...] zmuszeni jesteśmy do b. wielkiej ostrożności w formułowaniu wytycznych bojkotowania zarządzeń" Rządu Tymczasowego. Najwyraźniej panowały nastroje zarówno silnego niepokoju - wobec terroru, który wielu komendantów akowskich uznawało za groźniejszy niż niemiecki - jak i wyczekiwania. Mocarstwa zachodnie miały przecież jeszcze głos w sprawach polskich.

Osiem dni, od 4 do 11 lutego, trwało na Krymie drugie (i przedostatnie) spotkanie Wielkiej Trójki na najwyższym szczeblu. Porządek konferencji był bardzo obszerny. okupacja Niemiec i reparacje wojenne, utworzenie organizacji światowej, sytuacja na Dalekim Wschodzie, udział ZSRR w wojnie z Japonią, sprawa Iranu. Churchill, Roosevelt i Stalin zjawili się w Jałcie w towarzystwie sztabów doradców politycznych i wojskowych, byli też obecni ministrowie spraw zagranicznych, którzy lepiej znali się z osobistych spotkań. W wielu sprawach panowały daleko idące rozbieżności, ale rozmówcy starali się znaleźć jakieś modus vivendi. Większość kwestii uzgodniono i rozstrzygnięto.

Brytyjczycy czuli już, że wobec potęgi pozostałych partnerów tracą swoją pozycję mocarstwa światowego. Prezydent Stanów Zjednoczonych największą wagę przykładał do swej ulubionej koncepcji porządku światowego utrzymywanego przez wielkie mocarstwa oraz do możliwie rychłego zakończenia wojny na Pacyfiku. Wojska Stalina wdzierały się w głąb Europy, kontrolowały znaczną część Bałkanów, panowały nad Bałtykiem, a ich wysoko oceniana bitność mogła być cenna w walkach z Japonią.

Sprawą, która zabrała stosunkowo najwięcej czasu i należała do najtrudniejszych, był problem Polski, a ściślej rzecz biorąc zagadnienia rządu i granicy z Niemcami. Dla aliantów zachodnich było oczywiste, iż Stalin zdobył decydujący wpływ na sytuację wewnętrzną zarówno Polski, jak i innych państw wyzwolonych (lub wyzwalanych) przez Armię Czerwoną i że możliwości ich oddziaływania są i będą niewielkie. Myśleli też z niepokojem - zwłaszcza Churchill - o tym, że ZSRR rozciągnie wnet swoje wpływy aż do Wiednia i Berlina, że ma silne poparcie w Grecji, a w znacznej części opinii zachodnioeuropejskiej i amerykańskiej cieszy się dużym autorytetem. Anglosasi uznali, że w tych warunkach nic więcej nie mogą zrobić niż uzyskanie dla Polski minimalnych gwarancji wewnętrznej suwerenności. Toteż, mimo niektórych sformułowań, ich propozycje były głęboko defensywne.

Jednocześnie przeciwni byli przesuwaniu granic polskich zbytnio na zachód. Stawało się oczywiste, że Polska - nawet mająca dużo swobody wewnętrznej - będzie czymś w rodzaju państwa buforowego (jeśli nie wypadowego), a jej granice staną się, najprawdopodobniej, granicami "imperium zewnętrznego". Z góry też założyli, że władze Rzeczpospolitej w Londynie nie będą partnerem ewentualnego kompromisu.

Stalin i Mołotow konsekwentnie i z poczuciem pewności siebie zbijali kolejne propozycje Anglosasów i ustalenia dotyczące Polski sformułowano właściwie pod dyktando radzieckie. Może tylko enigmatyczny zapis w sprawie granic nie był na rękę Kremlowi, a politycy radzieccy naciskali na określenie bardziej jednoznaczne niż "znaczny przyrost terytorialny na północy i zachodzie". Jako formułę powstania rządu (Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej) przyjęto oparcie go na "rządzie lubelskim" z dodaniem doń "demokratycznych polityków" z kraju i emigracji, przy czym Stalin kategorycznie odrzucił kandydaturę Mikołajczyka. Ostateczny skład miał być wynikiem porozumienia pomiędzy Polakami, których listę mieli wynegocjować dyplomaci trzech mocarstw. Zobowiązano przyszły rząd do przeprowadzenia "możliwie najprędzej wolnych i nieskrępowanych wyborów", w których wezmą udział "wszystkie partie demokratyczne i antynazistowskie". Komunikat końcowy potwierdzał natomiast solennie, iż granicą wschodnią będzie "linia Curzona" ("z odchyleniami o pięć do ośmiu kilometrów na korzyść Polski"). Rozwiązanie to dla wielkiej części opinii w kraju - a zapewne całej emigracji - było szokiem. Także dla tych, którzy już dawno uznali, że konieczne będą daleko idące wyrzeczenia. Polska, pierwszy kraj, który przeciwstawił się zbrojnie agresji Hitlera, została zdana na łaskę Stalina, a nie cieszył się on wśród Polaków tak dobrą opinią jak na Zachodzie. Wręcz przeciwnie.

Rząd Rzeczpospolitej natychmiast publicznie oprotestował komunikat jałtański, a także wystosował uspokajający apel do wzburzonego wojska. Czynniki kierownicze konspiracji (RJN) wyrażając protest uznały, iż "zmuszone są zastosować się do nich", co oznaczało w istocie wyrażenie gotowości do wzięcia udziału w przewidzianych rozmowach. PPS-WRN i SL podjęły decyzje o przygotowaniach do wyjścia z konspiracji. SP wahało się i tylko SN wyrażając daleko idący sceptycyzm postanowiło odczekać w podziemiu na dalszy bieg wydarzeń.

Rozmowy przedstawicieli trzech mocarstw przeciągały się jednak, gdyż nie udawało się ustalić listy uczestników "konsultacji". Sprawa rozbijała się o udział Mikołajczyka i kilku działaczy wciąż jeszcze ukrywających się. Dla "uproszczenia" debat Stalin w podstępny sposób wykluczył z przewidzianych rozmów całe niemal kierownictwo niepodległościowej konspiracji: 27 i 28 marca, po zjawieniu się na spotkanie z "przedstawicielem 1 Frontu Białoruskiego" (co było zwykłą mistyfikacją), aresztowano w Pruszkowie gen. Okulickiego, Delegata Jana Jankowskiego i członków Krajowej Rady Ministrów oraz przedstawicieli partii zasiadających w RJN. Razem z nimi przewieziono samolotem do Moskwy zatrzymanego parę tygodni wcześniej przewodniczącego Stronnictwa Narodowego.

Zamysł uprowadzenia przywódców konspiracji był dalej idący niż mogło się to początkowo wydawać - 6 maja agencja TASS ogłosiła o aresztowaniu tych szesnastu działaczy i zapowiedziała postawienie ich przed sądem za działalność dywersyjną na tyłach Armii Czerwonej. Aresztowanie przywódców

Państwa Podziemnego oznaczało, iż Kreml zdecydowany jest w ogóle pominąć środowiska niepodległościowe, co było tym bardziej wyraźne, że trwały poszukiwania odpowiednich kandydatów wśród lewicowych grup polskich w Anglii i USA.

Mikołajczyk, gorliwie zachęcany przez Brytyjczyków, "wydusił" wreszcie (15 kwietnia) z siebie publiczną deklarację o uznaniu ustaleń jałtańskich, co było warunkiem postawionym przez Stalina. W ostatniej dekadzie maja wyjechał do Moskwy Harry Hopkins, specjalny wysłannik prezydenta Stanów Zjednoczonych, dla sfinalizowania przygotowań i ustalenia ostatecznej listy.

Przez cały czas w kraju trwał nie słabnący nacisk - także propagandowy - na AK i inne struktury konspiracyjne oraz kampania nienawiści przeciwko władzom RP na obczyźnie. Groza okupacji niemieckiej powoli ustępowała lękowi wobec brutalnych działań nowych władz, a także poczuciu bezradności wobec gry wielkich mocarstw. Społeczeństwo zaprzątała także niezwykle trudna sytuacja materialna. Front wprawdzie przesuwał się szybko, ale niósł nowe zniszczenia i ogałacał kraj z żywności. Wraz z nadejściem wiosny ruszyła też na dobre prawdziwa wędrówka ludu: wracali wypędzeni z miast, ci którzy chronili się przed frontem, ruszyli na zachód deportowani Wielkopolanie, zza Buga zaczęły napływać transporty "repatriantów", z Dolnego Śląska i Zachodniego Pomorza ciągnęli polscy (ale też radzieccy) robotnicy przymusowi, jeńcy i więźniowie. W niezwykle ciężkich warunkach rozpoczynała się odbudowa domostw, miejsc pracy i zwykłego, codziennego życia.

Rząd Tymczasowy i PPR wkładały wiele wysiłku w to, aby kontrolować życie społeczne i gospodarcze, a obok bezwzględnej walki z konspiracją i zastraszania poszczególnych grup społecznych, usilnie podkreślały swoje ogólnonarodowe, bynajmniej nie rewolucyjne, powołanie. Odwoływano się do wielkiej tradycji narodowej, obchodzono uroczyście święto 3 Maja, z dumą ogłoszono powrót Warszawy do funkcji stołecznych, fetowano znanych artystów i intelektualistów. Wszczęto też grę z Kościołem katolickim, licząc na zneutralizowanie tej wielkiej siły społecznej: 24 marca z aprobatą arcybiskupa Sapiehy zaczął ukazywać się "Tygodnik Powszechny", pierwsze czasopismo niezależne od PPR i jej sojuszników. Nad wszystkim jednak ciążył cień Jałty, aresztowanie "szesnastki" i wielu innych czołowych działaczy politycznych, pacyfikacje i wyłapywanie akowców, wzmacnianie sił bezpieczeństwa. Ciążył on także na oczywistej radości z kapitulacji III Rzeszy i satysfakcji z udziału polskich żołnierzy w walkach na terenie Niemiec i szturmie Berlina. W końcu maja nastąpiła pewna zmiana w nastawieniu PPR, co wiązało się zapewne z wejściem w finalną fazę przygotowań do rozmów moskiewskich. Podczas posiedzenia KC, które odbyło się w dniach 21-22 maja, ostro krytykowano nadużycia organów bezpieczeństwa, zastanawiano się nad przyznaniem nieco większej autonomii sojusznikom z Rządu Tymczasowego, postanowiono złagodzić stosunek do AK. Swoją rolę w tym odegrał też zapewne wzmacniający się opór. Lasy zapełniały się młodzieżą, która chroniła się przed aresztowaniami, napływali wciąż liczni dezerterzy. Niewiadomą dla władzy była reakcja społeczeństwa w przypadku rozpoczęcia jawnej działalności przez podziemne partie polityczne. Skłaniało to również niektórych działaczy SL i PPS współpracujących z komunistami do podkreślania swojej niezależności.

Władze konspiracyjne próbowały znaleźć wyjście ze skomplikowanej sytuacji, a środowisko dowódcze AK na szczeblu centralnym bynajmniej nie dążyło do jej zaostrzenia. Rozwiązano organizację "Nie" i rozkazem p.o. Naczelnego Wodza z 7 maja utworzono funkcję Delegata Sił Zbrojnych na Kraj (DSZ), na którą powołano płk. Jana Rzepeckiego, b. szefa BiP KG AK. Płk Rzepecki, jako faktyczny zwierzchnik b. AK, za jedno z głównych zadań uznał stopniowe rozładowywanie wojskowego podziemia. Wraz z p.o. Delegata Rządu wydawał kilkakrotnie apele o zaprzestanie walki zbrojnej i powrót "do pracy nad odbudową kraju". łagodzące były też wystąpienia RJN, która w odezwie z 17 maja deklarowała wprawdzie, że "walka trwa", niemniej wzywała konspirujących, aby "wracali do normalnego życia i konstruktywnej pracy". Sytuację środowisk konspiracyjnych pogarszały też wewnętrzne rozbieżności, m.in. na tle stosunku do rządu Tomasza Arciszewskiego. Były one powodem zawieszenia przez SL "Roch" udziału w pracach Rady (7 maja).

W połowie czerwca uwaga polskiej opinii skoncentrowała się na Moskwie, w której 16 czerwca rozpoczęły się rozmowy między grupą niezależnych polityków i znanych osobistości, na czele z Mikołajczykiem, a przedstawicielami Rządu Tymczasowego z Gomułką i Bierutem. Trzy dni później, w sali kolumnowej Domu Związków Zawodowych (znanej z lat "wielkiej czystki"), odbyło się pierwsze posiedzenie Kolegium Wojskowego Najwyższego Sądu ZSRR, przed którym stanęli polscy przywódcy aresztowani w Pruszkowie. Razem tworzyło to dobrze zainscenizowany spektakl z zakończeniem znanym jego kremlowskim twórcom. Mikołajczyk, kiepsko wspomagany przez swych współtowarzyszy, zdołał uzyskać zaledwie honorową kapitulację: kilka drugorzędnych tek w rządzie (dla siebie II wicepremiera), miejsce dla Witosa w Prezydium KRN, uzgodnione, ale przez mocarstwa nie sygnowane, obietnice miejsc dla ludowców w KRN i radach narodowych, instytucjach rządowych i gospodarczych. Pepeerowcy otwarcie byli pewni swego, a podczas jednej z debat Gomułka wprost stwierdził, iż "władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy". "Możecie krzyczeć - mówił ekscytując się - że leje się krew narodu polskiego, że NKWD rządzi Polską, lecz to nie zawróci nas z drogi". Jakby wypełnieniem tych brutalnych pogróżek było zakończenie procesu "szesnastu" wyrokami (do 10 lat) dla większości podsądnych. Choć nie zapadł żaden wyrok śmierci, trzech skazanych - gen. Okulicki, wicepremier Jankowski i min. Jasiukowicz - nigdy nie wyszło z radzieckich więzień. Przedstawiciele Wielkiej Trójki bez zbytnich debat uznali, że wyniki rozmów "Polaków z Polakami" wypełniają postanowienia przyjęte na Krymie. 28 czerwca Bierut powołał Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, który następnego dnia uznany został przez - kokietującą Stalina - Francję, a 5 lipca przez pozostałych stałych członków Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych: Wielką Brytanię, USA i Chiny. 1 lipca, po długotrwałych obradach Rada Jedności Narodowej ogłosiła manifest "Do Narodu Polskiego i do Narodów Zjednoczonych" wraz z dokumentem programowym zwanym "Testamentem Polski Walczącej". Deklarowała w nich kontynuowanie walki o cele, które w 1939 r. postawił przed sobą naród, podejmując zmagania z najeźdźcami, ale walki politycznej. Przedstawiła też katalog żądań, wokół których dalsza działalność niepodległościowa winna się koncentrować: odejścia z Polski obcych wojsk i NKWD, skończenia z prześladowaniami, powrotu Polaków wywiezionych w głąb ZSRR, wolności osobistej i wolności politycznych dla wszystkich stronnictw Polski Podziemnej. Jednocześnie Rada - przy

zastrzeżeniach zgłoszonych przez SN, które opowiadało się za kontynuowaniem konspiracji - rozwiązała się. Pełniący zastępczo funkcję Delegata Rządu Jerzy Braun uznał, iż wypełniać będzie tylko obowiązki wynikające z likwidacji struktur cywilnych, która zresztą od pewnego czasu była już prowadzona. W łonie Delegatury Sił Zbrojnych podjęto już także pierwsze prace nad przekształceniem jej w organizację polityczne-wojskową. W początkach sierpnia intencje te wsparł Naczelny Wódz, depeszując do kraju, iż "nie mamy zamiaru prowadzić walki zbrojnej jak to miało miejsce w czasie okupacji niemieckiej".

Rozwiązanie się podstawowych instytucji Państwa Podziemnego i utrata przez władze Rzeczpospolitej uznania ze strony wielkich mocarstw (za którymi wnet poszła większość państw) oznaczało w dziejach Polski zamknięcie wielkiego rozdziału, któremu na imię Polska Niepodległa i Walcząca, choć obie one pozostały: Niepodległa na emigracji, Walcząca - na różne sposoby i z różnym nasileniem - w kraju. Niemniej rozpoczęła się definitywnie nowa epoka: Polski pozbawionej niezależności, włączonej do wielkiego ideologicznego imperium. "Polska będzie wolna i niepodległa - mówił w sierpniu 1944 r. Mikołajczyk - jakkolwiek na przestrzeni 20-30 lat będzie przechodziła ciężkie sytuacje". Zapewne nie wyobrażał sobie ówczesny premier, jak ciężkie to będą sytuacje. Nie śmiał przewidywać, że potrwają znacznie dłużej. Ale nie ze wszystkim się przecież pomylił.

`nv

Rozdział III.ă
Nowa rzeczywistość

Inny kraj

Z największej wojny w dziejach Polska wyszła straszliwie okaleczona i tym okaleczeniem zmieniona. Obszar państwa został zmniejszony o 20%, utraciła ziemie wschodnie (blisko połowę dawnego terytorium) i przesunęła się na zachód na ziemie zasiedlone i ucywilizowane przez obcych. Już po zakończeniu powojennych przemieszczeń była o ok. 30% mniej zaludniona niż w 1939 r. Całe terytorium, zarówno tzw. ziemie dawne, jak i nowo nabyte (zwane wówczas Ziemiami Odzyskanymi), było zniszczone przez działania wojenne oraz rabunkową gospodarką okupantów i armii radzieckiej wkraczającej na obszar III Rzeszy. W ruinach leżało kilka wielkich miast, zniszczone było ok. 1/4 wsi. Kilka milionów kalek, rozprzestrzenienie się chorób zakaźnych, niezwykle wysoki poziom śmiertelności dzieci dodatkowo osłabiały potencjał ludzki.

Był to w istocie zupełnie nowy kraj. Za granicznym kordonem "linii Curzona" pozostały dwa wielkie ośrodki kulturalne (Lwów, Wilno), a ok. 2 mln (w tym prawdopodobnie ok. 300 tys. uciekających już od 1943 r. przed brutalnym naciskiem Ukraińskiej Armii Powstańczej) osób utraciło swoją "małą ojczyznę", rodzinne od pokoleń dobra, otoczenie i krajobraz, który był częścią ich kultury, a także wielu bliskich, krewniaków i krajan, którzy zdecydowali się pozostać na ziemi przodków. Większość z nich została

przesiedlona na ziemie im obce, cywilizacyjnie odmienne. Miasta i miasteczka dawnych ziem centralnej i południowej Polski były nie tylko zdewastowane czy wręcz zrujnowane, ale zniknęła z nich - w czasie holocaustu - ludność żydowska, sąsiad na ogół nie lubiany, ale odwieczny i mający swoje stałe miejsce w życiu społecznym. Przeludnione wsie tych ziem - a nawet wojna i terror okupanta zjawiska tego nie zniwelowały - "ruszyły" na zachód. Do końca 1948 r. przesiedliło się tam ok. 2,7 mln osób znad Wieprza, Narwi, Wisły, Pilicy czy Warty. Dla nich teren, na który przyszli, był zarazem nowy i obcy: ceglane domy na wsi, asfaltowe drogi, kanalizacja, 30- czy 50-hektarowe gospodarstwa, murowane miasteczka. Tam właśnie zetknęli się z rodakami "zza Buga", w wielu regionach też z Polakami, którzy przetrwali tu wielowiekową niemiecką obecność.

Razem tworzyli pewną namiastkę dawnej, wielonarodowej Rzeczpospolitej, ubarwioną gdzieniegdzie reemigrantami z Francji i Belgii, Żydami, którzy ocaleli na zsyłkach w Kazachstanie, Ukraińcami deportowanymi w 1947 r. z południowo-wschodnich województw w ramach akcji "Wisła", wreszcie tymi Niemcami, którzy zostali zatrzymani w Polsce jako fachowcy. Najsilniejsze piętno na ziemiach nowych, choć nie stanowili większości, wywarli kresowiacy: we Wrocławiu dość szybko powstał "mały Lwów", na Pomorze trafiła część inteligencji wileńskiej, do Olsztyna zawędrowali wołyniacy. Wschodni zaśpiew zadomowił się w całej Polsce. Po czterech latach akcji osiedleńczej, w większej części zorganizowanej, ale nie bez spontanicznych i "dzikich" przemieszczeń, na ziemiach tych z ponadpięciomilionowej grupy przesiedleńców zaczęły powstawać autentyczne, wrastające w grunt społeczności lokalne.

Był to proces, który trwać miał dłużej niż jedno pokolenie, a hamowała go w znacznym stopniu zarówno niepewność co do losów tych ziem, jak i nieufność do wielu poczynań władz państwowych (na równi lokalnych, jak i centralnych). Proces ten, zwłaszcza w pierwszej fazie, nie był bynajmniej bezkonfliktowy, a główną ofiarą stali się - poza obcoplemieńcami - dawni mieszkańcy tych ziem: Ślązacy, Mazurzy czy Warmiacy, traktowani jako Niemcy nie tylko przez "armię wyzwolicielkę", ale też przez niemałą część napływających tu rodaków. W pierwszych latach panował stan niepewności, lęków nie tylko o dobra materialne, ale nawet o życie i zdrowie. Rozbicie dawnych lokalnych struktur społecznych, więzi środowiskowych i lokalnych, parafii, organizacji w znacznym stopniu ubezwłasnowolniły społeczeństwo ziem zachodnich i północnych, czyniły je bardziej biernym w procesach politycznych, ułatwiały manipulowanie nim, szantaż i naciski.

Przemieszanie środowisk występowało, lecz w nieporównanie mniejszej skali, także na "ziemiach dawnych". I na nie napłynęła część wysiedlonych ze wschodu. Wracali do siebie, po wielu latach, wyzuci z domostw Wielkopolanie i mieszkańcy Pomorza, przetrząsali gruzy rodzinnego miasta rozproszeni po upadku powstania warszawiacy. Ucieczki, deportacje, przetaczające się fronty, krwawy terror i holocaust spowodowały powstanie całych stref "próżni" osadniczej. Nader często była to pustka ruin.

Aczkolwiek zachodnim demokracjom obca była (przynajmniej oficjalnie) narodowa ksenofobia, a ZSRR głośno wychwalał swój internacjonalizm, wielkie mocarstwa dość zgodnie przyjęły, iż nowe państwo polskie winno być monoetniczne, a Niemcy usunięci z ziem, które znalazły się poza ich przyszłym obszarem państwowym. Od lutego 1946 r. na polecenie

Międzysojuszniczej Rady Kontroli rozpoczęto wielką, dla Niemców bolesną i trudną, akcję wysiedlania. W jej trakcie dochodziło do licznych ekscesów i rabunków. W ciągu niespełna dwóch lat ok. 3 mln osób przewieziono na zachód od Odry. Dodając do tego parę milionów, które opuściły ojcowiznę, uciekając zimą 1945 r. przed nadciągającą nawałą i paręset tysięcy tych, którzy nie czekając na transporty uszli na zachód latem 1945 r., na zaludnionych przez Polaków ziemiach pozostało po 1950 r, nie więcej niż 200-300 tys. Niemców z ludności wynoszącej przed wojną 7 mln. W mniejszej skali i w innych - ale też przymusowych - warunkach nastąpił exodus na wschodnich terenach przygranicznych. Po polskich przesiedleńcach miejsce "za Bugiem" zajęli w części Ukraińcy (480 tys.), Białorusini (40 tys.) i Litwini (ok. 15 tys.), którzy "optowali" - z reguły pod presją - za republikami radzieckimi, opuszczając od wieków zamieszkane siedziska. Państwo polskie stawało się siłą faktów państwem narodowym, chyba najbardziej monolitycznym w tej części Europy, a mniejszości - poza Białorusinami - stosunkowo mocno rozproszone przestały być problemem, który tak silnie ważył na II Rzeczpospolitej. Wszakże okoliczności, w jakich stan taki powstał, nie uciszyły resentymentów i wzajemnych fobii, a zrodziły nawet niemało nowych nienawiści. U wszystkich.

Z największym natężeniem w latach 1945-1946, a z malejącym jeszcze w roku następnym, trwały te wielkie przesiedlenia i wysiedlania, a częścią bezprecedensowego ruchu ludności były też potężne fale repatriacyjne. Przeważająca część spośród 600 tys. polskich robotników przymusowych, których wyzwolenie zastało na wschód od Odry, wracała do domów, ale byli i tacy, których domy znalazły się teraz za "linią Curzona". Wracali do ojczyzny, też często osiedlając się na ziemiach nowych, robotnicy, jeńcy i "kacetowcy" ze wszystkich stref okupacyjnych Niemiec - było takich dobrze ponad 1,5 mln. Repatriacja objęła pewną część "specpieriesieleńców" z lat 1940-1941 - ok. 280 tys., w tym połowę stanowili Żydzi, w większości ofiary deportacji "bieżeńców". Znaczna część "Sybiraków" nie wróciła do swoich starych domów na kresach, lecz rozsiedleni zostali po całej Polsce, a Żydzi głównie trafili na Dolny Śląsk. Przyjeżdżali do Polski, w większości pochodzący z województw centralnych, również żołnierze z Polskich Sił Zbrojnych (częściej z Anglii niż z II Korpusu) - w sumie kilkadziesiąt tysięcy osób. Z zachodniej Europy, Belgii, francuskiego Nordu, Westfalii - ale też z Jugosławii czy rumuńskiej Bukowiny - reemigrowało ok. 150 tys. osób, niektóre urodzone już i ukształtowane poza Polską.

Choć Polska stawała się państwem narodowym i w granicach jej znalazło się blisko milion śląskich Polaków, którzy nigdy w państwie polskim nie mieszkali, nie oznaczało to, że na swym nowym terytorium Macierz zebrała wszystkich. Inaczej niż po I wojnie światowej, "nie drgnęła" Polonia zaoceaniczna. Z ponadpółmilionowej rzeszy polskich emigrantów we Francji zdecydowało się przyjechać niespełna 80 tys. Wedle oficjalnych statystyk ZSRR w 1950 r. mieszkało tam ok. 1,5 mln Polaków, co oznacza, iż duża część kresowiaków zdecydowała się pozostać na ojcowiźnie lub uniemożliwiono jej wyjazd. W głębi Rosji zatrzymanych zostało - przez los, a częściej przez władze - sporo spośród tych, którym udało się przetrzymać udręki łagrów, więzień i deportacji. Polacy w ZSRR, nieomal wszędzie gdzie przebywali, czy na obrzeżach "nieludzkiej ziemi" czy w swoich starych siedliskach kresowych, pozbawieni inteligencji, która wyginęła lub przeniosła się nad

Wisłę i Odrę, traktowani byli jako obywatele gorszej kategorii, bez szans awansu społecznego. Zostali szczelnie odcięci od kontaktów z Polską.

W zachodniej Europie pozostała zdecydowana większość żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych (przede wszystkim, ale bynajmniej nie wyłącznie, pochodzących z ziem wcielonych do ZSRR) i emigrantów-cywilów. Nie zdecydowało się na wyjazd do kraju ok. 300 tys. osób, które zakończenie wojny zastało na terenach Rzeszy lub przez nią okupowanych. Szacuje się, że polska emigracja na Zachodzie powiększyła się o co najmniej pół miliona osób. Z tak okrutnie przetrzebionej przez wojnę i terror okupantów inteligencji pozostały tam dziesiątki tysięcy. Pozostała też znaczna część elit intelektualnych i politycznych, pozostały władze państwowe Rzeczpospolitej, pieczęcie i sztandary. Powstała potężna emigracja niepodległościowa, bodaj czy nie najliczniejsza ówcześnie na świecie diaspora polityczna.

Z wojny tej naród polski wyszedł osłabiony liczebnie, obolały po traumatycznych przeżyciach, zaskakujących zwrotach w położeniu, z rozbitymi wspólnotami, pogubionymi i rozdzielonymi rodzinami, setkami tysięcy sierot, kalek i bezdomnych. Unicestwiona była znaczna część elit i lokalnych przywódców, spalone biblioteki i szkoły, wymordowana dużą część wychowawców i duszpasterzy. Znacząca jego część, może nawet 1/3, po tych wszystkich dramatach i tragediach z trudem szukała nowych siedzib, niejednokrotnie odległych o setki - nawet tysiące - kilometrów od dawnych "małych ojczyzn": jedni nad Odrą, inni nad Tamizą.

Ale przecież niemała część tak okrutnie doświadczonego narodu miała za sobą paroletnią, prowadzoną z niezwykłą determinacją walkę, była zaprawiona w bojach i uzbrojona. Bogata też była w nieodparte przeświadczenie, że niepodległość jest wartością nadrzędną, a dla jej spełnienia już sama tradycja wymaga ofiary.

Pionek na szachownicy

Zakończenie działań zbrojnych w Europie oraz zbudowanie i użycie bomby atomowej, które zdławiło determinację Japończyków i spowodowało błyskawiczny koniec wojny na Pacyfiku, wyraźnie rozluźniły więzy łączące koalicyjną Wielką Trójkę. Wspólny wróg został nie tylko pokonany, ale wręcz unicestwiony. To, co dzieliło zachodnie demokracje od wschodniego totalitarnego imperium, stało się pierwszoplanowe, tym bardziej że gwałtowny wzrost potęgi ZSRR groził dalszymi podbojami, w których mogły ze sobą współgrać instrumenty militarne i ideologiczne. Ale bieg wydarzeń zmienił układ sił na świecie nie tylko przez klęskę dwóch potęg, które do wojny tej parły najbardziej zdecydowanie i jawnie. Najazd niemiecki na ZSRR już w 1941 r. wyprowadził ten kraj z międzynarodowej izolacji, w jakiej znajdował się de facto od początku swego istnienia. W 1939 r. okazał się potrzebny Hitlerowi, po 22 czerwca 1941 r, stał się fizycznym trzonem antyhitlerowskiego sojuszu. Od 1943 r., od bitwy stalingradzkiej, narodził się nowy, dwubiegunowy podział świata, gdyż okazało się, że brytyjska potęga jest wystarczająca tylko do działań defensywnych. Plan pierwszy zajęły: największe mocarstwo ekonomiczne i największe mocarstwo militarne. Dalsza rozgrywka miała toczyć się już między nimi i naznaczyć dzieje

następnych dekad. Choć stan ten nie był Anno Domini 1945 jeszcze jasno sprecyzowany i ogłoszony, wiele konkretnych wydarzeń biegło już zgodnie z wynikającą właśnie z niego logiką. W tym także te, które dotyczyły Polski.

Mimo iż na długiej linii od Lubeki po Triest (a także w odległej Korei, na geometrycznej granicy 38 równoleżnika) stały naprzeciw siebie potężne i upojone sukcesami armie, żadna ze stron nie kwapiła się do tak głębokiego zerwania, aby musiało to prowadzić do zbrojnego konfliktu. Scenariusze zakładające takie właśnie rozwiązanie - a układało je wielu Polaków i to nie tylko wojskowych czy polityków - pisane były bez pytania aktorów, czy zechcą zagrać wyznaczone im role. Ani Waszyngton, ani Moskwa nie były do tego skłonne, choć zapewne nie myślano wówczas - ani na Kremlu, ani w Białym Domu - że nieuchronna konfrontacja wyrazi się w chronicznych "przepychankach", a nie w tradycyjnej formie nowej wielkiej wojny: "Trzeciej Światowej", jak wówczas mawiano.

W pierwszej fazie wychodzenia z koalicji i tworzenia się nowego frontu, dla obu stron najważniejsze było, jak się wydaje, skonsolidowanie wokół siebie zwolenników. Zgodnie z odmiennym charakterem oba supermocarstwa czyniły to zupełnie innymi środkami. Przynajmniej na terenie Europy. ZSRR budował system państw zwasalizowanych, podporządkowanych mu militarnie i gospodarczo, a przede wszystkim będących we władaniu tej samej - od Szczecina po Czukotkę - monolitycznej i monokratycznej ideologii oraz pod rządami grona wychowanków Kominternu. Stany Zjednoczone dążyły do zapewnienia swym sojusznikom wewnętrznej stabilizacji - najlepszej ochrony przed pokusami nowej "socjalnej rewolucji" - a czyniły to głównie w sferze ekonomicznej i rozpinając nad nimi "parasol ochronny" swych wojsk.

Jeśli ustalenia teherańskie dawały jeszcze jakieś szanse, gdyż można było założyć, że wschodnia granica Polski będzie zachodnią granicą radzieckiego imperium, to późniejsze fakty dokonane i potwierdzenie ich na konferencji jałtańskiej osłabiały taką nadzieję. Przyjęcie przez zachodnie demokracje ugody moskiewskiej, wycofanie uznania Rządowi RP, a nade wszystko decyzje uzgodnione na - najdłuższej ze wszystkich, bo trwającej między 17 lipca a 3 sierpnia - konferencji poczdamskiej odbierały ją ostatecznie. Na postawę Anglosasów niewielki wpływ miały zmiany personalne, które zaszły wśród ich przywództwa: ani obejmujący po śmierci Roosevelta prezydenturę Harry S. Truman, ani nowi, po klęsce wyborczej konserwatystów, sternicy brytyjskiej nawy państwowej Clement R. Attlee i Ernst Bevin, nie zdecydowali się na żadne generalne zmiany w polityce wobec wschodniego kolosa. Niemniej wiele akcentów, w uchodzącej za zbyt "miękką", polityce Roosevelta zostało przesuniętych tak, że latem 1945 r, na plan pierwszy zaczęły wysuwać się nieufność i poczucie zagrożenia. Rodziła się powoli linia polityczna, znana później pod nazwą containment (pohamowania), stawiająca sobie za cel niedopuszczenie do dalszej ekspansji terytorialnej ZSRR. Wydarzenia rozgrywające się w Polsce i wokół niej dały ważny impuls do tych zmian, ale dla sprawy polskiej suwerenności i polskiej demokracji miały one, paradoksalnie, znaczenie raczej negatywne.

Obie delegacje zachodnie na obradującą blisko berlińskich ruin konferencję skazane były - w rezultacie dotychczasowej polityki - na zaakceptowanie wyników rozmów moskiewskich, za główne zadanie przyjmując przeciwdziałanie zbytniemu wzmacnianiu się ZSRR. Stąd brały się długie

targi na temat wysokości odszkodowań wojennych i korzystania z nich przez Polskę, a także sprawa granicy zachodniej, która miała być - wobec niejasności co do dalszych losów Niemiec - jedyną wówczas pewną granicą zachodnią radzieckiego imperium. Anglosasi, a najostrzej sprawę stawiali Brytyjczycy (szczególnie zaś Churchill), nie byli entuzjastami linii Nysy Łużyckiej i przyznania Polsce lewego brzegu Odry w okolicach Szczecina, które to tereny wobec tak dotkliwej amputacji terytorium państwowego na wschodzie były przez znaczną część Polaków traktowane nie tylko jako należna rekompensata, ale także jako szansa wzmocnienia kraju. Toteż w tej sprawie cała delegacja polska - którą w odróżnieniu od Teheranu i Jałty dopuszczono do przedstawienia swojego stanowiska - była zdecydowanie jednolita, choć w skład jej wchodził także wicepremier Mikołajczyk, formujący właśnie koncepcję legalnej opozycji wobec PPR. Wyraźnie wykorzystał on swoją pozycję u Anglosasów w celu uzyskania ich zgody na ustalenia maksymalnie korzystne dla Polski.

Ostatecznie uzgodniono, iż Polska otrzyma reparacje w ramach kwot przyznanych ZSRR, granica pobiegnie zaś w myśl propozycji radzieckich (i polskich). Delikatna rozgrywka między mocarstwami, w której główną stawką były Niemcy, nie dające się przecież wymazać z mapy Europy, doprowadziła wszakże do postawienia Polski w sytuacji niedogodnej w dłuższej perspektywie. Otóż układ poczdamski nie został uznany za równoznaczny z traktatem pokojowym z Niemcami, które w tym momencie nie były podmiotem prawa międzynarodowego, i definitywne potwierdzenie granicy odłożono do chwili zawarcia takiego traktatu. Dodatkowych komplikacji dla Polski nastręczała też decyzja poczdamska o wysiedleniu z terenów przekazanych "polskiej administracji" wszystkich Niemców. Pozostawienie wielomilionowej mniejszości stwarzałoby niezwykle silne zagrożenie dla kraju - i to niezależnie od przyszłego kształtu politycznego Niemiec. Ale drastyczny krok, w wyniku którego wyzuto z ojcowizny (a dodatkowo pozbawiono majątku) tak wiele osób, wzmagał wrogość Niemców wobec Polaków, pogłębiał przepaść wykopaną pomiędzy oboma narodami przez wojnę i okupację oraz z góry niejako zakładał niemieckie rewindykacje.

ZSRR stawał się więc faktycznym gwarantem polskiego stanu posiadania na zachodzie, co dodatkowo uzależniało Polskę i mogło być czynnikiem o zasięgu nieomal ponadustrojowym. Element ten wygrywany był w stosunkach polsko-radzieckich i to przez wiele lat. Wykorzystywany był także, nierzadko bardzo brutalnie, dla legitymizacji władzy komunistycznej i służył jej wiernie przez parę dziesiątków lat jako narzędzie w walce politycznej z przeciwnikami wewnętrznymi. Użycie go było tym łatwiejsze - zwłaszcza w pierwszym okresie - że mocarstwa zachodnie nie kryły bynajmniej swego niechętnego stanowiska do "linii Odra-Nysa", traktując je jako dogodny środek wpływania na niemiecką opinię publiczną. Mniej wyzywająco i mniej konsekwentnie czynił to także Stalin, pragnąc dopomóc niemieckim komunistom w umocnieniu ich pozycji. Dramatyczny dla Polski sekwens decyzji podejmowanych od konferencji teherańskiej po układ poczdamski konkludował niejako stan faktyczny, który powstał w wyniku katastrofy wrześniowej i ówczesnego rozbioru Rzeczpospolitej. Do odległej historii przechodziła pozycja Polski z lat międzywojennych, gdy polska polityka zagraniczna - niezależnie od tego, czy uznaje się ją za słuszną czy błędną - była całkowicie suwerenna. Polska pozostała już tylko formalnie podmiotem w

stosunkach międzynarodowych. Faktycznie stała się wielostronnie i niezwykle głęboko uzależnionym fragmentem wielkiego imperium ideologicznego.

Lato 1945. Nadzieja normalizacji

Gdy uczestnicy moskiewskich rozmów wysiedli z samolotu na podwarszawskim lotnisku, na czele grupy szli Bierut, Osóbka-Morawski i Szwalbe. Mikołajczyk znalazł się na dalszym miejscu. Gdy jednak samochód wiozący b. premiera wjechał w obręb miasta, to on właśnie stał się głównym bohaterem dnia: "Kobiety zalewały się łzami - pisał jeden z uczestników powitania - a nierzadko można było widzieć mężczyznę usuwającego łzę z oka". Udręczone społeczeństwo witało w jego osobie nie tylko przedstawiciela Polski demokratycznej i niepodległościowej, ale także polityka cieszącego się poparciem demokratycznych mocarstw i zwiastuna nieuchronnych - jak sądzono - zmian dotychczasowych praktyk rządzenia Polską.

"Swoboda działania" zagwarantowana dla wszystkich "antyfaszystowskich partii", a także zobowiązanie do przeprowadzenia "możliwie szybko" wolnych wyborów, były tymi punktami generalnych decyzji Wielkiej Trójki, które miały być podstawą oczekiwanych zmian. Wszakże strona silniejsza dzierżeniem władzy i ciesząca się bezwarunkowym poparciem Stalina nie zamierzała odstąpić od swej dotychczasowej linii działania. Dla Kremla i PPR "porozumienie moskiewskie" było tylko taktycznym wybiegiem, leninowskim "krokiem wstecz", który umożliwiał w następstwie "dwa kroki naprzód", a zapowiedź Gomułki, iż "władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy" - główną wytyczną.

Decyzje moskiewskie, objęcie przez Mikołajczyka i paru jego kolegów partyjnych foteli rządowych, uczestnictwo b. premiera w oficjalnych delegacjach państwowych w Poczdamie i Moskwie, rozwiązanie się konspiracyjnej Rady Jedności Narodowej i Delagatury (a niebawem także Delegatury Sił Zbrojnych) zmieniło w zasadniczy sposób pejzaż polityczny kraju. Między dotychczasowe dwa bieguny, które tworzyła PPR i jej satelici (PPS, SL, SD oraz takie organizacje jak Samopomoc Chłopska) z jednej strony a te wszystkie ośrodki, które trwały w konspiracji (politycznej lub zbrojnej) z drugiej, wprowadzony został trzeci czynnik - antykomunistyczne, lecz działające jawnie i legalnie partie i grupy polityczne. Stanowisko mocarstw zachodnich i pojawienie się legalnej (acz wchodzącej do formalnej koalicji rządowej) opozycji wpłynęło wyraźnie zarówno na sytuację ogólną, jak i na istniejące już struktury czy to pekawuenowskie czy podziemne.

W tych pierwszych głównym efektem był widoczny wzrost aspiracji PPS do uznania się za równoprawnego partnera komunistów. Większość (nielicznych) socjalistów, którzy wracali z emigracji - jak Jan Stańczyk czy Ludwik Grosfeld - włączała się do "lubelskiej PPS", powiększając grono tych, którzy nie współpracowali uprzednio z PPR (Józef Cyrankiewicz, Dorota Kłuszyńska, Adam Kuryłowicz, Kazimierz Rusinek). Działacze ci - ale także bardzo ambitny Edward Osóbka-Morawski, który pozostał na stanowisku premiera, Stanisław Szwalbe czy enfant terrible Bolesław Drobner - próbowali, acz niekonsekwentnie, odgrywać rolę centrum pomiędzy komunistami a ludowcami Mikołajczyka. Wahania przeżywali niepodległościowi socjaliści,

ale i oni podjęli - zapoczątkowane jeszcze w maju - próby porozumienia się z "lublinianami". Gdy wobec stanowczego sprzeciwu PPR zakończyły się one fiaskiem, Zygmunt Żuławski (wraz z kilkoma towarzyszami, m.in. Ludwikiem Cohnem, Antonim Zdanowskim i Józefem Grzecznarowskim) zainicjował powołanie Polskiej Partii Socjaldemokratycznej (PPSD) jako drugiego legalnego stronnictwa socjalistycznego.

Ujawnienie się SL "Roch", jednej z największych partii konspiracyjnych, entuzjastyczne powitania Mikołajczyka wszędzie, gdzie się pojawił, poparcie ze strony "króla chłopów" Wincentego Witosa, spowodowały szybki rozkład dotychczasowego SL. Stronnictwo opuszczali nie tylko działacze, ale całe organizacje powiatowe i wojewódzkie. Politycy nie powiązani bezpośrednio z komunistami - tacy jak Stanisław Bańczyk, Tadeusz Rek czy Bronisław Drzewiecki - usiłowali wymusić połączenie się z "witosowcami", a co najmniej uniezależnić swoją partię od PPR, co dodatkowo osłabiało Stronnictwo i zmniejszało oparcie komunistów na wsi.

Aczkolwiek deklaracja Rządu RP na emigracji stwierdzała m.in., że zrekonstruowane w Moskwie władze są nielegalne i "nie mogą być bez przymusu uznane przez naród polski", znaczna część opinii publicznej i politycznych elit w kraju przyjęła dyktat Wielkiej Trójki jako fakt dokonany. W lipcu powstał, składający się z działaczy o umiarkowanych poglądach (m.in. Stanisław Rymar, Jan Bielawski) Komitet Legalizacyjny Stronnictwa Narodowego, który deklarował, iż "pragnie, aby wszystkie polskie siły wzięły udział w odbudowie [...] polskiego życia". Jako grono blisko ze sobą współpracujących osób, a nie formalna organizacja, ujawniło się - jeszcze wiosną 1945 r. - Biuro Ziem Nowych Delegatury, w którym sporo było działaczy związanych z obozem narodowym. Podobnie postąpiło wielu polityków tego obozu z Wielkopolski. Stanowisko takie gorąco popierał cieszący się pewnym autorytetem Stanisław Grabski.

Po odbyciu rozmowy z Gomułką opuścił więzienie Bolesław Piasecki - aresztowany przez NKWD jeszcze w listopadzie 1944 r. - polityk ambitny, radykalny nacjonalista, który wsławił się przed wojną próbą porozumienia z obozem rządzącym. Piasecki uzyskał - zaakceptowaną przez gen. Sierowa - zgodę na skupienie części środowisk katolickich i narodowych. Proponował on program koegzystencji katolików z komunistami. W listopadzie 1945 r. zaczął wydawać tygodnik "Dziś i jutro" i udało mu się - przynajmniej początkowo - otrzymać poparcie ze strony niektórych hierarchów Kościoła i akces niemałego grona katolickich intelektualistów.

Wkrótce po Mikołajczyku powrócił Karol Popiel. Spowodowało to wyjście z konspiracji Stronnictwa Pracy, partii, która odgrywała dość istotną rolę zarówno w Państwie Podziemnym, jak i na emigracji. Miała ona pewne poparcie w działaczach społecznych (związkowych) na Pomorzu, Śląsku i w Krakowskiem, a w konspiracji wzmocniło ją grono intelektualistów (Jerzy Braun, Zofia Kossak-Szczucka, Kazimierz Kumaniecki).

Rozszerzył wyraźnie krąg swych współpracowników krakowski "Tygodnik Powszechny", a publicystyka tego pisma - szczególnie wypowiedzi ks. Jana Piwowarczyka - nabierała politycznego wigoru. Podjął także aktywność publiczną b. minister w rządzie Mikołajczyka ks. Zygmunt Kaczyński, dobry organizator i doświadczony dziennikarz, który w oparciu o warszawską Kurię Metropolitalną podjął przygotowania do uruchomienia czasopisma ("Tygodnik Warszawski"). Prymas August Hlond, który po krótkim pobycie w Watykanie

powrócił do kraju 20 lipca, podjął energiczne starania o organizację życia kościelnego na Ziemiach Nowych, a Kościół mimo nieprzyjaznych działań ze strony władz (dekret o ślubach cywilnych) w komunikacie z pierwszej powojennej Konferencji Episkopatu odbytej w obecności prymasa (4 października) wzywał wiernych do współpracy przy "odbudowie Rzeczpospolitej". Wezwanie stwierdzało wprawdzie, iż państwo winno być oparte na "zdrowym duchu demokratycznym", a wierni winni udzielać poparcia tym, którzy powołują się na "program społeczny i polityczny zgodne z nauką Chrystusa", niemniej był to wyraźny apel do podejmowania działalności legalnej. W przemówieniu 28 października prymas Hlond mówił nawet, że "Polski lud katolicki kocha swoje wskrzeszone państwo". Nie oznaczało to jednak kapitulacji, a raczej - jak stwierdzał prymas - "pokojową wyprawę apostolską". W ciągu krótkiego czasu reaktywowały swoją działalność organizacje i stowarzyszenia katolickie (sodalicje, kółka różańcowe, związki młodzieżowe, studenckie), uruchomione zostały seminaria duchowne, odradzała się prasa z "Rycerzem Niepokalanej" i poznańskim "Głosem Katolickim" na czele.

Tendencje do niezależności i opozycyjne wobec PPR nasiliły się

zdecydowanie w wielu organizacjach społecznych: wpływy Mikołajczyka zdominowały ZMW RP "Wici" czy Związek Nauczycielstwa Polskiego, przedwojenni, niekiedy znani z postaw liberalnych, a nawet antykomunistycznych, dziennikarze odgrywali znaczącą rolę w Związku Zawodowym Dziennikarzy RP. Podobnie było w Związku Zawodowym Literatów Polskich. Tysiące urzędników, sędziów, adwokatów, nauczycieli (także akademickich), inżynierów, którzy żywili do tej pory wątpliwości, z większą nadzieją podejmowali swe zawodowe obowiązki w instytucjach państwowych. Nawet niektórzy świeżo wydziedziczeni ziemianie i dzierżawcy majątków wyrażali gotowość do przyjmowania stanowisk kierowniczych w tworzonych dobrach państwowych. Sporo fachowców znalazło się w Ministerstwach: Spraw Zagranicznych, Przemysłu i Handlu, Rolnictwa i Reform Rolnych czy Żeglugi. Wrócił do kraju jeden z najwybitniejszych autorytetów gospodarczych Polski przedwojennej Eugeniusz Kwiatkowski.

Do służby w wojsku zgłaszali się coraz chętniej - i po selekcji byli nieraz przyjmowani - przybywający z oflagów zawodowi oficerowie, w tym także i ci, którzy dostali się do niewoli po upadku Powstania Warszawskiego. Wracali też wyżsi oficerowie i generałowie z Polskich Sił Zbrojnych, m.in. gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz, gen. Gustaw Paszkiewicz czy gen. Bronisław Prugar-Ketling, którzy obejmowali stanowiska w armii. Niezależnie od rzeczywistych celów, swoją rolę odegrała też ogłoszona 2 sierpnia amnestia dla uczestników podziemia, która obok ujawnień indywidualnych i pojedynczych oddziałów przyniosła zbiorowe ujawnienie się Batalionów Chłopskich.

Wznowiły działalność niektóre wydawnictwa prywatne, w szkołach posługiwano się przedwojennymi podręcznikami (i to nie tylko do przedmiotów ścisłych). Odrodziły się niektóre przedwojenne kluby, organizacje i związki sportowe. Świadectwem zmiany atmosfery - a także antypepeerowskiego nastawienia wielkich rzesz społeczeństwa - były spontaniczne obchody pierwszej rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, entuzjastyczne tłumy na wiecach Mikołajczyka, masowy udział w częstochowskich pielgrzymkach.

Rozpoczął się więc, na dość szeroką skalę, proces odbudowy zniszczonych przez wojnę instytucji społeczeństwa obywatelskiego, innych niż atrapy tworzone w "Polsce lubelskiej". Zarówno z uwagi na zobowiązania międzynarodowe, jak i spontaniczny a zarazem powszechny charakter zjawiska, PPR nie mogła działań tych całkowicie kontrolować ani jednorazowo zablokować. Choć komuniści nie byli wówczas w stanie nakreślić bardziej precyzyjnego planu, przewidzieć "faz" i "etapów" przyspieszeń i spowolnień, cel zasadniczy był dla nich oczywisty: partia komunistyczna ma poddać swej kontroli lub wręcz zarządzaniu wszystkie sfery życia społecznego, z gospodarką włącznie. Zadanie to można było spełnić, generalnie rzecz biorąc, albo przez zniszczenie, albo przez podporządkowanie lub wręcz wchłonięcie tych wszystkich instytucji, organizacji i ośrodków politycznych, które były niezależne - lub zdradzały zbyt silne tendencje do samodzielności - od PPR i centrum dyspozycji państwowej, które znajdowało się nieomal niepodzielnie w jej rękach. W ich wizji - i to niezależnie od tego czy i na ile (a także jak długo) miała być uwzględniana "polska specyfika" - nie było miejsca ani na organizacje i instytucje autonomiczne, ani nawet na indywidualnych wytwórców.

Instrumenty władzy

Zapewne niektórzy komuniści wierzyli, iż polski socjalizm będzie inny niż radziecki, który wielu znało z własnych, dramatycznych doświadczeń. Niemniej jednak, gdy w 1944 r. PPR stała się czynnikiem dominującym w ogniwach tworzonego aparatu władzy, kształtowała je wedle wzorów charakterystycznych dla rozwiązań totalitarnych, które opierały się na swoistym połączeniu terroru, nacisku i kontroli z umiejętnością do masowej mobilizacji wokół centralnie wyznaczanych haseł.

Sytuacja, jaka powstała po utworzeniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, była dla PPR poważnym wyzwaniem. Obecność Armii Czerwonej dawała wprawdzie pewność dzierżenia władzy, ale bynajmniej nie sprzyjała akceptowaniu jej przez większość społeczeństwa. Głównymi przeszkodami były zarówno nieufność czy nienawiść, dość powszechne w różnych środowiskach traktujących komunistów jako plenipotentów obcego mocarstwa, jak istnienie (i powstawanie nowych) ośrodków, które krystalizowały i wyrażały owe poglądy. Równolegle więc prowadzono niezwykle natężoną akcję propagandową, która miała na celu przekonanie, iż tylko PPR (i siły wokół niej skupione) są w stanie wyrażać interes narodowy (państwowy) oraz walczono z tymi, którzy nie chcieli się poddać dyktatowi.

Choć po zakończeniu wojny ustały powody - a raczej preteksty - do koncesjonowania i kontrolowania prasy oraz istnienia scentralizowanego systemu propagandy państwowej, aparat tym się zajmujący był systematycznie rozbudowywany, a w centrali PPR powstała osobna komórka planująca i koordynująca kampanie propagandowe. W jej dyspozycji były m.in. Ministerstwo Informacji i Propagandy z siecią - wydzielonych spod administracji terenowej - wojewódzkich i powiatowych agend, drukarń, wydawnictw, gazetek, szkół agitatorów, ruchomych kin, świetlic, brygad propagandowych etc. Komuniści zarządzali państwowym radiem i największą w

kraju, oficjalną agencją prasową (PAP), na której usługi skazana była cała prasa, także opozycyjna. PPR miała decydujący wpływ na Spółdzielnię Wydawniczą "Czytelnik", zorganizowaną przez Jerzego Borejszę, dla neutralizacji i przyciągnięcia do władzy intelektualistów. Instytucja ta była nie tylko największym wydawnictwem książkowym, ale także prasowym potentatem, właścicielem wielu (przekazanych jej przez administrację państwową) drukarń i sieci kolportażowej. W skład owej instancji wchodził także przedstawiciel państwowej cenzury, która nie tylko kontrolowała - prewencyjnie - wszystkie wydawnictwa, spektakle i kina, ale także wydawała koncesje na czasopisma, ustalała przydziały papieru i nadzorowała drukarnie. KC PPR podporządkowany był też faktycznie potężny aparat propagandowy wojska (Główny Zarząd Polityczno-Wychowawczy), którego działalność dość daleko wykraczała poza armię, a szczególnie znacząca była na wsi i w małych, garnizonowych miastach.

Prasa i wydawnictwa partii związanych z PPR podlegały zarówno kontroli przez instytucje państwowe (cenzura), jak i na ogół bez większych oporów uczestniczyły w wielkich kampaniach propagandowych, podejmowanych wspólnie, lecz w zasadzie pod dyktando komunistów. Ośrodki niezależne z trudem mogły się przebić przez szczelne sito koncesji i przydziałów. Ludowcy, których leader był wicepremierem, dopiero po dłuższych staraniach dostali zgodę na wydawanie dziennika ("Gazeta Ludowa"), którego nakład był limitowany znacznie poniżej zapotrzebowania. Ani Kościół, ani Stronnictwo Pracy nie uzyskało zgody na druk pisma codziennego. Zdecydowanie też uniemożliwiono wydawanie prywatnych dzienników i czasopism.

Wszystko to zapewniło PPR niemal całkowite panowanie w sferze informacji i propagandy. Utrudniano (przydziały papieru) lub wręcz uniemożliwiano (cenzura, koncesje) krystalizowanie się poglądów politycznych czy ideowych, a nade wszystko skupianie zwolenników i organizowanie życia publicznego poza oddziaływaniem komunistów i ich mniej lub bardziej gorliwych pomocników. Aczkolwiek w propagandzie tej, która z uwagi na ścisłe powiązania między PPR a aparatem rządowym miała charakter oficjalno-państwowy, nie brakowało elementów ogólnonarodowych - przede wszystkim wezwania do udziału w odbudowie zniszczonego kraju i zagospodarowywaniu Ziem Odzyskanych - zasadniczym jej celem była walka polityczna. Prowadzono ją z reguły w sposób niezwykle brutalny.

Gazety, ulotki, broszury, audycje radiowe nasycone były agresją kierowaną z niemal jednakową determinacją przeciwko "reakcyjnemu podziemiu", "przeżytkom arystokracji i burżuazji", "spekulantom i darmozjadom", "anglosaskiemu imperializmowi" i jego "emigracyjnym sługom", jak i "wstecznemu klerowi" czy opozycyjnym ludowcom, którzy nieodmiennie przedstawiani byli jako "reprezentanci bogatego chłopstwa" i poplecznicy "obcych sił". Prezentowano czarno-biały obraz, w którym PPR i jej sojusznicy okazywali się nie tylko jedynymi gwarantami nowego kształtu terytorialnego Polski (co mniej więcej odpowiadało rzeczywistości), ale też jedyną siłą, która zdolna jest podnieść kraj z ruin, "repolonizować prastare piastowskie ziemie" i dokonać dzieła reform gospodarczych.

Komuniści przedstawiali się jako właściwi i wierni spadkobiercy całej "postępowej tradycji narodowej" od Komisji Edukacji Narodowej (walka z

analfabetyzmem) po sprzeciw wobec autorytarnych - jak pisano "faszystowskich" - rządów "przedwrześniowych". Kołłątaj, Kościuszko, Lelewel czy Rataj lub Niedziałkowski byli patronami nie gorszymi, a może i lepszymi niż Waryński, Kasprzak czy Marchlewski (nie mówiąc o Róży Luksemburg). Obficie odwoływano się do odruchów antyniemieckich i często posługiwano się retoryką pansłowiańską, która miała wspomagać usilnie lansowaną przyjaźń polsko-radziecką, a także pozytywny stosunek np. do jugosłowiańskich komunistów. Już sama druzgocąca przewaga w sferze informacji i propagandy mogła oddziaływać na rzecz nowej, "prawdziwie demokratycznej" rzeczywistości, gdyż ukazywała słabość tych wszystkich, którzy na różne sposoby przeciwstawiali się PPR.

"Aby propaganda była skuteczna, musi stać za nią ostry miecz" - ta dewiza mistrza propagandy totalitarnej Josepha Goebbelsa obowiązywała także w Polsce. Przez cały rok 1945, zarówno przed, jak i po utworzeniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, trwało rozbudowywanie aparatu bezpośredniej przemocy. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, które w maju 1945 r., a więc już po zorganizowaniu się na całym terytorium państwowym, liczyło ok. 11 tys. pracowników i funkcjonariuszy, jesienią było 2,5 razy liczniejsze, a sieć agentów i informatorów wzrastała jeszcze szybciej. We wrześniu przeprowadzono reorganizację resortu, w którym mocną pozycję zdobył sobie - obok jednostek zajmujących się walką z konspiracją-agendy mające na celu kontrolę i penetrację legalnie działających partii politycznych, stowarzyszeń i Kościoła (Departament V), a także nadzorujące różne działy gospodarki narodowej (Departament IV). One właśnie działały głównie dzięki agentom, werbowanym bardzo często przez zastraszenie, fizyczny terror lub tzw. materiały kompromitujące. Milicja Obywatelska osiągnęła stan zatrudnienia przekraczający 62 tys. etatów (czyli dwa razy więcej niż liczyła Policja Państwowa w 35-milionowej II Rzeczpospolitej), a Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego liczył ok. 3,2 tys. oficerów i ponad 29 tys. podoficerów i szeregowych. Ministerstwu podlegało ponad 100 więzień i obozów (nie licząc aresztów UB, MO i KBW).

W wielu akcjach pacyfikacyjnych wykorzystywano regularne jednostki wojskowe, a przez cały rok 1945 działały w Polsce oddziały radzieckich wojsk wewnętrznych i rozliczne agendy NKWD oraz kontrwywiadu. Ostatnią akcję przeciwpartyzancką w terenie jednostki NKWD przeprowadziły w sierpniu 1946 r. (a opuściły Polskę dopiero wiosną 1947 r.). Z uwagi na skład osobowy kierownictwa resortu i ścisłe podporządkowanie jego działań dyrektywom PPR, MBN pełniło faktycznie funkcje czegoś w rodzaju "partyjnej policji politycznej". Aczkolwiek dyscyplina w urzędach bezpieczeństwa (a szczególnie w milicji) pozostawiała wiele do życzenia - nagminne były pijatyki, niesubordynacje, starcia między "ubekami" a milicjantami czy żołnierzami, kradzieże przy okazji rewizji, gwałty, a nawet bandyckie napady - stanowiły one niezwykle skuteczny oręż. I to nie tylko do walki z rzeczywistymi, legalnymi czy konspirującymi przeciwnikami komunistów i radzieckiej dominacji, ale także służący zastraszeniu ogółu społeczeństwa.

Ważną rolę przeznaczono też wojsku, które na najwyższych szczeblach dowodzone było przez komunistów lub osoby (jak Żymierski) całkowicie im oddane. Armia była, jak już wspomniano, szeroko oddziaływającym instrumentem indoktrynacji samych żołnierzy, jak i ludności cywilnej. Była organizatorem ważnej części akcji osadniczej na ziemiach zachodnich, ale

też tradycyjny w Polsce sentyment do wojska i wojskowych systematycznie wykorzystywano do legitymizacji władzy. Samo wojsko poddane było nie tylko nadzorowi kierownictwa PPR, ale jego służby kontrwywiadowcze już wówczas nastawiane były nie tyle na wykrywanie szpiegów, ile na kontrolę lojalności politycznej i "prawomyślności", zwłaszcza coraz liczniejszych w nim przedwojennych oficerów zawodowych.

Dogodny w wielu akcjach politycznych i propagandowych podejmowanych przez PPR był specyficzny, nie znany w polskiej tradycji, system samorządu terytorialnego oparty na radach narodowych. Powstały one - formalnie jeszcze przed lipcem 1944 r. - z nominacji i stan ten utrzymywany był przez wiele następnych lat. Zdominowane, rzecz jasna, przez PPR i jej najwierniejszych sojuszników, z reguły podejmowały uchwały i decyzje dyktowane "od góry" i stanowiły koalicyjną fasadę dla wpływów jednej partii. Podobny układ istniał także w Krajowej Radzie Narodowej nawet po porozumieniu moskiewskim. Członków KRN nazywano "posłami", choć nie pochodzili z wyborów, lecz z nominacji i kooptacji, a komuniści i ich sojusznicy mieli w niej miażdżącą przewagę. Znaczny zakres formalnej władzy miało Prezydium KRN, na czele którego stał - nazywany "Prezydentem" - Bolesław Bierut, oficjalnie podający się za "bezpartyjnego", choć większość posiedzeń Biura Politycznego KC PPR odbywała się w jego belwederskim gabinecie.

PPR zapewniła sobie wpływy także w tych resortach administracji państwowej, których zwierzchnikami byli Mikołajczyk i jego partyjni koledzy (oświata, administracja publiczna). Chętnie zatrudniano "przedwojennych" fachowców, którzy w rzeczywistości stanowili - poza wojskiem i bezpieczeństwem - większość urzędników i kadry zarządzającej, wnosząc wielki wkład w funkcjonowanie szkolnictwa, sądownictwa, gospodarki, banków etc. Wszędzie jednak - i na wszystkich szczeblach - lokowane były ośrodki pepeerowskie kontrolujące ich działalność. Kierownictwo PPR dążyło do prowadzenia scentralizowanej polityki kadrowej, ale zarówno konieczność utrzymywania formalnie koalicyjnego charakteru władzy, jak i słabość własnego zaplecza, powodowały, że była ona daleka od pożądanej skuteczności.

Całe instrumentarium władzy służyło PPR do pokonania przeciwników i ubezwłasnowolnienia tych, którzy zgodzili się być ich sojusznikami. Oczywiście - administracja rządowa, centralna i terytorialna wypełniały normalne funkcje organizatorskie. Milicja zwalczała przestępstwa pospolite, niesłychanie rozplenione, jak to często bywa po zakończeniu wojny. Prowadzona była niezwykle energicznie odbudowa gospodarki. Wiele sił i środków materialnych poświęcano osadnictwu i zagospodarowywaniu ziem zachodnich oraz bałtyckich portów. Z trudem, lecz opanowano powojenny chaos gospodarczy, pogłębiany masowymi migracjami i rabunkową gospodarką Armii Czerwonej, która dawne ziemie niemieckie traktowała jako terytoria podbite. Wysiłkiem kadry inżynierskiej i robotników uruchamiano kolejne fabryki. Szkoły wszystkich typów pospiesznie wznawiały naukę. Podejmowały działalność wyższe uczelnie. W osłabionym kadrowo i nie dysponującym niezbędnymi środkami lecznictwie prowadzono masowe szczepienia i przystąpiono do zdecydowanej walki z wojennymi plagami - gruźlicą i chorobami wenerycznymi. Podjęte zostały próby zrównoważenia budżetu państwa i opanowanie rynku pieniężnego. Przybyły z Londynu socjalista Czesław

Bobrowski przygotował odmienny od radzieckich wzorów - nie znanych w gruncie rzeczy nawet większości kierownictwa PPR - system planowania gospodarczego w skali ogólnokrajowej. Szybko wzrastało znaczenie tradycyjnej spółdzielczości zarówno konsumenckiej, jak i wytwórczej.

Były to jednocześnie te działy w życiu państwa i narodu, w których najłatwiej było o zgodną współpracę. Niewiele było takich środowisk, nawet najbardziej antykomunistycznych, które propagowałyby sabotaż, niszczenie odbudowanych fabryk, wysadzanie szybów czy doków. Wielu uczestników konspiracji pracowało "w cywilu" jako inżynierowie, nauczyciele czy urzędnicy. Kościół katolicki przykładał wielką wagę do stabilizacji stosunków na ziemiach poniemieckich, w czym zyskał formalne poparcie Watykanu, dzięki czemu powstała tam sieć polskich parafii i diecezji.

Niezależnie od różnic w stratach - ludzkich i materialnych - oraz położenia, w wielu krajach Europy trwała odbudowa gospodarki i przestawianie jej na tory pokojowe. To, co działo się w Polsce, pod wieloma względami było podobne do sytuacji w krajach zachodnioeuropejskich. Tam także występowały braki w aprowizacji, rynki były ogołocone z produktów codziennego użytku, szalała inflacja, trwało rozliczanie się z wojenną i okupacyjną przeszłością. Charakterystyczne dla Polski - i innych krajów wyzwolonych przez Armię Czerwoną - było przede wszystkim tworzenie już wówczas zrębów totalitarnego systemu komunistycznego: połączona z pogardą dla demokratycznych procedur budowa hegemonii jednej partii, konstruowanie potężnego rozmiarami aparatu przymusu, dążenie do omnipotencji państwa i rozciąganie kontroli nad całym życiem społecznym.

Krajobraz polityczny

Krajobraz polityczny Polski u schyłku lata 1945 r. najwłaściwiej chyba można nakreślić, wydzielając w nim trzy strefy - PPR i partie z nią związane; legalne partie opozycyjne; antykomunistyczną konspirację Wprawdzie niektóre linie graniczne nie były ostro zarysowane, ale rozpiętość pomiędzy pozycjami skrajnymi była ogromna, bez żadnych szans nie tylko na porozumienie, ale choćby cień tolerancji.

Kluczową rolę odgrywała - wciąż kamuflująca swoją tożsamość - partia komunistyczna, która po przejściowym zahamowaniu rozrosła się do ponaddwustutysięcznej, zdyscyplinowanej organizacji. Jej elitę stanowili przedwojenni komuniści, ale masę członkowską tworzyli "ludzie nowi". Po części byli to karierowicze, ale większość pochodziła z tych warstw i grup społecznych, które zyskały szansę szybkiego awansu społecznego nie tylko dzięki zdziesiątkowaniu inteligencji, ale - uzasadnionej skądinąd - nieufności, jaką PPR żywiła do tej części, która przetrwała.

Do PPR garnęli się zwłaszcza młodzi ludzie z warstw społecznie i gospodarczo upośledzonych, tak licznych w każdym biednym kraju. Szczególnym bodźcem była reforma rolna będąca testem na zakres i tempo zmian. Na chętnych czekały dziesiątki tysięcy stanowisk w szybko rozrastającym się aparacie władzy, w którym partia komunistyczna była czynnikiem decydującym. Wstępowali też do niej niemało liczni lewicowcy czy "postępowcy" ze sfer intelektualnych, a także radykalnie nastawiona młodzież marząca o udziale w

"przebudowie świata". Mniej wyczuwalna w sferze politycznej retoryka rewolucyjna głośna była w kwestiach społecznych.

Mimo istnienia pewnych rozbieżności, PPR była wewnętrznie zwarta, co ułatwiało jej prowadzenie walki politycznej i opanowywanie kolejnych dziedzin życia publicznego. Grupy kierownicze były stosunkowo młode, energiczne i przekonane o swym ideowym posłannictwie. Także w elicie komunistycznej, mimo różnych doświadczeń z okresu wojny, nie ujawniały się poważniejsze różnice zdań. Samą partią kierował sprężyście Władysław Gomułka mający za najbliższego współpracownika Romana Zambrowskiego. Większość członków ścisłego kierownictwa (Bolesław Bierut, Jakub Berman, Hilary Minc, Marian Spychalski, Stanisław Radkiewicz) aktywna była głównie na terenie instytucji państwowych. Dysponując właściwie niepodzielnie głównymi instrumentami przymusu i mając za - a raczej nad - sobą różne agendy radzieckie i Armię Czerwoną stacjonujące w Polsce, a także "parasol" Kremla w polityce międzynarodowej, polscy komuniści stali na wygranej pozycji. Całe to zaplecze pozwalało nie tylko na prowadzenie brutalnej polityki wobec zwasalizowanych sojuszników czy jeszcze brutalniejszej wobec

przeciwników, ale ułatwiało stosowanie w tej walce chwytów socjotechnicznych, które mimo braku doświadczenia w sprawowaniu władzy, dobrze opanowali.

Aczkolwiek w maju 1945 r., podczas posiedzenia KC PPR, Gomułka uznał, iż należy "wyciągnąć wtyczki" z partii sojuszniczych, były one nadal istotnym elementem kontrolowania tych partii i wpływania na ich działalność. W niektórych przypadkach oddelegowywano wręcz komunistów do pracy w tych stronnictwach, i to nie tylko do SD, które było w istocie całkowicie pozbawione politycznej tożsamości, czy SL, które zostało założone przez komunistów jeszcze przed wojną czynnych na terenie wiejskim, ale także do PPS. Obecność w kierownictwie PPS takich działaczy jak Feliks Baranowski, Stefan Matuszewski czy Tadeusz Ćwik niejako automatycznie "ściągała" całą partię w stronę PPR, a politycy mający mniej lub bardziej wyraźne tendencje do autonomii znajdowali się pod ich stałym naciskiem. Ulegali mu tym łatwiej, że na równi obawiali się potęgi Stalina i jego polskich towarzyszy, jak i ewentualności zasadniczej zmiany położenia międzynarodowego, która spowodowałaby niechybnie całkowite przekształcenie się układu sił w Polsce. Zabiegali wprawdzie o znalezienie punktów stycznych z ludowcami Mikołajczyka, ale przy każdym nieomal napomnieniu ze strony komunistów wycofywali się. Podejmowali też działania mające na celu wzmocnienie liczebne partii, co było o tyle trudne, iż musieli wówczas konkurować z PPR, której ideologia nakazywała szukać poparcia w tych samych grupach społecznych (robotnicy). W niektórych rejonach - np. w Krakowie, godzi czy Wrocławiu - te elementy rywalizacji były dosyć wyraźne. Niemniej, z mniejszym lub większym przekonaniem, PPS w sprawach kluczowych dostosowywała się do linii proponowanej przez PPR.

Siła połączona z socjotechniką skierowane były w tym okresie przeciwko wszelkim działaniom prowadzącym do poszerzenia strefy opozycji legalnej. Nie tylko odrzucono memorandum narodowców chcących działać jawnie, ale wobec jego sygnatariuszy zastosowano brutalne środki: niemal wszyscy zostali aresztowani. Na podstawie ad hoc podjętej decyzji Prezydium KRN, które uznało, iż liczba partii politycznych jest już wystarczająca, nie

dopuszczono do utworzenia PPS-D. Żuławski i grono jego najbardziej zdeklarowanych zwolenników wstąpili - raczej na upokarzających warunkach, bo indywidualnie, a nie jako grupa - do PPS, co tylko iluzorycznie wzmocniło tych socjalistów, którzy dążyli do pewnej emancypacji. W tej sytuacji cieszący się największym autorytetem politycy niepodległościowi pozostali poza partią Cyrankiewicza, Szwalbego i Osóbki-Morawskiego, a niektórzy, jak Zygmunt Zaremba, nielegalnie wyjechali z kraju. Na podobnej zasadzie odrzucona została inicjatywa Stanisława Bańczyka utworzenia trzeciej - obok "lubelskiej SL" i ludowców z SL "Roch" - partii chłopskiej. W tym jednak przypadku grupa skupiona wokół tego działacza przystąpiła do opozycjonistów. Najbardziej skomplikowaną grę przeprowadziła PPR w celu unieszkodliwienia Stronnictwa Pracy, które mogło okazać się ośrodkiem o tyle silnym, iż nie wykluczone było zdobycie przezeń poparcia Kościoła katolickiego. W kilka dni po powrocie do kraju (6 lipca) Karola Popiela, grupa działaczy związanego z PPR i nie reaktywowanego jako partia legalna Stronnictwa Zrywu Narodowego - na czele z Zygmuntem Felczakiem i Feliksem Widy-Wirskim - nagle uaktywniła się. Równolegle z ujawnieniem się SP i podjęciem przygotowań do ogólnokrajowego kongresu grupa "Zrywu" ogłosiła, iż wznawia działalność... Stronnictwa Pracy, z którym zerwała jeszcze w 1943 r. Kierownictwo SP, w którym obok Popiela czołową rolę odgrywali działacze z konspiracji (m.in. Jerzy Braun i Józef Kwasiborski), nie zyskało aprobaty administracji państwowej i Kongres mający ujawnić partię odbył się (15 lipca) w warunkach półkonspiracyjnych. Jako warunek formalnego uznania PPR i PPS postawiły żądanie połączenia się ze "Zrywem", który używał już oficjalnie nazwy Stronnictwa. Mimo poparcia ze strony wicepremiera Mikołajczyka, zdominowane przez PPR Prezydium KRN nie godziło się na uznanie SP. Przez kilka miesięcy trwały naciski, szykanowano odtworzone zarządy wojewódzkie (Łódź, Katowice), zatrzymano wielu działaczy, odmawiano zgody na wydawanie pisma, a jednocześnie "zrywowcy" dostali koncesję na własny dziennik ("Ilustrowany Kurier Polski").

Kierownictwo SP ustąpiło i 14 listopada zawarto ugodę, na mocy której we władzach naczelnych partii działacze "Zrywu" otrzymali 7 z 15 miejsc. Podobne proporcje miały obowiązywać w delegacji stronnictwa do KRN. Na tych warunkach partia została oficjalnie uznana, ale oczywiście działalność jej centralnej egzekutywy mogła być w każdej chwili sparaliżowana. Zgoda na wejście "Zrywu", który popierał neopogańskie i wyraźnie antykatolickie koncepty Jana Stachniuka, znanego jeszcze przed 1939 r., ochłodziła też stosunki SP z hierarchią Kościoła, a szczególnie z prymasem Hlondem. W obrębie angażujących się politycznie środowisk katolickich powstała skomplikowana, a dla PPR nader dogodna sytuacja: mimo wystąpień ks. Piwowarczyka środowisko krakowskiego "Tygodnika Powszechnego" dystansowało się wobec działalności ściśle politycznej, w Warszawie ks. Kaczyński formował wokół swego czasopisma osobne środowisko, Bolesław Piasecki dążył coraz wyraźniej do stania się leaderem niezależnej formacji, a Stronnictwo Pracy, które jako jedyne miało szanse stać się partią masową, zostało skutecznie spętane.

Podobny manewr, ale tym razem nieudany, próbowano wykonać z SL "Roch", Mikołajczyka zaś "ustawić" w pozycji podobnej do Popiela. Konspiracyjny ruch ludowy był jednak nie tylko jedną z największych sił politycznych Państwa Podziemnego, ale co istotniejsze, zachował dużą zwartość, a

stosunkowo drobne secesje czy nawet wejście na drogę współpracy z PPR w czasach "Polski lubelskiej" większego grona działaczy nie zachwiało ani autorytetem dawnego przywódcy (Witosa), który pozostał niezłomny, ani nowego leadera Mikołajczyka. Pozycja, jaką zajął w Rządzie RP, była traktowana nie tylko jako jego osobisty sukces, ale też jako sukces całego ruchu. Ludowcy w kraju należeli do najbardziej umiarkowanych ośrodków konspiracyjnych, jeżeli chodzi o stosunek do ZSRR, toteż decyzja Mikołajczyka o udaniu się do Moskwy została przez nich przyjęta bez większych zastrzeżeń.

Latem 1945 r. SL "Roch" miało więc wyjątkowo dogodną sytuację: rozbudowana i zdecentralizowana sieć organizacyjna, brak poważniejszych rozbieżności wewnętrznych, niekwestionowane w zasadzie autorytety przywódcze oraz - niezmiernie ważne - bezpośrednie poparcie Mikołajczyka przez aliantów zachodnich, a w szczególności Brytyjczyków, którzy najwięcej wysiłku włożyli w przekonanie b. premiera o konieczności "ułożenia" się z Moskwą. Wnet po przybyciu do kraju "kawalera jałtańskiego" - jak złośliwie określili b. premiera jego przeciwnicy emigracyjni - ludowcy ujawnili swoją organizację i choć zarówno Bierut, jak i Osóbka-Morawski usiłowali skłonić

Mikołajczyka do zawarcia ugody z "lubelskim SL" na warunkach dogodnych dla słabszego partnera, reaktywowany 8 lipca Naczelny Komitet Wykonawczy odrzucił zdecydowanie te propozycje. Wobec nieustępliwości propepeerowskich działaczy SL, którzy domagali się równego parytetu we władzach - za czym stał zarówno silny nacisk komunistów, jak i interesy własne tego środowiska - 22 sierpnia tymczasowy NKW podjął decyzję o przyjęciu nazwy Polskie Stronnictwo Ludowe (PSL).

Ruch od SL ku PSL przybrał gwałtownie na sile i w ciągu kilku tygodni partia ta stała się najliczniejszą organizacją polityczną w Polsce. Za jej siłą nie stały wszakże wpływy ani w centralnych ośrodkach władzy, ani w terenie. PPR umiejętnie wykorzystała zapis z Moskwy o przyznaniu "Stronnictwu Ludowemu" około 1/3 miejsc w radach (z KRN włącznie), administracji i niektórych kluczowych instytucjach życia gospodarczego (banki, spółdzielczość etc.). Interpretowano go uznając, iż obie istniejące partie chłopskie winny tę "pulę" podzielić między siebie. W rezultacie drastycznie słabnące SL nie tylko miało wciąż pokaźną reprezentację w różnych ogniwach życia publicznego, ale dysponowało zachętą - materialną czy ambicjonalną - dla tych wszystkich, którzy przy nim pozostali lub zechcieliby się doń przyłączyć. Wobec niepowodzenia frontalnego ataku na niezależny ruch ludowy, podjęto w stosunku do PSL wojnę "podjazdową": w wielu regionach kraju lokalna administracja, a zwłaszcza ogniwa aparatu przemocy, szykanowały działaczy Stronnictwa, liczne były zatrzymania, pobicia, a zdarzały się nawet morderstwa dokonane przez "nieznanych sprawców". Hamowano działalność prasową partii, a jej pismo codzienne ("Gazeta Ludowa") było ulubionym przedmiotem zainteresowania cenzury. MBP na szeroką skalę werbowało w szeregach Stronnictwa agentów i informatorów, sterowana zaś przez PPR propaganda szybko wszczęła ostrą kampanię antypeeselowską, która z czasem przerodziła się w prawdziwe "seanse nienawiści" (ich głównym obiektem był Mikołajczyk).

PSL nigdy nie opublikowało - zarówno ze względów taktycznych, jak i cenzuralnych - 12-punktowej platformy politycznej przyjętej już 8 lipca.

Zawarte były w niej żądania i postulaty m.in. o pozostaniu w granicach Polski Lwowa i Zagłębia Drohobyckiego, opuszczeniu kraju przez NKWD i wojska radzieckie, przywróceniu wolności słowa, zapewnieniu bezpieczeństwa "wszystkim uczestnikom walki podziemnej z Niemcami, niezależnie od tego, do jakiej organizacji należeli" i zwolnienia ich z więzień, sprowadzenia "w zwartych oddziałach" polskiego wojska z Zachodu, a wycofanie z szeregów armii "nadmiernej ilości obywateli sowieckich". A także, oczywiście, przeprowadzenia wolnych wyborów i urządzenia życia wewnętrznego kraju "wedle dążeń i wzorów rodzimych, w oparciu o wolnego, indywidualnego i uspołecznionego człowieka". Była to platforma w oczywisty sposób opozycyjna wobec PPR, umiarkowana w środkach, ale radykalna w treści. Choć w kształcie dosłownym nie znana szerszemu ogółowi, odczytywana była bez większych trudności z wystąpień czołowych działaczy i rezolucji uchwalanych przez zjazdy wojewódzkie czy powiatowe. Przysparzała ona partii wielu zwolenników i sympatyków z różnych środowisk antykomunistycznych i PSL stało się główną - wnet nieomal jedyną - siłą jawnie działającej opozycji.

Powrót Mikołajczyka i cofnięcie uznania Rządowi RP przez zachodnie mocarstwa miało znaczący wpływ na formy i rozmiary działalności tych ośrodków, które pozostały w konspiracji. Choć wykrwawione w walce z okupantem i wyniszczone przez wkraczającą Armię Czerwoną, polskie podziemie - zwłaszcza jego część zbrojna (a była to część większa) - stanowiło pokaźną siłę. Od wiosny, mimo apeli władz konspiracyjnych, "lasy" zapełniały się, a do podziemia, także do oddziałów partyzanckich wracały tysiące młodych ludzi chroniących się przed służbami NKWD i funkcjonariuszami MBP. Wedle różnych szacunków - trudnych jeszcze do zweryfikowania - w różnych strukturach nielegalnych jesienią 1945 r. zaangażowanych było do 80 tys. osób (dla porównania: najwyższe stany liczebne AK wynosiły latem 1944 r. ok. 300-350 tys. zaprzysiężonych), choć oczywiście tylko niewielka część podejmowała walkę zbrojną. Front, który przetoczył się przez Polskę, pozostawił wiele broni, a dosyć powszechna zarówno w Wojsku Polskim, jak i w Armii Czerwonej demoralizacja, ułatwiała uzupełnienie wyposażenia. Wydaje się, że podziemie antykomunistyczne było znacznie lepiej uzbrojone niż w czasie okupacji.

Stan konspiracji nie uległ, jak się wydaje, poważniejszej zmianie po ogłoszeniu amnestii (uchwalona 22 lipca, opublikowana 2 sierpnia) i rozpoczęciu pracy przez komisje weryfikacyjne. Ujawniło się wprawdzie aż 42 tys. osób, ale większość z nich nie była aktywna i uderzająca była stosunkowo mała liczba "zdanej" broni. Jako organizacja ujawniły się BCh, które co najmniej od lipca nie podejmowały już żadnych, nawet lokalnych akcji. W konspiracji pozostała znaczna część (post)akowskich oddziałów partyzanckich, niektóre zreorganizowane lub nawet powstałe dopiero w ciągu 1945 r. i w istocie nawiązujące tylko do tradycji AK. Wiele jednostek dawnej AK występowało pod własnymi, lokalnymi nazwami, coraz częściej były to pseudonimy dowódców, co świadczyło o postępującej dezintegracji partyzantki i traceniu znaczenia przez jeszcze istniejące formalne struktury (obwody, okręgi, obszary). Do największych ugrupowań działających niezależnie od instancji likwidującej się AK należały m.in. Konspiracyjne Wojsko Polskie por. Stanisława Sojczyńskiego "Warszyca" i Wielkopolska Samodzielna grupa Ochotnicza "Warta". Wiele grup posługiwało się nazwą Ruch Oporu Armii Krajowej (ROAK), ale nie wszystkie miały łączność z

powstającymi po formalnym rozwiązaniu KG AK centralnymi strukturami. Nie ujawniły się ani nie rozwiązały konspiracyjne formacje obozu narodowego - SN, z jej Narodowym Związkiem Wojskowym, Organizacja Polska z NSZ oraz Narodowa Organizacja Wojskowa. SN i OP zdołały w pewnym stopniu odtworzyć siatkę terenową (SN 6 komend okręgowych, NSZ aż 11). Oddziały partyzanckie obozu narodowego, liczebnie stosunkowo skromne, należały do najbardziej aktywnych. Likwidacja Delegatury Sił Zbrojnych (6 sierpnia) nie oznaczała wejścia środowiska akowskiego w stan bierności i zarzucenie działań konspiracyjnych. Już wcześniej zastanawiano się nad formami i możliwościami dalszego działania, mając na uwadze zarówno wykorzystanie znacznego potencjału b. AK, jak i ułatwienie możliwie łagodnego przejścia - zwłaszcza kadry zawodowej i młodzieży - do życia "w cywilu". Wprawdzie amnestia i liczne aresztowania opóźniły nieco podjęcie ostatecznych decyzji, ale 2 września płk Jan Rzepecki, b. Delegat i dotychchczasowi dowódcy Obszarów DSZ zawiązali Zrzeszenie "Wolność i Niezawisłość" (WiN), które miało przekształcić strukturę wojskową w tajną organizację polityczną. Choć Mikołajczyk odmówił jakichkolwiek kontaktów z kierownictwem WiN, program organizacji opierał się na podobnych założeniach i w początkowym okresie w istocie zbliżony był w wielu punktach do peeselowskiego.

Zrzeszenie uznawało legalność emigracyjnych władz Rzeczpospolitej, ale na sytuację zapatrywało się w sposób bliższy Mikołajczykowi niż Arciszewskiemu. Taki przynajmniej był punkt wyjścia. Struktury WiN były prostym przedłużeniem Delegatury Sił Zbrojnych i mimo poważnych strat poniesionych przez środowiska akowskie wiosną i latem 1945 r. stanowiły bez wątpienia największą i cieszącą się najwyższym autorytetem organizację konspiracyjną. "W terenie" jednak koncepcje kierownictwa Zrzeszenia przyjmowały się z oporami, tym bardziej że aktywność MBP wymuszała prowadzenie działań samoobronnych. Także działalność - niejako konkurencyjnej - konspiracji obozu narodowego skłaniała do podejmowania akcji ofensywnych, toteż w istocie WiN nie stał się organizacją czysto polityczną. Zarówno WiN, jak i NSZ oraz NZW miały własne kanały łączności z władzami Rzeczpospolitej na emigracji. Do kraju przybywali kurierzy, dopływały też - choć skromne - środki pieniężne, za granicę przekazywano raporty o sytuacji w Polsce. Zwłaszcza późnym latem i jesienią ruch na "zielonej granicy" był w ogóle dość ożywiony i sporo osób zaangażowanych w działalność konspiracyjną w obawie przed coraz częstszymi aresztowaniami uszła z kraju.

Konspiracja ściśle polityczna była słabsza od zbrojnej. W istocie poza SN żaden z podziemnych ośrodków politycznych nie miał większych wpływów, a raczej oddziaływały jako pewna - z zewnątrz (z "powierzchni") postrzegana - całość. Podobnie jak w czasie okupacji, społeczeństwo mniej interesowało się tym, jaki oddział odbił więźniów czy zaatakował posterunek MO: ważne było, że konspiracja działa. Nastąpiło wyraźne zbliżenie ideowe, przede wszystkim środowiska akowskiego i obozu narodowego. Trwały także w podziemiu struktury PPS-WRN oraz, słabe już w latach wojny, grupy piłsudczykowskie. Działalność podziemia zarówno wojskowego, jak i politycznego, kocentrowała się w znacznym stopniu na propagandzie. Ukazywały się dziesiątki gazetek, wydawanych zarówno przez partie, jak i przez WiN, NSZ, a nawet przez niektóre autonomiczne oddziały partyzanckie.

Warunki istnienia i działalności konspiracji były zasadniczo różne od

wojennych. Wprawdzie znaczna część społeczeństwa miała zdecydowanie negatywny stosunek do PPR, "władzy demokratycznej" i ZSRR, ale Polacy byli zmęczeni wojną i walkami. Wielu liczyło wprawdzie na wybuch "Trzeciej Wojny Światowej", lecz daleko nie wszystkim perspektywa ta odpowiadała, gdyż musiałaby oznaczać kolejny kataklizm. Ożywionej po powrocie Mikołajczyka wierze w Zachód towarzyszyło także uczucie, iż Polska została zdradzona, co ograniczało sympatię do konspiracji - zwłaszcza zbrojnej - jako czynnika powodującego zbędne straty. Mimo iż w wielu środowiskach istniejący stan traktowano jako "drugą okupację", bariery między aparatem władzy, grupą rządzącą i jej zapleczem a resztą społeczeństwa nie były - nawet w przybliżeniu - tak silne, jak podczas okupacji niemieckiej. A bierne, lecz przychylne "chłopcom z lasu" nastroje wyraźnie rzadsze. Konspiracja była wyrazem postawy, ale nadzieję na zmiany wiązano raczej z PSL i spodziewanymi wyborami.

Jeśli wobec partii i środowisk działających legalnie komuniści stosowali urozmaicony repertuar narzędzi walki, to konspiracja była zwalczana bezpardonowo. Stosowano dość często zasadę odpowiedzialności zbiorowej, organizując akcje pacyfikacyjne całych rejonów, w których partyzantka była najbardziej rozwinięta. Kierowano do nich zarówno oddziały KBW, jak i regularne jednostki wojskowe, a w wielu przypadkach schwytanych partyzantów rozstrzeliwano na miejscu. Przepełnione były areszty śledcze, coraz częściej prasa donosiła o procesach, w których zapadały wyroki śmierci. Wedle fragmentarycznych - nie obejmujących działań NKWD - danych w 1945 r. zabito blisko 3 tys. osób, a liczba aresztowanych wynosiła dziesiątki tysięcy. W walce z konspiracją stosowano na szeroką skalę infiltrację przez agenturę, ale nie należała do rzadkości także prowokacja. Znanych jest co najmniej kilkanaście przypadków zorganizowania przez UB oddziałów partyzanckich lub grup konspiracyjnych. Pierwsze silne uderzenie przyszło jesienią, gdy aresztowano niemal cały skład KG NSZ oraz znaczną część kierownictwa WiN, z płk. Rzepeckim i komendantami Obszarów Antonim Sanojcą i Janem Szczurkiem-Cergowskim włącznie. Jako kontynuacja podziemia z czasów okupacji niemieckiej, powojenna konspiracja była w znacznym stopniu rozszyfrowana i bez porównania łatwiej było wprowadzać do niej kadrowych wywiadowców. Taktyka stosowana w śledztwie przez funkcjonariuszy UB, którzy dość często proponowali różne koncesje polityczne, okazywała się nieraz skuteczna. Tak było m.in. w przypadku Rzepeckiego czy nieco wcześniej płk. Jana Mazurkiewicza "Radosława", który z więzienia apelował o ujawnianie się w ramach amnestii. Sama amnestia przyniosła MBP cenne informacje, co było zresztą jednym z powodów jej ogłoszenia i propagowania.

Rok 1945 przyniósł więc uformowanie się polskiej sceny politycznej - zarówno legalnej, jak i konspiracyjnej - na najbliższe kilkanaście miesięcy.

Ku "zimnej wojnie"

Jakkolwiek przez kilka lat udawało się załagodzić najważniejsze konflikty między wielkimi mocarstwami, oczywiste dla wszystkich rozbieżności pogłębiały się. Choć nigdzie nie doszło do bezpośredniego starcia, "wojny

ideologiczne" w naturalny niejako sposób przedłużały świeżo zakończoną wojnę światową.

Tak było w Azji (Chiny, Wietnam), ale i w Grecji, w której wojna domowa między komunistycznymi partyzantami a rządem królewskim wybuchła już w grudniu 1944 r. i tylko dzięki interwencji armii brytyjskiej nie zakończyła się zwycięstwem gen. Markosa. Stalin nie udzielił bezpośredniego wsparcia towarzyszom greckim. Władca Kremla był wprawdzie jednym z najbardziej bezwzględnych i krwawych dyktatorów w dziejach, ale w stosunkach międzynarodowych działał wyjątkowo pragmatycznie i roztropnie. Nawet ostrożnie. W końcowym okresie wojny i w pierwszych latach pokoju najwyraźniej nie chciał niepotrzebnie zadrażniać stosunków z zachodnimi mocarstwami. Najważniejsze dla niego były, prawdopodobnie, Niemcy, a - jako pomost do nich - Polska. Toteż ZSRR wycofał się m.in. z wywierania nacisków na Turcję, po pewnych wahaniach Armia Czerwona opuściła północny Iran. Pojednawcze stanowisko zajął też wobec okupowanej Austrii, nie podważając - mimo obecności w jej wschodniej części garnizonów radzieckich - wyników wyborów z grudnia 1945 r., w których partia komunistyczna poniosła całkowitą klęskę. Zadowolił się również ścisłą neutralnością Finlandii, choć najwyraźniej przygotowywany był tam wiosną 1948 r, komunistyczny zamach stanu. Dzięki korektom granicy z Finlandią ZSRR uzyskał wspólną granicę z Norwegią, co zostało przyjęte z niepokojem nie tylko w Oslo, ale też w Londynie.

Na Dalekim Wschodzie Stalin nie interweniował bezpośrednio, ograniczając się do utrwalenia podziału Korei i politycznego raczej niż militarnego wspierania komunistów chińskich czy wietnamskich. Wszędzie tam jednak, także w walczącej z Holendrami Indonezji czy w Birmie, w wyniku wojny światowej powstały komunistyczne partie z reguły posiadające własne oddziały partyzanckie. Wzmogły się też ruchy narodowe skierowane przeciwko mocarstwom kolonialnym i będące, chcąc nie chcąc, naturalnym sojusznikiem aspiracji politycznych Kremla. Powodowało to wzrost napięcia i głębokie zaniepokojenie Amerykanów, dla których region Pacyfiku był własną "strefą bezpieczeństwa". Również w Europie Zachodniej Stalin nie starał się bezpośrednio ingerować - co oczywiście przekraczało ówczesne możliwości ZSRR - ale aktywne i niezwykle wzmocnione partie komunistyczne odgrywały

znaczącą rolę wchodząc w skład rządów koalicyjnych zarówno we Francji, jak i we Włoszech, gdzie głosowało na nie po ok. 1/3 wyborców. Był to potencjał możliwy do wykorzystania przy pomyślnym dla Moskwy obrocie wydarzeń.

Inaczej było w Europie Środkowo-Wschodniej. Utrzymano w pełnej rozciągłości inkorporację trzech państw bałtyckich, dokonując w nich kolejnych deportacji i "czystek", które objęły nie tylko polityków i wojskowych współpracujących z III Rzeszą, ale wszystkich dążących do niepodległości. Granica z Rumunią utrzymana została w kształcie zbliżonym do tego, który ZSRR uzyskał w wyniku traktatu Ribbentrop-Mołotow, a dzięki wcieleniu Rusi Zakarpackiej Armia Czerwona zapewniła sobie bezpośredni dostęp do Węgier i Czechosłowacji. Wszakże nie te posunięcia ani nawet obecność wojsk okupacyjnych w Bułgarii, Rumunii czy na Węgrzech, a także garnizonów w Polsce, stanowiły o miejscu ZSRR w tej części Starego Kontynentu.

We wszystkich tych krajach nacisk radziecki, niezależnie od różnic lego form i nasilenia, prowadził stopniowo, ale zupełnie wyraźnie do zdobycia władzy przez komunistów. Proces ten najszybszy był zresztą w Jugosławii, co wynikało z autentycznej siły tamtejszego ruchu komunistycznego. Tito nie zadowalał się błyskotliwymi - i osiąganymi za pomocą prawdziwie "bolszewickich" metod - sukcesami wewnętrznymi, ale wykazywał tendencje agresywne (Triest).

Tak czy inaczej ZSRR coraz mocniej gruntował swoją obecność na wielkiej połaci Europy. Jeśli dodać do tego pokaźną strefę okupacyjną w Niemczech, gdzie zarówno lokalna administracja - zdominowana przez komunistów - jak i radzieckie władze wojskowe dokonywały zmian dających podstawę do przyszłego zsowietyzowania kraju, zagrożenie było zupełnie wyraźne i dotkliwie odczuwalne. Toteż z początkiem 1946 r. Anglosasi coraz jaśniej formułowali nową linię polityczną. Podczas jednej z narad w Białym Domu, w styczniu 1946 r., prezydent Truman powiedział, iż "ma już dosyć cackania się" z ZSRR. 5 marca tegoż roku, przemawiając na uniwersytecie w Fulton, Churchill stwierdził, iż formuje się blok komunistyczny i zaapelował o utrzymanie współpracy wojskowej Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Stanowisko takie popierała większość amerykańskiej opinii publicznej, a entuzjazm dla Armii Czerwonej, tak powszechny jeszcze latem 1945 r., rozpływał się. ZSRR zaczynało być postrzegane nie jako sojusznik, ale aktualny przeciwnik.

Fakt, iż w ciągu 1946 r, komuniści coraz widoczniej konsolidowali swoją pozycję w siedmiu krajach Europy Środkowo-Wschodniej - w tym dominowali niepodzielnie w ważnej dla Brytyjczyków Jugosławii - i odnosili wyraźne sukcesy na Dalekim Wschodzie, dopingował sojuszników zachodnich do podejmowania konkretnych działań. 12 marca 1947 r. prezydent Truman stwierdził publicznie, iż Stany Zjednoczone "muszą popierać wolne narody, które przeciwstawiają się próbom ujarzmienia ich przez uzbrojone mniejszości lub przez naciski zewnętrzne". Odnosiło się to wprawdzie bezpośrednio do Grecji i Turcji, ale zostało uznane za ogłoszenie nowej doktryny w polityce amerykańskiej, znanej pod nazwą "doktryny Trumana". Niespełna trzy miesiące później sekretarz stanu George C. Marshall (zawodowy wojskowy mianowany na to stanowisko zaledwie w styczniu) zgłosił inicjatywę utworzenia European Recovery Programme. Miał on na celu udzielenie potężnej pomocy gospodarczej dla zniszczonego wojną kontynentu, z tym, że nie chodziło o pomoc typu humanitarnego, która prowadzona m.in. przez UNRRA nie mogła mieć dalekosiężnych skutków, ale wsparcie w odbudowie gospodarki przez same zainteresowane państwa. Dość oczywiste było, iż ZSRR nie zgodzi się na przystąpienie do programu, ale wymusił on takie podobne decyzje na rządach Polski i Czechosłowacji.

Kiedy w lipcu 1947 r. "plan Marshalla" wszedł w fazę realizacji, panowanie ZSRR i rodzimych komunistów w tej części Europy, która znalazła się po wschodniej stronie "żelaznej kurtyny", było już wszędzie-poza Czechosłowacją-definitywnie utrwalone. Opozycja zdławiona, sojusznicy komunistów ubezwłasnowolnieni, społeczeństwa wystraszone lub sterroryzowane, reformy rolne i nacjonalizacje przemysłu - jedne z głównych czynników legitymizujących partie komunistyczne i przysparzających im zwolenników - faktycznie przeprowadzone. Proces ten wszędzie przebiegał w zbliżony sposób, aczkolwiek miał jednocześnie wiele form specyficznych, zależnych czy to od sytuacji międzynarodowej (kraje alianckie wobec Osi -

kraje będące cały czas w sojuszu antyhitlerowskim), czy tradycji. Stopniowe eliminowanie z koalicji rządowych najbardziej zdeklarowanych antykomunistów odbywało się w niejednakowym tempie - najszybciej w Jugosławii i Albanii, najpóźniej (luty 1948 r.) w Czechosłowacji - ale wszędzie prowadziło w tym samym kierunku. Choć konkretne przepisy dotyczące reform agrarnych i upaństwowienia przemysłu różniły się między sobą, wprowadzono je wszędzie do czerwca 1948 r. Wszędzie też odbyły się już wybory do parlamentów, a tam gdzie pierwsze wypadły niezbyt pomyślnie (jak na Węgrzech w listopadzie 1945 r.), przeprowadzono je ponownie. W więzieniach siedzieli już nie tylko mniej czy bardziej zdeklarowani kolaboranci niemieccy (lub włoscy) i ludzie "klasowo obcy", ale także członkowie pierwszych rządów koalicyjnych z lat 1945-1946 czy niedawno wybrani posłowie.

Pewne znaczenie dla utrwalenia dominacji radzieckiej miało podpisanie 10 lutego 1947 r. traktatu pokojowego z byłymi satelitami III Rzeszy, co przyniosło im nie tylko formalne uznanie międzynarodowe, ale także usankcjonowanie przez mocarstwa zachodnie aktualnego układu sił w tych krajach. Wszystko to rozgrywało się także w radzieckiej strefie okupacyjnej Niemiec, gdzie nie tylko ogłoszono nacjonalizację i reformę rolną, ale także już w kwietniu 1946 r. doszło do wchłonięcia przez komunistów partii socjaldemokratycznej. Ideologicznym i politycznym zamknięciem tej fazy była konferencja dziewięciu partii komunistycznych i robotniczych w Szklarskiej Porębie we wrześniu 1947 r. Ostatnim - niejako kosmetycznym działaniem - był przewrót w Pradze w lutym 1948 r., który dał pełnię władzy Czechosłowackiej Partii Komunistycznej. Rozpoczęcie blokady Berlina w połowie czerwca 1948 r, otwierało nową fazę; rozpoczęła się na dobre "zimna wojna", która oznaczała nie tylko otwarty-choć wciąż nie zbrojny- konflikt między "obozem socjalistycznym" a państwami zachodniej demokracji, ale także forsowną unifikację państw znajdujących się w radzieckiej strefie wpływów i upodobnianie ich do Kraju Rad.

Walka o wybory

Przeprowadzenie wyborów parlamentarnych było nie tylko wymogiem jałtańskich postanowień Wielkiej Trójki, ale także należało do "standardu" politycznego koniecznego zarówno do wewnętrznej legitymizacji zachodzących zmian, jak i pełnego ich uznania przez międzynarodową opinię. Toteż we wszystkich krajach, które znalazły się w orbicie Kremla, wybory musiały być przeprowadzone. Najwcześniej odbyły się na Węgrzech (5 listopada 1945 r.), gdzie bezprecedensowe zwycięstwo - zdobywając 57% głosów - odniosła Niezależna Partia Drobnych Rolników, będąca odpowiednikiem PSL. Choć zupełnie inaczej wyglądały wyniki w trzech państwach bałkańskich (Jugosławia, Albania, Bułgaria), gdzie całkowicie kontrolowane przez komunistów bloki wyborcze (na ogół pod nazwą Frontów Narodowych) zdobyły od 88 do 93%, kazus węgierski stanowił zarówno ostrzeżenie dla PPR, jak i zachętę dla PSL.

Utworzenie bloku - w Polsce proponowano mu nazwę Blok Demokratyczny, mniej "bojową", ale równie fałszywą - stało się doraźnym celem taktycznym, choć na zjeździe PPR (6-13 grudnia) wielu mówców domagało się "rozprawy"

nie tylko z konspiracją, ale także z legalną opozycją. Komuniści i ich sojusznicy z PPS, której kierownictwo obawiało się rosnącego napięcia między PPR a PSL, złożyli taką ofertę. Jednak kongres (19-21 stycznia 1946 r.) partii, której niekwestionowanym leaderem został po śmierci Witosa Stanisław Mikołajczyk, nie podjął w tej sprawie ostatecznej decyzji. Ludowcy mieli nie tylko poczucie siły, jako stronnictwo liczące dobrze ponad pół miliona członków, ale także przekonanie o swojej racji: uchwalono rezolucje domagające się m.in. likwidacji MBP i Ministerstwa Informacji i Propagandy oraz uwolnienia więźniów politycznych. Przyjęty na kongresie program stanowił kontynuację programów ludowych z lat 1935 i 1943, nawiązywał do tradycji agrarystycznej, był rzeczową, demokratyczną alternatywą dla platformy politycznej komunistów.

W czterech turach, które odbyły się między 7 a 22 lutego 1946 r., toczone były rozmowy czołowych działaczy PPR, PPS i PSL, podczas których wywierano - często w niezwykle ostrych słowach - nacisk na ludowców, aby zgodzili się na utworzenie wspólnej listy. Przedstawiciele PSL proponowali sformowanie rządu koalicyjnego po wyborach, zgadzając się na ewentualny blok tylko na ziemiach zachodnich. Gdy rozmówcy odrzucili całkowicie ten projekt, ludowcy zażądali na ewentualnej wspólnej liście 75% miejsc "dla reprezentantów wsi", co miało im zagwarantować decydujący głos przy uchwalaniu nowej konstytucji. PPR i PPS zgadzały się na parytet dwudziestoprocentowy dla siebie, PSL i SL, co dawało im pewność, że ludowcy nie będą odgrywali w Sejmie poważniejszej roli, a jednocześnie prowadziło do dyskredytacji Mikołajczyka w opinii środowisk zdecydowanie antykomunistycznych. Peeselowcy wszakże nie dali się wciągnąć w tę pułapkę i - przy nasilającej się gwałtownie kampanii propagandowej ze strony "partii demokratycznych" - rozmowy zostały zerwane.

Gomułka nie chciał wszakże popełnić "węgierskiego błędu", rozpisując wybory przy istnieniu tak silnego przeciwnika, jak PSL i znacznej aktywności konspiracji, co już samo w sobie stanowiło zachętę do sprzeciwu wobec PPR. Nie ufał także w skuteczność instrumentów mogących wymusić - przez terror czy fałszerstwa - wyniki dogodne dla PPR. Wykorzystując luźną uwagę Mikołajczyka o możliwości przeprowadzenia referendum konstytucyjnego na wzór tego, które odbyło się we Francji, znaleziono sposób na odłożenie terminu wyborów. Dawało to jednocześnie jeszcze jedną szansę wymuszenia ustępstw ze strony PSL. 5 kwietnia komuniści i trzy zblokowane z nimi stronnictwa przyjęły formalnie koncepcję odbycia referendum (oczywiście "ludowego").

Trzy zadawane w nim pytania miały dotyczyć: zniesienia Senatu, aprobaty dla przeprowadzonych reform społecznych (z utrzymaniem drobnej, prywatnej własności) oraz poparcia granicy zachodniej ustalonej w Poczdamie. Niezależnie od tego, że pytania te stawiały PSL w dosyć niezręcznej sytuacji - ruch ludowy opowiadał się ongiś za parlamentem jednoizbowym, mimo zastrzeżeń co do sposobu wprowadzenia ludowcy popierali reformy, a także byli od dawna zwolennikami przesunięcia granic Polski na zachód - samo referendum komuniści postanowili potraktować jako "przymiarkę" do przyszłych wyborów. Chodziło m.in. o lepsze rozeznanie w geografii wpływów opozycji, przygotowanie administracji do kontrolowania wyników, zmobilizowanie aparatu represji i jego rozbudowę. PSL postanowiło podjąć wyzwanie i wyraziło zgodę na przeprowadzenie referendum, a pragnąc mu nadać

charakter rzeczywistego plebiscytu zaapelowało do społeczeństwa o negatywną odpowiedź na pierwsze pytanie. Walka wkraczała w nową fazę.

Nastroje w kraju wyraźnie nie sprzyjały "blokowi czterech", który utożsamiany był z realną władzą. Całą wiosnę trwały w wielu regionach kraju krótkotrwałe, ale powtarzające się fale strajków na tle fatalnego zaopatrzenia i szybkiego wzrostu cen. Główne ogniska znajdowały się na Górnym Śląsku i w Zagłębiu oraz w Łodzi, a więc w najważniejszych wówczas ośrodkach robotniczych. Dramatycznym trudnościom aprowizacyjnym nie mogły zapobiec napływające od zimy dostawy UNRRA, a ich podział był nieraz jednym z powodów wystąpień strajkowych. Nie pomagały też - mające bardziej propagandowy niż realny charakter - przedsięwzięcia mające na celu walkę ze spekulacją.

Mimo dotkliwych strat aktywne wciąż były oddziały partyzanckie, które na tzw. ziemiach dawnych (szczególnie na Białostocczyźnie, północnym Mazowszu, w Lubelskiem) panowały w wielu powiatach, redukując obecność władz w terenie. Na ziemiach południowo-wschodnich nie ustawała działalność niepodległościowej partyzantki ukraińskiej (UPA), która wypierana przez NKWD ze wschodniej Galicji, podejmowała nie tylko walkę z oddziałami KBW, ale także akcje odwetowe przeciwko ludności polskiej. Rozpoczęte w lutym wysiedlanie Niemców powiększyło perturbacje ekonomiczne na ziemiach zachodnich, czemu dodatkowo sprzyjał fakt, iż był to okres najbardziej masowych migracji i przesiedleń z ziem wschodnich. Wieś dotkliwie odczuwała dostawy obowiązkowe, które zastąpiły (zniesione we wrześniu 1945 r.) świadczenia rzeczowe, tym bardziej iż relacje cen między artykułami rolnymi a przemysłowymi były dla niej niekorzystne, a kredyty skąpe i kierowane do sektora państwowego. Jesienią 1945 r. ok. 78% użytków rolnych leżało odłogiem, a wydajność była wyraźnie niższa niż w czasie okupacji niemieckiej. Po Kongresie PSL nadal rozrastało się liczebnie i coraz widoczniej wkraczało na teren miejski, organizując nawet koła przyfabryczne. Patriotyczne - a więc siłą rzeczy antykomunistyczne - nastroje stawały się coraz powszechniejsze wśród młodzieży, czego wyrazem były zarówno manifestacje z okazji święta 3 Maja, jak i przede wszystkim strajki i wystąpienia solidarnościowe - we wszystkich ośrodkach akademickich - po rozbiciu przez UB trzeciomajowego pochodu studenckiego w Krakowie. Obecność dostaw z UNRRA, a nawet repertuar kin, w których coraz częściej wyświetlano filmy amerykańskie, wzmacniały przekonanie nie tylko o wyższości gospodarczej "Wuja Sama", ale także o zaangażowaniu Zachodu w sprawy polskie. Rodziły się wówczas popularne powiedzonka typu: "Truman, Truman spuść ta bania, bo jest nie do wytrzymania" czy "Jeszcze bombka atomowa i wrócimy wnet do Lwowa".

Wrogie wobec władzy nastroje wzmagało, nie dające się wciąż opanować, maruderstwo żołnierzy Armii Czerwonej i panoszenie się na większości ziem zachodnich radzieckich komendantur. Główny wysiłek "bezpieki" i MO skierowany był na walkę z konspiracją, tymczasem w wielu regionach kraju rozplenił się pospolity bandytyzm. Mimo wysiedlania Niemców nie ustawały konflikty narodowościowe na ziemiach zachodnich. Obiektem agresji bardzo często stawali się polscy autochtoni. W wielu miastach i miasteczkach powtarzały się też napady na Żydów. Część z nich miała charakter bandycki, ale wcale nierzadkie były przypadki agresji o podłożu antysemickim. Na stare stereotypy nałożyły się nowe - o rządzącej Polską "żydokomunie" -

umacniane przez widoczny udział osób pochodzenia żydowskiego w aparacie władzy i PPR. Podsycała je także propaganda większości gazetek konspiracyjnych. Wedle niektórych obliczeń zamordowano kilkaset osób.
Sytuacja była więc daleka od stabilności, czym zresztą Polska nie wyróżniała się zbytnio w tej części Starego Kontynentu, przez który przeszła wojna. Jeśli nie liczyć Grecji, gdzie toczyła się na szeroką skalę wojna domowa, Polska - i zachodnie połacie Ukrainy - była natomiast jedynym krajem, w którym działała antyrządowa partyzantka.
Jakkolwiek potęga ZSRR stanowiła wystarczającą osłonę i podporę dla komunistów, PPR nie lekceważyła istniejących zagrożeń. Drakońskie dekrety z 15 listopada 1945 r. - "o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa", o postępowaniu doraźnym i powołujący Specjalną Komisję do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym - wykorzystywane były skwapliwie przez Wojskowe Sądy Rejonowe, które obejmowały swą jurysdykcją także osoby cywilne. Na niespełna trzy tygodnie przed referendum ogłoszono tzw. Mały Kodeks Karny (obowiązywał do roku 1969) oraz ogólnikowy, a więc niezwykle rozciągliwy, dekret o cenzurze. W lutym powołano Ochotniczą Rezerwę Milicji Obywatelskiej (ORMO). Faktycznie były to partyjne, pepeerowskie bojówki, które szybko osiągnęły stany liczbowe przekraczające 100 tys. członków. Dla koordynowania działań - utworzona została - kierowana przez ministra bezpieczeństwa i ministra obrony narodowej - Państwowa Komisja Bezpieczeństwa, która "do ochrony i prowadzenia akcji propagandowo-politycznej w okresie referendum" zmobilizowała blisko 130 tys. żołnierzy WP i KBW, funkcjonariuszy UB i MO oraz "ormowców". Była to więc potężna machina docierająca do najdalszych zakątków kraju jednocześnie z karabinem i ulotką wzywającą do głosowania "3 razy tak".
Ze zdwojoną energią podjęto wypieranie członków PSL lub sympatyków tej partii ze stanowisk w administracji i radach narodowych. Pod sfingowanymi zarzutami współpracy z "reakcyjnym podziemiem" rozwiązano kilka zarządów powiatowych Stronnictwa. Nie dopuszczono do udziału w obradach zjazdu Samopomocy Chłopskiej większości "mikołajczykowskich" delegatów. Cenzura nasiliła ingerencje w prasie ludowej, a "Czytelnik", największy dystrybutor prasy, odmówił kolportażu "Gazety Ludowej". Podjęto też, zakończoną nikłymi rezultatami, inicjatywę rozbicia PSL przez grupę działaczy uwikłanych przez PPR i MBP (Rek, Drzewiecki).
Nie pomijano także i działań "pozytywnych" - 6 czerwca zapowiedziano zniesienie dostaw obowiązkowych, przyspieszono rozdział darów z UNRRA, starano się poprawić zaopatrzenie w większych miastach. Specjalny sztab, pod kierownictwem Zenona Kliszki, przygotowywał szczegóły ordynacji głosowania dążąc - dość skutecznie - do eliminowania członków PSL z komisji okręgowych i obwodowych. W sumie na blisko 11 tys. obwodów członkowie PSL piastowali funkcje przewodniczących tylko w 461 (pepeerowcy w ok. 4 tys.). Przyjęto też dogodną dla "bloku" interpretację, wedle której czystą kartkę uznawano jako głos "3 razy tak".
Choć sam akt głosowania przebiegał stosunkowo spokojnie, w więzieniach siedziały tysiące "prewencyjnie" aresztowanych peeselowców, a w niemal wszystkich lokalach znajdowała się zbrojna asysta. Urny z kartkami często przewożono do siedzib starostw czy nawet gmachów UB, gdzie dokonywano obliczeń w "węższym gronie". Pierwsze, częściowe rezultaty przekazywane do

warszawskiego sztabu PPR były zdecydowanie negatywne dla partii "bloku", choć frekwencja - o którą się przede wszystkim obawiano - była stosunkowo wysoka. Nie jest do tej pory jasne, czy kierownictwo partii komunistycznej przygotowało jednolity plan "poprawienia" wyników.

W każdym bądź razie nie później niż 3 lub 4 lipca zapadła decyzja o konieczności dokonania generalnego fałszerstwa. Była ona, jak można sądzić, oczywista i raczej bezdyskusyjna, gdyż zgromadzone - przez instancje partyjne oraz agendy rządowe (w tym też wojsko) - informacje były w istocie zatrważające. Wedle nich w skali całego kraju "3 razy tak" odpowiedziało nie więcej niż 27% głosujących, a "3 razy nie" co najmniej 33%. Biorąc pod uwagę plebiscytarny charakter głosowania, przeciwko linii PPR i jej sojusznikom wypowiedziało się nie mniej niż 3/4 spośród tych, którzy poszli do urn. W niektórych regionach na apele "bloku" pozytywnie odpowiedziało mniej niż 15% głosujących (tak było w woj. krakowskim i rzeszowskim). Była to de facto całkowita klęska. Mijały dni, a Generalny Komisarz nie ogłaszał wyników, gdy zaś 11 lipca wreszcie uczynił to, chyba dla wszystkich stało się jasne, że do wiadomości publicznej podano sfałszowane dane. Wedle oficjalnego komunikatu "tak" miało odpowiedzieć na pierwsze pytanie 67%, na drugie 78%, a na trzecie 92%. Jeszcze przed ogłoszeniem tego komunikatu PSL składało protesty, na które odpowiedź - całkowicie je odrzucająca - nadeszła po dwóch miesiącach.

Nim jednak Polska i świat dowiedziały się, jaki wynik głosowania odpowiada koncepcji politycznej PPR, opinią publiczną wstrząsnęło jedno z najbardziej ponurych wydarzeń w tych czasach pełnych przemocy i zbrodni: 4 lipca, w Kielcach, przy bierności władz bezpieczeństwa, a nawet z udziałem milicjantów i żołnierzy wysłanych dla ochrony napadniętych, wielotysięczny tłum dokonał pogromu Żydów. Zginęło 40 osób. Nastroje antysemickie, rozpowszechnione w całym kraju, wybuchły tu z niszczącą siłą i jeszcze przez kilka tygodni po "wydarzeniach kieleckich" nastroje ekscytacji trwały w wielu miastach. PPR oskarżyła konspirację i "jej popleczników", PSL zaś - którego deklaracja potępiająca pogrom została przez cenzurę wstrzymana - w nieoficjalnych wystąpieniach dawał do zrozumienia, że prawdziwym inicjatorem była służba bezpieczeństwa, która chciała odwrócić uwagę świata od sfałszowania wyników głosowania. Jakkolwiek wiele okoliczności pogromu do dziś nie jest w pełni wyjaśnionych, interpretacja taka - zrozumiała jako element walki politycznej - wydaje się nie mieć rzeczowego uzasadnienia. Nawet jeśli atak na Żydów kieleckich był inspirowany przez władze, masowy udział w nim kielczan z różnych warstw był świadectwem żywotności zastarzałych fobii i frustracji społecznej. W istocie mocno nadwerężył on prestiż Polski (i Polaków) w opinii Zachodu. Pogrom kielecki wyraźnie przyspieszył, trwający już zresztą, exodus Żydów, których znaczna liczba wyjechała do Palestyny. Pogłębił także zróżnicowanie polskiej opinii, a u pewnej części liberalnej inteligencji wywołał reakcje zbliżające ją do partii "bloku demokratycznego".

Mimo iż wyniki głosowania były pomyślne dla opozycji, fakt, że zdołano je sfałszować i zmusić opinię do uznania sfałszowanych rezultatów, świadczył na równi o cynizmie, co o arogancji i poczuciu siły polskich komunistów. Wzmocnił jednak także tendencje części kierownictwa PPS do usamodzielnienia się, gdyż referendum okazało, jak małe poparcie ma blok pepeerowski. W ciągu lata doszło do kolejnych - nieoficjalnych z PPR, a oficjalnych z PPS

- rozmów między głównymi przeciwnikami, ale zakończyły się one całkowitym zerwaniem, gdyż PSL wytrwale podtrzymywał swoją linię zachowania pełnej niezależności. Rozmowom tym nie towarzyszyło bynajmniej osłabienie działań przeciwko opozycji. Do akcji przeciwko oddziałom partyzanckim wprowadzano coraz to nowe jednostki wojska, rozrastały się służby bezpieczeństwa, mnożyły procesy, w wielu regionach kraju panował de facto stan wojenny. Podjęto też udaną próbę przekształcenia Stronnictwa Pracy w posłuszne narzędzie PPR: wobec ogromnej przewagi, jaką w wyborach delegatów na partyjny kongres zdobyli zwolennicy Popiela, władze nie wydały zgody na odbycie się kongresu. Gdy w odpowiedzi większość ZG zawiesiła działalność partii, "zrywowcy" przejęli nazwę Stronnictwa. W ten sposób peeselowcom ubył jedyny partner i zostali - jeśli nie liczyć konspiracji, spychanej coraz wyraźniej do głębokiej defensywy - sam na sam z wzmacniającym się aparatem kontroli i represji. W szeregi PSL zaczęło zakradać się zwątpienie i rozpoczął się stopniowy odpływ członków, do czego głównie przyczyniały się szykany ze strony lokalnej administracji, szantaże i groźby, które niejednokrotnie realizowano.

PPR powoli, ale konsekwentnie przygotowywała się do ostatecznego ataku na opozycję, a zarazem do wypełnienia zobowiązań jałtańskich co do wyborów. Państwowy Komitet Bezpieczeństwa opracowywał plany operacyjne, prowadzono intensywne prace nad skonstruowaniem odpowiedniej ordynacji wyborczej, nasiliły się napaści propagandowe na PSL, a spory między PPR a PPS poddano arbitrażowi Stalina, który zadecydował o generalnej linii działania.

Pretekst do rozpoczęcia zmasowanego ataku na ludowców - a trwać miał on już nieprzerwanie do dnia wyborów - dał amerykański sekretarz stanu James Byrnes. 6 września 1946 r. w swym wystąpieniu w Stuttgarcie sprawę polskiej granicy zachodniej ujął w czysto prawniczym wywodzie przypominając, że będzie ona przedmiotem "ostatecznego układu" (co zgodne było z postanowieniami poczdamskimi), ale także nie uznając jej przebiegu za przesądzony. Przemówienie to było fragmentem trudnej gry Amerykanów o Niemcy i miało skontrować niedawne wypowiedzi ministra Mołotowa wyraźnie kokietujące Niemców. Zachodni alianci traktowali Polskę jako kraj należący do radzieckiej strefy wpływów i ważniejsze dla nich było powstrzymanie Stalina na Łabie niż interesy byłego sojusznika.

Stale obecna w pepeerowskiej i rządowej propagandzie nuta antyamerykańska została gwałtownie wzmocniona, słowa Byrnesa uznano za dogodny punkt wyjścia do przedstawiania Amerykanów jako wroga numer jeden, a Mikołajczyka i PSL jako "sługusów imperializmu" i "sojuszników niemieckiego rewanżyzmu". Zorganizowaną w Warszawie 8 września wielotysięczną manifestację antyamerykańską skierowano umiejętnie ku lokalowi władz naczelnych PSL, który został splądrowany, a wiele urządzeń zniszczonych. "Gniew ludu" znalazł ujście w atakach na ludowców i Mikołajczyka osobiście. Uzyskano w ten sposób propagandowe wsparcie dla działań, w których brali udział funkcjonariusze MBP. W ciągu sierpnia w Krakowie aresztowano Stanisława Mierzwę (sądzonego już w procesie moskiewskim) i kilku innych czołowych działaczy PSL. W Warszawie po kilkakrotnych rewizjach w redakcji "Gazety Ludowej" 11 października aresztowano m.in. kolejnego podsądnego z procesu "szesnastu" - Kazimierza Bagińskiego, a po nim część kierownictwa dziennika z jego redaktorem Zygmuntem Augustyńskim na czele. Przeprowadzono szereg rozmów "ostrzegawczych" zarówno z działaczami centralnymi, jak i bez

porównania liczniejszymi terenowymi, wyraźnie zachęcając do secesji lub zaatakowania linii Mikołajczyka. PPR usiłowała też prowadzić grę polityczną ze środowiskami katolickimi, ale zarówno silne antagonizmy między nimi, jak i zdecydowana postawa prymasa Hlonda, który uciął próby zmontowania "katolickiej listy", zakończyły ją niepowodzeniem.

Ordynacja wyborcza, uchwalona wbrew głosom peeselowców, dawała administracji duże możliwości kształtowania elektoratu przez prawo skreślania z list wyborczych i narzucanie składów komisji. Na podstawie doświadczenia z referendum i materiałów MBP kształtowano podział na obwody, uprzywilejowano ziemie zachodnie, gdzie administracja łatwiej panowała nad zachowaniami społecznymi. Unieważniono listy PSL w 10 okręgach na 52, a wreszcie przygotowano gwarantującą skuteczność i łatwą w obsłudze "ściągawkę" do fałszowania wyników, tak aby były zgodne z przyjętymi (i uzgodnionymi z PPS) założeniami. Były one realistyczne, ale pesymistyczne: szacowano, że w obwodach "politycznie dobrych" za listą bloku opowiada się nie więcej niż 28-35% wyborców. Ustalono wszakże, że PSL może dostać najwyżej 15% głosów. Tym bardziej potrzebna była zmasowana kampania propagandowa połączona z zastraszaniem społeczeństwa i terroryzowaniem peeselowców. W teren znów wyruszyły liczące dziesiątki tysięcy osób "brygady ochronno-propagandowe", do więzień trafili członkowie Rady Naczelnej i kandydaci na posłów PSL, aresztowano tysiące aktywistów terenowych, wyłapywano kurierów przewożących dokumenty niezbędne do zarejestrowania list, w kilku regionach kraju "nieznani sprawcy" dokonali mordów na lokalnych działaczach, zawieszono ponad 30 zarządów powiatowych Stronnictwa. Władze PSL zalecały organizacjom gminnym ukrywanie sztandarów i kas. Protesty składane na ręce ambasadora ZSRR pomijane były milczeniem, a memoranda sojuszników zachodnich uznawano za "wtrącanie się w wewnętrzne sprawy suwerennego państwa".

19 stycznia 1947 r., dzień wyborów, niczym nie przypominał dnia głosowania w referendum. Nie tylko dlatego, że zabrakło letniego słońca: znaczne połacie kraju, zwłaszcza wieś, żyły w atmosferze terroru fizycznego i propagandowego. Zorganizowane uprzednio komitety urządzały zbiorowe marsze do lokali wyborczych w miastach i przejazdy kolumn wozów na wsi. Głosujący zbiorowo mieli pierwszeństwo, a "indywidualni" stawali w długich kolejkach. Wyrywano kartki z numerami list PSL, a wtykano "blokowe", wszędzie pełno było wojska, milicji, "ubeków" i "ormowców". Po zamknięciu lokali wyborczych w ruch poszły "ściągawki", a PSL udało się zebrać wyniki z niespełna 1300 na ponad 5500 obwodów. Wedle nich na listy peeselowskie oddano ok. 69% głosów. Ale, zgodnie z popularnym wówczas powiedzonkiem, "jedni głosowali, inni liczyli", oficjalnie ogłoszono, że blok uzyskał 80,1%. PSL przyznano 10,3%. Bitwa została skończona. Zwycięzcy pozostawało oczyścić pole i wziąć jeńca. A także rozejrzeć się za następnym wrogiem.

Rok 1947: koniec etapu

4 lutego 1947 r. odbyło się inauguracyjne posiedzenie Sejmu, który miał być konstytuantą. ZSRR i polscy komuniści - także ich sojusznicy - uznali, iż zrealizowany został jałtański postulat przeprowadzenia "wolnych

wyborów". Mimo oczywistych nadużyć, dokonanych w czasie samego obliczania głosów i w toku kampanii przedwyborczej, a przede wszystkim w całym okresie od chwili objęcia władzy przez PPR, mocarstwom zachodnim nie pozostało nic innego niż złożenie werbalnych protestów i "ochłodzenie" stosunków międzypaństwowych. PSL znalazł się, rzecz jasna, poza koalicją rządową, a jego dwudziestoparoosobowa reprezentacja stała się klubem opozycyjnym nie mogącym odgrywać żadnej innej roli poza mówieniem prawdy o stosunkach panujących w kraju. Zarówno Stalin, jak i Gomułka uznali, że nie mają już żadnych zobowiązań wobec uczestników rozmów moskiewskich, co źle wróżyło dalszemu istnieniu legalnej opozycji. Instytucja taka przeczyła samej istocie systemu: z mocy ideologii to, co legalne, nie mogło być opozycyjne wobec partii "wyrażającej interesy całego narodu", a to, co jej się sprzeciwiało, nie mogło być legalne.

PPR troszczyła się jednak zarówno o sztafaż demokratyczny, jak i o legitymizację poprzez odwoływanie się do narodowych i państwowych tradycji. Już na pierwszym posiedzeniu Sejmu wybrano jego marszałków i uchwalono ustawę konstytucyjną o urzędzie Prezydenta RP. Następnego dnia na urząd ten wybrano Bolesława Bieruta, który na uroczystą przysięgę - pełną strzelistych słów i zakończoną chrześcijańską prośbą: "tak mi dopomóż Bóg" - przybył w takim samym orszaku, jaki towarzyszył prezydentom w II Rzeczpospolitej. System państwowoprawny, który przyjęto 19 lutego 1947 r. (tzw. Mała Konstytucja), odbiegał wszakże od demokratycznego kanonu o podziale władz, m.in. przez ustanowienie Rady Państwa, która była konglomeratem władzy ustawodawczej i wykonawczej oraz bardzo szerokie - praktycznie nieograniczone - upoważnienia rządu do wydawania dekretów z mocą ustaw. 22 lutego Sejm uchwalił deklarację "o prawach i wolnościach obywatelskich", która zawierała pełną ich gamę, ale - jak to często bywa - o wszystkim miała decydować praktyka polityczna. Zamknięciem tego pakietu była ustawa o amnestii, dzięki której opuściło więzienia i areszty ok. 25 tys. osób, wielu innym obniżono wyroki.

Amnestia była aktem mającym na celu zarówno "rozładowanie" podziemia, jak i lepsze spenetrowanie środowisk wrogich władzy. W jej toku ujawniło się ok. 30 tys. osób, ale większość deklarowała swoją działalność okupacyjną, liczba zaś zdanej broni była - podobnie jak po amnestii w 1945 r. - nieproporcjonalnie mała w stosunku do liczby osób korzystających z dobrodziejstw ustawy sejmowej. Niewątpliwe jednak było zmęczenie nie tylko społeczeństwa, ale także konspiratorów, a fakt, iż państwa zachodnie przyjęły wyniki sfałszowanych wyborów "do wiadomości", nie zrywając stosunków z warszawskimi władzami, zapewne poważnie wpłynął na decyzje o zaprzestaniu czy zawieszeniu działalności. Nie mniejsze znaczenie miała też intensyfikacja walki z "reakcyjnym podziemiem" w okresie przedwyborczym i kontynuowanie akcji pacyfikacyjnych także po wyborach. Krwawe walki bratobójcze, które w wielu regionach kraju przybierały rozmiary lokalnej wojny domowej, przeszły apogeum i nieuchronnie zbliżały się do końca. W prowadzeniu ich komuniści wykazywali nie mniejszą-a może nawet większą-determinację niż ich przeciwnicy. Władze gotowe były do zastosowania najbardziej nawet drastycznych środków, jak to wykazały przeprowadzając akcję "Wisła", w ramach której pod wojskowymi konwojami i z wykorzystaniem obozów koncentracyjnych (także poniemieckich) wysiedlono z południowo-wschodniej Polski ok. 120 tys. Ukraińców.

Główne uderzenia dotknęły podziemne ośrodki kierownicze, w wyniku czego w ciągu 1947 r. właściwie wszystkie je zlikwidowano. Na placu boju pozostawały coraz bardziej izolowane - a z uwagi na wymogi taktyczne i coraz mniej liczne - oddziały partyzanckie. Po aresztowaniach z końca 1946 r. i początków 1947 r. nie odbudowały się właściwie krajowe władze SN i PPS-WRN, poszło w rozsypkę NSZ. Uwięzienie kolejnej, czwartej już, Komendy Głównej WiN praktycznie zamieniło tę największą organizację podziemia w "ubecki kocioł", za pomocą którego przez kilka lat (do grudnia 1952 r.) prowadzono kontrwywiadowczą grę. Niemniej jeszcze cały rok 1947 trwały walki, potyczki, obławy, pacyfikacje i aresztowania. Zabito w nich ponad 2 tys. osób, a co najmniej 25 tys. trafiło do więzień. Niemałe były też straty UB, MO, KBW i wśród lokalnych działaczy PPR.

Konspiracja przestała być siłą polityczną. Ale wnet przestała nią być także opozycja legalna. Mimo pewnych prób, podejmowanych jeszcze po wyborach, nie reaktywowało się niezależne Stronnictwo Pracy. Sejmowa reprezentacja politycznego katolicyzmu zredukowana była do grupki trzech posłów związanych z Piaseckim, który coraz wyraźniej pełnił funkcje dezintegracyjne wobec Kościoła, a w marcu uzyskał koncesję na wydawanie dziennika ("Słowo Powszechne"). Już w końcu stycznia ujawniła się grupa frakcyjna w PSL, tym razem nie tylko znacznie liczniejsza niż w roku poprzednim, ale także kierowana przez działaczy o dość dużym prestiżu (Józef Niećko, Czesław Wycech, Kazimierz Banach - wszyscy odgrywający dużą rolę w czasach antyniemieckiej konspiracji). W terenie wiele organizacji PSL nie podniosło się już po terrorze przedwyborczym, znaczna część członków nie opłaciła składek partyjnych, a jego działacze w sposób bezwzględny rugowani byli z ostatnich stanowisk w administracji. W ministerstwach kierowanych uprzednio przez peeselowców przeprowadzono czystki. Coraz więcej było takich, którzy "przenosili" się do SL, a nawet do PPS, co wywoływało zaniepokojenie zarówno PPR, jak i central obu zasilanych w ten sposób partii.

W kwietniu odbył się proces Kazimierza Bagińskiego, do którego przepisy amnestii zastosowano dopiero po ogłoszeniu wyroku, ale nie objęto nią już Zygmunta Augustyńskiego, który w lipcu skazany został na 15 lat więzienia. W procesach działaczy konspiracyjnych prokuratorzy coraz częściej wymieniali PSL - a nawet osobiście jego leadera - jako "współpracownika band". Niektórzy członkowie władz Stronnictwa proponowali pójście za przykładem Popiela i zawieszenie działalności partii z utrzymaniem tylko klubu sejmowego. Atmosfera wokół legalnej opozycji zagęszczała się nie tylko w Polsce: już w styczniu aresztowano w Budapeszcie Sekretarza Generalnego partii chłopskiej Belę Kov□csa; w maju nie wrócił z prywatnej podróży do Szwajcarii premier Węgier Ferenc Nagy; 5 czerwca aresztowano przywódcę bułgarskich agrarystów Nikołę Petkova, którego 15 sierpnia skazano na karę śmierci, partię chłopską zaś rozwiązano; 14 lipca aresztowany został leader rumuńskich ludowców luliu Maniu, a dwa tygodnie później partię rozwiązano.

Lokale PSL - z warszawską centralą włącznie - pustoszały, "Gazeta Ludowa" była masakrowana przez cenzurę, a kierownictwo PPR od czerwca przygotowywało "podstawy prawne" do postawienia w stan oskarżenia Mikołajczyka. W tej sytuacji 21 października b. premier Rządu RP, z pomocą ambasad amerykańskiej i brytyjskiej, zbiegł za granicę, a w ciągu

następnych dni udało się to też Bagińskiemu i Korbońskiemu. 27 października PSL - a raczej jego resztki - zostały przejęte przez secesjonistów i na czele partii stanął Niećko. Był to faktyczny koniec legalnej opozycji w Polsce.

Ani zwycięstwo "wyborcze" bloku, ani tym bardziej ogólna sytuacja polityczna w Europie nie sprzyjały zwolennikom autonomii PPS. Już zamiana na stanowisku premiera Osóbki-Morawskiego na Cyrankiewicza była najwyraźniej wynikiem nacisku komunistów. W kwietniu 1947 r, na posiedzeniu KC PPR ogłoszono konieczność "bitwy o handel", której jedną z ofiar miała stać się spółdzielczość, do tej pory główna domena socjalistów. W wielu wypowiedziach pepeerowcy zwracali uwagę na trwałość "przeżytków socjaldemokratycznych" w PPS i "nie wykorzenione wpływy wuenerowskie". Aresztowanie w czerwcu Kazimierza Pużaka, największego autorytetu wśród socjalistów, mogło - i miało - oznaczać, że wnet ogłoszone będzie istnienie powiązań między niezależnymi socjalistami a wybranymi (przez PPR) działaczami legalnymi. W kierownictwie PPS coraz większą rolę zaczęli odgrywać politycy prokomunistyczni, a często po prostu karierowicze, którzy przystosowywali się do sytuacji, w której PPR obejmie całkowitą kontrolę nad życiem publicznym i gospodarczym i - zgodnie z tezą popularną wówczas w całej Europie Środkowo-Wschodniej - nastąpi "organiczne zjednoczenie" obu partii. Niemałe grono działaczy, m.in. z kręgów intelektualnych (jak Julian Hochfeld czy Jan Strzelecki), uważało, że trzeba ratować choć część dorobku ideowego PPS, nawet za cenę kapitulacji. Zapoczątkowany jeszcze w 1944 r. mechanizm kolejnych ustępstw wobec komunistów był już prawdopodobnie nie do zahamowania, nawet gdyby znaleźli się chętni na taki czyn. Na zjeździe PPS w grudniu 1947 r. uroczyście deklarowano, że partia "była, jest i będzie potrzebna narodowi polskiemu". Przestawała być jednak potrzebna Stalinowi i Gomułce.

Choć odbudowa przemysłu, zniszczonych miast i wsi oraz zagospodarowywanie ziem zachodnich czyniły wyraźne postępy, sytuacja ekonomiczna kraju była trudna i bardzo daleka od stabilizacji. Nie mogły jej zmienić hasła o "walce ze spekulacją", którymi próbowano ukierunkować niezadowolenie z bardzo złej sytuacji aprowizacyjnej. Wiosną i latem 1947 r. przetoczyły się przez regiony przemysłowe kolejne fale strajkowe z największą (we wrześniu) w Łodzi, w której uczestniczyły też tysiące członków PPS, a nawet pepeerowcy. Położenie pogarszało zawieszenie działalności UNRRA, której pomoc sięgnęła w 1946 r. 22% dochodu narodowego (306 mln dolarów). Wobec nieprzystąpienia Polski do umowy w sprawie planu Marshalla Departament Stanu zawiesił programy pomocy, a kredyty obcinano już od połowy 1946 r. Stany Zjednoczone nie były zainteresowane w pomaganiu wrogim sobie rządom i wzmacnianiu w ten sposób obozu komunistycznego.

Wciąż jeszcze było jednak sporo łatwych do uruchomienia rezerw, zwłaszcza w przemyśle konsumpcyjnym. Na działalność gospodarczą państwa duży wpływ miała umiejętna polityka Centralnego Urzędu Planowania, którym kierował Czesław Bobrowski i ekipa przedwojennych ekonomistów, a i główny ekonomista PPR, Hilary Minc, nie był zwolennikiem "przeskakiwania etapów" i głosił potrzebę istnienia "elementów rynkowo-kapitalistycznych". Większością zakładów kierowała dawna kadra inżynierska, organizacje i instancje PPR (i PPS) bardziej zajmowały się aktywnością polityczną niż sprawami zarządzania. Nowe metody dopiero kiełkowały. Wprawdzie objawił się pierwszy

polski "stachanowiec" (w lipcu 1947 r. górnik Wincenty Pstrowski rzucił hasło współzawodnictwa pracy), ale na ogół decydowały jeszcze racjonalne zasady działalności przemysłowej. Mimo politycznego oziębienia trwała też wymiana gospodarcza z Zachodem, stanowiąca w 1947 r. 61% obrotów handlu zagranicznego - głównie dzięki boomowi na węgiel, do wydobywania którego zapędzono tysiące jeńców wojennych. Poprawiono, prawda, że dzięki drastycznym środkom, dyscyplinę podatkową.

W sumie, choć życie było wciąż jeszcze trudne, płace realne w porównaniu z rokiem poprzednim wyraźnie wzrosły, a poza rolnictwem osiągały stan zbliżony do 1938 r. Dla znacznej części ludności wiejskiej satysfakcją - po części także materialną - był sam fakt posiadania własnego gospodarstwa. Z reformy rolnej otrzymało nadziały i założyło lub powiększyło swoje gospodarstwa ponad milion rodzin, które nie musiały pamiętać, że reforma (choć może nie taka) była istotnym elementem programu niezależnego ruchu chłopskiego. Szeroko otwarte były drogi awansu, które wiodły głównie do administracji, w tym coraz bardziej rozbudowywanej administracji gospodarczej, wojska i aparatu bezpieczeństwa. Na uczelnie coraz szerszym nurtem napływała młodzież wiejska, a podjęte w 1946 r., po zajściach trzeciomajowych, działania ułatwiające jej wejście na uczelnie przynosiło pierwsze owoce. Trwało skuteczne oddziaływanie i naciski na środowiska inteligenckie i udane "połowy" wśród intelektualistów.

Zasięg bezpośredniego oddziaływania partii będących u władzy poszerzał się także przez stały napływ nowych członków: latem 1947 r. do PPS należało ok. 660 tys. osób, a w końcu tegoż roku PPR liczyła ponad 820 tys. członków. Zapewne znaczna część spośród posiadaczy legitymacji partyjnych nie była zorientowana w ideologicznych niuansach, nie pasjonowała się partyjnymi zebraniami, wielu było praktykującymi katolikami, ale sam fakt przystąpienia do jednej z tych partii ułatwiał legitymizację władzy, umożliwiał szybkie mobilizowanie dużych grup, organizowanie wieców i pochodów, kontrolę nad życiem zakładów pracy i organizacji społecznych. Wobec rozbicia w ciągu 1947 r. głównych ośrodków krystalizujących - i wyrażających - antykomunistyczne postawy i nastroje społeczeństwo pozbawiane było alternatywnych programów i elit.

Coraz wyraźniej funkcje te przejmował Kościół katolicki, który nie angażując się w bezpośrednie działania polityczne, cały czas w sposób umiarkowany, ale stanowczy, wykładał swoje stanowisko w centralnych sprawach życia publicznego. W proteście przeciwko fałszerstwom wyborczym odmówiono prośbie władz o celebrowanie w kościołach mszy dziękczynnych za "zwycięstwo" bloku. W liście pasterskim Episkopatu (na uroczystości Narodzenia Najświętszej Marii Panny) 8 września pisano o pragnieniu, "by zniknęły z naszego życia bezpodstawne i zbędne ograniczenia swobody obywatelskiej". 14 marca 1947 r. władze Kościoła złożyły na ręce Bieruta memoriał zatytułowany "Katolickie postulaty konstytucyjne", w których obok oczywistej troski o zachowanie przy budowie państwa chrześcijańskich wartości, zwracano uwagę na konieczność respektowania wolności obywatelskich, własności prywatnej, a także "zabezpieczenia praworządności życia państwowego, wykluczenie zeń swawoli, nadużycia władzy oraz przerostu czynników policyjnych i partyjnych".

Nie podejmując jeszcze frontalnego ataku na Kościół, rządząca ekipa stopniowo ingerowała w coraz to nowe sfery (np. w kwietniu 1947 r.

znacjonalizowano 6 drukarń zakonnych, w maju MBP zaczęło gromadzić informacje o "bazie materialnej kleru"). List pasterski czytany w kościołach 28 września 1947 r., w którym biskupi protestowali przeciwko cenzurze, wypieraniu nauki religii ze szkół oraz "wywieraniu nacisku na katolików, by wstępowali do partii politycznych o zasadach niezgodnych z wiarą świętą" uznany został za casus belli. Na najbliższym posiedzeniu Biura Politycznego KC PPR "omówiono szereg środków walki", 11 października zaś, podczas posiedzenia KC, wielu sekretarzy wojewódzkich zwracało uwagę na "ofensywę kleru". Tendencje do rozpoczęcia zdecydowanej "kontrofensywy" były tak silne, że Gomułka poczuł się w obowiązku hamować przedwczesne zapędy. Stwierdził przy tym, iż "przez bardzo długi okres zagadnienie Kościoła będzie dla nas centralnym problemem politycznym". 29 października

w oficjalnym i publicznym wystąpieniu premier Cyrankiewicz stwierdził w Sejmie, iż Kościół "przeciwdziała stabilizacji politycznej". Czasy względnej tolerancji i pewnych gestów - którym zawsze zresztą towarzyszyły ataki i szykany - dobiegały końca.

Wyczerpywała się także formuła "łagodnej rewolucji" w kulturze, której głównym orędownikiem (i kontrolerem) był Jerzy Borejsza. Latem 1947 r. w KC PPR ułożono pracowicie listę "tematów do wykorzystywania w twórczości artystycznej" (z muzyką włącznie), które miały być preferowane przez wydawnictwa i instytucje kultury. Na posiedzeniu KC, w październiku, Jerzy Putrament uznał, iż należy "rozpracować plan i prowadzić systematyczną akcję celem uzbrojenia naszych prac w ochronną szczepionkę przeciwko zgniłym wpływom wstecznictwa kapitalizmu europejskiego". 16 listopada, w przemówieniu inaugurującym wrocławską rozgłośnię radiową, Bolesław Bierut wzywał, aby twórczość "była odzwierciedleniem wielkiego przełomu, jaki naród przeżywa" i zwracał uwagę, iż do tej pory "nie nadąża za szybkim i potężnym nurtem dzisiejszego życia". Rozpoczynała się epoka "rewolucji kulturalnej", i to nie tylko w słowach i apelach, ale także w centralizowaniu zarządzania i tworzeniu instancji mających sterować twórcami.

Władza PPR, w istocie nigdy poważnie nie zagrożona, od 1947 r., kiedy dokonano likwidacji legalnej opozycji, drastycznego ograniczenia możliwości działania konspiracji, pierwszej "sanacji" w PPS - stawała się w dosłownym znaczeniu tego słowa monopolistyczna. Komuniści mogli już zaprzestać walki politycznej i zająć się porządkami we własnym obozie, a także podjąć batalię o "rząd dusz" z Kościołem.

Państwo na obczyźnie

Odebranie Rządowi RP uznania przez zachodnich aliantów postawiło przed trudnymi decyzjami nie tylko ogromną rzeszę Polaków, którzy znajdowali się w Europie Zachodniej, ale przede wszystkim elitę polityczną, wojskową i intelektualną. W latach 1945-1948 wyjechała do Polski zdecydowana większość z 1,3 mln b. robotników przymusowych, jeńców i "kacetowców" z zachodnich

stref okupacyjnych i Europy Zachodniej. Powróciło do kraju ok. 100 tys. żołnierzy i oficerów z liczących 250 tys. osób Polskich Sił Zbrojnych. Na powrót zdecydowała się pewna grupa działaczy politycznych w zasadzie związanych z rządem - lub linią polityczną - Mikołajczyka, a więc głównie socjaliści, ludowcy i chrześcijańscy demokraci. Wśród repatriowanych członków PSZ było kilkudziesięciu wyższych oficerów (także generałów).

Większość środowisk przywódczych i opiniotwórczych wybrała jednak pobyt na obczyźnie i kontynuowanie działalności na podstawie istniejących instytucji Rzeczpospolitej. Dotyczyło to władz państwowych i wojska oraz ośrodków politycznych (partie, wydawnictwa prasowe). Nie wszyscy zapewne wierzyli w nieuchronność rychłego konfliktu między mocarstwami anglosaskimi a Moskwą, z reguły jednak zakładano tymczasowość istniejącego stanu. Procesy adaptacyjne do nowego otoczenia i migracja poza Europę zaczęły się na szerszą skalę dopiero od 1947 r. Przyczyniało się to do rozproszenia tej nowej polskiej diaspory - przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Argentynie i Australii - przekształcając ją stopniowo w skupiska polonijne nie podejmujące (poza wyjątkowymi okolicznościami) emigracyjnej działalności politycznej.

Choć nie brakło konfliktów i polemik politycznych, aż do lata 1947 r. głównym ośrodkiem skupiającym wokół siebie polską emigrację był prezydent i rząd, którego partyjna kompozycja nie ulegała poważniejszym zmianom od chwili utworzenia gabinetu Tomasza Arciszewskiego. W tym czasie podstawowym problemem dla emigracji jako całości była jednak - poza wyjazdami do Polski - sprawa armii. Brytyjczycy, a na nich spoczywała odpowiedzialność za jej rozwiązanie, byli najwyraźniej zwolennikami masowego powrotu żołnierzy nad Wisłę, ale raczej starali się unikać bezpośredniej presji i nie zgadzali się na przejęcie przez nominowanego w Warszawie gen. Karola Świerczewskiego zwierzchności nad PSZ. Niemniej jasne było, iż wobec demobilizacji - potężnej i kosztownej - brytyjskiej machiny wojennej, nie ma szans na utrzymywanie na dłuższą metę polskiej armii nawet pomniejszonej o wyjeżdżających do kraju.

Jednak dopiero w marcu 1946 r. przystąpiono do pierwszych radykalnych kroków: zarządzono ewakuację II Korpusu z Włoch na Wyspy Brytyjskie, gdzie miała nastąpić ich stopniowa, ale nie nazbyt odwlekana demobilizacja. 3 września 1946 r. rząd Arciszewskiego postanowił rozwiązać PSZ i uznał utworzony na mocy decyzji brytyjskich Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia, na którego czele stanął gen. Stanisław Kopański. PKPR miał za zadanie przygotowanie żołnierzy do przejścia "do cywila" - naukę języka i przyuczenie do zawodu. Liczący zrazu ok. 115 tys. żołnierzy i oficerów Korpus został ostatecznie rozwiązany wiosną 1949 r., a większość jego członków pozostała w Wielkiej Brytanii. Inną formą przetrwania okresu przejściowego były polskie Oddziały Wartownicze formowane w anglosaskich strefach okupacyjnych, liczące początkowo blisko 100 tys. osób.

Z polskiego punktu widzenia utrzymanie choćby namiastki zorganizowanych ośrodków żołnierskich uważane było za niezwykle istotny element konstytuujący państwo wychodźcze. Zarówno dowództwo, jak i większość polityków podejmowali liczne wysiłki, aby zapewnić im trwały byt, choćby w zredukowanej formie. W istocie jednak nie było szans na utrzymanie Wojska Polskiego na obczyźnie. Nawet w początku lat 50., w czasie najostrzejszej fazy konfliktu między Moskwą a Londynem i Waszyngtonem, sformowanie

"legionu polskiego" - o co zabiegał (we Francji, w Hiszpanii i w Stanach Zjednoczonych) gen. Władysław Anders - nie wychodziło poza rozważania koncepcyjne, i to raczej polityczne niż sztabowe.

Niemniej demobilizowani żołnierze stanowili - podobnie jak w kraju zwolnieni z przysięgi akowcy - potężne środowisko, z którym politycy musieli się liczyć. Nie bez powodu wszystkich, którzy po 1945 r. pozostali na Zachodzie, obejmuje się często wspólną nazwą "emigracji kombatanckiej". Stosunkowo szybko powstała zarówno organizacja ogólnowojskowa - Stowarzyszenie Kombatantów Polskich (1946 r.) - jak i związki rodzajów broni (m.in. Stowarzyszenie Lotników Polskich, Związek b. Żołnierzy Brygady Strzelców Karpackich). Emigracja ta, co było szczególnie wyraźne w Wielkiej Brytanii, charakteryzowała się wysokim statusem społecznym (wśród członków PKPR ok. 1/10 posiadało co najmniej maturę, a co setny był inżynierem) i politycznym zaangażowaniem, co bynajmniej nie oznaczało, iż nastąpił jakiś wyraźniejszy napływ do istniejących - i nowo powstających - partii.

Odmienny status miało drugie pod względem liczebności środowisko nazywane zazwyczaj "dipisami" (Displaced Persons), skupione w kilkudziesięciu obozach na terenie Niemiec. Obozy te jeszcze w chwili ich rozwiązania jesienią 1951 r. liczyły ok. 120 tys. Polaków. Zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i w zachodnich strefach okupacyjnych "nowa emigracja" charakteryzowała się niezwykłą aktywnością społeczną i polityczną. Istniały dziesiątki organizacji, w samych Niemczech ukazywało się (1945-1949) ok. 400 czasopism, działały polskie szkoły, domy opieki, quasi-akademickie uczelnie, teatry. Latem 1945 r. dla "dipisów" i żołnierzy polskich utworzono w Niemczech osobną kurię biskupią. Wszystko to powodowało, iż w pierwszych latach po zakończeniu wojny istniało swoiste Państwo Polskie na Obczyźnie. Liczące wieleset tysięcy "obywateli" i uznawane przez znaczną część społeczeństwa w kraju oraz pokaźną część "starej emigracji", zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, gdzie wychodźstwo skupione było w utworzonym jeszcze w 1944 r. Kongresie Polonii Amerykańskiej, zrzeszającym większość organizacji polonijnych.

Zarówno rząd, jak i - osobno - wojsko, a także większość partii politycznych, utrzymywały w tych latach dosyć systematyczne kontakty z krajem. W wielu środowiskach powstały koncepcje "polityki dwutorowej". Szczególnie aktywne było pod tym względem Stronnictwo Narodowe, wykorzystujące fakt, iż kontrolowało rządowe kanały łączności z krajem, za którą odpowiedzialny był minister spraw wewnętrznych (Zygmunt Berezowski). Wysyłano do kraju kurierów i starano się ściągnąć za granicę grono wybitniejszych przedstawicieli niepodległościowej konspiracji. W ten sposób znaleźli się poza krajem m.in. Jan Matłachowski (SN) i Zygmunt Zaremba (PPS). Pojawiali się też, mniej lub bardziej oficjalni, wysłannicy "podziemia", m.in. Józef Maciołek, który utworzył Delegaturę Zagraniczną WiN. Jednak od 1947 r., w miarę rozbijania przez UB konspiracyjnych struktur, kontakty te stawały się coraz rzadsze i życie polityczne emigracji biegło innym rytmem niż w kraju.

Z kilku co najmniej powodów można uznać, iż rok 1947 zakończył pierwszy etap w dziejach powojennej, "kombatanckiej" i politycznej emigracji. Zlikwidowane zostały ostatnie jednostki wojskowe PSZ, rozbito główne ośrodki konspiracji w kraju, zjawiło się na Zachodzie kilku wybitnych

polityków legalnej opozycji (Mikołajczyk, Korboński, Bagiński, Popiel), coraz szerszy zasięg przyjmowała akcja "rozsiedlania" emigrantów, w tym także "dipisów". Na te zjawiska i wydarzenia nałożyło się załamanie porozumienia głównych sił politycznych co do obsady urzędu prezydenta. Prezydent Raczkiewicz zmienił - będącą wynikiem porozumienia jeszcze z 1944 r. - dyspozycję o następstwie na piastowanym przez niego urzędzie, co zostało uznane za złamanie "ugody paryskiej" z 1939 r. Po jego śmierci (6 czerwca 1947 r.) urzędu nie objął desygnowany uprzednio Tomasz Arciszewski, ale minister spraw zagranicznych w latach 1926-1932 i 1939-1941, piłsudczyk August Zaleski. Powołał on nowy rząd z gen. Tadeuszem Borem-Komorowskim jako premierem.

Do opozycji przeszła większość PPS, utworzony już na emigracji ruch Niepodległość i Demokracja (NiD), niewielkie Stronnictwo Demokratyczne i część SP, tworząc jeszcze w czerwcu 1947 r. Koncentrację Demokratyczną. W ciągu 1948 r. dosyć ożywioną działalność, także na terenie "polskiego Londynu", prowadził Mikołajczyk wraz ze swymi partyjnymi kolegami. W rezultacie w listopadzie 1948 r. ogłoszona została deklaracja Porozumienia Stronnictw Demokratycznych, którą sygnowała PPS (z wyjątkiem rozłamowej grupy Adama Pragiera), PSL i SP. Wydaje się być znamienne, że większość sygnatariuszy była uciekinierami z kraju (trójka ludowców, Popiel i Konrad Sieniewicz z SP), a w PPS znaczącą rolę odgrywali także uciekinierzy (Zygmunt Zaremba, Franciszek Białas). Niezależnie od różnic między nimi, których nie brakowało, reprezentowali oni odmienny sposób widzenia sprawy polskiej, przede wszystkim zaś kładli nacisk na konieczność dostosowania kierunków i form działalności emigracyjnej do sytuacji w kraju i istniejącego tam oporu społecznego, który wyrażał się w innych formach niż tradycyjne partie.

Na sytuację wewnętrzną polskiej emigracji politycznej - i całej diaspory - miał wpływ fakt, iż mocarstwa zachodnie (głównie Stany Zjednoczone), mimo zaostrzającego się konfliktu ze Stalinem, nie miały jeszcze wypracowanej i uzgodnionej wspólnej strategii. Doktryna "powstrzymywania" była dopiero w zalążkach i Anglosasom chodziło przede wszystkim o konsolidację polityczną i stabilizację ekonomiczną tej części Europy, która znajdowała się poza bezpośrednimi wpływami Moskwy. Wobec Polski - i innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej - stosowano taktykę "pasywnej obecności", a co za tym idzie nie przykładano większej wagi do działalności ośrodków emigracyjnych. Dotyczyło to nawet ośrodka polskiego, który znajdował się daleko przed innymi zarówno pod względem liczebności, jak i stopnia zorganizowania.

`nv

Rozdział IV.ă
Budowanie podstaw ...

Ze Szklarskiej Poręby na plac Jedności Robotniczej

22 września 1947 r. w kilku dobrze strzeżonych willach u podnóży Sudetów zebrały się delegacje reprezentujące dziewięć partii komunistycznych:

radziecką, jugosłowiańską, bułgarską, węgierską, rumuńską, czechosłowacką, francuską, włoską i - jako gospodarza - polską. W skład delegacji wchodzili członkowie najwyższych władz, ale z wyjątkiem rumuńskiej i polskiej, nie zjawili się generalni sekretarze. Oficjalnymi przedstawicielami były po dwie osoby z każdej partii i z reguły chodziło o działaczy odpowiadających za sprawy międzynarodowe lub ideologiczne. Delegacji polskiej (Gomułka i Minc) towarzyszyło czterech innych członków Biura Politycznego KC PPR, a jeden z nich (Zambrowski) kierował sekretariatem spotkania. W Warszawie zostali tylko Marian Spychalski i - wciąż formalnie bezpartyjny - Bierut. Takiej rangi spotkanie było ewenementem i nic dziwnego, że leaderzy PPR gremialnie podążyli na Dolny Śląsk, Nie brakowało jednak też "osób towarzyszących" z innych reprezentowanych partii.

Narada była przygotowywana co najmniej od pół roku, a Stalin ponad rok wcześniej wspominał już o potrzebie zacieśnienia współpracy i "wymianie doświadczeń" między głównymi partiami komunistycznymi Europy. Z formalną, ale poufną inicjatywą wystąpiła WKP (b) poparta przez Jugosłowian. Poza Albanią, która w tym czasie niezwykle ściśle związana była z Belgradem, reprezentowane były partie rządzące oraz dwie największe z Europy Zachodniej. Spośród znaczących zabrakło Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności (SED) działającej w radzieckiej strefie okupacyjnej Niemiec, Komunistycznej Partii Niemiec ze stref zachodnich, komunistów fińskich oraz partii greckiej toczącej wojnę domową. Francuzi i Włosi byli jakby "na przyprzążkę" - partie te jeszcze wiosną opuściły rządy koalicyjne, znajdowały się w coraz ostrzejszej opozycji, a ich szanse na przejęcie władzy wyraźnie malały. Tymczasem z pozostałych, nie mówiąc już o WKP(b) i KPJ, jedynie KPCz miała pewne kłopoty i nie dominowała jeszcze całkowicie nad rządem. W porządku dziennym figurowały trzy punkty: omówienie przyczyn występowania różnic w "drogach rozwoju" poszczególnych państw, debata nad perspektywami "państw demokracji ludowej", omówienie przyczyn niekorzystnej sytuacji partii włoskiej i francuskiej.

Zasadniczy referat - "O sytuacji międzynarodowej" - wygłosił Andriej Żdanow. Najważniejsza w nim była konstatacja o tym, że na świecie rozpoczęła się konfrontacja dwóch obozów. "imperialistycznego i antydemokratycznego" z "antyimperialistycznym i demokratycznym". Z tego dychotomicznego obrazu świata wynikała konieczność współpracy, a także nabrania pewności siebie: "Główne niebezpieczeństwo dla klasy robotniczej - mówił Żdanow - w chwili obecnej polega na niedocenianiu sił własnych oraz przecenianiu sił przeciwnika". Zabierający głos właściwie unisono poparli wywody jednego z najbliższych współpracowników Stalina. W dyskusji nie podjęto osobno poruszonej przez Żdanowa kwestii konieczności "konsultacji i dobrowolnej koordynacji działalności". Jugosłowianie i Bułgarzy szczególnie ostro atakowali swych zachodnioeuropejskich towarzyszy, którym także Gomułka wyrzucał "błędy oportunistyczne". W istocie. w punkcie wyjścia mieli w rządach pozycję podobną do komunistów węgierskich czy rumuńskich, a nie zdołali opanować władzy. Był tylko jeden drobny szkopuł, o którym nie mówiono - nie doszła tam Armia Czerwona.

Kluczową sprawą była jednak "koordynacja", a ściślej rzecz biorąc problem powołania ciała organizacyjnego, które miałoby się nią zajmować. Mimo skromnej nazwy - Biuro Informacyjne - można było podejrzewać, iż radzieckim projektodawcom chodzi o utworzenie instytucji wzorowanej na Kominternie.

Nie wszystkim to odpowiadało, a najwyraźniej swoje zastrzeżenia ujawnił Gomułka. Dotyczyły one zbyt szerokiego zakresu kompetencji tej instytucji, którą zwykle nazywano potem Kominformem. Doszło do pewnego zatargu wśród obecnych w Szklarskiej Porębie pepeerowców i nie kwestionowany właściwie do tej pory przywódca partii starł się ze swymi kolegami. Ostatecznie, za aprobatą Stalina, który utrzymywał codzienny kontakt ze Żdanowem, ograniczono prerogatywy Biura. Dla podkreślenia uzyskanej zgody właśnie Gomułka wygłosił referat "O koordynacji działań partii komunistycznych". W przyjętej uchwale za zadanie Biura uznano "organizowanie wymiany doświadczeń między partiami i - w miarę potrzeby - koordynację ich działalności na zasadzie wzajemnego porozumienia". Nie powołano zrazu stałego sekretariatu, a tytko wspólne pismo, które otrzymało tytuł będący niemal kalką z orwellowskiej wizji totalitarnej nowomowy: "0 trwały pokój, o demokrację ludową".

Kominform mógł łatwo stać się wygodnym narzędziem nacisku w rękach Stalina, ale równie istotny był zarówno ton referatu Żdanowa, jak i wypowiedzi innych mówców: partie komunistyczne winny przejść do ofensywy. Narada sudecka była odpowiedzią na faktyczne zakończenie etapu przejmowania władzy przez komunistów w całej Europie Środkowo-Wschodniej, co umożliwiało utworzenie zwartego i centralnie sterowanego bloku państw satelickich. Aczkolwiek Kominform formalnie miał charakter porozumienia międzypartyjnego, a nie międzypaństwowego, z uwagi na totalitarny charakter systemu oczywiste było, iż chodzi o scaloną strukturę państwowo-militarną wyposażoną zarówno w jednolite przywództwo, jak i wspólną ideologię. Było więc dla państw zachodnich jasne, że Moskwa jest gotowa do konfrontacji - jeśli jeszcze nie pod względem militarnym i ekonomicznym, to pod względem politycznym.

Akt ten miał nie tylko odniesienia międzynarodowe, ale także wewnętrzne w każdym państwie obozu. Dla Polski, tak jak i dla innych państw znajdujących się w radzieckiej strefie wpływów, oznaczał on "zwieranie szeregów" oraz odrzucenie kolejnych elementów dotychczasowego kamuflażu. Pierwszym, koniecznym do wykonania ruchem było zlikwidowanie partii socjalistycznych (socjaldemokratycznych), co zostało dokonane na razie tylko w radzieckiej strefie okupacyjnej Niemiec (20 kwietnia 1946 r.). Wprawdzie o potrzebie "jedności organicznej ruchu robotniczego" mówiono wszędzie już w 1945 r., ale właśnie jesienią 1947 r. sprawa nabrała tempa. Pod względem formalnym pierwsza była gotowa Rumunia (23 lutego 1948 r.), ale wnet poszły tym śladem i inne kraje. Nawet Czechosłowacja, w której dla pełnego opanowania władzy komuniści byli zmuszeni do przeprowadzenia swoistego zamachu stanu. "Jedność organiczna" dokonywała się wedle mniej więcej jednego schematu, z tym, że nieco odmienne były akcenty na bardziej "oddolny" lub "odgórny" charakter zjednoczenia. W Czechosłowacji np. pisano wprost o połączeniu "na podstawach ideowych i organizacyjnych" partii komunistycznej, na Węgrzech i w Bułgarii zanim odbyły się formalne zjazdy partyjne, nastąpiło połączenie organizacji lokalnych.

W Polsce proces ten przebiegał nieco inaczej i tutejszy "ruch robotniczy" znalazł się na szarym końcu w owym wyścigu do jedności. W grudniu 1947 r., na Kongresie PPS, Gomułka stwierdził, iż "zbliżenie" obu partii następuje "nie przez zwycięstwo jednej koncepcji, ale przez wzajemne przenikanie się". Jeszcze w lutym 1948 r. kierownictwo PPR stwierdzało - i to na forum

wewnętrznym - że "nie będzie nalegało na przyspieszenie", co nie przeszkadzało, iż równocześnie podejmowano liczne działania mające osłabić pozycję socjalistycznego partnera (wywierano nacisk m.in. w spółdzielni "Społem" będącej domeną PPS, zmuszono do ustąpienia Czesława Bobrowskiego z prezesury Centralnego Urzędu Planowania). Jednak wydarzenia w innych krajach - gdzie socjaldemokraci gremialnie przechodzili do partii komunistycznych - a przede wszystkim gwałtowne zmiany, do których doszło w Pradze, spowodowały, że 6 marca 1948 r. BP KC PPR uznało, że "wypadki na arenie międzynarodowej stworzyły nową sytuację, nowy etap w ruchu robotniczym w Polsce [...] szybkiego dojrzewania sprawy jedności organicznej". 24 kwietnia oba zainteresowane kierownictwa partyjne wydały wspólny okólnik o przygotowaniach do zjednoczenia. Taki obrót sprawy został jednak zahamowany poważnym przesileniem w łonie najściślejszego kierownictwa PPR.

Już zastrzeżenia Gomułki w sprawie Kominformu postawiły go w pozycji konfliktowej wobec najbliższych towarzyszy, a także postawiły pod znakiem zapytania jego gotowość na przystosowanie się do nowej sytuacji. W początkach kwietnia Wydział Stosunków Międzynarodowych KC WKP(b), zajmujący się m.in. krajami Europy Środkowo-Wschodniej, opracował memoriał "O antymarksistowskich tendencjach w kierownictwie PPR", w którym większość zarzutów popierano cytatami z przemówień sekretarza generalnego (ale też Minca czy Spychalskiego).

Zastrzeżenia te zostały pogłębione w związku z konfliktem radziecko-jugosłowiańskim, który odegrał nader ważną rolę jako jeden z elementów procesu stalinizacji Europy Środkowo-Wschodniej. U podłoża tego konfliktu leżała nieufność Moskwy do komunistów jugosłowiańskich, a zwłaszcza do ich niekwestionowanego i jedynego przywódcy Josipa Broz Tito. Ortodoksyjny leninista, jako pierwszy przeprowadził nacjonalizację przemysłu, wprowadził system jednopartyjny, podjął frontalny atak na religię i rozpoczął kolektywizację. Opowiadał się też za "twardą linią" w polityce wobec państw zachodnich - wspierał partyzantkę grecką, zgłaszał roszczenia do Triestu. Rozważał, wspólnie z Georgi Dymitrowem - wieloletnim sekretarzem Międzynarodówki Komunistycznej i wiernym wykonawcą woli Stalina - utworzenie socjalistycznej federacji państw bałkańskich. Pomysł ten uznany został na Kremlu za naganny, a nawet niebezpieczny, gdyż mógł prowadzić do osłabienia bezpośredniej władzy ZSRR nad całą grupą państw.

Tito był politykiem o wielkich ambicjach i niewątpliwie zakładał, iż jako przywódca ewentualnej federacji będzie "Stalinem Bałkanów". Jugosławia, w odróżnieniu od innych państw rządzonych przez komunistów, nie była w sensie "genetycznym" tak dalece uzależniona od ZSRR. Wprawdzie Armia Czerwona odegrała istotną rolę w wyzwoleniu części Serbii, ale partyzantka Tity była - co najmniej od połowy 1943 r. - największą siłą antyhitlerowską. Toteż Tito nie czuł się niczym zobowiązany wobec Stalina i nie jemu - jak uważał - zawdzięczał "zwycięstwo rewolucji jugosłowiańskiej".

Konflikt rozpoczął się w końcu stycznia 1948 r., gdy Jugosławia przygotowała plan skierowania swoich wojsk do południowej Albanii dla odparcia ewentualnej interwencji rządowej armii greckiej, która dążyła do zlikwidowania baz komunistycznych partyzantów. Stalin ostro "zganił" Titę, uznając pomysł ten za nieodpowiedzialny, gdyż mógł dać - jak twierdził - pretekst Anglikom do wmieszania się w wewnętrzne sprawy Albanii (rządzonej

przez komunistów). Choć nieporozumienie to było stosunkowo drobne, a wojska jugosłowiańskie nie weszły na teren sąsiedniego państwa, Stalin najwyraźniej dążył do zaostrzenia konfliktu. M.in, odwołał doradców i wstrzymał realizację umów gospodarczych. Przez pewien czas ostre w tonie pisma kierowano bezpośrednio do Belgradu, a całą sprawę utrzymywano w daleko idącej dyskrecji. Jednakże list z 27 marca - zawierający długą listę oskarżeń i złowrogie porównanie jugosłowiańskiego przywódcy do Trockiego - przekazany został do wiadomości wszystkim partiom należącym do Kominformu.

Było to raczej jednoznaczne wezwanie, aby partie te opowiedziały się po stronie Stalina i wspólnie wywierały nacisk na Jugosłowian. Przenosiło to jednocześnie konflikt na płaszczyznę międzynarodową. W ciągu paru następnych tygodni doszło do dalszego zaognienia stosunków, tym bardziej że Stalin próbował znaleźć wśród jugosłowiańskich komunistów chętnych do przeciwstawienia się Ticie. W rezultacie cały konflikt został podany do wiadomości publicznej, a Tito podjął kroki mające na celu utrzymanie dyscypliny partyjnej i posłuszeństwa wobec siebie. Na drugą połowę czerwca zwołane zostało posiedzenie Kominformu, którego głównym punktem miała być "sprawa Jugosławii".

Gomułka, który - jak pisze jego biograf Andrzej Werblan - "nie żywił zbytniej admiracji dla Tity", w kwietniu i maju próbował mediować, niepomny, iż Kreml nie lubi nieproszonych pośredników. Sekretarz Generalny PPR nie wiedział, że jest już kandydatem na "polskiego Tito" (byli też kandydaci w innych państwach). Być może nie wiedzieli o tym jeszcze i jego towarzysze z Biura Politycznego, ale już dotychczasowe "potknięcia" Gomułki mogły wystarczać, aby dystans między nimi powiększał się. Prawdopodobnie dotychczasowy podział zadań między "bezpartyjnym" prezydentem a faktycznym przywódcą PPR zaczynał doskwierać Bierutowi. Podział taki był ponadto niedogodny w okresie rozpoczynającej się centralizacji władzy, stał w sprzeczności ze wzorem radzieckim i zakłócał logikę systemu wodzowskiego. Gomułka, który był politykiem zarazem twardym i zdecydowanym, jak i pragmatycznym i wielekroć występował przeciwko "tendencjom sekciarskim" mógł mieć utrudnione pole manewru w sytuacji, gdy takie właśnie tendencje stawały się jednym z elementów generalnej linii.

Do zaatakowania dobrego pretekstu dostarczył, jak to często bywa, sam kandydat. 3 czerwca 1948 r., na posiedzeniu KC PPR, Gomułka wygłosił obszerny referat dotyczący historycznego, ale ważnego aspektu "wzajemnego przenikania" PPR i PPS. Przypomniał w nim "błędy luksemburgistowskie" SDKPiL i KPP, a krytykując - ostro - "reformizm" przedwojennej PPS uznał, iż do jej "pięknych tradycji [...] które winniśmy złożyć u podstaw zjednoczonej partii" należy "walka o niepodległość". Gdy wszędzie dookoła łączenie się partii komunistycznych z socjalistycznymi odbywało się przy zgodnym chórze potępiania tych ostatnich, sformułowanie takie było jaskrawym - choć raczej dla wtajemniczonych - dysonansem. Mówca stanął natychmiast, jeszcze w trakcie dyskusji, na cenzurowanym. Pięć dni później Biuro Polityczne, pod nieobecność Sekretarza Generalnego, przyjęło bardzo krytyczne wobec niego stanowisko. Po tygodniu Gomułka przekazał odpowiedź, w której nie ustąpił ani na cal z poglądów przekazanych w referacie, a niektóre nawet jeszcze zaostrzył.

Atmosfera robiła się gorączkowa: w Bukareszcie odbywało się posiedzenie Biura Informacyjnego (PPR reprezentowali Berman i Zawadzki), które 28

czerwca potępiło Jugosławię i w dodatku podjęło sprawę kolektywizacji. Parę dni wcześniej okupacyjne władze radzieckie rozpoczęły blokadę zachodnich stref Berlina. Państwa satelickie wobec ZSRR miały już nie tylko - znanego dobrze - wroga zewnętrznego ("imperializm"), ale także wewnętrznego ("titoizm"). Na porządku dziennym stawało szukanie w poszczególnych krajach odpowiedników Tity. Rozpoczął się okres - mniej lub bardziej jawnych - tarć w partiach komunistycznych, a raczej wskazywania ofiar. W Bukareszcie zaczęto wysuwać zarzuty wobec Lucretiu Patrascanu, jednego z głównych wykonawców przejęcia władzy przez komunistów. Przesunięcie ze stanowiska ministra spraw wewnętrznych na - drugorzędną w istocie - funkcję ministra spraw zagranicznych L□szló Rajka, współtwórcy węgierskiej demokracji ludowej, oznaczało początek jego drogi do celi śmierci. Chmury gromadziły się wokół współleadera albańskich komunistów Koci Dzodze.

Gomułka od 4 czerwca nie brał udziału w posiedzeniach Biura Politycznego, które (pod przewodnictwem Bieruta) spotykało się coraz częściej. W początku lipca formalny szef PPR wyjechał z Warszawy i rozpoczął ponad sześciotygodniowy, przymusowy urlop w podsudeckich Kowarach. W dniach 6-7 lipca odbyło się kolejne posiedzenie KC PPR, w którym brał udział - a nawet wygłosił przemówienie - "bezpartyjny" Prezydent RP. Koreferat, a właściwie "antyreferat" do czerwcowego wystąpienia Gomułki, przedstawił jego bliski współpracownik z czasów konspiracji, I wiceminister obrony narodowej Marian Spychalski, całkowicie odrzucając linię Gomułki. O "wkładzie" ideologicznym PPR mówił Berman, który zwracał uwagę na konieczność "wychowywania partii" w duchu zaostrzającej się walki klasowej. Aleksander Zawadzki zreferował "sprawę jugosłowiańską". Jednak bodaj czy nie najbardziej istotny referat wygłosił Hilary Minc. Ogłosił on, iż "elementy socjalistyczne" winny "w drodze ostrej walki klasowej" podporządkować sobie i "wyprzeć" elementy gospodarki kapitalistycznej. Zapowiedział też, że rozwój spółdzielczości produkcyjnej na wsi "poderwie bazę istnienia kapitalizmu wiejskiego i w ostatecznym rezultacie zlikwiduje go".

W dyskusji zabierało głos wielu mówców, z których tylko jeden (Władysław Bieńkowski) ośmielił się polemizować z referatem Zawadzkiego. Inni z reguły "wyostrzali" sformułowania referentów, a Bierut zwrócił uwagę na konieczność walki z obcym wywiadem i "agenturami imperialistycznymi". W ciągu lipca odbywały się narady aktywu terenowego, podczas których omawiano przebieg obrad i uchwały KC: wszędzie aprobowano je przez aklamację i wyraźnie "zagrzewano" do "zaostrzenia walki klasowej". 17 lipca na krajowej naradzie PPS Cyrankiewicz wprost powiedział, że partia socjalistyczna "weszła na płaszczyznę [...] marksizmu-leninizmu", co oznaczało ostateczną i całkowitą kapitulację jego partii.

W lipcu i sierpniu usiłowano wpłynąć na Gomułkę, który był jednak nieustępliwy. l5 sierpnia Bierut w rozmowie ze Stalinem przedstawił zarys analizy sytuacji w Polsce. Stwierdził, iż "w łonie kierownictwa" ujawniło się "odchylenie prawicowonacjonalistyczne" i powiadomił o koncepcji zmian personalnych. Akcept kremlowskiego Gospodarza oznaczał zgodę na publiczne potępienie Gomułki. Ten bronił się jeszcze, ale dodatkowych argumentów przeciwko niemu dostarczyli niektórzy członkowie kierownictwa konspiracyjnej PPR, a przede wszystkim Franciszek Jóźwiak i Kazimierz Mijal, stwierdzając "kapitulancką" postawę swego przywódcy w pierwszej połowie 1944 r.

Napięcie narastało nie tylko w sferach kierowniczych PPR i wśród "aktywu terenowego". Poważne zaniepokojenie na wsi wzbudziły lipcowe tezy Minca, powtarzane w licznych wypowiedziach prasowych i na zebraniach partyjnych. Chłopi - jak referował sam Minc na zebraniu Biura Politycznego - zaczęli zakopywać pod miedzami kamienie, aby utrwalić pamięć o swojej własności. Pojawiły się też symptomy zjawiska znanego doskonale radzieckim twórcom kolektywizacji: wieś zaczęła wybijać bydło. Coraz widoczniejszy niepokój zapanował w PPS, gdzie odgórnie sterowana "czystka" przybierała na sile i działacze prokomunistyczni stawali się coraz śmielsi. Dobiegało końca usuwanie "mikołajczykowców" z PSL i trwały przygotowania do włączenia tego stronnictwa do SL. 21 lipca 1948 r., we Wrocławiu, dokonane zostało połączenie organizacji młodzieżowych, a do nowo powstałego Związku Młodzieży Polskiej (ZMP) weszły nie tylko komunistyczny Związek Walki Młodych i socjalistyczna OM TUR, ale też do niedawna agrarystyczny ZMW RP "Wici" oraz Związek Młodzieży Demokratycznej. ZMP - którego pierwszym przewodniczącym został komunista, dotychczasowy szef Głównego Zarządu Politycznego WP, Janusz Zarzycki - był organizacją skrojoną wedle radzieckiego wzoru i nastawioną na masowość. Zunifikowano także organizacje studenckie, tworząc Związek Akademicki Młodzieży Polskiej.

31 sierpnia rozpoczęło się kolejne posiedzenie KC PPR. Zasadniczy referat - "O odchyleniu prawicowym i nacjonalistycznym w kierownictwie partii, o sposobach jego przezwyciężania" - wygłosił Bierut, wchodząc w ten sposób oficjalnie w funkcje szefa PPR. Referat był właściwie długim aktem oskarżenia politycznego Gomułki, który złożył obszerną samokrytykę, lecz i bronił niektórych swoich opinii. Uznano to za niewystarczające i w ciągu parodniowego maratonu (posiedzenia trwały do 3 września) były leader partii stopniowo wycofywał się, przyznając się - pod potężną presją zebranych - do swoich kolejnych błędów. Ostatecznie głosował za rezolucją, która wszystkie je wymieniała. niedocenianie tradycji rewolucyjnych i miejsca w nich sprawy niepodległości, wyolbrzymianie roli PPS, błędne tendencje z 1944 r., przeciwstawianie się koncepcjom kolektywizacji wsi, wyrażanym przez Kominform, obrona tezy o pokojowym wrastaniu kapitalizmu w socjalizm, nieufny stosunek do ZSRR, niedocenianie walki klasowej, pojednawczy stosunek do Tity. Gomułka był politycznie skończony i wraz z gronem swych dawnych współpracowników odsunięty na dalszy plan.

Ta faza walki z "odchyleniem" skończyła się jednak na ideologicznych zaklęciach. Gomułka pozostał w Biurze Politycznym i zachował funkcje rządowe (wicepremier, minister ziem odzyskanych), choć był już tylko figurantem. Parę osób zdegradowano w partyjnej hierarchii. Kilka innych (m.in. Franciszek Jóźwiak i Edward Ochab) awansowało. W sumie, były to przesunięcia nieznaczne i - jak się wnet okazało - nie satysfakcjonowały znacznej części "terenowego aktywu", który na zebraniach zwołanych w kilka dni po posiedzeniu KC domagał się ostrzejszych sankcji. 6 września pełne poparcie dla nowej linii oraz zadowolenie z powrotu Bieruta "do czynnej i kierowniczej pracy w ruchu robotniczym" wyraziło kierownictwo PPS. 11 września podobną opinię zadeklarowało SL, 14 września SD, a 17 września pepeerowscy działacze związkowi.

Wszystko to odbywało się przy bierności społeczeństwa, które zresztą zmobilizowano dopiero w listopadzie w kampanii wyrażania poparcia dla zjednoczenia PPR i PPS. Toczyła się ona w rytm nasilającego się

"oczyszczania" szeregów partyjnych: z PPS usunięto (lub odeszło) ok. 82 tys. osób, tj. 13% członków, z PPR ok. 29 tys. (3%). Z partii socjalistycznej eliminowano wielu działaczy nawet wyższego szczebla, natomiast komuniści ograniczyli się do usunięcia "elementów klasowo obcych", choć niektóre zebrania PPR nabierały charakteru brutalnych rozpraw z "nosicielami odchylenia" i przebiegały w napiętej atmosferze wzajemnej podejrzliwości. Aczkolwiek zdarzały się wcześniej polemiki i ostre nawet oceny w czym celował m.in. Gomułka - zmasowana kampania rozpoczęta pośród elity partyjnej już w lipcu, a przeniesiona w teren po 3 września, stanowiła (żeby użyć języka ówczesnej nowomowy) "nową jakość". Ofiarą agresji propagandowej, a także po prostu służb bezpieczeństwa mógł się stać nie tylko rzeczywisty czy potencjalny przeciwnik władzy, ale każdy bez różnicy pozycji, którą zajmował w państwowej czy partyjnej hierarchii.

W tej sytuacji kongres zjednoczeniowy PPR i PPS, który ostatecznie odbył się 15-21 grudnia w gmachu Politechniki Warszawskiej, miał charakter rytualny. Towarzyszyły mu niezliczone zobowiązania produkcyjne, gwałtownie - raczej ze szkodą dla jakości - przyspieszane "wykonanie planów" i uruchamianie nowych inwestycji, organizowano masówki, dekorowano ulice i fabryki, do Warszawy dotarła "sztafeta młodzieży", w której wzięło udział blisko 12,5 tys. młodocianych "biegaczy", delegaci byli uroczyście żegnani przez gromadzone na dworcach rzesze, zmieniano nazwy ulic i placów (plac przed gmachem Politechniki otrzymał nazwę Jedności Robotniczej w pierwszą rocznicę zjazdu).

Podniosłej atmosfery samych obrad nie zakłócił na dłużej głos Gomułki, którego - na jednoznaczne życzenie Stalina - nie tylko wybrano na delegata, ale także dopuszczono do mównicy, a nawet wybrano do KC (uzyskał najmniej głosów ze wszystkich pepeerowców). Były sekretarz generalny w dramatycznym wystąpieniu bronił już nie tyle swoich poglądów, ale dobrego imienia. Był to okres, w którym ten prawowierny komunista wykazał się odwagą cywilną i udowodnił, że jest nietuzinkową osobowością - 9 grudnia, w wielogodzinnej rozmowie ze Stalinem, Mołotowem i Berią wyłożył bez ogródek powody, dla których nie chciał uczestniczyć w pracach Biura Politycznego, na co jego kremlowscy gospodarze naciskali. Bierut, z trybuny zjazdu, uznał, że Gomułka wystąpił jako "pogrobowiec grupy", ale wobec odszczepieńca nie wyciągnięto drastycznych konsekwencji.

Główne i podobnie brzmiące referaty wygłosili Bierut i Cyrankiewicz, Minc zaś był autorem wielogodzinnego referatu ekonomicznego, w którym przedstawił wytyczne planu 6-letniego (1950-1955) - planu "budowy podstaw socjalizmu". Kierować jego wykonaniem miała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza.

"Zimna wojna": pierwsze starcia

Coraz widoczniejszy w ciągu 1947 r. podział Europy stał się w 1948 r. definitywny, a z początkiem jesieni roku następnego (tzn. na ponad cztery dziesięciolecia) umocniony powstaniem dwóch państw niemieckich. Brak porozumienia w sprawie losów Niemiec - co było po prostu niemożliwe z uwagi na rozbieżność interesów - doprowadził zachodnich sojuszników do uznania,

iż najbardziej właściwe będzie podjęcie działań jednostronnych. Podczas długotrwałych, ciągnących się z przerwami od 23 lutego do 2 czerwca 1948 r., narad trzy mocarstwa zachodnie oraz trzy kraje Beneluxu uzgodniły objęcie zachodnich stref okupacyjnych planem Marshalla oraz - co ważniejsze - utworzenie z nich jednolitego (ale federalnego) państwa.

Pierwszym krokiem było wytyczenie dla niego granic ekonomicznych i 18 czerwca wprowadzono nową walutę. Stalin ripostował zablokowaniem dróg dojazdowych do zachodnich stref okupacyjnych Berlina, co stało się dla Amerykanów okazją do zademonstrowania siły własnej techniki: w błyskawicznym tempie zorganizowany został "most powietrzny", którym z czasem transportowano 8 tys. ton towarów na dobę. Powodzenie tej operacji oddziałało, jak się wydaje, znacząco na postawy społeczeństw zachodnioeuropejskich, w których wpływy komunistów były bardzo znaczne, ale ich powojenne apogeum mijało, o czym świadczyła m.in. nieudana, wielka fala strajkowa we Francji i Włoszech na przełomie 1947ż8ş1948.

Oba obozy zamykały się w sobie, słabły wzajemne kontakty handlowe, kultura anglosaska i francuska wypierane były z krajów na wschód od Łaby, a na jej miejsce wkraczał radziecki "socrealizm". W styczniu 1949 r. powstała Rada Europejska, a 4 kwietnia, w Waszyngtonie, 12 państw podpisało Pakt Organizacji Północnego Atlantyku (NATO), tworząc silny sojusz wojskowy, wyposażony we wspólną koncepcję strategiczną i zintegrowane dowództwo. Fakt, że 15 maja 1949 r. Armia Radziecka przerwała blokadę Berlina, oznaczał pogodzenie się ZSRR ze status quo na Starym Kontynencie. Nie oznaczał jednak klęski Stalina, zwłaszcza iż niewiele ponad trzy miesiące później agencja TASS ogłosiła, iż "na terenie ZSRR" miała miejsce udana próba wybuchu bomby atomowej, co niebawem potwierdziły zwiadowcze loty US Air Force. Od tej chwili "parasol atomowy" został rozciągnięty nad całym światem.

"Zimna wojna", przynajmniej w Europie, stała się jedyną realną formą konfliktu. Rozgorzała też z wielką siłą, a przewaga wydawała się być po stronie radzieckiej, która nie tylko zagwarantowała sobie monopol propagandowy wewnątrz własnego bloku, ale miała duże możliwości wykorzystywania demokratycznych instytucji na Zachodzie. Skromny początkowo "ruch intelektualistów na rzecz pokoju", którego pierwsza większa manifestacja odbyła się w sierpniu 1948 r. we Wrocławiu, stał się niebawem instrumentem politycznym ZSRR. Hasła ruchu - który przybrał formę Światowego Kongresu Obrońców Pokoju - odbiegały od tradycyjnych formuł pacyfistycznych: "Jesteśmy siłą niezłomną - głosiła rezolucja z kwietnia 1949 r. - rosnącą, która zdolna jest poskromić zapędy podżegaczy wojennych i narzucić pokój". Wówczas to powstało powiedzonko o "obronie pokoju aż nie zostanie kamień na kamieniu". W marcu 1950 r. Kongres ogłosił tzw. apel sztokholmski domagający się zakazu broni atomowej, który wedle komunikatu organizatorów podpisało ponad 270 mln osób (w tym 18 mln Polaków). Tzw. apel berliński z lutego 1951 r., Sygnowało niemal 600 mln osób.

W krajach należących do obozu socjalistycznego kampanie zbierania podpisów stanowiły fragment świadomie budowanej zbiorowej histerii i instrument wciągania szerokich kręgów społecznych w sterowaną odgórnie aktywność. W Europie Zachodniej skuteczność polityki radzieckiej była mocno osłabiana m.in. przez stosunkowo szybkie wychodzenie z powojennego kryzysu ekonomicznego. Mimo wciąż istniejących trudności produkcja przemysłowa

wyraźnie rozkręcała się, bezrobocie spadało, wzrastała wymiana handlowa. Walnie przyczynił się do tego plan Marshalla, w którego ramach Europa otrzymała - do czerwca 1950 r. - zastrzyk w wysokości 9,4 mld dolarów. Niemcy, najbardziej zniszczone, wnet po utworzeniu Republiki Federalnej (21 września 1949 r.) wkroczyły w okres "cudu gospodarczego" pod kierownictwem Ludwiga Erharda z jego koncepcją społecznej gospodarki rynkowej (Soziale Marktwirktschaft).

Wszakże wówczas, gdy w Europie konflikt pozostawał - mimo wszystko - w granicach "zimnej wojny", nowy teatr konfrontacji otwarty został na Dalekim Wschodzie. W ciągu lata 1949 r, chińskie wojska komunistyczne ostatecznie rozbiły armię Chiang Kai-sheka (Czang Kaj-szeka) i 1 października Mao Zedong (Mao Tse-tung) uroczyście proklamował w Pekinie utworzenie Chińskiej Republiki Ludowej. Pięć miesięcy później sygnowano w Moskwie chińsko-radziecki układ "o przyjaźni, sojuszu i wzajemnej pomocy" analogiczny do tych, które ZSRR podpisał z europejskimi krajami "demokracji ludowej". Powstał potężny, euroazjatycki, blok polityczno-ideologiczno-militarny: pierwszy krok ku urzeczywistnieniu przerażającej wizji George'a Orwella. Znów, jak w latach 1944-1947, szala przechylała się na stronę "wujaszka Joe", który w grudniu 1949 r., z okazji 70 rocznicy urodzin, stał się przedmiotem bałwochwalczego kultu daleko poza granicami ZSRR i proklamowany Ojcem Narodów oraz Chorążym Pokoju.

Testem stała się tym razem nie defensywna akcja typu blokady Berlina, ale zbrojny atak. 25 czerwca 1950 r. - gdy składano jeszcze podpisy pod "apelem sztokholmskim" - siedem dywizji Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej, której przywódcą był kapitan Armii Czerwonej w bitwie stalingradzkiej Kim II-sung (Kim Ir Sen), przekroczyło linię 38 równoleżnika, wyznaczoną podczas konferencji jałtańskiej jako granica między strefami działania wojsk radzieckich i amerykańskich przeciwko Japonii. Niemal rok trwały krwawe zmagania, w których po stronie Republiki Koreańskiej stały Stany Zjednoczone i ich 14 sojuszników występujących pod flagą Organizacji Narodów Zjednoczonych, a po drugiej bezpośrednio Chiny i pośrednio (broń, specjaliści, logistyka) ZSRR wraz ze swymi satelitami.

Starcie, które przyniosło co najmniej 3,5 mln ofiar i kosztowało Waszyngton blisko 150 tys. żołnierzy, zakończyło się kompromisem. Nasiliła się jednak konfrontacja, której epicentrum była najpierw Europa, a sytuacja ta dopomogła Stalinowi do zacieśnienia kontroli - wręcz zarządzania - nad całym "blokiem pokoju". Amerykanie dość gorączkowo szukali możliwości stawiania oporu, wzmacniając swoją obecność wojskową i gospodarczą w regionie Pacyfiku, tym bardziej że Chiny wyszły z wojny koreańskiej bez poczucia klęski.

Mimo pozornego spokoju na Starym Kontynencie Europa Zachodnia czuła się poważnie zagrożona i coraz energiczniej podejmowała działania integracyjne, które zapoczątkowane zostały w maju 1950 r. planem utworzenia francusko-niemieckiej "wspólnoty węgla i stali", przygotowanym przez Roberta Schumana. Projekt ten przekształcił się dwa lata później w Europejską Wspólnotę Węgla i Stali, do której przystąpiły: Francja, Włochy, RFN i kraje Beneluxu. Trudniejszy był proces integracji wojskowej, który ostatecznie nie został doprowadzony do fazy operacyjnej i utrzymał się w szerszych ramach NATO. Choć więc zbliżenie państw zachodnioeuropejskich - i to tylko niektórych - ograniczało się de facto do sfery gospodarczej,

działania te traktowane były przez Kreml nie tylko z najwyższą nieufnością, ale propagandowo przedstawiano je nieomal jako casus belli. Istotne wszakże było to, iż wspomagały one gospodarkę tej części Starego Kontynentu w okresie, gdy wychodziła ona z powojennego kryzysu i wkraczała w etap szybkiego rozwoju i modernizacji. Proces ten miał pozytywne skutki dla pozostałych państw zachodniej Europy (ze Skandynawią włącznie).

Mimo iż ekonomiczna rywalizacja była nieunikniona, nie doszło do dominacji żadnego z wielkich państw, co dodatkowo stabilizowało sytuację, tak potrzebną wobec poczucia zagrożenia ze strony ZSRR. Radziecki projekt integracji ekonomicznej realizowała utworzona wcześniej, bo już w styczniu 1949 r., Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (RWPG). Miała on wszakże, poza mankamentami wynikającymi z samej istoty scentralizowanego, poddanego czysto politycznym (a nawet ideologicznym) dyrektywom, planowania także i inny poważny minus dla nieradzieckich członków RWPG: była zdominowana przez jedno mocarstwo i mimo wiele zapowiadającej nazwy była w istocie jednym z instrumentów kontroli oraz uzależniania słabszych partnerów. A także utrudniała im kontakty z innymi krajami.

"Zimna wojna", zarówno przez podejmowane wówczas działania w sferze propagandy, jak i tworzenie osobnych instytucji ekonomicznych, nie tylko wzmagała wzajemną nieufność, ale kładła trwałe podwaliny pod podział Europy. Były one tym mocniejsze, iż w istocie odpowiadały w przybliżeniu wielowiekowemu podziałowi kontynentu na bogaty Zachód i biedny Wschód.

"Budujemy nowy dom..."

Mimo iż podjęte w 1947 r. środki zmierzające do ograniczenia sektora prywatnego w handlu i wytwórczości (także rzemieślniczej) oraz silny nacisk podatkowy na średnie i większe gospodarstwa rolne, przyniosły w 1948 r. już widoczne skutki - m.in. zmniejszenie się liczby prywatnych zakładów i sklepów - poziom życia ludności uległ odczuwalnej poprawie. W kilku turach zniesiono system kartkowy (m.in. na cukier, ziemniaki, chleb, mąkę, węgiel, wyroby dziewiarskie), a zwiększane nakłady inwestycyjne dosyć szybko przysparzały nowych miejsc pracy. Oceniano, że 3-letni plan odbudowy (1947-1949) realizowany jest z powodzeniem i rekonstrukcja gospodarki, przez co na ogół rozumiano osiągnięcie wskaźników z 1938 r., zostanie dokonana zgodnie z przewidywaniami w roku 1949. Zmieniona sytuacja międzynarodowa i związany z tym nowy "klimat ideologiczny", co zostało zarysowane zupełnie wyraźnie podczas konferencji w Szklarskiej Porębie, skłoniły kierownictwo PPR do nakreślenia nowej wizji procesu przyspieszonej industrializacji kraju. Wraz z ubezwłasnowolnieniem PPS odrzucono umiarkowany program uprzemysłowienia (tzw. plan Drewnowskiego) i podjęto przygotowania do opracowania innego, znacznie bardziej ambitnego i zakrojonego na sześć lat - począwszy od 1950 r. - co miało "wyrównać" rytm polski do rytmu radzieckich pięciolatek (zakończenie sześciolatki w 1955 r.). Jesienią 1948 r. przeprowadzono reorganizację systemu bankowego, upodabniając go do istniejącego w ZSRR i postanowiono włączyć do budżetu państwa nadwyżki ze wszystkich form ubezpieczeń.

Kongres zjednoczeniowy przyjął tezy planu 6-letniego, wedle których

produkcja przemysłowa miała wzrosnąć (w porównaniu z 1949 r.) o 85-95%, a rolna o 35-45%. Zakładano wzrost dochodu narodowego o 70-80%, a stopy życiowej o 55-60%. Był to program ambitny, wymagający pokaźnego wysiłku inwestycyjnego, ale przy pomyślnym biegu wydarzeń, dobrych urodzajach i znalezieniu kapitału inwestycyjnego, właściwie dosyć realny, zwłaszcza z uwagi na stosunkowo niski poziom wyjściowy. Problem leżał wszakże w fakcie, iż po okupacjach, które były w istocie jedną wielką ekspropriacją, po nacjonalizacji i wywłaszczeniu większej własności rolnej, po uderzeniu w prywatną wytwórczość i odcięciu się nie tylko od możliwości pożyczek, ale także dopływu kapitału z zagranicy, koszty tego wysiłku musiały spocząć na społeczeństwie. I to, jak okazała najbliższa przyszłość, także na tych grupach społecznych, które w myśl ideologicznych założeń winny być profitentami przemian.

Dla przeprowadzenia tego zamierzenia dokonano zasadniczej przebudowy całego systemu zarządzania gospodarką: w lutym 1949 r. w miejsce CUP utworzono - wzorowaną na radzieckim Gospłanie - Państwową Komisję Planowania Gospodarczego (PKPG), która miała być centralnym nadzorcą systemu, nazywanego później nakazowo-rozdzielczym. Równocześnie dotychczasowe Ministerstwo Przemysłu i Handlu, które urosło już do potężnych rozmiarów (25 departamentów, 20 centralnych zarządów, 21 instytutów naukowo-badawczych, 56 central handlowych, 17 central zaopatrzenia) zostało podzielone na sześć resortów "branżowych". Liczba ich z czasem miała zostać znacznie powiększona - powstały m.in. ministerstwa: Przemysłu Mięsnego i Mleczarskiego, Budownictwa Miast i Osiedli, odrębne Budownictwa Przemysłowego i jeszcze Przemysłu Materiałów Budowlanych, Przemysłu Drzewnego i Papierniczego etc. W 1952 r. osiągnięto liczbę 34 ministerstw - 2/3 stanowiły ministerstwa "branżowe" - a w powołanym w maju 1950 r. Prezydium Rządu zasiadało 8 wicepremierów. Ministerstwom podlegało kilkadziesiąt "centralnych zarządów", tworzących drugi (a licząc PKPG za "szczyt" właściwie trzeci) szczebel zarządzania.

W szybkim tempie powstawała ogromna machina biurokratyczna, która zarazem służyła jako drabina awansu społecznego dla tych członków warstw "niższych", którzy chcieli zająć miejsca w szeroko pojętej sferze władzy. Jeśli w latach 1945-1949, które uważane były za lata "polskiej rewolucji", na stanowiska kierownicze w gospodarce, administracji i do partyjnego aparatu awansowało ok. 17 tys. robotników, to tylko w ciągu pierwszej połowy sześciolatki (1950-1952) dotyczyło to już ok. 115 tys. osób. Obejmowały one nie tylko nowo tworzone stanowiska, ale także wypierały "starych fachowców". Cała ta struktura była nie tylko skostniała, rozdęta ponad miarę i cechowała ją ściśle przestrzegana hierarchizacja, ale odznaczała się także brakiem kompetencji.

Co najmniej równie istotne - a może nawet ważniejsze - było kolejne podwyższanie planowanych wskaźników. Pierwszego dokonano już w maju, następnego w grudniu 1949 r., zanim jeszcze rozpoczęto realizację sześciolatki. Kolejna, największa, rewizja wprowadzona została w lipcu 1950 r., co w znacznym stopniu związane było ze wzrostem napięcia w stosunkach międzynarodowych po rozpoczęciu inwazji północnokoreańskiej. Uchwalona wówczas "Ustawa o sześcioletnim planie rozwoju gospodarczego i budowy podstaw socjalizmu" przewidywała wzrost produkcji przemysłu o 158% w stosunku do roku 1949, rolnictwa o 50% (w tym produkcji zwierzęcej o 68%).

Ostrożniej planowano wzrost płac realnych, nie zmieniając poprzednich założeń.

Ważnym składnikiem zrewidowanego planu była, zawarta 29 czerwca 1950 r., polsko-radziecka umowa o dostawach inwestycyjnych, surowcowych oraz uzbrojenia i sprzętu wojskowego. Wiązała ona polską gospodarkę z ZSRR, co wprawdzie dawało dostęp do wielkiego rynku surowcowego, ale jednocześnie importowało do kraju energo- i materiałochłonne technologie i urządzenia. Liczne inwestycje oparte na nich skazywały Polskę na długotrwałą zależność od tej nieinnowacyjnej gospodarki.

Rewizje sześciolatki dotyczyły nie tylko windowania wskaźników, ale także zmian w proporcjach między funduszami spożycia i akumulacji oraz między gałęziami: kwoty przeznaczane na akumulację rosły kosztem spożycia, by w 1953 r. stanowić 28,5% (wobec 15,8% w 1949 r.) dochodu narodowego. Równocześnie wydatnie powiększał się udział przemysłu środków produkcji (ciężki, surowcowy), sięgając w 1952 r. 42,7% całości nakładów inwestycyjnych. Już w fazie wstępnej "skazano" przemysł lekki i spożywczy, które dając (w 1950 r.) blisko połowę produkcji globalnej otrzymywały niespełna 12% środków inwestycyjnych. W latach następnych stan ten nie ulegał wyraźniejszej zmianie.

Ograniczano jednocześnie nakłady na rolnictwo, które w 1952 r. spadły do 7,8%. O ile w 1948 r. proporcje nakładów wynosiły jak 1:2,8 na korzyść przemysłu, o tyle cztery lata później otrzymywał on 6,5 razy więcej środków niż rolnictwo. Forsowano kolektywizację, podtrzymywano "pegeeryzację": w 1954 r. istniało 9,3 tys. spółdzielni zajmujących ok. 8% areału, a PGR gospodarowały na blisko 10% ogólnej powierzchni upraw. Mimo znacznie niższej wydajności ów "sektor uspołeczniony" pochłaniał coraz większą część kredytów i kwot inwestycyjnych (w 1955 r. ok. 72% przeznaczonych na rolnictwo), a gospodarstwa indywidualne obkładano coraz wyższymi podatkami. Wprawdzie nie posunięto się do "rozkułaczania" wedle stalinowskiego wzoru z lat 1930-1932, ale gminne posterunki MO i terenowe agendy urzędów bezpieczeństwa stosowały tysięczne szykany wobec chłopów. Szczególnie silny nacisk wywierano w związku z systemem dostaw obowiązkowych, który wprowadzano stopniowo w latach 1951-1952 (najpierw na zboża, potem na trzodę chlewną, wreszcie na mleko). W 1953 r. obowiązkowe dostawy stanowiły 85% produkcji towarowej zbóż, 51% produkcji ziemniaków i 50% żywca. Niewywiązanie się z dostaw, "niedbalstwo" podczas akcji siewnej, żniwnej czy wykopków powodowało nie tylko nakładanie grzywien, ale nawet kary aresztu czy osadzenia w obozach pracy.

"Budowa podstaw socjalizmu" opierała się na gospodarce ekstensywnej, a modernizacja istniejących przedsiębiorstw znalazła się na dalszym planie. W niezwykle szybkim tempie rozwijano "front inwestycyjny", przy czym wiele decyzji miało charakter polityczny (z najbardziej znaną lokalizacją Huty im. Lenina na obrzeżach "reakcyjnego" Krakowa). Wielość i wielkość inwestycji powodowały nieustanne napięcia w bilansowaniu energii i zaopatrzenia, wciąż ujawniały się "wąskie gardła", a rozwiązanie jednego problemu powodowało powstawanie takiego samego w innej branży lub w innym regionie.

Wielkie rozmiary przyjął przepływ ludności wiejskiej do miast - w latach 1951-1955 ponad 1,9 mln osób. Ucieczka z przeludnionej, ubogiej, cywilizacyjnie zacofanej, a w dodatku szykanowanej wsi, była dla tych rzesz

pierwszym krokiem w awansie społecznym, ale jednocześnie kampanijny charakter tej mobilizacji i niezwykle kiepski poziom organizacji pracy powodowały, iż wydajność była wciąż niższa niż przed 1939 r. Niektóre fazy wielkich inwestycji, zwłaszcza wykonywane przez brygady "Służby Polsce", bardziej przypominały roboty publiczne, dające rudymentarne dochody bezrobotnym niż budowanie nowoczesnego przemysłu. Nie pomijano także różnych form pracy przymusowej. Utworzony wiosną 1949 r. Korpus Węglowy - do którego kierowano poborowych "politycznie podejrzanych" lub o "niewłaściwym pochodzeniu klasowym" - liczył w 1953 r. ponad 31 tys. osób. Pensje wynosiły 1/5 zarobków "cywilnego" górnika, z czego poborowi opłacali nie tylko wyżywienie, koszty pobytu czy wartość ubrań roboczych, ale także wynagrodzenie dla kadry. Trudno się więc dziwić, że dzienne wydobycie na jednego zatrudnionego w przemyśle węglowym obniżyło się z 1328 kg w 1949 r. do 1163 kg w 1955 r. i wynosiło wówczas 36% wydajności osiąganej w 1938 r.

Był to może przypadek skrajny, lecz niska wydajność należała raczej do reguły niż wyjątków. Niewiele pomagały niezwykle reklamowane akcje współzawodnictwa pracy, które prowadziły częściej do nierytmiczności i podważały tok produkcji, nie mówiąc już o wytwarzaniu konfliktowej atmosfery w zakładach pracy. Jeszcze wyraźniej propagandowy - i negatywny dla normalnej produkcji - charakter miały najróżniejszego rodzaju "czyny produkcyjne", oddawanie nowych inwestycji czy uruchamianie nowej produkcji w terminach wyznaczanych datami świąt państwowych czy ideologicznych, a nie reżimem technologicznym i rzeczywistą gotowością urządzeń. Nie bez znaczenia dla produkcji - także w rolnictwie - była pobudzana propagandowo "szpiegomania" i towarzyszące każdej awarii, a nawet niewykonaniu planu poszukiwanie "sabotażystów" lub "dywersantów". Szczególnie narażeni byli przedwojenni inżynierowie i ekonomiści oraz żołnierze AK i "ludzie od Andersa", a analizy przyczyn coraz częściej dokonywali nie fachowcy, lecz funkcjonariusze urzędów bezpieczeństwa.

Pod względem ilościowym przemysł rozwijał się w rzeczywiście szybkim tempie, aczkolwiek wystąpiła - przewidywana w planach CUP, a odrzucona przez PKPG - "krzywa gasnąca": najwyższe tempo wzrostu osiągnięto w 1950 r. (27,7%), a w miarę, jak poszerzano program inwestycyjny, w ciężkim przemyśle przyrosty produkcji spadały. I tak zresztą wskaźniki wzrostu produkcji były niższe niż przed sześciolatką, kiedy to główny udział w rozwoju miały odbudowywane fabryki. Wydłużanie się cykli inwestycyjnych stało się stałym elementem polskiej - jak i każdej centralnie planowanej i zarządzanej - gospodarki. Niemniej pejzaż ekonomiczny ulegał wyraźnym zmianom i Polska stawała się stopniowo państwem przemysłowo-rolniczym. Powstało wiele fabryk, które nawet jeśli technologicznie odbiegały od ówczesnych standardów, oferowały wytwory niezbędne do procesu modernizacji. Do "sztandarowych budów socjalizmu" należały m.in. Huta im. Lenina w podkrakowskiej Nowej Hucie (początek produkcji w 1953 r.), elektrownie w Jaworznie i Miechowicach, huta aluminium w Skawinie, białostockie "Fasty", linia produkcji penicyliny w podwarszawskim Tarchominie, gorzowski "Stilon", fabryki samochodów w Warszawie (FSO) i Lublinie (FSC).

Podobne procesy i zjawiska miały miejsce w pozostałych krajach zależnych od ZSRR, a im ich stopień rozwoju był niższy, tym, oczywiście, przyrosty produkcji przemysłowej szybsze. W Europie Zachodniej zresztą także nie było zastoju, a niemiecki "cud gospodarczy" przyniósł wyjątkowo szybko owoce.

Między 1948 a 1955 r. dwu- lub prawie dwukrotny wzrost osiągnęły Francja i Włochy, a tempo austriackie niewiele odbiegało od niemieckiego.

Nawet jeśli uwzględniać mankamenty polskiego "wielkiego skoku" w przemyśle, to i tak można go uznać za udany w porównaniu z sytuacją w rolnictwie, które płaciło trybut polityce i ideologii zarówno przez forsowanie niskowydajnej gospodarki uspołecznionej, jak i drenaż chłopów. W 1950 r., jeszcze jakby z poślizgu, produkcja rolna wzrosła o 7,5% (przemysłowa o 27,7%), aby w następnych trzech latach spaść do poziomu wyjściowego dla sześciolatki. Powodowało to zarówno stałe niedobory żywności w miastach, jak i pauperyzowanie wsi, a gospodarstwa rolne w przyspieszonym tempie dekapitalizowały się. Sytuacji ludności wiejskiej nie poprawiała także, będąca dopiero w zalążkach, warstwa "chłopo-robotników", która w późniejszych latach powodowała pewien dopływ pieniądza na wieś. Ofiarą pauperyzacji wsi i powstania państwowego aparatu skupu padały też małe miasteczka tradycyjnie żyjące z pośrednictwa i przerobu surowców rolniczych. Z reguły omijała je również "wielka industrializacja" koncentrująca się - pomimo odmiennych założeń - w tradycyjnych regionach przemysłowych lub w ich bezpośrednim otoczeniu. Szczególnie trudne było położenie niedużych ośrodków miejskich na Ziemiach Odzyskanych, gdzie PGR zajmowały blisko 1/3 ziem uprawnych, a znaczna część powierzchni znajdowała się w gestii baz i poligonów Armii Radzieckiej. Ziemie te, a zwłaszcza cały pas północny, były opuszczone lub zapuszczone, ludność wciąż czuła się niepewnie. Obawy jej pogłębiała prowadzona wytrwale "kampania pokojowa" oraz nieustanne przywoływanie niemieckiego zagrożenia, które odbierano jako zapowiedź niechybnej wojny.

Wielki plan przeobrażenia gospodarczego niezmiernie mocno ciążył na całej ludności, a zwiększały jego ciężary działania w sferze pieniężnej, które zmierzały do ściągnięcia dodatkowych środków. Pierwszą wielką operacją była nieekwiwalentna wymiana pieniądza dokonana 30 października 1950 r. Marża emisyjna, czyli "zarobek" państwa, wyniosła ok. 9,5% rocznych dochodów budżetu, a jednocześnie pozbawiła złotówkę wewnętrznego prestiżu. Nie zahamowała zresztą inflacji i liczba znajdujących się w obiegu pieniędzy rosła znacznie szybciej niż dostawy na rynek. Druga akcja drenażowa przeprowadzona została bardziej subtelnie, bo w postaci Narodowej Pożyczki Rozwoju Sił Polski, ogłoszonej w połowie czerwca 1951 r. Bony pożyczkowe subskrybowało wprawdzie niemal 8,5 mln osób, ale mimo silnych nacisków w miejscach pracy i intensywnej kampanii przyniosła ona wpłaty sięgające ledwo 1,7% rocznego budżetu.

Parokrotnie też wprowadzane generalne podwyżki cen w niewielkim tylko stopniu były rekompensowane regulacją płac lub obniżkami cen niektórych towarów. Pierwsza - z 31 grudnia 1949 r. - towarzyszyła rozpoczęciu sześciolatki, a druga o znaczniejszych rozmiarach wprowadzona została 3 stycznia 1953 r. wraz ze zniesieniem systemu kartkowego. Ona właśnie była szczególnie dotkliwa także i dlatego, że zaczynała trzeci już rok powszechnych wyrzeczeń. Wszystko to powodowało, że w tym właśnie roku płace realne w gospodarce uspołecznionej spadły poniżej poziomu z 1949 r., obniżyło się spożycie mięsa i cukru, a wydatki na żywność pochłaniały niemal 70% dochodów rodzin miejskich.

Utrwalający się system niedoboru stwarzał specyficzne możliwości redystrybucji (niewielkiej) części dochodu i wykorzystywania tego do

tworzenia specjalnego układu nagród, a także swego rodzaju "korupcji". Korzystali z tego nie tylko członkowie elity politycznej czy pracownicy (niektórzy) najbardziej potrzebnych ogniw aparatu władzy, ale też twórcy, których zachęcano w ten sposób do legitymizacji ustroju, czy przodownicy pracy, którzy mieli być wzorcowymi obywatelami. Promowano w ten sam sposób nawet całe zawody czy gałęzie gospodarki. Starannie ukrywano to, że obsypywani orderami, wyposażani w talony na najróżniejsze niedostępne na rynku przedmioty, zaszczycani uściskami dłoni dostojników, górnicy wykonujący plan przed terminem, byli towarzyszami pracy młodych chłopaków z Korpusu Węglowego, gnojonych w kopalni i głodujących w obskurnych barakach.

Jednym ze znamion tej epoki były takie właśnie paradoksy w skali masowej. "Tysiące rąk, miliony rąk ż8ş a serce bije jedno" - śpiewano na niezliczonych pochodach czy masówkach. Rzeczywiście - setki tysięcy ludzi różnych zawodów i generacji wylegało na ulice 1 maja czy 22 lipca. Szturmówki i transparenty barwiły manifestacje, szerokimi uśmiechami pozdrawiano tych, którym przypadło miejsce na trybunie. Z dumą wypinano pierś po medale. Młodzi robotnicy, którzy parę lat wcześniej opuścili zabiedzoną wieś, z zapałem murowali, rąbali, przykręcali. Pod dyktando gigantofonów krzyczano albo "niech żyje!", albo "precz". Można by sądzić, że ten - dobrze i zazwyczaj pieczołowicie zorganizowany - entuzjazm był tym bardziej natrętny, im trudniej się żyło, im mniej można było kupić za pensję, im częstsze były przerwy w dopływie prądu. Wydawało się jakby chciano skandowaniem zagłuszyć wątpliwości, koniecznie uwierzyć w to, co głosiły slogany i słowa wszędzie rozlegających się pieśni. Stali za tym entuzjazmem nie tylko ci, którzy nim dyrygowali, czy ci, którzy go pilnowali, ale także niemało spośród tych, którzy porzucili rodzinne chaty, pamiętali nędzę i głód sprzed paru lat, a nawet przedwojenne bezrobocie i brak perspektyw.

Jakkolwiek gospodarka była - jak to niebawem nazwano - "księżycowa", kraj cały zdawał się być wielkim placem budowy, na którym każdy chcący znajdzie dla siebie miejsce. Odbudowywano miasta, elektryfikowano wieś, dymiły kominy coraz to nowych fabryk. "Wszystko co w Polsce młode i piękne ż8ş idzie pod nasze sztandary" - twierdziła inna, popularna wówczas piosenka. Wielu, bardzo wielu naprawdę chciało być młodymi i pięknymi. Jak nie od razu, to za parę lat, gdy tylko ukończona zostanie "budowa podstaw socjalizmu".

Aparat i "aparatczycy"

Aczkolwiek już w 1944 r. powstawały instytucje i organizacje oparte na wzorze stalinowskim, partia komunistyczna uzyskała dominację, Polska była państwem całkowicie uzależnionym od sąsiedniego mocarstwa - a wszystko to działo się wbrew woli zapewne pokaźnej większości społeczeństwa - to jednak przez pewien jeszcze czas zachowało się wiele elementów nie pasujących do radzieckiego modelu państwa totalitarnego. Ponieważ podobny stan występował w innych krajach uzależnionych od ZSRR, trudno było uznać to za "polską drogę do socjalizmu". Był to raczej pewien system przejściowy, pozwalający zmniejszyć koszty - zewnętrzne i wewnętrzne - wielkiej transformacji, o

której myśleli zarówno lokalni, jak i moskiewscy komuniści. Gdy "zimna wojna" poważnie ograniczyła wpływ mocarstw zachodnich, przeciwnik zaś wewnętrzny - opozycja, konspiracja - został rozbity lub całkowicie unicestwiony, nic już nie stało na przeszkodzie, aby dopełnić - we wszystkich sferach życia państwowego, publicznego i narodowego - rozpoczęte dzieło.

Motorem i głównym wykonawcą przekształceń była PZPR, a w istocie dawna PPR, której platforma polityczna i ideologiczne credo stały się podstawą nowej partii. PZPR - nazywana wówczas i przez wiele następnych lat Partią przez "duże p" - była, podobnie jak wcześniej PPR, stronnictwem opartym na koncepcji tzw. centralizmu demokratycznego, który w istocie oznaczał pewną odmianę systemu wodzowskiego. Po odsunięciu Gomułki PZPR miała jednego przywódcę - Bolesława Bieruta - który stał na czele rozbudowanej hierarchii: od Biura Politycznego KC i paru innych instancji centralnych (takich jak Sekretariat KC, Biuro Organizacyjne), poprzez wydziały KC, komitety wojewódzkie, komitety powiatowe i będące ich faktycznymi odpowiednikami komitety w niektórych centralnych urzędach i wielkich fabrykach, po komitety gminne i tzw. podstawowe organizacje partyjne (POP). Instancjom roboczym, które zwano na niektórych szczeblach (województwo, powiat, duże POP) "egzekutywami", towarzyszyły instancje o charakterze, powiedzmy, normotwórczym, które często nazywano "plenami" (KC, KW czy KP). Zgodnie z klasycznym podziałem władz podstawowymi strukturami były zjazdy powiatowe, wojewódzkie, kongres. Obok "egzekutyw" istniały też ciała kontrolne - komisje rewizyjne i komisje kontroli partyjnej. Aczkolwiek formalnie obowiązywała zasada wyboru na wszystkie funkcje, w rzeczywistości cała struktura opierała się na systemie nominacji i kooptacji od "góry" do "dołu". Stan ten był nie tyle przeniesieniem zasad obowiązujących w partii nielegalnej (KPP) czy konspiracyjnej (PPR), ile wywodził się z tradycji partii bolszewickiej i w zupełności potwierdzał starą tezę socjologa Roberta Michelsa o "żelaznym prawie oligarchii".

Górne szczeble hierarchii były stosunkowo liczne, ale sam "szczyt", właściwe kierownictwo centralne, obejmował nie więcej niż kilkadziesiąt osób, a i w nim znajdowała się kilkunastoosobowa grupa mająca decydujące znaczenie. W jej skład wchodzili członkowie (i zastępcy członków) Biura Politycznego, których nie było nigdy więcej niż piętnastu. To oni właśnie konstytuowali jednocześnie inne kluczowe instancje najwyższego szczebla - Sekretariat (6 osób), Sekretariat Biura Organizacyjnego - byli sekretarzami KC (5-6 osób) oraz stanowili połowę, 24-osobowego, Biura Organizacyjnego KC. Członkowie Biura Politycznego stanowili trzon jego dwóch specjalnych, stałych komisji - ds. bezpieczeństwa publicznego i wojskowej - które nie miały swych odpowiedników w wydziałach KC. Choć więc na szczeblu tym istniało wiele instancji, obsadzali je w istocie ci sami ludzie, niektórzy piastując po kilka - Bierut nawet 5 - stanowisk partyjnych. Zasadą było, iż każdy z nich pełnił równocześnie co najmniej jedną funkcję państwową (w rządzie, Sejmie lub Radzie Państwa). W latach 1948-1956 przez Biuro Polityczne (wraz z zastępcami) przeszło zaledwie 18 osób. Grono to charakteryzowało się znaczną stabilnością: spośród 15 członków i zastępców członków wybranych w grudniu 1948 r. do śmierci Bieruta ubyło tylko dwóch (Marian Spychalski i Henryk Świątkowski), a dokooptowano trzech (Konstanty Rokossowski, Zenon Nowak, Władysław Dworakowski).

W sposób oczywisty i niewątpliwy nad całością dominował Bierut, najstarszy (ur. 1892 r.) ze wszystkich, ale i wśród pozostałych byli "równi i równiejsi" i to niekoniecznie w zależności od wagi stanowisk "dodatkowych", zajmowanych w formalnych strukturach państwowych. Wyraźnie na bocznym torze znajdowali się trzej spośród czterech byłych pepeesowców - Henryk Świątkowski, Adam Rapacki i Stefan Matuszewski. Większą rolę odgrywał tylko Cyrankiewicz, prezes (w latach 1952-1954 wiceprezes) Rady Ministrów. "Panami" swoich resortów byli Rokossowski (MON) i Radkiewicz (MBP), ale dla obu tych ministerstw istniały osobne komisje BP, a na czele każdej z nich stał osobiście Bierut.

Dość powszechnie przyjmuje się, iż obok Bieruta decydującą rolę odgrywali Jakub Berman i Hilary Minc, a czasami do trójki tej dodaje się Romana Zambrowskiego. Taki układ personalny istniał prawdopodobnie w pierwszych latach po powstaniu PZPR, ale wiele wskazuje, iż uległ on zmianie już od wiosny 1950 r., gdy w hierarchii partyjnej awansowali Franciszek Mazur i Zenon Nowak, koncentrujący się na pracy w aparacie partyjnym. Jesienią 1952 r., po wyłonieniu nowego Sejmu, Mazur stał się głównym - obok Bieruta i Bermana - zarządcą na scenie politycznej, wypierając ostatecznie Zambrowskiego. W 1954 r. zmniejszyła się z kolei rola Minca, przez wiele lat właściwego dyrygenta całej polityki gospodarczej.

Tak czy inaczej wszyscy - z wyjątkiem czterech pepeesowców i Rokossowskiego - należeli do środowiska kapepowskiego, które wciąż odgrywało decydującą rolę w PZPR (w 1954 r. 27% aparatu na szczeblu KC stanowili b. członkowie KPP i KZMP). Można uznać za znamienne, iż mocno "idący w górę" Mazur i Nowak najwyraźniej powiązani byli z ZSRR: pierwszy był od 1919 r. członkiem WKP(b), w latach 1930-1938 należał do KC KPP i po ponownym powrocie do kraju (1945 r.) był przez wiele lat kierownikiem Wydziału Organizacyjnego KC (PPR, a potem PZPR), Nowak służył zaś w Armii Czerwonej jeszcze po wojnie i powrócił do Polski dopiero w 1947 r.
Bezpośrednim zapleczem tego kilkunastoosobowego grona był - jako instancja, a nie instytucja - Komitet Centralny. W grudniu 1948 r. liczył on 72 członków oraz 53 zastępców i był także stosunkowo stabilny. W ciągu ponad 5 lat, które upłynęły przed II kongresem (wiosna 1954 r.) usunięto z tego grona 8 osób (na 125), a na samym kongresie wyeliminowano 9 następnych. Głównymi ofiarami tych "czystek" stali się dawni pepeesowcy i (w 1949 r.) "gomułkowcy". KC składał się nieomal wyłącznie z pracowników aparatu od szczebla I sekretarza komitetu wojewódzkiego wzwyż, kierowników wydziałów KC lub osób piastujących wyższe stanowiska w administracji państwowej. Był to więc rzeczywisty aktyw centralny PZPR, choć zwłaszcza w pierwszym okresie po kongresie zjednoczeniowym nie brakło w nim b. pepeesowców, którzy weszli do władz z partyjnego klucza i doić szybko zostali zepchnięci na drugorzędne pozycje.

Stosunkowo znaczna trwałość składu KC nie oznaczała, iż nie było "ruchu" w obsadzie stanowisk w aparacie wykonawczym. Dosyć często zmieniali się kierownicy wydziałów KC i ich zastępcy, a w latach 1949-1951 trwały nieustanne przetasowania w aparacie terenowym. Jeszcze w 1949 r. dokonano zmian w 11 na 15 komitetów wojewódzkich, a bywało i tak (np. w Bydgoszczy), że funkcje I sekretarza pełniły w ciągu roku kolejno trzy osoby. W województwie łódzkim w ciągu dwóch lat dokonywano czterokrotnie zmian na tym stanowisku. Niektórzy pracownicy aparatu byli prawdziwymi wędrowcami,

przerzucanymi z województwa do województwa po trzy czy cztery razy. Ruchliwość aparatu terenowego miała w znacznym stopniu charakter "poziomy": na 52 osoby pełniące w latach 1948-1954 stanowiska I sekretarzy KW 18 zajmowało je kolejno w dwóch województwach, a pięciu w trzech. Ruch "uspokoił" się w 1954 r., ale wznowił już w następnym (10 zmian na 18 komitetów wojewódzkich).

Jeszcze większa była mobilność na szczeblu powiatowym i tu także polegała ona częściej na przenoszeniu sekretarzy z jednej organizacji do innej, nawet w odległych od siebie regionach, niż awansie na stanowisko "pierwszego w powiecie". Całością ruchu kadrowego zarządzano z warszawskiej centrali i zarządzanie to przypominało dyrygowanie strukturą biurokratyczną - czy wręcz wojskową - a nie tradycyjną partią polityczną. Znaczna część "czołowego aktywu terenowego" niewiele miała wspólnego z regionem, którym zarządzała i utrzymywana była w poczuciu całkowitej zależności od "góry".

W ślad za Orwellem używa się pojęcia "partia wewnętrzna" na określenie tych wszystkich, którzy pełnią funkcje w zawodowym aparacie partyjnym lub - z ramienia partii - piastują stanowiska kierownicze w administracji, organizacjach społecznych czy też pracują w głównych organach kontroli społeczeństwa (w przypadku Polski np. w MBP). W PZPR, w latach 1951-1954, do kategorii tej można zaliczyć blisko 100 tys. osób, tj. nieco ponad 10% wszystkich członków partii. O ile tak wyróżniona "partia wewnętrzna" wzrastała stosunkowo wolno (z ok. 88 tys. do ok. 98 tys.), o tyle szybki był rozwój liczebny samego aparatu partyjnego: w marcu 1950 r. liczył on ok. 5,5 tys. osób, a w końcu 1953 r. już blisko 13 tys.

Zmiany te wynikały przede wszystkim z wprowadzania na szczeblach kierowniczych zasady bezpośredniego nadzoru aparatu partyjnego nad wszystkimi sferami życia państwa. Powiększała się liczba wydziałów i "sektorów", potrzebni byli coraz to liczniejsi "instruktorzy", którzy kontrolowali poszczególne działy gospodarki, kultury czy administracji. Podobna sytuacja istniała w województwach, a nawet powiatach. Pracownicy partii, zwani z rosyjskiego "aparatczykami", w znacznym stopniu składali się z ludzi, dla których był to pierwszy krok na drodze awansu społecznego.

Nic więc dziwnego, że poziom przygotowania tych kadr do spełniania funkcji wymagających - było nie było - przygotowania zawodowego lub ogólnego, był raczej niski. Jeszcze w 1958 r. ponad połowa etatowych pracowników PZPR miała za sobą szkołę podstawową uzupełnioną (lub nie) kursami partyjnymi. W utworzonej w 1951 r. 2-letniej Wyższej Szkole Partyjnej wymagano ukończenia 7 klas, a szkołę tę, główną "kuźnię kadr", w ciągu kilku lat ukończyło zaledwie ok. 400 osób. Zdecydowana większość szkolonych w systemie stacjonarnym - a na szczeblu centralnym przeszkolono w ten sposób ok. 3 tys. osób - kończyła "szkoły" roczne lub jeszcze krótsze. Dość pospiesznie szkolono też ludzi, którzy mieli wejść do nauki, lub tej części aparatu partyjnego i państwowego, który kierował oświatą czy kulturą. Służył temu, uruchomiony w 1950 r., 3-letni Instytut Kształcenia Kadr Naukowych (IKKN), przemianowany w końcu 1953 r. w Instytut Nauk Społecznych przy KC PZPR. Jeszcze niższy poziom niż szkolenia centralnego był w terenie, gdzie istniało 16 półrocznych "szkół" wojewódzkich i 6 rocznych międzywojewódzkich. Do rzadkości należało wówczas odbywanie przez etatowych pracowników PZPR studiów - mniej lub bardziej fikcyjnych - na "normalnych" uczelniach.

"Partia zewnętrzna" - żeby trzymać się terminologii wielkiego katastrofisty - miała oczywiście charakter masowy. Wbrew jednak temu, co się na ogół sądzi, lata, o których tu piszę, nie były bynajmniej okresem rozwoju liczebnego PZPR. Odwrotnie: liczba członków partii zmniejszyła się z ok. 1443 tys. w grudniu 1948 r. do ok. 1298 tys. w grudniu 1954 r. W PZPR nieomal permanentnie trwało "czyszczenie szeregów" (między kwietniem 1949 r, a wrześniem 1953 r. wykluczono ok. 140 tys. osób, skreślono ok. 96 tys.). Panował też niemały chaos ewidencyjny - w tym samym okresie "zniknęło" z ewidencji niemal 250 tys. osób. W rezultacie "upartyjnienie" społeczeństwa obniżyło się z 6% w grudniu 1948 r. do 4,8% w 1954 r. (dla porównania w Czechosłowacji członkowie partii komunistycznej stanowili 18,7% ludności - był to absolutny, trudny do pobicia rekord). Wśród dorosłych Polaków odsetek pezetpeerowców sięgał jednak w 1954 r. 9 punktów, czyli niemal co dziesiąty obywatel był członkiem PZPR.

Zapewniało to wielkie możliwości mobilizacyjne, ale kierownictwo wyraźnie nie dążyło do przesadnego umasowienia partii, obawiając się zapewne "rozmycia" jej i osłabienia bojowego ducha. Wciąż natomiast kładziono mocny nacisk na werbowanie do PZPR ludzi z tych klas i warstw społecznych, które - już samą nazwą - miała reprezentować. Nacisk ten był tym mocniejszy, im mniej skuteczny: o ile w 1949 r. robotnicy stanowili blisko 60% ogółu członków, o tyle w 1954 r. było ich już tylko 43% (w liczbach bezwzględnych oznaczało to spadek o ok. 200 tys. osób). Robotników zastępowali "pracownicy umysłowi" - część z nich to świeżo awansowani przedstawiciele "proletariatu" - których przybyło ok. 180 tys. i w 1954 r. stanowili 36% członków. Jeszcze bardziej drastycznie odczuwany musiał być spadek "upartyjnienia" w fabrykach, niemniej w 1955 r. co piąty robotnik należał do PZPR. Społeczeństwo najwyraźniej nie spieszyło się z zapisywaniem do partii rządzącej, co szczególnie widoczne było na wsi, gdzie mieszkało wszakże około połowy Polaków. Niemniej PZPR poprzez swe podstawowe komórki docierała właściwie wszędzie: w grudniu 1954 r. istniało ich ok. 56,4 tys., z tym, że większość stanowiły organizacje małe, liczące do 15 osób.

Aczkolwiek niejako z definicji członek partii winien być aktywny, a z charakteru PZPR (i innych partii komunistycznych) wnosząc aktywność ta powinna mieć charakter systematyczny, wiele wskazuje na to, iż znaczna część pezetpeerowców ograniczała się do uczestniczenia w życiu publicznym poprzez udział w kampaniach czy akcjach politycznych. Niewątpliwie wszędzie istniały grupy osób szczególnie czynnych, ale na ogół w sprawozdaniach i referatach oceniających działalność bieżącą pojawiały się utyskiwania nad pasywnością, niską frekwencją na zebraniach, unikaniem udziału w szkoleniach ideologicznych, niewielkim zainteresowaniem dla prasy partyjnej, a składki coraz częściej potrącano wprost z wypłaty. Niemniej większe czy mniejsze kampanie polityczne były nieomal na porządku dziennym, zwłaszcza że taki właśnie charakter nadawano też działalności produkcyjnej poprzez wszelkiego rodzaju "czyny" czy demonstracyjne odstawianie zboża do punktów skupu po "szturmówki" i transparenty zatykane wśród grup biorących udział w odgruzowaniu Warszawy. We wszystkich takich przypadkach członkowie partii mieli "przodować", "świecić przykładem", "być na czele". I najczęściej byli - pilnowani przez sekretarzy POP lub instruktorów "z dzielnicy".

Niezmiernie ważnym elementem tej wszechobecności była ingerencja w funkcjonowanie przedsiębiorstwa czy instytucji. Głos sekretarza - lub "egzekutywy" - miał istotne znaczenie i to niezależnie od tego, iż coraz częściej zarządzanie i tak spoczywało w rękach członków PZPR. Na wszystkich właściwie szczeblach następowała faktyczna instytucjonalizacja obecności partii, tak jak działo się to w centralnej administracji państwowej. Nieustanne trudności gospodarcze, które usiłowano pokonać poprzez mobilizację i entuzjazm, nasilały te tendencje i często wytwarzały stan napięcia między komórką partyjną a kierownictwem przedsiębiorstwa. Był to także jeden z wentyli, przez które ulatywała część społecznego niezadowolenia. Jednocześnie kontrola taka, przekształcająca się w bezpośrednie zarządzanie, utrudniała racjonalne działania. Organizacje i instancje partyjne ingerowały nieraz brutalnie, a często w niezgodzie z reżimem technologicznym czy możliwościami przedsiębiorstwa. Przykład szedł oczywiście od góry, bo nawet najwyższe instancje partyjne zajmowały się zagadnieniami o charakterze raczej technicznym niż politycznym. Pikantnym przykładem może być posiedzenie KC w dniach 3-4 lipca 1954 r., którego głównym tematem był referat Zenona Nowaka pt. "Bieżące zadania w zakresie podniesienia rolnictwa, w szczególności likwidacji odłogów oraz zagospodarowania łąk i pastwisk".

Znacząca ilościowo, licząca dziesiątki tysięcy osób "partia wewnętrzna" oraz jeszcze liczniejszy (56 tys. komórek oznaczało co najmniej 120-150 tys. sekretarzy i członków "egzekutyw") aktyw społeczny czyniły z PZPR potężną siłę przenikającą do wszystkich ogniw życia publicznego i gospodarczego.

"Cała władza w ręce..."

Siła PZPR opierała się przede wszystkim na zawłaszczeniu całego aparatu państwowego i przystosowaniu go do potrzeb sprawowania dyktatorskiej władzy. Gwarantowało to podporządkowanie sobie wszystkich istniejących organizacji i uczynienie z nich - wedle słynnej formuły Lenina - "pasów transmisyjnych" rządzącej partii, choć prawdę powiedziawszy także zdecydowana większość członków PZPR była tylko "pasem transmisyjnym".

Szybko i skutecznie opanowano bodaj wszystkie mniejsze i większe stowarzyszenia, osiągając to m.in. przez łączenie pokrewnych organizacji, co pozwalało na skuteczniejszą ich kontrolę. Zlikwidowano np. Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci i Chłopskie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, tworząc jedno (TPD), złączono w jednolity Związek Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBoWiD) kilkanaście stowarzyszeń kombatanckich, zlikwidowano zasłużone Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, łącząc je z Polskim Towarzystwem Krajoznawczym. Zmiany tego typu połączone były z odsuwaniem sporej części dotychczasowych kierownictw, które zastępowano - lub uzupełniano - osobami czy to należącymi do PZPR, czy w jakiś sposób uzależnionymi od partii rządzącej.

Pod naciskiem, nieraz dosyć brutalnym, zmieniano nie tylko władze, ale

także statuty, zmuszano te organizacje do występowania z międzynarodowych federacji i skłaniano do przyjmowania wzorów radzieckich. Zniknęły tradycyjne kluby sportowe, przekształcone w "piony" istniejące na zasadzie "branżowej" (kolejarze, górnicy, budowlani etc.), tak jak to było w ZSRR. Wobec niskiej stopy życiowej znaczną rolę odgrywały dotacje państwowe, które stanowiły dodatkowy czynnik uzależniania i prowadziły często do zatracenia charakteru organizacji społecznej. Stowarzyszenia wykorzystywano chętnie w różnego rodzaju akcjach mobilizacyjnych, podczas defilad czy manifestacji, które były sprawdzianem umiejętności organizacyjnych lokalnych kierownictw partyjnych i dowodem powszechnego poparcia dla ustroju: alpiniści szli opasani linami i z czekanami w dłoniach, gimnastycy nieśli drążek, na którym najlepszy wykonywał (przed trybuną) ewolucje, ciężarowcy demonstrowali dźwiganie sztang. Stowarzyszenia społeczne, stanowiące istotną część społeczeństwa obywatelskiego, zostały ubezwłasnowolnione.

Dążono także do umasawiania niektórych organizacji, szczególnie tych, które działały na ważnych obszarach społecznych. Jednym z nich był ruch pracowniczy, tradycyjnie zresztą przyciągający uwagę socjalistów i komunistów. Kontrolę nad nim połączone siły PPR i PPS zapewniły sobie jeszcze jesienią 1944 r., rok później uniemożliwiono wejście do władz działaczom chrześcijańsko-demokratycznym i forsowano scentralizowanie ruchu, co osiągnięto ostatecznie w czerwcu 1949 r., kiedy powstała Centralna Rada Związków Zawodowych (CRZZ). 0 wadze, jaką przywiązywano do przekształcenia ruchu związkowego, może świadczyć fakt, iż jesienią 1948 r., dla ostatecznego przygotowania reorganizacji skierowano Edwarda Ochaba, który "rzucany" był wówczas na różne ważne placówki. Pierwszym przewodniczącym CRZZ został Aleksander Zawadzki, członek Biura Politycznego, znany z twardej ręki podczas sprawowania funkcji wojewody katowickiego. Przykładano też wielką Wagę do ogarnięcia przez związki wszystkich pracujących i rzeczywiście uczyniono z nich najliczniejszą organizację: w 1949 r. należało do związków ok. 3,5 mln osób, w 1954 r. już ok. 4,5 mln, a rok później poza związkami pozostało zaledwie 750 tys. pracowników "sektora uspołecznionego". Aczkolwiek nie brakło, zwłaszcza podczas zebrań całych komórek związkowych, scysji i zarzutów pod adresem kierownictwa przedsiębiorstw, podstawowym zadaniem organizacji była mobilizacja pracowników do zwiększonego wysiłku podukcyjnego oraz udział w wielkich kampaniach propagandowych.

Inną wielką organizacją stał się - od chwili powstania - Związek Młodzieży Polskiej, który w ciągu niespełna dwóch lat zmonopolizował (m.in. dzięki zniknięciu katolickich stowarzyszeń młodzieżowych) "reprezentowanie" młodego pokolenia. Jeszcze w 1949 r. ZMP zrzeszał ponad 1 mln osób, a w 1955 r. miał ok. 2 mln członków, obejmując tym samym 40% polskiej młodzieży. Do ZMP należała połowa młodych robotników i około 60% młodzieży szkolnej. Jedynie na wsi organizacja ta nie zapuściła mocniejszych korzeni, zrzeszając niespełna 15% młodzieży chłopskiej. Zarówno struktura organizacyjna, jak i formy wewnątrzzwiązkowej działalności były dość wierną kopią "leninowskiego Komsomołu" (a także PZPR): centralizm demokratyczny, zasada mianowania i kooptacji, kluczowa rola "egzekutyw" regulowały życie ZMP. Zachodziły w nim procesy podobne do tych, które istniały w PZPR, z forsowną rozbudową aparatu etatowego na czele.

Związek był - szczególnie w szkołach - zarówno instrumentem presji na nauczycieli, jak i środkiem do mobilizacji młodzieży. Zetempowcy wyróżniali się szczególnie podczas masowych imprez, maszerując - lub pracując - w organizacyjnych strojach (zielona koszula i czerwony krawat). Młodzież często szła w osobnych kolumnach, najbogaciej wyposażonych w szturmówki i transparenty. Kierownictwu przyjmującemu manifestację oni właśnie - "młodzi i piękni" - sprawiali najwięcej satysfakcji. Ale ZMP był także ważnym "pasem transmisyjnym" w działalności produkcyjnej, współorganizatorem "czynów" i współzawodnictwa pracy, zarówno w przemyśle, jak i w szkołach.
Organizacje zetempowskie stanowiły także pewien rodzaj "grup nacisku" na najniższe szczeble administracji (gospodarczej czy szkolnej), szczególnie czynne - i często skuteczne - w eliminowaniu lub zastraszaniu osób niedogodnych dla PZPR. Ważnym elementem życia organizacyjnego była czujność także wobec "wroga", który znajdował się w samej organizacji, co nie zapobiegało dość licznym faktom udziału zetempowców w różnego rodzaju formach sprzeciwu lub nawet oporu. Wszędzie też - ale może najwidoczniej w szkołach - ZMP było ważnym instrumentem indoktrynacji oraz swoistym nadzorcą moralności. Naturalne było, iż właśnie w środowisku młodzieży szczególnie eksponowano wymagania zgodności ze wzorem "socjalistycznego purytanizmu" w stosunkach intymnych. Indoktrynacyjne oddziaływanie ZMP zostało rozciągnięte - przez likwidację harcerstwa i utworzenie na jego miejsce organizacji typu pionierskiego - także na dzieci.
Po utworzeniu PZPR i rozpoczęciu procesu sowietyzacji całego życia publicznego, pod znakiem zapytania stanęła przyszłość istniejących wciąż jeszcze innych partii politycznych. Na przełomie 1948ż8§1949 były cztery takie partie i w sumie zrzeszały znacznie ponad pół miliona osób. Wszystkie one całkowicie podporządkowały się zmianom, które zaszły w ruchu komunistycznym i jednoznacznie zadeklarowały gotowość współuczestnictwa.
W najtrudniejszej sytuacji znajdowało się Stronnictwo Pracy, choć przestało odwoływać się do tradycji chrześcijańsko-demokratycznej. Nie pomogło mu także uroczyste deklarowanie, że partia uznaje "polską demokrację ludową jako demokrację nowego typu". PZPR nie chciała tolerować stronnictwa, które miało ambicje działania na terenie robotniczym, a dla "obsługi" rzemiosła, resztek prywatnej inicjatywy w handlu czy inteligencji, istniało już Stronnictwo Demokratyczne. Toteż latem 1950 r. SP rozwiązało się, przystępując wraz z częścią nielicznych już członków (ok. 22 tys.) do SD. I ta partia przeżywała spore trudności, mimo iż "stanęła twardo - jak mówił jej leader Wacław Barcikowski - na drodze idącej do socjalizmu". W szybkim tempie traciła członków (z ok. 142 tys. w 1948 r. do niespełna 50 tys. rok później) i resztki osobowości.
Nie podniosło się z rozsypki po ucieczce Mikołajczyka PSL. Dla wszystkich działaczy oczywiste było, że czeka ich połączenie z SL, ale zanim do tego doszło, peeselowcy musieli przejść prawdziwy czyściec polityczny, wyrzec się agrarystycznej tradycji, potępić "mikołajczykowską przeszłość" i usunąć ze swego grona wszystkich "podejrzanych". W 1949 r. PSL liczące już niespełna 45 tys. członków zostało - pod ścisłą kontrolą MBP - przyłączone do SL. I w tej partii zresztą przeprowadzono "czystkę", a sporo członków wolało podjąć próbę przeniesienia się do PZPR niż pozostać w partii skazanej - w powszechnym mniemaniu - na likwidację. Do utworzonego na kongresie (27-29 listopada 1949 r.) Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego

weszło niewiele ponad 2/3 członków SL i niewiele więcej niż połowa peeselowców. Było to wszakże około ćwierci miliona osób. W samej PZPR nie było - jak się wydaje - jasności co do dalszych losów dotychczasowych "sprzymierzeńców". W kierownictwie pojawiły się tendencje nie tylko do ograniczenia - i tak już faktycznie iluzorycznej - samodzielności ZSL i SD, ale wręcz do ich rozwiązania. Stanowisko takie pojawiło się także wśród

działaczy ludowych, a jednym z jego zwolenników okazał się Józef Niećko, należący do grona "ojców agraryzmu". Obserwując proces kolektywizacji i uznając, iż zostanie on niechybnie doprowadzony do końca stwierdził, iż oznaczać to będzie "proletaryzację" chłopstwa, a więc nie będzie potrzebna partia reprezentująca tę warstwę społeczną. Nastroje likwidacyjne były na tyle silne, iż w ciągu 1950 r. z ZSL odeszło ok. 25% członków, co było także odpowiedzią na bezwarunkowe popieranie przez stronnictwo kolektywizacji.

Ostatecznie jednak PZPR uznało użyteczność istnienia SD i ZSL z tym, że wyraźnie określiło im ich miejsce w życiu publicznym i rolę. Najdobitniej przedstawił to Zambrowski, który na spotkaniu przedstawicieli BP KC PZPR i NK ZSL w październiku 1950 r. powiedział, iż jest już "przestarzałe pojęcie pojmowania ZSL jako koalicyjnego sojusznika PZPR". "Niesłusznym jest - kontynuował - by szerokim masom ZSL i PZPR mówić, że ZSL jest transmisją PZPR, lecz w gronie czołowego aktywu sprawa ta winna być bezsporna". Oba stronnictwa ocalały, ale za cenę całkowitej subordynacji, na co zresztą większość - przynajmniej "czołowego aktywu" - godziła się bez znacznych oporów. Partiom tym nie tylko wyznaczono społeczne tereny ich działalności, ale także narzucono limity liczebne i na wszelki wypadek ograniczono możliwości szerszego oddziaływania m.in. przez likwidację ich gazet codziennych. Zredukowano też ich udział w administracji państwowej: w rządzie Bieruta, który 21 listopada 1952 r. zastąpił gabinet Cyrankiewicza, ZSL miało 3 zamiast 7 ministrów, SD ani jednego, a ludowcom "odebrano" nawet stanowisko marszałka Sejmu, które mieli w poprzedniej kadencji. PZPR stała się jedynym gospodarzem na całej przestrzeni politycznej.

Mogła też bez przeszkód urządzać ją w dogodny dla siebie sposób. Działania do tego zmierzające podjęto równocześnie na różnych polach - konstytucyjnym, reorganizacji administracji, przekształcania prawa. Już jesienią 1948 r. rozpoczęto działania mające na celu likwidację dotychczasowego systemu władzy lokalnej, w której istniały instytucje zarówno administracyjne (wojewodowie, starości, wójtowie), jak i - fikcyjny w istocie, bo pochodzący z nominacji - samorząd (rady narodowe). W systemie wzorowanym na radzieckim była to anomalia podważająca jedność władzy. Początkiem zmian było masowe "czyszczenie" rad czy to z działaczy dawnych partii opozycyjnych, czy po prostu z osób z jakichkolwiek powodów nie odpowiadających faktycznym władcom terenu, którymi byli sekretarze odpowiednich komitetów PZPR. Wedle niektórych szacunków w latach 1948-1950 wymieniano co roku większość radnych, co wiązało się także z przesunięciami personalnymi w PZPR i wynikało z chęci dostosowania składu rad do struktury społecznej charakterystycznej dla danego terenu. To wówczas właśnie na szerszą skalę trafili do nich "przedstawiciele" młodzieży, kobiet, hutnicy czy członkowie spółdzielni produkcyjnych w proporcjach, które miały odpowiadać proporcjom między różnymi grupami zawodowymi w województwie czy

powiecie.

20 marca 1950 r. przyjęto wreszcie ustawę "o terenowych organach jednolitej władzy państwowej", likwidując dotychczasowe stanowiska administracyjne, a także związki samorządu. Jedynym organem stawała się właściwa rada narodowa, która skupiała obie - zwykle rozdzielane - funkcje. Do struktury rad wcielono też większość nie zespolonych organów administracji terenowej, z zarządem gospodarczym i władzami oświatowymi włącznie. Nie podporządkowano im jednak urzędów bezpieczeństwa, milicji oraz cenzury, które pozostawały w wyłącznej gestii centrali. Aż do jesieni 1954 r. nie odbyły się wszakże wybory i rady - posiadające w istocie dosyć szerokie kompetencje - składały się z nominatów, co pozwalało nieomal w dowolny sposób kształtować ich skład.

Począwszy od 1949 r. podjęto wiele działań mających na celu "uporządkowanie" spraw sądownictwa i upodobnienie instytucji sądowych do radzieckiego modelu. Zmiany i innowacje wprowadzane już od 1944 r. (przepisy karne, rola sądów wojskowych) cechowały się wprawdzie wewnętrzną logiką, ale nie tworzyły zwartego systemu. Pierwsze działania prowadzące do jego powstania podjęto przez przyjęcie 27 kwietnia 1949 r. bloku czterech ustaw zmieniających dotychczasowe zasady funkcjonowania sądownictwa karnego. M.in. w miejsce dotychczasowej trójinstancyjności wprowadzono dwie instancje, zniesiono instytucję sędziego śledczego, upowszechniono udział "ławników ludowych" w postępowaniu. Nadano także Sądowi Najwyższemu prawo stanowienia normy bez związku z odwołaniem, które do niego trafiło, i wprowadzono do orzeczeń kryterium "stopnia szkodliwości społecznej czynu". W tymże 1949 r. ogłoszony został dekret o ochronie tajemnicy państwowej i służbowej, który stał się wygodnym instrumentem w permanentnej szpiegomanii.

Następny istotny krok uczyniono wprowadzając pakiet pięciu ustaw (20 lipca 1950 r.), które objęły m.in, oddzielenie prokuratury od Ministerstwa Sprawiedliwości, zredukowanie liczby sądów najniższej instancji, nałożenie na sądy jako pierwszego obowiązku strzeżenia ustroju politycznego, potem interesów gospodarki ("społecznej"), a na szarym końcu praw i interesów obywateli. W pakiecie tym znalazły się też postanowienia mające na celu przyspieszenie wymiany kadry - zniesiono egzaminy sędziowskie, skrócono wydatnie okres aplikacji, zlikwidowano wymogi o stażu pracy w zawodach prawniczych, zlikwidowano konkursy na stanowiska sędziowskie. Wymiana ta była tym potrzebniejsza, że jeszcze w 1953 r. ok. 30% sędziów stanowiła grupa przedwojennych pracowników wymiaru sprawiedliwości. Utrzymano też - do 1952 r. - uruchomione w 1946 r. 15-miesięczne kursy sędziowskie dla osób z wykształceniem średnim. Wydatnym zaostrzeniem instrumentów prawnych były tzw. dekrety marcowe z 1953 r. dotyczące wzmożenia ochrony własności społecznej.

Nie ujęta w prawie, ale niezwykle istotna w praktyce była stała ingerencja organów bezpieczeństwa w przebieg postępowania, z zastąpieniem przez nie sędziów śledczych, przekazywaniem prokuratorom gotowych "projektów" aktów oskarżenia, kontrolowaniem przebiegu procesów etc. Sądownictwo stało się niezwykle ważnym narzędziem kontroli społeczeństwa i - nie obawiając się przesady - można mówić o istnieniu "terroru sądowego". W system sądowy wmontowane były także instancje (np. Sekcja Tajna warszawskiego Sądu Wojewódzkiego, która w latach 1949-1954 osądziła ok. 500

osób) czy procedury (np. dwumiesięczne sankcje tzw. operacyjne, wystawiane przez prokuratorów bez przedstawienia oficjalnych materiałów obciążających) o oczywiście terrorystycznym charakterze. Aż do wiosny 1955 r. w gestii sądów wojskowych pozostawały też sprawy karne cywilów za "przestępstwa przeciwko państwu", choć liczba rozpatrywanych przez nie takich spraw systematycznie spadała (w latach 1946-1953 skazały ok. 65 tys. osób, z tego w latach 1950-1953 ok. 22,5 tys.).

Jeśli brać pod uwagę, iż Sejm po wyborach 1947 r. nazywano "konstytucyjnym", nie spieszono się zbytnio z wszczęciem procedury przygotowania ustawy zasadniczej. Prace rozpoczęto - w gronie specjalnie powołanego zespołu KC PZPR - w czerwcu 1949 r., ale przebiegały bardzo powoli i konieczne okazało się nawet przedłużenie kadencji Sejmu. Prace przeciągały się m.in. z uwagi na wprowadzane kolejno zmiany w administracji (wspomniana już ustawa o radach narodowych) i sądownictwie. Twórcy dokumentu mieli wiele kłopotów z zasadniczym problemem: czy i na ile miał on być wzorowany na "najbardziej demokratycznej konstytucji świata", czyli tzw. konstytucji stalinowskiej z 1936 r., a na ile zachowywać niektóre, tradycyjne w Polsce, instytucje.

Po niemal dwóch latach pracy, kontynuowanych w dużej dyskrecji, projekt został przygotowany i po osobistej akceptacji przez Stalina (który naniósł kilkadziesiąt poprawek) powołano formalnie sejmową Komisję Konstytucyjną (26 maja 1951 r.) i 23 stycznia 1952 r. poddano go ogólnonarodowej dyskusji. W fabrykach i urzędach organizowano zebrania poświęcone tej debacie - wedle oficjalnych danych uczestniczyło w niej 11 mln osób, a niemal co ósmy uczestnik zabierał głos. Była to w sumie wielka kampania propagandowa, a projekt "znalazł całkowite uznanie i poparcie milionowych mas naszego narodu" - stwierdził Bierut.

21 lipca 1952 r., po trzydniowej debacie, Sejm uchwalił konstytucję, reasumującą założenia ideowe "demokracji ludowej". Potwierdzała ona istniejący już stan prawny i strukturę władz, a posługiwała się niezwykle zideologizowanym językiem. Z litery był to dokument "klasowy", za podmiot biorący "lud pracujący miast i wsi" i potwierdzający wprost, iż zadaniem państwa jest "ograniczanie, wypieranie i likwidacja klas społecznych żyjących z wyzysku robotników i chłopów". Potwierdzając prawo do własności osobistej wykluczano możliwość posiadania budynków, ziemi i środków produkcji przez kogo innego niż "chłopi, rzemieślnicy i chałupnicy". Wolność słowa gwarantować miał zapis o "oddaniu do użytku ludu pracującego i jego organizacji" drukarń, papieru, sal, gmachów, radia etc. (jak złośliwie zauważył Andrzej Ajnenkiel w konstytucji stalinowskiej lud otrzymywał więcej, bo także ulice). Utrzymano instytucję Rady Państwa, która otrzymała bardzo szerokie uprawnienia - obejmujące także należące do zniesionego urzędu prezydenta - i jej podlegać miały m.in. terenowe rady narodowe. Zlikwidowano możliwość systematycznej kontroli sejmowej nad działalnością administracji, znosząc Naczelną Izbę Kontroli, zamiast której utworzono Ministerstwo Kontroli Państwowej, będące jednym z organów tejże administracji. Konstytucja miała charakter zarazem "życzeniowy" - dawała prawo do pracy, nauki, wypoczynku etc. - i fasadowy, nie tylko z uwagi na enigmatyczność wielu postanowień, ale przede wszystkim z racji braku kontroli ze strony społeczeństwa nad ich respektowaniem.

W pewnym sensie zamknięciem etapu budowania w Polsce państwa "demokracji ludowej" było powołanie Sejmu pierwszej, normalnej, kadencji. Ordynacja wyborcza przewidywała, iż liczba kandydatów na liście nie może być większa niż liczba mandatów przypadających na dany okręg wyborczy, co w połączeniu z faktem, iż listy takie zgłosiły jedynie komitety Frontu Narodowego, oznaczało, że wybory zamienią się w głosowanie. I tak rzeczywiście było; wedle komunikatu Państwowej Komisji Wyborczej 26 października 1952 r. stawiło się do urn 95% uprawnionych, a kandydaci Frontu Narodowego zdobyli 99,8% ważnie oddanych głosów. "Lud pracujący miast i wsi" złożył władzę w ręce swych przedstawicieli.

Walka klas

Istnienie stosunkowo silnego zbrojnego ruchu oporu, a także potężnej aż do lata 1946 r., i funkcjonującej jeszcze przez rok, opozycji legalnej, czyniły niejako naturalnym toczenie ostrej walki z przeciwnikami wprowadzanego systemu. Walka ta - w której pierwszej fazie walny udział brały wojska i służby radzieckie - prowadzona była w sposób niezwykle brutalny, co było szczególnie uderzające wobec widocznej dysproporcji sił. Ofiarą jej padały tysiące niewinnych osób, na szeroką skalę stosowano zbiorową odpowiedzialność, aresztowanych torturowano, łamano podstawowe zasady procesowe i to nie tylko w sądach doraźnych. Wielokrotnie stosowano technikę prowokacji, skrytobójstwa, fałszowano zarówno dokumenty, jak i zeznania, wymuszano przyznanie się do winy, łamano charaktery, rozbudowywano sieci agenturalne z zasady posługując się szantażem. Walkę tę, przez wielu uznawaną za walkę z narodem, prowadzono przy użyciu pokaźnych i systematycznie rozbudowywanych sił, angażowano do niej także regularne wojska, rozdawano broń kiepsko przeszkolonym cywilom (ORMO). W pierwszej połowie 1947 r. władza miała do dyspozycji zapewne do 250 tys. ludzi, w rezerwie całe Wojsko Polskie, a na zapleczu ogromny kontyngent Armii Czerwonej.

W 1947 r. zbrojny ruch oporu został faktycznie rozbity i działały już tylko izolowane oddziały. Mimo amnestii w więzieniach siedziały nadal dziesiątki tysięcy osób, wciąż odbywały się procesy (ok. 22 tys. skazanych w 1947 i 1948 r. tylko przez sądy wojskowe). Jesienią 1947 r. złamana została także legalna opozycja, a jedynymi jej eksponentami zostały środowiska katolickie grupujące się wokół kilku pism, które ledwie dyszały pod naciskiem cenzury. W końcu sierpnia 1948 r. i w nie uderzono, wybierając najbardziej upolityczniony zespół "Tygodnika Warszawskiego", likwidując pismo i aresztując niemal wszystkich redaktorów. Czystka przeprowadzona w PPS pozbawiła jakichkolwiek więzów organizacyjnych tych socjalistów, którzy wierzyli jeszcze w możliwość okiełznania bestii. Gdy Międzynarodówką skończył się I Zjazd PZPR, można byłoby sądzić, że słowa "bój to będzie ostatni" mają już tylko sens historyczny, a czas przyszły powinien być zastąpiony przeszłym. Partia liczyła dobrze ponad milion członków z wszystkich klas i warstw, kontrolowała organizacje społeczne, miała w swych rękach cały aparat państwowy, gospodarczy i quasi-samorządowy. "Tyrani", o których śpiewano w auli Politechniki

Warszawskiej, leżeli pokonani: w prochu, w piachu lub na więziennych narach. Nieliczni, którzy nie złożyli broni, stali się drobnymi wysepkami otoczonymi morzem strachu, obojętności, często serwilizmu wobec władzy. A także wiary w głoszone przez nią hasła.

Tymczasem już latem 1947 r. Stanisław Radkiewicz, członek Biura Politycznego i minister bezpieczeństwa publicznego, podczas jednej z odpraw kierownictwa swego resortu stwierdził, że "dziś wroga trzeba będzie szukać bardzo głęboko". Inny wysoko postawiony działacz komunistyczny uznał, że "z zawiązanymi oczyma można powiedzieć, że okres, kiedy wróg przejdzie do form walki gospodarczej, jest niedaleki". "Taka jest logika historii i doświadczeń - konkludował - i tak będzie teraz". Miał on bez wątpienia na myśli doświadczenia radzieckie z lat 30., kiedy to przez niepohamowane represje sterroryzowano całe społeczeństwo, niszcząc miliony ludzi, tworząc atmosferę strachu, podejrzliwości i szpiegomanii. Latem 1948 r., jako jeden z elementów rozpoczynanej walki z "odchyleniem prawicowonacjonalistycznym", wprowadzono - ukute przez Stalina - pojęcie "zaostrzania się walki klasowej", co oznaczało nie tyle metody, bo te były już wystarczająco drastyczne, ile nowe obszary, na których winno się szukać wroga. Rok później Bolesław Bierut mówił - w tradycyjnie ozdobnym języku stalinowskiej nowomowy - iż trzeba "wydobyć z ukrycia przytajone niedobitki wroga i rozsiane po wszystkich szczelinach machiny społecznej, chytrze zamaskowane jego macki".

Dwa były główne kierunki, w których tropiono wroga. Jeden, wedle wskazania, że "sabotaż i dywersja są systemem organizowanym przez wroga dla całych dziedzin", prowadził do śledzenia, prześladowania i terroryzowania wszystkich warstw i grup społecznych. Drugi, zgodnie z przekonaniem o "wniknięciu wroga w szeregi partii", implikował możliwość permanentnej czystki w łonie partii komunistycznej i zastraszania także tych, którzy mieli utrzymywać w strachu całe społeczeństwo.

Pierwszy z nich wymagał zmiany metod pracy resortu. Poprzednio "nastawialiśmy się - mówił Radkiewicz - by przy pomocy oficjalnych naszych pracowników kontrolować całość życia w kraju", lecz w nowych warunkach należy "przenieść punkt ciężkości naszej pracy z aparatu oficjalnego na aparat płatny znajdujący się poza aparatem oficjalnym". Sieć agenturalna, ubolewał minister, "nie liczy nawet tyle osób, ile liczy oficjalny aparat". Od 1948 r. następuje więc forsowna jej rozbudowa tak, aby "przy jej pomocy czuwać nad bezpieczeństwem życia gospodarczego, politycznego, społecznego i wszelkimi innymi dziedzinami życia". Rozrosła się ona do mniej więcej 70-75 tys. "oczek" w 1954 r. i rzeczywiście - jak postulował Radkiewicz - "nakrywała wszystkie komórki organizacyjne w kraju". Największą siatkę miał "pion" zajmujący się gospodarką, a w niej przemysłem, komunikacją i rolnictwem. Z czasem "pion" ów podzielony został wedle węższych specjalizacji (przemysł ciężki, lekki, koleje, wieś etc.).

W gospodarce źle się działo - w kopalniach zdarzały się zawały, w fabrykach awarie, chłopi ociągali się z obowiązkowymi dostawami... Wszystkie takie przypadki traktowane były jako działania sabotażowe i dywersyjne, gorliwie szukano nie tylko sprawców, ale przede wszystkim "inspiratorów" i "organizatorów". Dyrektor IV Departamentu MBP (przemysłowego) za sabotowanie współzawodnictwa pracy uznał okólnik Centralnego Zarządu Przemysłu Węglowego, w którym nakazywano dokonywanie

badań lekarskich zgłaszających się do współzawodnictwa i wyznaczano dolną granicę wieku dla kandydatów na przodowników pracy w górnictwie. Min. Radkiewicz, z kolei, omawiając sprawę pożarów na wsi, zwrócił uwagę na niestosowność obarczania winą dzieci: "tymi dziećmi zakrywa się wszystko - mówił minister - poza te dzieci nie wysuwa się nosa i nie sprawdza, co za tymi dziećmi się kryje, kto je namawia, kto im stworzył warunki do podpaleń". W woj. katowickim w pierwszym kwartale 1953 r. aresztowano około 500 "dywersantów", wśród których "znaczna część - mówił szef wojewódzkiego UB - bodajże decydująca część, to byli dywersanci rekrutujący się z młodych chłopaków, co do których ani w śledztwie, ani operacyjnie nie uzyskaliśmy żadnych wyjść, czyli tzw. dzicy dywersanci". Wygląda na to, że zatrzymano - i przesłuchiwano - paruset młodych robotników, którzy pracowali przy psujących się maszynach, w szybach, w których miały miejsce wypadki, na górkach rozrządowych, gdzie wykoleiły się węglarki itp. Po serii strajków, które miały miejsce w regionie będzińskim w kwietniu 1951 r., omawiając przyczyny strajków zwracano przede wszystkim uwagę na pracę służb bezpieczeństwa: "Nie wystarczy na obiekcie rozpracować administrację [...], przeprowadzić dochodzenie w awariach", "nie wystarczy praca z siecią antydywersyjną", potrzebne jest - dodawano - "polityczne rozpracowanie załogi robotniczej i pracowniczej, rozpoznanie politycznej barwy obiektu, rozpoznanie szczegółowe politycznych wpływów wśród załogi w przeszłości i obecnie".

Przetrząsano więc kartoteki, które w sposób systematyczny prowadzone były wedle jednolitego schematu. Trafiali do nich automatycznie wszyscy, którzy należeli - lub zostali przypisani - do jednej z 25 kategorii: byli np. przed wojną działaczami politycznymi, należeli do AK, byli aktywni w PSL, wrócili do kraju z Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Lista ta urosła z czasem do 43 pozycji i w 1954 r. "rejestr elementu przestępczego i podejrzanego" zawierał blisko 6 mln nazwisk, czyli co trzeciego dorosłego mieszkańca Polski. W każdej niejasnej sytuacji tropiono akowców, w fabrykach i urzędach wuerenowców, na wsi na równi kułaków, mikołajczykowców i ludzi z BCh. Resortowi nie wystarczała już własna kartoteka. W 1950 r.,

gdy przygotowywano się do wydawania dowodów osobistych (operację tę nazywano "paszportyzacją"), rozważano potrzebę takiego skonstruowania tego dokumentu, aby nie tylko "na pierwszy rzut oka na dowód można było stwierdzić, czy mamy przed sobą człowieka pracy", ale także, "by przy wnikliwym badaniu można było stwierdzić, że mamy do czynienia z człowiekiem politycznie lub klasowo niebezpiecznym".

Nic więc dziwnego, że rosła liczba więźniów politycznych. Wedle oficjalnych (lecz tajnych) danych 1 stycznia 1948 r. było ich 26,4 tys., co stanowiło 44% wszystkich uwięzionych. Rok później "politycznych" było 32,2 tys. (40%), a w połowie 1950 r. 35,2 tys. (35,9%). W dwóch głównych więzieniach dla "politycznych" - we Wronkach i w Rawiczu - siedziało (1 czerwca 1950 r.) po blisko 4 tys. więźniów w każdym. A było to jeszcze przed "Akcją K", w której - w ramach "jednorazowego uderzenia w systemie ogólnego zaostrzania polityki represyjnej" - aresztowano jednocześnie ok. 4,7 tys. osób. Siedzieli w więzieniach obok siebie żołnierze AK - których prześladowano ze szczególną zaciekłością - przywódcy i działacze stronnictw konspiracyjnych i legalnej opozycji, "chłopcy z lasu", inżynierowie, którym

wydarzyła się awaria, uczniowie, którzy cisnęli kałamarzem w portret Bieruta, przedwojenni politycy, "dzicy dywersanci". Od 1949 r. "wracali" do więzień zwolnieni na mocy amnestii z 1947 r., a nawet osoby aresztowane wiosną 1945 r. i wywiezione do ZSRR, które nie miały możności uczestniczenia w walce z władzą (jak gen. Emil Fieldorf czy Jan Hoppe).

Niezwykle tłoczno bywało w aresztach MO i UB, szczególnie, gdy nasilały się działania prewencyjne przed świętami partyjnymi, podwyżkami cen czy kiedy mijały terminy obowiązkowych dostaw. Tylko w końcu jesieni 1952 r. zatrzymano kilkanaście tysięcy chłopów. Spośród nich ok. 500 ukarano w trybie administracyjnym, 2 tys. skazano, 1 tys. siedziało w oczekiwaniu na rozprawę, 5 tys. podpisało zobowiązania i wypuszczono ich "na przerwę", w trakcie której mieli zdać dostawy, 6 tys. zwolniono "po rozmowie". W latach 1949-1953 przez więzienia i areszty przeszły dziesiątki tysięcy osób, a dodać by trzeba skazanych przez komisje do walki ze spekulacją, którzy często nic wspólnego ze spekulowaniem nie mieli, czy ukaranych aresztami przez kolegia karno-administracyjne za niewywiązanie się z dostaw obowiązkowych.

"Karząca ręka ludowej sprawiedliwości" dotknęła wprost setek tysięcy ludzi. Czuły jej siłę miliony członków rodzin, kolegów z pracy czy szkoły, sąsiadów. I o to, jak się wydaje, w dużej mierze chodziło: znaczna część społeczeństwa była zastraszona, niemała wręcz sterroryzowana, rozszerzały się strefy wzajemnej nieufności, lęku nawet przed osobami bliskimi. Stan taki wzmacniał postawy konformistyczne i "dwójmyślenie". Atomizował społeczeństwo, pozbawione niezależnych partii i autonomicznych stowarzyszeń, ułatwiał jego "wtórne organizowanie" w masowych organizacjach (ZMP, związki zawodowe, Liga Kobiet etc.) mających funkcje mobilizacyjne i indoktrynacyjne.

Można sądzić, że terror i - rzeczywista lub domniemana - wszechobecność agentów, miały też pomóc w tłumieniu lęków samych twórców i wykonawców terroru przed nienawiścią milionów obywateli. "Przewerbowano" zapewne parę setek tysięcy ludzi, większość szantażując "kompromitującymi materiałami" lub za cenę lepszego traktowania w więzieniu czy wcześniejszego wyjścia z celi. Jak przyznawał w 1954 r., gdy likwidowano MBP, sam Radkiewicz, werbunki te miały na celu nie tylko pozyskanie informatorów, ale także łamanie, upodlanie ludzi, potęgowanie w nich lęku. Biorąc pod uwagę masowość represji różnego rodzaju i po prostu zasięg fizycznego strachu, można powiedzieć, że w Polsce rzeczywiście toczyła się "wojna klasowa": jedną stroną był w niej aparat partyjno-państwowy, swoista - jak to później określił jugosłowiański dysydent Milovan Dżilas - "nowa klasa", a drugą znaczna część społeczeństwa, partyjni i bezpartyjni, posłuszni i oporni.

Dla społeczeństwa pośrednio tylko odczuwalne były działania podejmowane na drugim z kierunków aktywności terrorystycznej różnych agend władzy. Dotyczyło to walki z wrogiem, który "zaląg" się wewnątrz partii komunistycznej. W istocie jednak działania te tworzyły ogniwa tego samego łańcucha, tak jak procesy moskiewskie lat 30. były fragmentem - a właściwie wierzchołkiem góry lodowej - Wielkiej Czystki. "Rozprawa" z odchyleniem prawicowonacjonalistycznym dokonana latem 1948 r. była, jak się wnet okazało, tylko polityczną przygrywką, ale też trzeba powiedzieć, iż uwertura trwała dosyć długo. Pierwsze takty - żeby się trzymać tego muzycznego porównania - a może raczej uniesienie batuty przez dyrygenta

odbyło się w warunkach kameralnych i pianissimo.

13 listopada 1948 r. aresztowany został Włodzimierz Lechowicz, mało znany na scenie publicznej, przedwojenny współpracownik wojskowego kontrwywiadu, w czasie okupacji działacz w Delegaturze, po wojnie członek SD i wyższy urzędnik w kierowanym przez Gomułkę Ministerstwie Ziem Odzyskanych. W istocie Lechowicz przed wojną powiązany był z radzieckim wywiadem, w czasie wojny zaś stanowiska w strukturach konspiracyjnych zajmował w porozumieniu z wywiadem Gwardii Ludowej, który podlegał Marianowi Spychalskiemu. Był on pierwszym ogniwem łańcuszka, który miał prowadzić do "góry". W lutym 1949 r. powstała Komisja Biura Politycznego ds. Bezpieczeństwa, do której obok ministra i wiceministrów MBP wchodzili Bierut i German (a także z urzędu sekretarz organizacji partyjnej w ministerstwie). W ten sposób ścisłe kierownictwo PZPR objęło bezpośredni nadzór nad "bezpieką" i oczywiste było, że nie chodzi w tym wypadku o kontrolę walki z konspiracją, akowcami czy "dzikimi dywersantami", ale tej, która toczona będzie na froncie wewnętrznym. Parę tygodni później Spychalski opuścił stanowisko I wiceministra obrony narodowej i poddany został - na razie partyjnemu - śledztwu. W tym samym czasie aresztowany został jeden z wyższych oficerów AK, od lata 1945 r. pełniący funkcje dowódcze w wojsku (m.in, szef sztabu dowódcy wojsk lądowych, od 22 lipca 1948 r. generał brygady) Franciszek Herman. Miał być drugim ogniwem.

W dniach 11-13 listopada 1949 r. zabrzmiały pierwsze donośne dźwięki: posiedzenie KC PZPR (z udziałem aktywu centralnego), które otworzył Bierut referatem o "zadaniach partii w walce o czujność rewolucyjną na tle obecnej sytuacji", zamieniło się w wielki seans nienawiści wobec "odchyleńców" i "renegatów". Gomułka i Spychalski (a także ich bliski towarzysz z wojennej konspiracji Zenon Kliszko) zostali z hukiem usunięci z KC. Był najwyższy czas, aby przystąpić do zdecydowanej akcji, gdyż Polska najwyraźniej opóźniała się - w czerwcu skazano w Tiranie Koci Dzodze, we wrześniu odbył się w Budapeszcie proces L□szló Rajka, a w Sofii dobiegały końca przygotowania do procesu Trajczo Kostowa. Importowana rewolucja środkowoeuropejska zaczęła pożerać własne dzieci.

1 marca 1950 r. w MBP powstało Biuro Specjalne (od 1 grudnia 1951 r. przekształcone w X Departament). W ciągu następnych tygodni szli do więzień kolejni wyżsi oficerowie, a 17 maja aresztowano Spychalskiego. Do cel trafiać zaczęli ludzie z bliskiego otoczenia Gomułki, aż 2 sierpnia 1951 r. i on wreszcie został (wraz z żoną) zatrzymany i osadzony w specjalnie przygotowanej willi w Miedzeszynie. Potem już szło znanym trybem, a jednym z celów stali się "Hiszpanie" - wieloletni szef wywiadu gen. Wacław Komar i jego współpracownicy z II Oddziału Sztabu Generalnego. Montowana była wielka sprawa, analogiczna do tych, które wytaczano w bratnich stolicach. Mimo dosyć wyraźnych sugestii z Moskwy i ambicji Rokossowskiego, który chciał, aby śledztwo w sprawie Spychalskiego prowadziło wojsko, nie doszło do tego superprocesu. Przesłuchania Gomułki - który nie poddawał się - były nieliczne i bez stosowania nacisku fizycznego i choć aż do lata 1953 r. rozszerzał się krąg wciąganych w śledztwo (pięć miesięcy po śmierci Stalina aresztowano Michała Żymierskiego), nie sformułowano zadowalającej wersji aktu oskarżenia. W ten sposób polskich komunistów ominął los ich towarzyszy czeskich, węgierskich czy bułgarskich.

Wszystko jednak skupiło się na tych, którzy mieli być ogniwem pośrednim w

procesie Gomułki "i towarzyszy". W sierpniu 1951 r., wówczas gdy uwożono z krynickich wczasów byłego sekretarza generalnego PPR, przed Najwyższym Sądem Wojskowym toczył się proces dziewięciu wyższych oficerów - w tym czterech generałów - znany jako "proces Tatara". Wszyscy oskarżeni byli o stworzenie "kontrrewolucyjnej organizacji", a jako osobę, która - co najmniej - ułatwiła im "przeniknięcie" do wojska wymieniano Spychalskiego. Spora część z około 1200 zawodowych oficerów przedwojennych służących w WP siedziała już w więzieniach, a w serii tajnych procesów skazano na karę śmierci blisko 40 osób, spośród których 20 stracono.

Uwikłanie przedwojennej kadry oficerskiej, jakkolwiek w oczywisty sposób związane z przygotowywanym procesem Gomułki, miało także osobny cel. 6 listopada 1949 r., w przeddzień uroczyście święconej rocznicy rewolucji, nowym ministrem obrony narodowej a jednocześnie marszałkiem Polski został wybitny dowódca radziecki, ostatnio szef stacjonującej w Polsce Północnej Grupy Wojsk Konstanty Rokossowski. Wraz z nim, do wcale licznych już oficerów radzieckich dołączyli kolejni pułkownicy i generałowie z ZSRR i wnet niemal wszystkie - poza Głównym Zarządem Polityczno-Wychowawczym - wyższe stanowiska dowódcze piastowali obywatele radzieccy. Największa po radzieckiej europejska armia bloku komunistycznego, licząca w początkach 1953 r. 410 tys. ludzi (w grudniu 1948 r., po demobilizacji, stan WP wynosił 140 tys. żołnierzy i oficerów), została poddana całkowitej kontroli. Od ministra poprzez szefa Sztabu Generalnego po szefów rodzajów broni i okręgów wojskowych dowodzili nią oficerowie Armii Czerwonej: 52 generałów, 670 oficerów, a dodatkowo ok. 200 doradców (głównie w przemyśle zbrojeniowym). Chodziło o uzyskanie pełnej dyspozycyjności na ewentualność - poważnie rozważaną - rozpoczęcia działań ofensywnych w Europie, ale też o wzmocnienie wartości bojowej LWP oraz całkowitą unifikację doktryny, metod szkolenia, organizacji i wyposażenia.

Armia ta, od swych narodzin będąca instrumentem (i miejscem) indoktrynacji, była także ważnym elementem kontroli i dyscyplinowania całego społeczeństwa. Temu m.in. służyła komórka wojskowego kontrwywiadu używającego (od marca 1945 r.) nazwy Główny Zarząd Informacji, nie podlegająca szefowi sztabu, ale wprost ministerstwu. GZI, wraz z komórkami w różnych rodzajach broni, okręgach wojskowych i wielkich jednostkach, liczył ponad tysiąc funkcjonariuszy i dysponował własną siatką agenturalną, która rozrosła się z niespełna 9 tys. w 1948 r. do ponad 23 tys. pięć lat później. Informacja miała w 1953 r. w swojej ewidencji i "na rozpracowaniu" blisko 18 tys. osób, w tym 5,5 tys. oficerów służby czynnej. Znana z niezwykłej brutalności trzymała w strachu zarówno korpus zawodowy, jak i żołnierzy.

Była też jednym z głównych koordynatorów czystki i wymiany kadr: w latach 1949-1954 zwolniono z wojska ok. 10 tys. oficerów, zastępując ich szybko promowanymi absolwentami przyspieszonych szkoleń. "Nie matura, lecz chęć szczera zrobi z ciebie oficera" - głosił slogan zachęcający do służby zawodowej rozpowszechniany już od 1945 r. Odgrywały tu rolę podobne (lub te same) czynniki, które były przyczyną masowego awansu społecznego "w cywilu", zwłaszcza że odpowiednie pochodzenie społeczne było w wojsku jeszcze ważniejsze niż przy obsadzaniu stanowisk w administracji. Trzymane żelazną ręką nie tylko przełożonych, ale i funkcjonariuszy z Informacji, wojsko stało się pewną podporą systemu i oddziaływało daleko poza

koszarami. Uczestniczyło w wielkiej liczbie akcji propagandowych, masowych kampaniach (np. podpisywanie kolejnych apeli w obronie pokoju), wypuszczało rokrocznie dziesiątki tysięcy młodych ludzi po paroletniej indoktrynacji, miało w swej pieczy masową organizację (Liga Obrony Kraju przekształcona w 1950 r. w Ligę Przyjaciół Żołnierza). Było aktywnym uczestnikiem "walki klasowej".

Emigracja: cienie "zimnej wojny"

W miarę wzmagania się "zimnej wojny" polityka amerykańska, decydująca dla Zachodu, poszukiwała nowych form i instrumentów oddziaływania. Jednym z nich miały stać się - w myśl założeń opracowanych w Departamencie Stanu - emigracje z krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Wprowadziło to nowe elementy do działalności emigracji polskiej, ale także przysporzyło jej konfliktów i niesnasek, wynikających m.in. z rywalizacji o kontakty z Departamentem Stanu i powstałymi z jego inspiracji organizacjami. Amerykanie (także Brytyjczycy) domagali się zjednoczenia ośrodków emigracyjnych, a wobec trwającego ich rozbicia - występowało ono, może nawet silniej niż wśród Polaków, także w innych środowiskach narodowych - rezerwowali sobie prawo doboru partnera.

Głównym na zewnątrz organizatorem współpracy emigracji z krajów leżących między Zatoką Fińską a Rodopami był utworzony w czerwcu 1949 r. Komitet Wolnej Europy z siedzibą w Nowym Jorku, finansowany przede wszystkim ze źródeł państwowych. Podstawowym terenem jego działalności była propaganda - kierowana zarówno w stronę społeczeństw zachodnich, jak i (z czasem coraz wyraźniej) państw komunistycznych. Najważniejszym przejawem tej akcji było utworzenie Radia Wolna Europa, której Sekcja Polska rozpoczęła regularne emisje z Monachium 3 maja 1952 r. Innym - powołanie Zgromadzenia Europejskich Narodów Ujarzmionych (angielski skrót - ACEN), którego działalność zainaugurowano 20 listopada 1954 r., z siedzibą w pobliżu nowojorskich gmachów ONZ.

Uruchomiono także kanał niejawny, zarządzany przez utworzoną w 1947 r. Centralną Agencję Wywiadowczą (CIA). W wielu środowiskach emigracyjnych (nie tylko polskich) odnowiły się - zwłaszcza po wybuchu wojny koreańskiej - nadzieje na wybuch konfliktu światowego, podsycane m.in. przebiegiem kampanii wyborczej republikańskiego kandydata na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych gen. Dwight Eisenhowera. Ze strony amerykańskiej tendencje te znajdowały poparcie w wypowiedziach o konieczności wprowadzenia nowej doktryny - "odpychania" (roll back), a także w natężeniu wewnętrznej kampanii antykomunistycznej.

Zmiany te nie wywarły zrazu wpływu na polskie elity w Londynie, w których wówczas, gdy Amerykanie zaczęli coraz mocniej podkreślać konieczność zjednoczenia emigracji, doszło do kolejnego rozłamu. Miał on znacznie szerszy zasięg niż przejście do opozycji PPS w 1947 r. i jej krótkotrwały alians z PSL. Od początku 1949 r. rysował się kryzys w gabinecie gen. Komorowskiego, który opuściły już wszystkie tradycyjne partie polityczne. Tym razem motorem zmian stało się SN, a inicjatorem jego przywódca Tadeusz Bielecki. "Zamek" - jak nazywano obóz skupiony wokół prezydenta Zaleskiego

- ratował się powołaniem Rady Narodowej (czerwiec 1949 r.), do której jednak nie weszła opozycja. W odpowiedzi na próbę utrzymania wpływów w polskiej "kombatanckiej diasporze", jaką było utworzenie Skarbu Narodowego, opozycyjne partie powołały (grudzień 1949 r.) Radę Polityczną. Wobec zastrzeżeń, jakie większość tworzących ją ugrupowań miało w stosunku do Mikołajczyka, doszło do rozłamu w PSL i utworzenia przez Bagińskiego i Korbońskiego - którzy nie byli obciążeni bezpośrednio "jałtańską zdradą" - osobnej partii ludowej.

Trzon Rady Politycznej stanowiły PPS, SN oraz NiD, ale przyłączył się do niej także gen. Komorowski. Mikołajczyk, broniąc swojej pozycji, zorganizował Polski Narodowy Komitet Demokratyczny (maj 1950 r.), do którego zdołał zachęcić jednak tylko część SD i popielowskie SP. W ten sposób emigracyjna scena polityczna została podzielona na trzy segmenty, stawiając w niezręcznej sytuacji nie tylko Komitet Wolnej Europy, ale prowokując odsuwanie się od niej mas emigracyjnych, źle reagujących na mnożące się wzajemne rekryminacje i - częste - obelgi.

Latem 1950 r. Komisja Krajowa Rady Politycznej nawiązała kontakt z ośrodkami amerykańskiego wywiadu i na podstawie umowy, w zamian za otrzymanie środków finansowych w wysokości ok. 1 mln dol. i ułatwień technicznych, zorganizowała kursy wywiadowczo-dywersyjne (w miejscowości Berg k. Monachium). Ponad 1/4 przerzuconych do kraju kurierów i wywiadowców natychmiast wpadła, wszystkie bowiem kanały łączności z krajem - zbudowane na strukturze WiN - były kontrolowane przez MBP. Aż do 1954 r., gdy "sprawa Bergu" - "handlarzy krwią", jak to określił Stanisław Mackiewicz - stała się przedmiotem publicznych debat, kontakty te nie wywierały widocznego wpływu na bieg wydarzeń. W tym okresie ponawiano próby doprowadzenia do porozumienia. Momentem, jak się wydawało, przełomowym stała się mediacja gen. Kazimierza Sosnkowskiego, który od 1944 r. przebywał w swym "kanadyjskim Sulejówku". W grudniu 1952 r. przybył do Londynu i podjął - trwające ponad rok - starania o znalezienie modus vivendi między "Zamkiem" a Radą Polityczną. Gdy doszło już do solennego porozumienia i główne siły polityczne 14 marca 1954 r. podpisały Akt Zjednoczenia, konsensus został zerwany przez prezydenta Zaleskiego, który odmówił - przyrzeczonego - ustąpienia z urzędu.

W rezultacie przytłaczająca część emigracyjnych ośrodków politycznych nie uznała jego prezydentury. W czerwcu 1954 r. powołana została Tymczasowa Rada Jedności Narodowej - pod przewodnictwem T. Bieleckiego - która wyłoniła Egzekutywę Zjednoczenia Narodowego oraz zaproponowała wybitnym przedstawicielom emigracji utworzenie Rady Trzech. Weszli do niej gen. Anders, Arciszewski i Raczyński, co oznaczało odejście z obozu "zamkowego" nieomal wszystkich osobistości cieszących się szerszym autorytetem. Dwa lata później TRJN nadała Radzie "uprawnienia prezydenta", utrwalając podział, który miał istnieć aż do 1972 r. Mikołajczyk znalazł się całkowicie na marginesie wszystkich kombinacji politycznych, ale posiadał wciąż liczące się wpływy w administracji waszyngtońskiej. Ta część emigracji, która trzymała się tradycyjnych form działania poprzez partie polityczne i tak mocno już nadwerężone instytucje państwowe, coraz wyraźniej traciła - jak pisał w 1959 r. Raczyński - "synchronizację z biegiem dziejów". Na pierwszy plan zaczęły wysuwać się ośrodki proponujące

nowe formuły oddziaływania politycznego: Radio Wolna Europa, sprężyście i samodzielnie kierowane przez Jana Nowaka-Jeziorańskiego, oraz istniejący już od 1946 r. (od 1947 r. we Francji) Instytut Literacki założony przez Jerzego Giedroycia z jego miesięcznikiem "Kultura". Oba te ośrodki koncentrowały się na oddziaływaniu na kraj i choćby tylko dlatego znacznie lepiej wyczuwały jego potrzeby, wśród których ocalenie - i umocnienie - tożsamości kulturowej było ważniejsze niż sprawa konfliktu wokół prezydentury.

Giedroyc już w 1951 r. postawił "polski Londyn" przed ważnym dylematem, który wynikł po opuszczeniu kraju przez Czesława Miłosza. Wbrew atakom "Londynu" na poetę - a niebawem eseistę, który w Zniewolonym umyśle zaproponował nowe odczytanie problemu uległości wobec komunizmu - środowisko Instytutu Literackiego całkowicie zaaprobowało jego osobę i koncepcje. Dodatkowych trudności w funkcjonowaniu ośrodków emigracyjnych przysparzała ich infiltracja przez polski aparat bezpieczeństwa, nasilająca się zwłaszcza w okresie, gdy pojawiły się pierwsze oznaki odprężenia. Zjawisko to obejmowało zresztą wszystkie emigracje z Europy Środkowo-Wschodniej i było przyspieszane bezpośrednimi impulsami z Moskwy. Wydarzeniem - niesłusznie - zbagatelizowanym przez emigrację był powrót do kraju we wrześniu 1955 r. powołanego dopiero co na premiera, mało znanego działacza chadeckiego Hugona Hanke. Ten od 1953 r. płatny agent UB wylądował na Okęciu w czasie, gdy tworzono Towarzystwo "Polonia" i rozpoczynała swoje audycje Radiostacja "Kraj". Obie te instytucje służyły skłóceniu nowej i przyciągnięciu rzesz "starej" emigracji.

Proces "odwilży" działał demobilizująco na wielu wychodźców. Zrezygnował z aktywności politycznej i wrócił - po wielokrotnych staraniach jeszcze w latach 1947-1949 - jeden z czołowych "nieprzejednanych" Stanisław Mackiewicz. Wydarzenia 1956 r. doprowadziły też do nowych podziałów, gdy niektórzy politycy (m.in. Jędrzej Giertych z SN, Zygmunt Zaremba z PPS czy Stanisław Wójcik, który odłączył się od mikołajczykowskiego PSL) skłonni byli udzielać - mniej lub bardziej zdecydowanego - poparcia Gomułce, którego często przedstawiano wówczas (nie tylko na emigracji) jako "narodowego komunistę". Wyrazy poparcia dla liberalizacji w kraju znalazły się też w audycjach Wolnej Europy i publicystyce "Kultury", ale chyba liczniejsi wśród polityków emigracyjnych byli ci, którzy nie wierzyli w patriotyzm Gomułki. Należał do nich m.in. Mikołajczyk, który nawet liczył przez pewien czas na możliwość powrotu do kraju po osiągnięciu porozumienia z Chruszczowem.

Na powrót do kraju, ale bez żadnych nadziei na odgrywanie jakiejkolwiek roli, decydowali się nieliczni politycy (m.in. Jerzy Zdziechowski, Juliusz Poniatowski) starszej generacji. Liczniej przenosili się do Polski pisarze: Teodor Parnicki, Maria Kuncewiczowa, Melchior Wańkowicz. Inni ulegali pokusie publikowania tu swoich utworów (w tym także Witold Gombrowicz) czy składania nad Wisłą artystycznych wizyt (jak słynny pianista Witold Małcużyński). Nawet niektórzy wojskowi - jak gen. Antoni Chruściel "Monter" - ubiegali się (daremnie) o umożliwienie im powrotu.

W latach 1955-1956 Amerykanie porzucili w zasadzie dotychczasowe starania o utworzenie na emigracji "przyczółków" politycznych, ograniczając się do podtrzymywania swoich wpływów za pośrednictwem radia i ograniczonego sponsorowania ruchu wydawniczego. Funkcjonował jeszcze ACEN i parę innych

inicjatyw, ale ich skuteczność jako środków nacisku na politykę Kremla była znikoma. Politycy emigracyjni zdani byli na własne - coraz mniejsze i bardziej rozproszone - siły. Nie tracili ich jednak liczni pisarze, poeci, publicyści i badacze tworząc - w czasie, gdy politycy grążyli się w "potępieńczych swarach" - dzieła, które znalazły się w kanonie narodowej kultury i powoli wchodziły do obiegu w kraju. Twórczość Kazimierza Wierzyńskiego, Czesława Miłosza, Witolda Gombrowicza, Mariana Hemara, prace

Władysława Poboga-Malinowskiego, Mariana Kukiela czy Oskara Haleckiego stały się własnością niezależnego ruchu umysłowego, wywierając - jak się wydaje - znacznie większy wpływ na wydarzenia w Polsce niż działalność nawet najbardziej zasłużonych polityków cieszących się powszechnym autorytetem od Londynu przez Chicago po Melbourne.

Ostatnie reduty

Pod nieustającymi ciosami konspiracja powoli zamierała, ale KBW w latach 1949-1955 aresztował jeszcze ok. 16 tys. osób, w tym tysiąc zostało ujętych w walce. Dzień w dzień odbywały się procesy będące akompaniamentem do działań organów bezpieczeństwa. Za przynależność do "nielegalnego związku" tylko sądy wojskowe skazały w latach 1950-1953 ponad 9,5 tys. osób. Zestawienia sporządzone przez MSW rejestrują dla lat 1948-1954 ponad 500 grup i organizacji, które podejmowały - lub zamierzały podjąć - "działalność antypaństwową". W większości były to bardzo małe grupki, ich członkowie częściej myśleli, aby "coś zrobić" niż rzeczywiście zdołali dokonać jakiegoś zamachu lub aktu oporu. Niektóre z nich zostały raczej wymyślone przez chcących wykazać się "ubeków" niż istniały w rzeczywistości.

Niemniej można sądzić, że co najmniej kilkanaście (a może nawet kilkadziesiąt) tysięcy osób chciało czynnie wyrazić swój sprzeciw. I nieraz wyrażało: nie było dnia, aby nie napływały do warszawskiej centrali meldunki o znalezionych ulotkach, napisach na murach, w szkołach, fabrykach czy (rzadziej) urzędach, zrywaniu flag wywieszanych na 1 maja, 22 lipca czy 7 listopada, rozbijaniu propagandowych gablot. Aczkolwiek każdy atak na funkcjonariuszy MO i UB, każdy napad na spółdzielnię czy "własność społeczną" traktowany był jako czyn antypaństwowy, a więc polityczny (w 1951 r. uznano za taki okradzenie zagranicznych kolarzy uczestniczących w Wyścigu Pokoju), nie ma powodu, aby sądzić, że nie było wśród nich także aktów dokonanych z pobudek wyłącznie politycznych.

Nie wszystkie awarie były wynikiem błędów technologicznych, marnej jakości urządzeń czy kiepskiego przygotowania fachowego robotników. Zdarzał się świadomy, choć raczej indywidualny niż zorganizowany, sabotaż. Za akt czynnego oporu można by też uznać - częściej nieudane niż kończące się powodzeniem - ucieczki za granicę. Wedle ustaleń WOP w 1950 r. 38%, a w 1954 r. już 74% schwytanych motywowało swoją próbę względami politycznymi (a następne 13% określało przyczyny jako "polityczno-ustrojowe"). Z kraju, którego strzegło 300 km płotu z drutu kolczastego, ponad 10 tys. wyrzutni rakiet oświetlających, 100 km elektrycznych urządzeń sygnalizujących i 1,2

tys. wież obserwacyjnych, próbowało uciekać co najmniej tysiąc osób rocznie.

W zdecydowanej większości uczestnikami tych działań nie byli bynajmniej "andersowcy", "wuerenowcy" czy "faszyści spod znaku NSZ", na ogół dawno zdekonspirowani, siedzący w więzieniach, figurujący w kartotekach. Pisali ulotki i malowali na ścianach młodzi lub bardzo młodzi ludzie. Na przełomie 1954ż8ş1955, po półtoramiesięcznych staraniach, aresztowano w Warszawie grupę, która rozrzuciła ponad 2,5 tys. ulotek różnej treści: "straciliśmy towarzysze - skarżył się jeden z szefów stołecznego UB - dużo sił na to, a okazało się, że była to organizacja złożona z chłopców lat 13, 14, 15. Chłopcy ci byli na filmie Bogdana Czeszki [w reżyserii Andrzeja Wajdy] "Pokolenie" i z tego filmu wzięli sobie wzór. Pierwsze ulotki wydrukowali "Wstępujcie do Związku Walki Młodych!"".

Jeden z wyższych funkcjonariuszy centrali zajmujący się młodzieżą, Feliks Dwojak, szacował na początku 1955 r., iż w ciągu kilku lat "zlikwidowano" organizacje młodzieżowe liczące łącznie ok. 10 tys. osób, a za najgroźniejsze uznał środowiska starszej młodzieży ze szkół średnich ("łatwość dokonywania gwałtownych zamachów", "duża ilość nielegalnych ulotek"). W całym kraju odbywały się liczne procesy grup młodzieżowych, niektórym nadawano charakter publiczny i nie zawsze udało się je odpowiednio "przygotować". W 1951 r, publicznej rozprawie w Sieradzu, przeciwko grupie pn. "Katyń", "przysłuchiwała się miejscowa ludność, a w szczególności młodzież szkolna - z naganą referował płk Józef Czaplicki - która po ogłoszonym wyroku zgrupowała się przed gmachem sądu i z chwilą konwojowania skazanych odkrytym samochodem zaczęła rzucać im kwiaty, papierosy oraz przesyłać pozdrowienia". Wciąganie młodzieży do organizacji będących przybudówkami PZPR nie chroniło jej bynajmniej przed pokusą uczestnictwa w oporze: w 1949 r. 20%, a rok później już 40% aresztowanych młodych ludzi było członkami ZMP. Im bardziej masowe stawały się i partia, i ZMP, tym mniej ich członkowie różnili się od całego społeczeństwa także pod względem stosunku do reżimu.

W tym "młodzieżowym ruchu oporu" wiele było z pewnością zwykłej przekory i nie zawsze uświadamianego buntu przeciwko światowi dorosłych. Naturalne wszakże było, iż wówczas, gdy obraz tego świata wyznaczany był przez slogany komunistyczne, a uosabiany przez ubeka czy partyjniaka, protest kierował się właśnie przeciwko nim. Najczęściej przybierał formy znane jeszcze nie tak dawno jako "mały sabotaż": w 1950 r. w Grudziądzu nie rozszyfrowana grupa "w ciągu trzech miesięcy prowadziła akcję opryskiwania farbą albo atramentem" różnych propagandowych obiektów, "doprowadzając faktycznie - mówił Czaplicki - do usunięcia z miasta wszystkich elementów propagandy". Trudno nazwać "dziecinadą" rzucenie kałamarzem w wiszący nad tablicą portret Bieruta, jeżeli szło się za to na parę lat do więzienia i narażało się na dotkliwe bicie w śledztwie.

Głośnymi bohaterami dla znacznej części społeczeństwa byli sądzeni w wielkich procesach oficerowie, konspiratorzy z WiN czy Stronnictwa Narodowego, cichymi - nie znani chłopcy, którzy dewastowali gabloty i podkładali (często ręcznie pisane) ulotki. Był to, wbrew twierdzeniom władz, opór spontaniczny, rozproszony, nie mający żadnych wykrystalizowanych założeń nie tylko programowych, ale i organizacyjnych, a członkowie różnych grup spotykali się chyba tylko w więziennych celach.

Podobny był także stan grupek będących niedobitkami Wielkiej Konspiracji, zapoczątkowanej w tragiczną jesień roku 1939. Aż do 1954ż8ş1955 r. powtarzały się ataki zbrojne - najczęściej na milicjantów lub funkcjonariuszy UB - a o zlikwidowaniu ostatniej "bandy" zameldowano dopiero w 1956 r. Wśród zdecydowanych na podejmowanie działań bardziej drastycznych niż "ulotkowanie" (np. gromadzenie broni i jej zdobywanie) nie brakło też młodych ludzi, dla których walki akowców czy akcje winowców były po prostu częścią polskiej tradycji romantycznej spod znaku spisku koronacyjnego i "liberum konspiro". W środowiskach starszej młodzieży szkolnej i studenckiej działały też różnego rodzaju "kółka samokształceniowe", w których uczono się antykomunistycznej wykładni historii ojczystej, pielęgnowano tradycje AK, czytywano zakazaną literaturę. W takich właśnie grupkach dosyć często rodziły się pomysły podjęcia jakichś bardziej konkretnych działań.

Zdławienie opozycji legalnej i rozbicie konspiracji przyczyniło się do wysunięcia na plan pierwszy instytucji, która od dawna uznawana była przez większość Polaków za fundament tożsamości narodowej i puklerz przeciwko obcej dominacji: Kościół katolicki.

Co najmniej od jesieni 1946 r. PPR, zarówno "po linii" MBP, jak i propagandowej, podjęła na szerszą skalę przygotowania do ataku, ale do działań bardziej zdecydowanych przystąpiono wiosną 1948 r. Podjęto wówczas silną kampanię propagandową w związku z orędziem Piusa XII do biskupów niemieckich, w którym papież pisał m.in. o losie 12 mln wypędzonych Niemców. Wprawdzie wydarzenia wewnętrzne - przyspieszenie procesu połączeniowego PPR i PPS oraz sprawa odchylenia prawicowonacjonalistycznego - zaabsorbowały kierownictwo partyjne, niemniej zaczęto wywierać coraz większy nacisk administracyjny, likwidując wiele szkół zakonnych i domów dziecka. Episkopat przyjmował wprawdzie postawę obronną, wzywał do spokoju i otwarcie apelował o przerwanie akcji konspiracyjnych, ale - np. w liście pasterskim z 24 kwietnia 1948 r. - wyrażał nadzieję na przyszłość i odwoływał się do wiary w ducha narodu, który "musi pozostać silny, żywotny, zdolny do urzeczywistnienia tego, co jutro ma stanowić o jego wielkości". Zaprawdę miał rację wiceminister bezpieczeństwa. Roman Romkowski ostrzegając swoich podwładnych, że z Kościołem "nie pójdzie tak łatwo jak z PSL".

Los dodatkowo utrudnił wojnę z Kościołem, która dla władzy nie była niczym innym, jak elementem odwiecznej "walki klas": przed południem 22 października 1948 r. zmarł 67-letni prymas Polski kardynał August Hlond, a po paru tygodniach miejsce jego zajął o dwadzieścia lat młodszy, znany z działalności duszpasterskiej, formacyjnej i publicystycznej jeszcze przed wojną, niedawno wyświęcony na biskupa lubelskiego ks. Stefan Wyszyński. Władza znalazła w nim trudnego przeciwnika - duszpasterza i polityka, który potrafił łączyć wytrwałość wiernego syna Kościoła i strażnika imponderabiliów z elastycznością wytrawnego męża stanu.

Nim jednak nowy prymas objął urzędowanie, w drugiej połowie 1948 r., władze zdołały w znacznej mierze "uporządkować" niewygodny dla nich problem działalności katolickich grup politycznych. Na przełomie sierpnia i września 1948 r. zlikwidowano "Tygodnik Warszawski", a do więzień trafili zarówno jego świeccy (Jerzy Braun, Kazimierz Studentowicz, Jan Hoppe, Konstanty Turowski, Antoni Antczak), jak i duchowni (ks. Zygmunt Kaczyński)

organizatorzy. Pod nieobecność Karola Popiela, który wyjechał z kraju jeszcze w październiku poprzedniego roku, formacja chrześcijańsko-demokratyczna została w istocie całkowicie rozbita. Środowisko krakowskiego "Tygodnika Powszechnego", zawsze mniej upolitycznione i bardziej skłonne do ustępstw, znalazło się pod szczególną presją cenzury i wyraźnie zeszło na grunt obrony wartości kulturowych, rezygnując z wypowiedzi o charakterze stricte politycznym. Szczególnie miesięcznik "Znak", związany ściśle z "Tygodnikiem", akcentował - m.in. piórem Stanisława Stommy - tę linię.

W ciągu 1948 r. nastąpił też definitywny rozpad dotychczasowej współpracy grup chrześcijańsko-demokratycznych i "tygodnikowców" ze środowiskiem skupionym wokół Bolesława Piaseckiego, choć jeszcze w marcu oba środowiska wspólnie sygnowały list krytycznie oceniający wspomniane wystąpienie papieża do biskupów niemieckich. Likwidacja "Tygodnika Warszawskiego" i pałacowy przewrót w PPR - a także wyraźna już linia zaostrzenia walki z Kościołem - przyczyniły się do krystalizacji linii grupy Piaseckiego. Ukazanie się 5 grudnia 1948 r. na łamach tygodnika "Dziś i jutro" artykułu List otwarty do Pana Juliusza Łady, autorstwa Konstantego Łubieńskiego, uznać można za moment zwrotny: podobnie jak stronnictwa satelitarne, tak i przyszły PAX opowiedział się za socjalizmem, uznając, iż "w danym okresie" jest "najdoskonalszym wzorem ładu materialnego", a wraz z katolicyzmem stanowią siły, które "stworzą erę nowego "złotego wieku"". Piasecki, nie bez inspiracji ze strony władz - w tym także MBP - próbował zająć pozycję pośrednika między rządzącą partią a Kościołem instytucjonalnym. Aktywność tego środowiska stanowiła więc wobec katolicyzmu odstępstwo w dwóch znaczeniach: doktrynalnym i instytucjonalnym. Hierarchia polskiego Kościoła i nowy prymas osobiście stracili możliwość oparcia się na świeckich działaczach politycznych, którzy zachowali niezależność wobec PZPR.

Rok 1949 przyniósł - zapowiadane oficjalnie z trybuny I Zjazdu PZPR, a nieoficjalnie na odprawach w MBP i posiedzeniach różnych partyjnych gremiów - wyraźne zaostrzenie ataków na Kościół. 14 marca świeżo mianowany minister administracji publicznej Władysław Wolski podpisał oświadczenie rządowe brutalnie atakujące wielu hierarchów i stwierdzające, że kler "wzmógł" działalność wrogą państwu. Za dokumentem tym poszła starannie przygotowana akcja propagandowa, w której sięgnięto do agentów MBP w środowiskach katolickich i nakazano im występować "na masówkach i wiecach oraz na zebraniach organizacji masowych z deklaracjami, iż im jako katolikom taka płaszczyzna, jaką proponuje rząd, w pełni odpowiada".

Atmosferę "podgrzał" - ale i z jej temperatury wynikał - "cud lubelski" (3 lipca), który gromadził tysięczne tłumy wiernych (i ciekawskich). W tej sytuacji dekret papieski z 13 lipca grożący ekskomuniką za przynależność do partii komunistycznej - co we Włoszech było nieomal notoryczne - uznany został za dogodny pretekst do zaostrzenia ataku. 5 sierpnia ogłoszono dekret "o ochronie wolności sumienia i wyznania", zgodnie z którym podlegał karze do 5 lat więzienia ten, "kto nadużywa wolności wyznania, odmawiając obrzędu lub czynności religijnych z powodu działalności lub poglądów politycznych, społecznych albo naukowych". Na "wyjaśniające i ostrzegawcze" rozmowy wezwano blisko 5,5 tys. księży. Biuro Polityczne przyjęło rozbudowany plan objęcia kontrolą organizacji młodzieżowych i "Caritasu", odebrania zgromadzeniom zakonnym szpitali, likwidacji fundacji kościelnych,

ograniczenia uroczystości religijnych poza terenami przykościelnymi. W ramach ogólnej akcji ograniczania liczby wydawnictw, zlikwidowano większość prasy katolickiej. Kościół, chcąc oszczędzić wiernym dodatkowych szykan, zawiesił lub "uśpił" większość organizacji młodzieżowych i dewocyjnych.

Działania władz były skuteczniejsze dzięki temu, że udało się znaleźć współpracowników bezpośrednio w środowisku duchownych, gdy przy utworzonym 1 września 1949 r. Związku Bojowników o Wolność i Demokrację powstało Koło Księży. Posunięcie to mogło być traktowane jako pierwszy krok ku utworzeniu czegoś w rodzaju "kościoła narodowego" i schizmy. Wydaje się jednak, iż w instancjach prowadzących akcję na terenie kościelnym przeważała opinia, że "księża patrioci" - jak powszechnie (i oficjalnie) nazywano członków owego Koła kombatanckiego - mają być raczej instrumentem nacisku niż zaczynem dla "kontrkościoła". Jeden z wyższych funkcjonariuszy PZPR zajmujący się tymi sprawami, Antoni Bida, ostrzegał nawet podwładnych, że "kto zechce przenieść wojnę klasową na wojnę dogmatyczną - przegra". Owa "wojna klasowa" oznaczać miała przeciwstawianie dostojnikom kościelnym "szeregowych duchownych", których rekrutowano, grając na ambicjach, zadawnionych nieraz konfliktach między wikarymi a starszymi proboszczami, a także - i to bynajmniej nie na ostatnim planie - stosując szantaż obyczajowy wedle odwiecznego schematu ("korek, worek i rozporek").

`nv

Ostatnie reduty (cd.)

Po długotrwałych rozmowach, w których jako mediator występował osobiście Piasecki, toczonych w atmosferze nieustających nacisków i kampanii propagandowej, 14 kwietnia 1950 r. podpisano "Porozumienie między przedstawicielami rządu Rzeczypospolitej Polskiej i Episkopatu Polski". Prymas, mający poparcie bodaj całego Episkopatu, w tym także sędziwego kardynała Sapiehy, zdecydował się na daleko idące ustępstwa: Kościół uznał potrzebę nauczania o poszanowaniu prawa i władzy państwowej, potępiania konspiracji, wystąpień "antypolskich i rewizjonistycznych" kleru niemieckiego, nieprzeciwstawiania się kolektywizacji wsi, wspierania "walki o pokój" i kierowania się "polską racją stanu". W zamian rząd dopuszczał nauczanie religii w szkołach, duszpasterską obecność Kościoła w wojsku, więzieniach i szpitalach, prowadzenie seminariów i istnienie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, prawo do posiadania prasy i prowadzenia przez zakony szkół. Problem polegał wszakże na tym, iż państwo miało środki mogące wymusić stosowne zachowania księży i zakonników, Kościół zaś mógł liczyć tylko na dobrą wolę. A tej oczywiście nie było.

Nic więc dziwnego, że nacisk na Kościół nie ustawał. Już w maju 1950 r. dotkliwie ograniczono klasztorną i biskupią własność ziemską, a biskup chełmiński Kazimierz Kowalski powiększył grono ponad 100 księży przebywających w więzieniach. Religia sytematycznie wypierana była ze szkół, katechetów - tam gdzie ostawali się - traktowano jak intruzów, dostęp księży do więzień regulowany był przez MBP, któremu podlegało całe więziennictwo, przydziały papieru ostro limitowały możliwości wydawnicze. Zgodnie z maksymą divide et impera dopuszczono do utworzenia przez Piaseckiego Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich przy Froncie Narodowym, co miało dodatkowo szachować Episkopat, a także - na wszelki wypadek - trzymać w ryzach "księży patriotów". Środowisko Piaseckiego

brnęło coraz dalej nie tylko w uległości wobec władzy, ale także doktrynalnie. Właśnie wówczas przyjęto (w wewnętrznych "Wytycznych") założenie, że marksizm pokona kapitalizm, a wówczas - dzięki ich właśnie inicjatywie - filozoficzne "błędy marksizmu" zostaną przezwyciężone przez katolicyzm i powstanie system synkretyczny: katolicki w filozofii, a socjalistyczny pod względem ustrojowym i politycznym.

W styczniu 1951 r, usunięci zostali przez władzę - z zastosowaniem przymusu - tymczasowi administratorzy pięciu diecezji z województw północnych i zachodnich, a na ich miejsce wymuszono "wybór" uległych rządowi wikariuszy generalnych. 20 stycznia aresztowano kolejnego hierarchę kieleckiego bp. Czesława Kaczmarka. W marcu odbył się pokazowy proces działaczy SP. Sfałszowany stenogram procesu nosił wyzywający tytuł - "Sojusznicy Gestapo". W indywidualnych procesach skazano na kary sięgające dożywocia kilkunastu członków redakcji i współpracowników "Tygodnika Warszawskiego". Spośród skazanych zmarli w więzieniach Antoni Antczak i ks. Zygmunt Kaczyński.

Prymas Wyszyński próbował ratować sytuację, udzielając jurysdykcji wikariuszom generalnym i w kilku rozmowach z Bierutem usiłował znaleźć, choćby doraźne, modus vivendi. Udało mu się - podczas pobytu w Watykanie - uzyskać zgodę papieża na mianowanie biskupów tytularnych dla pięciu osieroconych diecezji, ale Bierut odrzucił to ustępstwo. Propaganda wzmogła ataki zarzucając Episkopatowi i Watykanowi, iż powodują utrzymanie tymczasowości ziem zachodnich.

Gra jednak toczyła się dalej, a jednym z jej elementów było formalne powołanie Stowarzyszenia PAX (9 kwietnia 1952 r.), co dawało grupie Piaseckiego nowe, znacznie szersze możliwości działania, a było związane ze spodziewanymi wyborami do Sejmu. W istocie - PAX uzyskał 5 miejsc na listach Frontu Narodowego, a także szczególne traktowanie (m.in. przez ulgi podatkowe) jego bazy materialnej. Powołanie nowego Sejmu oznaczało jednak nie tylko sukces PAX, ale wyznaczało moment, w którym władze rozpoczęły generalny - i jak sądzono decydujący - atak na Kościół instytucjonalny. W listopadzie usunięto (siłą) biskupów katowickich, aresztowano 5 księży z krakowskiej kurii metropolitalnej, a wnet do więzienia trafił abp Antoni Baraniak. W styczniu 1953 r. odmówiono prymasowi wydania paszportu na wyjazd do Rzymu, a 27 tegoż miesiąca zakończył się - wysokimi wyrokami i przy ogłuszającej kampanii propagandowej - proces księży krakowskich. Zakończono też prace nad dekretem "o obsadzaniu stanowisk kościelnych", który ogłoszono 9 lutego. Rozporządzenia wykonawcze zaostrzały jego postanowienia, oddając całą "politykę personalną" Kościoła pod nadzór administracji. Była to oczywista próba podporządkowania Kościoła, co zostało już - za przykładem radzieckim jeszcze z lat 20. - osiągnięte we wszystkich państwach zależnych od Moskwy. Dla przeprowadzenia tej operacji następowała rozbudowa agend MBP zajmujących się Kościołem, a w styczniu 1953 r. powołano (na miejsce dotychczasowego wydziału) osobny departament (XI) mający swoje odpowiedniki do szczebla powiatu.

Episkopat i prymas postanowili przyjąć wyzwanie. 8 maja Konferencja Episkopatu zaakceptowała tekst listu do Bieruta i - co istotniejsze - 4 czerwca, wobec dwustutysięcznego tłumu zgromadzonego na warszawskiej procesji Bożego Ciała, prymas Wyszyński list ten odczytał: "Rzeczy Bożych na ołtarzach Cezara składać nam nie wolno. Non possumus!". Latem

kierownictwo PZPR zdecydowało się - po konsultacji, którą Bierut osobiście przeprowadził w Moskwie z nową, postalinowską (i postberiowską) ekipą - na kolejny krok mający na celu wymuszenie uległości prymasa. 14 września 1953 r. rozpoczął się publiczny proces bp. Kaczmarka, a gdy po ośmiodniowej rozprawie zapadł wyrok skazujący (12 lat), w ultymatywnym tonie zwrócono się do prymasa z żądaniem potępienia kieleckiego hierarchy. 24 września kardynał Wyszyński listem do Rady Ministrów odrzucił zarzuty wobec bp. Kaczmarka. Tego samego dnia podjęta została decyzja o "izolowaniu" głowy polskiego Kościoła, a dwa dni później ekipa MBP aresztowała prymasa.

Aparat bezpieczeństwa został zmobilizowany na wypadek "wrogich demonstracji przeciwko zarządzeniom władz", których wszakże na szerszą skalę nie było. Przyczyniła się do tego niewątpliwie kapitulacja pozostających na wolności członków Episkopatu, którzy 28 września przyjęli - napisany przez Piaseckiego - tekst deklaracji, w której zapewniali o lojalności i potępili bp. Kaczmarka. Przewodniczącym Konferencji Episkopatu został bp łódzki Michał Klepacz, od pewnego już czasu "urabiany" przez Franciszka Mazura kierującego z ramienia Biura Politycznego walką z Kościołem. Choć można debatować, czy deklaracja ta oznaczała złożenie "Rzeczy Bożych" na stole prezydialnym KC PZPR, to oczywiste było, iż Kościół przestał być autonomicznym podmiotem życia publicznego. Tak to w pół roku po śmierci Stalina osiągnięty został jeden z głównych celów polskiego stalinizmu.

Rewolucja kulturalna

Zmęczone i wygłodzone masy profesorskie są w dużej mierze do zjednania przez troskę o ich byt materialny, a indywidualnie każdy profesor jest do kupienia przez troskę o potrzeby materialne jego zakładu naukowego, bo każdy niemal ma bzika na punkcie swojej nauki" - pisał, w przeznaczonej na użytek wewnętrzny analizie, wyższy urzędnik Departamentu Nauki i Szkół Wyższych Ministerstwa Oświaty. Tekst ten powstał w końcu 1945 r. i dobrze, jak sądzę, oddaje zarówno sens, jak i mechanizm "przechwytywania" przez władze państwowe - zdominowane przez PPR - elit intelektualnych. Podobne, w gruncie rzeczy, były cele i metody skłaniania do uczestnictwa w życiu intelektualnym czy artystycznym innych środowisk. "Bzika" mieli przecież także aktorzy, pisarze, malarze czy muzycy. Granice tego uczestnictwa wyznaczała z jednej strony stosunkowo rygorystyczna cenzura i system koncesji, a z drugiej niezwykle silny pęd do odbudowy nauki, oświaty, życia intelektualnego i kulturalnego, któremu towarzyszyły ostre dylematy moralne i polityczne. łagodziła je w pewnej mierze polityka władz, które starały się zarówno "zjednać przez troskę", jak i przez eksponowanie celów i programów zarazem odbudowy i upowszechniania kultury, co było przecież dawnym marzeniem wielu artystów czy nauczycieli.

Aczkolwiek ograniczenia już wówczas były dotkliwie odczuwalne, w wielu sferach zmiany zmierzały w dobrym kierunku: na ziemiach zachodnich i północnych otwierano teatry, w 1947 r. obowiązek szkolny wypełniany był w 93%, w tymże samym roku jednorazowe nakłady prasy codziennej przekroczyły wielkości osiągane przed wojną, globalny nakład książek z rekordowego 1938

r. został przekroczony już w 1946 r., tylko w 1945 r. powstało sześć nowych uczelni. W kinach dominowały filmy przedwojenne, w teatrach tradycyjny repertuar na czele z kanonem romantycznym, ukazywały się przekłady książek Erskine'a Caldwella czy Johna Steinbecka. Młodsze pokolenie pisarzy przeprowadziło "inteligencki obrachunek", z reguły szczery i na dobrym poziomie artystycznym (Kazimierz Brandys Drewniany koń, Stanisław Dygat Jezioro Bodeńskie, Artur Sandauer Śmierć liberała, Paweł Hertz Sedan). Okaleczona, bo bez możności mówienia o tragizmie losów na Wschodzie, ale literacko potężna była proza o Epoce Pieców z Medalionami Zofii Nałkowskiej i wstrząsającymi tekstami Tadeusza Borowskiego.

Propaganda - podobnie jak walka wydana jawnym i konspiracyjnym przeciwnikom - była brutalna, ale w sferze szeroko pojętej kultury podstawowym nakazem było wstrzymywanie się od "antypaństwowych" wypowiedzi i zachowywanie neutralności, którą traktowano (i w rzeczywistości taką rolę odgrywała) jako wsparcie dla rządzących. Szczególnie preferowane były - z urzędu i z natury rzeczy - wszelkie inicjatywy wywodzące się z mniej czy bardziej szczerych dążeń do głębokich zmian i swoistej "rewolucji oświatowej", mitu Siłaczki, oczekiwania na "społeczny mecenat" jako ochronę sztuki przed komercjalizacją nieuchronnie produkującą wulgarną szmirę, pragnienia, by książki "zabłądziły pod strzechy".

Już w 1947 r. nastawienie PPR zaczęło ulegać, stopniowej i nie dla wszystkich widocznej, zmianie. Powołane w lutym Komisja Kulturalno-Oświatowa i odpowiedni wydział KC PPR rychło przystąpiły do pracy koncepcyjnej na całym wyznaczonym ich nazwami obszarze. Ułożono pakiet "tematów do wykorzystania w twórczości artystycznej" (z muzyką włącznie). Znaleźli się na niej "współcześni polscy bohaterowie i mężowie stanu" z Bierutem, Gomułką, Spychalskim i Cyrankiewiczem, ale także "rewolucyjne skutki reformy rolnej" oraz "upaństwowienie przemysłu - zerwanie kajdan zależności gospodarczej od prywatnego kapitału obcego i rodzimego". Uznano, iż życie kulturalne "pozostaje daleko w tyle", i stwierdzono jednoznacznie, że "chodzi o przebudowę człowieka, o wyrównanie dystansu istniejącego dziś między nowym ustrojem [...] a świadomością obywatela, tkwiącą jeszcze na ogół głęboko w sferze mentalnej i emocjonalnej dnia wczorajszego". Stwierdzono też istnienie "anachronicznego ideału fałszywie pojmowanej "swobody twórczej"". Urzędowym "przełożeniem" wytycznych i prac grona pepeerowców stał się Komitet Ministrów da. Kultury powołany w lipcu 1947 r. "do kierowania polityką oraz dla koordynacji działalności wszystkich władz, resortów i instytucji".

Wśród działań prowadzonych na szerokim froncie, ważne miejsce miała oświata. Dosyć szybko zwolniono z pracy ponad 500 peeselowców z nadzoru szkolnego, dokonano rewizji wszystkich (ok. 2,5 tys. pozycji) podręczników i zestawów lektur, w czasie wakacji przeszkolono na "ideologicznych kursach" blisko 20 tys. nauczycieli. W maju 1947 r. na zebraniu "kandydatów na wykładowców doktryn polityczno-społecznych" na wyższych uczelniach, jeden z prelegentów mówił, iż trzeba "łamać kadry dotychczasowe i zdobywać nowe". Powołany we wrześniu przez PPS i PPR Centralny Komitet Demokratycznej Profesury miał "łamanie" to organizować, pod hasłem wyparcia z uczelni "kułaków nauki". 28 października 1947 r. ogłoszono dekret "o organizacji nauki i szkolnictwa wyższego" likwidujący nędzne resztki autonomii uniwersyteckiej ograniczanej już przed wojną. Latem 1947 r.

powstał Departament Przedsiębiorstw Ministerstwa Kultury i Sztuki, który scentralizował nadzór nad filmem (upaństwowionym już całkowicie), przemysłem fonograficznym i poligraficznym.

Na posiedzeniu KC PPR, które odbyło się 11 października i było w znacznym stopniu poświęcone "przeciwstawianiu się - jak mówił Jerzy Putrament - przenikaniu mentalności kapitalistycznej", zalecono nie tylko ograniczanie napływu filmów, książek czy gazet "anglosaskich", ale także działalności British Council czy "kółek anglistycznych" w szkołach. Uznano też za konieczne wyrugowanie prywatnych wydawnictw i nasilenie cenzury. W tymże miesiącu cenzura krakowska zakazała wystawiania Kordiana i z repertuaru usunięto, jak się wnet okazało: Wyspiańskiego, Mickiewicza, Norwida...

Publicznym - a więc siłą rzeczy ogólnikowym - przedstawieniem tych aspiracji stało się przemówienie Bieruta wygłoszone 16 listopada 1947 r. na otwarcie wrocławskiej rozgłośni radiowej. Stefan Żółkiewski, jeden z promotorów nowych norm estetycznych, swój komentarz do tego wystąpienia zatytułował: "Przed nowym etapem w polityce kulturalnej". Grudniowy zjazd Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków stał - jak to określił prezes związku Stanisław Teisseyre - "pod znakiem wrocławskiej mowy", choć zebrani wyraźnie podkreślili, iż "sztuka nie może kształtować się metodą zakreślonego z góry postępowania twórczego". Wnet jednak większość uczestników zjazdu uległa tej metodzie.

W "planie pracy na rok 1948", przygotowanym w KC PPR, scenariusz przemiany został spisany bez niedomówień: "intensyfikacja i planowe kierowanie procesami tworzenia się nowej tradycji kulturalnej", "wprowadzanie nowych niemieszczańskich treści", "przemiana ideologiczna instytucji upowszechniania kultury". Pojawiła się też pierwsza jaskółka realizmu socjalistycznego - (o który w ZSRR, po wojennej "pieriedyszce", wznowiono bój już w 1946 r., prowadząc gwałtowną kampanię propagandową przeciwko odszczepieńcom: Achmatowej, Zoszczence, Szostakowiczowi) - 25 grudnia 1947 r. wszedł na ekrany film Eugeniusza Cękalskiego Jasne łany, opowieść o dobrych biedniakach i złych kułakach. 0 stylu kampanii prowadzonej w Leningradzie i Moskwie przekonać się mogli uczestnicy - i słuchacze - Kongresu Intelektualistów w Obronie Pokoju, który odbywał się we Wrocławiu w sierpniu 1948 r., w tym samym czasie, gdy w Warszawie rozpoczynała się publiczna rozprawa z Gomułką. Aleksander Fadiejew, przewodniczący delegacji radzieckiej, mówił tam m.in. "gdyby hieny umiały używać wiecznego pióra, a szakale maszyn do pisania, pisałyby tak, jak T.S. Eliot". Rewolucja kulturalna - przedziwna i przerażająca mieszanka koniecznej w kraju "rewolucji oświatowej" z tezą o "zaostrzaniu się sprzeczności klasowych w miarę postępów w budowie socjalizmu" - weszła w etap decydujący od początku 1949 r. i to nieomal jednocześnie we wszystkich dziedzinach. Po kolei odbywały się zjazdy (lub "robocze narady") wszystkich środowisk artystycznych, poczynając od pisarzy (Szczecin, 20-23 stycznia), a kończąc na filmowcach (Wisła, 19-22 listopada), na których oczyszczano przedpole, rugując z władz twórców pragnących zachować autonomię swych dzieł oraz zapowiadając "nowy etap". Uczyniono następny krok ku centralizacji dyspozycji życiem kulturalnym, powołując Centralne Biuro Wystaw Artystycznych (21 lutego), Centralną Komisję Wydawniczą (29 lipca), Centralną Komisję Repertuarową (13 grudnia). "Zracjonalizowano" liczbę wydawnictw prasowych, redukując dzienniki ze 107 do 34 tytułów, a

czasopisma z 745 do 592. Zahamowany został wzrost liczby tytułów książkowych, przy nieznacznym wzroście nakładów, a prywatni wydawcy zapełniali ok. 114 rynku księgarskiego (rok później dysponowali już tylko 8%). Niemal trzykrotnie - z roku na rok - wzrosła liczba tłumaczeń z rosyjskiego (z 63 do 174) przy zablokowaniu tłumaczeń z angielskiego i innych "imperialistycznych języków". Odwołanie Arnolda Szyfmana z dyrekcji stołecznego Teatru Polskiego oznaczało zepchnięcie na drugi plan wielkich reżyserów, czemu towarzyszyło forsowanie - i to coraz widoczniej nie klasycznego, ale socrealistycznego - repertuaru rosyjskiego (m.in. obsłużony przez 47 teatrów I Festiwal Sztuk Rosyjskich i Radzieckich odbył się w październiku-grudniu).

Począwszy od 11 stycznia 1949 r. upaństwawiano kolejno wszystkie teatry, które rok później uzyskały szacowny status przedsiębiorstw, ich pracownicy zaś zostali objęci dyscypliną pracy. W ciągu 1949 r. pojawiły się pierwsze polskie "powieści produkcyjne" - Jana Wilczka Nr 16 produkuje, Jerzego Pytlakowskiego Fundamenty, Aleksandra Jackiewicza Górnicy. W dużych nakładach ukazały się antologie poetyckie Armia Radziecka, Młode ręce buduj, Generał Karol Świerczewski czy O Gwardii i Armii Ludowej. W sierpniu z wielkim propagandowym zadęciem otwarta została I Wystawa Portretów Przodowników Pracy.

Znikały, wraz z jedynym po wojnie czasopismem komiksowym "Nowy Świat Przygód", resztki "drobnomieszczańskiej" kultury masowej, którą miały zastąpić forsownie rozbudowywane świetlice przyfabryczne (w 1953 r. będzie ich ponad 10 tys.) z ich zespołami artystycznymi, masowe wydania "radzieckiej klasyki", milionowe nakłady broszur propagandowych.

Biuro Polityczne KC PZPR podjęło decyzję o przygotowaniu I Kongresu Nauki Polskiej, który - dwukrotnie odkładany - uchwalił powołanie Polskiej Akademii Nauk (1951 r.), a nauka i szkolnictwo wyższe weszły w zakres planowania gospodarczego w PKPG. Rozpoczęto generalną reorganizację uczelni, powołując w miejsce jedno- lub paroosobowych katedr instytuty, odłączając od uniwersytetów wydziały medyczne i rolnicze, a przy okazji - i pod pretekstem - tych zmian odsunięto z nauki w ogóle lub od działalności dydaktycznej spore grono czołowych filozofów i przedstawicieli humanistyki (m.in. Janinę Kotarbińską, Marię Ossowską, Władysława Tatarkiewicza, Romana Ingardena). Wycofywano z obiegu skrypty i podręczniki i stopniowo zastępowały je książki tłumaczone z rosyjskiego. Jako centralne cele nauczania i wychowania przyjęto od roku szkolnego 1949ż8ş1950 - pierwszego roku szkoły 11-letniej - "kształtowanie naukowego poglądu na świat opartego na fundamencie współczesnych osiągnięć materializmu dialektycznego i historycznego oraz kształtowanie moralności socjalistycznej".

Podsumowaniem tych zmian, a jednocześnie zapowiedzią ich "poszerzania i pogłębiania" w sferze politycznej, stało się wystąpienie Jakuba Bermana na posiedzeniu KC PZPR w listopadzie 1949 r., tym samym, na którym pognębiono ostatecznie Gomułkę i "jego klikę". "Realizm socjalistyczny - pouczał Berman - to jest prawdziwy skok rewolucyjny [...], to odkrywcza metoda twórcza". Z faktu, iż ta sama osoba "odpowiadała" we władzach partyjnych za kulturę i bezpieczeństwo, ukuto powiedzenie, iż w malarstwie dopuszczane są tylko trzy kierunki - "fornalizm, represjonizm i ubizm". Okazji do podsumowania artystycznego dała przypadająca w 1949 r. 70. rocznica urodzin

Stalina, kiedy to szpalty gazet i witryny księgarń zapełniły się panegirykami na cześć Wielkiego Wodza Postępowej Ludzkości.

I tak już dalej było w następnych latach: socrealizm stał się obowiązkowy i objął wszystkie dziedziny sztuki, a organizacje twórcze stały się instytucjami kontroli i autokontroli nad artystami. Nie brakowało przy tym skrajnych radykałów, których w środowisku pisarskim nazwano "pryszczatymi", choć bynajmniej nie wszyscy byli młodzieńcami. Na terenie nauk humanistycznych panowali niepodzielnie marksiści, których większość łatwo poddała się urokom najbardziej wulgarnego wydania tej ideologii. Do biologii wkraczały poglądy Trofima Łysenki i jego naśladowców, wypierając "burżuazyjną" genetykę. Niektórzy artyści i naukowcy milkli, nie mogąc ogłaszać tego, co chcieli, a nie chcąc ogłaszać tego, czego od nich oczekiwano. Inni chronili się w tylnych rzędach: w powieść historyczną, w badania nad średniowieczem, w przedsięwzięcia edytorskie. Jeszcze inni starali się nolens volens dostosować do wymagań, ale nie potępiać innych i nie składać zbyt jednoznacznych samokrytyk. Na tym tle łatwiej wyróżniali się ci, którzy uznawali się za forpoczty nowego.

Ich głos brzmiał najczęściej i najgłośniej, a z niezwykle rozrośniętą "biurokracją kultury" - szczególnie nauki - zawiadywali całym tym "światem przedstawień". Studentom architektury nakazywali sięganie do "metody dawnej Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu z lat 1893-1905, stanowiącej szczytowy okres dawnej szkoły realistycznej". Biedzącym się przy sztalugach przypominali, że mają przysposobić się do "samodzielnej twórczości artystycznej w myśl potrzeb i zadań stawianych przez społeczeństwo Polski Ludowej, walczącej o pokój i socjalizm". Na zjeździe rektorów wyższych uczelni, który przypominał bardziej odprawę niż zgromadzenie nauczycieli akademickich, pouczano zebranych, iż mają obowiązek "zastosowania wszystkich środków zabezpieczających wyższe uczelnie i placówki naukowe przed przenikaniem na ich teren obcych szpiegów i agentów imperializmu".

Nie szczędzono ataków i choć nie zdarzyło się, aby do akcji wkraczały urzędy bezpieczeństwa, niektóre z nich brzmiały groźnie, a nawet złowieszczo. Jak czuł się Adolf Rudnicki, gdy czytał, że jego Pałeczka "mogłaby postawić pod poważnym znakiem zapytania jego dalszy udział w wielkim procesie tworzenia literatury"? Czy Stanisław Pigoń, którego monografia twórczości Orkana ujawniała coś więcej niż "nieświadomą ślepotę historyczną"? Lub Władysław Konopczyński, w którego dziełach recenzentka czuła "zaduch kruchty, ciasnotę, obskurantyzm"? Nic już nie można było zrobić złego Szekspirowi, ale zapewne nieswojo czuli się aktorzy i reżyserzy, gdy czytali, iż na Ogólnopolskim Zjeździe Polonistów zapowiadano, iż "nie będzie już dla naszej młodzieży wielkością [...] ani stojący poza nawiasem życia społecznego Hamlet, ani niezdolny do życia w świecie realnym Kordian". Także Judym, "przez cierpiętniczą ofiarę pragnący rozwiązać konflikty klasowe", nie nadawał się na bohatera.

Częstym rytuałem było składanie samokrytyk i nigdy już nie będzie wiadomo, czy Borowski naprawdę uważał za błąd, że "nie umiał klasowo podzielić obozu" (koncentracyjnego) i czy Gałczyński rzeczywiście szczerze wstydził się, że "razem z Broniewskim czy Wygodzkim nie łamał się chlebem

więziennym w Polsce faszystowskiej"?
A życie kulturalne toczyło się żwawo, i to nie tylko w kuluarach, gdzie napominano jednych a chwalono innych. Odbywały się wystawy, premiery, słynni twórcy otrzymywali najwyższe odznaczenia państwowe (w 1949 r. Xawery Dunikowski otrzymał jeden z dwóch pierwszych orderów "Budowniczego Polski Ludowej"), nagrody. Kultura była ważnym składnikiem epoki, a jej upowszechnianie traktowane było jako zadanie o donośnym znaczeniu politycznym. Przybywało widzów w teatrach i kinach, uroczyście obchodzone (od 1950 r.) Dni Oświaty i Książki były w istocie poważną promocją czytelnictwa, w masowych, tanich nakładach wydawano dziesiątki tytułów. Od 1949 r. energicznie i na szeroką skalę podjęto walkę z analfabetyzmem (zarejestrowano wówczas 1,4 mln osób nie umiejących czytać i pisać), pęczniały biblioteki publiczne i szkolne, popularny tygodnik "Przyjaciółka" osiągnął niewyobrażalny przed 1939 r. nakład 2 mln egzemplarzy. Pojawiły się na rynku (1950 r.) i to od razu w liczbie 100 tys. sztuk, polskie radioodbiorniki "Pionier" i szybko przybywało mocy w radiowych stacjach nadawczych (pewną jej część zabierały wszakże nadajniki zagłuszające). Opierając się na związkach zawodowych, organizacji kobiecej czy Samopomocy Chłopskiej rozwijano różne formy ruchu amatorskiego, który miał walczyć zarówno z "nacjonalizmem", jak i "rozkładowym i bezojczyźnianym kosmopolityzmem". Nieraz wszakże do wiejskich świetlic kierowano "brygady artystyczno-agitacyjne", których występy wchodziły w skład 152 tys. przedstawień oglądanych przez 19 mln osób (w 1953 r.).
Trudno ocenić, jaka część tego gwałtownego wzrostu zainteresowań kulturalnych społeczeństwa była rezultatem autentycznej chęci obcowania z książką czy teatrem, efektem zmian w strukturze społecznej, urbanizacji i industrializacji, a jaka wynikała z nacisków, "organizowania widowni", darmowej prenumeraty (i po prostu fałszowania statystyk). Tak czy inaczej owa "socjalistyczna kultura masowa" niosła w sobie indoktrynację.

Odwilż i powódź

5 marca 1953 r. o godz. #21#/50 czasu moskiewskiego zmarł Józef Wissarionowicz Stalin, jeden ze współtwórców, a od niemal ćwierć wieku jedynowładca najpotężniejszej tyranii czasów nowożytnych. Jej wpływy zarówno bezpośrednie (m.in. przez podporządkowanie militarne), jak i pośrednie (głównie poprzez ideologię) - obejmowały w tym momencie znaczną część euroazjatyckiego bloku kontynentalnego i sięgały do pozostałych, zaludnionych części świata. Lepiszczami owego systemu były zarówno ideologia, jak i niezwykle rozbudowany aparat represji i kontroli, a jej zwornikiem osoba tyrana otoczona bezprecedensowym kultem. Szok wywołany wiadomością o śmierci dyktatora był proporcjonalny do zasięgu władzy, którą dysponował: "cały świat rozumie, że wraz ze śmiercią Stalina skończyła się cała pewna epoka" - zadeklarował 16 kwietnia, w cztery miesiące po objęciu swej funkcji, nowo wybrany prezydent Stanów Zjednoczonych Dwight Eisenhower. Dzień pogrzebu ogłoszony został w ZSRR i wszystkich krajach obozu socjalistycznego dniem żałoby narodowej, a w uroczystościach uczestniczyło na całym świecie wiele dziesiątek (może setki?) milionów

ludzi. Najmniej zaskoczeni byli, rzecz jasna, najbliżsi współpracownicy wielkiego samodzierżcy, świadkowie jego choroby, poważnie zaniepokojeni narastającą nieufnością ze strony wodza, która nieodległa była od manii prześladowczej.

System utworzony przez Stalina stanął wobec wyzwania o skali porównywalnej z tym, jakie w 1941 r. przyniosła niemiecka inwazja. Odpowiedź na to wyzwanie stała się dla kremlowskiej ekipy przedmiotem zaciętej walki wewnętrznej, która połączona była z rywalizacją personalną o schedę po "chytrym Gruzinie". W niespełna dwa tygodnie po śmierci Stalina przyjęto zasadę "kolegialnego kierownictwa" i wyłoniono "trójkę" (Grigorij Malenkow, Wiaczesław Mołotow, Ławrientij Beria), która miała zgodnie zarządzać imperium. Wnet podjęte zostały pierwsze kroki rozluźniające terrorystyczne okowy: 27 marca ogłoszono częściową amnestię i znowelizowano niektóre przepisy kodeksu karnego, tydzień później zrehabilitowano lekarzy rządowych, którzy omal nie stali się ofiarami ostatniej za życia dyktatora fali "czystek" (tym razem skierowanej wyraźnie antysemicko).

Premier Malenkow wysłał też w stronę społeczeństwa pierwsze sygnały dotyczące możliwości przesunięć w gospodarce, które miały polegać na pewnych zmianach w proporcjach na rzecz konsumpcji. Rozpoczęto delikatne - żeby nie powiedzieć: nieśmiałe - kroki ku rozluźnieniu ortodoksji ideologicznej, proponując Jugosławii wznowienie stosunków dyplomatycznych. Rozpoczęto także "ocieplanie" stosunków ze Stanami Zjednoczonymi i z inspiracji Moskwy władze północnokoreańskie podpisały 27 lipca w Panmundżon porozumienie rozejmowe. Poza istotnym znaczeniem dla stosunków międzynarodowych, w których oznaczało początek - odległego jeszcze - końca "zimnej wojny", faktyczne zakończenie wojny koreańskiej odegrało też ważną rolę dla wprowadzania pewnych zmian w przeżywającej ostry kryzys ekonomiczny europejskiej części Imperium Zewnętrznego.

Wszystkie te kraje - i Polska również - uginały się pod ciężarem forsowanych od blisko trzech lat zbrojeń. Towarzyszył im spadek płacy realnej, pogłębiające się trudności zaopatrzeniowe, zjawiska inflacyjne i drastyczne obniżenie się dochodów ludności wiejskiej. Jak się okazało, Polska była ostatnim krajem, w którym udało się stosunkowo łatwo odpowiedzieć na kryzys "regulacją cen" (3 stycznia 1953 r.). Podobne działania podjęte pół roku później napotkały zdecydowany opór społeczeństw ośmielonych zapewne tym, co działo się po 5 marca. Robotnicy czescy na decyzję o nieekwiwalentnej wymianie pieniędzy (1 czerwca) i podwyżkę cen wynikłą ze zniesienia reglamentacji, zareagowali strajkami i ulicznymi demonstracjami o znacznym zasięgu. Zostały one wprawdzie szybko stłumione - i uznane za dzieło "agentów imperialistycznych" - niemniej były znaczącym sygnałem.

O wiele gwałtowniejszy przebieg i bardzo poważny zasięg miała odpowiedź robotników niemieckich na wprowadzone 16 czerwca nowe normy pracy. Przez kilka następnych dni fala strajków i manifestacji objęła wszystkie główne miasta NRD, a stłumiono je krwawo przez wprowadzenie do akcji radzieckich wojsk okupacyjnych (z jednostkami pancernymi włącznie). Wysoce niepokojąca sytuacja panowała także na Węgrzech, gdzie jednak - pod silną presją Moskwy - dokonano "pokojowego manewru" wprowadzając 4 lipca na stanowisko premiera przeciwnika dotychczasowej polityki ekonomicznej Imre Nagya, który wzorując się na wypowiedziach Malenkowa ogłosił "nowy kurs". Poza wszystkim innym,

sam fakt, iż kierownictwo radzieckie musiało parokrotnie wzywać ekipę budapeszteńską "na dywanik", świadczył o pewnym osłabieniu autorytetu Kremla, co było m.in. wynikiem toczącej się tam walki wewnętrznej. Jej najbardziej jaskrawym przejawem - utrzymanym zresztą w stylu stalinowskim - był komunikat TASS z 10 lipca 1953 r. o usunięciu z funkcji oraz aresztowaniu za "zbrodniczą antypartyjną i antypaństwową działalność" wszechmocnego Berii. Wedle oficjalnej wersji niejawny proces i wykonanie wyroku śmierci odbyły się dopiero w grudniu, wedle innych Berię rozstrzelano zaraz po aresztowaniu, które miało miejsce na Kremlu, w trakcie posiedzenia Biura Politycznego. Na początku września kolejny etap tej walki został rozstrzygnięty, tym razem na rzecz - jak to często bywa - osoby zajmującej pozycję centrową (między konserwatywnym Mołotowem a "liberalnym" Malenkowem): był nią Nikita Siergiejewicz Chruszczow, który źle zapisał się w pamięci Polaków z kresów jako zarządca Ukrainy w latach 1938-1947.

Ludzi związanych z Berią wykańczano wprawdzie po stalinowsku, ale społeczeństwo radzieckie odczuło wyraźną ulgę, czemu sprzyjały także kolejne wydarzenia na forum międzynarodowym. Malenkow zgłosił propozycję "pokojowego współistnienia", co przyszło Moskwie tym łatwiej, że latem 1953 r. opanowano produkcję broni jądrowej drugiej generacji (bomba wodorowa). W dniach 25 stycznia - 18 lutego 1954 r., po wieloletniej przerwie, spotkali się na długiej sesji ministrowie spraw zagranicznych "wielkiej czwórki", a 21 lipca, po blisko 3-miesięcznych pertraktacjach w Genewie, nie doszło wprawdzie do zgody w sprawie zjednoczenia Korei, ale uzyskano porozumienie co do innego zapalnego punktu w Azji i wytyczono linię rozejmową w Wietnamie. 15 maja 1955 r. mocarstwa okupujące podpisały traktat pokojowy z Austrią, na mocy którego w zamian za neutralność, Armia Radziecka opuściła ten kraj.

Dla pierwszego etapu łagodzenia "zimnej wojny" decydujące znaczenie miato genewskie spotkanie leaderów "wielkiej czwórki", które odbyło się niemal równo 10 lat od poczdamskiej konferencji Stalin-Truman-Churchill-Atlee. Dwa miesiące później, 13 września 1955 r., Moskwa nawiązała stosunki dyplomatyczne z Republiką Federalną Niemiec. "Duch Genewy", jak to wówczas określano w żargonie dyplomatyczno-dziennikarskim, zaiste unosił się nad światem.

Dla Polski i innych państw obozu socjalistycznego nie mniej ważne niż odprężenie między obu supermocarstwami było, ledwo dostrzegalne, ale istniejące, rozluźnienie kontroli moskiewskiej. W październiku 1954 r. podpisano w Pekinie umowę radziecko-chińską, która dotyczyła równości stron i przestrzeganiu zasady suwerenności. To, co odnosiło się do azjatyckiego kolosa, nie musiało być stosowane wobec europejskich satelitów, ale mogło oznaczać poszerzenie ich swobody, choć oczywiście bez atakowania ideologicznych imponderabiliów. Podobne znaczenie miała niespodziewana wizyta Chruszczowa w Jugosławii (27 maja - 2 czerwca 1955 r.). Gość z Moskwy podważył zasadność niedawnych oskarżeń o "spisek titoistowski", którego istnienie było podstawą czystek z przełomu lat 40. i 50. (także w Polsce). O tym, że ZSRR zaczyna bardziej niż przedtem dbać o formy stosunków ze swymi satelitami, świadczyło też zawarcie 14 maja 1955 r. Układu Warszawskiego. Był on wprawdzie odpowiedzią na dokonane w październiku poprzedniego roku włączenie RFN do NATO i poddawał

"zjednoczone siły zbrojne" pod komendę radziecką, niemniej nadawał zależności prawny i traktatowy charakter.

Dostrzegalne, choć oczywiście niekonsekwentne zmiany, które zaszły w trzech najbliższych Polsce krajach bloku w ciągu paru miesięcy po śmierci Stalina, wydawały się omijać Warszawę. Latem 1953 r., zapewne nie bez inspiracji z Moskwy, marsz. Rokossowski zaproponował Biuru Politycznemu "stopniowe odkomenderowywanie oficerów radzieckich" i wprowadzenie systemu doradców, a więc systemu podobnego do tego, który istniał w innych państwach bloku. Na jednej z odpraw "aktywu" resortu bezpieczeństwa i prokuratury m.in. Radkiewicz mówił o "łamaniu praworządności", które "polega na całej gamie fałszywych i niesłusznych metod naszej pracy, nie tylko w śledztwie", i powołano komisję do zbadania sytuacji w więzieniach. Wszystko to jednak odbywało się w najgłębszej tajemnicy i nie zaowocowało żadnymi faktycznymi zmianami - oficerowie radzieccy pozostali na stanowiskach; nie opustoszały też cele. Odwrotnie - wówczas właśnie przystąpiono do generalnego uderzenia w Kościół i kontynuowano w najlepsze "tropienie głęboko ukrytych wrogów" (aresztowanie marsz. Żymierskiego).

Pierwsze oznaki "nowego kursu" pojawiły się dopiero jesienią. Na posiedzeniu KC PZPR, które odbyło się w dniach 29-30 października 1953 r., Bierut wygłosił referat pod wielce skomplikowanym tytułem "Zadania partii w walce o szybszy wzrost stopy życiowej mas pracujących w obecnym okresie budownictwa socjalistycznego", a 14 listopada dokonano pierwszej od niepamiętnych czasów - i bardzo skromnej - obniżki cen niektórych artykułów spożywczych. Mocniejsze podmuchy tego, co - pod wpływem tytułu powieści Ilji Erenburga - nazwano potem "odwilżą", przyszły wiosną następnego roku. II Zjazd PZPR (10-17 marca) podjął - wedle recept Malenkowa - decyzje o wyraźniejszej reorientacji w gospodarce i skorygował, tym razem in minus, założenia sześciolatki, a w ramach ustanawiania "kolegialnego kierownictwa" Bierut zrezygnował z funkcji premiera (na rzecz Cyrankiewicza), aby "poświęcić się pracy partyjnej" na stanowisku I sekretarza KC.

Zelżała także ingerencja w sferze kultury, co odbywało się pod hasłem "walki z lakiernictwem" i "przełamywania schematyzmu". Główny urzędnik od wprowadzania socrealizmu, min. Włodzimierz Sokorski, osobiście upominał się "o rzeczywisty zwrot w naszej polityce kulturalnej", przez co rozumiano odejście od "administrowania sztuką". Na zapleczu - i wciąż w tajemnicy - zaczęły się pierwsze wyraźniejsze zmiany w "bezpiece". na naradzie MBP (w marcu) nie tylko mówiono o "niedopuszczalnych przypadkach łamania praworządności ludowej", ale wnet przyszły decyzje. Zwolniony został wieloletni szef Departamentu Śledczego Józef Różański, rozwiązano (11 czerwca) X Departament, zarządzono pierwszą w dziejach resortu redukcję personelu. Trwały też "ciche redukcje" w wojsku, a w fabrykach zbrojeniowych zaczęto na szerszą skalę wytwarzać artykuły konsumpcyjne.

Trudno powiedzieć, jakie tempo i jaki zakres miałyby te zmiany, choć oczywiście kierunek był już wytyczony - rozpoczynano "manewr gospodarczy" mający na celu poprawę warunków bytowych i zelżenie wysiłku inwestycyjnego, odstępowano od masowych represji (poza szykanowaniem rolników), a więzienia opuściła spora liczba aresztowanych. Mocny impuls przyspieszający zmiany przyszedł z zewnątrz. I to bynajmniej nie z Moskwy, która być może przychylnie patrzyła na dość stabilną sytuację nad Wisłą.

28 września 1954 r. Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa rozpoczęła

nadawanie relacji Józefa Światły, b. wicedyrektora X Departamentu MBP, który w grudniu poprzedniego roku "zaginął" - w czasie wyjazdu służbowego - w zachodniej części Berlina. Audycje Światły, które - jak głosił ich tytuł - miały odsłaniać "kulisy bezpieki i partii", były swego rodzaju majstersztykiem propagandowym. Przytaczano w nich nie tylko fakty bezprzykładnego terroru, ale także obszerne, mniej lub bardziej sensacyjne - w tym alkowiane - szczegóły oraz plotki z życia pezetpeerowskiej elity. Opisano ją, jako żądną krwi, zdemoralizowaną i wewnętrznie skłóconą klikę. Wedle danych zebranych przez MBP, w trakcie kontroli nastrojów społecznych, słuchały tego dziesiątki tysięcy osób. Czyli w istocie wiedziała o nich "cała Polska".

Reakcja była szybka. W ciągu kilku tygodni powołano komisję do analizy działalności MBP, sam Radkiewicz próbował ratować się, przygotowując projekt reorganizacji, który polegał na utworzeniu odrębnych urzędów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Komitetu ds. Bezpieczeństwa Publicznego. Wszakże kierownictwo partyjne podjęło również decyzje o konieczności daleko idących zmian personalnych. Z więzień zaczęto zwalniać komunistów aresztowanych przez X Departament, a jedno z opróżnionych w ten sposób miejsc zajął (w początkach listopada) Różański. Przyszedł czas na poważniejszą, ale zgodną z regułami, samokrytykę.

Po serii odpraw w samym MBP i z I sekretarzami KW PZPR, samokrytykę przedstawiono gronu ponad dwustu osób zaliczanych do tzw. centralnego aktywu. Podczas dwudniowej - 29-30 listopada 1954 r. - sesji nie zabrakło głosów dopominających się wyciągnięcia wniosków personalnych wobec całego kierownictwa MBP, a nawet krytyki skierowanej do Biura Politycznego. Przypomniano sobie o Gomułce i postulowano wypuszczenie go na wolność. Formalnej separacji MBP dokonano 7 grudnia - Radkiewicz został "zesłany" na stanowisko ministra Państwowych Gospodarstw Rolnych, a na czele nowych resortów postawiono osoby z aparatu partyjnego (szefem MSW został Władysław Wicha, Komitetu ds. Bezpieczeństwa Władysław Dworakowski). 13 grudnia, dyskretnie - i z zastrzeżeniem tajemnicy - wypuszczono z więzienia Gomułkę. Przebywał w nim 3,5 roku, do niczego się nie przyznając. Mógł teraz czekać, aż nadejdzie jego chwila.

Wszystko to zostało "nagłośnione" w styczniu 1955 r. podczas obrad plenarnych KC PZPR i w opublikowanej uchwale, w której podkreślano konieczność "przestrzegania leninowskich zasad życia partyjnego" oraz "przezwyciężania biurokratycznych wypaczeń". Aczkolwiek Bierut zachował swój wewnątrzpartyjny autorytet, co niewątpliwie konsolidowało kierownictwo, taktyka "kontrolowanego luzowania" sprawiała wiele kłopotów i groziła pojawieniem się rozbieżności co do tempa i kierunków jej stosowania. Pierwsze ich objawy można było już dostrzec wiosną 1955 r., choć być może były to raczej nadzieje wiązane z nowymi członkami kierownictwa: Władysławem Matwinem i Jerzym Morawskim (nazwano ich "młodymi sekretarzami"), niż rezultat jakichś wyraźniejszych posunięć. Wobec tego, iż reorientacja w gospodarce nie przynosiła wciąż widoczniejszych efektów - choć w kwietniu już trzeci raz z rzędu obniżono ceny - "nowy kurs" najbardziej widoczny był w sferze kultury stopniowo powiększającej się swobodzie wypowiedzi. Wyrażało się to w nastrojach krytycznych, publicznym odżegnywaniu się sporego grona twórców od socrealizmu, czego nie były w stanie zahamować wypowiedzi niektórych jego najgorliwszych obrońców (m.in.

Leona Kruczkowskiego). Pojawiać się też zaczęły inicjatywy działań "oddolnych" - Stefan Kisielewski zamierzał powołać czasopismo (co w zarodku utrącono), utworzony został (z partyjnym przyzwoleniem) Klub Krzywego Koła.

Na środowiska młodzieżowe - i tak już "deprawowane" zachodnimi filmami, jazzowym podziemiem i słuchaniem Radia Luxemburg - spory wpływ wywarł Międzynarodowy Festiwal Studentów i Młodzieży (od 31 lipca do 14 sierpnia), na który zjechało ok. 30 tys. cudzoziemców, w tym sporo gości egzotycznych. Artystycznym świadectwem fermentu i porzucania wytycznych socrealizmu była wystawa młodej plastyki w warszawskim Arsenale zainaugurowana 31 lipca. Paradoksem dziejów był fakt, iż 10 dni wcześniej radzieccy budowniczowie przekazali "dar dla narodu polskiego" Pałac Kultury i Nauki, będący wykwitem socrealistycznej architektury.

W świecie symboli wydarzeniem o specjalnym znaczeniu było jednak opublikowanie Poematu dla dorosłych Adama Ważyka w jednym z sierpniowych numerów "Nowej Kultury". W piśmie powołanym jako trybuna i oręż socrealizmu, jeden z głównych teoretyków norm estetycznych rodem z okresu moskiewskich Wielkich Czystek, zaprzeczył nie tyle - i nie tylko - owym normom, ile całej praktyce socjalistycznej industrializacji. Poemat pokazywał drugą stronę medalu; los i stan ducha młodych ludzi wznoszących Wielkie Budowy Socjalizmu. Jak to nieraz bywa, oliwy do ognia dolały władze partyjne, które ostro zaatakowały autora (i wydawcę), a głos zabrali nie tylko partyjni pisarze i krytycy literaccy, ale także członkowie Biura Politycznego (German i Ochab). Wprawdzie kierownictwo nawoływało, aby zwalczać "wszelkie objawy dezorientacji i zamętu ideologicznego", ale było to coraz trudniejsze, zwłaszcza iż w samej PZPR zalęgły się - jak mówił Berman - tendencje "rewizjonistyczne" i "demoliberalne". Coraz widoczniejsze było pęknięcie między partyjną górą, która pod czujnym okiem Bieruta zachowywała względną jednolitość, a środowiskami intelektualnymi, inteligenckimi i młodzieżowymi. Trzeba było jeszcze tylko impulsu, który by podzielił ową górę, aby "rewizjoniści" mogli stać się rzeczywistymi partnerami w grze politycznej.

Impuls ten przyszedł późną zimą 1956 r. i w przypadku Polski był on znacznie silniejszy niż w jakimkolwiek innym kraju bloku (z ZSRR włącznie). Wydarzeniem o globalnym, światowym znaczeniu był referat Chruszczowa wygłoszony 25 lutego na zamkniętym posiedzeniu ostatniego dnia obrad XX Zjazdu KPZR. Tytuł referatu - "O kulcie jednostki i jego następstwach" - nie bulwersował, gdyż już od paru lat o owym kulcie mówiono i pisano. Referent wszakże nie ograniczył się do ogólnikowych konstatacji, ale przytoczył setki konkretnych i przerażających przykładów "błędów i wypaczeń", obarczając nimi osobiście Stalina. Choć Chruszczow nie podjął próby dokonania analizy systemu jako takiego, sam fakt wytoczenia publicznie i ex officio potężnej fali zarzutów i oskarżeń, kładł kres autorytetowi nieżyjącego już, "czwartego klasyka" marksizmu. Słowami Chruszczowa KPZR zarazem odcinała się od stalinowskiego terroru, jak i rezerwowała dla siebie pozycję jedynego prawomocnego krytyka przeszłości, a więc uprawnienia do "naprawy".

Nim jeszcze poznano tekst referatu, na podstawie przemówienia z jawnej części obrad, aktyw PZPR na dwudniowej naradzie (3-4 marca) rozwijał niektóre wątki podnoszone w Moskwie, w szczególności te, które odnosiły się

do "odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego", rozwiązania w 1938 r. KPP i "nadużywania władzy" przez aparat bezpieczeństwa. 10 marca, w redakcyjnym artykule "Trybuny Ludu", poszerzono oceny leadera KPZR, ale waga tekstu polegała głównie na tym, iż była to wypowiedź skierowana wprost do całego społeczeństwa.

Można było się spodziewać, że w PZPR silniej niż dotychczas zarysują się linie podziałów i dojdzie do konfliktu na szczycie, ale kolejne wydarzenie przyspieszyło te podziały i nadało im dodatkowej siły. 12 marca, krótko przed północą, zmarł w Moskwie Bolesław Bierut, który zachorował pod koniec zjazdu i już nie wstał z łóżka (pierwsze poważniejsze sygnały pogarszania się stanu zdrowia "polskiego Stalina" pojawiły się jeszcze w styczniu). Odejście I sekretarza zarówno pozbawiało kierownictwo PZPR głównego kontrolera życia publicznego, jak i otworzyło problem sukcesji. Od tej chwili program i tempo zmian stało się przedmiotem wewnątrzpartyjnej rozgrywki, co wydatnie sprzyjało zarówno jej radykalizacji, jak i szybkości, z jaką się toczyła.

Już pierwsze po śmierci Bieruta posiedzenie KC (20 marca) przyniosło jawny konflikt personalny, choć zgodnie z propozycją Biura Politycznego - i z akceptacją przybyłego do Warszawy Chruszczowa - wybrany został na I sekretarza Edward Ochab. Przedmiotem kontrowersji była - najogólniej rzecz biorąc - sprawa dalszej legitymizacji systemu i utrzymania władzy. Odmienne stanowiska rzadko formułowano w sposób otwarty i politycznie koherentny, a często widoczne były przez pryzmat utarczek personalnych. Wedle opinii jednych, najlepszym wyjściem byłoby poświęcenie sporego grona osób najbardziej - wedle zwolenników tej koncepcji - odpowiedzialnych za "błędy i wypaczenia" lat 1948-1955, rehabilitacja Gomułki i całego okresu jego sekretarzowania w PPR oraz uspokojenie społeczeństwa przez podwyżki płac. Było to więc w istocie stanowisko raczej konserwatywne, a wybór "kozłów ofiarnych" wskazywał na silne tendencje antyinteligenckie i wyraźnie (choć rzadko wprost) antysemickie. Zwolenników tej propozycji nazwano później "natolińczykami" - od podwarszawskiego Natolina, gdzie znajdowały siłę wille rządowe - a ówcześni przeciwnicy określali ich jako "konserwę", dogmatyków lub "sekciarzy" (w leninowskim tego słowa znaczeniu). Do leaderów należeli m.in. Franciszek Jóźwiak, Aleksander Zawadzki, Kazimierz Witaszewski, Zenon Nowak.

Konkurencyjna frakcja, nazywana później "puławianami" - z kolei od kompleksu domów rządowych przy ul. Puławskiej - określała się jako grupa "odnowy" i "demokratyzacji". Stała na stanowisku, iż należy rozpocząć proces zmian w niektórych dziedzinach systemu: przeprowadzić zmiany w zarządzaniu gospodarką, zliberalizować cenzurę, poszerzyć zakres swobód indywidualnych, wprowadzić do PZPR bardziej demokratyczne mechanizmy. Za głównych reprezentantów tej linii uważano m.in. Romana Zambrowskiego, Janusza Zarzyckiego, Jerzego Morawskiego, Władysława Matwina, Stefana Staszewskiego.

Pierwsi ("natolińczycy") byli mocno osadzeni w aparacie partyjnym i państwowym (z wojskiem włącznie), drudzy ("puławianie") mogli liczyć na poparcie radykalizującej się młodzieży i partyjnych intelektualistów. Pozycje decyzyjne opanowane były jednak przez "centrystów", którzy obawiali się "podgrzania" atmosfery przez zbyt ostentacyjne poczynania liberalizujące, ale równie silne opory mieli wobec propozycji

"natolińczyków". Centrystami byli m.in. Ochab, Cyrankiewicz, Jerzy Albrecht. Najbliżsi współpracownicy Bieruta - Berman i Minc - stali się zupełnymi outsiderami. Pierwszy z nich 3 maja 1956 r. przestał być członkiem Biura Politycznego, a drugi, jeszcze w 1954 r. pozbawiony kierownictwa swej PKPG, był już w istocie figurantem.

"Wojna na górze" toczyła się częściej za kulisami niż na otwartej scenie, tymczasem coraz to nowe środowiska społeczne zgłaszały publicznie rewindykacje ekonomiczne i socjalne, a także domagały się zadośćuczynienia za represje. Kierownictwo z coraz większym trudem panowało nad nastrojami, co było m.in. wynikiem starć frakcyjnych. Wciąż jeszcze słabo odczuwalne były rezultaty, powolnych i nieśmiałych, zmian w zarządzaniu gospodarką i przemieszczania środków. Każdy nieomal krok zmierzający ku liberalizacji powodował pojawienie się kolejnych oczekiwań. Z reguły werbalizowały je i "upubliczniały" pisma społeczno-kulturalne, a najbardziej konsekwentnie czynił to tygodnik "Po prostu", który dla wielu stał się zarazem symbolem, jak i promotorem coraz bardziej radykalnie formułowanych projektów zmian. Atakowano przywileje aparatu, opisywano położenie pracowników nauki i robotników, podejmowano próby rehabilitacji AK, podważano kanony "dogmatycznego marksizmu", pisano o samorządzie robotniczym, domagano się istotnych zmian w ZMP. Jakkolwiek niemal wszystko to mieściło się w założeniach marksistowskich i w wypowiedziach tych bardzo często odwoływano się do XIX-wiecznych klasyków (a także do Lenina), wystąpienia te i debaty świadczyły o utracie spoistości wewnętrznej PZPR. W istocie destabilizowało to cały system oparty wszakże na wymogu jednolitości poglądów w hegemonicznie rządzącej partii. Niepokojące dla władzy były też - niewyraźne organizacyjnie, ale widoczne - przejawy ożywienia zarówno w stronnictwach satelickich, jak i w środowiskach znajdujących się poza ramami oficjalnego życia politycznego, w tym także w Kościele katolickim.

Amnestia uchwalona przez Sejm w końcu kwietnia, rehabilitacja skazanych w procesie gen. Tatara, aresztowanie kilku kolejnych funkcjonariuszy b. MBP, zmiany na stanowiskach rządowych i na kierowniczych szczeblach sądownictwa oraz prokuratury - wszystko to w ciągu paru tygodni - odbierane były jako oznaki słabnięcia władzy. Powodowało dezorientację w aparacie państwowym, w tym także w służbie bezpieczeństwa, ośmielało do wystąpień. W całym kraju toczyły się wielogodzinne dyskusje nad szeroko rozpowszechnionym tekstem tajnego referatu Chruszczowa. Na zebraniach partyjnych - z reguły otwartych dla wszystkich - padały tysiące pytań, które niedawno obawiano się zadawać samemu sobie. Uchwalano rezolucje i wnioski domagające się ujawnienia prawdy o zbrodniach, ukarania winnych, szybkiego wprowadzania zmian, uwolnienia się od zależności od Moskwy.

Momentem kluczowym dla tej fazy kryzysu - a w istocie dla całości wydarzeń 1956 r. - stała się krótkotrwała rewolta robotników i mieszkańców Poznania. Wybuchła ona rankiem 28 czerwca w formie strajku ekonomicznego w Zakładach im. Stalina (ZISPO, dawniej Fabryka Cegielskiego). Do "cegielszczaków", którzy wyszli na ulice i zmierzali ku centrum miasta, przyłączali się robotnicy innych fabryk i przechodnie. Demonstracja skoncentrowała się wokół siedzib władz lokalnych - Rady Narodowej i Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Wobec braku kontaktu z przedstawicielami władz, którzy zupełnie zagubili się w nieoczekiwanej sytuacji, demonstracje w ciągu paru godzin przekształciły się w serię wtargnięć do gmachów

publicznych. Zaatakowano też więzienie.

Hasła nadzwyczaj szybko zmieniły się z ekonomicznych na polityczne: "Precz z komunistami!", "Wolne wybory!", "Precz z Ruskimi!". Śpiewano hymn narodowy i Rotę. Zrywano czerwone flagi. Z urzędowych pomieszczeń wyrzucano portrety dostojników. Na gmachu KW umieszczono transparent żądający "chleba" i "wolności". Przed południem zaatakowano budynek Urzędu Bezpieczeństwa, co zamieniło gwałtowną demonstrację w zbrojną rewoltę, przez uczestników traktowaną jak powstanie narodowe. Determinację niektórych demonstrantów podtrzymywały pogłoski, że analogiczne wydarzenia

rozgrywają się w innych miastach, a nawet, że poznański UB jest ostatnim, który się jeszcze broni.

Po południu wprowadzono do akcji pododdziały z czterech dywizji, ponad 400 czołgów i pojazdów opancerzonych - w sumie ok. 10 tys. żołnierzy. Ku Poznaniowi ciągnęły kolejne jednostki. W ciągu 24 godzin zamieszki zostały stłumione. W walkach zginęło ok. 70 osób cywilnych oraz 8 żołnierzy, funkcjonariuszy UB i MO; było kilkuset rannych. Wśród około 250 aresztowanych osób było 196 robotników. Ocena wydarzeń poznańskich stała się dodatkowym elementem podziałów w obozie władzy, choć zrazu dosyć jednogłośnie lansowano tezę o "spisku agentów imperialistycznych", a premier Cyrankiewicz w przemówieniu radiowym groził "obcięciem ręki", która podniesie się na władzę ludową. Podziały w całej ostrości wystąpiły na posiedzeniu KC PZPR (18-28 lipca), ale do opinii publicznej docierały w postaci nieostrych sygnałów, takich jak zwrócenie legitymacji partyjnych Gomułce, Kliszce i Spychalskiemu.

Choć szok po poznańskim "czarnym czwartku" zastopował publiczne wystąpienia, opinia była w stanie podekscytowania. W setkach fabryk i instytucji uchwalano kolejne rezolucje, masowo pojawiały się antypaństwowe napisy i ulotki. W wielu aglomeracjach przemysłowych utrzymywały się nastroje strajkowe, także solidaryzujące się z robotnikami Poznania. Powszechne było przekonanie, że zmiany dokonujące się po XX Zjeździe są zbyt wolne i nieśmiałe. Domagano się także spełnienia obietnic ekonomicznych (podwyżki płac). Jednym z najbardziej spektakularnych przykładów mobilizacji społecznej był ogromny napływ pielgrzymów na uroczystości jasnogórskie 26 sierpnia. Coraz częstsze i bardziej zdecydowane były też wypowiedzi krytyczne w głównych "pasach transmisyjnych" - związkach zawodowych i ZMP - i to także na szczeblu centralnym. Niepokojem napawało władze nadchodzące rozpoczęcie roku akademickiego, gdyż środowiska studenckie i młodej inteligencji należały do najbardziej aktywnych i radykalnych. W kilku dużych miastach - m.in. w Warszawie i Krakowie - środowiska te miały też kontakty z niektórymi środowiskami robotniczymi.

Ścisłe kierownictwo PZPR, po wielotygodniowych debatach, zdecydowało się w końcu na podjęcie próby wyjścia z niebezpiecznie przedłużającego się kryzysu przez dokonanie zasadniczej zmiany na szczycie władzy. 13 października powiadomiono opinię publiczną, iż poprzedniego dnia Władysław Gomułka wziął udział w posiedzeniu Biura Politycznego, co było oczywistym sygnałem jego powrotu na polityczną scenę. Na tym samym posiedzeniu BP - czego już nie ogłoszono - podjęto decyzję o przekazaniu byłemu więźniowi Bieruta stanowiska I sekretarza KC. "Centryści", którzy decydowali w

istocie o stanowisku najwyższego gremium, działali wspólnie z "puławianami", a próby rozbicia tego sojuszu i przejęcia inicjatywy przez "konserwę" pobudziły dodatkowo środowiska domagające się bardziej radykalnych zmian, które już od początku października mobilizowały opinię.

Niezręczne sformułowania użyte przez Bolesława Piaseckiego - o ewentualności "brutalnego realizowania racji stanu w okolicznościach podobnych do ogłoszenia stanu wyjątkowego" - w artykule opublikowanym przez "Słowo Powszechne" 16 października zostały uznane za groźbę zamachu ze strony "natolińczyków" i mocno zaogniły sytuację. Młodzież akademicka wielu miast - ale głównie Warszawy - wchodziła w stan ekscytacji, który łatwo udzielał się innym. Osiągnął on swoje apogeum, gdy rankiem 19 października, na krótko przed rozpoczęciem obrad przez KC PZPR (VIII Plenum), które miało wprowadzić Gomułkę na najwyższe stanowisko w państwie, wylądowały na podwarszawskim lotnisku wojskowym samoloty z Moskwy wiozące Chruszczowa (wraz ze sporą częścią Politbiura) oraz pokaźną ekipę wyższych dowódców Armii Radzieckiej. Z wielu stron kraju sygnalizowane były ruchy wojsk radzieckich ciągnących ku stolicy, stan pogotowia zarządzono w niektórych jednostkach WP dowodzonych przez marsz. Rokossowskiego. Niewojskowe obiekty

strategiczne w stolicy zostały z kolei dyskretnie obsadzone przez żołnierzy KBW, którymi dowodził niedawny więzień gen. Wacław Komar.

Po całodniowych pertraktacjach - i w rozmowie w cztery oczy - Gomułka zdołał przekonać Chruszczowa, iż zmiany personalne nie tylko nie zagrożą systemowi, ale są najlepszym sposobem rozładowania napięcia. W nocy delegacja KPZR, wraz z większością generalicji, opuściła Polskę, a wojska radzieckie wstrzymały swój pochód. 20 października, po wznowieniu obrad, Gomułka wygłosił obszerne programowe przemówienie, będące potężnym aktem oskarżenia wobec okresu "błędów i wypaczeń". "Trzeba - mówił - wymienić wszystkie złe części z naszego modelu socjalizmu, zastąpić je lepszymi, udoskonalić ten model". Podkreślił, iż stosunki polsko-radzieckie "winny być oparte na wzajemnym zaufaniu i równości", każdy kraj powinien "posiadać pełną niezależność i samodzielność". Stwierdził też jednoznacznie, iż "na czele procesu demokratyzacji staje nasza partia" i zadeklarował, że "nie pozwolimy nikomu wykorzystać procesu demokratyzacji przeciwko socjalizmowi". Następnego dnia KC wybrało nowy skład Biura Politycznego - bez Nowaka, Mazura, Jóźwiaka, Dworakowskiego. W wyborach przepadł, zgłoszony "z sali", marsz. Rokossowski.

Powrót Gomułki na pierwsze stanowisko w państwie został przyjęty z niezwykłym - i zapewne przez samego bohatera nie spodziewanym - entuzjazmem. W całym kraju odbywały się setki zebrań i wieców. Wiele z nich przekształcało się w uliczne pochody. Uchwalano rezolucje popierające "kurs demokratyzacji i odnowy", nowe kierownictwo, ale przede wszystkim osobiście Gomułkę. Do akcji tej włączyły się także instytucje wojskowe, struktury aparatu bezpieczeństwa i centralne urzędy, w których do tej pory panowała krępująca cisza.

I sekretarz świetnie potrafił wykorzystać nastroje podkreślając - m.in. podczas wystąpienia na półmilionowym wiecu w centrum Warszawy (24 października) - "prawo każdego narodu do suwerennego rządzenia się w niepodległym kraju". W reakcjach społecznych rewindykacje ekonomiczne znalazły się na dalszym planie. Na pierwszy zaś plan wydostały się emocje

narodowe, żądania niezależności od "Ruskich", odrzucenia stalinowskich wzorów i instytucji. Jeszcze przez kilka tygodni dochodziło w różnych miejscowościach do wieców, które przekształcały się w manifestacje, nie kontrolowanych pochodów, a nawet zaburzeń. M.in. 23 października w Legnicy (siedzibie dowództwa Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej), 24 października w Katowicach, 11 listopada w Płocku, tydzień później w Bydgoszczy, 10 grudnia w Szczecinie. Chłopi rozwiązywali spółdzielnie produkcyjne, wywożono na taczkach najbardziej znienawidzonych dyrektorów fabryk bądź pracowników nadzoru, wypędzano ludzi współpracujących z "bezpieką", niszczono urządzenia zagłuszające zagraniczne rozgłośnie radiowe. Do władz, zwłaszcza lokalnych, płynęła rzeka skarg często popieranych w grupowych najściach na urzędników, żądano dymisji i przyjścia "nowych ludzi", nie skompromitowanych w latach stalinowskich. Pojawiali się lokalni przywódcy, często byli to po prostu ci oratorzy, którzy najlepiej potrafili nawiązać kontakt z załogą lub uczestnikami wiecu.

Już jednak 24 października, wobec ogromnego tłumu warszawiaków zebranych na placu Defilad i wobec całej Polski na transmitowanym na żywo wiecu, Gomułka wzywał: "Dosyć wiecowania i manifestacji. Czas pójść do codziennej pracy". Podejmował szereg działań mających zapewnić mu kontrolę nad sytuacją, a także zapewnić lojalność aparatu partyjnego i państwowego. Na spotkaniach z aktywem pezetpeerowskim starał się uspokoić działaczy obawiających się rozkładu systemu. Jednocześnie zapadały decyzje wychodzące naprzeciw powszechnie zgłaszanym postulatom. 26 października zwolniony został z izolacji prymas Wyszyński, środowiskom inteligencji katolickiej przyznano prawo do organizowania się i zgodzono się na reaktywowanie "Tygodnika Powszechnego", w grudniu podjęła działalność Komisja Wspólna Rządu i Episkopatu, która przywróciła naukę religii w szkołach, a usunięci biskupi mogli powrócić do swoich diecezji. Odjechał do Moskwy marsz. Rokossowski, a wraz z nim nieomal wszyscy oficerowie radzieccy z Wojska Polskiego. Dokonano istotnych zmian w Radzie Ministrów (na niekorzyść "natolińczyków"). Zmiany personalne nastąpiły w CRZZ, w związkach literatów i dziennikarzy - także w "sojuszniczych stronnictwach" ZSL i SD. Odeszła większość sekretarzy wojewódzkich PZPR. Zlikwidowano Komitet Bezpieczeństwa Publicznego - dokonując przy okazji kolejnych zmian personalnych - PKPG i Ministerstwo PGR. Reaktywowany został Związek Harcerstwa Polskiego. Podpisano umowę regulującą pobyt wojsk radzieckich. Przywrócono możliwość pracy dydaktycznej odsuniętym od niej profesorom akademickim.

Były to kroki zarazem "doskonalące system", umacniające pozycję Gomułki, jak i uspokajające społeczeństwo. W powściąganiu nastrojów znaczną rolę odegrała umiarkowana postawa prymasa, a także wiadomości napływające z Węgier, gdzie brutalna reakcja władz na pokojową manifestację (23 października) doprowadziła do wybuchu. Gdy do akcji wkroczyły tam oddziały radzieckie, rewolta przekształciła się w powstanie narodowe, niezwykle krwawo stłumione. Wydarzenia węgierskie oddziaływały na korzyść Gomułki, który przyczynił się do zmian w warunkach względnej stabilizacji, a w każdym razie na drodze pokojowej. Uzmysłowiły one też determinację Moskwy w utrzymywaniu kontroli nad Europą Środkowo-Wschodnią i koszty, jakie trzeba by zapłacić za próbę - o małych szansach powodzenia - aby uwolnić Polskę od zależności.

Odchodzenie od stalinizmu w czystym wydaniu dokonywało się stopniowo

(lecz z przyspieszeniami) przez dłuższy czas. Forma, w jakiej doszedł do skutku "przełom październikowy" - z masową mobilizacją wielu warstw społecznych, napięciem dni VIII Plenum, reperkusjami agresji Armii Radzieckiej na Węgrzech - spowodowała, iż odczuwany był on jako coś znacznie więcej niż "zmiana kursu" i wymiana ekipy rządzącej. Przez znaczną część społeczeństwa uważany był za daleko idące i nieodwracalne przekształcenie całego systemu. Utożsamiany był on z terrorem, nachalną kontrolą nad całym życiem publicznym i społecznym, ingerencją w życie prywatne, pogardą i niszczeniem tradycji narodowych, wyrzeczeniami i biedą, poniżającą uległością wobec "Ruskich" i rezygnacją z suwerenności państwa. Gomułka, który to wszystko publicznie potępił, stał się uosobieniem - i gwarantem - odmiany losu: jednostek i narodu. A także gwarantem ciągłości ustrojowej, gdyż narastającą od wiosny 1956 r. wielką falę powodziową zdołano zatamować i nie dopuszczono, aby zerwała - jak na Węgrzech - przegrody.

Rozdział V.ă
Realny socjalizm: rządy silnej ręki

Stabilizacja i konsolidacja

Październik był podwójnym zwycięstwem Władysława Gomułki: osobistym - gdyż stał się niekwestionowanym przywódcą - i politycznym - gdyż zachowane zostały zarówno zasady, na których opierał się jego światopogląd, jak i instrumenty, dzięki którym mógł wcielać go w życie. Instrumenty te były kształtowane w latach, w których charyzmatyczny triumfator VIII Plenum należał do wąskiej elity rządzącej (1944-1948), ale proces ich doskonalenia przypadł na okres, kiedy został on całkowicie odsunięty od życia publicznego (1948-1956), a nawet uwięziony (1951-1954). Niektóre z nich były więc w pewnym sensie tworzone przeciw Gomułce (np. Biuro Specjalne i X Departament MBP). Wprawdzie w ciągu paru lat poprzedzających spontaniczne śpiewy Sto lat, sto lat, które stały się doraźnym hymnem Października, następowało demontowanie - a raczej stępianie ostrza - niektórych spośród owych instrumentów, niemniej szkielet systemu przetrwał zawirowania, które nastąpiły zarówno po śmierci Stalina, jak i po wstrząsach spowodowanych przemówieniem Chruszczowa na XX Zjeździe KPZR. Podstawowymi elementami tej konstrukcji były: hegemonia partii komunistycznej, która opanowała cały aparat państwowy i zbudowała strukturę uzależnionych od niej organizacji; "centralizm demokratyczny" tworzący z tej partii hierarchicznie zarządzaną machinę; legitymizacja obu tych członów przez utopijną wizję zbudowania "królestwa wolności", sprawiedliwości społecznej i dobrobytu, którą uzupełniało wytrwale upowszechniane przekonanie, iż w istniejącym układzie sił na świecie tylko partia komunistyczna może być gwarantem bytu narodowego.
Aczkolwiek Gomułka oskarżony był w 1948 r. o odstępstwo od ideologicznej ortodoksji, "odchylenie", które uosabiał, mieściło się w obrębie doktryny i

dotyczyło co najwyżej taktyki. Toteż było naturalne - choć dla znacznej części społeczeństwa, a nawet radykalnych środowisk, które włożyły tyle energii i emocji w popieranie b. sekretarza generalnego PPR, zaskakujące - iż Gomułka nie tylko nie odrzucił elementów legitymizacyjnych systemu, ale także podstawowych składników jego fizycznej skuteczności (hegemonii scentralizowanej partii). Osiągnięcie pełnej stabilizacji i sterowalności zabrało jednak nieco czasu, a okres ten nazywany bywa zwykle "odchodzeniem od Października".

Działania swe Gomułka przeprowadził zręcznie i unikając poważniejszych wstrząsów, choć nie były one bynajmniej łatwe. "Odnowa", ku której zmierzał, odbywać się musiała bowiem równocześnie - lub niemal równocześnie - na dwóch co najmniej ważnych płaszczyznach: wewnętrznej, czyli na poziomie partii komunistycznej, i zewnętrznej, czyli na poziomie społeczeństwa. Było być może pewnym paradoksem, że na tej drugiej płaszczyźnie stosunkowo szybciej osiągnął sukces, aczkolwiek niezbyt trwały, gdy na pierwszej sytuacja była w pewnym sensie odwrotna. W 1970 r. okazało się, że społeczeństwo odrzuca jego osobę (i politykę), natomiast zakończona w 1968 r. pacyfikacja nieortodoksyjnych nurtów w partii okazała się skuteczna co najmniej do schyłku lat 70., kiedy Gomułka dożywał swoich dni na wilegiaturze.

Z największym, jak można sądzić, entuzjazmem spotkały się eksponowane przez Gomułkę aspiracje do niezależności od Moskwy, choć w istocie chodziło mu nie tyle o całkowitą niepodległość, ile o nowe określenie stosunków międzypaństwowych - szczególnie w dziedzinie gospodarczej - oraz respektowanie "polskiej specyfiki". Niewątpliwy sukces w skali ogólnospołecznej zapewniły nowej ekipie zarówno podejmowane przez nią konkretne działania, jak i - może nawet przede wszystkim - ogólna atmosfera powstała po definitywnym odstąpieniu od stalinowskiego modelu powszechnego terroru i wszechogarniającej kontroli. Po tamtych latach poczucie osobistego bezpieczeństwa było wartością niezwykle cenną, a kontynuowanie przez Gomułkę kroków podejmowanych już wcześniej gwarantowało nieodwracalność zmian.

Z partyjnych i państwowych funkcji odwoływani byli kolejni realizatorzy "błędów i wypaczeń" (wykluczenie z PZPR m.in. Bermana i Radkiewicza w maju, wysokie wyroki na Romkowskiego, Różańskiego i Fejgina w listopadzie 1957 r.). Służba Bezpieczeństwa (SB), która zastąpiła osławioną "bezpiekę", została w terenie podporządkowana - przynajmniej formalnie - komendantom MO. Z więzień wyszli nieomal wszyscy skazani za działalność polityczną, odbywały się procesy rehabilitacyjne. Zreorganizowano też Główny Zarząd Informacji, powołując bardziej tradycyjną Wojskową Służbę Wewnętrzną. Z obu służb zniknęli radzieccy doradcy. Wprawdzie centrum dyspozycji politycznej nie dopuściło do niezależności sędziów (i sądów), ale - zwłaszcza od procesów "za wydarzenia poznańskie" - ingerencja była znacznie bardziej dyskretna i w zasadzie dotyczyła wyroków o nadużycia gospodarcze, które akceptowane były przez społeczeństwo. Szersze niż dotychczas stało się pole działania adwokatów. Podobne skutki pociągnęło za sobą odejście - zapoczątkowane także przed Październikiem - od agresywnej propagandy "antyimperialistycznej", która przez wiele lat wzmagała niepokój społeczny i nieraz była (słusznie) łączona z nieustanną aktywnością organów przymusu. Ważnym czynnikiem kształtującym nastroje było zaprzestanie zarówno

bezpośrednich ataków na Kościół, jak i pewne uspokojenie państwowej propagandy ateistycznej.

Kontynuowany był także "manewr gospodarczy", nieśmiało rozpoczęty jeszcze w 1954 r. Wydatnie zmniejszono wysiłek inwestycyjny i akumulacja nie przekraczała wskaźników z 1949 r. Wzrosły nakłady na przemysł produkujący dobra konsumpcyjne. Zelżało centralne sterowanie w wielu gałęziach przemysłu i dozwolono "eksperymenty ekonomiczne", które szybko owocowały wzrostem produkcji. Dokonano kolejnej redukcji sił zbrojnych (o ok. 45 tys. żołnierzy), a fabryki zbrojeniowe lub pracujące na rzecz armii wykorzystywały zwolnione moce produkcyjne dla produkcji towarów konsumpcyjnych. "Zielone światło dla rzemiosła" uruchomiło wiele inicjatyw nie tylko w zakresie wymiany, ale także produkcji, a podobny był efekt reanimacji spółdzielczości. W rezultacie przy wzroście produkcji przemysłowej, w latach 1956-1958, po raz pierwszy od dawna przyrost dochodu narodowego wyprzedzał przyrost inwestycji, a średnioroczny wzrost płacy realnej wyniósł niemal 8% (w latach 1956-1957 prawie 10%). Swoją rolę odegrały w tym korzystne kredyty zagraniczne uzyskane zarówno w ZSRR, jak i - po blisko 10 latach - w Stanach Zjednoczonych. Owocowały też uruchamiane

kolejne inwestycje sześciolatki.

Zbliżone były efekty w rolnictwie, w czym istotną rolę odegrała tolerancja władz dla rozwiązywania spółdzielni produkcyjnych (zostało ich ok. 1,5 tys., czyli 15%). Zanikała obawa przed naciskiem na kolektywizację,

chłopi przestawali bać się uznania ich za kułaków, ale bodaj czy nie ważniejszy od tego był zwiększony przypływ kredytów, pewne poluzowanie śruby podatkowej, wzrost produkcji maszyn i narzędzi rolniczych, a także te wszystkie czynniki, które niejako automatycznie wynikały ze wzrostu płac realnych w przemyśle. W latach 1956-1958 produkcja rolna wzrosła bardziej niż przez cały plan 6-letni. Aczkolwiek nie udało się osiągnąć trwałej równowagi rynkowej - m.in. z uwagi na silną presję inflacyjną - sfera ekonomiczna była kolejną, w której "linia odnowy" i Gomułka zyskali szerokie poparcie społeczne. Nie brakowało wprawdzie konfliktów na tle ekonomicznym - ze strajkami (m.in. w styczniu 1957 r. we Wrocławiu, w marcu w Bydgoszczy, w sierpniu w Łodzi) włącznie - ale nie przekształciły się one w uliczne wystąpienia, a I sekretarz osobiście przyjął delegację strajkujących w Bydgoszczy pracowników ZNTK. Zapowiadane reformy i szeroko dyskutowane, a w wielu fabrykach wprowadzane w życie współzarządzanie, powodowały, iż wyraźna poprawa położenia traktowana była jako trwała, wsparta na rozwiązaniach prawnych i instytucjonalnych.

Dodatkowym czynnikiem sprzyjającym stosunkowo szybkiej stabilizacji sytuacji był fakt, iż rozbieżności na partyjnym szczycie, widoczne w 1956 r., nie przeniosły się w podobnej skali do aparatu władzy, a zwłaszcza do jego kluczowych ogniw. Po decyzji Chruszczowa z 19 października marsz. Rokossowski nie podejmował żadnych działań mających na celu pozostanie na stanowisku, a bezpośrednio po VIII Plenum korpus oficerski jednoznacznie poparł Gomułkę. Także aparat bezpieczeństwa zachował całkowitą lojalność i choć reorganizacja spowodowała - trwające już od pewnego czasu - osłabienie, nie groził bynajmniej jego rozkład.

PZPR przeżywała wprawdzie okres wewnętrznych konfliktów, jej "kadra

rezerwowa" okazała się jednak wystarczająco liczna i bez trudu uzupełniła stanowiska wakujące zarówno po radzieckich specjalistach, jak i osobach najbardziej skompromitowanych (lub uznanych za takie). Przeważająca część aparatu partyjnego, mniej lub bardziej szczerze, poparła nową linię i poważnie zmienione kierownictwo, wykazując się - podobnie jak w 1948 r. - wysokim poziomem dyscypliny. Wprawdzie zmiany personalne odbiegały, jeśli chodzi o zasięg, od oczekiwań, akceptację takiego stanu ułatwiało wejście na wiele ważnych stanowisk osób więzionych lub odsuniętych uprzednio na podrzędne placówki. Tak jak Gomułce nie pamiętano na ogół drastycznych wypowiedzi i radykalnych działań z lat 1944-1947, tak i jego dawnych współtowarzyszy nie kojarzono - lub kojarzyć nie chciano - z bezpardonowymi postawami wobec opozycji lub roli odegranej w walce z nią. Spychalski, Kliszko, Loga-Sowiński, Bieńkowski, Moczar, Korczyński czy Komar ułatwiali zaakceptowanie faktu, iż większość stanowisk obsadzona była przez osoby (Ochab, Cyrankiewicz, Zawadzki czy Zambrowski), które pozostawały "na świeczniku" przez cały czas.

Zasięg poparcia dla Gomułki znalazł wyraz w wyborach do Sejmu, które odbyły się 20 stycznia 1957 r., nieomal co do dnia w rocznicę wyborów z 1947 r., przeprowadzonych pod ogromnym naciskiem, w atmosferze terroru i sfałszowanych. Teraz przeprowadzono je wedle nieco zmodyfikowanej ordynacji, która przewidywała, iż liczba kandydatów może być większa niż liczba miejsc. Wszakże 29 listopada Front Jedności Narodu - czyli naprędce przekształcony dotychczasowy Front Narodowy - postanowił, że wystawiona będzie tylko jedna, "wspólna" lista. W trakcie krótkiej kampanii wyborczej bardzo silne były jeszcze echa - nadzieje i emocje - październikowego wrzenia, lecz PZPR zachowała kontrolę zarówno nad doborem kandydatów, jak i nad przebiegiem kampanii. Choć tym razem nie było bezpośredniej presji na udział w głosowaniu, frekwencja była stosunkowo wysoka - wedle oficjalnych danych 94,1%. Istotnym elementem kampanii i samych wyborów stał się, wielokrotnie powtarzany, apel Gomułki o głosowanie bez skreśleń, co oznaczało, iż zgodnie z ordynacją, każdy w ten sposób oddany głos liczony był jako złożony na kandydatów figurujących na pierwszych miejscach list, które nie były układane w porządku alfabetycznym. W rezultacie o tym, kto wejdzie do Sejmu, decydowały w istocie instancje układające listy okręgowe, a nie głosujący. W ten sposób udało się kierownictwu PZPR wyeliminować kandydatów, których nazwisk nie można było pominąć, ale których nie chciało ono obdarzyć prawami i przywilejami posła. Tak stało się z najpopularniejszym w dniach Października działaczem robotniczym - zresztą członkiem i aktywistą PZPR - Lechosławem Goździkiem z warszawskiej FSO. Wprawdzie znamienne było, iż kandydaci członkowie PZPR dostali (w skali krajowej) mniej głosów niż bezpartyjni, ale osiągnęli i tak średnio 88% oddanych głosów.

Masowe głosowanie bez skreśleń oznaczało jednoznaczne poparcie dla Gomułki i "linii odnowy", a wobec jego raczej jednoznacznego stanowiska co do trwania na "drodze socjalistycznych przemian" - zapoczątkowanych, co przypominał, w lipcu 1944 r. - stanowiło zgodę lub co najmniej przyzwolenie na system. Przynajmniej w tej formie, jaka zdawała się wynikać z jesiennego fermentu.

Po krwawej rozprawie z konspiracją i opozycją, po traumatycznych przeżyciach lat stalinizmu i wobec trwania instytucji przemocy i kontroli,

nie reaktywowały się żadne formacje wrogie systemowi. Bliskie Kościołowi ugrupowania katolickie wybrały - przy poparciu prymasa Wyszyńskiego - pozycje "łagodnej opozycji", nie mając w istocie bezpośrednich celów w sferze czystej polityki. Aktywność dawnych peeselowców, niezależnych pepeesowców czy chrześcijańskich demokratów nie wyszła poza półtowarzyskie spotkania (pilnie zresztą inwigilowane przez SB), środowiska winowskie czy eneszetowskie opuściły zaś więzienia bardziej niż zdziesiątkowane. Żołnierze AK mogli już wprawdzie bez obawy chodzić na groby współtowarzyszy walki, a nawet czytać pierwsze, stosunkowo obiektywne opracowania o antyniemieckiej konspiracji, ale nie mieli żadnych szans na skupienie się we własnej, kombatanckiej organizacji. Piekielne młyny stalinowskich represji - i wcześniejsza rozprawa z opozycją - unicestwiły tradycyjne nurty i elity polityczne, które przetrwały tylko na emigracji. Ułatwiło to w oczywisty sposób zadanie ekipie Gomułki, która mogła utrzymać bez większych kłopotów - i za pomocą stosunkowo niewielkich koncesji (np. reaktywowanie prasy codziennej, powołanie, na poły fikcyjnej, Centralnej Komisji Porozumiewawczej Stronnictw Politycznych) - kontrolę nad istniejącymi partiami "satelickimi" (ZSL, SD). Zachowano też, mimo początkowych wahań, pod dotychczasowym przywództwem, Stowarzyszenie PAX, które było dogodnym instrumentem nacisku na Kościół (i inne środowiska katolickie).

Nie powstały więc ani nie zostały reaktywowane żadne istotne instytucje życia politycznego, które pozostawałyby poza kontrolą partii komunistycznej. Społeczeństwo pozbawione było wyraźniejszej alternatywy programowej czy ideowej mającej ściśle polityczny charakter (i cele). Szczególnego znaczenia nabrały więc te środowiska i typy postaw, które mieściły się uprzednio wewnątrz samej PZPR (lub w jej bezpośredniej otoczce), a nie akceptowały - z reguły tylko części - zasad ustrojowych czy raczej bieżącej linii politycznej partyjnego centrum. W ciągu 1956 r. grup takich i pomysłów powstało - na tle odmiennego stosunku do tempa i charakteru przemian - dosyć dużo. Najbardziej widoczne były środowiska "rewizjonistyczne", których pojawienie się było cechą całego okresu "odwilży" nie tylko w obrębie państw rządzonych przez partie komunistyczne, ale na terenie światowego ruchu komunistycznego. One właśnie - jak pisałem - były najbardziej gorliwymi i energicznymi zwolennikami Gomułki w październiku i w sposób najbardziej radykalny i systematyczny przygotowywały grunt pod zmiany. Nowy przywódca nie był jednak zwolennikiem zbyt daleko idących reform, ani też nie chciał stać się "więźniem" reformatorów. Dlatego też konsolidacja władzy w partii stała się dla niego zadaniem ważnym i nie cierpiącym zwłoki.

Stosunkowo szybko - mając oparcie zarówno w opinii, jak poparcie "rewizjonistów" - uporał się z tymi, którzy w październiku zajęli pozycje zachowawcze, sprzeciwiali się zmianom, których zasięg i charakter określał Gomułka. Z istoty przekształceń proponowanych, mniej lub bardziej wyraźnie, przez nową ekipę, wynikała względnie niska szkodliwość postaw konserwatywnych czy - jak wówczas mówiono - "dogmatyczne-sekciarskich". Opierały się one bowiem na tych samych pryncypiach i można było liczyć, iż pozbawieni zewnętrznych impulsów (z Moskwy) ich wyraziciele podporządkują się partyjnej dyscyplinie. I tak się rzeczywiście stało, choć jeszcze w maju 1957 r., na posiedzeniu KC PZPR, Gomułka czuł się zmuszony do

publicznej polemiki z Kazimierzem Mijalem, a Wiktor Kłosiewicz - inny leader "konserwy" - otrzymał naganę partyjną.

Problemem stali się nie pozbawieni szerszej bazy społecznej "dogmatycy", ale "rewizjoniści", którzy proponowali działania mogące znaleźć znaczne poparcie i którzy podważali pewne drogie I sekretarzowi zasady. Zarówno on i część jego najbliższych współpracowników, jak i aparat partyjny (w szerokim tego terminu znaczeniu, tzn. także wyżsi urzędnicy aparatu administracyjnego i gospodarczego), uważali, iż nieuchronną konsekwencją kontynuowania rozpoczętych przemian będzie wyjście ich poza granice ideologii i dopuszczalnej praktyki politycznej. Podjęte więc zostały działania mające na celu ograniczenie możliwości oddziaływania zwolenników - jak to krytycznie określał Gomułka - "drugiego etapu". Dokonano pewnych przesunięć personalnych zarówno w aparacie partyjnym, jak i (głównie) w mass mediach. Umiejętnie zablokowano żywiołową zrazu likwidację ZMP i już 25 kwietnia 1957 r. powstał Związek Młodzieży Socjalistycznej. Liberalnym pisarzom uniemożliwiono utworzenie nowego czasopisma, którego sama nazwa "Europa" musiała budzić zastrzeżenia. Kierownictwo partyjne budowało też własny "front ideologiczny" dla środowisk inteligenckich i intelektualnych, tworząc tygodnik "Polityka" (27 lutego 1957 r.), który miał być oczywistą przeciwwagą dla "Po prostu".

U schyłku lata Gomułka postanowił uderzyć: 21 września, na zebraniu partyjnym w warszawskiej Fabryce Samochodów Osobowych, stwierdził, iż "na kontrrewolucyjną działalność [...] nie pozwolimy! Albo "Po prostu" będzie się mieściło w linii partii [...], albo "Po prostu" nie będzie w ogóle wychodzić". "Nie ma innej rady, towarzysze" - dodał. Powakacyjny numer czasopisma nie ukazał się, co wywołało kilkudniowe (3-6 października) zamieszki uliczne, w których uczestniczyli warszawscy studenci i licealiści. Uśmierzono je przy użyciu niedawno powołanych oddziałów ZOMO i po zatrzymaniu ponad 500 osób, spośród których kilkanaście stanęło przed sądem. Jeszcze w tym samym miesiącu na posiedzeniu KC PZPR zadecydowano o przeprowadzeniu weryfikacji członków, a jej kierunek dosyć wyraźnie określił I sekretarz mówiąc, iż "należy uderzać [...] w rewizjonizm i likwidatorstwo". Do maja 1958 r. usunięto z PZPR blisko 16% członków, co było największą "czystką" w jej historii. Choć Gomułka w zasadzie cały czas kontrolował sytuację, to od początku 1958 r. panował już bezapelacyjnie nad całym aparatem partyjnym, państwowym (z wojskiem i bezpieczeństwem włącznie) i propagandowym.

Środowiska rewizjonistyczne, które nie zdołały - a w istocie nawet nie próbowały - sformować zwartej grupy o wyraźniej zarysowanych granicach i programie, zostały w znacznym stopniu rozproszone i zepchnięte na płaszczyznę opozycji bardziej intelektualnej niż politycznej. Ich marginalizacja była tym łatwiejsza, iż sama sytuacja tych środowisk charakteryzowała się ambiwalencją zarówno ideologiczną, jak i polityczną. Pozostając na gruncie marksizmu (a nawet "prawdziwego leninizmu"), nie miały przekonywającego programu generalnych zmian systemowych, a nadto widziały zagrożenia zarówno w aktywności "dogmatyków", jak i w odnowionej sile Kościoła katolickiego. Do rzadkich wyjątków należeli ci, którzy decydowali się zerwać organizacyjną pępowinę łączącą z partią (tak jak to zrobili pisarze pragnący wydawać "Europę"). Pozostawanie w PZPR miało umożliwiać działalność publiczną, ale w istocie ubezwłasnowolniało ich. Na

wielu "rewizjonistach" ciążyło też aktywne uczestnictwo w stalinowskiej indoktrynacji.

III Zjazd PZPR, który odbył się od 10 do 19 marca 1959 r., był de facto ostatecznym zamknięciem okresu konsolidowania osobistej władzy Gomułki i stabilizacji stosunków zarówno w skali ogólnospołecznej, jak i wewnątrz rządzącej partii. W ciągu krótkiego stosunkowo czasu po pełnych emocji - i nadziei - wydarzeniach z jesieni 1956 r., System okrzepł i wszedł w fazę dojrzałości, w której zbędne były krwawe ekscesy lat 1944-1947 i brutalny, nie skrywany, nacisk na wszystkie warstwy i grupy społeczne "pełnego stalinizmu" lat 1948-1954. Zarówno w skali globalnej, jak i polskiej, okazał swoją polityczną skuteczność i trwałość wychodząc obronną ręką z niezwykle rozległego kryzysu. Pozbawiony najbardziej terrorystycznych "błędów i wypaczeń", stawał się czymś oczywistym i zwyczajnym: tak jak Wisła płynęła z południa na północ, a po zimie przychodziła wiosna, tak Polska była socjalistyczna.

Gospodarka - w pętli ideologii

Choć w przemówieniu na VIII Plenum KC Gomułka nie szczędził słów krytyki polityce gospodarczej okresu sześciolatki, a później kontynuował zmiany rozpoczęte "manewrem ekonomicznym" swych bezpośrednich poprzedników, nie znalazł - i nie mógł znaleźć - innej odpowiedzi na wyzwanie modernizacyjne, przed którym stała Polska, niż ta, jaką od dziesiątków lat dyktowały wszystkim komunistom ideologiczne imponderabilia. Najważniejszym z nich było przekonanie o wyższości "własności społecznej" nad prywatną, a przewaga ta wyrażać się miała nie tylko większą sprawiedliwością w podziale dóbr, ale także wyższą skutecznością ich wytwarzania. Utopijnej proweniencji imperatyw "własności społecznej" od dawna już przekładany był na suchą prozę omnipotencji państwa. Nie na wiele zdały się liczne próby polskich ekonomistów, którzy od 1956 r. usiłowali wyjść z gospodarczej kwadratury koła zadekretowanej definitywnie wraz z rozpoczęciem pierwszej, stalinowskiej pięciolatki. Projekty decentralizacji zarządzania, zmian zasad kształtowania cen, wprowadzenia pewnych mechanizmów rynkowych czy - nader nieśmiałe - dywagacje nad odejściem od marksistowskiego schematu przeciwstawiającego "produktywne" i "nieproduktywne" sfery gospodarki, zdawały się prowadzić w kierunku przekształceń kojarzących się wielu, a w tym i samemu Gomułce, z "wolną grą sił" w sferze społecznej i politycznej. Reformatorom nie sprzyjało też wznowienie polemik na linii Moskwa-Belgrad, co oznaczało, iż model samorządowy utracił ideologiczny placet. Horyzont przekształceń systemowych w gospodarce był niezwykle ograniczony. Nawet to, co na nim widzieli reformatorzy - tak wybitni ekonomiści jak Oskar Lange, Michał Kalecki, Czesław Bobrowski czy Edward Lipiński - było i tak raczej fatamorganą "rynkowego socjalizmu", pojęcia wewnętrznie sprzecznego, niż wizją zmian mającą szansę na spełnienie nadziei.

Gdy uspokoiło się popaździernikowe wrzenie, społeczeństwo w swej masie mniej lub bardziej biernie zaakceptowało ustrój, który - w odróżnieniu od stanu z lat poprzednich, gdy trzeba było go się bać - "dał się lubić". PZPR stała się znów machiną posłuszną rządzącej ekipie i można było podjąć

przerwany w 1953 r. proces przyspieszonej industrializacji. Dwa były - ważne z punktu widzenia egzystencjalnego - odstępstwa od stalinowskiego wzoru: nie powrócono do półniewolniczej pracy przymusowej (w Polsce zresztą nie odgrywała ona nigdy takiej roli jak w ZSRR) i - przede wszystkim - forsowanej środkami administracyjnymi kolektywizacji rolnictwa. Pod pierwszym względem Polska nie wyróżniała się od innych państw komunistycznych, choć nie brakowało wśród nich wówczas i później "recydyw" masowego terroru połączonego z łagierniczą pracą (głównie w azjatyckiej odnodze komunizmu). Pod drugim względem stanowiła znaczący wyjątek także na europejskim forum, gdzie przełom lat 50. i 60. przyniósł faktyczne zakończenie procesu "uspółdzielczania" wsi. Gomułka wierny swym dawnym przekonaniom postawił na wprowadzenie socjalizmu na wsi "tylnymi drzwiami" - poprzez preferowanie sektora państwowego i spółdzielczego oraz uspołecznianie, a więc w istocie utrzymywanie w gestii państwa, zarówno obrotu związanego z produkcją rolną (skup produktów rolnych i sprzedaż narzędzi i środków produkcji), jak i obsługi indywidualnego rolnictwa. Było to odstępstwo niezmiernie ważne - traktowane nieraz jako ideologiczna skaza - ale w niewielkim stopniu wpływało na efektywność systemu jako takiego i nie zmieniło jego dwóch innych, immanentnych, cech: niskiej innowacyjności i trwałego niedoboru.

Od 1959 r. nastąpiło przyspieszenie procesów industrializacyjnych wedle dawnego schematu. Niezależnie od wahań dochodu narodowego rosła pula inwestycyjna: od 1965 r. udział akumulacji nie spadał poniżej 25%, a w 1968 r. osiągnięto "rekord" z 1953 r. (28,5%). Wzrastał w niej udział środków przeznaczanych na sławetną "grupę A" osiągając w 1970 r. 213. Preferowano nowe inwestycje ze szkodą dla modernizacji istniejącego potencjału, co m.in. powodowało, iż wzrost produkcji osiągano raczej przez przyrost zatrudnienia niż podnoszenie wydajności pracy. Dla "wyżu demograficznego" szykowano drogie miejsca pracy w przemyśle ciężkim i wydobywczym, a nie - relatywnie tańsze - w działach przetwórczych i lekceważonym sektorze usług. Nadal podstawowa masa maszyn i urządzeń nabywana była w obrębie RWPG, co utrudniało eksport na Zachód wyrobów z założenia niejako przestarzałych.

Bezustannie pojawiały się - znane dobrze - "wąskie gardła" i braki zaopatrzeniowe, którym nie mogła zapobiec centralizacja zarządzania: jesienią 1959 r. poszerzono kompetencje Komisji Planowania, a na eksponowane stanowiska wrócili dawni wysocy urzędnicy z PKPG - Tadeusz Gede, Eugeniusz Szyr, Julian Tokarski. W pięciolatce 1961-1965 wykonano tylko plan produkcji przemysłowej, o co zawsze było najłatwiej, ale nie osiągnięto planowanych wskaźników ani w produkcji rolnej, ani we wzroście dochodu narodowego. Nie mówiąc już o płacach realnych.

Choć chłopi nie musieli bać się kolektywizacji, to właśnie wieś ponosiła znaczną część kosztów. Systematycznie podwyższano wymiar świadczeń rzeczowych (w 1968 r. osiągnęły pułap z 1952 r.). Podatki i inne formy drenażu finansowego wzrastały bez żadnego związku ze wzrostem produkcji, a gospodarstwa spółdzielcze i państwowe zasiewające niespełna 15% areału (1968 r.) otrzymywały blisko 75% środków przeznaczanych dla rolnictwa. Produkcję maszyn i urządzeń rolniczych dostosowywano do potrzeb sektora uspołecznionego i forsowanych od 1959 r. kółek rolniczych, mających być owymi "tylnymi drzwiami". Niemal 4/5 produkcji towarowej rolnictwa znalazło się w dyspozycji państwa, co, jak wiadomo, na ogół sprzyja marnotrawstwu.

Utrudniano obrót ziemią, prowadząc do pogłębiającego się rozdrabniania - w 1950 r. gospodarstwa do 2 ha stanowiły 26% ogółu, w 1968 r. już niemal 38%, a większe niż 20 ha odpowiednio 1,3 i 1%. Blokowało to wzrost powierzchni zasiewów - w 1956 r. obsiano 15,4 mln ha, w 1968 r. - 15,3 mln ha.

Wzrastająca mimo zahamowania wzrostu płacy realnej, masa pieniężna nie znajdowała "ujścia" w kasach sklepowych. Brakowało artykułów przemysłowych, dochodziło do okresowych załamań na rynku mięsnym. Jedynym remedium były podwyżki ściśle kontrolowanych cen, szczególnie częste (i dotkliwe) zmiany cen mięsa (1959, 1967) i nabiału (1957, 1958, 1963). Uciekano się też do innych administracyjnych posunięć mających na celu ograniczenie konsumpcji - np. słynne "bezmięsne poniedziałki" od lipca 1957 r. Zablokowany wzrost płacy realnej kompensowany był znaczącym wzrostem zatrudnienia i poszerzaniem sfer tzw. konsumpcji zbiorowej. Zwłaszcza ta druga formuła, zgodna z egalitarystycznymi założeniami ideologii, odgrywała znaczącą rolę, a Gomułka osobiście był do niej przywiązany. Utrzymywano system swego rodzaju "socjalistycznego państwa opiekuńczego" - dotowane było nie tylko szkolnictwo czy ochrona zdrowia, ale także komunikacja, czynsze, energia, wczasy etc. W tym wszakże szkopuł, iż ilość środków odbiegała wyraźnie od zapotrzebowań. Nadto system ten tłumił inicjatywność, nie sprzyjał zwiększaniu indywidualnej wydajności i generował strukturę przywilejów zarówno branżowych, jak i grupowych, charakterystyczną dla każdej gospodarki stałych niedoborów. Przywileje te, obok sporej części rozrastającej się wciąż biurokracji zarówno administracyjnej i gospodarczej (a także partyjnej), obejmowały te sektory gospodarki, które związane były z przemysłem wydobywczym i ciężkim. Wzmacniało to niejako automatycznie antykonsumpcyjną alokację środków inwestycyjnych i powiększało masę pieniężną nie mającą pokrycia w artykułach rynkowych.

Gomułka i spora część ludzi z jego najbliższego otoczenia, a także starszej generacji działacze komunistyczni, lansowali nie tylko konieczność wyrzeczeń na rzecz przyszłości (co było charakterystyczne dla całej formacji jeszcze od czasów leninowskich), ile pewien model antykonsumpcyjny, który dosyć dobrze oddawało sformułowanie "siermiężny socjalizm". Choć system akceptowany był szerzej - i zapewne bardziej szczerze - niż przed październikowym przełomem, trudno już było wykrzesać mniej czy bardziej autentyczny entuzjazm i poczucie awansu, tak częste uprzednio zwłaszcza wśród sporej części młodzieży porzucającej zacofaną wieś.

Anachronicznie brzmiały nieustanne odwoływania się do korzystnych zmian, jakie zaszły w porównaniu z okresem przedwojennym. Celował w nich sam Gomułka, wygłaszający monotonnym głosem - i z charakterystycznym akcentem - tasiemcowe przemówienia: "Przed wojną - parodiowano go - gospodarka polska stała na skraju przepaści. Po wyzwoleniu uczyniliśmy wielki krok naprzód". Atmosfera entuzjazmu i nadziei ustępowała zawodowi, zniechęceniu i cichej, ale powszechnej krytyce oraz narzekaniom na niskie płace czy braki w zaopatrzeniu. Punktem odniesienia przestawała być przeszłość, a stawał się nim zachodnioeuropejski i amerykański poziom (i styl) życia, a większość tych państw przeżywała wówczas okres wyraźnego ożywienia i modernizacji, co nie dawało się ukryć wobec stosunkowo znacznego napływu tamtejszych wzorów. Samo zresztą - szczególnie głośno podnoszone przez Chruszczowa - hasło "dogonić i przegonić" zachęcało do takich porównań.

Przed podobnymi problemami stały zresztą i inne europejskie kraje demokracji ludowej usiłujące pogodzić "doganianie" rozwiniętych państw Zachodu z wymogami ideologii i założeniami imperialnej doktryny. Ale nawet współpraca między nimi nie ułatwiała tego, gdyż wszystkie gospodarki narodowe miały charakter autarkiczny, a oferty eksportowe łudząco do siebie podobne. Brak waluty wymienialnej w obrębie RWPG dodatkowo utrudniał wymianę, która siłą rzeczy opierała się na zasadzie "towar za towar", ewentualne zaś nadwyżki w bilansach wzajemnych obrotów nie mogły być obracane na zakupy w sferze "wolnodewizowej". Z własnymi wyrobami nieomal nie sposób było przebić się na rynki zachodnie z uwagi chociażby na niską jakość. Kraje RWPG pozostawały więc tradycyjnymi dostarczycielami surowców i - na ogół mało przetworzonych - płodów rolnych. Sukcesy radzieckich programów podboju kosmosu (rozpoczęte jesienią 1957 r. lotem pierwszego sputnika) i niezła kondycja przemysłu zbrojeniowego (z bronią nuklearną włącznie) stwarzały złudzenie potęgi. Choć po śmierci Stalina stosunki gospodarcze z "obozem imperialistycznym" uległy wyraźnemu ożywieniu, RWPG stanowiła w istocie zbiór państw słabo komunikujących się z rynkiem światowym. Dotyczyło to także Polski, a nieliczne inwestycje oparte na licencjach i pożyczkach z Zachodu (produkcja fiata w warszawskiej FSO czy budowa fabryki nawozów we Włocławku) nie zdołały przełamać bariery.

Mimo więc znacznego wysiłku inwestycyjnego, pokaźnego wzrostu zatrudnienia i statystycznie niezłych wyników w produkcji przemysłowej, która w latach 1960-1970 wzrastała w tempie 7-10% rocznie, poczucie niezaspokojenia potrzeb stale gościło w polskich domach. Po kilku latach wzmożonego inwestowania ekipa kierownicza uznała za konieczne dokonanie pewnej korekty, gdyż napięcia w gospodarce niebezpiecznie rosły, a i niezadowolenie społeczne stawało się już wyczuwalne. Wydaje się zasadną teza, iż łatwa mobilizacja - zwłaszcza robotników - w okresie tzw. wydarzeń marcowych, miała jako jeden z motywów chęć wykorzystania tej okazji do wyrażenia niezadowolenia z działalności elit rządzących. "Czystka" - tym razem rasowa - górnych warstw aparatu bywała odczytywana jako pozbywanie się winnych za stagnację, trudności i niską stopę życiową.

"Manewr gospodarczy" zaprojektowany przez ekipę Gomułki miał jednak na celu nie - choćby doraźną, jak w latach 1954 i następnych - poprawę sytuacji materialnej, ale zdyscyplinowanie produkcji, podniesienie wydajności pracy i zwiększenie potencjału eksportowego przemysłu. Wszystko to przy trwającej blokadzie płac realnych i bez nadziei na szybkie zrównoważenie rynku żywnościowego. W latach 1969-1970, mimo spadku tempa wzrostu dochodu narodowego, w dalszym ciągu wzrastał udział wydatków inwestycyjnych w "grupie A". Finisz kolejnej pięciolatki był więc trudny, a rządząca ekipa postanowiła wejść w nowy plan (1971-1975) z "oczyszczonym kontem" i dokonać na zakończenie operacji cenowej, która połączona była z trwającym od 1969 r. śrubowaniem norm wydajności i walką z "kominami płacowymi", które powstawały m.in. dzięki pracy w godzinach nadliczbowych (w niektórych grupach zawodowych - m.in. w stoczniach - zarobki zmalały w 1970 r. o ok. 15%). 30 października 1970 r. Biuro Polityczne KC PZPR przyjęło program podwyżki cen na znaczną część artykułów spożywczych. Wieczorem w sobotę 12 grudnia ogłoszono stosowny komunikat Rady Ministrów: nowe ceny miały obowiązywać od 14 grudnia. Mięsne dania na świątecznych stołach drożały o blisko 20%, wigilijna ryba o 12%, a poranna kawa

(zbożowa) o 92%. W niedzielnych gazetach ukazały się obszerne uzasadnienia, na zebraniach partyjnych odczytywano list Biura Politycznego, a zgromadzeni na uroczystościach Dnia Odlewnika zapewniali bohatera z 1956 r., że "wypróbowana rzesza odlewników nie zawiedzie Waszego zaufania i z całym zaangażowaniem wykonywać będzie program stawiany przez partię i rząd". Były to oczywiście słowa rytualne i trudno mieć wątpliwości, by robotnikom tej branży podobały się nowe ceny. Niemniej przecież lata, w których Gomułka niepodzielnie panował na polskiej scenie, dla wielu przyniosły rzeczywiste zmiany na lepsze: spożycie powoli i nierytmicznie, ale wzrastało, fabryki poszukiwały pracowników, rozbudowana została infrastruktura oświatowa, przybywało mieszkań. Żyło się skromnie, lecz bezpiecznie. Jak to jednak często bywa owo "chędogo, ale ubogo" przestawało wystarczać, tym bardziej że nic nie zapowiadało, że rysują się nadzieje na rychłą zmianę.

Frakcje i kontestacje

Rok 1956 wyraźnie przyspieszył ucieczkę z zamkniętego świata socrealizmu i "kultury postępowej". Pojawiły się spóźnione tomiki Zbigniewa Herberta i Mirona Białoszewskiego, leżące w szufladach Rojsty Tadeusza Konwickiego czy Buty Jana J. Szczepańskiego. Powrócili do księgarń klasycy amerykańskiej "straconej generacji" Erskine Caldwell, John Steinbeck i Ernest Hemingway. Odbyły się wystawy awangardzistów wyklętych przez socrealizm (Marii Jaremianki, Tadeusza Kantora, Władysława Strzemińskiego). W kinach ponad 113 filmów stanowiła produkcja zachodnia. Na "rynek kulturalny" trafili nawet pisarze emigracyjni - wznowiono Ferdydurke Witolda Gombrowicza, a w grudniu 1956 r. krakowskie "Życie Literackie" poważyło się drukować fragmenty powieści Czesława Miłosza. Znakiem czasu były zarówno dokumentalne filmy "czarnej serii", ukazujące marginesy życia, jak i nowela Pierwszy krok w chmurach Marka Hłaski. Październik umocnił te zjawiska i polscy twórcy - a także czytelnicy i widzowie - na dobre pożegnali się z socrealizmem. Rehabilitowano (nie bez wyjątków) dramat romantyczny, zadomowili się na scenach Ionesco, Sartre i Witkacy, drukowano Kafkę i Faulknera, emigracyjne książki Gombrowicza (Trans-Atlantyk), ogólnopolskie wystawy malarskie zdominowane były przez malarstwo abstrakcyjne i niefiguratywne, kompozytorzy śmiało weszli na teren muzyki atonalnej. Pojawiła się literatura rozrachunkowa, czasem przebrana w kostium historyczny (Ciemności kryją ziemię Jerzego Andrzejewskiego), niekiedy bardziej dosłowna (Matka Królów Kazimierza Brandysa), a także groteska mniej lub bardziej wyraźnie rewidująca narodowe mity i współczesne postawy (Eroica Andrzeja Munka czy Policjanci Sławomira Mrożka). Polska stała się wyspą awangardy wśród trzymających się socrealizmu sąsiadów i - jak wówczas mawiano - "najweselszym barakiem w obozie".

Było to jednak przejawem nie tylko modernizacji oczekiwań publiczności i awangardyzmu twórców, ale także fermentu intelektualnego - nieodzownej cechy nowoczesności. Centralne władze PZPR (i osobiście Gomułka), a także ludzie z aparatu partyjnego i państwowego, obserwowali to wszystko bez satysfakcji, a raczej z niepokojem. Kultura najwyraźniej przestała być

sterowna, a środowiska twórcze, wieloma nitkami powiązane z politycznymi i filozoficznymi "rewizjonistami", miały - jak sądzono - zbyt wiele aspiracji pozaartystycznych. Jesienią 1957 r. I sekretarz w jednym z przemówień przypomniał, że "sumieniem klasy robotniczej jest partia", a nie pisarze. W lutym 1958 r. Włodzimierz Sokorski, czołowy działacz na "froncie kultury" lat 1948-1956, stanowczo podkreślił, że państwo "nie może i nie chce wyrzec się wpływu na to, co wystawiają teatry, jakie zakupuje się obrazy i u kogo, co ma nadać przez radio i telewizję", a także "ma prawo chronić obywateli od szmiry, sztuki rozkładowej, jawnie wrogiej". Podczas serii odpraw dla aktywu, organizowanych przez różne agendy KC PZPR, analizowano politykę wydawniczą, nauki społeczne i sytuację na uczelniach, środowisko literackie. Zarządzono zmiany personalne (na czele z odwołaniem ministra kultury Karola Kuryluka), przyjęto, iż w "wydawnictwach, zwłaszcza na stanowiskach kierowniczych, mogą pracować jedynie ludzie z przekonaniem realizujący linię partii".

Specjalnie powołana komisja dokonała w połowie 1958 r. redukcji liczby czasopism (zawieszono 255 tytułów). Zaostrzona została cenzura, która coraz częściej sama decydowała o wysokości nakładów czy liczbie spektakli. W lipcu 1958 r., procesem Hanny Rewskiej, współpracującej z paryską "Kulturą", rozpoczęła się seria procesów przeciwko osobom utrzymującym kontakty z emigracją. Tendencji tej nadała szczególnego rozgłosu kampania przeciwko Hłasce, który w oficynie Jerzego Giedroycia opublikował wstrzymywane przez cenzurę tomy Cmentarzy i Następnego do raju. Nieposłuszny autor odmówił powrotu z zagranicy, otwierając listę tych, którzy "wybrali wolność" przed nową, popaździernikową rzeczywistością. Na III Zjeździe PZPR Gomułka nie tylko ostro skrytykował środowiska intelektualne, ale przywrócono też - zlikwidowane jesienią 1956 r. - wydziały kultury oraz nauki i oświaty KC. W grudniu 1959 r., po intensywnych przygotowaniach, na funkcję prezesa Związku Literatów Polskich wybrano - w miejsce Antoniego Słonimskiego - Jarosława Iwaszkiewicza, który nie był obciążony wypowiedziami politycznymi i niemiłymi władzy kontaktami.

Nie były to kroki drastyczne i w istocie nie groził przymusowy powrót do socrealizmu, jednak środowiska intelektualne (zwłaszcza pisarskie) odczuwały je jako dotkliwe, tym bardziej że nie tylko ograniczano swobody twórcze, ale też możliwości wydawnicze: w latach 1957-1962 nakłady książek spadły z 85 mln do 78 mln rocznie, a liczba wydanych tomów prozy i poezji z 1110 do 720. Wypowiedzi nieprzychylne twórcom nie ustawały. W czerwcu 1963 r. zlikwidowano "Nową Kulturę" i "Przegląd Kulturalny", uważając je za "niereformowalne", a artykuł wstępny w pierwszym numerze powołanej na ich miejsce "Kultury" stwierdzał, że konieczna jest "walka z reakcyjną ideologią, odradzającą się wciąż jeszcze na polskiej glebie". Parę tygodni później (4-6 lipca), na posiedzeniu KC PZPR poświęconym problemom ideologicznym, I sekretarz zastrzegał się wprawdzie, że "partia nie chce wtrącać się do spraw warsztatowych", ale dodawał, iż "partia popiera jak najbardziej twórczość realizmu socjalistycznego". Choć od słów do czynów droga była daleka, brzmiało to jako ostrzeżenie i było mało zachęcające. Niezadowolenie narastało i trudno się dziwić, że wyszło poza prywatne rozmowy i wypowiedzi na towarzyskich zebraniach. 14 marca 1964 r. 34 pisarzy i naukowców skierowało na ręce premiera, składający się z dwóch niedługich zdań, list protestujący przeciwko "ograniczaniu przydziału

papieru" oraz "zaostrzeniu cenzury prasowej". Fakt, że tekst dotarł do zagranicznych dziennikarzy i odczytano go w Radiu Wolna Europa przyspieszył i zaostrzył reakcję władz. Rozpętano prawdziwą nagonkę na sygnatariuszy, zmobilizowano "masy członkowskie" ZLP (zebrano 600 podpisów pod "kontrlistem"), 10 profesorów skłoniono do wycofania podpisu, wielu sygnatariuszy objął zakaz publikacji. Na IV Zjeździe PZPR, który odbywał się dwa miesiące po tej deklaracji niezadowolenia, przyjęta została uchwała, w której stwierdzano, że "nie powinno być miejsca dla utworów i sztuk, których wymowa ideologiczna wymierzona jest przeciw socjalizmowi".

Dalsza kampania propagandowa, a przede wszystkim, wytoczenie jesienią tegoż roku procesu Melchiorowi Wańkowiczowi (później oskarżono innych nestorów życia kulturalnego - Jana N. Millera, Januarego Grzędzińskiego, Stanisława Mackiewicza), oznaczały publiczny rozbrat ekipy Gomułki ze znaczną częścią - choć oczywiście nie większością - środowisk twórczych. Wzajemna niechęć, a nawet wrogość, między przedstawicielami elit intelektualnych i władzą, stały się trwałym składnikiem polskiego pejzażu politycznego, a środowisko pisarskie wylęgarnią postaw opozycyjnych.

Równolegle, i nie bez związku z konfliktami między pisarzami a aparatem partyjno-rządowym, narastał ferment pewnej części środowiska, które w 1956 r. wyróżniało się radykalizmem. Spora część "październikowych radykałów" wtopiła się w nową rzeczywistość i stała na uboczu polityki (jak Jerzy Grotowski, który z wielkim sukcesem poświęcił się teatrowi), inni zastosowali się do partyjnej dyscypliny i posłusznie wypełniali swoje role. Większość toczyła codzienne utarczki z cenzurą i nowymi szefami w redakcjach, wydawnictwach, instytucjach czy na uczelniach, wyrażając postawy podobne do tych, jakie nurtowały niezadowolonych pisarzy. Niemałe grono - a w nim i wielu dawnych "oficerów frontu ideologicznego" - stało się czołowymi filozofami, socjologami czy ekonomistami. Tym, którzy wytrwale penetrowali marksizm i kontynuowali swoje rewizjonistyczne poszukiwania, coraz trudniej było o forum dla wypowiedzi, ale w życiu intelektualnym - Leszek Kołakowski, Włodzimierz Brus czy Bronisław Baczko - odgrywali znaczące role, a wśród młodzieży cieszyli się rosnącym autorytetem. Antyinteligenckośń Gomułki i jego najbliższego otoczenia mnożyła zresztą przeciwników I sekretarza.

Przez kilka lat ośrodkiem skupiającym niektórych "rewizjonistów", dbających o niezależność myślenia naukowców, pisarzy i publicystów różnych generacji, był warszawski Klub Krzywego Koła, na który władze patrzyły z rosnącym niezadowoleniem. Nie bez powodu, skoro referentami byli m.in. Paweł Jasienica, Stefan Kisielewski, Kazimierz Moczarski, Władysław Bartoszewski, Julian Hochfeld, a nawet członek KC, prof. Adam Schaff. Jego wystąpienie 1 lutego 1962 r. było ostatnim. Kilka dni później Klub zlikwidowano. Były i groźniejsze sygnały niż uniemożliwianie swobodnych zebrań. 19 grudnia 1961 r. został aresztowany Henryk Holland, popularny w środowiskach rewizjonistycznych socjolog, ongiś jeden z bardziej bojowych dziennikarzy prasy partyjnej. Dwa dni później, podczas rewizji w jego własnym mieszkaniu, zginął po upadku z okna, co powszechnie uważane było - trudno powiedzieć czy zasadnie - za zamaskowane morderstwo popełnione przez SB. W jego pogrzebie wzięło udział spore grono odsuniętych na boczny tor działaczy partyjnych, naukowców i dziennikarzy. Gomułka uznał to za wyraz niesubordynacji, a komisja powołana przez Biuro Polityczne oraz odpowiednie

komisje kontroli partyjnej wymierzyły kary nieposłusznym. Trzy miesiące wcześniej aresztowana została Anna Rudzińska, aktywna w Klubie Krzywego Koła. W lutym 1962 r., gdy zapadł wyrok w procesie Rudzińskiej, aresztowany został z kolei Jerzy Kornacki, pisarz związany z radykalną lewicą jeszcze przed wojną, i zlikwidowano grupę literacką "Przedwiośnie", której był współtwórcą.

Takie poszczególne kroki składały się na cały, dosyć konsekwentny, kierunek działań spychających środowiska rewizjonistyczne i liberalne na margines oficjalnego życia publicznego. Dotyczyło to nie tylko ludzi ze świata kultury i nauki. Jeszcze w 1959 r. odwołani zostali z rządowych stanowisk Żółkiewski i Bieńkowski, w 1960 r. z centralnych władz PZPR odszedł Morawski, w 1963 r. Zambrowski i Matwin. "Ludzi Października" odsuwano również z wojska (m.in. generałów Janusza Zarzyckiego, Adama Uziembłę, Jana Frey-Bieleckiego, Zygmunta Duszyńskiego). Trudno byłoby ich uznać za rewizjonistów czy partyjnych dysydentów, choć niektórzy, jak Bieńkowski, który niebawem zaczął publikować na emigracji (u Giedroycia), daleko odeszli od marksowskiej ortodoksji. Wciąż jednak uznawali swoją przynależność do PZPR jako świadomy akces ideologiczny, nawet jeżeli nie akceptowali aktualnej linii politycznej. Żaden z nich nie występował z partii. Dla działaczy tej formacji życie publiczne rozgrywać się mogło tylko w ramach szeroko pojętej elity i znalezienie się poza nią oznaczało skok w polityczną próżnię.

Tak czy inaczej, po "czystkach" z końca lat 50., znaczna część najbardziej przywiązanych do haseł demokratyzacji znalazła się poza ośrodkami władzy. Na kluczowe stanowiska wracali natomiast niektórzy działacze sprzed Października. Obok wspomnianych już Szyra czy Tokarskiego, najbardziej spektakularny był powrót Kazimierza Witaszewskiego, osławionego "generała gazrurki", który w 1959 r. znalazł się w Sztabie Generalnym, a w marcu 1960 r. został kierownikiem Wydziału Administracyjnego KC, sprawującego pieczę m.in. nad wojskiem i MSW. Mimo październikowego wstrząsu, na najwyższych stanowiskach, zwłaszcza w aparacie rządowym, funkcjonowało niemałe grono "niezniszczalnych". W latach, o których tu mowa, należeli do nich m.in. Józef Cyrankiewicz, członek rządu od listopada 1946 r., Stefan Jędrychowski pełniący (z krótkimi przerwami) funkcje rządowe od czasów PKWN, Adam Rapacki, minister kilku resortów od wiosny 1947 r., Piotr Jaroszewicz, po wyjściu z wojska w 1950 r. stale obecny w Radzie Ministrów, czy Eugeniusz Stawiński, "żelazny" minister przemysłu lekkiego (bez przerwy od kwietnia 1949 r.). Wzmacniało to poczucie skostnienia ekipy Gomułki, a wynikało - jak się wydaje - z konserwatyzmu jej leadera.

Konserwatyzm Gomułki, szybkie porzucenie haseł z jesieni 1956 r., a także wyraźny immobilizm w ruchu personalnym, rodziły zastrzeżenia, sprzeciw, a wreszcie i opór wobec polityki ekipy popaździernikowej. Wychodziły one z różnych środowisk i odmienne, czasem przeciwstawne sobie, były ich motywy, niemniej wszystkie kierowały się wprost lub pośrednio przeciwko Gomułce i jego najbliższemu otoczeniu.

Najmniej istotne i w istocie niegroźne, ale dla Gomułki osobiście niewygodne było środowisko, które można by nazwać "prawdziwymi komunistami". Formowali je ludzie z nostalgią wspominający hasła i praktykę

rewolucyjną, uważający - w ślad za komunistami chińskimi - "odwilż" i politykę Chruszczowa za zdradę ideałów. Leaderem był Kazimierz Mijal, wieloletni sekretarz Bieruta, a bardziej zdecydowane działania grupa ta podjęła wiosną 1964 r. wydając parę ulotek. W jednej z nich wzywano do "przepędzenia kliki pana Gomułki". SB przeprowadziło kilka rewizji i aresztowań i - choć w pokoleniu kapepowskim "mijalowcy" mieli sporo sympatyków - środowisko nie zdołało się zorganizować ani kontynuować działalności. Jego leader, który stworzył "kanapową", nielegalną Komunistyczną Partię Polski, uciekł w 1966 r. do Albanii, gdzie dano mu do dyspozycji program radiowy w języku polskim. Aktywność "mijalowców" była w sposób oczywisty związana z rozłamem w światowym ruchu komunistycznym, co stanowiło potencjalne zagrożenie dla Gomułki. Jednak z wyjątkiem Albanii, która opowiedziała się po stronie Mao Zedonga (Mao Tse-tunga) - i Rumunii, która próbowała odgrywać rolę pośrednika - w żadnym europejskim kraju obozu komunistycznego środowiska prochińskie nie zdołały zaznaczyć swojej obecności.

Niewielki wpływ na wydarzenia wywarła też grupa nawiązująca do trockistowskiej krytyki stalinizmu, chyba nie tylko dlatego, że jej członkowie zostali dosyć szybko aresztowani (kwiecień 1965 r.). Jej a motorem był Ludwik Hass, historyk, który lata 1939-1956 spędził; w łagrze i na zsyłce. Grupa nawiązała kontakt z aktywną w zachodniej Europie i Ameryce Łacińskiej, założoną jeszcze przed 1939 r. IV Międzynarodówką (tzw. trockistowską). Wyrok, który wymierzono trzem członkom tej grupy, opierał się m.in. na zarzucie druku i przygotowaniu kolportażu broszury Schyłek i upadek stalinizmu; będącej tłumaczeniem uchwały kongresu IV Międzynarodówki z 1957 r. Nawiązania do postaci głównego organizatora rewolucji bolszewickiej i wojny 1920 r. nie dawały - zwłaszcza w Polsce - szans na znalezienie szerszego poparcia społecznego ani nawet wpływów wśród komunistów starszej generacji.

Odmiennie potoczyły się losy innego środowiska, które swoje korzenie miało także w marksizmie. Leaderami jego byli Jacek Kuroń i Karol Modzelewski, należący do pokolenia, które faktycznie uformowane zostało przez wydarzenia 1956 r. i odpowiedzi na sytuację szukało nie w powrocie do jednej z wersji bolszewizmu, ale poza nim. Obaj szli konsekwentnie za najbardziej radykalnymi hasłami, Października, ale w odróżnieniu od środowisk np. pisarskich podjęli próbę nie tylko analizy istniejącego stanu, ale także sformułowania wizji przyszłości. Ludzie skupiający się wokół nich wywodzili się ze środowisk uniwersyteckich i młodzieżowych. Grupa była powiązana z nurtami "rewizjonistycznymi" - a także liberalnymi intelektualistami - i można by ją traktować jako skrajne, najbardziej i bezpośrednio upolitycznione ich skrzydło.

Gdy gotowy już tekst pod znamiennym tytułem "Manifest antykomunistyczny" został skonfiskowany, autorzy przygotowali nowy, który 18 marca 1965 r. złożyli organizacji PZPR i ZMS na Uniwersytecie. Dokument ten, znany później pod nazwą "List otwarty", zawierał obszerną krytykę systemu, opartą na zasadach zbliżonych do syndykalistycznych krytyk marksizmu, formułowanych jeszcze w końcu XIX w., koncepcji Milovana Dżilasa "nowej klasy" (w tekście pisano o "centralnej biurokracji politycznej"), a także pewnych postulatach ówczesnej socjaldemokracji. Kluczowe były stwierdzenia, że "wobec niemożliwości przezwyciężenia kryzysu ekonomicznego i społecznego

w ramach systemu biurokratycznego rewolucja jest nieunikniona" oraz że "możliwość interwencji zbrojnej biurokracji radzieckiej [...] nie da się zmierzyć ilością posiadanych czołgów i samolotów, lecz napięciem konfliktów klasowych w ZSRR". Nazajutrz po złożeniu "Listu otwartego" obaj jego autorzy zostali aresztowani, a cztery miesiące później, po krótkim jak na ówczesne zwyczaje śledztwie, skazani.

Środowisko nie zostało jednak rozbite, było aktywne w różnych dostępnych miejscach publicznych - w zasadzie uniwersyteckich - a przede wszystkim prowadziło ożywione debaty wewnętrzne. W znacznym stopniu było to zasługą najmłodszych, wśród których wyróżniał się Adam Michnik. Być może ograniczenia w możliwości wypowiadania się, a co za tym idzie także utrudnienia w krystalizowaniu się przekonań, spowodowały, iż najbardziej generalną wykładnię programową bliską tej formacji dał publicysta emigracyjny Juliusz Mieroszewski. Postulowaną przez siebie strategię nazwał "ewolucjonizmem" i wychodził z założenia, że "ponieważ komunizmu ani Rosji nie możemy odrzucić - musimy starać się wpłynąć na ewolucję zarówno komunizmu jak i Rosji". Nie było to, w gruncie rzeczy, nic innego niż to, co robili zdeklarowani rewizjoniści i partyjni liberałowie, którzy działali jako swego rodzaju grupa nacisku na kierownictwo PZPR.

Zarówno Służba Bezpieczeństwa, jak i instancje PZPR - a także samo kierownictwo partii - poświęcały wiele uwagi aktywności (i twórczości) grupek, grup i środowisk wyrastających z marksizmu oraz bliskim im środowiskom liberalnych intelektualistów. Podejmowano z nimi publiczne polemiki, stosowano różnego rodzaju środki administracyjne - jak np. zakaz publikowania czy występowania w radiu lub telewizji, wstrzymywanie paszportów - organizowano skoncentrowane ataki propagandowe. W razie potrzeby sięgano po wyroki sądowe. Próbowano zdyscyplinować PZPR m.in. przez powołaną na jesieni 1963 r. komisję Ideologiczną KC, a także ograniczania - i tak niewielkiej - swobody wyboru delegatów i członków władz partii. Gomułka i jego ekipa największe niebezpieczeństwo polityczne widzieli wciąż z "prawej", jak mówiono, strony, w czym - jeśli patrzeć z dłuższej perspektywy - mieli dużo racji. Inaczej było na krótszy dystans. W cieniu bowiem publicznych "połajanek" Kołakowskiego i Brusa, wyroków na Wańkowicza, Rewską i Rudzińską, likwidacji Krzywego Koła, wyrastało dla tej ekipy inne zagrożenie. Było ono dla jej osobistych losów i rządów - ale nie dla systemu - poważniejsze.

Podłożem było zarówno blokowanie dróg awansu młodszym generacjom "aparatczyków" przez, licznych wciąż w aparacie partyjnym i państwowym, przedwojennych komunistów, jak i tendencje do poszukiwania nowych form legitymizacji systemu, które równocześnie mogłyby być skuteczną, nośną społecznie, odpowiedzią na propozycje rewizjonistyczne. Swoją rolę odegrały też ambicje personalne niektórych towarzyszy Gomułki z okresu konspiracji, którzy po Październiku nie osiągnęli pozycji, do których najwyraźniej aspirowali.

W sumie był to konglomerat motywów, postaw i biografii, z którego wytworzyło się coś w rodzaju formacji mającej wspólne cele polityczne, choć nie wytworzyła ona żadnego dokumentu programowego. Waga jej wynikała z faktu, iż znajdowała się w samym środku aparatu partyjnego i w wielu ważnych instytucjach, takich jak MSW czy wojsko. Była też wytrwałym przeciwnikiem tendencji rewizjonistycznych i w ogóle liberalnych, będąc pod

tym względem wiernym sojusznikiem I sekretarza, a nawet "wyprzedzając", jeśli nie jego samego - co byłoby trudne - to niektórych działaczy z jego najbliższego otoczenia.

Grupa ta wyrażała poglądy, jak można sądzić, większości szybko rosnącego w początkach lat 60. aparatu partyjnego - który już w 1965 r. osiągnął stany liczebne sprzed lat dziesięciu (ok. 12,5 tys. osób) - zapewne także sporej części nieustannie rozrastającej się PZPR. W 1964 r. partia komunistyczna przekroczyła liczbę 1,5 mln członków, a tendencja ta była nie tylko trwała, ale i nasilała się: w 1970 r. do PZPR należało już ponad 2,3 mln osób, co oznaczało, że w ciągu dekady nastąpiło podwojenie stanu. Równie szybko rozrastały się młodzieżowe przybudówki PZPR - w 1970 r. do ZMS należało blisko 1,3 mln młodych Polaków (i Polek), do ZMW blisko 1,1 mln. Jakkolwiek propaganda, indoktrynacja i szkolne wychowanie wytrwale - choć z różnym natężeniem - wpajały poglądy komunistyczne, wydaje się oczywiste, iż masa napływająca do partii (i organizacji młodzieżowych) daleka była od sposobu myślenia starej, kapepowskiej jeszcze, elity. Można też wątpić, czy stopień internalizacji ideologii był odpowiednio wysoki, a dawny komunistyczny kanon ideowy nadawał się jeszcze jako spoiwo. Choć był to okres, w którym dekolonizacja zyskała widoczne przyspieszenie wkraczając na kontynent afrykański, odbywała się ona raczej pod ogólnymi hasłami "walki narodowowyzwoleńczej" niż rewolucji socjalistycznej. Napięcia powtarzające się w niektórych krajach Europy Zachodniej, mimo iż na ogół ich głównym inicjatorem były partie komunistyczne, nie wzbudzały już w bloku komunistycznym - a na pewno w Polsce - nadziei na ogólnoświatowy przewrót socjalny. Obok uwarunkowań zewnętrznych (granica zachodnia, interesy ZSRR), głównym źródłem legitymizacji miała być skuteczność systemu w zagwarantowaniu stałego wzrostu gospodarczego i modernizacji życia codziennego. Rozluźniało to dotychczasowe więzi ideologiczne i pogłębiało różnice między pokoleniami partyjnymi.

Formację, o której mowa, określa się zwykle nazwą "partyzanci", jako że jądro jej stanowili skupieni wokół Mieczysława Moczara byli członkowie GL(AL), ale też z uwagi na szukanie przez nią poparcia w kombatanckich środowiskach niekomunistycznych (ongiś często antykomunistycznych). Obserwatorzy polskiej sceny politycznej, co nie było łatwym zajęciem, gdyż w zasadzie występowano pod - np. literackimi czy historiozoficznymi - maskami, pojawienie się jej sygnalizowali w początkach 1960 r. Szersza opinia pierwsze przejawy jej istnienia łączyła z ukazaniem się w 1961 r. tomu wspomnień Moczara pt. Barwy walki oraz zbioru relacji partyzantów GL pt. Ludzie, fakty, refleksje. Charakterystyczne było, iż wspomnienia ówczesnego wiceministra spraw wewnętrznych zostały bardzo przychylnie powitane przez czasopisma PAX, które najbardziej systematycznie i w najbardziej wiarygodny sposób przypominały tradycję zarówno AK, jak i polskiego wysiłku zbrojnego u boku zachodnich aliantów. Nie było to, jak się wydaje, kwestią przypadku ani doraźnej decyzji. Bolesław Piasecki, który potrafił wybrnąć z kryzysu wywołanego jego postawą jesienią 1956 r., pozostał zaciętym przeciwnikiem - jak to określał - "zwolenników nowego Października". Wyróżniał natomiast pozytywnie formację, którą określał jako "patriotyczno-socjalistyczną", mając niewątpliwie na myśli Gomułkę. Sam się zresztą też do niej zaliczył.

W gruncie rzeczy podobnie określali się wobec opinii publicznej

"partyzanci", co stało się szczególnie wyraźne po ukazaniu się w końcu 1961 r. książki płk. Zbigniewa Załuskiego - który sam "partyzantem" w znaczeniu dosłownym nie był - Siedem polskich grzechów głównych. Najistotniejszym elementem tego wystąpienia, wokół którego polemiki toczyły się przez ponad rok, była próba włączenia tradycji ruchu robotniczego - w tym nie tylko "spiskowców Proletariatu" czy "bojowców roku 1905", ale także "zamachowców z KPP" i tych, którzy w pochodach robotniczych szli "z gołymi pięściami na policyjne karabiny" - do polskiej tradycji powstańczej. Za jej część Załuski uznawał partyzantów i żołnierzy (sam walczył w Dywizji Kościuszkowskiej), którzy "biało-czerwone łączyli z czerwonym". Wprawdzie w oficjalnym zamknięciu dyskusji, które przybrało formę redakcyjnej wypowiedzi "Trybuny Ludu" (26 kwietnia 1963 r.), skonstatowano, iż autor zagubił "sens dziejowy" przeszłych walk zbrojnych i oderwał je "od ich roli w starciu sił reakcji i postępu", wszakże w repertuarze legitymizacyjnym PZPR znalazły się - i to na trwałe - nowe akcenty, będące prefiguracją późniejszego sloganu o "jedności moralno-politycznej narodu".

Wspólnotę losu i walki przeciwstawiano "szydercom" i "prześmiewcom", którzy poddawali rewizji romantyczno-insurekcyjny stereotyp, a tym samym uderzali w narodowe imponderabilia. Wiele środowisk niekomunistycznych traktowało to jako poważną ofertę i nawet Episkopat, jak pisał Andrzej Micewski, "interesował się z relatywną życzliwością argumentacją patriotyczną". Dosyć powszechne było wówczas - podobnie jak w 1956 r. czy wobec Jugosławii w latach 1949-1950 - przekonanie, iż nasycanie komunizmu elementami narodowymi wiedzie ku jego przekształceniu w system bardziej demokratyczny i uwolniony od doktrynalnego gorsetu, który uwierał wszystkich.

Osłabienie zależności od Wielkiego Brata i akcentowanie tożsamości narodowej traktowane było jako marsz we właściwym kierunku. Tendencje te najbardziej widoczne były zresztą nie w Polsce, ale w Rumunii, zwłaszcza od wiosny 1965 r., gdy na czele tamtejszej partii komunistycznej stanął Nicolae Ceauvescu. Dla znacznej części polskiej opinii niekomunistycznej, w tym także dla Kościoła, znacznie łatwiejsze było - jak się wydaje - zaakceptowanie "narodowego komunizmu" niż proponowanego przez liberałów i rewizjonistów "demokratycznego socjalizmu". Można sądzić, iż podobne były odczucia większości członków PZPR.

Dla "partyzantów" równie ważna jak działania w sferze propagandy i na forum publicznym, była aktywność zakulisowa, zdobywanie zwolenników i tworzenie instytucjonalnego zaplecza. Główną podporą stał się ZBoWiD, na którego terenie najłatwiej było budować zarówno wspólnotę z niekomunistycznymi kombatantami, jak i dotrzeć, unikając kontroli ze strony centralnego aparatu partyjnego, "w teren". Pozycja leadera wzmocniła się latem 1964 r., gdy Barwy walki ukazały się po rosyjsku w Moskwie, co utrudniało atakowanie go za nacjonalizm, którego niektórzy dopatrywali się w pewnych wypowiedziach, a przede wszystkim w "wydźwięku" patriotycznych haseł. Można było sądzić, że nie przypadkiem moskiewskie wydanie wspomnień Moczara zbiegło się z IV Zjazdem PZPR (15-20 czerwca), na którym do Komitetu Centralnego wybrano grono młodych aparatczyków - m.in. Stefana Olszowskiego, Stanisława Kociołka, Jerzego Łukaszewicza - będących naturalnymi niejako sojusznikami "partyzantów" w ich atakach na rewizjonistów i liberałów, a coraz natarczywiej przesuwających się ku

partyjnej "górze".
Na tymże zjeździe do KC wybrany został po raz pierwszy szef Głównego Zarządu Politycznego WP - a więc zwierzchnik płk. Załuskiego - gen. Wojciech Jaruzelski. W wojsku, po usunięciu "październikowych generałów", też szykowała się nowa ekipa. Pozycja Moczara gwałtownie rosła: we wrześniu został prezesem Zarządu Głównego ZBoWiD, w grudniu awansował wreszcie na ministra w swoim rodzimym resorcie. Choć wciąż był tylko szeregowym członkiem KC, w oczach wielu stawał się kandydatem na następcę "Starego", jak coraz częściej nazywano Gomułkę (w istocie Moczar młodszy był zaledwie o osiem lat, ale też o co najmniej jedną generację partyjną).
Zapewne było kwestią przypadku, że wszystkie te wydarzenia - "list 34", publiczne pojawienie się "mijalowców", powstanie pierwszego programu najbardziej radykalnych środowisk październikowych, dotarcie "młodych" aparatczyków w bezpośrednie pobliże centrum władzy, awans leadera "partyzantów" - rozegrały się w ciągu tego samego roku. Ale sama ta zbieżność powodowała, że pozycja Gomułki, a tym bardziej jego współpracowników i uczestników partyjnej elity, zostały mocno zakwestionowane od wewnątrz. Nie były to wszakże jedyne trudności I sekretarza na terenie politycznym.

Wojna o milenium

Powrót prymasa Wyszyńskiego z internowania był powodem, że "niemal codziennie - jak pisze Andrzej Micewski - zgłaszali się politycy, chcący się uaktywnić i szukający w Kościele moralnego oparcia". Na ogół prymas ograniczał się do wysłuchania zainteresowanych, doradzał im ostrożność i rozwagę, ale daleki był od "dawania wskazówek typu politycznego". Tej linii postępowania najwyższy hierarcha i niekwestionowany autorytet społeczności katolickiej był wierny przez wiele lat, wystrzegając się interwencji i wypowiedzi w kwestiach ogólnopolitycznych i społecznych nie należących do bezpośredniej domeny nauczania Kościoła oraz swobody praktyk religijnych. Nie wspierał żadnych, i tak raczej nielicznych, inicjatyw tworzenia - czy odtwarzania - ściśle politycznych organizacji, a nawet politycznie zabarwionych prób wydawniczych. Opowiedział się za "minimalizmem", wedle propozycji Stanisława Stommy z 1946 r., a przeciw "maksymalizmowi" reprezentowanemu wówczas przez "Tygodnik Warszawski". Mimo wyraźnych gestów ze strony popaździernikowego kierownictwa PZPR, najwyraźniej zdawał sobie sprawę z koniunkturalnego charakteru tych ustępstw i nie chciał "wielkiej wojny" z komunistami na obszarze polityki.
Wskazaniom takim nieomal w zupełności podporządkowywała się grupa związana z dawnym "Tygodnikiem Powszechnym", co stało się istotnym warunkiem uzyskania zgody władz na reaktywowanie pisma. Nastąpiło to z końcem 1956 r., a redaktorem naczelnym został ponownie Jerzy Turowicz. Uzyskano też zgodę na wprowadzenie do Sejmu nielicznej grupy posłów katolickich, którzy ukonstytuowali się w dziewięcioosobowy Klub "Znak" oraz powstanie - pięciu zaledwie - klubów inteligencji katolickiej. Niezależnie od wewnętrznych różnic (niektóre z nich były bardzo istotne) dla całego tego środowiska stosowano uogólniające określenie "neopozytywiści", którego

założenia wypracowali głównie Stanisław Stomma, Stefan Kisielewski, Antoni Gołubiew. Opierano się na przekonaniu o niemożności wyzwolenia się Polski spod zależności od ZSRR ("mimo naszej kultury łacińskiej należymy do Wschodu" - deklarował Kisielewski) i uznawano, że w istniejącej sytuacji należy zabierać głos przede wszystkim na temat "konkretnych, empirycznie uchwytnych problemów". Postawę konstruktywną, ale bynajmniej nie afirmującą systemu, przeciwstawiano z jednej strony "romantyzmowi", z drugiej próbom "chrystianizacji socjalizmu" wedle recepty Piaseckiego. Bliscy tej ostatniej byli jednakże niektórzy działacze KIK, a przede wszystkim twórcy miesięcznika "Więź" z jego redaktorem naczelnym Tadeuszem Mazowieckim. Od PAX i innych secesjonistów z formacji Piaseckiego (np. Jana Frankowskiego) różnili się ci "lewicowi katolicy" trwaniem przy swej niezależności od dyrektyw PZPR, związkami z personalizmem katolickim wedle wzoru francuskiego i bardziej autentycznym przeżywaniem idei sprawiedliwości społecznej.

Mimo mocnej podstawy wspólnej w postaci wyznania wiary i uznawania autorytetu Kościoła instytucjonalnego, katolicy czynni w życiu publicznym nie stworzyli jednolitego środowiska. Odegrały w tym swoją rolę zarówno ambicje (zwłaszcza wyraźne w przypadku Piaseckiego), różnice co do zasad organizacji życia społecznego, stosunek do "realnego socjalizmu" jak i manipulacje władz, w szczególności zaś działalność aparatu bezpieczeństwa. Rozbieżności, wyraźnie zarysowane już w latach 1945-1946, zamieniły się później w przepaść, która stała się niemożliwą do zasypania. Nie podejmował takich starań także Kościół, choć zapewne dogodniejsza byłaby dla niego sytuacja istnienia w miarę spójnego obozu politycznie zaangażowanych wiernych.

W latach rządów Gomułki do dawnych różnic dochodziły nowe, dla których jednym z czynników sprawczych były podziały, od 1956 r. istniejące w dawniej zwartym obozie rządzącym. PAX i niektórzy byli "paksowcy" - jak Janusz Zabłocki - należący do grupy "Więzi", z przychylnością przyjęli pojawienie się "partyzantów", których uznawali za "narodowych komunistów". Inni działacze katoliccy (grupa "Znak" i większość "Więzi") mniej lub bardziej wyraźnie sympatyzowali ze stanowiskiem zajmowanym przez liberalnych pisarzy, "rewizjonistów" czy innych zwolenników antytotalitarnego socjalizmu. Jednak ich kontakty z reprezentantami tych tendencji były sporadyczne i obciążone wzajemną nieufnością: jednych odstręczał antyklerykalizm i eksponowany nieraz ateizm, cechujące nawet byłych już marksistów, drudzy utożsamiali i Kościół, i katolików z "ciemnogrodem", nietolerancją czy szowinizmem (lub po prostu - "reakcyjnością").

Zbliżenie PAX do "partyzantów" okazało się owocne dla Piaseckiego. Organizacja, która jeszcze wiosną 1957 r. przekształciła się w stowarzyszenie, rozrosła się ze 150 w 1956 r. do ponad 7 tys. członków w 1967 r., zrzeszonych w 78 oddziałach terenowych. W kadencji Sejmu rozpoczętej w 1961 r. powstało trzyosobowe Koło PAX, ale już w następnej "wyrównano" liczbę "paksowców" ze "znakowcami" (po 5 osób) i w ławach poselskich po raz pierwszy zasiadł przywódca Stowarzyszenia. Prasa PAX miała znacznie większe możliwości działania (przydziały papieru, kolportaż) niż "Tygodnik Powszechny" - codzienne "Słowo Powszechne" sięgało 100 tys. egzemplarzy, a trzy tygodniki miały łączny nakład przekraczający 120 tys.

Piasecki z dużą pewnością siebie rozwijał koncepcję "wieloświatopoglądowości". W "Wytycznych ideowopolitycznych" z 1965 r. pisał, że "w Polsce nie można zbudować socjalizmu bez sojuszniczej partii socjalistycznej o światopoglądzie niematerialistycznym". Postulował likwidację dotychczasowych "stronnictw sojuszniczych" i powstanie w ich miejsce owej partii "socjalizmu niematerialistycznego". Ważniejsze wszakże niż ideowe deklaracje było podporządkowanie się wytycznym przekazywanym przez władze lub przynajmniej przez jedną z frakcji w nich działających. W połowie lat 60. doprowadziło to do ostrego napiętnowania PAX przez hierarchię kościelną.

Kościół instytucjonalny, choć w pewnym momencie "interesował się - wedle Micewskiego - z relatywną życzliwością argumentacją patriotyczną" grupy Moczara, całkowicie dystansował się wobec rozbieżności istniejących w PZPR. Było to tym bardziej zrozumiałe, że żadna z grup istniejących w hegemonicznie rządzącej partii nie wykazywała skłonności do kontynuowania "łagodnej" linii wobec Kościoła przyjętej przez Gomułkę po październikowym plenum KC. Jej żywot był dosyć krótki: już w czerwcu 1957 r. I sekretarz mówił wprost i publicznie, że "jeśli musieliśmy pójść na pewien modus vivendi z Kościołem [...], to wypływało z naszej sytuacji [...]. Z faktami liczymy się i daje to nam pewne pozytywne rezultaty".

Niebawem nie musiano już liczyć się z faktami - fala społecznego poruszenia, która wyniosła Gomułkę do władzy, uspokoiła się, a sytuacja w PZPR została opanowana. Podobnie jak na innych polach życia publicznego, tak i w polityce wobec Kościoła zaczęło - jak wówczas mówiono - "wracać nowe". Pierwszym jawnym gestem władz była dokonana 21 lipca 1958 r. rewizja w Instytucie Prymasowskim mieszczącym się (co nadawało szczególny wymiar wydarzeniu) na Jasnej Górze. Krótko po tym, jeden z członków ścisłego kierownictwa PZPR stwierdził, że "kler musi sobie zdawać sprawę, że w Polsce nie ma dwóch państw, że jest jedno państwo i jedna władza, władza ludowa".

Zaniepokojenie "jednej władzy" było tym większe, iż prymas Wyszyński zdecydowanie postawił na długotrwałe i masowe mobilizowanie wiernych. Ogłoszona jeszcze w 1956 r. Nowenna Millennium Chrztu Polski trwać miała 10 lat i rozłożona była na setki uroczystości religijnych o różnej, głównie lokalnej, skali. Przewidywano liczne, masowe pielgrzymki. Władze postanowiły przeciwstawić jej własne obchody, ogłaszając rok 1966 rokiem Tysiąclecia Państwa Polskiego i rzucając hasło "1000 szkół na Tysiąclecie" (skądinąd bardzo potrzebnych). Latem 1958 r. zakazano wierzącym - i praktykującym - pezetpeerowcom pełnienia funkcji partyjnych, a zarówno Urząd ds. Wyznań, jak i MSW zaczęły koordynować swoją działalność. W województwach, miastach i powiatach utworzono specjalne "sztaby", w skład których wchodzili odpowiedni sekretarze PZPR, przewodniczący rad narodowych, komendanci MO i szefowie komórek Służby Bezpieczeństwa ds. Kościoła.

W roku szkolnym 1958ż8ş1959 rozpoczęto akcję zdejmowania krzyży (nazywano to dekrucyfikacją) w szkołach, niebawem też w fabrykach i zablokowano budownictwo sakralne. Przez kilka lat w wielu miejscowościach dochodziło na tym tle do otwartych konfliktów między grupami wiernych a milicją. Najbardziej znane miały miejsce w Nowej Hucie (27-28 kwietnia 1960 r.),

gdzie władze usiłowały usunąć krzyż stojący w miejscu przeznaczonym pod

budowę kościoła. Ale do podobnego typu - a nieraz i skali - zajść dochodziło m.in. w Kraśniku, Zielonej Górze, Głuchołazach, Gliwicach, Toruniu. O determinacji władz może świadczyć fakt likwidacji jedynej w Polsce - istniejącej od 1916 r. - szkoły organistów w Przemyślu, co wywołało trzydniowe lokalne zaburzenia. Towarzyszyły temu różne "ciche" szykany i utrudnienia, w tym podatkowe czy dotyczące służby wojskowej kleryków. Zasadnicze, długofalowo oddziaływające, uderzenie przeprowadzono latem 1961 r., likwidując nauczanie religii w szkołach, które prowadzone było w 21,5 tys. szkół na 28 tys. istniejących. Próbowano też przejąć kontrolę nad działalnością punktów katechetycznych, które powstawały jak grzyby po deszczu: w 1962 r. było ich około 15 tys., cztery lata później już blisko 20 tys. Uczęszczało do nich - wedle danych kościelnych - niemal 4 mln dzieci, nauczało zaś blisko 10 tys. osób.
`nv
Wojna o milenium (cd.)

Jesienią 1961 r. w strukturze SB powołany został - w miejsce wydziału - osobny departament ds. kleru (Departament IV), który w samej centrali miał ponad 120 etatów. Minister spraw wewnętrznych Władysław Wicha już dwa lata wcześniej polecił rozszerzyć sferę zainteresowań resortu: "Praca operacyjna SB - mówił na ogólnokrajowej odprawie - to nie tylko dopływ informacji. To również prowadzenie w łonie kleru inspirowanej przez nas działalności w kierunku rozbijania i paraliżowania zamiarów hierarchii kościelnej poprzez agenturę i kombinacje operacyjne". Poza PAX i grupą Frankowskiego (Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne), które miały pewne wpływy wśród "dołowego" kleru, oraz poza bezpośrednimi naciskami wywieranymi przez administrację państwową (i SB) różnych szczebli, reaktywowano też dawny ruch "księży-patriotów", tym razem jako "koła księży" przy "Caritas".

Episkopat reagował, śląc listy protestacyjne, upowszechniając wśród duchownych swoje opinie, a nawet wyrażając sprzeciw w listach pasterskich kierowanych do wiernych. Od 1961 r. prymas Wyszyński demonstracyjnie nie brał udziału w głosowaniach. W 1963 r. odbyło się ostatnie - i zaledwie trzecie w ogóle - spotkanie prymasa z I sekretarzem. Pewnym sygnałem, który musiał być odebrany przez władze jako ostrzeżenie, była natomiast rozmowa, jaką najwyższy hierarcha odbył w tym samym roku z dwoma znanymi kontestatorami w PZPR - Leszkiem Kołakowskim i Janem Strzeleckim. Nawiązywały się pierwsze, wątłe jeszcze, nici dialogu i porozumienia między Kościołem a środowiskiem lewicowych działaczy (wówczas raczej: myślicieli) antytotalitarnych. Niemniej w wystąpieniach Episkopatu zdecydowanie dominowała troska o obronę Kościoła, wiary i wiernych, a akcenty ogólnospołeczne były rzadkie, choć w liście do duchowieństwa z 28 sierpnia 1963 r. biskupi wskazywali, że "w każdej chwili i w każdej potrzebie winniśmy być do dyspozycji ludu, bronić jego praw, jego wolności i godności".

Wielka bitwa z Kościołem rozpoczęła się zanim nastąpiła kulminacja uroczystości milenijnych. 18 listopada 1965 r. biskupi polscy przebywający na obradach Soboru Powszechnego (Vaticanum II) zwrócili się z listem do "braci soborowych" z Kościoła niemieckiego. Po krótkim wykładzie dotyczącym

tysiącletnich dziejów kultury i państwa polskiego, autorzy listu przedstawili martyrologię lat wojny i okupacji, tłumaczyli sens i konieczność przejęcia przez Polskę ziem zachodnich, by wezwać do dialogu: "wyciągamy do Was [...] nasze ręce oraz udzielamy wybaczenia i prosimy o nie". Sens, zarówno duchowy, jak i polityczny, owych słynnych słów był dosyć oczywisty - w ponad 20 lat po zakończonej wojnie nadchodził czas ułożenia dobrosąsiedzkich stosunków. Była to także próba uczynienia, jeśli nie wyłomu, to przynajmniej szerokiej szczeliny w "żelaznej kurtynie", która mimo zmian po śmierci Stalina, nie przestawała dzielić Europy. Świeżym jej jeszcze - i materialnym - przejawem był "mur berliński" wzniesiony latem 1961 r.

Bez względu - a może właśnie z uwagi - na szlachetne intencje tego dokumentu władze potraktowały go jako casus belli. Gomułka poczuł się nim osobiście dotknięty: Kościół nie tylko wkraczał na pole ściśle zastrzeżone dla PZPR, ale było ono także tym, na którym I sekretarz uważał się za jedynego skutecznego oracza i siewcę. Chciał być też jedynym żeńcem. Prymasowi "karnie" wstrzymano paszport, a w całej prasie rozpoczęła się gwałtowna kampania propagandowa, do której włączyły się także PAX i ChSS.

Władze podjęły techniczne przygotowania do zbliżających się uroczystości milenijnych, nadając swym poczynaniom najwyraźniej konfrontacyjny charakter. Już w lutym powołano specjalną "komisję partyjno-rządową", w której czołową osobistością był Witaszewski, a - obok oczywistej obecności reprezentantów MSW i Urzędu ds. Wyznań - znaleźli się w niej m.in. przedstawiciele ministerstwa: Komunikacji, Kultury i Sztuki, Oświaty i Wychowania, prezes Komitetu ds. Radia i Telewizji. Nie zabrakło w tym sztabowym gronie nawet przewodniczącego Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki. Celem władz było bowiem nie tylko utrudnianie organizowania uroczystości kościelnych, ale także przygotowanie własnej "kontroferty" - zawodów sportowych, spektakli, emisji telewizyjnych. Intensywnie przygotowywano "defiladę tysiąclecia", która odbyła się, rzecz jasna, 22 lipca.

Konfrontacja trwała przez kilka miesięcy, a rozpoczęła się w połowie kwietnia 1966 r. w Gnieźnie i Poznaniu, gdzie w tym samym czasie odbywały się uroczystości kościelne celebrowane przez prymasa i manifestacje "patriotyczne" z udziałem ministra obrony narodowej gen. Spychalskiego i samego Gomułki. 7 maja, w Krakowie, przeciwwagą dla prymasa Wyszyńskiego był premier Cyrankiewicz. Kulminacją obchodów były uroczystości w Warszawie, które zakończyły się starciami tłumów rozchodzących się po mszy z jednostkami ZOMO blokującymi dostęp w okolice gmachu KC PZPR. Zatrzymano wówczas ponad 100 osób, a 8 stanęło przed sądem. Do starć dochodziło też w Krakowie, Gdańsku i - najpoważniejszych (blisko 290 zatrzymanych) - w Lublinie. We wszystkich tych zaburzeniach, obok sił bezpieczeństwa, brały udział zorganizowane grupy "aktywu robotniczego" - część z nich stanowili po prostu funkcjonariusze SB - zachowujące się wyzywająco, a często wręcz prowokacyjnie, wobec uczestników uroczystości.

Starcie milenijne przerwało na pewien czas stosowanie bardziej subtelnych metod walki z polskim Kościołem, której istotnym elementem były próby przeciwstawiania "postępowego" papieża (Pawła VI) "wstecznemu" prymasowi. Podejmowano m.in. starania o nawiązanie stosunków z Watykanem poza polską hierarchią, a także dyskretnie popierano - w latach 1963-1964 - podobne

inicjatywy środowiska "Znak". Niezwykłe zaostrzenie kursu wobec Kościoła po liście do biskupów niemieckich i jednoznaczne wyrazy solidarności papieża z polskim Episkopatem zakończyło się odmową zgody na wizytę Pawła VI w Polsce, z której władze chciały uczynić coś w rodzaju szantażu wobec polskiej hierarchii kościelnej.

Biorąc pod uwagę masowy i spontaniczny udział w obchodach religijnych, emocje i zdecydowanie wielu uczestników tych uroczystości - zakłócanych i utrudnianych przez władze - a także reperkusje zagraniczne, wydaje się, że z konfrontacji tej zwycięsko wyszedł prymas. W każdym bądź razie skonsolidowała ona wokół Kościoła instytucjonalnego nie tylko rzesze wiernych, ale także te środowiska inteligencji katolickiej, które miały zastrzeżenia wobec ostrożności, z jaką prymas Wyszyński podchodził do zmian zainicjowanych na Vaticanum II. Pośrednim dowodem uznania się przez władze za stronę, która więcej straciła niż zyskała na "wojnie o milenium", było wyraźne wyciszenie propagandy antykościelnej, w tym skierowanej przeciwko prymasowi osobiście. Zaprzestano demonstracyjnych szykan, a nawet zgodzono się na pewne znaczące ustępstwa, jak np. wydanie jesienią 1967 r. zgody na budowę kościoła w Nowej Hucie. Uspokojenie to wynikało być może z faktu, że w ciągu 1967 r. narastało napięcie wewnątrz PZPR i w jej stosunkach z kontestującą młodzieżą oraz środowiskami intelektualnymi.

Od XX Zjazdu do doktryny o "ograniczonej suwerenności"

Agresja na Węgrzech w listopadzie 1956 r. dosyć wyraźnie zakreśliła granice "leninowskich zasad równouprawnienia narodów" uznanych przez Moskwę w deklaracji z 30 października 1956 r. jako wytyczne w jej stosunkach "z innymi krajami socjalistycznymi". Hamowała aspiracje Gomułki i jego ekipy do uzyskania większej niezależności wobec ZSRR, ale nowy I sekretarz nie był bynajmniej - ani ze względów ideologicznych, ani z uwagi na własną ocenę położenia geopolitycznego Polski - zwolennikiem zerwania więzów z ZSRR czy nawet ich widocznego osłabienia. Odwrotnie: zasady doktrynalne, obawa przed "reakcją podnoszącą głowę" w kraju i rosnącą siłą Republiki Federalnej Niemiec komponowały się w zwarty kompleks postaw i działań, których zwornikiem było utrzymywanie Polski w obozie państw komunistycznych, a także troska o umocnienie tego bloku.

W istocie więc ani sytuacja w Polsce nie wymknęła się spod kontroli PZPR (i Gomułki), ani Polska nie stała się - czego obawiał się Chruszczow w październiku 1956 r. - "słabym ogniwem" obozu komunistycznego. W miarę upływu czasu stawała się wręcz silnym punktem w polityce prowadzonej. przez Kreml zarówno w skali globalnej, jak i wewnątrz światowego ruchu komunistycznego. Nie tylko nie wykazywała tendencji separatystycznych, ale - zwłaszcza po ustabilizowaniu się sytuacji w kraju, tj. mniej więcej od 1958 r. - aktywnie uczestniczyła we wszystkich ważniejszych wydarzeniach na forum międzynarodowego ruchu robotniczego, w co angażował się osobiście Gomułka. Przychodziło mu to tym łatwiej, że po wahaniach, a nawet pewnych naciskach w pierwszych latach rządów byłego więźnia Bieruta, Moskwa przyjęła z dobrodziejstwem inwentarza polskie osobliwości - indywidualne rolnictwo, pozycję Kościoła, wyraźnie większy zasięg swobód twórczych,

kulturalnych, a nawet intelektualnych.

Wydarzenia, które wywierały największy wpływ na układ sił na świecie, do Polski docierały w znacznym stopniu zamortyzowane przez przynależność do bloku radzieckiego. Ich faktyczny wpływ na sprawy wewnętrzne kraju przez wiele lat był - być może poza gospodarką - mniej dostrzegalny przez społeczeństwo. Nie wywierano już takiego jak poprzednio nacisku na masową mobilizację wokół haseł związanych "walką o pokój". Znacznie mniej natarczywe i uciążliwe dla ludzi były kampanie propagandowe, np. ta związana z wojną wietnamską była nieporównywalna z akcjami organizowanymi ongiś w sprawie wojny w Korei.

Choć uzależnienie polskiej polityki zagranicznej od Moskwy było w istocie niewiele tylko mniejsze niż uprzednio, od 1956 r. obie strony starannie przestrzegały form, mając na uwadze opinię światową, z którą liczono się znacznie bardziej niż w latach 1949-1953. Polska uzyskała pewne pole manewru, ale na obecnym etapie badań trudno stwierdzić, czy i na ile podejmowane działania były rzeczywiście oparte na rodzimych inicjatywach i czy procedura "uzgadniania" mieściła się w zwykłych obowiązkach sojuszniczych. Być może polskie inicjatywy były po prostu "balonami próbnymi" w polityce całego obozu. W gruncie rzeczy było ich i tak niewiele. Najgłośniejszą był tzw. plan Rapackiego - projekt utworzenia strefy bezatomowej w Europie Środkowej (Polska, Czechosłowacja, NRD, RFN), zgłoszony we wrześniu 1957 r., przez polskiego ministra spraw zagranicznych, na forum ONZ. Dotyczył on wprawdzie zagadnienia o kluczowym znaczeniu, ale było oczywiste, że tylko wielkie mocarstwa mogą podjąć jakiekolwiek wiążące decyzje.

Projekt ten - podobny do kilku innych, proponowanych m.in. przez Bułgarię i Finlandię (tzw. plan Kekkonena) - był uzupełniany przez Polskę w latach następnych, a jedno z tych uzupełnień zostało nazwane "planem Gomułki". I sekretarz najwyraźniej chciał wykazać się także sukcesami dyplomatycznymi, co było widoczne, gdy w 1960 r. wziął udział - jako przewodniczący polskiej delegacji - w dorocznej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ i trzykrotnie zabierał głos podczas obrad plenarnych. Fakt, iż w trakcie tejże sesji Gomułka trzykrotnie odbywał rozmowy z Chruszczowem, obecnym w Nowym Jorku z tej samej okazji, pozwala sądzić, że prawdopodobnie niektóre tezy wystąpień Polaka były na bieżąco konsultowane. Mimo początkowej niechęci - a może tylko wzajemnej nieufności - Gomułka dosyć często spotykał się z oboma kolejnymi gospodarzami Kremla. W ciągu nieco ponad 14 lat sprawowania władzy przywódca PZPR odbył około 40 spotkań dwustronnych - w ramach wizyt oficjalnych i roboczych, a także poufnych, utrzymywanych w tajemnicy. Pierwsze utajnione rozmowy Gomułka-Chruszczow odbyły się już 1 listopada 1956 r. i w znacznym stopniu dotyczyły sprawy węgierskiego powstania narodowego. Do rytuału należały niemal coroczne spotkania styczniowe w Łańsku. Zagadnieniem, które specjalnie interesowało Polskę, było oficjalne uznanie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej przez mocarstwa zachodnie i RFN. W "epoce Gomułki" problem ten nie tracił swego znaczenia ani zewnętrznego, w stosunkach Polski z Zachodem, ani wewnętrznego. Zagrożenie "niemieckim rewanżyzmem" pozostawało - od 1945 r. - jednym z głównych instrumentów mobilizowania opinii społecznej, także coraz większej liczby środowisk emigracyjnych, wokół popierania rządu, a ściślej rzecz biorąc władzy komunistycznej jako jedynej gwarantki utrzymania tych granic. Gomułka

osobiście angażował się wielokrotnie w rozwikłanie tej arcyważnej dla kraju sprawy, ale możliwości rzeczywistego wpływania na bieg wydarzeń miał raczej niewielkie i wytrwałość, z jaką do niej wracał, sprawiała wrażenie, że czynił tak dla celów wewnątrzpolskich. Najbardziej znaczącym sukcesem było pewne zbliżenie z Francją, które jednak - jak się wydaje - wynikło z inicjatywy Paryża, a w szczególności z osobistej polityki gen. Charlesa de Gaulle'a, niechętnego dominacji Stanów Zjednoczonych w Europie i w ogólności systemowi dwubiegunowemu w skali globalnej. Wizyta prezydenta Francji w Polsce, we wrześniu 1967 r., była uważana za rzeczywiste osiągnięcie polskiej dyplomacji. Można wszakże sądzić, iż gorące przyjęcie zgotowane mu przez Polaków wynikało bardziej z faktu, iż gen. de Gaulle był, rzadkim nad Wisłą, wybitnym gościem z Europy, niż z tego, że popierał polskie żądania wobec granicy zachodniej.

Gomułka - a za nim niższej rangi politycy - opierał polską dyplomację na podtrzymywaniu twardej postawy, którą umacniały ostre na ogół sformułowania pod adresem Niemiec (zachodnich). Do stałego repertuaru należało wskazywanie na wszystkie (rzeczywiście nader liczne) wystąpienia polityków, organizacji, a także państwowych instytucji RFN, w których kwestionowano istniejącą linię graniczną. Strona niemiecka odpłacała pięknym za nadobne i aż do drugiej połowy lat 60. opinia publiczna w RFN była zdecydowanie przeciwna uznaniu status quo. Wzmocnieniu nacisku na Bonn służyły też stosunkowo ożywione kontakty między PRL a NRD, choć oczywiste było, iż Berlin Wschodni jest całkowicie uzależniony od Moskwy. Dopiero wiosną 1969 r., gdy w RFN wyraźne już były nowe tendencje, szczególnie widoczne w postawie partii socjaldemokratycznej, ale obecne także w niektórych środowiskach katolickich i kościołach protestanckich i gdy Bonn "złamał" wschodnioeuropejski front odmowy (porozumienia z Rumunią i Węgrami), w polskiej dyplomacji pojawiły się nowe akcenty. 17 maja 1969 r. Gomułka publicznie stwierdził, że Polska gotowa jest w każdej chwili zawrzeć traktat z RFN, jeżeli tylko uzna w nim ona granicę na Odrze i Nysie. W lutym 1970 r. rozpoczęły się wreszcie rozmowy robocze, a uczestnicząca w nich grupa polska pracowała pod bezpośrednią pieczą I sekretarza.

Trudne rozmowy biegły w niezłym tempie, ale - jak się okazało - stanowiły one w rzeczywistości tylko fragment szerszej inicjatywy dyplomatycznej: w niespełna trzy tygodnie po ich piątej turze, 12 sierpnia, podpisany został w Moskwie traktat radziecko-niemiecki. W osobnym artykule obaj sygnatariusze traktatu gwarantowali nienaruszalność... polskiej granicy (oczywiście tylko zachodniej). W tej sytuacji dokończenie rozmów polsko-niemieckich stało się właściwie formalnością, co nie umniejsza w niczym prawno-politycznego znaczenia układu podpisanego ostatecznie 7 grudnia w obecności Gomułki, jego twórcy. Fakt, iż układ ów zawarty został "w cieniu" porozumienia Moskwa-Bonn, nie przeszkadzał w triumfalistycznych tonach polskich komentarzy. Dawał on jednak Polsce pewien ważny - sądzę - atut, o którym wszakże w oficjalnych wypowiedziach nie wspominano: podważał (w pewnym przynajmniej stopniu) legitymizację władztwa partii komunistycznej, gdyż trudniej już było posługiwać się argumentem o konieczności ścisłych związków z jedynym mocarstwem gwarantującym granicę zachodnią. Nie przeszkadzało to w wykorzystywaniu go także później, do czego asumpt dawała zarówno sytuacja wewnętrzna w Polsce, jak i wytrwałe kontestowanie układu przez wiele ośrodków politycznych w RFN.

Aczkolwiek polska dyplomacja była dosyć aktywna, kontakty międzynarodowe na najwyższym szczeblu charakteryzowały się skromnymi rozmiarami. Poza wspomnianą już wizytą gen. de Gaulle'a oraz przyjazdem do Polski, w związku z układem z 7 grudnia 1970 r., kanclerza RFN Willy Brandta, oficjalne spotkania odbyły się z politykami z "drugiej linii"; królową belgijską w 1960 r., prezydentem Finlandii Urho Kekkonenem w 1964 r., szachinszachem Rezą Pahlawi i królem Maroka Nassanem II w 1966 r., premierami Indii Indirą Gandhi i Szwecji Tage Erlanderem w 1967 r. Polskie delegacje rządowe na szczeblu premiera także rzadko wojażowały, a ważniejsze wizyty złożono tylko we Francji i Austrii (obie w 1965 r.). Było to, wydaje się, wynikiem swego rodzaju świadomej "samoizolacji", gdyż zwłaszcza w pierwszych latach po 1956 r. istniały możliwości znacznie większego zaangażowania się Polski na międzynarodowej arenie dyplomatycznej. Gomułka ograniczał bowiem swoje - a zatem i Polski - zainteresowania międzynarodowe do problemu granicy na Odrze-Nysie, stosunków Warszawa-Moskwa, kręgu państw należących do RWPG i Układu Warszawskiego oraz spraw międzynarodowego ruchu komunistycznego. Możliwe jest, ale trudne dziś jeszcze do jednoznacznego ustalenia, że Kreml hamował polskie inicjatywy, wspierając tylko te, które mieściły się w obrębie jego globalnej strategii.

PZPR - a więc w istocie państwo - w widoczny sposób czynna była natomiast w tym wszystkim, co działo się w światowym ruchu komunistycznym, który przeżywał w dekadzie lat 60. zarazem gwałtowny rozwój liczebny, jak i daleko idące rozbicie wewnętrzne. Ekspansja komunizmu - zarówno jako ideologii, jak i w formie państwowo-imperialnej - najsilniej zaznaczyła się na przełomie lat 50. i 60. W formie bezpośredniej widoczna była zwłaszcza po udanym przewrocie na Kubie (1 stycznia 1959 r.), który z rewolty przeciwko dyktaturze przekształcił się w rewolucję opartą na marksizmie. Przywódca jej, Fidel Castro, nie tylko dosyć szybko wprowadził radziecki model ustrojowy, ale także związał Kubę z ZSRR militarnie, tym łatwiej że USA nie zaakceptowały przewrotu. Komuniści kubańscy podjęli też próby przeniesienia rewolty na kontynent południowoamerykański (partyzantka Ernesto "Che" Guevary).

Mniej widoczne było rozszerzanie się wpływów komunizmu na kraje oswobadzające się z systemów kolonialnych. Erupcja procesów dekolonizacyjnych przypadła na początek lat 60., gdy w przyspieszonym tempie - i z reguły w wyniku rezygnacji państw kolonialnych - powstawały niepodległe państwa w Afryce. Nieomal wszędzie, równocześnie z dekolonizacją lub odrzucaniem innych form zależności od państw zachodnioeuropejskich, pojawiały się zarówno wpływy ideologiczne marksizmu ("socjalizm arabski", "socjalizm afrykański"), jak wpływy polityczne ZSRR lub - rzadziej - Chińskiej Republiki Ludowej. Zachęt ku temu było wiele. Po pozbyciu się kurateli państw zachodnich i w warunkach istnienia bipolarnego układu sił na świecie, tendencją niejako naturalną było szukanie wsparcia w mocarstwie przeciwstawiającym się zachodnim demokracjom, na których reputacji ciążył nieraz ponadstuletni okres kolonialny. Tendencjom tym Moskwa i państwa bloku komunistycznego aktywnie sprzyjały, godząc się - jeśli była taka potrzeba - nawet na odstępstwa od zasad solidarności ideowej (np. w większości państw arabskich partie komunistyczne były nielegalne i prześladowane).

Dosyć powszechna i usilnie propagowana była teza o skuteczności

radzieckiego modelu przyspieszonej modernizacji, której koronnym dowodem była pozycja ZSRR jako światowej potęgi militarnej i przemysłowej. Model ten często uznawany był jako uniwersalny dla wszystkich państw znajdujących się na niskim stopniu rozwoju gospodarczego. W warunkach braku tradycji parlamentarnych i demokratycznej kultury politycznej łatwo też przyjmowano wzory ustrojowe - monopartyjność i dyktaturę ("kult jednostki") - czemu sprzyjało też częste istnienie wyróżniającego się, w okresie walki o niepodległość, autorytetu osobistego. Gamal Abdel-Naser, Ahmed Mohammed Ben Bella, Kwame Nkrumah, Yomo Kenyatta czy Sekou Tour stawali się charyzmatycznymi przywódcami o jednoznacznych skłonnościach autorytarnych, biorąc nieraz przykład (i uzasadnienie) z postaci Lenina i Stalina czy Chruszczowa, Mao Zedonga (Mao Tse-tunga) lub Tity.

Zainicjowany jeszcze w pierwszym okresie wygaszania "zimnej wojny" ruch Państw Niezaangażowanych, który zawsze dystansował się bardziej wobec Stanów Zjednoczonych niż ZSRR, w latach 60. coraz wyraźniej dryfował w stronę Moskwy. Sprzyjały temu m.in. wydarzenia na Półwyspie Indochińskim, gdzie od 1964 r. Amerykanie stopniowo angażowali swój potencjał militarny w wojnie między komunistrycznym Wietnamem Północnym a prozachodnimi rządami w południowej części podzielonego kraju. W owym czasie jednak wpływy bloku komunistycznego miały w pewnym sensie charakter "klasycznych" wpływów mocarstwowych utrwalanych dzięki dostawom na dogodnych warunkach kredytowych lub wręcz "gratisowo" - broni, technologii i urządzeń, przysyłaniu ekip doradców i specjalistów, uczeniu (moskiewski Uniwersytet im. Lumumby) studentów, szkoleniu pilotów wojskowych.

Istotnym elementem tej politycznej rozgrywki, która od zwycięskiego marszu partyzantów Castro na Hawanę przybrała rozmiary zaiste globalne, był rozwój sytuacji na Bliskim Wschodzie i trwałe tam napięcie. Wedle opinii niektórych historyków i komentatorów, jeszcze za życia Stalina ZSRR zaczął dokonywać manewru, stawiając w konflikcie Izraela z jego arabskimi sąsiadami (i całym niemal światem muzułmańskim) na Arabów. Tym m.in. tłumaczono silną falę oficjalnego antysemityzmu, która uwidoczniła się w niektórych procesach politycznych w krajach bloku radzieckiego (np. proces Sl nskiego w Pradze). Krótkotrwała (29 października - 6 listopada 1956 r.), jak wszystkie wojny tam toczone, bitwa o Kanał Sueski dała państwom arabskim dodatkowy asumpt do szukania, chętnie udzielanego, wsparcia w Moskwie. Naser, faktyczny dyktator Egiptu od wiosny 1954 r., był jedną z najważniejszych postaci "Trzeciego Świata", a po serii krwawych przewrotów w Iraku (1958, 1963) osobą kluczową na Bliskim Wschodzie, regionie, który z uwagi na zasoby ropy naftowej był niezmiernie ważny w globalnej strategii mocarstw. Moskwa z całą siłą zaangażowała się w tym regionie prowadząc, coraz bardziej zdecydowanie, politykę antyizraelską. Uwidoczniło się to najwyraźniej w 1967 r., gdy po wybuchu tzw. wojny siedmiodniowej (5-10 czerwca) - wszczętej przez Arabów - ZSRR zerwał stosunki z państwem izraelskim. W ślad za nim poszły wszystkie, z wyjątkiem Rumunii, państwa RWPG i Układu Warszawskiego.

Powstanie "Trzeciego Świata" było także impulsem do podtrzymania wpływów marksizmu w niektórych krajach zachodnich, w szczególności tych, które posiadały do niedawna kolonie. Partie komunistyczne odbudowały w zasadzie swoje wpływy nadszarpnięte stłumieniem przez Armię Radziecką węgierskiego powstania narodowego. Fala solidarności z krajami postkolonialnymi - mocno

podszyta swoistym poczuciem winy - kierowała sentymenty sporej części młodego pokolenia jeśli nie ku ZSRR jako światowemu mocarstwu, to ku tęsknotom do ponownego "ruszenia z posad bryły świata" i rewolucyjnego uporania się ze "zmurszałym", "sklerotycznym" a jednocześnie "opresyjnym" systemem.

Wszystko to czyniło wrażenie - w znacznym stopniu zasadne - narastającej ekspansywności komunizmu i sprzyjało procesom integracyjnym świata zachodniego. Nie przebiegały one, co wynikało z samej natury demokracji, bez konfliktów i tarć, które były podsycane z Moskwy. Mniejsze i bardziej tradycyjne znaczenie miały pakty sojusznicze organizowane pod egidą Stanów Zjednoczonych (np. Układ Południowo-Wschodniej Azji - SEATO), najważniejsze były te, które dokonywały się - wśród największych sprzeczności - w Europie. W okresie, o którym mowa, kluczowe znaczenie miał traktat o Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej podpisany w Rzymie 25 marca 1957 r. przez Francję, RFN, Włochy i trzy państwa Beneluxu. EWG stała się - wraz z istniejącą już od 1949 r. i znacznie szerszą (w 1957 r. skupiała 15 państw) Radą Europy - najbardziej istotnym czynnikiem integracji całej demokratycznej części Starego Kontynentu.

Tendencje integracyjne budziły żywe zaniepokojenie w Moskwie, ale ich wpływ na sytuację globalną był pośredni i przynajmniej w latach 60. nie oddziałały one na zahamowanie ekspansji komunizmu na innych kontynentach. Radziecką odpowiedzią na tendencje integracyjne w Europie było m.in. stworzenie "muru berlińskiego" (12 sierpnia 1961 r.). Ta wielka operacja budowlana uszczelniała "żelazną kurtynę", w której od 1956 r. było coraz więcej luk, m.in. za sprawą Polski, która w znacznie bardziej liberalny sposób niż inne państwa obozu komunistycznego podchodziła do kwestii indywidualnych wyjazdów z kraju i odwiedzania go przez cudzoziemców. W istocie jednak "mur berliński" był przedsięwzięciem defensywnym, umacniał status quo w Europie i mógł być traktowany jako działanie mające na celu zabezpieczenie "tyłów" wobec ekspansji na innych kontynentach.

Mocną podbudową polityki Moskwy - zarówno na płaszczyźnie propagandowej, jak i w rzeczywistym układzie sił - były programy zbrojeniowe realizowane kosztem wyrzeczeń narzucanych państwom RWPG, a przede wszystkim narodom samego ZSRR. "Wyścig zbrojeń" trwał w najlepsze i Moskwa w drugiej połowie lat 50. zdobyła w nim pewną przewagę, czego wyrazem było wysłanie na okołoziemską orbitę pierwszego satelity (4 października 1957 r.) pół roku przed Amerykanami. Podkreśleniem tej pozycji był pierwszy pobyt człowieka w kosmosie (lot Jurija Gagarina 12 kwietnia 1961 r.). Stany Zjednoczone podjęły to wyzwanie i do nich należało pierwsze lądowanie na księżycu (Neil Armstrong, 21 lipca 1969 r., w misji Apollo 11).

Rywalizacja w kosmosie była bardziej spektakularna, ale ważniejszy wówczas był "wyścig broni atomowych" i w dziedzinie urządzeń do ich przenoszenia. Punktem krytycznym stało się instalowanie przez ZSRR wyrzutni rakietowych na Kubie, które jesienią 1962 r. doprowadziło do gwałtownego napięcia. 28 października, po tygodniu, w czasie którego wybuch "III wojny światowej" wisiał na włosku, Chruszczow ustąpił i rakiety zostały zdemontowane. Incydent kubański uznany został za moment ostatecznego przesilenia w "zimnej wojnie", czego dowodem była umowa o uruchomieniu "gorącej linii" między Kremlem a Białym Domem (20 czerwca 1963 r.) oraz układ o częściowym zakazie prób nuklearnych i ich kontroli podpisany po

pięcioletnich negocjacjach 5 sierpnia 1963 r. Spośród wielkich mocarstw nie podpisała go Francja, wchodząca w okres polityki antyamerykańskiej, oraz Chińska Republika Ludowa.

Odmienność stanowiska Pekinu była wyraźnym osłabieniem pozycji ZSRR, a konflikt radziecko-chiński stał się jednym z podstawowych czynników hamujących ekspansję Moskwy. Konflikt ten przybierał w latach 60., zapewne niespodziewany dla wszystkich, ostry charakter. Jego początków należy szukać w pierwotnej fazie destalinizacji, kiedy to komuniści chińscy podjęli pierwsze próby odgrywania samodzielnej roli. Miał on podłoże w pewnym sensie podobne do konfliktu Stalin-Tito z 1948 r., ale z uwagi na potencjał Chin znacznie większy wymiar zarówno dla układu sił na świecie, jak i dla ruchu komunistycznego. Ujawniał się stopniowo, co najmniej od jesieni 1957 r., gdy KPZR podjęła próby scentralizowania tego ruchu, a ZSRR opowiadał się dosyć konsekwentnie za tezą o "pokojowym współistnieniu" i polityką odprężenia. Przywódca chińskich komunistów Mao Zedong (Mao Tse-tung) proklamował się jako "prawdziwy" następca Lenina i Stalina, a KPCh zaczęła rywalizować z partią radziecką o prymat w ruchu komunistycznym.

Chińczycy byli zwolennikami podjęcia "rewolucyjnej wojny" ze światem zachodnim, a także uważali, że nowe akcenty w polityce gospodarczej w ZSRR są świadectwem zwycięstwa koncepcji rewizjonistycznych i oznaczają podważenie zasad socjalizmu. Do pierwszych kontrowersji doszło już jesienią 1957 r. podczas moskiewskiej narady 64 partii komunistycznych z całego świata. Na naradzie tej Gomułka zajął stanowisko ostrożne, nie poparł propozycji, aby do deklaracji końcowej wprowadzić formułę "ze Związkiem Radzieckim na czele" i dwukrotnie spotkał się z chińskim przywódcą. Wkrótce jednak, gdy w latach 1958-1959 dochodziło do nowych, otwartych kontrowersji między Pekinem a Moskwą (m.in, w związku z radziecką krytyką tzw. Wielkiego Skoku oraz neutralnością ZSRR w konflikcie granicznym chińsko-indyjskim) leader PZPR coraz bardziej zdecydowanie popierał stanowisko Chruszczowa. W styczniu 1961 r. mówił, że "historia wyznaczyła KPZR w naszym ruchu miejsce ogólnie uznanej przez wszystkie partie awangardy". W 1964 r., podczas przemówienia wygłoszonego na Kremlu, stwierdził, że "najwyższe interesy naszego ruchu muszą wziąć górę nad rozpalonymi przez towarzyszy chińskich frakcyjnymi namiętnościami".

Konflikt radziecko-chiński narastał, Pekin wspierając się na tezie, iż rewolucja socjalistyczna przybiera formę walki "biednej części świata" przeciwko "bogatej", starał się zdobyć wpływy w nowo powstałych państwach postkolonialnych i wspierał jawnie wszelkiego rodzaju ruchy partyzanckie. W wielu partiach komunistycznych doszło do secesji, a zjawisko to objęło także niektóre partie zachodnioeuropejskie. Pozycja Chin została wzmocniona jesienią 1964 r., gdy nieomal równocześnie z dokonaną przez nie pierwszą próbą z bombą atomową (trzy lata później dysponowały także bombą wodorową) na drodze cichego zamachu stanu obalony został Chruszczow, a jego miejsce zajął Leonid Breżniew. W 1966 r. Mao Zedong (Mao Tse-tung) proklamował "rewolucję kulturalną" i w maju na ulice chińskich miast wyszły pierwsze grupy Hongweibing (Hungwejping), młodzieżowej "Czerwonej Gwardii".

Skierowały się one przeciwko rządowej elicie, a także niezwykle ostro atakowały ZSRR, który uznany został za wroga nr 1 światowej rewolucji. Kilkakrotnie dochodziło do agresji wobec radzieckich (i nie tylko)

przedstawicielstw dyplomatycznych, wagi zaś tym wystąpieniom nadawał fakt, iż Pekin coraz bardziej natarczywie wysuwał pretensje terytorialne i domagał się anulowania chińsko-rosyjskiego traktatu granicznego zawartego jeszcze w XIX wieku. W marcu 1969 r. doszło do poważnych incydentów na granicznej rzece Ussuri, które przyniosły przesilenie. Mao, który odwołał już nieco wcześniej "rewolucję kulturalną", zgodził się na podjęcie rozmów dyplomatycznych i napięcie wyraźnie opadło. Jedną z przyczyn tej zmiany był zapewne fakt, że Stany Zjednoczone, które w latach 1965-1968 głęboko zaangażowały się w wojnę w Indochinach (w 1969 r. przebywało tam ok. pół miliona żołnierzy amerykańskich), zdecydowały się na rozpoczęcie - zrazu dyskretnych - rozmów pokojowych.

Polscy komuniści okazali się wprawdzie odporni na "chińską zarazę", ale konflikt Pekin-Moskwa miał swoje reperkusje w bloku państw RWPG i Układu Warszawskiego. Ze strategicznego punktu widzenia mniej istotną, ale prestiżowo dotkliwą dla Moskwy była postawa Albanii, najmniejszego ze zblokowanych państw. Enver Hodża opowiedział się zdecydowanie po stronie Chin i w 1961 r. doszło do zerwania stosunków dyplomatycznych z Moskwą oraz zawieszenia członkostwa Albanii w RWPG i UW.

Poważniejszą sprawą było stanowisko Rumunii, w której już w 1957 r. pojawiały się sformułowania o równorzędnym stanowisku Chin i ZSRR, a za nimi tendencje do separowania się od Moskwy. Pogłębiły je rozbieżności na tle - dogodnych dla państw bardziej uprzemysłowionych - zmian w RWPG. W kwietniu 1964 r. Komitet Centralny Rumuńskiej Partii Komunistycznej podjął rezolucję, w której stwierdzano, że "nie może być partii-ojca i partii-synów, partii nadrzędnej i partii podporządkowanej". Rok później po śmierci Gheorghe Gheorghiu-Deja nowym sekretarzem generalnym został Nicolae Ceauvescu, prowadzący politykę ostrożnego separowania się od niektórych posunięć Moskwy. Nie tylko nie potępiał on Chin, ale nie uczestniczył w zerwaniu stosunków z Izraelem (1967 r.), a nawet odmówił udziału wojsk rumuńskich w inwazji na Czechosłowację (1968 r.). Do nowego rytuału należały pewne akcenty szowinistyczne i podkreślanie tradycji narodowej oraz wywód lokujący początki państwa rumuńskiego w starożytnej Dacji. Rumunia stawała się otwarta na współpracę z Zachodem, a w 1967 r. nawiązała stosunki dyplomatyczne z RFN, jako jedyny obok ZSRR, kraj komunistyczny. Ceauvescu nie zdecydował się jednak pójść w ślady Albańczyków i choć mógł sprawiać kłopoty Moskwie, mógł być także używany przez kremlowską dyplomację jako wygodny pośrednik. Aczkolwiek ani secesja Albanii, ani rumuńskie "dewiacje" nie podważyły radzieckiej pozycji w Europie Środkowo-Wschodniej, to jednak przyczyniły się niewątpliwie do obniżenia autorytetu Moskwy, co mogło ułatwiać - a nawet zachęcać - do różnych eksperymentów.

Jednym z nich, ale nie mającym poważniejszych reperkusji zewnętrznych, były węgierskie reformy gospodarcze, wzorowane po części na polskich projektach z lat 1956-1957. Jednak Janos Kadar, w odróżnieniu od Gomułki, postanowił wprowadzić je w życie (z dniem 1 stycznia 1968 r.). Niespodziewany i z czasem dramatyczny obrót przybrały zmiany w Czechosłowacji. Zaczęło się od programu reform gospodarczych, które wydawały się niezbędne po wyraźnym zahamowaniu tempa wzrostu w początku lat 60. Sytuację komplikował fakt, że proces destalinizacji był w Czechosłowacji powolny i opóźniony. Latem 1967 r. doszły do głosu

środowiska rewizjonistycznie nastawionych komunistów oraz liberalni pisarze i intelektualiści. Riposta KPCz była natychmiastowa, ale ani nie uspokoiła kontestatorów, ani nie zdołała zapobiec pojawieniu się rozbieżności w partyjnej elicie. Na posiedzeniu KC (30-31 października) ujawnił się podział na zwolenników i przeciwników reform. Nie załagodziła go wizyta Breżniewa i 5 stycznia 1968 r. I sekretarzem został, aparatczyk młodszej generacji, Aleksander Dubcek.

Konflikt wewnętrzny zaostrzał się przy rosnącej przewadze reformatorów, którzy w marcu wymusili na Antonim Novotnym dymisję z ostatniej oficjalnej funkcji, prezydenta Republiki. 6 kwietnia 1968 r. KC uchwalił "Program akcji" zawierający propozycje daleko idących przekształceń politycznych (m.in. zniesienie cenzury), które najogólniej charakteryzowało stwierdzenie o dążności do stworzenia "nowego modelu społeczeństwa socjalistycznego, głęboko demokratycznego i przystosowanego do warunków czechosłowackich". Rzecz jednak polegała nie na słowach, bo o "prawdziwej demokracji" deklarowano także w czasie moskiewskich czystek, ale w tym, że za hasłami szły zmiany prawne, a społeczeństwo zaczęło w świadomy sposób domagać się praw i organizować (Klub Zaangażowanych Bezpartyjnych, klub b. więźniów politycznych). Reformiści posuwali się konsekwentnie naprzód: Novotnego zastąpił gen. Ludvik Svoboda, premierem został Oldrich Cernik, szefem gospodarki autor reformy ekonomicznej Ota Sik, a przewodniczącym parlamentu Josef Smrkovsky. Nowym impulsem było ogłoszenie przez Ludvika Vaculika deklaracji znanej pod nazwą "Dwa tysiące słów", pod którą zebrano wnet kilkadziesiąt tysięcy podpisów. Ożywiły się też zadawnione konflikty między Czechami a Słowakami. Kierownictwo partii starało się nie tracić wpływu na bieg wydarzeń i mimo kontrakcji środowisk zachowawczych nie odchodziło od kwietniowego programu. Mniej lub bardziej wyraźne poparcie otrzymywał też Dubcek ze strony Rumunii i Jugosławii. Pojawiły się nawet komentarze o odnowieniu przedwojennej "Małej Ententy".

Wszystko to budziło coraz większe zaniepokojenie zarówno Breżniewa, jak i Gomułki, który żywo interesował się zmianami w Pradze. Już w lutym 1968 r. spotkał się - w cztery oczy i poufnie - z Dubcekiem ostrzegając go przed możliwością utraty kontroli nad wydarzeniami. Od początku wiosny kierownictwa partyjne państw Układu Warszawskiego systematycznie spotykały się - 23 marca w Dreźnie, 8 maja w Moskwie, 1415 lipca w Warszawie, 3 sierpnia w Bratysławie - z tym, że tylko na pierwszych i ostatnich obradach obecni byli przedstawiciele Czechosłowacji. Rozważano sposoby zapobieżenia rozwojowi demokratyzacyjnych zmian nad Wełtawą, wywierano coraz mocniejszą presję na wycofanie się z dalej idących, a już zainicjowanych reform.

Gomułka był zwolennikiem i gorącym obrońcą - m.in. wobec zastrzeżeń Janosa Kadara - tezy, iż w Czechosłowacji ma miejsce "kontrrewolucja nowego typu", odbywająca się bez przelewu krwi, ale nie mniej skuteczna. Narastała agresja propagandowa, dobrze widoczna także w Polsce, w której środki masowego przekazu zwracały szczególną uwagę na "zagrożenie południowej flanki" oraz operowały sfingowanymi informacjami TASS o wykrywaniu składów broni przygotowywanych przez "zachodnioniemieckich rewanżystów". Jednocześnie trwały przygotowania wojskowe, w tym manewry sztabowe i wojsk łączności na terenie samej Czechosłowacji.

Na posiedzeniu kierownictw pięciu partii, 18 sierpnia, powiadomiono o ostatecznej decyzji użycia wojsk, która zapadła poprzedniego dnia. W nocy z

20 na 21 sierpnia rozpoczęła się inwazja, w której pierwszym rzucie uczestniczyło ok. 200-250 tys. żołnierzy i ok. 4200 czołgów Armii Radzieckiej, wojsk polskich, bułgarskich i węgierskich (armia NRD zajęła pozycje wyjściowe nad granicą). Armia czechosłowacka na rozkaz min. Martina Dzura nie stawiała oporu i zamknęła się w koszarach. Kierownictwo - z Dubcekiem, Smrkovskim i Cernikiem - zostało uwięzione i przewiezione do Moskwy, gdzie przybył z Pragi Svoboda. Po pełnych gróźb i szantaży rozmowach, o których informowani byli na bieżąco ściągnięci na Kreml przywódcy państw współuczestniczących w agresji, wymuszono na Czechach i Słowakach daleko idące ustępstwa. Choć skład władz nie uległ zrazu poważniejszym zmianom - nastąpiło to stopniowo zimą i wiosną 1969 r. -

reformy polityczne zostały zablokowane, a z wielu wycofano się. Moskwa mogła tolerować "nieposłuszeństwa" Bukaresztu w zakresie polityki zagranicznej, ale nie mogła pozwolić na utrwalenie się tego modelu socjalizmu, który proponowano w Pradze. Ważnym rezultatem operacji "Dunaj" było rozlokowanie na terenie Czechosłowacji liczebnie potężnej Centralnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej, która wypełniła istniejącą dotychczas lukę operacyjną.

Dla wielu środowisk lewicowych, także komunistycznych, zbrojna interwencja i likwidacja "praskiej wiosny" były dowodem, że nadzieje na stopniowe zmiany systemu są płonne. Przynajmniej dopóki nie zainicjuje ich Kreml. Dla środowisk tych wydarzenia z sierpnia 1968 r. miały większe znaczenie niż zdławienie powstania węgierskiego, na którym ciążył - w ich przekonaniu - zarzut "reakcyjności". Czołgi na Vaclavskim Namesti stratowały wizję "socjalizmu o ludzkiej twarzy".

W listopadzie 1969 r., przemawiając jako gość V Zjazdu PZPR, Leonid Breżniew oficjalnie zadeklarował, iż suwerenność państw socjalistycznych ma charakter "ograniczony" interesami całej wspólnoty. Wśród bijących oklaski był także Gomułka, o którym już cztery lata wcześniej leader KPZR mówił jako o `wiernym synu swojego narodu, niezachwianym leninowcu, wybitnym działaczu międzynarodowego ruchu robotniczego, wielkim przyjacielu Związku Radzieckiego'

Marzec

9 czerwca 1967 r., w czwartym dniu wojny izraelsko-arabskiej, delegacje partyjno-rządowe państw Układu Warszawskiego zebrane na specjalnej sesji w Moskwie postanowiły zerwać stosunki dyplomatyczne z Izraelem. 19 czerwca, z trybuny VI Kongresu Związków Zawodowych, Gomułka stwierdził, iż "każdy obywatel Polski powinien mieć tylko jedną ojczyznę - Polskę Ludową" i potępił istniejące w Polsce "środowiska syjonistyczne", które "opowiedziały się za agresorem, za burzycielami pokoju, za imperializmem". 28 czerwca na posiedzeniu Kolegium MSW została przedstawiona informacja, iż 382 osoby pochodzenia żydowskiego zostały "ujawnione" jako opowiadające się za Izraelem. Wedle danych gromadzonych przez Departament III było wśród nich 76 dziennikarzy i literatów, 57 pracowników administracji państwowej i 51 pracowników administracji gospodarczej. Departament ten dostał polecenie

"rozpracowywania syjonistów" począwszy od urzędu rezerw państwowych, atomistyki i Polskiej Agencji Prasowej. Uznano za niezbędne powiadamianie kierownictwa zakładu lub urzędu, w którym pracował "ujawniony syjonista", o tym fakcie i skłonienie do zwolnienia z pracy wskazanych osób.

Tak zaczynała się wstępna faza starcia, którego głównymi uczestnikami byli w istocie: z jednej strony połączone siły "partyzantów" i "młodych aparatczyków", z drugiej zaś młodociani niejednokrotnie kontestatorzy, "rewizjoniści" i liberalni intelektualiści. W polu rażenia znaleźli się także należący do elity ludzie o kapepowskim rodowodzie, a ciosy - zapewne najsilniejsze - spadły na osoby pochodzenia żydowskiego (lub uznane za takie).

Po niepokojach z 1964 r. - "liście 34" i jego reperkusjach (m.in. wiec na uniwersytecie), procesie Wańkowicza, dokumencie programowym Kuronia i Modzelewskiego (ich aresztowaniu i skazaniu) - oraz po wytrwałym odbieraniu liberalnym pezetpeerowcom i intelektualistom możliwości publicznego głoszenia poglądów, wydawało się, że środowiska kontestatorskie zostały skutecznie wyciszone. Podważył taką opinię przebieg wydarzeń związanych z dziesiątą rocznicą Października, gdy na zebraniu dyskusyjnym, zorganizowanym w Warszawie przez kontestujących studentów, Leszek Kołakowski i Krzysztof Pomian ostro - i negatywnie - ocenili mijającą dekadę. Na decyzje o usunięciu z partii obu mówców i kilku osób, które broniły ich poglądów, kilkanaście następnych odpowiedziało złożeniem legitymacji PZPR. Ale środowiska te nie były gotowe do podjęcia prób zorganizowania się i ich opozycyjność pozostawała w dotychczasowych ramach. Nie zmieniło tego także wyjście z więzienia autorów "Listu do Partii", choć wśród grupek młodzieżowych z nimi związanych dyskusje programowe nabrały większego wigoru i - m.in. pod wpływem "wojny o milenium" - coraz wyraźniej zaczęły pojawiać się w nich nowe akcenty: rewizja stosunku do Kościoła, zwracanie uwagi na tradycję narodową i niepodległościową.

"Partyzanci", po niewątpliwym sukcesie, jakim było objęcie teki ministra spraw wewnętrznych przez Moczara, umacniali swoje pozycje, czemu sprzyjał - jak się wydaje - Gomułka. W 1965 r. Grzegorz Korczyński został wiceministrem obrony narodowej i Głównym Inspektorem Obrony Terytorialnej Kraju, a Tadeusz Pietrzak Komendantem Głównym MO. Zacieśniała się współpraca z PAX, poszerzał zasięg działania ZBoWiD, przy którym latem 1966 r. stworzono Klub Pisarzy. Rozpoczęcie przez Gomułkę polowania na "syjonistyczną piątą kolumnę" dało nową szansę. Latem 1967 r. zaczęły się "przeglądy kadrowe", a wobec tego, że MSW było już dosyć dokładnie "przejrzane", instytucją, w której najpierw przystąpiono do czystki, było wojsko, gdzie w ciągu paru miesięcy zwolniono lub przeniesiono do administracji cywilnej - przy całkowitej bierności min. Spychalskiego - paruset wyższych oficerów. W centralnym aparacie państwowym wytworzyła się atmosfera "polowania na czarownice", która dosyć szybko przenikała w dół służbowej drabiny.

Oficjalna propaganda coraz wyraźniej uderzała w patriotyczne tony. Furorę robił spektakl partyzanckich piosenek Dziś do ciebie przyjść nie mogę, który jeden z recenzentów określił krótko - "nasza barwa", nawiązując do wydanej przed paru laty książki Moczara. Przedmiotem ostrych ataków stała się emigracja, w szczególności zaś paryska "Kultura" Jerzego Giedroycia i rozgłośnia Radia Wolna Europa, kierowana od lat przez Jana

Nowaka-Jeziorańskiego, które najbardziej wyczulone były na rytm wydarzeń krajowych. Nie ustawały dokuczliwe, choć indywidualne, represje przeciwko niepokornym (procesy Niny Karsow i Janusza Szpotańskiego). Służba Bezpieczeństwa wyraźnie intensyfikowała działalność. Trwał też, wykonywany głównie przez aparat ministra Moczara, nacisk na Kościół i ponawiano próby skłócenia hierarchii. We wrześniu odmówiono wydania paszportu prymasowi Polski, a otrzymali je (co podkreślała prasa) pozostali biskupi udający się do Rzymu na inauguracyjne posiedzenie Synodu. Wśród nich, zwracano uwagę, był też kardynał Karol Wojtyła, którego władze najwyraźniej "typowały" na głównego konkurenta prymasa Wyszyńskiego.

Atmosferę podgrzewały też wydarzenia na świecie. Narastała kontestacja u południowego sąsiada Polski, w samym ZSRR pojawili się "dysydenci", amerykańskie miasteczka akademickie wstrząsane były strajkami i manifestacjami studenckimi. Wzrastała gwałtowność wojny wietnamskiej i protestów z nią związanych. Z Chin nadchodziły mało zrozumiałe wiadomości o grasujących hunwejbinach. "Partyzanci" i ich wciąż liczniejsi i głośniejsi zwolennicy w polskich mass mediach stawali się coraz bardziej natarczywi i brutalni. Parli do starcia. Wybuch nastąpił, jak to często bywa, z nieoczekiwanego raczej - ale w państwach autorytarnych bynajmniej nierzadkiego - powodu: 16 stycznia 1968 r. Ministerstwo Kultury i Sztuki zawiadomiło dyrekcję warszawskiego Teatru Narodowego, że z dniem 30 stycznia Mickiewiczowskie Dziady zostają zdjęte z afisza. Spektakl ten budził zastrzeżenia tzw. odpowiedzialnych czynników, dopatrujących się w nim wyeksponowania akcentów antyrosyjskich. Wiadomość o decyzji rozeszła się w środowiskach intelektualnych błyskawicznie, a młodzi kontestatorzy - zwani przez przeciwników "komandosami" - zdecydowali się na podjęcie publicznego protestu. Po ostatnim spektaklu niespełna 300 osób przeszło pod - nieodległy - pomnik Wieszcza, gdzie złożono kwiaty. Tu do akcji wkroczyła milicja, zatrzymano kilkadziesiąt osób. Od 1 lutego "komandosi" zaczęli półjawnie zbierać podpisy pod protestem przeciwko decyzji zakazu wystawiania Dziadów i w ciągu 2 tygodni zebrano ich w samej Warszawie ponad 3 tys., a we Wrocławiu ponad tysiąc. Zaczęli mobilizować się pisarze. Podczas nadzwyczajnego zebrania Oddziału Warszawskiego ZLP (29 lutego) zgromadzeni większością głosów przyjęli uchwałę protestującą zarówno przeciwko zdjęciu Dziadów, jak "nasilającej się ingerencji" władz w twórczość oraz przeciwko "arbitralności i niejawności" działań cenzury i struktur kierujących kulturą. Był to tekst znacznie dalej idący niż "list 34", określenie zaś "dyktatura ciemniaków", użyte w dyskusji przez Stefana Kisielewskiego, na długie lata stało się jednym z najbardziej popularnych nazwań systemu.

Na początku marca środowisko "komandosów" podjęło decyzję o zwołaniu wiecu na Uniwersytecie. Przedmiotem zgromadzenia był protest w sprawie Dziadów i relegowania z uczelni Adama Michnika i Henryka Szlajfera, ukaranych - najwyraźniej z inicjatywy SB - za przekazywanie informacji zagranicznym dziennikarzom. Termin wiecu wyznaczono na 8 marca.

Inicjatywa należała - wydawało się - do młodych kontestatorów i znanych twórców. "Na zapleczu" wszakże szykowali się do skoku ich najbardziej niebezpieczni przeciwnicy. 2 marca warszawski aktyw pezetpeerowski - na

czele którego stał świeżo mianowany I sekretarz KW Józef Kępa - uchwalił rezolucję stwierdzającą m.in. że "z niepokojem i oburzeniem śledzi poczynania reakcyjnej grupy [...], która występując pod płaszczyrkiem obrońców kultury polskiej, z coraz większym zacietrzewieniem i wrogością

atakuje Partię i Władzę Ludową". Wiec na uniwersytecie nie zaskoczył bynajmniej ani "warszawskiego aktywu", ani służb MSW. Odwrotnie: Moczar i "partyzanci" byli lepiej przygotowani niż organizatorzy, których plany nie wykraczały poza uchwalenie dwóch krótkich rezolucji. Gdy o godz. 12. zgromadzenie rozpoczęło się, w pobliżu uniwersytetu przebywali już - w autokarach - ormowcy oraz skoncentrowane jednostki ZOMO, a kilku "komandosów" siedziało od paru godzin w areszcie. Na teren uczelni weszli ormowcy i "aktyw robotniczy", a po nich wyposażony w bojowe pałki i kaski oddział MO. Dosyć szybko rozproszono zebranych, których znaczna część wydostała się na ulice.

Następnego dnia na wiecu zebrali się studenci Politechniki i szybko rosnący tłum skandujący "Prasa kłamie!" ruszył ku redakcji "Życia Warszawy". Reakcja milicji była nie mniej brutalna niż na uniwersytecie. 9 marca w stanie gotowości były już nie tylko wszystkie siły MSW (z KBW włącznie), tysiące ormowców i aktyw partyjny, ale także kadra centralnych instytucji wojskowych. Zarządzono pełną mobilizację godną poważnych zamieszek lub strajku powszechnego. Być może Gomułka, który wraz z paroosobowym gronem najwyższych dostojników 6 i 7 marca spędził na naradzie Układu Warszawskiego w Sofii, zaskoczony był rozmiarami zajść, ale nie podjął żadnych kroków, aby obniżyć napięcie i przez kilka dni milczał. Wydarzenia rozdzieliły się na dwa osobne, przeciwstawne sobie nurty.

Od poniedziałku 11 marca wiece, manifestacje i strajki obejmowały kolejne ośrodki akademickie: 11 marca - Kraków, 12 marca - Poznań, Łódź, Wrocław, Gdańsk, 14 marca - Toruń, 15 marca - Górny Śląsk, Lublin. Mniej spektakularne i rzadsze były wystąpienia - lub ich próby - młodzieży licealnej w wielu mniejszych miastach. W kilku uczelniach miały miejsce strajki okupacyjne, m.in. 15-16 marca we Wrocławiu, 21-23 marca w Warszawie (Uniwersytet i Politechnika). Zdarzały się starcia z milicją, nieraz wielogodzinne i z reguły w centrach miast. Zatrzymano łącznie ok. 2,5 tys. demonstrantów, kilkaset osób zostało aresztowanych. Z uczelni relegowano ok. 1,5 tys. studentów, na wielu kierunkach zarządzono ponowną "rekrutację", setki kierowano na "ćwiczenia wojskowe" w jednostkach. W formach masowych ruch zakończył się faktycznie 28 marca uchwaleniem przez studentów warszawskich "Deklaracji ruchu studenckiego". Mimo prób nie udało się nawiązać kontaktów z załogami robotniczymi i choć wyrazy sympatii czy nawet poparcia ze strony publiczności były dosyć liczne, ruch był w znacznym stopniu izolowany.

Poparcie uzyskał jednak z innej strony. 11 marca, pięciu posłów koła "Znak", z własnej inicjatywy, skierowało do premiera interpelację, w której domagano się, by "rząd podjął kroki zmierzające do politycznego rozładowania sytuacji". Ważniejszy chyba był inny dokument. 21 marca, a więc jeszcze w czasie trwania strajków, memoriał do premiera przesłali uczestnicy 107. Konferencji Episkopatu Polski. Biskupi zwracali uwagę, że "od dawna już poważne zastrzeżenia budzą w społeczeństwie metody stosowane przez władze bezpieczeństwa", a także na fakt, że "gwarantowane obywatelom

przez Konstytucję PRL i Deklarację ONZ prawa do rzetelnej informacji domagają się wolności prasy, ograniczenia interwencji cenzury i obiektywizmu w informowaniu". Głos Kościoła był tym istotniejszy, że po raz pierwszy od wielu lat zabrany został nie tylko w obronie praw wierzących i praw duszpasterskich samego Kościoła, ale konkretnej grupy społecznej i wyrażanych przez nią intencji. Wypowiedź hierarchów mogła być też odczytana jako wyraz poparcia dla postulatów osób niejednokrotnie znanych nie tylko z ateistycznych postaw, ale także antykościelnych wypowiedzi.

Ruch studencki miał charakter spontaniczny, a jego rozmiary przekroczyły oczekiwania inicjatorów, którzy sami nie opierali się na żadnym bardziej skonkretyzowanym programie politycznym. Apel do podstawowych wartości - tradycji narodowej i wolności słowa - oraz do solidarności grupowej trafiał

do znacznej części młodzieży bez względu na przekonania. W ciągu paru tygodni zestaw haseł i żądań poszerzał się i urozmaicał. Pojawiały się postulaty "swobód demokratycznych", "wolności prasy i zgromadzeń", swobody tworzenia "opozycyjnych klubów poselskich", "zagwarantowania możliwości zrzeszania się", "niezawisłości sądów i jawności wszystkich rozpraw". Niejednokrotnie odwoływano się do przykładu "praskiej wiosny". W najbardziej rozwiniętej formie postulaty wyraziła wspomniana już "Deklaracja" z 28 marca. Całość żądań usiłowano ulokować w ramach swoiście pojmowanego socjalizmu, a częste powoływanie się na konstytucję - co czynił także Episkopat - nie było, jak się wydaje, tylko wybiegiem czy kamuflażem. Aczkolwiek nie istniał żaden ośrodek kierowniczy, zestaw postulatów był wszędzie podobny. Mieściły się one w polu aksjologicznym idealistycznie pojmowanego socjalizmu. Niewiele miały one jednak wspólnego z "realnym socjalizmem", funkcjonującym w dodatku w warunkach "ograniczonej suwerenności". Zdławienie ruchu studenckiego w Polsce było, w pewnym sensie, prefiguracją tego, co stało się kilka miesięcy później w Czechosłowacji. Oba te wydarzenia oznaczały dla wielu załamanie się wiary w możliwość pokojowej ewolucji systemu i nadania mu "ludzkiego oblicza". Dla niemałej części młodych ludzi "wydarzenia marcowe" stały się doświadczeniem politycznym, które uformowało całą generację. Miała ona odegra w przyszłości niebagatelną rolę w organizowaniu różnych form społecznego oporu.

Ostrość tego doświadczenia była tym większa, że władze nie ograniczyły się do brutalnej działalności sił porządkowych czy propagandy skierowanej przeciwko samym uczestnikom wydarzeń. Można sądzić, że dla głównych wykonawców ze strony władz - a byli nimi bez wątpienia "partyzanci" - pobici, aresztowani, relegowani czy zniesławieni studenci byli w istocie "ofiarami przy okazji". Cel właściwy znajdował się poza salami wykładowymi. 12 marca biuletyny PAP podały informacje o zwolnieniu przez premiera kilku wyższych urzędników państwowych i odtąd przez kilka tygodni miał być to temat nie schodzący z łam gazet. Tegoż dnia w warszawskim "Kurierze Polskim" ukazał się artykuł Ryszarda Gontarza Inspiratorzy, stają się wzorcowym tekstem kampanii, w której trywialny antysemityzm łączył się - jak to często bywa - z atakami na inteligencję.

O tym, jak czołowi nawet działacze PZPR widzieli świat - i jak go przedstawiali publicznie - mogą świadczyć słowa Edwarda Gierka z jego przemówienia wygłoszonego w Katowicach 14 marca. Mówiąc o usiłujących

dotrzeć na Śląsk agitatorach, stwierdził, że "są to ci sami zawiedzeni wrogowie Polski Ludowej [...], różni pogrobowcy starego ustroju, rewizjoniści, syjoniści, sługusi imperializmu". Choć Gomułka zwracał uwagę na "opaczne nieraz pojmowanie hasła walki z syjonizmem", termin ten pojmowany był jednoznacznie i w zgodzie z intencjami leaderów tej kampanii: "Tato, jak się pisze "syjonizm"? Przez "j" czy "i"" - pytał w ówczesnym dowcipie syn. "Nie wiem, jak się teraz pisze, ale przed wojną pisano przez "ż"" - odpowiada ojciec".

Niezależnie od tego, na co kładziono akcenty - czy były bardziej antyinteligenckie (jak u Gomułki), czy bardziej antysemickie (jak W większości wypowiedzi) - odbiór był podobny. Przez cały kraj przetaczała się fala zarówno masowych wieców w halach fabrycznych, jak i "seansów nienawiści" w urzędach; potępiano "syjonizm", ale często domagano się też usunięcia "jego nosicieli". Ten nurt "marca" miał cele nader doraźne: chodziło o (jednoczesną) eliminację części starej elity i "rewizjonistów" oraz wszelkiej maści liberałów. W niektórych przypadkach ofiary były łatwe do upolowania, gdyż należały do obu tych kategorii, a wśród nich osoby pochodzenia żydowskiego - z reguły całkowicie spolonizowane (nieraz od paru pokoleń) - były wcale liczne. Oficjalny antysemityzm nie był niczym nowym w dziejach ruchu komunistycznego, a jego najbardziej jaskrawe przejawy miały miejsce m.in. w latach 1948-1953 w samym ZSRR. Po "wojnie czerwcowej" z 1967 r. pojawił się ponownie, choć nie był ani tak wyraźny, ani też nie prowadził do tak tragicznych skutków, jak przed 20 laty. Nie przybrał też takich rozmiarów jak w Polsce, ale niewątpliwie ułatwiał harce jego nadwiślańskim wyznawcom. Pojawił się zresztą także na Węgrzech i w Czechosłowacji, gdzie swym ostrzem zwracał się przeciwko demokratyzacji.

Łatwym do zatuszowania był paradoks łączenia - jak to czynili Gierek czy Gomułka - "syjonistów" z "reakcjonistami" o nieskalanie "aryjskich" rodowodach. Z niekonsekwencji tej pomagał wybrnąć trzeci termin - "imperializm", i jedni, i drudzy byli bowiem w oczywisty sposób jego "sługusami". Toteż jednym tchem łączono nazwiska Zambrowskiego, Staszewskiego czy Bermana z Jasienicą, Kisielewskim czy Szpotańskim. To specyficzne - i zapewne celowe - materii pomieszanie obecne było nie tylko w nachalnej propagandzie. Gomułka rzeczywiście tak właśnie widział przyczyny marcowego wybuchu na uczelniach, czemu dawał wyraz w swych wypowiedziach na posiedzeniach Biura Politycznego. Dodawał do tej listy jeszcze i prymasa Wyszyńskiego: "Dziś Brystygierowa jedzie do Wyszyńskiego, do Lasek. Kołakowski też był zresztą klientem Wyszyńskiego" - mówił 8 kwietnia na posiedzeniu najwyższej instancji partyjnej.

Choć nie brakowało cyników ani zwykłych koniunkturalistów, gotowych wykonać każde zamówienie władzy, ów sposób analizy społecznej rzeczywistości - zwany niekiedy "materializmem detektywistycznym" - wyrażał głębokie frustracje. Z całą pewnością tej części aparatu partyjnego i rządowego, która uważała, że jej możliwości kariery są blokowane. Także wielu ludzi ze środowisk twórczych i naukowych, którzy mieli poczucie podobne do ich kolegów z komitetów wojewódzkich czy centralnych zjednoczeń. Frustracja była jednak częsta i na niższych szczeblach społecznej hierarchii - wśród źle opłacanych urzędników i robotników, zaharowanych właścicieli małohektarowych gospodarstw, którzy dorabiali w fabrykach, młodych ludzi z hoteli robotniczych nie widzących szans na własne

mieszkania. To do nich głównie zwracała się "marcowa propaganda" wskazując winnych za kiepski stan gospodarki i codzienne kłopoty, piętnując tych, którzy "żyli w luksusie" kosztem ciężko pracującego narodu. Toteż na ogół nie było większych trudności z frekwencją na fabrycznych masówkach, choć na wszelki wypadek organizowano je w godzinach pracy. Propaganda na tym poziomie była szczególnie wulgarna i łączyła się z hasłami egalitarnymi - co część kierownictwa PZPR uważała już za zbyt daleko idące - a nawet gdzieniegdzie z żądaniem "powrotu do demokracji".

Dosyć mocno zakorzeniona nieufność do komunistów i pamięć o nie tak dawnych ekscesach "bezpieki" także ułatwiały uznanie za głównych "wrogów narodu" tych, na których ciążyła odpowie dzialność za lata stalinowskie. "Syjoniści", "rewizjoniści" i niepoprawni "reakcjoniści", wymieszani razem, stali się klasycznym "kozłem ofiarnym", na którego zrzucano winę za istniejący - a budzący powszechne niezadowolenie - stan rzeczy. Nic więc dziwnego, że ekipa Gomułki, mimo pewnych zastrzeżeń, dała propagandzie ponad trzy miesiące i dopiero 24 czerwca Biuro Prasy wydało instrukcję zakazującą "eksponowania i nagromadzania publikacji na temat syjonizmu". Atak coraz wyraźniej przenoszono na "rewizjonistów", czemu sprzyjało także usztywnianie się stanowiska Moskwy - i Warszawy - wobec sytuacji u południowego sąsiada Polski.

Wedle niepełnych danych w ciągu paru tygodni zwolniono urzędów i instytucji centralnych co najmniej 700 osób, a w RSW "Prasa" ok. 800. Najbardziej spektakularne było usunięcie z Uniwersytetu Warszawskiego sześciorga profesorów i docentów (m.in. Leszka Kołakowskiego, Bronisława Baczki, Włodzimierza Brusa), czemu nadano specjalny rozgłos. Kampania nienawiści i szkalowanie ludzi - a także zdarzające się nierzadko akty agresji - przyczyniły się do powstania fali emigracyjnej. Wedle szacunkowych obliczeń, pod naciskiem kampanii antysemickiej wyjechało z Polski ok. 15 tys. osób (większość w latach 1968-1969), w tym blisko 500 pracowników naukowych, niemal 1 tys. studentów, 200 pracowników prasy i wydawnictw, filmowcy, aktorzy, pisarze. Ale też ponad 200 byłych funkcjonariuszy MBP (MSW) i oficerów, głównie specjalistów politycznej indoktrynacji.

Wyjechało też - w znacznej części po wyjściu z więzień i aresztów - niemałe grono "komandosów". Emigracji towarzyszyły dramaty osobiste, a także - rzecz jasna - zniesławiająca kampania. Większość wyjeżdżających nie miała nic wspólnego z "rewizjonizmem" (nie mówiąc o syjonizmie), była zdyscyplinowanymi członkami PZPR często o długim, jeszcze kapepowskim, stażu. Chyba oni właśnie najdotkliwiej odczuli antysemicki atak sterowany przez partyjnych towarzyszy i opuszczali Polskę z poczuciem krzywdy przekształcającym się niejednokrotnie w nienawiść - nie tylko do tych, którzy inicjowali lub sankcjonowali całą kampanię.

Dla inicjatorów i głównych wykonawców tej kampanii istotniejsze jednak niż exodus były "ruch kadrowy" oraz spacyfikowanie kontestatorów i liberałów. Tak jak "komandosi" nie liczyli na to, że pociągną za sobą dziesiątki tysięcy studentów, tak i "partyzanci" zapewne nie spodziewali się, że zmuszą do emigracji paręnaście tysięcy osób i pogrążą Polskę w opinii międzynarodowej. Zrazu zdawało się, że "partyzanci" i ich sojusznicy osiągną swe wszystkie cele, łącznie z usunięciem Gomułki, którego stanowisko było - jak na ogół sądzono - głównym obiektem zainteresowania

Moczara. I sekretarz milczał, ale już 14 marca na wiecu w Katowicach leader największej organizacji wojewódzkiej PZPR i członek Biura Politycznego Edward Gierek poparł dosyć wyraźnie swego zwierzchnika. 19 marca zabrał głos sam Gomułka. Choć atmosfera w warszawskiej Sali Kongresowej, w której zebrał się (trzeci raz w ciągu kilkunastu dni) "aktyw stołeczny", była niezbyt mu przychylna i obecni znacznie bardziej radykalni niż mówca, wybrnął on z sytuacji, podtrzymując znaczną część sformułowań i ocen lansowanych przez "partyzantów".

Obronił swoje stanowisko, niemniej pozycja jego była wyraźnie osłabiona, tym bardziej że zmiany personalne sięgnęły wysoko. Rezygnację złożył wieloletni (od 1948 r.) członek Biura Politycznego Edward Ochab, wniosek o dymisję przedstawił minister spraw zagranicznych Adam Rapacki, kilka osób odeszło ze stanowisk ministerialnych. Ponawiane były ataki na Spychalskiego, Jędrychowskiego, Szyra, Cyrankiewicza. Jednak o ile na niższe stanowiska w istocie napłynęło wielu nowych ludzi, o tyle na samej górze Gomułka kontrolował sytuację. Najistotniejsze zmiany zaszły w dwóch kluczowych resortach. Gdy na miejsce Ochaba przewodniczącym Rady Państwa został Spychalski, stanowisko po nim objął gen. Wojciech Jaruzelski, 45-letni szef Sztabu Generalnego. W lipcu natomiast I sekretarz, który wciąż był mistrzem w personalnych rozgrywkach, doprowadził do zmiany na stanowisku szefa MSW. Powołując się na przykład radziecki - "niebezpieczeństwo [nielojalności - AP] istnieje, dlatego nad tym resortem trzeba mieć kontrolę", mówił na posiedzeniu Biura Politycznego - doprowadził do awansu gen. Moczara na zastępcę członka BP i sekretarza KC, ale MSW obsadził swoim zaufanym człowiekiem, od roku dopiero pracującym w resorcie, Kazimierzem Świtałą.

Parcie "od dołu" zostało powstrzymane na progu najwyższego kierownictwa i dopiero jesienią 1968 r., na kolejnym zjeździe PZPR, atakujący zaczęli konsumować owoce Marca. Głównymi beneficjentami byli wszakże nie ludzie z kręgu gen. Moczara, ale przede wszystkim "młodzi aparatczycy". Stosunkowo najmniejsze zmiany zaszły w niższym i średnim aparacie partyjnym, najwyraźniejsze w administracji państwowej i gospodarczej oraz - co istotniejsze - na tzw. froncie ideologicznym: w prasie, radiu i telewizji, na uczelniach i w instytutach naukowych. Pseudopatriotyczne frazesy i słabo kamuflowane nacjonalistyczne hasła były więc ponawiane, mimo hamujących wytycznych. Pożywiała się ta propaganda m.in. procesami uczestników i inicjatorów studenckiego protestu, z których najgłośniejsze odbyły się dopiero na przełomie 1968 i 1969 r. (m.in. Kuronia i Modzelewskiego oraz Michnika i trzech innych osób).

Przez wiele miesięcy wszakże istotnym impulsem dla niej były wydarzenia w Czechosłowacji, rodzące atmosferę podniecenia także z uwagi na udział Wojska Polskiego w manewrach - w tym także (22-30 czerwca) na terenie CSRS - a w końcu w samej inwazji. 20 sierpnia o #23#/40 dowódca Śląskiego Okręgu Wojskowego gen. Florian Siwicki otrzymał dyrektywę rozpoczęcia operacji "Dunaj". W ciągu kilku godzin 2 Armia - ok. 26 tys. ludzi, 600 czołgów, 3 tys. samochodów, 450 dział (co stanowiło ok. 10% sił inwazyjnych) - przekroczyła granicę. Zgodnie z planami inwazji w "pieczy" Polaków znalazło się ok. 20 tys. km kw. (tj. ok. 15%) terytorium Czechosłowacji.

Sama inwazja, a przede wszystkim udział w niej Wojska Polskiego, pobudziły do aktywności rozgromione w marcu środowiska studenckie.

Publiczne protesty ogłosili m.in. Jerzy Andrzejewski i (z zagranicy) Sławomir Mrożek. 8 września, podczas uroczystości dożynkowych, które odbywały się z udziałem najwyższych władz - z Gomułką włącznie - na największym polskim stadionie, w desperackim geście protestacyjnym dokonał samospalenia Ryszard Siwiec. Śmierć ta jednak przeszła niezauważona, podobnie jak i ulotki czy napisy na murach i szosach. Kraj zalała potężna fala propagandy, w której ożywały stare, antyczeskie resentymenty i tony zachwytu nad przewagami "polskiego oręża". Wydaje się prawdopodobne, że inwazja na Czechosłowację ułatwiła Gomułce opanowanie sytuacji, ale też definitywnie załamała w wielu środowiskach - a zwłaszcza wśród aktywnej młodzieży - wiarę w mit socjalistyczny, a części Jego dotychczasowych wyznawców kazała szukać nowych dróg. Polacy na ogół biernie przyglądali się tej demonstracji "ograniczoności suwerenności", do której już przywykli. Koncentrowano się na trudnościach życia codziennego i pokątnym narzekaniu na nie.

Kultura: między Herbertem a Machejkiem

Epoka Gołmułki przyniosła wyraźny, acz powolny, rozwój infrastruktury kulturalnej. Na tyle wyraźny, iż był pozytywnie odczuwany, na tyle powolny, że - zwłaszcza wobec prawdziwego boomu w wielu dziedzinach na zachodzie Europy - Polska w dalszym ciągu znajdowała się "w ogonie". Poziom wykształcenia podnosił się, coraz większa część młodzieży podejmowała naukę po ukończeniu szkoły podstawowej. Szczególnie silny nacisk kładziono na rozwój szkolnictwa zawodowego, które (w roku szkolnym 1967ż8ş68) obejmowało już ok. 3/4 uczniów szkół ponadpodstawowych. Wiązało się to z koncepcją szkoły jako miejsca przystosowującego do pracy w konkretnym, raz na zawsze wyuczonym zawodzie i stało w sprzeczności z coraz silniejszymi w bogatych krajach tendencjami do traktowania szkoły jako środowiska, w którym następuje proces socjalizacji młodzieży i nabywania przez nią raczej ogólnych umiejętności.

Podobnie działo się na wyższych uczelniach, na których - w końcu rządów Gomułki - studiowało ok. 210 tys. osób (a ponad 100 tys. uczyło się w nich w trybie zaocznym). Zakładano, że liczba studentów na poszczególnych kierunkach winna odpowiadać przewidywanemu w wieloletnich planach zapotrzebowaniu odpowiednich działów gospodarki czy nawet pojedynczych branż przemysłu. Tendencje te szczególnie wyraźne były na uczelniach technicznych, wszędzie zaś utrzymywany był system limitowania liczby miejsc. Władze oświatowe wspierały ambicje lokalne i w gomułkowskim 14-leciu powstało siedem nowych wyższych uczelni w miastach pozbawionych tradycji uniwersyteckiej i zaplecza naukowego czy dydaktycznego (m.in. Koszalin, Radom, Rzeszów), co obniżało i tak już niewysoki poziom polskich uczelni, ale dawało pewne szanse młodzieży z mniejszych ośrodków. Bardziej polityczne niż merytoryczne powody legły u podstaw decyzji o powołaniu dwóch nowych uniwersytetów - na Śląsku (1968 r.) i w Gdańsku (1970 r.). Szczególnie ten pierwszy miał być przeciwwagą dla tradycyjnych uczelni, które w 1968 r. tak mocno zawiodły władze. W połowie lat 60. powrócono też do zarzuconej po 1956 r. idei "polityzacji" nauczania, wprowadzając do

programu odpowiednie przedmioty zarówno na uczelniach wyższych (1964ż8ş65), jak i w szkołach ponadpodstawowych (1967ż8ş68).

Trwał liczebny rozwój instytucji i instrumentów upowszechniania kultury, co dało asumpt do dyskusji na temat powstawania "socjalistycznej kultury masowej". Szczególnie wyraźny był przyrost liczby odbiorników tv: w 1970 r. było ich ok. 4,2 mln, czyli 10 razy więcej niż w 1960 r. (liczba radioodbiorników ustabilizowała się na wysokości ok. 5,5 mln). Aczkolwiek emisje telewizyjne poddane były szczegółowej kontroli cenzury, zarówno zasięg tv, jak i jej możliwości techniczne nie narzucały tendencji do traktowania jej jako "medium nr 1" i w dalszym ciągu za taki uważana była prasa. Przy użyciu instrumentów politycznych odbudowano, załamany od 1956 r., rynek dzienników PZPR, które w 1966 r. stanowiły ponownie ok. 57% nakładu całej prasy codziennej. Skutecznie zahamowane zostały tendencje decentralizacyjne: liczba dzienników została ustabilizowana na poziomie 53-55 tytułów, a 1/3 z nich ukazywała się w Warszawie. Blokowany był też rozwój liczebny innego typu czasopism opiniotwórczych - tygodników. W 1970 r. było ich 203, gdy w 1937 r., przy ogólnie znacznie niższych wskaźnikach czytelnictwa, ponad 420. Czytelnictwo wzrastało stosunkowo powoli (62 egzemplarze na mieszkańca w 1960 r., 73 w 1965 r.), co wynikało, jak można sądzić, zarówno z relatywnie dużego nasycenia rynku, jak i braku nowych, atrakcyjnych ofert.

Dla upowszechniania czytelnictwa sięgano do nietypowych - i raczej mało skutecznych - sposobów takich jak rozbudowa wiejskich "klubokawiarni" organizowanych przez "Ruch", monopolistyczne przedsiębiorstwo kolportażu prasy. Miały one stać się lokalnymi ośrodkami kultury, których rzeczywiście brakowało. Charakterystyczne dla scentralizowanego i zbiurokratyzowanego systemu było, iż nie dążono do wspomagania czy animowania oryginalnych form i instytucji, ale tworzono siatkę podporządkowaną odgórnie narzucanym programom. W 1969 r. funkcjonowało już ok. 9 tys. takich "klubokawiarni", choć Gomułka kilkakrotnie utyskiwał na nową modę - picia na wsi kawy zamiast kwasu czy soków.

O ile w nowych - lub nowszych - mediach (radio, tv), następował pewien liczebny postęp, także pod względem ich powszechności, o tyle tradycyjne instytucje kultury przechodziły okres stagnacji, Nakłady książek nie mogły przekroczyć magicznej granicy 100 mln egzemplarzy i wskaźnik ich dostępności nie zmieniał się oscylując w granicach 2,5-3,0 na mieszkańca. Jedynymi typami książek, które wykazywały wzrost, były podręczniki (choć wciąż ich brakowało) oraz broszury, z reguły propagandowe. Dopiero w drugiej połowie lat 60. zahamowano spadek liczby tytułów i nakładów literatury pięknej (rodzimej i tłumaczonej). W polityce tłumaczeń utrzymały się zmiany, które zaszły po 1956 r. Charakterystyczne jednak, że w obcej literaturze dziecięcej faktyczny monopol miały tłumaczenia pozycji radzieckich (w 1965 r. 1 mln egzemplarzy na 1,2 mln wydanych), choć w literaturze pięknej pozycje radzieckie (łącznie z klasyk rosyjską) i amerykańskie szły nieomal "łeb w łeb" (w tymże 1965 r. po ok. 750 tys. egzemplarzy). Powoli, ale systematycznie rosła sieć bibliotek, szczególnie na wsi i w małych miasteczkach, w pewnym stopniu rekompensując stagnację nakładów. Centralny budżet kultury kierował się wytrwale politycznymi intencjami - np. w 1965 r. 40% dotacji Ministerstwa Kultury i Sztuki przeznaczonych dla organizacji społecznych otrzymywało Towarzystwo

Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

Powoli przybywało kin, nastąpiło jednak, dosyć typowe dla tej fazy rozwoju kultury masowej, załamanie się frekwencji. Coraz potężniejszą konkurencją stawała się telewizja. Po gwałtownym ożywieniu i wydatnym zróżnicowaniu repertuaru w latach 1956-1958, nastąpiła stagnacja, a nawet spadek liczby filmów importowanych. Trwałym elementem była utrzymująca się pozycja filmów radzieckich i wyprodukowanych przez "bratnie" kinematografie: w 1965 r. ponad 1/4 wyświetlanych filmów pochodziła z ZSRR i niemal tyle samo było filmów amerykańskich, francuskich, brytyjskich i włoskich łącznie. Faktycznie nie zmieniała się liczba teatrów, oper czy orkiestr symfonicznych. Podobnie było z frekwencją (z wyjątkiem filharmonii, na co najwyraźniej wpłynęła Warszawska Jesień zainaugurowana w 1957 r.), co było najprawdopodobniej efektem upowszechniania się telewizji, która w tym wstępnym dla siebie okresie szukała dopiero własnych środków wyrazu powielając spektakle teatralne. Repertuar teatralny był znacznie bardziej zróżnicowany niż kinowy, z oczywistą przewagą sztuk polskich, wśród których ponad połowę stanowiły sztuki współczesne. Sztuki radzieckie i z krajów socjalistycznych praktycznie zniknęły ze scen.

W porównaniu z poprzednim okresem zmienił się zasadniczo model kultury popularnej, aczkolwiek wyraźna była pewna ambiwalencja w działaniach instytucji państwowych. Władze administracyjne wspierały niektóre formy królujące w latach 1949-1955 (np. zespoły folklorystyczne), ale nie podejmowano działań mogących uniemożliwić przenikanie wzorów tzw. kultury młodzieżowej, ideologicznie co najmniej podejrzanej. W repertuarach muzycznych radia przewagę zdobywały melodie i piosenki powstające w kręgu kultury zachodniej, na których gorliwie wzorowały się rodzime kapele. Zapomniane zostały czasy, gdy jazz był formacją na pół konspiracyjną, ale niepokój - zwłaszcza kierownictwa PZPR - wzbudzał fakt, iż w latach 60. "socjalistyczne organizacje młodzieżowe" zamiast zachęcać do współzawodnictwa "w pracy i nauce" stawały się miejscem rozrywki (i to z reguły "burżuazyjnej"). Dla nich jednak był to istotny warunek zdobywania lub utrzymywania wpływów. Wycieczki (także zagraniczne), festiwale, zespoły muzyczne, teatrzyki i kabarety - nieraz dosyć szczodrze dotowane - przyciągały młodzież. Teksty piosenek czy skeczy bywały nieraz kontestacyjne, dążenie do wyjazdów "na Zachód" wielokrotnie silniejsze niż udział w wycieczkach nad Morze Czarne.

"Socjalistyczna kultura masowa" była więc zlepkiem rzeczywistych preferencji szerszej publiczności i nieśmiałych prób powstrzymywania napływu amerykańskich czy zachodnioeuropejskich wzorów. "Tata, kup mi dżinsy", śpiewała popularna Karin Stanek, i była to niejako propozycja pokolenia wobec władzy, która zdawała sobie sprawę, że "kosoworotka" nie jest wystarczająco atrakcyjną ofertą. Pragmatyczna chęć pozyskania młodzieży stawała nieraz w sprzeczności z ideowymi pryncypiami, które nie dawały się obronić przypominaniem, że Beatlesi wywodzą się z biednych rodzin proletariackich ciemiężonych przez kapitalistów.

Niezbywalną częścią publicznych zachowań i spotkań pozostawały wszakże, odziedziczone po poprzednich latach, masowo obchodzone święta należące do dawnej, rewolucyjnej tradycji, ze Świętem 1 Maja na czele. Wiecom i pochodom, obowiązkowym z tej okazji, starano się nadać charakter spontaniczny, a radość zastępowała dawną bojowość. Mniej było symboli walki

- a nawet pracy - więcej kwiatów i baloników, a nieraz brakowało nawet czerwonych krawatów. Na popołudniowych festynach i piknikach na równi z orkiestrami kolejarskimi czy strażackimi przygrywały rodzime zespoły usiłujące naśladować wielkie gwiazdy Zachodu. Z góry skazane były na klęskę wszelkie próby wyparcia wzorów napływających zza Łaby. Na listach najbardziej poczytnych pisarzy i tak królowali nieodmiennie Kraszewski z Sienkiewiczem.

Aczkolwiek kierownictwo PZPR kładło wyraźny - i publiczny - nacisk na preferowanie "socjalistycznych treści" także w kulturze wysokoartystycznej, a od 1957 r. ujawniał się - coraz ostrzejszy - dysonans między sporą częścią elit intelektualnych i twórczych a władzami, co najmniej do drugiej połowy lat 60. kultura polska była płodna i oryginalna. Powstało wiele dzieł o dużych wartościach, odgrywających niejednokrotnie także rolę polityczną, gdyż ograniczenia cenzorskie, przeciwko którym buntowali się pisarze czy reżyserzy, były i tak niczym wobec monopolu PZPR w dziedzinie ideologii.

Chwile świetności, także pod względem zainteresowania szerszej publiczności, przeżywała kinematografia, a pojęcie "polska szkoła" było odwrotnością tradycyjnej "polnische Wirtschaft". Filmy Andrzeja Wajdy (Kanał - 1957 r., Popiół i diament - 1958 r., Lotna - 1959 r., Popioły - 1965 r.) czy Andrzeja Munka (Eroica - 1958 r., Zezowate szczęście - 1960 r., nie dokończona Pasażerka - 1963 r.) nadawały ton, ale wnet przyszła seria dzieł twórców młodszej generacji, debiutujących już po 1956 r. (Roman Polański, Nóż w wodzie - 1962 r., Jerzy Skolimowski Walkower i Rysopis - 1965 r.). Ukazały się pierwsze wielkie produkcje - Krzyżacy Aleksandra Forda (1960 r.) i Faraon Jerzego Kawalerowicza (1966 r.). Specyficznym nurtem, któremu bliższy był Polański niż Wajda, płynęła filmowa twórczość Tadeusza Konwickiego rozpoczęta Ostatnim dniem lata (1957 r.). Cenione przez publiczność i krytykę były filmy Wojciecha Hasa (od egzystencjalnej i "czarnej" Pętli po sentymentalne Pożegnania - oba w 1958 r.).

Aczkolwiek cenzura utrudniała lub uniemożliwiała realizację wielu poważnych pomysłów, także pokolenie lat 60. zdołało się przez nią przebić tak znaczącymi pozycjami jak Struktura kryształu Krzysztofa Zanussiego (1970 r.) czy komedią Marka Piwowskiego Rejs (1970 r.), w której publiczność z łatwością odczytywała parabole między utykającym na mieliźnie statkiem pełnym pijanych wczasowiczów a polską rzeczywistością. Nie brakowało idoli, a najgłośniejszym był Zbigniew Cybulski - trochę "polski James Dean", trochę zaplątany w akowską przeszłość nadwiślański Hamlet. Jego śmierć w wypadku kolejowym, w styczniu 1967 r., nadała jego postaci nieomal symbolicznego znaczenia: ginął miotany niemożnością polski inteligent, nadchodził czas twardych ludzi.

Przedstawiano ich, jako przeciwieństwo "antybohaterszczyzny" Munka czy Wajdy, w filmach inspirowanych przez środowiska "partyzantów". W 1966 r. jedne z najbardziej prestiżowych nagród otrzymały: film Jerzego Passendorfera Barwy walki oraz niezwykle popularny serial Stawka większa niż życie, w którym polski wywiadowca - pracujący najwyraźniej jako agent Gławnowo Razwiditielnowo Uprawlienija (GRU) Armii Czerwonej - toczył, jak to zwykle bywa w serialach, zwycięskie boje z całą potęgą III Rzeszy. Rok później nagrodzony został, nie mniej oglądany, serial Czterej pancerni i pies - wedle scenariusza Janusza Przymanowskiego - przygodowy spektakl

poświęcony przyjaźni polsko-radzieckiej. Postaci porucznika Hansa Klossa i załogi niestrudzenie rwącego na Berlin czołgu nr 102 (w tym "radzieckiego" psa Szarika) stały się czołowymi postaciami tak oczekiwanej "socjalistycznej kultury masowej": dzielni młodzi ludzie nie kłaniali się kulom, nie targały nimi żadne wątpliwości i z poświęceniem walczyli o "naszą i waszą" wolność. W dodatku pod "słusznymi" sztandarami.

Lata popaździernikowe przyniosły interesujące, a nawet ważne, wydarzenia na terenie literatury, która obronną ręką wyszła z krótkiego - acz intensywnego - okresu socrealistycznej "urawniłowki": Opóźniony debiut Zbigniewa Herberta (Struna światła - 1956 r.); okazał się początkiem całego ciągu refleksyjnych wypowiedzi poetyckich, a tom esejów Barbarzyńca w ogrodzie (1962 r.) - jednym z ważniejszych głosów w polskiej kulturze XX-wiecznej na temat wielkich tradycji cywilizacji europejskiej. W pewnym sensie przeciwieństwem twórczości przyszłego kreatora postaci "pana Cogito" był Miron Białoszewski ze swą wielką intuicją językową, ale i odwagą cywilną, którą udowodnił Pamiętnikiem z powstania warszawskiego (1970 r.) pisanym na przekór utrwalonym - i gorliwie popieranym przez wpływowe wówczas siły - stereotypom.

Ważkim głosem w poetyckich sporach były wystąpienia twórców pokolenia '56, czyli grupy skupionej wokół dwutygodnika "Współczesność", która, zwłaszcza wyraźnie w latach 1958-1961, gromadziła "młodych gniewnych" (Stanisław Grochowiak, Bohdan Drozdowski, Ernest Bryll, Marek Nowakowski, Ireneusz Iredyński). Były to także dobre lata dla Tadeusza Konwickiego (Dziura w niebie - 1959 r., Sennik współczesny - 1963 r., Wniebowstąpienie

- 1967 r.). Objawił się talent Władysława Terleckiego, który penetrował "duszne" zakamarki spiskowców i zdrajców (Spisek - 1966 r., Dwie głowy ptaka - 1970 r.). Osobne miejsce zdobył Stanisław Lem, który rozpoczął wielki podbój światowego science fiction (Dzienniki gwiazdowe - 1957 r., Solaris - 1961 r., a także wkroczył na teren futurologicznego eseju (Summa technologiae - 1964 r., Filozofia przypadku - 1968 r.). Jedne z najlepszych swoich wierszy pisał wówczas - powolny władzom - Jarosław Iwaszkiewicz (Tatarak - 1960 r.), który wydał także swoje prozatorskie opus magnum - Sławę i chwałę (1956-1962). Jerzy Andrzejewski przedstawił finezyjnie napisaną przypowieść Bramy raju (1960 r.). Na nostalgią nasycone tereny galicyjskich shtetli wkroczył Julian Stryjkowski (Austeria - 1966 r.). Zdążyło zadebiutować "pokolenie '68" - Stanisław Barańczak Jednym tchem (1970 r.) - które miało kłaść podwaliny pod niezależne wydawnictwa w następnej dekadzie. Głośnym echem odbijały się misterne powieści Teodora Parnickiego (Nowa baśń - 1962-1970, Zabij Kleopatrę - 1968 r.), który dopiero w 1967 r. zdecydował się wrócić na stałe do kraju. Wielokrotnie wznawiane były - i chętnie tłumaczone - niezrównane fraszki Stanisława Leca (Myśli nieuczesane - 1957 r.). W pełni rozkwitał wielki talent Tadeusza Różewicza (Rozmowa z księciem - 1960 r., Nic w płaszczu Prospera - 1962 r.), który oddał go jednak przede wszystkim dramaturgii. Dzięki jego Kartotece (1960 r.), Naszej małej stabilizacji (1964 r.), Aktowi przerywanemu (1970 r.), a także wielkiej serii Sławomira Mrożka - Policja (1958 r.), Indyk (1960 r.), Śmierć porucznika (1963 r.), a nade wszystko Tango (1964 r.) - polskie teatry miały co grać, a publiczność, co oglądać. Furorę robił Roman Bratny dwutomową powieścią Kolumbowie. Rocznik 20 (1957

r.), która "pełniła obowiązki" akowskiej epopei. A przecież były jeszcze - wnoszące wyraźne aluzje polityczne - powieści Jacka Bocheńskiego (Boski Juliusz-1961 r., Nazo poeta - 1969 r.), felietony Kazimierza Brandysa (Listy do pani Z.) czy Stanisława Dygata.

W pobliżu literatury znalazła się, obfita i nader interesująca, "historia dla ludu" - wspaniała seria Pawła Jasienicy Polska Piastów (1960 r.), Polska Jagiellonów (1963 r.), Rzeczpospolita Obojga Narodów (1967 r.). Swoją przygodę z historią rozpoczął Marian Brandys dokumentalną epopeją Kozietulski i inni (1967 r.). Ukazywały się książki Stanisława Cata-Mackiewicza (Był bal - 1961 r., Europa in flagranti - 1965 r.) i największego polskiego gawędziarza XX wieku Melchiora Wańkowicza. Jeśli dodać do tego ożywione, pewnie dlatego, że mocno polityką podszyte, spory krytyków (Andrzeja Kijowskiego, Ludwika Flaszena, Jana Błońskiego czy Artura Sandauera), renesans wielkiego Witkacego (Dramaty - 1962 r.), przypomnienie Juliusza Kadena-Bandrowskiego, obecność Antoniego Słonimskiego czy Juliana Przybosia, wielką karierę Szkiców o Szekspirze (1961 r.) Jana Kotta, otrzymamy obraz tętniącego i urozmaiconego życia literackiego. Kontrowersje między ludźmi kultury częściej, jak się wydaje, miały za tło poglądy i postawy wobec życia publicznego niż poglądy estetyczne, choć w literaturze polskiej obecni byli także pisarze lansujący wzory z pogranicza grafomanii i politycznej usługowości. Takim był m.in. Władysław Machejek, którego prozę (Partyzant sługa a boży - 1970 r. czy Wypiękniałaś w lesie - 1964 r.), często prymitywną, a nawet prostacką, przeciwstawiłem w tytule tego rozdziału poezji Herberta. Takie były rozpiętości, w które Zenon Kliszko, "numer 2" w PZPR, usiłował wplątać Cypriana Norwida - jego gęsta, filozoficzna poezja miała być (nie wiedzieć, w jaki sposób) w intencji jej promotora przeciwwagą dla liberalnych kontestatorów. Wśród wyrzekania na cenzurę, która nieraz śmiało sobie poczynała, nie cierpiała też publiczność teatralna. Regularnie docierały na polskie sceny ważne dramaty współczesne, wystawiane przez czołowych reżyserów - inscenizacje "Kariery Artura VI" Bertolda Brechta (1962 r.), z wielką rolą Tadeusza Łomnickiego, seria dzieł Friedricha D□rren-matta (specjalność reżyserska Ludwika Renż%ş), słynne Czarownice z Salem Arthura Millera, Dwoje na huśtawce Williama Gibsona wystawione przez Wajdę z Cybulskim i Elżbietą Kępińską. Nie zabrakło klasycznej prowokacji, gdy amatorski teatr studenckiego klubu "Stodoła" wystawił (1959 r.) Króla Ubu Alfreda Jarry'ego, którego akcja dzieje się "w Polsce czyli nigdzie". Wielką kreację w Ryszardzie III Williama Szekspira stworzył (1960 r.) Jacek Woszczerowicz. Kazimierz Dejmek z dużym powodzeniem sięgnął do starodawnych wzorów i tekstów w Żywocie Jozepha (1958 r.) i Historyi o Chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim (1961 r.). Konrad Swinarski, po terminowaniu u Brechta, wrócił ze świetnymi pomysłami i dał wielki pokaz reżyserski w Nie-Boskiej komedii Zygmunta Krasińskiego (1965 r.). Przez sceny całej Polski przetaczały się - wspomniane już - dzieła Różewicza i Mrożka, z ważkim przedstawieniem Tanga przygotowanym przez Erwina Axera w 1965 r. W 1962 r. pierwszy znaczący spektakl przygotował Jerzy Grotowski (Akropolis), otwierając jedną z najbardziej oryginalnych dróg w polskim - a wnet i światowym - teatrze. Rozgłosem, w którym niemałą rolę odegrały konteksty polityczne, cieszyły się obecne na scenach w krytycznych latach 1968-1969 sztuki Ernesta Brylla Rzecz listopadowa i Kurdesz.

To tylko fragment repertuaru i inscenizacji z tych lat, które przebijały się nieraz z trudem przez cenzurę i gusta "decydentów". Wygaszano wielkie zainteresowanie twórczością Witolda Gombrowicza, kłopoty miewały inscenizacje Kafki, zdejmowano z afisza Witkacego, z wielkiego repertuaru romantycznego wstrzymano m.in. Księdza Marka Juliusza Słowackiego. W grudniu 1957 r. zakazano wystawienia Nie-Boskiej, jednego z największych dzieł polskiej kultury. Nie miały łatwego żywota dramaty Wyspiańskiego.

Osobne miejsca zajęła muzyka symfoniczna, która w nietkniętym jakby stanie przetrwała lata socrealizmu. Rok 1959 przyniósł początek wielkiej twórczości Krzysztofa Pendereckiego (Psalmy Dawida - 1959 r., Tren - pamięci ofiar Hiroszimy - 1960 r., Stabat Mater - 1962 r.), która znalazła się w światowym repertuarze. Polscy soliści, dyrygenci i orkiestry chętnie przyjmowani byli za granicą, polscy kompozytorzy wykonywali zlecenia dla obcych mecenasów. Konkursy chopinowskie cieszyły się światową renomą, a w obrębie muzyki współczesnej mocną pozycję zdobyła Warszawska Jesień. Nie tak wybitne były międzynarodowe osiągnięcia plastyki, ale panowała duża różnorodność i swoboda. Administracja nie afiszowała się z preferowaniem nurtu "realistycznego", który w połowie lat 60. zaczynał być coraz wyraźniej obecny.

Rok 1970 nie stanowi w istocie wyraźniejszej cezury w dziejach kultury wysokoartystycznej, niemniej "epoka Gomułki" miała swoją specyfikę i wiele w niej było ambiwalencji. Z jednej strony odrzucane z powodów politycznych maszynopisy, a nawet rozsypywanie gotowych składów książek, filmy odkładane na półki i schowane pod sukno scenariusze, sztuki zdejmowane z afisza na polecenie urzędników, zakazy publikowania niektórych pisarzy lub wystawiania ich dzieł. Z drugiej niemała porcja świetnej poezji, interesujących powieści, wielkich kreacji i inscenizacji, spora lista wybitnych filmów. Z jednej strony opuszczenie kraju przez uznanych twórców (Marek Hłasko, Aleksander Wat, Leopold Tyrmand, Sławomir Mrożek). Z drugiej znaczące powroty "na ojczyzny łono" (Michał Choromański, Zofia Kossak-Szczucka, Melchior Wańkowicz, Teodor Parnicki, Maria Kuncewiczowa). Z jednej uporczywe nawiązanie do wielkiej rodzimej i europejskiej tradycji. Z drugiej prymitywna - co nie znaczy, iż niepopularna czy nieskuteczna - sztuka propagandowa, nieraz mocno nasycona wulgarnym szowinizmem (jak w teatrze "eReF" Ryszarda Filipskiego). Gdzież wszakże jest powiedziane, że twórcy mają mieć lekkie życie i szczodrych, a nie wymagających mecenasów?

Krwawy finał

Jakkolwiek Gomułce w znacznym stopniu udało się powstrzymać napór ze strony zwolenników zmian personalnych, odbyty w listopadzie 1968 r. V Zjazd PZPR usankcjonował napływ do kierownictwa nowej generacji. Głównymi beneficjentami byli wszakże nie "partyzanci" - których obawiał się nie tylko I sekretarz, ale najwyraźniej także i rosnący w siłę Gierek - lecz ludzie "pokolenia ZMP": Stanisław Kociołek, Józef Tejchma, Jan Szydlak, Stefan Olszowski. Dynamiczni i ambitni mieli dosyć duże poparcie w średnim i niższym aparacie partyjnym, a prezentując się - podobnie jak Gierek - jako pragmatycy i "modernizatorzy" mogli liczyć na środowiska związane z

gospodarką, dla których jednym z ośrodków opiniotwórczych był tygodnik "Polityka" lansujący wówczas "socjalizm menedżerski".

Po gorącym roku 1968 życie publiczne kraju powracało do dawnej "gomułkowskiej" normy, a wybory do Sejmu (1 czerwca 1969 r.) nie przyniosły żadnych niespodzianek ani co do frekwencji (97,6%), ani procentu głosów wiernie oddanych na listy FJN (92,2). Warto jednak odnotować, że "wskaźniki" te były w Polsce zdecydowanie niższe niż w innych państwach komunistycznych. Zelżał nacisk na Kościół, wyciszono też tak natarczywą propagandę "antysyjonistyczną" i nie ekscytowano publiczności procesami uczestników marcowej rewolty. Z repertuaru "partyzantów" do wspieranego oficjalnie obiegu publicystycznego - i naukowego - trafiły tendencje do częściowej rehabilitacji II Rzeczpospolitej, choć starano się utrzymać historiografię w obrębie "klasowej interpretacji" dziejów najnowszych. Większość promowanych na miejsca opróżnione w wyniku marcowej czystki bez trudu dostosowała się do zachęt "spokojnej i wytężonej pracy", choć nie brakowało w wypowiedziach i zachowaniach akcentów triumfalistycznych. Dla czołówki "młodych" był to okres przejściowy po skoku z lat 1967-1968.

Nastroje społeczne, po emocjach z wiosny i lata 1968 r., wydawały się być uspokojone, ale w środowiskach aktywnej młodzieży wciąż nurtowały nowe pomysły. Wiosną 1969 r. aresztowano grupę zajmującą się przygotowywaniem materiałów dla paryskiej "Kultury" oraz kolportażem wydawnictw Jerzego Giedroycia w kraju. Była to pierwsza próba stworzenia regularnej siatki. De facto także pierwsza od wielu lat inicjatywa tak ścisłego powiązania kraju z emigracją. Aczkolwiek istniało już grono osób, które zasilało paryski miesięcznik - najbardziej aktywny był chyba Stefan Kisielewski, który nie tylko wydał (jako Tomasz Staliński) powieść Widziane z góry, ale także przekazał teksty bliskiego ongiś współpracownika Gomułki, Władysława Bieńkowskiego (Motory i hamulce socjalizmu opublikowane w 1969 r.) - a z Maison-Laffitte docierały wcale liczne egzemplarze książek i "Kultury".

Odmienne korzenie, choć tu wydarzenia marcowe nie były bez wpływu, miało środowisko, które jeszcze w latach 1966-1967 stworzyło organizację o enigmatycznej nazwie "Ruch". W odróżnieniu od innych, wcale licznych, organizacji konspiracyjnych, których większość miała po prostu sztubacki charakter, "Ruch" nie tylko istniał przez kilka lat, ale wypracował własną koncepcję programową i świadomie nawiązywał do konspiracji niepodległościowej z lat 1945-1947 (jednym z jego założycieli był Marian Gołębiowski, skazany w procesie WiN w styczniu 1947 r.). Na czele organizacji stali Stefan Niesiołowski, Andrzej Czuma i Emil Morgiewicz. "Ruch" wydawał nieregularny biuletyn i zgromadził kilkadziesiąt osób. Wzorując się na tradycji niepodległościowych konspiracji z początku XX w., za jedną z form działania uznano "eksy". Czasy i warunki były wszakże inne i nikomu nie przychodziły do głowy uzbrojone bojówki czy napady na pociągi - chodziło o zdobywanie powielaczy i maszyn do pisania. Wiosną 1970 r. w trakcie hucznie obchodzonej setnej rocznicy urodzin Wielkiego; Lenina, "Ruch" postanowił wysadzić w powietrze poroniński pomnik wodza rewolucji bolszewickiej. 20 czerwca 1970 r., w dzień planowa. nego wyjazdu na miejsce akcji, SB aresztowała 8 osób, a w ciągu następnych tygodni nieomal całe środowisko znalazło się w aresz tach śledczych. Procesy zaczęły się rok później, objęły łącznie ok. 20 osób, a wyroki dochodziły do 7 lat więzienia.

W ciągu pierwszych dziesięciu miesięcy 1970 r. MSW zarejestrowało ukazanie się 5 tys. egzemplarzy ulotek, 770 napisów i 766 anonimów o treści antypaństwowej, "ustalono" kilkuset autorów i skazano I ponad 20 osób. Wykryto także - poza "Ruchem" - kilka innych nielegalnych organizacji. "Ruch" nie był więc jedyny, ale wyróżniał się nie tyle przez próby podejmowania "akcji czynnej", ale przez nietypowy dla istniejących po 1947 r. konspiracji poziom politycznej, świadomości i umiejętność sprecyzowania jej w formie deklaracji: Przyjęta została w styczniu 1969 r. i znana jest pod nazwą pochodzącą od rozpoczynających ją słów - "Mijają lata". Pod wieloma względami nawiązywała ona wprost do myśli politycznej opozycji - jawnej i konspiracyjnej - z lat 1945-1947, silnie akcentując wątek niepodległościowy i antytotalitarny, związki z innymi narodami Europy Środkowo-Wschodniej ("dzielącymi z nami w tej chwili wspólny los"), akceptując przebudowę społeczno-gospodarczą, podkreślając wymóg równości i sprawiedliwości społecznej.

Wszystko to jednak odbywało się "pod powierzchnią" i szersza opinia dowiadywała się o działalności opozycyjnej wyłącznie z okazji procesów lub z audycji RWE. Miała ona znaczenie dla samych uczestników, a także jako - nieomal tylko symboliczne - potwierdzenie braku zgody na system. Służba Bezpieczeństwa była wystarczającą zaporą i nie z tej strony powstawało rzeczywiste zagrożenie dla pozycji Gomułki. Tu jednak tkwiły zalążki zagrożenia dla systemu jako takiego.

Los Gomułki rozstrzygnął się w ciągu niespełna tygodnia. 30 października 1970 r., po dłuższych przygotowaniach, Biuro Polityczne podjęło decyzję o wprowadzeniu podwyżki cen na większość artykułów żywnościowych. 16 listopada ta sama instancja ustaliła tryb politycznych przygotowań do podwyżki, która miała wejść w życie z dniem 13 grudnia. Rozpoczęto też inne, bynajmniej nie polityczne przygotowania. 8 grudnia minister obrony narodowej wydał rozkaz "w sprawie zasad współdziałania MON i MSW w zakresie zwalczania wrogiej działalności, ochrony porządku i bezpieczeństwa publicznego oraz przygotowań obronnych". 9 grudnia przygotowania rozpoczęło MSW powołując osobny sztab (z gen. Tadeuszem Pietrzakiem), który następnego dnia przyjął plan akcji "Jesień", a 11 grudnia wszystkie jednostki MSW postawiono w stan pełnej gotowości. Tegoż dnia Biuro Polityczne zaakceptowało treść listu do organizacji partyjnych, a od rana 12 grudnia rozpoczęła się koncentracja ZOMO, ROMO, ORMO, elewów szkół MO i SB oraz specjalnych grup operacyjnych MO.

W odróżnieniu od podwyżek z lat 60, ta przypominała ostatnią wielką "regulację cen" z epoki stalinowskiej (3 stycznia 1953 r.), gdyż obejmowała większość artykułów żywnościowych. Ceny podniesiono o 13-30% (w tym mięsa o 17%), a rekompensaty nie przekraczały - dla rodzin wielodzietnych - 5-10% dochodów. W "handlową", przedświąteczną niedzielę nastąpiła pierwsza konfrontacja zawartości portfeli z nowymi wywieszkami na półkach sklepowych. Wzburzenie było powszechne, ale reakcja nastąpiła tylko w jednym miejscu. Rankiem 14 grudnia nie podjęli pracy robotnicy wydziałów S-3 i S-4 Stoczni Gdańskiej im. W. I. Lenina. Szybko przyłączały się kolejne wydziały i plac przed budynkiem dyrekcji zapełnił się wiecującymi. Ok. godz. #11#/00 parotysięczny tłum wyszedł ze stoczni i skierował się pod gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR. W tym czasie na odbywającym się w Warszawie plenarnym posiedzeniu KC obecni zapoznawali się z referatem

"Sytuacja ekonomiczna w kraju i węzłowe zadania polityki gospodarczej w 1971 r." Ok. godz. #13#/00 dotarły wiadomości o strajkach i manifestacji w Gdańsku. Do Gdańska wyjechali wicepremier Kociołek i wiceminister spraw wewnętrznych gen. Henryk Słabczyk. Ok. godz. 16. doszło do pierwszych starć ulicznych. Burzliwe, ale nieagresywne manifestacje zamieniły się w zajścia: ani władze partyjne, ani administracja nie podjęły żadnych prób rozmów z wyłonioną naprędce reprezentacją strajkujących, Po południu w centrum Gdańska demonstrowało kilkanaście tysięcy osób, a działania sił porządkowych stawały się coraz bardziej brutalne. Rozpraszanie tłumu trwało do późnych godzin nocnych, setki osób zostało pobitych i zatrzymanych, rozległy się pierwsze strzały, płonęły samochody i kioski z gazetami. W Gdańsku zjawił się już cały sztab polityczno-milicyjno-wojskowy: Zenon Kliszko, przewodniczący CRZZ i członek Biura Politycznego Ignacy Loga-Sowiński, wiceminister obrony narodowej i zaufany Gomułki gen. Grzegorz Korczyński, "nieoficjalnie" przybył też wiceminister spraw wewnętrznych Franciszek Szlachcic. Gorączkowo ściągano do Trójmiasta jednostki milicyjne, zarządzono stan podwyższonej gotowości bojowej lokalnych jednostek wojskowych, a oddziały wojsk wewnętrznych weszły już do akcji.

Od rana 15 grudnia strajk obejmował kolejne przedsiębiorstwa - port, Stocznię Remontową i Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego, stanęła też Stocznia im. Komuny Paryskiej w Gdyni, zaczął się strajk w elbląskim Zamechu. Trwały wiece i masówki, wyłaniano naprędce komitety. W Gdańsku o godz. 8. płonął gmach KW, a do jego odblokowania użyto wojska. Padły strzały i pierwsza; śmiertelna ofiara. Tymczasem w gmachu KC, pod przewodnictwem; Gomułki, obradował najwyższy sztab kryzysowy. I sekretarz, przewodniczący Rady Państwa (Spychalski), premier (Cyrankiewicz), minister spraw wewnętrznych (Świtała), minister obrony narodowej (Jaruzelski), Komendant Główny MO (Pietrzak), kierownik Wydziału Administracyjnego KC (Stanisław Kania) oraz trzech sekretarzy KC (w tym Moczar). Po krótkiej dyskusji Gomułka podjął decyzją o zezwoleniu na użycie broni. Przekazana telefonicznie, potwierdzona została zarządzeniem (nr 108ż8§70) MSW i formalnie weszła w życie o godz. #12#/00.

Do akcji wkraczały stopniowo kolejne jednostki wojskowe - pancerne i zmotoryzowane - z Elbląga, Koszalina i Słupska. Poza Pomorskim Okręgiem Wojskowym, którego jednostki wyszły już z koszar, odprawy odbyły się w dowództwie obu pozostałych okręgów. Ok. godz. 14, zadecydowano o powołaniu Sztabu Lokalnego w Gdańsku (szef - Korczyński) i wysłano tam szefa Sztabu Generalnego WP gen. Bolesława Chochę. W ten sposób na miejscu była 1/4 liczby członków Biura Politycznego, trzech wiceministrów i szef SG. Armia przygotowywała się do wejścia do dużych miast - Gomułka nie bagatelizował sprawy. Przeciwnie: uznał, iż strajki i gwałtowne manifestacje to kontrrewolucja. A wiadomo, choćby z dzieł Lenina, jak należy postępować wobec kontrrewolucji. W logice jego politycznego myślenia każdy protest w systemie komunistycznym byt takim aktem, a jeśli w październiku 1956 r. uznał, iż strajk poznański był "słusznym protestem klasy robotniczej", to zapewne dlatego, iż to nie on stał wówczas na czele państwa.

Do późnych godzin popołudniowych trwały starcia, padały strzały, płonęły budynki. Od godz. #18#/00 na ulicach stanęły kolumny pancerne. Robotnicy proklamowali strajk okupacyjny, a MO i wojsko zablokowało stocznie i porty.

W nocy z 15 na 16 aresztowano kilkunastoosobowy komitet strajkowy w Gdyni, gdzie dotychczas nie dochodziło - m.in. dzięki istnieniu tej reprezentacji - do poważniejszych zamieszek. Cały dzień 16 grudnia trwały demonstracje w Gdańsku, ale kordon wojskowy - otwierając ogień pod bramą nr 2 - nie wypuścił stoczniowców na ulice. Starcia miały też miejsce w Elblągu. Zaczęły się strajki w Słupsku. Fala rozlewała się na całe Wybrzeże.

17 grudnia rano doszło do masakry w Gdyni: gdy robotnicy z rannej zmiany dotarli pod zablokowaną stocznię, wojsko oddało serię salw. Tego dnia zastrajkowały stocznie w Szczecinie i rozpoczęły się tam - trwające dwa dni

- manifestacje uliczne takie same jak poprzednio w Gdańsku. Jednostki warszawskiego i śląskiego OW zaczęły przegrupowania w stronę Wrocławia, Krakowa, Warszawy. Trwały zamieszki w Elblągu, Gdyni i Słupsku. Po południu do Gomułki zadzwonił Breżniew, który stwierdził, iż kierownictwo na Kremlu "bardzo się niepokoi", a nawet "spać nie mogli całą noc". Szef PZPR zapewnił, że porządek zostanie zaprowadzony, gdyby zaś zaszła potrzeba "zwrócimy się oczywiście o pomoc". Wieczorem wystąpił w telewizji premier. Była to pierwsza oficjalna wypowiedź na temat strajków, która w tonie i konkluzjach przypominała radiowe przemówienie tegoż Cyrankiewicza po rewolcie poznańskiej, kiedy groził, obcinaniem rąk".

Wedle napływających do gmachu KC informacji przerwy w pracy i improwizowane wiece notowano w ok. 100 fabrykach na terenie 7 województw. W kilku miastach - Białymstoku, Wałbrzychu, Nowej Hucie - podejmowano próby demonstracji ulicznych. Do 18 grudnia zabitych było co najmniej 41 osób (z tego w Gdyni 17, a w Szczecinie 15), ponad 1 tys. rannych (400 w szpitalach), ok. 3,2 tys. zatrzymanych (2/3 z nich stanowili robotnicy, a 13% uczniowie), w większości bestialsko bitych na komisariatach i w aresztach ("ścieżki zdrowia"). Na ulicach sytuacja była już opanowana - w czym uczestniczyły około pięciotysięczne siły MO, a na samym tylko Wybrzeżu ok. 27 tys. żołnierzy (550 czołgów, 750 transporterów opancerzonych, ok. 100 samolotów i śmigłowców) - ale w całym kraju panowało wzburzenie i niepokój. Coraz szerzej napływały dramatyczne wiadomości o skali wydarzeń na Wybrzeżu, mnożyły się ulotki i napisy. W stoczni szczecińskiej załoga trwała w strajku okupacyjnym.

Nie później niż 17 grudnia zaczęła się druga, "gabinetowa" faza kryzysu. Być może impulsem dla niej było pojawienie się tego dnia wicepremiera Piotra Jaroszewicza, który wrócił z Moskwy, gdzie przez dwa dni toczyły się obrady RWPG. Przed odlotem Jaroszewicz odbył "na osobności" rozmowę o sprawach polskich z premierem Aleksiejem Kosyginem. Co najmniej kilku różnych wysoko postawionych działaczy odbywało gorączkowe debaty o niezbędnych rozwiązaniach, a ściślej rzecz biorąc - odsunięciu Gomułki. Ruch taki byłby z pewnością skuteczny jako zabieg socjotechniczny wobec zaniepokojonego społeczeństwa, pozwalał - wedle znanej już recepty - obarczyć winą za "błędy i wypaczenia" parę osób z kierownictwa, a zarazem otwierał drogę do nowych awansów, którą Gomułka częściowo zatarasował wiosną i latem 1968 r.

Spotykano się w różnych konfiguracjach i kancelariach, o czym - jak się wydaje - Gomułka nic nie wiedział, coraz bardziej izolowany (czy izolujący się) w swoim gabinecie. Czuł się coraz gorzej i zamykał się w uporze, aby nie ustąpić wobec tego, co opisał kilka miesięcy później jako "rozpasany

anarchizm, dziką samowolę, pogardę dla prawa i praworządności". 18 grudnia podjął decyzję o podwyżce uposażeń MO i WP. Tego dnia spotykali się m.in. Tejchma z Kanią, Kania z Jaruzelskim, Jaruzelski z Moczarem. Po południu przyleciał z Gdańska Szlachcic, który miał już za sobą rozmowę telefoniczną z przebywającym w Katowicach Gierkiem. Wieczorem spotkał się z Kanią i Babiuchem w gabinecie Jaruzelskiego. W nocy, w towarzystwie Kani, pojechał na Śląsk, gdzie czekał uprzedzony o wizycie Gierek. Karty były rozdane. I właściwie mogły być wyłożone, gdyż tego samego dnia późnym wieczorem dotarł - do rąk Cyrankiewicza - list z Kremla. Breżniew stwierdzał w nim, że rozwiązania kryzysu "nie sposób osiągnąć bez odpowiednich środków politycznych i ekonomicznych" i "jest rzeczą ważną", aby podjęte one zostały "możliwie szybko". Była to faktyczna dezawuacja stanowiska Gomułki i zachęta do zmian personalnych.

19 grudnia propozycję ustąpienia złożył Gomułce Józef Tejchma. Bohater z 1956 r. usiłował się jeszcze bronić - sugerując podwyżkę zasiłków rodzinnych i zawieszenie na 3 miesiące podwyżki cen większości gatunków mięsa i wędlin - ale towarzysze byli bezwzględni. Po parogodzinnych debatach Biura Politycznego, bez udziału Gomułki, postanowiono zwołać posiedzenie plenarne KC i na stanowisko I sekretarza zaproponować Edwarda Gierka. Była to propozycja trudna do odrzucenia. Nie pomogło straszenie przez Kliszkę, że "uruchomi się podziemie", że "Akowcy są dobrze przygotowani", ani obawy Jaszczuka, że usunięcie Gomułki będzie "wezwaniem do aktywizacji wroga".

Po 14 latach i 2 miesiącach sprawowania coraz bardziej osobistej władzy, Gomułka szedł na polityczną emeryturę. Istotniejsze jednak było, iż wstrząs spowodowany robotniczą rewoltą pozostawił nienaruszone struktury i zasady. To, co się stało, było w istocie przewrotem pałacowym, co nie znaczy, iż nie osłabiło systemu.

Rozdział VI.ă
Realny socjalizm: la belle epoaue

"Pomożecie?"

Zaskakujące dla opinii i obserwatorów usunięcie na VII Plenum KC PZPR (20 grudnia 1970 r.) Gomułki i kilku jego najbliższych współpracowników oraz pojawienie się na ekranach telewizorów nowego "Pierwszego" i jego przemówienie, w którym Gierek zapowiedział ujawnienie prawdy o wydarzeniach na Wybrzeżu i "rozpatrzenie w ciągu najbliższych dni przedsięwzięć zmierzających do poprawy położenia materialnego rodzin najniżej uposażonych", nie doprowadziły do natychmiastowego uspokojenia.

Do 22 grudnia trwał strajk w Szczecinie, który z trudem wygaszono. We wszystkich niemal zakładach pracy Wybrzeża odbywały się niezliczone zebrania, podczas których zgłaszano setki postulatów i skarg - od konieczności uregulowania różnych drobnych spraw natury technicznej, organizacyjnej i socjalnej, przez żądania przywrócenia dawnych cen aż po

ukaranie winnych użycia broni i odpowiedzialnych za politykę gospodarczą i społeczną w skali kraju. Nieomal wszędzie żądano uniezależnienia od PZPR i administracji związków zawodowych. Domagano się też rzeczowych opisów w środkach masowego przekazu zarówno przebiegu wydarzeń, jak i przedstawienia postulatów: "potrafimy się sami wytłumaczyć przed całym społeczeństwem, dajcie nam tylko możliwość głosu publicznego", mówił jeden z robotników gdańskich na zebraniu Wydziału S-3, tego, na którym rozpoczęła się fala strajkowa. W tym kontekście zdarzały się żądania ograniczenia - lub nawet likwidacji - cenzury.

Fala krytyki była potężna i w ciągu stycznia bynajmniej nie opadała. Pojawiały się głosy pełne desperacji: "Jest mi wszystko jedno - mówił pewien emeryt, związany zresztą z ruchem komunistycznym przed wojną - jak mam zdychać z głodu, ale powiem wszystko. Jutro możecie mnie zamknąć. Wszystkich nas nie zamkniecie". Winą za użycie broni i za kryzys obarczano niejednokrotnie całą partię: "Czy nie było więcej winnych w Biurze Politycznym niż 5 osób?" - pytano. W wielu wystąpieniach domagano się prawa do strajku, a zdarzały się nawet postulaty zapewnienia ("zgodnie z konstytucją") demokratycznych wyborów. Jakkolwiek żądania te i opinie wygłaszane i zgłaszane były w nieudolny nieraz sposób, mieszano sprawy ważne z drobnymi i dotyczącymi tylko małej komórki pracowniczej, stanowiły one zarazem "księgi skarg", jak i listy postulatów oraz oskarżeń pod adresem realnego socjalizmu. Gierek zdawał sobie sprawę z tego i 5 stycznia 1971 r. w rozmowie z Breżniewem zwracał uwagę, że "w tej chwili w kraju panuje spokój, ale [...] jest to spokój na beczce z prochem".

I rzeczywiście - w połowie stycznia znów zaczęła podnosić się fala strajkowa. 18 i 20 stycznia stanęła na kilka godzin komunikacja w Trójmieście. Krótsze lub dłuższe przerwy w pracy miały miejsce w dziesiątkach fabryk i przedsiębiorstw. 22 stycznia strajk rozpoczęła Stocznia Szczecińska protestując przeciwko fałszywej informacji tamtejszej prasy o podjęciu zobowiązania produkcyjnego (w połowie stycznia zobowiązania takie - dla "poparcia nowego kierownictwa" - masowo podejmowano na Śląsku). Następnego dnia strajkowały już 23 zakłady. Gdy sądzono, że fala uspokaja się i opada, 10 lutego wybuchł strajk w łódzkich Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Marchlewskiego, do którego wnet przyłączyło się 6 kolejnych fabryk włókienniczych. Po trzech dniach strajki objęły 32 zakłady "polskiego Manchesteru".

Nowa ekipa podejmowała najróżniejsze starania dla wygaszenia niepokojów. 30 grudnia 1970 r. ogłoszono decyzję o podniesieniu najniższych płac, emerytur i rent oraz zasiłków rodzinnych. Kierownictwa zakładów wypłacały premie, gwarantowały zwiększoną liczbę godzin nadliczbowych. Szacuje się, że ogólny wzrost płac wyniósł ok. 5%. 8 stycznia 1971 r. ogłoszono komunikat o zamrożeniu cen podstawowych artykułów spożywczych na dwa lata. Uzyskano w Moskwie ekstrakredyt dolarowy. Kontynuowano roszady na najwyższych stanowiskach. 31 grudnia odbyło się, szeroko reklamowane, spotkanie Gierka z pracownikami Huty "Warszawa". Najbardziej efektowne i usilnie propagowane były niespodziewane rozmowy Gierka i Jaroszewicza ze strajkującymi stoczniowcami Szczecina (24 stycznia) i w Gdańsku (25 stycznia). Zwłaszcza I sekretarz wypadał korzystnie - wysłuchiwał zarzutów i żądań, cierpliwie tłumaczył, obiecywał. Największym sukcesem zakończyło się spotkanie w Gdańsku, gdzie kończąc wystąpienie rzucił sali: "No więc

jak - pomożecie?" i usłyszał zgodną, acz mało entuzjastyczną, odpowiedź: "Pomożemy!". Ten fragment dialogu został podchwycony, utrwalony w propagandzie i stał się pierwszym zawołaniem rozpoczynającej się dekady.

26 stycznia, po entuzjastycznych zapowiedziach prasowych, zainaugurowano prace Obywatelskiego Komitetu Odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie. Kolejne posiedzenie KC PZPR (6-7 lutego) potępiło poprzednie kierownictwo i podjęło ponownie decyzje personalne, m.in. odszedł z Biura Politycznego i sekretariatu KC Stanisław Kociołek, a z Biura Politycznego Ignacy Loga-Sowiński. W prawach członka KC zawieszono Gomułkę, a usunięto z tej instancji Kliszkę i Jaszczuka. Zmieniona już była spora część ministrów i Rady Państwa - jej przewodniczącym został Cyrankiewicz, "żelazny Józef", nieustępliwie pełniący najwyższe funkcje rządowe od lutego 1947 r.

W znacznym stopniu tonujące były wypowiedzi i decyzje Kościoła. W informacji z 23 grudnia 1970 r. IV Departament MSW powiadamiał, że opinie zarówno prymasa, jak i biskupów są przychylne zmianom personalnym, a obserwacja przeprowadzona w okresie świąt w 1800 kościołach "celem ustalenia treści publicznych wystąpień biskupów i kleru" dała wynik dla władz pozytywny. Prymas odwołał, planowane na 27 grudnia, odczytanie w kościołach uchwalonego jeszcze we wrześniu "Głosu biskupów polskich w obronie zagrożonego życia narodu" (wyłamał się tylko biskup przemyski ks. Ignacy Tokarczuk). W kazaniu noworocznym prymas Wyszyński stwierdził: "Jestem przekonany, iż budzi się zrozumienie w naszym życiu społeczno-politycznym i nadzieja, że po bolesnych, krwawych doświadczeniach [...] pogłębiać się będzie zrozumienie znaczenia praw Bożych, ducha Ewangelii, ducha społecznej miłości i sprawiedliwości". Jednak dopiero ogłoszenie wieczorem 15 lutego cofnięcia grudniowej podwyżki cen - z utrzymaniem uzyskanych podwyżek płac i świadczeń oraz dwuletniego zamrożenia cen artykułów żywnościowych - uspokoiło ostatecznie nastroje i zakończyło trwającą dwa miesiące falę strajkową. Ale drastyczne (i w oczywisty sposób retoryczne) pytanie jednego z uczestników gdańskiego spotkania z Gierkiem. "Dlaczego każdą zmianę muszą robotnicy przypłacić krwią?" - pozostało bez odpowiedzi.

Strategia przyspieszonego rozwoju

Spośród niewielu możliwych ekipa Gierka wybrała wariant - będący logiczną konsekwencją tendencji rysujących się w postawach części partyjnej elity już od połowy lat 60. - unowocześnienia gospodarki, wzrostu konsumpcji, quasi-menedżerskiego stylu zarządzania przedsiębiorstwami ("socjalistyczni kapitanowie przemysłu"), otwarcia na technologie i rynki zachodnie, modernizacji rolnictwa. Tendencje te wiązano przede wszystkim z osobą samego Gierka, zarówno jako "gospodarza na Śląsku", jak i osoby znającej Europę Zachodnią, gdzie spędził lata młodości (górnik we Francji i Belgii). Podobne opinie, przeciwstawiające się "siermiężnemu socjalizmowi" Gomułki, nurtowały "młodych" aparatczyków. Platformą dla tego stylu myślenia był tygodnik "Polityka" i niektóre środowiska partyjnych intelektualistów pragnących "nowoczesnego socjalizmu" (wyraz temu dał m.in. Stefan Bratkowski w eseju Polski problem nr 1).

W ciągu tego lata 1971 r., gdy nastroje definitywnie uspokoiły się, przygotowane zostały wytyczne nowej strategii gospodarczej. Ich pierwszy zarys przyjęto 1 czerwca na wspólnym posiedzeniu Biura Politycznego i Prezydium Rządu. Założenia były bardzo ambitne, ale wydawały się realistyczne - na pięciolatkę 1971-1975 przewidziano wzrost dochodu narodowego o ok. 40%, produkcji przemysłowej o 50%, rolnej o 20%, a płacy

realnej o 18%. Dla ich wsparcia postanowiono podjąć reformę systemu ekonomiczno-finansowego w przemyśle, wprowadzając tzw. Wielkie Organizacje Gospodarcze (WOG), rodzaj państwowych koncernów wyposażonych w spore uprawnienia i samodzielność. Podjęto też decyzję o wejściu na zachodnie rynki kredytowe, co wobec panującej koniunktury było stosunkowo proste i skuteczne. Chodziło o kredyty zarówno inwestycyjne, jak i konsumpcyjne. Przewidziano też serię zachęt dla rolników. Cały ten pakiet zaczęto stosunkowo szybko wprowadzać w życie wykorzystując inwestycje zapoczątkowane w okresie gomułkowskim.

Jeszcze w 1971 r. ruszyła pierwsza wielka "fabryka domów", podpisano umowę licencyjną z Fiatem na produkcję samochodów małolitrażowych, zdecydowano o objęciu rolników świadczeniami społecznej służby zdrowia i przyjęto pakiet ustaw dotyczących rolnictwa. Z dniem 1 stycznia 1972 r. zniesione zostały dostawy obowiązkowe - przeżytek, którego początki sięgały jeszcze czasów "komunizmu. wojennego". Rozpoczęto serię inwestycji o charakterze robót publicznych - całkowitą modernizację szosy Warszawa-Katowice, budowę wielu obwodnic i tras przelotowych w miastach, nowoczesnego 9 dworca kolejowego w Warszawie, potężnego Portu Północnego w rejonie Gdańska. Rozbudowywano wielkie państwowe farmy hodowlane, nastawiając rolnictwo na produkcję mięsa, które uznane było - z punktu widzenia "porządku publicznego" - za produkt o najwyższym znaczeniu strategicznym. Rozwijano sieć sklepów dewizowych ("Pewex", "Baltona"), a zawartość ich półek stawała się oknem na konsumpcyjny świat. Symboliczne nieomal było zawarcie umowy licencyjnej z firmą "Coca-Cola" czy pojawienie się w kioskach papierosów "Marlboro". Tempo wzrostu było w istocie imponujące - dochód narodowy w latach 1972-1974 zwiększał się o ok. 10%, a produkcja przemysłowa o ok. 11% rocznie. W latach 1972-1973 produkcja rolna wzrosła o blisko 16%. Płace realne zwiększały się w tempie szybszym niż kiedykolwiek po wojnie (średnio o 7% rocznie). Wedle nie i, których szacunków cały fundusz konsumpcyjny (płace, świadczenia;. emerytury etc.) wzrósł w latach tej pięciolatki o ok. 51%. Wiele środowisk opanowała prawdziwa gorączka konsumpcyjna. Sprzyjały ter; mu różnego rodzaju ułatwienia w wyjazdach zagranicznych, z otwarciem granicy z NRD (od 1 lutego 1972 r.) na czele. "Druga Polska" której budowa stała się głównym zawołaniem propagandowym, wydawała się być w zasięgu ręki.

Gospodarka prosperowała, następowało ożywienie, wiele środowisk i grup społecznych odczuwało wyraźną poprawę. Uruchamiane były, płytkie, ale wszakże realne, rezerwy z lat poprzednich, podpisywano kolejne umowy finansowe i kooperacyjne z firmami zachodnimi. Dostojnicy partyjno-państwowi mieli nieustanne nieomal kontakty ze światem, przy czym głównym kierunkiem stał się Zachód, a amerykańscy finansiści i biznesmeni byli częstymi gośćmi w salonach polskiej władzy. Pięciolatka "dynamicznego rozwoju" stała się rzeczywistym, choć krótkotrwałym i powierzchownym

sukcesem. Nie podjęto jednak poważnej próby przekształceń strukturalnych w zarządzaniu przemysłem - niemożliwych w istocie bez zmian politycznych, a o tych nikt w PZPR nie myślał. Wedle oficjalnych komunikatów w latach 1971-1975 dochód narodowy wzrósł o niemal 60%, produkcja przemysłowa o 64%, rolnicza o ponad 19%, a płace realne o niemal 41%. Co ważniejsze - odczucia społeczne były w znacznym stopniu zbieżne z optymizmem GUS. Chętnie podchwytywano hasła typu "Polak potrafi", potwierdzane przez nowe szosy, gmachy i fabryki. Powtarzał się "cud gomułkowski" z lat 1956-1958, tyle że na wyższym poziomie. Do miast i nowo tworzonych ośrodków przemysłowych znów płynęła fala młodzieży wiejskiej, coraz powszechniejsza stawała się kategoria "chłoporobotników", przynosząc wyraźną poprawę bytu niezliczonym rzeszom małorolnych.

Szary obywatel nie wiedział, a kierownicy nawy państwowej lekceważyli fakt, iż sukces ten był w znacznym stopniu "sukcesem na kredyt", i to w dosłownym tego słowa znaczeniu: w 1975 r. co najmniej 1/4 dochodów z eksportu musiała być przeznaczana na pokrycie zobowiązań płatniczych, a długi zagraniczne przekroczyły 8 mld dolarów, wpędzając kraj w pułapkę kredytową. Powstała ona nie tyle z zaciągania pożyczek, ile z tego, że bez prawdziwie głębokich zmian nie było możliwości faktycznego wejścia na rynki światowe z polskimi produktami. Bardziej niż ogół społeczeństwa, które żyło wciąż jeszcze w obrębie gospodarki niedoboru i trwałej nierównowagi rynkowej, euforia objęła elitę polityczną i wytłumiła wszelkie sygnały ostrzegawcze. Zbieżna z ideologicznymi imponderabiliami systemu zrodziła pokusę nieograniczonego rozwoju. Zarzucono dyscyplinę, wprowadzając pojęcie "planu otwartego" i rozpoczęto prawdziwe szaleństwo inwestycyjne w warunkach marnotrawnej gospodarki nakazowo-rozdzielczej. Klasycznym tego przykładem była decyzja o budowie Huty Katowice (pierwszy wielki piec uruchomiono w 1977 r.). Gigantomania sześciolatki była niczym wobec wielkości podejmowanych przedsięwzięć, w czym zbiegły się zarówno stare leninowskie i stalinowskie kanony o priorytecie przemysłu ciężkiego, jak i łatwe zdobycie przewagi przez "śląskie lobby".

"Dynamiczny rozwój" zamienił się w "przyspieszony wzrost" nie omal dokładnie wedle formuł z roku 1949 czy 1960. W 1973 r. udział akumulacji w dochodzie narodowym sięgnął 33%, a w roku następnym przekroczył 35% - takiego wysiłku nie podjęto nawet w czasie wojny koreańskiej, a kierunek zaangażowanych środków był podobny (w 1975 r. 4/5 nakładów pochłaniała "grupa A"). Likwidowano drobny i średni przemysł, wrzucając istniejące przedsiębiorstwa do gigantycznych worków "socjalistycznych koncernów". Wszystko to działo się w warunkach absolutnego zaniechania wszelkiej troski o środowisko, a także o samych wytwórców (wprowadzenie z początkiem 1978 r. czterozmianowego systemu pracy w górnictwie): "Wielki skok" zamienił się w ucieczkę do przodu: w 1975 r. podjęto decyzje o budowie lubelskiego zagłębia węglowego, kopalń okrywkowych w Bełchatowie, udziale w budowie gazociągu ze złóż orenburskich. Podpisano kolejne umowy o pożyczki na wydobycie i przeróbkę miedzi na Dolnym Śląsku. Z roku na rok podwyższano plany wydobycia węgla. W 1976 r. rozpoczęto budowę szerokotorowej linii kolejowej prowadzącej do Huty Katowice, a jednocześnie trwały prace przy Centralnej Magistrali Węglowej.

Zwykłym już biegiem rzeczy jedną z ofiar stało się rolnictwo. Coraz bardziej ograniczane środki ładowano w niewydajne, ale za to z pozoru

nowoczesne, gospodarstwa państwowe. Skierowanie całego wysiłku na przemysł ciężki spowodowało ograniczenie produkcji przemysłowej dla wsi (materiały budowlane, nawozy sztuczne), co pociągało za sobą przede wszystkim zahamowanie wzrostu produkcji zbożowej, a więc konieczność importu, oczywiście za kolejne transze kredytowe.

Spirala rozkręcała się i nic nie było w stanie zahamować jej ruchu - ani kryzys energetyczny po wojnie izraelsko-arabskiej 1973 r., który pociągnął za sobą recesję w całej Europie Zachodniej, ani przekraczanie kolejnych limitów udziału zobowiązań w dochodach z eksportu (1976 r. - 36%, 1977 - 56%), ani rosnąca presja inflacyjna, na którą jedynym remedium stało się pogłębienie nierównowagi rynkowej. Częściowo w dobrej wierze, częściowo w obawie przed niezadowoleniem społecznym, częściowo dla utwierdzenia się w atmosferze sukcesu, utrzymywano - nawet po 1972 r. - urzędowe ceny na podstawowe artykuły spożywcze. Rosły więc dopłaty do nich, a wobec coraz większej masy pieniądza, wypłacanego głównie w sferze produkcji niekonsumpcyjnej, towary znikały ze sklepów. Stosowano więc taktykę "cichych podwyżek" przez zmianę asortymentu i wprowadzanie "cen komercyjnych". Nieuniknione było podjęcie kroków mających na celu zmniejszenie inwestycji i ustabilizowanie rynku żywnościowego.

Zaczęto od tego drugiego. 24 czerwca 1976 r. rząd przedstawił na posiedzeniu Sejmu projekt podwyżek cen (o 30-100%, w tym na mięso i jego przetwory o niemal 70%), co miało być częściowo zrekompensowane podwyżkami płac. Nadanie tej podwyżce sankcji decyzji parlamentarnej było oczywistym dowodem niepewności władzy, a także chęci rozłożenia odpowiedzialności. Starano się nie popełnić błędu Gomułki z grudnia 1970 r. uznając, że projekt - przyjęty zresztą przez niedawno wybrany Sejm jednogłośnie - ma być poddany "społecznej konsultacji". Zostawiano na nią jeden dzień, co oznaczało, iż manewr ten miał charakter propagandowy. Wszakże społeczeństwo potraktowało sprawę serio: 25 czerwca w Radomiu, Ursusie i Płocku doszło do strajków i ulicznych demonstracji, w wielu innych miejscowościach miały miejsce "zakłócenia" w produkcji, jak enigmatycznie określano wzburzenie, przerywanie pracy, improwizowane masówki w halach fabrycznych. W trzech wymienionych miastach doszło do starć ulicznych. Wieczorem ogłoszono komunikat o wycofaniu projektu, motywując to negatywnymi wynikami "konsultacji" i odkładając ostateczną decyzję na bliżej nie określony termin. Była to nie tylko dotkliwa porażka prestiżowa ekipy rządzącej (i Sejmu) - a premiera w szczególności - ale także mocne uderzenie w całą linię dotychczasowej polityki gospodarczej Gierka. Przywrócenie spokoju na ulicach zajęło wprawdzie niewiele czasu, lecz w gospodarce nie udało się "złapać oddechu", jeśli w ogóle było to możliwe. Zadłużenie narastało w tempie niemal lawinowym (8,4 mld w 1975 r., 14,9 mld w 1977 r. i 23,8 mld w 1979 r.), pożyczki były coraz trudniejsze do uzyskania i na coraz gorszych warunkach, a spłaty kredytów nie były możliwe bez zaciągania następnych. Przedłużająca się recesja na Zachodzie dodatkowo utrudniała zbyt - i tak źle sprzedających się - polskich towarów, a handel w obrębie RWPG, obejmujący wciąż ok. 1/2 obrotów, nie dawał wpływów w dewizach. Odwrotnie, powodował ich odpływ, gdyż niemała część komponentów eksportowanych tam produktów zakupywana była za mocne, zachodnie waluty.

Najbardziej wyraźne było to w przemyśle stoczniowym. Jego nieomal monopolistycznym kontrahentem był ZSRR, ale statki wyposażano zgodnie ze

światowymi standardami w urządzenia kupowane - z reguły na kredyt - na Zachodzie. Podobną pułapką było, nieuniknione zresztą, zaangażowanie się w budowę gazociągu orenburskiego. Jesienią 1976 r. zaanonsowano, przygotowywany już wcześniej, "manewr gospodarczy", który miał polegać na wydatnym skróceniu frontu inwestycyjnego, zahamowaniu wypływu pieniądza nie mającego pokrycia w towarach czy usługach i zmiany kierunków inwestowania. Wobec faktu, iż kraj stał się - jak to z triumfem głoszono przez lata - "wielkim placem budowy", wykonanie tego manewru było niezwykle trudne, zwłaszcza po kompromitacji z 25 czerwca. Euforia zamieniała się w chaos. Nieraz na chybił-trafił, a częściej zgodnie z siłą jakiegoś resortowego lub regionalnego lobby, "zamrażano" rozpoczęte budowy, na które napływały już zakupione urządzenia. Biurokratyczne sterowanie nie było w stanie doprowadzić do sensownej i płynnej alokacji środków, mnożyły się "wąskie gardła", nie ustawał nacisk inflacyjny. O podwyżkach cen mięsa bano się myśleć, a inne środki ograniczenia popytu - np. wprowadzenie od sierpnia 1976 r. kartek na cukier - okazywały się niewystarczające.

W 1979 r. 3/4 wpływów z eksportu szło na spłatę długów, co oznaczało praktyczne zablokowanie importu niezbędnego do produkcji przemysłowej, jak i zakupu zbóż oraz pasz dla rolnictwa. Banki państwowe zaciągały za granicą pożyczki na niezwykle krótkie terminy i, rzecz jasna, odpowiednio wysokie oprocentowanie. Zahamowanie tempa wzrostu produkcji przemysłowej widoczne było nieomal z kwartału na kwartał, mimo że rynek wewnętrzny wydawał się nienasycony, a wciąż ogłaszano oddanie do użytku nowych fabryk. Tymczasem już w latach 1975-1976 produkcja rolna - także w wyniku złych warunków klimatycznych - obniżyła się o ponad 3% przy wzrastającej liczbie pieniądza w obiegu i narastającej dysproporcji cen między artykułami żywnościowymi i przemysłowymi. Kolejki przed sklepami wydłużały się. Zaopatrzeniowcy renomowanych nawet przedsiębiorstw jeździli po kraju z obłędem w oku (i łapówkami w kieszeni), aby "zdobyć" konieczne części czy składniki. Coraz częstsze były postoje spowodowane brakiem energii lub surowców. W 1979 r., po raz pierwszy w powojennej historii Polski, dochód narodowy był niższy niż w roku poprzednim: wedle oficjalnych danych o 2,3%. Mimo założeń produkcja przemysłowych artykułów konsumpcyjnych obniżała się szybciej niż np. przemysłu metalowego. Niedobór energii stał się zjawiskiem stałym. Rolnicy tracili nie tylko możliwości inwestowania czy odnawiania zasobów, ale tzw. ustawy socjalne (renty państwowe za przekazywane do państwowego funduszu ziemi, emerytury) prowadziły do zmniejszenia się areału ziemi uprawnej, gdyż przejętych terenów nie sprzedawano ani nie oddawano w dzierżawę indywidualnym rolnikom. W ciągu gierkowskiej dekady miasta i przemysł przyciągnęły ze wsi znaczną część młodzieży i w wielu rejonach gospodarkę prowadziły rodziny jednopokoleniowe. W innych następowało po prostu wyludnienie ("ściana wschodnia") i ziemie leżały odłogiem.`

Cykl dobiegał końca - ożywienie i w miarę harmonijny rozwój lat 1971-1973 przeszły w fazę marnotrawnej i bezplanowej industrializacji, nieumiejętne i niekonsekwentne wyhamowywanie jej spowodowało załamanie i szybki wzrost niezadowolenia. Polska była gotowa do powtórki z czerwca 1956 r. lub grudnia 1970 r. Potrzebna była tylko kropla, która przeleje czarę. Kiedy 1 lipca 1980 r. w stołówkach i bufetach fabrycznych nieomal całej Polski

wprowadzono "ceny komercyjne" na mięso i wędliny - wybuchły pierwsze strajki. Nikt zapewne wówczas nie przypuszczał, że będzie to nie tyle "kropla"; ile - aby użyć słynnego określenia Lenina - "iskra, z której rozgorzeje płomień".
`nv

Przewodnia siła

Podobnie jak Gomułka po Październiku, także Gierek dosyć szybko i sprawnie poradził sobie z tymi ludźmi i grupami w pezetpeerowskiej elicie, których mógł uważać za nazbyt ambitnych lub nielojalnych. Najbardziej efektowne było wyeliminowanie Moczara, który już latem 1971 r. wylądował w Naczelnej Izbie Kontroli, typowej "przechowalni" dla przegranych. Na wielu placówkach dyplomatycznych pojawili się nowicjusze - Stanisław Kociołek w Brukseli, Zenon Nowak w Moskwie, Artur Starewicz w Londynie, Grzegorz Korczyński w Algierze, Ignacy Loga-Sowiński w Ankarze. Wiosną 1972 r. znikł - by po roku pojawić się na nic nie znaczącej synekurze przewodniczącego Ogólnopolskiego Komitetu Obrońców Pokoju - Józef Cyrankiewicz. Na kilka lat (1972-1976) od kluczowych spraw odsunięty został - do MSZ - jeden z najbardziej dynamicznych "młodych aparatczyków" Stefan Olszowski. W marcu 1972 r. z Sekretariatu KC - kluczowego miejsca w aparacie władzy - odszedł na stanowisko rządowe Józef Tejchma, jeden z głównych inicjatorów odsunięcia Gomułki.
Następna większa seria roszad miała miejsce w 1974 r., gdy na boczny tor odsunięty został Franciszek Szlachcic, przez kilka lat uważany za "numer 2" w PZPR. Na mało wdzięczne stanowisko ministra rolnictwa odszedł Kazimierz Barcikowski, a jeden z najbardziej doświadczonych "działaczy państwowych", Stefan Jędrychowski, znalazł się na drugorzędnej placówce w Budapeszcie. Znaczne były zmiany na niższych szczeblach i w ciągu niespełna półtora roku od wyboru nowego I sekretarza zmieniła się większość jego wojewódzkich odpowiedników, a w składzie KC wybranym na VI Zjeździe w grudniu 1971 r. tylko 49 na 115 członków należało do tej instancji poprzednio. Nie było jednak mowy o rzeczywistym "odmłodzeniu" aktywu partyjnego: w 1975 r. blisko 60% I sekretarzy wojewódzkich miało więcej niż 45 lat i staż pracy w aparacie partyjnym dłuższy niż 15 lat (30% weszło do aparatu jeszcze przed 1956 r.). Nie tylko na najwyższych szczeblach, ale i w terenie tkwili ludzie mający za sobą po dwadzieścia parę lat aktywności w strukturach PZPR i na tzw. odpowiedzialnych stanowiskach: poczynając od premiera Piotra Jaroszewicza, poprzez nowego szefa CRZZ Władysława Kruczka po przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego.
Po "mocnym wejściu" w grudniu 1970 r., na którym najbardziej skorzystali - szybko starzejący się - "młodzi", w latach następnych na najwyższe szczeble władzy docierało stosunkowo mało nowych ludzi. Najbardziej spektakularne były kariery Jerzego Łukaszewicza czy Tadeusza Wrzaszczyka, ale najbardziej aktywni byli wciąż Edward Babiuch, Stanisław Kania czy Jan Szydlak. Mocną pozycję utrzymywali Stanisław Kowalczyk (od 1973 r. szef MSW) i gen. Wojciech Jaruzelski. Trwały ciche, a dla ogólnej sytuacji w kraju nie mające raczej większego znaczenia, personalne przepychanki, w zasadzie nie mające podłoża ani ideowego, ani nawet politycznego. Jak się

wydaje, nie powstały żadne formacje takie jak "partyzanci" w czasach gomułkowskich.

"Karuzela stanowisk" kręciła się nieustannie, a merytoryczna nieczytelność tych zmian pogłębiała negatywny obraz elity w oczach opinii. Najpoważniejsze roszady nastąpiły w początkach 1980 r., gdy krach gospodarczy był już dla wszystkich zupełnie oczywisty. Odsunięty został Jaroszewicz, któremu nie pozostawiono nic poza fotelem poselskim, "w ambasadory" poszedł Olszewski, a wnet i Tejchma. Na boczny tor (przewodniczącego Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej) powędrował najstarszy komunistycznym stażem w pezetpeerowskiej czołówce Kruczek. Pozycja samego Gierka była - jak się wydaje - przez cały czas nie zagrożona, a stosunki w elicie partyjnej można określić jako bardziej "dworskie" niż kiedykolwiek przedtem, I sekretarz umiejętnie grał rolę otwartego na świat i pragmatycznego przywódcy, chętnie podróżował i przyjmował wizyty, odbywał spotkania z "ludźmi pracy", występował w telewizji. Wrażenie to potęgowane było przez oficjalne wizyty składane przez Gierka - "wraz z małżonką" i licznym otoczeniem - głowom państw i przyjęcia w Polsce, podczas których "Pierwszy" pełnił obowiązki głównego gospodarza. Otwarcie na świat było elementem strategii gospodarczej, ale spełniało także funkcje polityczne, a m.in. miało podtrzymywać prestiż osobisty samego Gierka. Obok przywódców z "bratnich krajów", z którymi spotykano się regularnie, uprzywilejowanymi interlokutorami byli m.in. kanclerz Austrii Bruno Kreisky (pięć spotkań w latach 1973-1979) i przywódcy RFN (cztery spotkania w latach 1975-1979). Specjalną pozycję miała Francja, a kontakty na najwyższym szczeblu były od 1975 r. coroczne. Pewnym ewenementem były częste spotkania z marsz. Josipem Broz Tito (pięć razy w latach 1972-1978), choć nie łączyły Polski z Jugosławią żadne ważne sprawy polityczne ani gospodarcze. Mocna była też pozycja Gierka na "rynku amerykańskim" - oficjalne wizyty w Polsce złożyli wszyscy kolejni prezydenci Stanów Zjednoczonych (Richard Nixon w 1972 r., Gerald Ford w 1975 r., James Carter w 1977 r.), a leader PZPR odbył wizytę w USA (1974 r.), przy czym nie omieszkał wygłosić przemówienia na plenarnym posiedzeniu ONZ.

Wzmożone kontakty z Zachodem usuwały w cień znacznie jednak liczniejsze spotkania z przywódcami NRD, Węgier czy Czechosłowacji, a zwłaszcza stałe kontakty z Breżniewem. Wizyty kremlowskiego gospodarza były najczęstsze, z reguły odbywały się z wielkim przepychem, a trasy przejazdów po kraju starannie przygotowywano wedle zasady "potiomkinowskich wiosek". Szybko starzejący się przywódca ZSRR był fetowany i traktowany już nawet nie jako "wielki brat", ale "ojciec" i opiekun. Jego przemówienia i książki wydawano w dużych nakładach i nadawano im odpowiedni rozgłos. Przykładem tej niezwykłej czołobitności było odznaczenie Breżniewa - z okazji 30-lecia Polski Ludowej - najwyższym z możliwych odznaczeń wojskowych: Krzyżem Wielkim Orderu Virtuti Militari. Gierek chciał najwyraźniej odgrywać rolę "łącznika" między Wschodem a Zachodem, na co miał, jak się wydaje, przyzwolenie Moskwy. Potwierdzeniem tego może być fakt odbycia w Warszawie (18-19 maja 1980 r.) spotkania Breżniewa z prezydentem Francji Val□rym Giscardem d'Estaing, drugim uprzywilejowanym rozmówcą szefa PZPR. Zasięg i sztafaż oficjalnych kontaktów czynił także z Gierka bardziej przywódcę państwa i narodu niż partyjnego leadera. Pod tym względem przypominał

raczej Bieruta niż swego bezpośredniego poprzednika. Było to elementem usilnie lansowanej tezy o "jedności moralno-politycznej" narodu i postępującej dezideologizacji życia publicznego.

Gierek wyraźnie rzadziej niż jego poprzednik ingerował w prace rządu, zostawiając stosunkowo dużo swobody premierowi, ale polityka kadrowa - także w administracji państwowej - była w całości; prowadzona z gmachu KC. Poświadczeniem modernizacji metod rządzenia miało być sięganie do pomocy ekspertów. W istocie nie tylko decyzje, lecz także projekty czy koncepcje powstawały w obrębie etatowego aparatu partyjnego. Przykładem mogą być losy prac nad raportem o stanie oświaty i programem reformy szkolnictwa. Prowadzone przez szeroko reklamowany zespół kierowany, przez znanego socjologa prof. Jana Szczepańskiego zostały zakończone szczegółowymi opracowaniami, które powędrowały na półki; a reformę przeprowadzono na podstawie zupełnie innej, pobieżnie przygotowanej koncepcji. Także powołany już po kryzysie z czerwca; 1976 r. stały Zespół Doradców Ekonomicznych (kierowany przed prof. Pawła Bożyka) nie wywarł faktycznie żadnego wpływu na decyzje centrum. Mnożyły się różne "rady" czy "komisje", do których zapraszano bezpartyjnych fachowców, ale rola ich była w znacznym stopniu dekoracyjna. Podobną funkcję odgrywały spotkania Gierka ze środowiskami naukowymi, literatami czy dziennikarzami. Więcej było w tym pozorów "konsultacji" niż rzeczywistej wymiany poglądów. Niemniej w porównaniu z Gomułką były górnik z francuskiego Mordu prezentował się jako polityk dynamiczny, efektowny, pewny siebie. Jednym słowem - światowiec.

Sylwetka taka współgrała świetnie z wizją "socjalizmu konsumpcyjnego", przy czym oczywiste było, iż różnego szczebla elity partyjne dawały przykład nowego stylu. Korupcja i wykorzystywanie stanowisk dla zapewnienia sobie różnego rodzaju dóbr stały się zjawiskiem nagminnym, a hasło "bogaćcie się" umiejętnie wprowadzano w życie. Rozrastający się aparat partyjny i administracyjny powiązane były dziesiątkami nici, co wykorzystywano dla zupełnie prywatnych celów. Przydziały mieszkań, samochodów, materiałów budowlanych, działek, stanowisk stały się przedmiotem prawdziwego handlu. Kręgi przemysłowe i władze lokalne zapewniały sobie "dobrą prasę", udział w podziale państwowych dotacji czy przychylne decyzje inwestycyjne.

Przywileje wynikające z zajmowanego stanowiska obejmowały ludzi na coraz niższych szczeblach. Jednym z elementów tego był sformalizowany i ściśle przestrzegany system nomenklatury, która w końcu lat 70. obejmowała już ponad pół miliona stanowisk. Każda instancja PZPR chciała mieć "swoją nomenklaturę", a w terenie względy polityczne odgrywały w jej funkcjonowaniu mniejszą rolę niż personalne "układy" i prywatne interesy. Znaczna część elit - także (a może szczególnie) lokalnych - stawała się po prostu "nową szlachtą", nie tylko zarządcami, ale także posesjonatami. Ci, którzy mieli władzę, coraz częściej, przez coraz większą liczbę osób nazywani byli "właścicielami PRL". Choćby i jednej gminy. Symbolem tego był, coraz powszechniej noszony w klapach marynarek, znaczek partyjny: litery "PZPR" wpisane w kontur Polski zajmowały całą jej powierzchnię.

Jednym z najbardziej uderzających - oczywiście dyskretnych - przejawów traktowania państwa jako własności PZPR były dekrety Rady Państwa (z 5 października 1972 r.) "O zaopatrzeniu emerytalnym osób zajmujących kierownicze stanowiska polityczne i państwowe oraz członków ich rodzin"

oraz "O uposażeniu osób zajmujących kierownicze stanowiska państwowe". Pierwszy z nich prawa rentowe rozciągał nie tylko na współmałżonków i dzieci, ale także rodzeństwo, rodziców i wnuków. Drugi zezwalał na utrzymanie poborów przez dwa lata po opuszczeniu stanowiska. A stanowisk tych wciąż przybywało: w 1972 r. było 24, ministrów, w 1980 już 34, liczba wicepremierów nie spadała poniżej 5 (był taki moment, gdy urzędowało 10), wiceministrów, sekretarzy czy podsekretarzy stanu było ponad 150. Na niższym szczeblu prawdziwą kopalnią stanowisk stały się instancje wojewódzkie, których po reformie administracyjnej Z 1975 r. utworzono 49.

Legitymacja PZPR - do której wstępowanie już w latach 60. przestawało mieć charakter decyzji politycznej czy ideowej - stawała się czymś w rodzaju dyplomu upoważniającego do zajęcia stanowiska. Run do hegemonistycznie rządzącej partii nie ustawał: u schyłku epoki gomułkowskiej do PZPR należało ok. 2,3 mln osób, w 1980 r. legitymacje partyjne miało ok. 3,1 mln dorosłych Polaków (i Polek). Napływ był stały i w latach 70. młodzi (18-29 lat) stanowili w partii ok. 1/4 członków. Zwiększał się też powoli udział robotników, choć nie stanowili oni więcej niż 46% ogółu członków. Uderzające było; że w dekadzie, w której wszystko tak się szybko rozwijało, całkowita stagnacja panowała w "stronnictwach sojuszniczych" ZSL (ok. 420 tys. członków) i SD (ok. 100 tys.). Swoją rolę odgrywały tu zapewne decyzje ograniczające, narzucane przez PZPR, ale być może waż niejsza była ogromna "siła ssąca" hegemona i szczelny system nomenklatury. W odróżnieniu od zawirowań 1956 r., kiedy to koalicjanci - a zwłaszcza ZSL - usiłowali rozluźnić nieco więzy zależności, grudniowa zmiana warty nie wywołała żadnych wyraźniejszych reakcji. "Pasy transmisyjne", pracowicie tworzone jeszcze w latach 1945-1948, funkcjonowały bez zakłóceń i tylko na niższych szczeblach CRZZ wydarzenia z Wybrzeża przyniosły pewne perturbacje. Aczkolwiek rozwój gospodarczy wydawał się sprzyjać decentralizacji i mnożeniu podmiotów nie tylko życia gospodarczego, ale i społecznego, lata 70. przyniosły widoczne przejawy centralizowania władzy. Niektóre miały charakter oczywiście polityczny - jak scalenie; ruchu młodzieżowego, który poprzez fazę Federacji Socjalistycznych; Związków Młodzieży Polskiej (1973 r.) został w 1976 r. ujęty w jedno litym Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej liczącym ok. 5 mln członków. Inne służyły lepszej kontroli nad rolnictwem i miały; cele zarazem polityczne, jak i gospodarcze - w 1976 r. z trzech wielkich central (pseudo) spółdzielczych utworzono moloch Centralnego Związku Spółdzielni Rolniczych "Samopomoc Chłopska". W 1973 r. przez połączenie RSW "Prasa", wydawnictwa "Książka i Wiedza" oraz instytucji kolportażowej "Ruch", powstał potężny koncern (RSW "Prasa-Książka-Ruch"). Dysponował on 85% nakładu prasy (92% dzienników), 1/4 mocy produkcyjnej drukarń, 34 tys. punktów kolportażu i zatrudniając 90 tys. pracowników był największym polskim przedsiębiorstwem. Koncern obrastał stopniowo nowymi agendami (1974 r. - wydawnictwa MAW i KAW, 1977 r. centrala handlu zagranicznego "Ars Polona") i stał się prawdziwą machiną do robienia pieniędzy dla PZPR, która była właścicielem 9/10 "udziałów" tej, formalnie, spółdzielni.

Najbardziej spektakularnym posunięciem była wszakże reorganizacja administracji terenowej, którą przeprowadzono w dwóch etapach. W 1973 r. wprowadzono stanowiska wojewodów (starostów etc.), ściślej uzależniając - choćby z formalnoprawnego punktu widzenia - "teren" od centrali. W 1975 r.

dokonany został nowy podział administracyjny kraju, zlikwidowano powiaty, a liczba województw wzrosła z 17 do 49. W ślad za tym szła reorganizacja sądownictwa, a także instytucji administracji nie scalonej. Wielu obserwatorów uznało, iż reforma ta miała przede wszystkim na celu podcięcie roli wojewódzkich instancji partyjnych i administracji terenowej tego szczebla. W każdym bądź razie osłabiała lokalnych szefów, co mogło bardziej uzależnić ich od centrali. Doraźnie przyniosła przede wszystkim - poza naturalnym w takich sytuacjach chaosem - poważne obciążenie budżetu (konieczność budowy "odpowiednich" gmachów) i pomnożenie nomenklaturowych stanowisk. Niespodziewanemu i administracyjnemu awansowi kilkunastu miast towarzyszyła degrengolada "polski powiatowej", mniejszych ośrodków lokalnych, nieraz o długiej tradycji.

Chociaż Ustawa Zasadnicza z 1952 r., przygotowana jeszcze z walną pomocą Stalina, nieźle spełniała swoje główne zadanie, uznano, iż nie w pełni odpowiada warunkom epoki "rozwiniętego socjalizmu", której początek donośnie anonsowano (także przy pomocy usłużnej profesury). Zmiany przeprowadzone w latach 1972-1975 były w zasadzie konsekwencją reformy administracyjnej, ale uruchomiona machina legislacyjna miała bardziej ambitne cele: chodziło o umocowanie w prawie faktycznej omnipotencji PZPR i jej generalnej linii ideowej, która mimo "wiraży" i wstrząsów była w istocie stabilna. Założenia tej zmiany przedstawiono we wrześniu 1975 r., w uchwale KC PZPR zatytułowanej bombastycznie "O dynamiczny rozwój budownictwa socjalistycznego, o wyższą jakość pracy i warunków życia narodu". Obradujący trzy miesiące później zjazd PZPR przyjął te założenia, a Sejm wybrał komisję konstytucyjną, która bez rozgłosu zaczęła pracować.

Prezentowane propozycje, chyba wbrew spodziewaniom inicjatorów, wywołały ferment w części środowisk intelektualnych oraz oburzenie Kościoła. Posypały się listy protestacyjne, których organizowanie stało się istotnym czynnikiem krystalizowania się postaw opozycyjnych, a stosunki z Kościołem uległy wyraźnemu napięciu. Episkopat, w oficjalnym acz niepublicznym memoriale, zaprotestował wobec projektów uznania "przewodniej roli" PZPR, co prowadziłoby "faktycznie do tego, że państwo stałoby się przedmiotem systemu ideologicznego" i "zniesione byłyby resztki demokracji". Podważono także tezę o iunctim między wypełnianiem obowiązków obywatelskich a korzystaniem z praw oraz zaatakowano propozycję wpisania do konstytucji artykułu gwarantującego "nierozerwalność braterskich więzów" z ZSRR i państwami socjalistycznymi. Prowadzi to, pisali hierarchowie, "do ograniczenia suwerenności Polski". Podobny był ton protestów składanych przez środowiska intelektualne. Pierwszy - a zarazem najgłośniejszy - "List 59", wysłany 5 grudnia przez prof. Edwarda Lipińskiego domagał się gwarancji wolności sumienia i praktyk religijnych, wolności pracy, przez co rozumiano; "możliwość swobodnego wyboru własnej reprezentacji zawodowej"; wolności słowa i informacji oraz wolności nauki. Domagano się także realizacji "prawa wszystkich obywateli do wysuwania i wybieranie; swych przedstawicieli w pięcioprzymiotnikowych wyborach".

Mocny nacisk spowodował, że wycofano się z niektórych, najbardziej rażących niezależną opinię sformułowań. Zamiast "przewodniej roli w państwie" wprowadzono "przewodnią siłę polityczną społeczeństwa w budowie socjalizmu", "sojusz" zamieniono na "przyjaźń i współpracę", odstąpiono od bezwarunkowego łączenia praw i obowiązków. 10 lutego 1976 r. Sejm uchwalił

poprawki. Nie było trudności z zapewnieniem większości: nikt nie był przeciw, a od głosu wstrzymał się jako jedyny poseł katolicki Stanisław Stomma, za co ukarany został niewysunięciem go na listach wyborczych do Sejmu następnej kadencji.

Kilka dni po tym "rejtanowskim geście", PZPR, ZSL i SD postanowiły, że uchwała programowa VII Zjazdu PZPR (z grudnia poprzedniego roku) staje się automatycznie "platformą wyborczą FJN". "Program partii programem narodu" - głosił slogan, kolejny w tej słynącej hasłami epoce, w której bodaj więcej uwagi poświęcano propagandzie niż gospodarce. Był to w pewnym sensie wyraz nieufności wobec wymowy faktów ekonomicznych, którym chciano przydać społecznej efektywności przez propagandę. Odpowiednie działania podjęto już w 1971 r., a VI Zjazd PZPR poświęcił osobny rozdział w swojej uchwale "środkom masowej informacji i propagandy". W kwietniu 1972 r. nadano specjalny status "Trybunie Ludu", która stawała się "wiodącym" dziennikiem, zreorganizowano - i stopniowo rozbudowywano - centralę dyspozycyjną KC, która z czasem rozdzieliła się na dwie silne komórki. W 1973 r. nastąpiło wspomniane już, utworzenie superkoncernu RSW "Prasa-Książka-Ruch" oraz podjęto wspólną uchwałę Prezydium Rządu i Biura Politycznego, która podporządkowywała całą działalność radia i telewizji (łącznie z rozrywkową) "umacnianiu zaufania społeczeństwa do partii i władzy ludowej". Nadawano jednocześnie priorytet środkom audiowizualnym, a wieczorne wydanie telewizyjnego dziennika stało się "medium numer jeden" i pozostawało pod osobistą kontrolą właściwego sekretarza KC (był nim od 1971 r. Jerzy Łukaszewicz). Mocnym człowiekiem mass mediów stał się Maciej Szczepański, mianowany jesienią 1973 r. prezesem Komitetu ds. Radia i Telewizji, który zastąpił Włodzimierza Sokorskiego, jednego z tych starych kapepowców, którym udało się przepłynąć w niezłej formie przez wszystkie rafy powojennych losów Polski. Szczepański, podobnie jak wielu innych promowanych w latach 70., należał do "grupy śląskiej", którą wciąż stawiano za wzór nowoczesności.

Rozbudowywany był system inspirowania i sterowania mediami w warszawskiej centrali, powiększana sieć cenzorska, której zadania także wzrosły (m.in. o "kontrolę wtórną"). O szczelności tego systemu świadczył skład rad redakcyjnych powoływanych przy każdym partyjnym dzienniku: na ich czele stali przedstawiciele KC, a obok dziennikarzy uczestniczyli w nich przedstawiciele odpowiednich delegatur Głównego Urzędu Kontroli Prasy i Widowisk. W ważnych momentach z gmachu KC "ręcznie sterowano" wyglądem i zawartością całej prasy, jak to było np. w 1979 r. w czasie podróży po Polsce Jana Pawła II, gdy do redakcji płynęły wskazówki dotyczące długości tekstów i ich miejsca na kolumnie.

Nie oszczędzano na inwestycjach i troszczono się o modernizację środków masowego przekazu - nowoczesne drukarnie prasowe nowe urządzenia nagrywające w telewizji, festyny organizowane przez partyjne dzienniki, dziesiątki tysięcy plansz propagandowych i potężnych napisów (z centralnie dyktowanymi sloganami), "turnieje miast", magazynowe wydania sobotnio-niedzielne, rozplenijące się festiwale, wielogodzinne transmisje z barwnych uroczystości. Zawsze i wszędzie ta sama atmosfera zadowolenia, przechodząca w natrętne samochwalstwo. System ten określano pejoratywnie jako "propagandę sukcesu" głównie dlatego, iż atak propagandowy przypuszczono na społeczeństwo wówczas, gdy z sukcesu ekonomicznego lat

1971-197 niewiele pozostało. Nastroje społeczne były tym gorsze, że rozbudzone aspiracje materialne zderzyły się z twardą ścianą kryzysu pogłębiającymi się brakami w zaopatrzeniu, zahamowaniem wzrostu płacy realnej, spadkiem dochodów rolników, oczywistymi przypadkami marnotrawstwa. A jednocześnie z rosnącą ostentacją indywidualnej konsumpcji całych środowisk związanych z aparatem partyjnym i państwowym. Wydaje się, iż uczucie deprywacji silnie narastało i było równoległe z poczuciem rosnącego dystansu między warstwą uprzywilejowaną - politycznie a zarazem materialnie - a "resztą" społeczeństwa. Choć poziom życia był bez wątpienia wyższy niż w latach gomułkowskich, a enklawy nowoczesności znacznie liczniejsze, wejście w fazę kryzysu po 1976 r. w znacznym stopniu zniwelowało w społecznej świadomości te pozytywne zmiany. 1 Uderzająca niezręczność "operacji cenowej" z czerwca 1976 r. moc no zachwiała autorytetem władzy. Nie pomogła w jego odbudowie. fala zorganizowanych i sztampowych wieców popierających kierownictwo i potępiających "warchołów z Radomia", która przetoczył się przez Polskę w ciągu następnych paru tygodni. Wzmogła natomiast poczucie znaczenia spontanicznych odruchów społecznych. O ile wymiana ekipy po rewolcie grudniowej odczuwana była jako zmiana mająca realne konsekwencje, o tyle odejście Jaroszewicza w 1980 r. nie mogło być potraktowane inaczej niż prosta manipulacja personalna, a więc nie przyniosło wymiernych skutków w nastrojach. Promowanie na stanowisko premiera niezbyt znanego Edwarda Babiucha wzmacniało tylko wrażenie, że PZPR czuje się wyłącznym gospodarzem w kraju.

Między Helsinkami a Kabulem

Efektowne kontakty międzynarodowe Polski w dekadzie lat 70. w mniejszym stopniu były zasługą osobowości Gierka czy nawet - uwarunkowanej ekonomicznie - jego polityki "otwarcia na świat", a w większym generalnej strategii ZSRR i święcącej długotrwałe sukcesy polityce odprężenia. Polska brała w niej wydatny udział, i była - obok Rumunii, której leader (con ducator) Nicolae Ceauvescu wciąż odgrywał rolę "półneutralnego" - najbardziej aktywna ze wszystkich państw należących do RWPG i Układu Warszawskiego. Z wyjątkiem oczywiście samego ZSRR, który nadawał ton i wydawał dyspozycje całemu obozowi. Nawet taka, wydawało się, "polska specjalność" jak doskonałe stosunki z Paryżem, była poprzedzona umowami francusko-radzieckimi z 1971 r.

Mimo istotnych zmian na mapie gospodarczej świata, które polegały, generalnie rzecz biorąc, na niezwykle mocnym wejściu na rynki całego nieomal globu wyrobów obu mocarstw pokonanych w II wojnie światowej, RFN i Japonii, w sferze politycznej i militarnej układ bipolarny nie uległ wyraźniejszej degradacji. Wprawdzie sukcesy amerykańskiej "dyplomacji pingpongowej", których głównym architektem był Henry Kissinger, zaowocowały wizytą prezydenta Nixona w Pekinie (1972 r.), ale wizja nowej "wielkiej trójki" nie spełniła się. Dla Amerykanów zbliżenie z Chinami było przede wszystkim rodzajem szantażu wobec Kremla, o tyle mniej skutecznego, że stosunki Moskwa-Pekin po burzliwej drugiej połowie lat 60. weszły w fazę nie skrywanej, ale nieagresywnej niechęci, zaś Mao Zedong (Mao Tse-tung)

nie zdołał uczynić ze swej słynnej "czerwonej książeczki" więcej niż jedną z licznych broszur propagandowych. Chiny nie miały siły ekonomicznej - więc i militarnej - aby móc zbliżyć się do dwóch supermocarstw, a potencjalni klienci i sojusznicy oczekiwali raczej czołgów i helikopterów niż najlepszych nawet, rewolucyjnych porad.

W istocie większe znaczenie dla układu sił na świecie miała, jak się wydaje, sytuacja w zachodnioazjatyckich krajach muzułmańskich i państwach arabskich. Niespodziewana decyzja prezydenta Egiptu Anwara Sadata o odesłaniu do domów wszystkich doradców radzieckich (lipiec 1972 r.), a szczególnie "szok naftowy" z 1973 r., kiedy to w ciągu kilku miesięcy - m.in. pod pretekstem wojny izraelsko-arabskiej (tzw. wojna Jom Kippur z 6-22 października 1973 r.) - ceny ropy zostały więcej niż podwojone, oznaczały otwartą emancypację tego regionu spod bezpośredniego wpływu wielkich mocarstw. Ożywiła się wówczas, dotąd zresztą nie wygaszona, fala islamskiego fundamentalizmu i tylko głębokie podziały między różnymi gałęziami islamu oraz ambicje personalne przywódców uniemożliwiły powstanie prawdziwej "trzeciej siły". Dekada lat 70. odznaczała się w polityce światowej prawdziwą gerontokracją, gdyż niewątpliwie wydarzenia biegły głównie pod dyktando Moskwy, w której rządzili schorowani już siedemdziesięciolatkowie - Leonid Breżniew (ur. 1906 r.), Aleksiej Kosygin (1904 r.), Michaił Susłow (1902 r.), Andriej Gromyko (1909 r.) i niewiele młodsi marszałkowie (Andriej Greczko, Dmitrij Ustinow). Na Kremlu panował nie poskromiony bizantynizm, w niczym - poza krwawym terrorem - nie odbiegający od wzorów z czasów Stalina. Breżniew zgarniał kolejne Nagrody Leninowskie (pokojową w 1972 r. i literacką w 1979 r.), promował się na marszałka (1976 r.) i objął stanowisko przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej (1977 r.). Gromyko, znany pod przydomkiem "mister Niet", królował na arenie międzynarodowej (oczywiście nie wysuwając się przed swego pryncypała) co najmniej od początku lat 50., a premier Kosygin zasiadał na ławach rządowych bez przerwy od 1939 r. Nie mniejsze doświadczenie miał Susłow, główny w tych latach ideolog, wchodzący w skład Sekretariatu KC od 1947 r. a Biura Politycznego od 1952 r. Choć w polityce tych starców coraz liczniejsze i silniejsze były zalążki przyszłej klęski, lata 70. były okresem największych sukcesów ZSRR od lat 1944-1945, gdy Stalinowi udał się podbój całej Europy Środkowo-Wschodniej. Największe niepowodzenie - na "froncie arabskim" - było kompensowane faktem, że Amerykanie nie bardzo mogli czuć się tam zwycięzcami, mimo powodzenia misji Kissingera w wyłamaniu Egiptu z arabskiego obozu antyizraelskiego. Uwidoczniła to zarówno wojna domowa w Libanie, jak przede wszystkim zwycięstwo "rewolucji islamskiej" (1979 r.) w Iranie.

Pierwsza połowa dekady stała pod znakiem klęski politycznej - a w znacznym stopniu także militarnej - Stanów Zjednoczonych w wojnie wietnamskiej. Podpisanie porozumień paryskich o zawieszeniu broni (27 stycznia 1973 r.) wobec wycofywania wojsk amerykańskich stało się świstkiem papieru i dwa lata później komuniści z północy bez trudu zagarnęli Sajgon, który przemianowali na Miasto Ho Chi-minha. Runęły też proamerykańskie rządy w Laosie. Władzę w Kambodży zdobyli radykałowie z ugrupowania Czerwonych Khmerów, którzy w swej totalitarnej utopii - i ludobójstwie - poszli dalej niż śmiał myśleć nawet Josif Wissarionowicz. Udział w wojnie wietnamskiej stał się też powodem głębokiego kryzysu politycznego w samych

Stanach Zjednoczonych, co w połączeniu z "aferą Watergate" - w której udowodniono prezydentowi Nixonowi współudział w nielegalnych metodach walki przedwyborczej (podsłuch w lokalu konkurencyjnej partii) - wyraźnie osłabiło Waszyngton na arenie międzynarodowej. Kolejne umowy dotyczące ograniczenia zbrojeń strategicznych (SALT I - 1972 r., SALT II - 1979 r.); produkcji broni antyrakietowej (1974 r.) czy prób z bronią nuklearną (1974 r.), pieczętowane "spotkaniami na szczycie" Breżniewa ze zmieniającymi się prezydentami, w gruncie rzeczy dogodniejsze były dla ZSRR. Dysponował on - zwłaszcza w Europie - przewagą w broniach "konwencjonalnych" oraz odnosił sukcesy w znajdowaniu przychylnych mu rządów w krajach Trzeciego Świata.

W kategoriach strategii średniego zasięgu sukcesem Moskwy było też podpisanie aktu końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE), do czego doszło po kilkuletnich przygotowaniach - z aktywną rolą Polski - latem 1975 r. w Helsinkach. Dla ZSRR najważniejsza była pierwsza część dokumentu podpisanego przez 35 państw, w tym USA i Kanadę, która gwarantowała nienaruszalność granic w Europie, a więc zapewniała formalny status quo wszystkich zdobyczy terytorialnych Stalina. Z punktu widzenia Polski istotne i decydujące było uznanie w ten sposób granicy na Odrze i Nysie, ale KBWE w równym stopniu sankcjonowała włączenie do ZSRR Besarabii (Mołdawii), Ukrainy Zakarpackiej, dawnych państw bałtyckich, południowej Karelii czy obwodu Petsamo, odcinającego Finlandię od Morza Północnego. Zapadła też ostateczna zgoda na istnienie dwóch państw niemieckich. Podpisanie aktu nieomal dokładnie w 30. rocznicę zakończenia spotkania Wielkiej Trójki w Poczdamie miało symboliczne, a przez to większe, znaczenie.

Zarówno w Moskwie, jak i w Warszawie czy Budapeszcie - a zapewne także w Paryżu czy Londynie - mniej wagi przywiązywano do tzw. trzeciego koszyka aktu końcowego, który zapewniał swobody obywatelskie i wolności osobiste mieszkańcom państw-sygnatariuszy. Na Zachodzie, a w istocie rzeczy bodaj tylko w Stanach Zjednoczonych, rodziły się dopiero koncepty wykorzystania tej części przyjętych postanowień dla wpływania na wydarzenia za - naruszoną już, ale istniejącą jednak - "żelazną kurtyną". Na Wschodzie panowało przekonanie, że opierając się na zasadzie "nieingerencji w wewnętrzne sprawy" sygnatariuszy, będzie można tak jak do tej pory radzić sobie z przejawami kontestacji politycznej i ludźmi tworzącymi ruchy dysydenckie. Niechęć do sięgania po środki najbardziej radykalne, a jeszcze bardziej rosnące uzależnienie od kredytów z Zachodu, wikłały jednak władze państw bloku socjalistycznego w przepychanki z nasilającymi się ruchami dysydenckimi, ale nikt zapewne nie sądził, aby mogły one przerodzić się w trwałe struktury opozycyjne. Powstanie w 1971 r. w Moskwie Komitetu Obrony Praw Człowieka, którego głównym inicjatorem był jeden Z "ojców" radzieckiej bomby wodorowej Andriej Sacharow; mnożenie się grup kontestacyjnych; narodziny "samizdatu", czyli całych sieci kolportażu tekstów maszynopisowych - wszystko to głównie na kanwie obrony wolności wyznania i praw narodowych, mogło być niepokojące. Zwłaszcza że po literackiej Nagrodzie Nobla dla Aleksandra Sołżenicyna (1970 r.) przyszła, uznana za jeszcze bardziej prowokacyjną, nagroda pokojowa dla Sacharowa (1975 r.), a opublikowanie w kilku językach Archipelagu gułag (1973 r.) było prawdziwą bombą podłożoną pod tak drastycznie nadszarpnięty prestiż Moskwy. Bardziej potencjalne niż aktualne mankamenty dokumentu helsińskiego nikły wszakże w

cieniu ekspansji ZSRR. Obok finalnego triumfu Hanoi i natychmiastowego "efektu domina" na Półwyspie Indochińskim, Breżniew mógł zapisać na swoim koncie inne ważne sukcesy. W 1974 r. obalony został cesarz Hajle Syllasje I i władzę w Etiopii przejęli radykalni wojskowi, którzy wnet sięgnęli po pomoc Moskwy. Ulokowała się ona też w Jemenie Południowym i Somalii. Wkrótce po proklamowaniu w grudniu 1975 r. niepodległości Angoli tamtejsi lewicowi radykałowie uzyskali przeciwko prozachodnim przeciwnikom pomoc w postaci kilkudziesięciotysięcznego korpusu kubańskiego, który przerzucono za pomocą floty i lotnictwa radzieckiego. Kuba, której atutem był mieszany skład rasowy ludności, ulokowała swoich żołnierzy także w Etiopii. W 1976 r. inna świeżo wyzwolona portugalska kolonia, Mozambik, znalazła się w rękach proradzieckich przywódców, a śmierć - w odstępie kilku miesięcy - Zhou Enlaia (Czou En-laia) i Mao Zedonga (Mao Tse-tunga) zredukowała ewentualne niebezpieczeństwo ze strony Chin, które zajęły się sprawami wewnętrznymi. W 1978 r. obalony został przez - kłócących się między sobą - afgańskich komunistów Mohammad Daud. Stare rosyjskie plany dotarcia do "ciepłego oceanu" wydawały się być bliskie realizacji, tym bardziej że Pakistan z trudem kontrolował prowincje leżące na południe od Afganistanu. Nasilały się walki partyzantki prokomunistycznej w Ameryce Środkowej - jawnie wspierane przez Fidela Castro - i latem 1979 r. w jej ręce wpadła Nikaragua. Przykład ten mógł być tym bardziej zaraźliwy, że w nowym rządzie aż cztery teki ministerialne objęli księża katoliccy, wcielający w życie "teologię wyzwolenia", która jednym ze swoich symboli uczyniła "Chrystusa z karabinem na ramieniu", uosobienie walki klasowej i sługi uciskanych. Od początku 1978 r. trwały manifestacje i zamieszki w Iranie - sąsiedzie ZSRR i sojuszniku Stanów Zjednoczonych - aż wreszcie w styczniu następnego roku cesarz Mohammad Reza Pahlawi opuścił kraj, ustępując miejsca fanatycznemu przywódcy opozycji islamskiej ajatollahowi Chomejniemu. Wprawdzie przeniesienie się stolicy wojującego islamu z odległej Libii płk. Muammara Kaddafiego w pobliże republik zamieszkanych przez kilkadziesiąt milionów radzieckich muzułmanów mogło być na dalszą metę niebezpieczne, ale doraźnie ważniejsze było, iż Waszyngton stał się "djabłem numer jeden" dla rosnących w siłę fundamentalistów.

W samej Europie destabilizująco - a więc w istocie na rzecz interesów radzieckich - działały rozliczne ośrodki terrorystyczne mające ścisłe powiązania z Organizacją Wyzwolenia Palestyny i Libią. Niektóre z nich były zdegenerowanymi odnogami buntu studenckiego z 1968 r. (Czerwone Brygady we Włoszech czy "grupa Baader-Meinhof" w RFN), inne miały podłoże nacjonalistyczne (jak Tymczasowa Irlandzka Armia Republikańska - IRA czy faszystowskie bojówki we Włoszech). Działalność terrorystyczną na szeroką skalę, i to także na terenie Europy, prowadziło kilka konkurujących ze sobą organizacji palestyńskich. Do akcji na Starym Kontynencie włączali się nawet zamachowcy z Ameryki Łacińskiej, gdzie "partyzantka miejska" (tupamaros) szerzyła popłoch i wywoływała krwawy odwet ze strony autokratycznych rządów.

Wedle niepełnych danych w 1971 r. było 279 ataków terrorystycznych, a w 1980 r. już ponad 1,7 tys. Wybuch bomby podłożonej przez IRA w Birmingham (1974 r. - 21 zabitych), zamordowanie jednego z najbardziej popularnych polityków włoskich Aldo Moro (1976 r.), podłożenie bomby na dworcu w Bolonii (1980 r. - 85 zabitych), porwania samolotów do Entebbe w Ugandzie

(1976 r.) czy Mogadiszu w Somalii (1977 r.), zamordowanie 11 izraelskich olimpijczyków w czasie Igrzysk w Monachium (1972 r.) czy masakra na izraelskim lotnisku w Lod (1972 r.), której wykonawcami byli terroryści japońscy związani z OWP - to tylko kilka z najbardziej znanych zamachów. Moskwa i inne kraje Układu Warszawskiego z wielką dyskrecją i raczej pośrednio (np. szkoląc i udzielając schronienia terrorystom) wspierały te poczynania.

Pewne nadzieje na sukces komunistów przyniosły obozowi socjalistycznemu wydarzenia w Grecji i na Półwyspie Iberyjskim, gdzie w latach 1974-1975 doszło do upadku reżimów autorytarnych - młodego w Atenach i najstarszych w zachodniej Europie hiszpańskiego i portugalskiego. Po chwilowym powodzeniu lokalnych partii komunistycznych górę wzięły jednak siły centroprawicowe lub centrowe i nie spełniły się przepowiednie warszawskich dowcipnisiów, którzy zbierali zapisy na "pociąg przyjaźni" do Lizbony. Przełamany został wieloletni impas, wynikający głównie z postawy gen. de Gaulle'a, i w 1973 r. do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej weszła Wielka Brytania oraz Dania jako pierwsze państwo skandynawskie. Było to dosyć mocnym impulsem do dalszej konsolidacji zachodniej części naszego kontynentu, ale nie przyniosło rzecz jasna natychmiastowych skutków gospodarczych, NATO zaś przeżywało kryzys na swojej "południowej flance", gdy po konflikcie z Turcją o Cypr z jego struktur wojskowych wycofała się Grecja. Negatywny wpływ na państwa zachodnioeuropejskie miał "szok naftowy" z 1973 r., który spowodował kilkuletnią recesję. Największe ciężary z racji dyktatu cenowego kartelu państw eksportujących ropę (OPEC) ponosiły i tak biedne kraje Trzeciego Świata, których nie było stać na płacenie nowych rachunków. W państwach wysoko uprzemysłowionych po chwilowej panice sytuacja ustabilizowała się m.in. dzięki i wchłonięciu przez światowy rynek finansowy i kapitałowy dziesiątek: miliardów "petrodolarów". Tylko znikoma ich część poszła na finansowanie terroryzmu, a zapewne niewiele więcej na pomoc dla palestyńskich uchodźców, w których imieniu dokonywano większości zamachów.

Choć już od lat 60., od chwili pojawienia się na arenie światowej dyplomacji państw postkolonialnych, ZSRR niwelował przewagę Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników w ONZ, to w następnej dekadzie role się odwróciły i to Waszyngton mógł uskarżać się na "antyamerykańską maszynkę do głosowania". Moskwa jednak musiała liczyć się z silnym blokiem państw arabskich (i islamskich), który zawierał skuteczne niejednokrotnie koalicje z państwami afrykańskimi, a lawirowanie wśród około 150 delegacji nie było bynajmniej łatwe. Niemniej rezolucje i uchwały w sprawie usunięcia z grona Narodów Zjednoczonych Republiki Południowej Afryki (1974 r.) czy potępiającej Izrael (1975 r.) mogły być przez Kreml poczytywane za sukcesy.

Tak więc pozycja ZSRR - i całego obozu socjalistycznego - została w latach 70. raczej wzmocniona, ale za wielkim wysiłkiem zbrojeniowym i kosztami wielkomocarstwowej ekspansji na wszystkie nieomal kontynenty, szły rosnące trudności gospodarcze. Szczególnie trudny dla nieefektywnej gospodarki był trwający mimo rozlicznych układów i porozumień wyścig zbrojeń. Był on coraz bardziej kosztowny zarówno w wielkościach bezwzględnych, jak i przez fakt, że w gospodarce radzieckiej istniała - i pogłębiała się - przepaść między sektorem pracującym na potrzeby wojska a resztą przemysłu, który z coraz większym trudem wypychał na ogół

przestarzałe produkty na rynek indywidualnych konsumentów. Nie poprawiała się także wydajność rolnictwa i coraz częściej konieczny był import zbóż, który odbywał się tylko dzięki kredytom branym u największego przeciwnika. Gdy w drugiej połowie lat 70. na wyposażenie zaczęły wchodzić bronie taktyczne i operacyjne najnowszej generacji (m.in. rakieta Cruise w 1977 r.), oparte w znacznym stopniu na elektronice, w której nieomal tylko dzięki wysiłkom wywiadu ZSRR był w stanie produkować niezbędne urządzenia, sytuacja stawała się coraz bardziej skomplikowana.

Ewentualne obawy zagłuszane były nie tylko potężną propagandą, lecz także dotychczasowym powodzeniem. Toteż ukoronowaniem dekady lat 70. był desant 4 i 105 dywizji spadochronowych dokonany 24 grudnia 1979 r. na Kabul. Nikt na Kremlu zapewne nie przypuszczał, że Kraj Rad wkracza do swojego "Wietnamu" - w wojnę partyzancką, której koszty materialne i polityczne będą rosły z każdym rokiem. Zamiast delty Mekongu i subtropikalnej dżungli tym razem miały być góry Hindukuszu.

Nowa opozycja

Krwawo stłumiona rewolta na Wybrzeżu i dojście do władzy nowej ekipy zastały środowiska kontestatorskie w chwili ich największej bodaj słabości. "Komandosi", eks-rewizjoniści i liberalni intelektualiści żyli jeszcze w pomarcowym szoku, część z nich wyjechała z kraju, niektórzy siedzieli w więzieniach. Środowisko "Ruch" było sparaliżowane po aresztowaniu 75 osób. Działacze katoliccy ze środowiska "Znaku" i "Więzi" - najbardziej w tym okresie aktywni - mieli do czynienia z coraz wyraźniej pogłębiającym się podziałem wewnętrznym. Nowa sytuacja wzmocniła te tendencje i Janusz Zabłocki podjął u władz starania o utworzenie własnego tygodnika katolickiego. Wiele osób ze środowisk zdecydowanie antykomunistycznych łudziło się, że zmiana ekipy rządzącej i warunki, w jakich ona się odbyła, sprzyjać będzie wyraźnej liberalizacji. Np. grupa działaczy Stronnictwa Pracy z lat 1945-1946 (m.in. Władysław Siła-Nowicki, Józef Kwasiborski, Stefan Kaczorowski) złożyła memoriał w sprawie reaktywowania partii, która zawiesiła działalność jeszcze latem 1946 r.

Nadzieje na zmiany były dosyć powszechne, choć ani Gierek, ani nikt inny ze ścisłego kierownictwa PZPR właściwie nic konkretnego nie obiecywał. Papierkiem lakmusowym stosunku do środowisk opozycyjnych stała się sprawa "Ruchu". Rozprawa osób tworzących ośrodek kierowniczy odbyła się w październiku, a wyroki, które zapadły, należały do najwyższych w sprawach politycznych po 1955 r. (Andrzej Czuma i Stefan Niesiołowski - po 7 lat). Proces "Ruchu" stał się impulsem do podjęcia przez środowiska intelektualne wspólnych akcji. Przybrały one tradycyjną już formę listów sygnowanych przez znane osobistości. Rok później, gdy występowano do Rady Państwa o zastosowanie prawa łaski wobec skazanego na karę śmierci Jerzego Kowalczyka (wraz z bratem wysadził w powietrze aulę w Opolu, w której miano obchodzić uroczystości rocznicowe MO i SB) na listach zebrano kilka tysięcy podpisów, co świadczyło o możliwościach mobilizacyjnych podobnych jak w lutym-marcu 1968 r.

Przez kilka następnych lat aktywność opozycyjna nie wykraczała poza

dotychczasowe formy - spotkań o charakterze towarzyskim, dyskusji i polemik. Żadna też z drobnych grupek konspiracyjnych, na ogół jak zawsze młodzieżowych lub nawet sztubackich, nie przekształciła się w organizację tej miary co "Ruch". Wszystko to było mało lub w ogóle nie znane szerszej opinii i tylko SB oraz najwyższe kierownictwo PZPR miało rozeznanie w zasięgu różnych form sprzeciwu czy oporu. W porównaniu z epoką Gomułki zaszły jednak pewne dosyć wyraźne zmiany. M.in. nawiązany został trwały kontakt z emigracją, w szczególności z "Kulturą" Jerzego Giedroycia oraz powstałym w początkach 1973 r. środowiskiem emigrujących "komandosów", które skupiało się wokół kwartalnika "Aneks". Na łamach tych pism ukazywały się teksty programowe, w których rozważano możliwości i kierunki działań opozycyjnych. Wyraźnie większy też był - m.in. dzięki łatwiejszym niż przedtem wyjazdom za granicę - napływ do Polski wydawnictw emigracyjnych.

Za początek tej publicznej debaty można przyjąć artykuł Leszka Kołakowskiego Tezy o nadziei i beznadziejności (czerwiec 1971 r.). Najważniejszymi tekstami były m.in. wypowiedź Jana Drewnowskiego Jedyna droga (marzec 1972 r.), Sprawa polska Leszka Kołakowskiego (kwiecień 1973 r.), Opozycja polityczna w kraju Jacka Kuronia (listopad 1974 r.), O potrzebie programu Zdzisława Najdera (maj 1975 r.) oraz Refleksje o opozycji Antoniego Macierewicza (lato 1976 r.). Do tego samego nurtu należała książka Jakuba Karpińskiego Ewolucja czy rewolucja, która ukazała się w 1975 r. w bibliotece "Kultury". Ten sam wydawca opublikował - jeszcze w 1971 r. - Drogi wyjścia Władysława Bieńkowskiego. Głos w debacie zabierali też Juliusz Mieroszewski, stały komentator "Kultury" i Adam Bromke, lansujący tezę o konieczności popierania "nieortodoksyjnego komunizmu" postgomułkowskiego. Choć rytm tej dyskusji nie był zbyt szybki, umożliwiała ona krystalizowanie się poglądów i ustalanie możliwych form działania. Mimo dosyć istotnych nieraz różnic dzielących jej uczestników umacniało się przekonanie, że najważniejszym motorem przemian winien być stały i możliwie szeroki nacisk społeczny na władze.

Nowum stała się coraz bliższa współpraca środowisk liberalnolewicowych z grupą "Więzi" i "Tygodnika Powszechnego". Zewnętrznym przejawem było ukazanie się stałego felietonu Antoniego Słonimskiego w tym ostatnim piśmie. Ważną inspiracją intelektualną stały się Rodowody niepokornych Bohdana Cywińskiego, które rehabilitowały w oczach inteligencji katolickiej postawy lewicowych społeczników z przełomu wieków, a więc tradycję, do której wyraźnie nawiązywała większość eks-rewizjonistów. Podobne było przesłanie wydanej w tym samym roku książki dawnego promotora "humanizmu socjalistycznego" i wciąż członka PZPR Jana Strzeleckiego (Próby świadectwa). Oba środowiska były sobie coraz bliższe, co ze strony hierarchii kościelnej nie wywoływało istotniejszych zastrzeżeń. Przyczyniły się do tego dosyć ścisłe związki kardynała i krakowskiego metropolity Karola Wojtyły z ludźmi z "Tygodnika Powszechnego". Kontakty te miały także i czysto osobiste aspekty - kilkoro "komandosów", mających wilcze bilety, studiowało na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, wiele spotkań odbywało się w siedzibie warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. Tworzyły się też inne środowiska m.in. wokół Leszka Moczulskiego, którego książka Wojna polska, wydana w 1972 r., została wycofana z księgarń i bibliotek. Kolejny, lecz na znacznie mniejszą skalę niż w latach 1955-1956, ferment panował w niektórych organizacjach PAX. Część środowisk akowskich i kombatanckich

śmielej niż ongiś starała się upamiętniać swych nieżyjących towarzyszy broni i tradycje oręża polskiego, ale raczej nie wkraczała na teren polityczny. W niektórych grupach studenckich sprzeciw - wyrażający się m.in. opracowaniem dokumentu, który uzasadniał protesty - wywołała unifikacja organizacji młodzieżowych, a przede wszystkim próba nadania Zrzeszeniu Studentów Polskich jednoznacznie politycznego charakteru. Ważną rolę w uspołecznianiu młodzieży i wyrabianiu w niej poczucia niezależności odgrywały niektóre duszpasterstwa akademickie i ruch "Oaz". Mimo bardzo szczelnej blokady informacyjnej różne środowiska kontestacyjne łączyły więzi z reguły o charakterze towarzyskim. Ułatwiał to fakt, iż cała ta formacja była nieliczna i nieomal bez reszty skoncentrowana w kilku największych miastach, a w praktyce w Warszawie, Krakowie i Łodzi oraz w środowisku Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Choć stan liczebny tych grup i grupek raczej powiększał się, nie zdołano dokonać tego kroku, który uczynili - znacznie bardziej zagrożeni i więcej ryzykujący - dysydenci w ZSRR.

Wciąż bowiem nie było "zapalnika". Znaczną rolę odegrała dopiero akcja protestów wobec zmian w konstytucji, ale po ich uchwaleniu powróciła w istocie poprzednia sytuacja, tyle że tym razem akcja była bardziej masowa niż można się było spodziewać. Kontynuacją tego nurtu był list otwarty Edwarda Lipińskiego, ostrzegający przed brnięciem w błędy gospodarcze czy protesty przeciwko szykanowaniu kilku studentów za "antypaństwowe wypowiedzi". Dyskutowano nad powołaniem - wzorem dysydentów radzieckich - komitetu obrony praw człowieka. Na tym tle pewnym ewenementem było ukazanie się w majowym numerze londyńskiego "Tygodnika Polskiego" (i kolportowanie w maszynopisach w kraju) programu Polskiego Porozumienia Niepodległościowego (PPN), założonej przez Najdera, mocno zakonspirowanej grupy. Dokument PPN stawiał przed opozycją szerokie zadania, nie uchylając się od postulatów niepodległościowych i akcentując potrzebę porozumienia z narodami mieszkającymi na wschód od Polski. Grupa ta jednak była zaledwie paroosobowa i stawiała sobie raczej zadania opiniotwórcze niż organizujące społeczeństwo.

Wydarzenia zmieniły wymiar po nieudanej podwyżce cen z czerwca 1976 r., a właściwie po represjach, które spadły na robotników z Radomia i Ursusa. Choć strajki z 25 czerwca nie przybrały tak drastycznych form jak w 1970 r., MO nie używała broni palnej, zasięg postrajkowych represji był niewiele mniejszy niż po Grudniu. W kilkunastu fabrykach - także w Gdańsku, Grudziądzu, Łodzi, Warszawie, Starachowicach, Nowym Targu, Płocku - zwalniano z pracy lub wydatnie pogarszano warunki płacowe wielu tysiącom robotników. Prawdopodobnie ok. 2,5 tys. było zatrzymanych, ponad 350 zostało skazanych w trybie przyspieszonym na kary aresztu i dotkliwe grzywny, wszczęto ok. 500 postępowań sądowych. Szczególnie w Radomiu panowała atmosfera strachu przy całkowitej bezkarności brutalnych i pozaprawnych działań MO i SB oraz usłużności sądów.

Do połowy lipca powstało kilka "listów otwartych" i apeli, a 17 lipca na korytarzach warszawskich sądów - w których odbywały się procesy robotników z Ursusa - nawiązane zostały kontakty między środowiskami opozycyjnymi a rodzinami sądzonych. Zaczęto zbieranie pieniędzy, adwokaci udzielali bezpłatnie porad prawnych, opiekowano się rodzinami aresztowanych, a wyroki - zwłaszcza w Radomiu - były bardzo surowe: 4-10 lat. Po pewnych wahaniach,

23 września 1976 r. przyjęto tekst "Apelu do społeczeństwa i władz PRL", który podpisało 14 osób. W większości były to osoby starsze, cieszące się autorytetem moralnym, ale na ogół nie znane szerszemu ogółowi. M.in. Antoni Pajdak (skazany wkrótce po procesie "szesnastu"), Ludwik Cohn (skazany w procesie PPS-WRN w 1948 r.), Józef Rybicki (komendant Kedywu Okręgu Warszawskiego AK i członek Komendy WiN, więzień z okresu stalinowskiego), ks. Jan Zieja (naczelny kapelan Szarych Szeregów). Powszechniej znani byli prof. Edward Lipiński, jeden z czołowych polskich ekonomistów, czy Aniela Steinsbergowa, adwokatka popularna po serii procesów rehabilitacyjnych z lat 1956-1957. Najbardziej znany był niewątpliwie Jerzy Andrzejewski, uważany za jednego z najlepszych pisarzy polskich po wojnie. Wśród owej czternastki byli także - i oni odgrywali główną rolę w przygotowaniu "Apelu" i w organizacji pomocy - ludzie o wiele młodsi: Jan Józef Lipski, Piotr Naimski oraz Antoni Macierewicz i Jacek Kuroń, którzy byli faktycznymi inicjatorami powołania Komitetu Obrony Robotników (KOR). Taką nazwę przyjęli sygnatariusze. 28 września ukazał się pierwszy Komunikat KOR, który zapoczątkował nieprzerwaną historię tzw. drugiego obiegu - wydawnictw ukazujących się poza zasięgiem cenzury.

Aczkolwiek KOR stawiał sobie ograniczone zadania - obrony represjonowanych po 25 czerwca 1976 r. oraz ujawniania przypadków łamania prawa - z samej natury systemu stawał się organizacją polityczną i tak był przez władze traktowany. Już 22 października 1976 r. odbyła się u Stanisława Kani, sekretarza KC PZPR, w którego gestii znajdowało się m.in. MSW i instytucje wymiaru sprawiedliwości, narada, na której przedstawiciele SB postulowali podjęcie zdecydowanych działań wobec uczestników akcji KOR. Rządząca ekipa uznała jednak, że zbyt drastyczne środki byłyby niewskazane i stanowisko takie podtrzymywała - z rzadkimi odstępstwami - przez cały czas. W późniejszym o dwa lata dokumencie wewnątrzpartyjnym pt. "Przeciwdziałania antysocjalistycznym elementom" pisano, że zasadniczym zadaniem jest "polityczna izolacja antysocjalistycznych grup", ale dodawano także, iż "poważne zadania w walce z politycznym przeciwnikiem realizują organa MSW i prokuratury [...]. Dotychczas nie posługujemy się [...] metodą więzień i procesów. Jest to świadectwo naszej siły, a nie słabości. Być może, że trzeba będzie sięgać i do tych najbardziej ostrych środków. Dziś jednak słusznie realizowany jest kierunek na nękanie przeciwników i to trzeba konsekwentnie realizować".

W istocie kierownictwo PZPR było w niezręcznej sytuacji. Dbając, z różnych powodów - zarówno prestiżowych, jak i ekonomicznych - o obraz Polski jako państwa nie tylko "dynamicznie rozwijającego się", ale także demokratycznego, nie mogło sobie pozwolić na nagłą utratę tej opinii. Także Breżniew dawał przykłady pewnej elastyczności wobec dysydentów - w początkach 1974 r. Sołżenicyna ekspulsowano z ZSRR, a w grudniu 1976 r. Władimira Bukowskiego "wymieniono" na chilijskiego komunistę Luisa Corvalana. Jakąś rolę odgrywało zapewne także poczucie pewności siebie i przekonanie - w zasadzie słuszne - o słabości przeciwnika. Istnienie opozycji było pewnym komfortem, na który można było sobie pozwolić. Przyjęto więc "kierunek na nękanie" i to wykonywano konsekwentnie, nieliczne zaś próby "przykręcenia śruby" - jak w maju 1977 r., po zabójstwie w nie wyjaśnionych okolicznościach krakowskiego współpracownika KOR Stanisława Pyjasa - raczej zwiększały determinację opozycji niż ją

osłabiały, a nadto powodowały natychmiastowe odgłosy w światowej opinii publicznej.

Nękanie polegało głównie na krótkotrwałych zatrzymaniach, rewizjach, konfiskatach, wyrzucaniu z pracy, odmowie wydawania paszportów, karaniu grzywnami. Nierzadkie były jednak i pobicia (przez "nieznanych sprawców"), uszkadzanie samochodów, najścia bojówek na mieszkania, w których odbywały się zebrania, wykłady czy odczyty. Prowadzono także różnego rodzaju "gry operacyjne" mające skłócić różne środowiska opozycyjne między sobą oraz doprowadzić do wewnętrznych rozłamów w poszczególnych grupach. Z różnym nasileniem prowadzono też kampanie propagandowe mające na celu dyskredytację - przez oczernianie lub ośmieszanie - poszczególnych grup lub osób. Do stałego repertuaru należała oskarżanie o "służbę w niepolskich interesach" (ale bez zarzutów o szpiegostwo).

Wszystko to jednak było mało skuteczne i środowiska opozycyjne stopniowo powiększały się, wkraczały na nowe tereny aktywności: Nie dezawuował ich Kościół instytucjonalny, a niektórzy księża wręcz angażowali się w działalność opozycyjną (wspomniany już ks. Jan Zieja, ale także o. Ludwik Wiśniewski, ks. Czesław Sadłowski, ks. Stanisław Małkowski, ks. Bronisław Dembowski), co byłoby niemożliwe bez - przynajmniej cichego - przyzwolenia biskupów: Od jesieni 1976 r. istnienie opozycji było stałym elementem pejzażu politycznego, choć nie wywierała ona poważniejszego wpływu na życie ogółu obywateli. Momenty, w których zdołała zmobilizować da zbiorowych wystąpień większe liczby ludzi, były stosunkowo rzadkie: w maju 1977 r. po śmierci Pyjasa demonstrowało w Krakowie kilkanaście tysięcy studentów, w latach 1978 i 1979 parotysięczne tłumy obchodziły pod Stocznią Gdańską rocznicę Grudnia, po kilkaset osób gromadziły w Warszawie obchody 11 Listopada i 3 Maja. Niektóre działania mające na celu wywieranie nacisku na władze przynosiły jednak zamierzone skutki. Tak było z pierwszoplanowym zadaniem, które postawił sobie KOR: do lata 1977 r. wyszli z więzień wszyscy skazani za udział w rozruchach radomskich.

Powstanie KOR, który - w odróżnieniu od PPN - publikował nazwiska swych członków, rozpoczęło nową fazę ruchów opozycyjnych. Był to początek także i dlatego, że wnet w ślady Komitetu poszły inne środowiska, które przyjęły podobną taktykę jawności. Była to taktyka bliższa działaniom typu obywatelskiego nieposłuszeństwa niż politycznej konspiracji, choć oczywiście znaczna część struktur - przede wszystkim poligrafia i kasy - funkcjonowała tajnie.

25 marca 1977 r. kilkanaście osób, w tym Andrzej Czuma i Leszek Moczulski, podpisało apel "Do społeczeństwa polskiego" i zawiązało Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO). Nowa inicjatywa miała charakter konkurencyjny wobec KOR, a faktyczną przyczyną powstania ROPCiO były nie tyle rozbieżności osobiste (choć i tych nie brakło), ale różnice w ocenie perspektyw i celów oraz odwołań do tradycji ideowej. O ile KOR był, w pewnym sensie, naturalną kontynuacją ugrupowań lewicowo-liberalnych i katolików o tendencjach personalistycznych, o tyle ROPCiO nawiązywał do tradycji piłsudczykowsko-niepodległościowej oraz nurtów chadeckich i obozu narodowego. W Ruchu w ciągu 1978 r. doszło do ostrego podziału, którego leaderami byli z jednej strony (bardziej narodowej) Czuma, z drugiej (wyraźnie piłsudczykowskiej) Moczulski. Wyodrębniła się też gdańska grupa młodzieżowa, która - na czele z Aleksandrem Hallem - powołała Ruch Młodej

Polski (RMP). W rezultacie tych podziałów powstała, pod egidą Moczulskiego, Konfederacja Polski Niepodległej (1 września 1979 r.). Była to pierwsza organizacja, która zadeklarowała się jako partia polityczna.

Na obrzeżu tych głównych środowisk w latach 1977-1979 powstawały liczne inicjatywy kierujące się do konkretnych grup społecznych: Studencki Komitet Solidarności (SKS), utworzony w Krakowie w trakcie manifestacji po zabójstwie Stanisława Pyjasa; utworzone w styczniu 1978 r. Towarzystwo Kursów Naukowych (TKN), nawiązujące zarówno formami działalności, jak i nazwą do aktywności lewicowych "niepokornych" z przełomu wieków; w tym samym roku powstał Tymczasowy Komitet Samoobrony Chłopskiej Ziemi Lubelskiej (pod wpływami ROPCiO) i podobny Komitet Ziemi Grójeckiej (pod wpływami KOR). Z punktu widzenia politycznego - i strategicznego - najważniejsze były wszakże inicjatywy dotarcia do robotników. Początek zrobił KOR wydając od września 1977 r. "Robotnika", nawiązując tytułem do tradycji socjalistycznej, ale zarazem i postaci Józefa Piłsudskiego. W marcu 1978 r. Kazimierz Świtoń z Katowic podjął, częściowo tylko udaną, próbę utworzenia Wolnych Związków Zawodowych (zbliżonych do ROPCiO), a kilka tygodni później zorganizowała się analogiczna (lecz powiązana z KOR) struktura w Gdańsku. Gdańskie WZZ - wspierane przez KOR i grupę Ruchu Młodej Polski - nie tylko zorganizowały udane manifestacje w rocznicę strajków z 1970 r., ale wydawały "Robotnika Wybrzeża". Przewaga inicjatywy gdańskiej wynikała zarówno z większej determinacji ludzi mających świeżo w pamięci krwawą rozprawę sprzed ośmiu lat, jak i włączenia się do ruchu silnej grupy inteligenckiej. Leaderami gdańskiego WZZ byli m.in. członek KOR Bogdan Borusewicz, Joanna i Andrzej Gwiazdowie, Anna Walentynowicz. Aktywnością i wytrwałością szybko zaczął wyróżniać się 35-letni elektryk Lech Wałęsa.

Choć działalność związku z Trójmiasta miała charakter lokalny, władze dosyć szybko zorientowały się w zapalnym charakterze tej formy aktywności opozycyjnej. Ekipa Gierka uznała za "zadanie o szczególnie doniosłej wadze ochronę zakładów przemysłowych [...] przed penetracją przeciwnika". W początkach 1979 r. w aparacie SB wyodrębniono osobny Departament III A, mający za zadanie "ochronę gospodarki narodowej" - bynajmniej nie przed szpiegami: Jedną z najważniejszych form aktywności opozycji był ruch wydawniczy, który wypełniał nie tylko funkcje organizacyjne i informacyjne; ale był forum krystalizowania się programów oraz debat politycznych. Niemniej ważne były też publikacje podważające legitymizacji systemu zarówno przez odkłamywanie tradycji i wypełnianie dotkliwych luk w świadomości historycznej, jak i bezpardonową krytyk stanu gospodarki narodowej oraz zasad rządzenia nią. Po "Komunikacie KOR" i "Biuletynie Informacyjnym" tej samej grupy oraz - anonimowym - piśmie "U progu", przyszła fala mniej lub bardziej regularnie wydawanych czasopism: literacki "Zapis" (od stycznia 1977 r.), pisma ROPCiO - "Opinia" i "Droga", później organ KPN "Gazeta Polska", pismo młodszej generacji pisarskiej "Puls", czasopisma o charakterze teoretyczno- i historycznopolitycznym "Głos" i "Krytyka", wydawane przez odmienne orientacje wewnątrz KOR (pierwsze - Macierewicza, drugie - Michnika), lubelskie "Spotkania", pismo grupy młodych intelektualistów warszawskich "Res Publica". W sumie było kilkadziesiąt tytułów.

Ważnym elementem - zwłaszcza w "walce o świadomość" - były wydawnictwa. Pierwszym, regularnie drukującym książki i broszury (także czasopisma) oraz najbardziej skutecznym była Niezależna Oficyna Wydawnicza ("NOWa"), która w ciągu kilku lat opublikowała blisko 100 pozycji. Krócej istniały lub mniej publikowały Wydawnictwo im. Konstytucji 3 Maja, Krakowska Oficyna Studencka, "Klin", Biblioteka "Głosu" czy Biblioteka "Spotkań". Istotną część wydawniczego repertuaru stanowiły przedruki książek emigracyjnych, zwłaszcza z historii Polski, ale ukazywały się też dzieła oryginalne - m.in. Tadeusza Konwickiego (Kompleks polski, 1977 r. i Mała apokalipsa, 1979 r.), Juliana Stryjkowskiego (Wielki strach, 1980 r.), Jerzego Andrzejewskiego (Miazga, 1979 r.) - oraz polskie pierwodruki tłumaczeń m.in. G□ntera Grassa (Blaszany bębenek, 1979 r.) czy Bohumila Hrabala (Zbyt głośna samotność, 1978 r.). Posiłkując się edycjami emigracyjnymi wprowadzono na polski rynek czytelniczy m.in. poezje Czesława Miłosza, pięciotomowe Dzienniki Witolda Gombrowicza, Inny świat Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, antytotalitarne, słynne 1984 oraz Folwark zwierzęcy George'a Orwella. Ukazały się też, oczywiście, książki i broszury polityczne. Najgłośniejsze z nich były Adama Michnika Kościół, lewica, dialog (1977 r.) - będąca w pewnym stopniu odpowiedzią na Rodowody niepokornych Bohdana Cywińskiego - i Rewolucja bez rewolucji Leszka Moczulskiego (1979 r.).

Od chwili ukazania się pierwszego numeru "Zapisu" pewna - ale powiększająca się - część środowiska literackiego przeniosła się z oficjalnych, państwowych wydawnictw do niezależnych pism i oficyn. Było to o tyle naturalne, iż wielu pisarzy i poetów różnych pokoleń od dawna związanych było z najrozmaitszymi formami działalności kontestacyjnej. O zasięgu wydawnictw obywających się bez cenzury świadczyć mogą szacunkowe dane SB, wedle których w latach 1978-1979 skonfiskowano ok. 440 tys. egzemplarzy ulotek, czasopism i druków zwartych, 121 powielaczy, 106 maszyn do pisania, 1770 ryz papieru i 113 kg farby drukarskiej.

Bezpośredni zasięg oddziaływania środowisk opozycyjnych trudny jest do jednoznacznego oszacowania. Działało w nich lub blisko współpracowało od kilkuset - w 1976 r. - do kilku tysięcy osób. Niektóre druki kolportowane były w nakładach parotysięcznych, a na pewne manifestacje przychodziło po 4-5 tys. osób. Istotną rolę w informowaniu społeczeństwa o istnieniu i działaniach opozycji odgrywała Rogłośnia Polska Radia Wolna Europa, której audytorium zawsze wzrastało w chwilach większych napięć społecznych czy ważniejszych wydarzeń. Mimowolną "reklamę" robiła też propagana da skierowana przeciwko opozycji. Uformowanie się opozycji stało się impulsem do podjęcia działań przez kilku publicystów należą cych do PZPR, którzy próbowali odnowić tendencje reformatorskie Znany dziennikarz Stefan Bratkowski stał się animatorem grup "Doświadczenie i Przyszłość" (DiP), w której uczestniczyły także osoby związane z opozycją.

W skali ogólnospołecznej wpływy grup opozycyjnych - czy opozycji jako całości - miały jednak charakter enklawowy: stosunkowo silna w niektórych środowiskach studenckich i intelektualnych (a szerz rzecz biorąc wśród inteligencji), w kilku skupiskach robotniczy " (największe w Gdańsku i Gdyni), w parunastu - rozproszonych - gminach wiejskich. W zasadzie można by przyznać rację ekipie Gierka, że nie miała istotnych obaw co do tego, aby grupy opozycyjne były w stanie wywołać masowe wystąpienia. Niektóre z

ni - zwłaszcza KOR - obawiały się ich zresztą sądząc, że zbiorowe protesty staną się pretekstem do zdławienia wątłych wciąż struktur. Wszelako potencjał organizacyjny (kontakty, poligrafia, doświadczenie w pracy nielegalnej), który powstał po 1976 r., był już znacz bariery lęku obniżone. Zaistniała też prefiguracja pluralistycznej sceny politycznej. Natomiast nastroje społeczne były dla władz coraz bardziej niekorzystne i zmieniały się w miarę pogarszania s sytuacji gospodarczej. Zróżnicowana i skłócona, ale zorganizowana i rosnąca opozycja oraz narastające niezadowolenie znacznej części społeczeństwa przy wydatnie obniżonym autorytecie rządzą ekipy - to było już realne zagrożenie.

Emigracja w epoce odprężenia

Zapoczątkowane w 1956 r. "rozmiękczanie" emigracji trwało - w zmiennym tempie i z różnymi skutkami - przez następne lata. Aczkolwiek zdecydowana większość "emigracji kombatanckiej" zachowywała daleko idącą rezerwę wobec poczynań Towarzystwa "Polonia" i bojkotowała organizowane przez nią akcje i imprezy, instytucja ta - ściśle kontrolowana przez MSZ i MSW - zdobyła

wiele kontaktów wśród "starej", zarobkowej emigracji. Zjawisko to przybrało stosunkowo pokaźny zasięg szczególnie w latach 70., kiedy to w licznych imprezach "polonijnych" organizowanych w kraju - festiwalach folklorystycznych, zawodach sportowych, koloniach dla dzieci - brały udział środowiska emigranckie nie tylko z Europy Zachodniej, ale także Kanady i Stanów Zjednoczonych.

Wiele osób wywodzących się z emigracji powojennej łamało społeczny bojkot i przyjeżdżało do kraju. Pewne próby wejścia do środowisk kombatanckich podejmował nawet ZBoWiD, organizacja całkowicie podporządkowana PZPR. Stosunek do wydarzeń w Polsce w dalszym ciągu wpływał na podziały w emigracji, choć nie osiągały one takiego napięcia jak w latach 7956-1957. Niemniej m.in. na tym tle doszło do rozłamu w PPS (na grupy Adama Ciołkosza i Zygmunta Zaremby), nadal też swoje dwa grosze wtrącał aparat bezpieczeństwa (m.in. sprowokował kolejny - trzeci już rozłam - w PSL). Konfliktom towarzyszyły cały czas próby zażegnania podziałów-żenulących i utrwalających negatywny obraz emigracji oraz ułatwiających "antylondyńską" propagandę uprawianą z dużym natężeniem przez władze PRL. Pewne rozładowanie kontrowersji przynosiła po prostu biologia: w latach 60. zmarło wielu protagonistów walk politycznych. Odeszli m.in. Jan Kwapiński (1964 r.), Stanisław Mikołajczyk i Tadeusz Bór-Komorowski (1966 r.), Marian Seyda i Zygmunt Zaremba (1967 r.), Kazimierz Sosnkowski (1969 r.). W 1970 r., wobec posuniętego wieku prezydenta Augusta Zaleskiego, kontakty między "Zamkiem" a opozycyjną Egzekutywą Zjednoczenia Narodowego nasiliły się i wreszcie - dzięki pośrednictwu prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej, Alojzego Mazewskiego - doszło do zawarcia kompromisu. Po śmierci Zaleskiego (7 kwietnia 1972 r.) jego następca, Stanisław Ostrowski, zobowiązał się do wypełnienia porozumień, rozwiązane zostały wszystkie opozycyjne instytucje (Rada Jedności Narodowej, Rada Trzech, Egzekutywa). W 1979 r., po zakończeniu 7-letniej kadencji, Ostrowski ustąpił, urząd objął Edward

Raczyński. "Arka niepodległości" - jak mawiano w pierwszych latach po wojnie - odzyskała swoje symboliczne znaczenie, ale nie mogło to już zmienić pozycji politycznej "polskiego Londynu". Resztki Państwa na Obczyźnie nie liczyły się zupełnie na arenie międzynarodowej, a ich autorytet wśród emigracji - i "kombatanckiej", i "starej", polonijnej - nie wystarczał, aby nadać większe znaczenie władzom i instytucjom II Rzeczpospolitej.

Emigracja "kombatancka", dominująca w Wielkiej Brytanii, licząca się we Francji i wyraźnie zespalająca się z Polonią w Ameryce, nie traciła jednak impetu w sferach pozapolitycznych. Funkcjonowały, a nawet rozwijały działalność, instytuty naukowe (m.in. Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, Instytut Nauk i Sztuki w Ameryce, Instytut im. gen. Sikorskiego w Londynie), ukazywały się nadal czasopisma, w tym także dzienniki. W 1971 r. utworzony został Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny (POSK) w Londynie. W listopadzie 1975 r. odbył się, licznie obesłany, Kongres Polonii Wolnego Świata, który był udaną kontrofensywą wobec coraz natarczywiej atakującego środowiska intelektualne i inteligenckie Towarzystwa "Polonia". Ułatwienia w wyjazdach z kraju wzmacniały oddziaływanie emigracji, choć proces wchłaniania przez nią tych, którzy zdecydowali się "wybrać wolność", był powolny. Wynikało to wszakże przede wszystkim z charakteru nowego wychodźstwa, które było nieomal wyłącznie ekonomiczne i od emigracji

oczekiwało raczej pomocy materialnej niż strawy duchowej. Niemniej przysparzało pismom i wydawnictwom czytelników, częściowo rekompensując skutki wymierania starszych generacji i szybkiego procesu depolonizacji ich potomstwa.

W latach 60. w oddziaływaniu na kraj utrwaliła się wyraźna przewaga nietradycyjnych formuł emigracyjnych. Radio Wolna Europa, choć ponownie zagłuszane, miało w kraju spore audytorium. Wytrwale zwalczana "Kultura" wyraźnie rozszerzała swój zasięg. Dla obu tych środowisk spore znaczenie miały "wydarzenia marcowe" 1968 r., a właściwie ich reperkusje: współpracę z Nowakiem i Giedroyciem podjęła grupa osób "relegowanych" z Polski. Ich pojawienie się na Zachodzie ułatwiło też kontakty z krajowymi ośrodkami kontestatorskimi. Szczególną rolę odegrał tu Instytut Literacki z Maison Laffitte, którego leader usiłował nawet organizować pierwociny opozycji (tzw. sprawa taterników, grupy osób zbierających materiały dla "Kultury" i przemycających ją na szerszą skalę do kraju). Emigracja pomarcowa miała też swoje ambicje polityczne, których wyrazem były zarówno teksty Leszka Kołakowskiego w "Kulturze", jak i pojawienie się kwartalnika "Aneks" wydawanego przez Aleksandra Smolara. Dzięki dobrym kontaktom między "pokoleniem marca '68" a "Kulturą" i Wolną Europą wpływ obu tych instytucji na wydarzenia w kraju wykroczył poza oddziaływanie czysto informacyjne.

Stało się to oczywiste, gdy w 1976 r. pojawiła się w Polsce zorganizowana - i działająca z otwartą przyłbicą - opozycja. Z pomocą jej pospieszyła także znaczna część "emigracji kombatanckiej", tworząc w marcu 1978 r. Fundusz Obrony Wolności Słowa i Praw Ludzkich w Polsce. Już nie tylko od dawna nastawione na kraj RWE i "Kultura", ale także instytucje symbolizujące niepodległą Rzeczpospolitą znalazły realny kontakt z krajem. Była to, jak się miało okazać, najbardziej skuteczna droga do podniesienia

ich autorytetu. Samopoczucie emigracji niezwykle poprawiło się po wyborze papieża Polaka, co podniosło w oczach opinii światowej prestiż nie tylko Polski, ale i wychodźców z ojczyzny kardynała Wojtyły. Podobny wpływ miały strajki z lata 1980 r., a przede wszystkim powstanie "Solidarności". Wszystko to zarazem budziło sympatię do Polski; odczuwaną także przez emigrantów, jak i przyczyniło się do daleko; idącej reorientacji ich postaw: zaangażowanie nieomal wszystkich środowisk wychodźczych skierowało się na kraj. Stan ten pogłębił się - nie tylko w sferze emocjonalnej - po wprowadzeniu stanu wojennego, który ponadto przyspieszył procesy migracyjne z kraju: "Żelazna kurtyna" zbudowana przez Armię Czerwoną w 1945 r. dzieliła nie tylko wschód i zachód Europy. Dzieliła także Polaków: Niezwykle szczelna w latach 1949-1956, coraz bardziej "dziurawa po 1956 r., przemieniała się stopniowo - pod naciskiem obu strat - w "rzeszoto".

"Habemus papam!"

Zmiany dokonane w grudniu 1970 r. Kościół powitał z ostrożnym optymizmem. Rada Główna Episkopatu, obradująca 29 grudnia, omówiła 10-punktowy katalog postulatów, postanowiono jednak wstrzymać się z inicjatywą w oczekiwaniu na przebieg kolejnego posiedzenia plenarnego KC PZPR, gdyż uznano, że VII Plenum (20 grudnia) załatwiło tylko sprawy personalne, nie definiując strategii politycznej. I tak się stało - 3 marca 1971 r. doszło do spotkania prymasa Wyszyńskiego z premierem Jaroszewiczem, podczas którego głowa Kościoła przedstawiła swoje propozycje. Najważniejsze z nich dotyczyły uznania charakteru publicznoprawnego Kościoła, zapewnienie mu swobody działania, ograniczenia kompetencji Urzędu ds. Wyznań, niestawiania przeszkód w rozwoju organizacji świeckich, dostępu do środków masowego przekazu oraz zaprzestania blokowania budownictwa sakralnego. W ogłoszonej

kilka miesięcy później deklaracji Episkopat zapewniał, że "nie chce tworzyć opozycji politycznej i nie mobilizuje sił społecznych do walki z ustrojem konstytucyjnie ustanowionym", a także, że "nie kwestionuje ani też nie podważa zawartych przez rząd sojuszy".

Była to propozycja zawarcia swoistego Treuga Dei, ale kierownictwo PZPR - nie zamierzając zaostrzać stosunków z Kościołem - nie myślało pójść na ustępstwa w sprawie przyznania statusu publicznoprawnego, dostępu do radia i telewizji i nauczania religii w szkołach. Częściej przyznawano zezwolenia na budowę nowych kościołów, ustała większość publicznych szykan - rzadkich już zresztą od 1967 r. - a najwidoczniej zmieniła się sytuacja Kościoła na ziemiach poniemieckich. W czerwcu 1971 r. ustawa uregulowała prawo własności na tych terenach, a rok później - po obustronnej ratyfikacji układu Gomułka-Brandt - Paweł VI ogłosił bullę "Episcoparum Poloniae coetus", ustanawiając siedem diecezji w Polsce Zachod niej i Północnej. Już od wiosny 1971 r. trwały rozmowy przedstawi cieli władz z Watykanem, których finałem była wizyta min. Olszowskiego (w listopadzie 1973 r.) i ustanowienie "stałych kontaktów roboczych" między Warszawą a Stolicą Apostolską. W tej akcji dyplomatycznej starano się kontynuować próby - po raz pierwszy podjęte w latach 1946-1947 - ustanowienia stosunków z

Watykanem bez pośrednictwa Kościoła polskiego i jego biskupów, co jednak kolejny raz nie powiodło się.
O trwałości założeń przyjętych jeszcze w czasach PPR, których nie zmieniły żadne "odnowy", świadczyła też polityka władz wobec organizacji zrzeszających katolików. W czerwcu 1971 r. Bolesław Piasecki wybrany został na członka Rady Państwa, co oznaczało, i nowa ekipa upatruje w PAX uprzywilejowanego kontrahenta. Nie zaprzestano też ingerowania w działalność innych stowarzysze a zwłaszcza sprawiającego największe kłopoty środowiska "Znak i związanych z nim Klubów Inteligencji Katolickiej, które liczyły już ok. 1,7 tys. członków. Administracja wsparła grupę Zabłockiego w sporze o bazę materialną środowiska i w wyborach do Sejm z 1976 r. mandaty "znakowskie" otrzymali zwolennicy współpracy z władzami, zbliżonej do tej, którą uprawiał PAX. Podtrzymywa też przy życiu Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne (ChS pełniące rolę "dublera" PAX. Nie było mowy o zwróceniu Kości łowi "Caritasu", który był dogodnym instrumentem organizowani księży posłusznych wskazówkom Urzędu ds. Wyznań. Nie podejmowano żadnych kroków w celu rozluźnienia kontroli SB nad działalnością kleru. Odwrotnie: Departament IV był rozbudowywany i w 1973 r. zatrudniał w centrali i terenie ok. 900 funkcjonariuszy oraz powiększał sieć agentów. Nie ustawały drobne szykany, a budownictwo sakralne wciąż natrafiało na rozliczne utrudnienia. Mi iż nie dochodziło do ostrzejszych publicznych spięć, stosunki państwo - Kościół w najlepszym razie mogły być uznawane za poprawne.
W istocie bowiem poza wyraźnymi ustępstwami w sprawie sytuacji Kościoła na ziemiach zachodnich, żadne inne postulaty Episkopatu nie były realizowane, a centralizacyjne poczynania władz stwarzały - jak uważał prymas - nowe zagrożenia. Episkopat nie wahał się dawać wyrazu swoim niepokojom. We wrześniu 1973 r. ogłoszono dokument dotyczący dyskutowanej właśnie reformy w oświacie zdecydowanie przypominając, że "u podstaw wszelkiego prawdziwie humanistycznego systemu wychowawczego musi znaleźć się prawda o godności człowieka". Biskupi cytowali też za encykliką Jana XXIII "Pacem in terris" tezę głoszącą ścisły związek pokoju międzynarodowego z poszanowaniem praw człowieka.
Szczególnie mocno zabrzmiało kazanie poświęcone władzy świeckiej wygłoszone przez prymasa Wyszyńskiego w warszawskiej katedrze (w cyklu tzw. kazań świętokrzyskich) 27 stycznia 1974 r. Metropolita wskazał, iż boskie pochodzenie władzy nie oznacza jej nieograniczoności, a przeciwnie - podporządkowana jest ona zarazem "władzy stwórcy" jak i "ładowi przyrodzonemu". Podkreślił też - co było związane m.in. ze wspomnianym już procesem unifikacji organizacji młodzieżowych - niezbywalność prawa do "wolności koalicji, czyli zrzeszania się dla swoich celów" oraz przypominał o prawie do "wolności prasy, opinii publicznej, wydawnictw, dyskusji, rozważań i badań naukowych". Kontynuacją tych wystąpień było stanowisko Episkopatu i prymasa wobec zmian w konstytucji, i jak się wydaje właśnie głos Kościoła najbardziej zaważył na korektach dokonanych w projekcie.
W trudnym dla PZPR roku 1976 Kościół, unikając jakiegokolwiek ekscytowania wiernych, stanął w obronie bitych, wyrzucanych z pracy i skazywanych. W piśmie z lipca zwracano się o amnestię dla uwięzionych, a w komunikacie z Konferencji Episkopatu (8-9 września) biskupi wzywając do "rzetelnej pracy", zwracali jednocześnie uwagę, iż jej warunkiem jest

"zaufanie do władzy". Z kolei w dokumencie z listopada podnoszono związek między rozwiązaniem trudności gospodarczych a "poszerzeniem i zabezpieczeniem wolności obywatelskich". Wyraźne jednak było, iż prymas nie zamierza wykorzystywać niepowodzeń rządu i dotkliwego spadku autorytetu władz. Wobec zorganizowanej opozycji hierarchia nie zabierała głosu i dopiero w czerwcu 1978 r. - w wymianie listów z Urzędem ds. Wyznań - prymas Wyszyński wystąpił zdecydowanie w obronie TKN i "latającego uniwersytetu", którego wykłady atakowane były przez młodzieżowe bojówki.

Jednak, jak już pisałem, ani Episkopat, ani prymas nie hamowali - w każdym bądź razie publicznie - tych duchownych, którzy wspierali opozycję bądź nawet sami się w jej działalność angażowali. Kościoły, które w powojennej Polsce właściwie nigdy nie przestały być miejscem, w którym szersza publiczność mogła wyrażać swoją niechęć lub wrogość wobec władzy komunistycznej - a przynajmniej słuchać słów kaznodziejów krytycznych wobec systemu - były dla różnych grup opozycyjnych często po prostu azylem. Tak było zarówno w przypadku trzech zbiorowych głodówek organizowanych przez KOR, jak i wielu manifestacji, które brały początek po mszach odprawianych w intencji obchodzonej rocznicy. Dosyć szczególna stawała się też rola, zainaugurowanych w połowie lat 70., Tygodni Kultury Chrześcijańskiej, w czasie których wytrwale wkraczano na teren kultury narodowej nie ograniczając się bynajmniej do twórców i tematów religijnych. Kościoły stawały się ważnym forum dla twórców opozycyjnych czy źle widzianych przez władze. Wiernych nie dziwiło już, że w świątyniach recytowane są wiersze Słonimskiego czy Miłosza. Sankcję temu nadał osobiście prymas wprowadzając (maj 1977 r.) do wieczoru poezji utwory Mieczysława Jastruna i Wiktora Woroszylskiego, jednego z organizatorów wychodzącego poza cenzurą "Zapisu" i gorliwego propagatora "nowego" w początkach lat 50. "Słowo nie może zginąć", stwierdził kardynał.

Dla ekipy Gierka stosunki z Kościołem były tym ważniejsze, im bardziej pogłębiały się trudności gospodarcze. Istniały jednak niezwykle silne bariery zarówno ideologiczne, jak i polityczne, które powodowały, że polityka władz wobec Episkopatu i duchownych była pełna niespodziewanych wolt i dwulicowa. Komuniści mieli też swoje non possumus, gdyż wypełnienie postulatów Kościoła i jego wskazań zawartych chociażby w homiliach biskupów lub oficjalnych dokumentach oznaczałoby po prostu głęboką zmianę całego systemu. Toteż starając się o zachowanie pozorów, troszcząc się o pełne rewerencji traktowanie prymasa i nieraz chwaląc wręcz papieża, w najważniejszych sprawach nie ustępowano właściwie ani na cal. Nie zostały podjęte żadne działania zmierzające do przyznania praw publicznych, nie było mowy o powrocie religii do szkół, nie zaprzestano ateizacji, działalność wydawnicza była ściśle reglamentowana a nakłady ograniczane, zgody budowlane wydawane były z wyraźną niechęcią i nader oszczędnie.

Urząd ds. Wyznań i jego terenowe instancje oraz MSW wytrwale penetrowały kler i laikat, a do stałego obowiązku Departamentu IV należało analizowanie kazań wygłaszanych przez biskupów i comiesięczne raportowanie o wypowiedziach "zawierających negatywne akcenty społeczno-polityczne". Niepokój władzy pogłębiała sympatia wielu księży do działań opozycji, ale niezadrażnianie było główną wytyczną. "Mimo wielu powodów - pisano w jednym z poufnych dokumentów - do ostrej oceny niektórych poczynań poszczególnych biskupów i oficjalnych oświadczeń Episkopatu, trzeba z całą konsekwencją

realizować linię cementowania politycznej jedności narodu. Potrzebne tu jest i zdecydowanie, i cierpliwość". Owemu "cementowaniu" nadano nawet formalnie wysoką rangę. Np. w styczniu 1978 r. do deklaracji FJN wprowadzono stwierdzenie, że "Socjalistyczna Polska [...] szanuje i docenia troskę Kościoła o sprawy narodu".

Zapis ten - jak większość podobnych - był czysto deklaratywny i nie szły za nim działania, a powstał po wydarzeniu, które w oficjalnej wykładni było zwieńczeniem dotychczasowej polityki PZPR: 1 grudnia 1977 r. Paweł VI przyjął na audiencji Gierka, a obecny wówczas (nieprzypadkowo) w Watykanie prymas Wyszyński wziął udział w oficjalnym przyjęciu w Amabasadzie PRL. Choć Kościół polski przyjął rozmowę I sekretarza z Ojcem Świętym pozytywnie, nie wynikły z tego żadne nowe inicjatywy czy ustępstwa władz. Stan, który można by uznać za patowy, gdyż żadna ze stron nie chciała podejmować działań bardziej radykalnych, prymas - wzywać do nieposłuszeństwa, Gierek - nakazać aresztowania, utrwalał się, mimo że w aparacie władzy, zwłaszcza zaś w MSW, nie brakowało zwolenników odrzucenia tej "miękkiej" polityki. W istocie był on dla obu stron raczej dogodny.

Kościół coraz powszechniej postrzegany był jako jedyny rzeczywiście silny i konsekwentny przeciwnik zarówno ideologiczny, jak i polityczny monokratycznej partii, a opinia taka wykraczała daleko poza ludzi wierzących. Nawet w opinii lewicowej Zachodu postawa polskiego kleru znajdowała, jak się wydaje, coraz większe zrozumienie. PZPR natomiast - a Gierek osobiście - zbierała w dalszym ciągu "punkty" za liberalizm, wyraźny (i rzeczywisty) na tle tego, co działo się w innych krajach socjalistycznych. Toteż władze przez palce, a może nawet przychylnie, patrzyły na takie inicjatywy, jak wizyta w RFN licznej delegacji polskiego Episkopatu (20-25 września 1978 r.), co w latach Gomułki byłoby nie do pomyślenia. W końcu Niemcy były głównym dostarczycielem kredytów.

W takim stanie rzeczy zaszło wydarzenie o trudnych do przecenienia konsekwencjach: 16 października 1978 r., w ósmym głosowaniu, Konklawe wybrało na papieża metropolitę krakowskiego, kardynała Karola Wojtyłę, który przyjął (dla uczczenia swego panującego zaledwie miesiąc poprzednika) imię Jan Paweł II.

Wybór Polaka na głowę Kościoła katolickiego był ogromnym zaskoczeniem, tym większym, że od 455 lat papieżami byli wyłącznie duchowni włoscy. Dla Polaków był to radosny szok. Prestiż polskiego Kościoła w jednej chwili wzrósł niepomiernie, a kardynał Wyszyński stał się "Prymasem Tysiąclecia". Dla wielu, w tym dla środowisk opozycyjnych i kontestatorskich twórców, wyniesienie profesora KUL było także wywyższeniem polskich intelektualistów, fakt zaś, że arcybiskup Krakowa blisko współpracował z "Tygodnikiem Powszechnym" dawał nadzieję, że Kościół nie zaniecha swej, dyskretnej, pomocy. Władze natychmiast zareagowały pozytywnie niedwuznacznie przypominając, że kardynał Wojtyła pochodzi z "socjalistycznej Polski". Jeszcze w dniu wyboru wysłano depeszę gratulacyjną i wyrażono zgodę na bezpośrednią transmisję z całej uroczystości inauguracji pontyfikatu, w której uczestniczył przewodniczący Rady Państwa PRL.

Nie ulegało wątpliwości, że pojawienie się Polaka na czele Kościoła

katolickiego było dla PZPR trudnym do zgryzienia orzechem i zapowiadało dalsze, coraz większe kłopoty. Władze trzymały się jednak twardo dotychczasowej linii, a wyraźniejsze "poluzowanie" następowało właściwie tylko w sprawie budownictwa sakralnego. Naturalny - i oczekiwany - projekt odwiedzenia przez papieża ojczystego kraju, stał się przedmiotem rozlicznych zabiegów, a za zgodę na pielgrzymkę władze starały się wytargować neutralizację Kościoła wobec coraz bardziej aktywnej opozycji. Toczyły się poufne i trudne rozmowy co do trasy pobytu Jana Pawła II, tonu i kierunku jego wypowiedzi publicznych, liczby spotkań z władzami państwowo-partyjnymi, terminu rozpoczęcia wizyty (władze odrzuciły projekt połączenia jej z obchodami ku czci św. Stanisława, biskupa krakowskiego zabitego przez króla Bolesława). Zdarzały się zaognienia sytuacji, jak np. w związku z kontynuowaniem - oprotestowanej przez diecezję - budowy tunelu u wylotu głównej arterii pielgrzymkowej na Jasną Górę. Wzmocniono kontrolę SB nad klerem, co nie mogło być nie zauważone przez inwigilowanych i podsłuchiwanych. W sumie jednak odmowa byłaby - jak uznano - bardziej szkodliwa niż wizyta.

Trwająca od 2 do 10 czerwca 1979 r. pielgrzymka stała się - z czym władze chyba tylko częściowo liczyły się - jednym wielkim pasmem triumfów: na równi Kościoła, papieża i prymasa jak i wielomilionowych tłumów, które stawiły się na mszach papieskich i trasach przejazdu. Obserwatorzy podziwiali masowy udział i absolutny porządek, którego strzegli - ramię w ramię - milicjanci i ochotnicy ze "straży papieskiej". W swych homiliach Jan Paweł II nie wkraczał bezpośrednio na teren polityczny, niemniej w każdym nieomal z jego kazań znajdowały się elementy, które SB z łatwością zaliczyłaby do "negatywnych". Tak było np. w Warszawie, gdzie papież stwierdził, że "Chrystusa nie można wyłączyć z dziejów człowieka", czy w pożegnalnym wystąpieniu w Krakowie, gdy nawoływał, "abyście nigdy nie zwątpili i nie znużyli się i nie zniechęcili". Specyficzny aspekt miało kazanie w Gnieźnie, którego jednym z głównych elementów była zachęta do wspólnoty z narodami wschodnioeuropejskimi. Równocześnie papież akcentował przynależność przez chrześcijaństwo do wielkiej wspólnoty europejskiej.

Przedstawiciele władz byli kordialni, czynili wszystkie należne honory, w widoczny sposób chcieli zdyskontować swoją obecność u boku - jak mawiano - "wielkiego rodaka". Jednocześnie jednak precyzyjnie ustawiono całą machinę propagandową tak, aby umniejszyć znaczenie wizyty, a przede wszystkim ukryć masy rozentuzjazmowanych ludzi. Sprawozdania były ściśle sterowane, w transmisjach telewizyjnych "wycinano" tłumy koncentrując uwagę widzów na księżach, zakonnicach i starszych niewiastach. Manipulacja była oczywista dla każdego, kto uczestniczył w jednym bodaj spotkaniu z papieżem, a ostrożne szacunki wymieniały liczbę 8-10 mln osób.

Po wyjeździe papieża zewnętrznie nic się nie zmieniło, a linia postępowania obu głównych protagonistów została utrzymana. Także środowiska opozycyjne, które nie podjęły żadnych prób wykorzystania pielgrzymki dla propagowania swoich założeń, kontynuowały dotychczasowe formy działania. Jednak wpływ osoby i słów Jana Pawła II oraz obecność na placach i ulicach niezliczonych rzesz zdyscyplinowanych uczestników mszy papieskich, niewątpliwie zmieniły atmosferę psychiczną kraju. "Klękając przed Ojcem Świętym, Polska podniosła się z kolan" - zauważył jeden z obserwatorów. Stojącemu łatwiej walczyć.

"Fasada i tyły"

Na odbywającym się w końcu 1977 r. w Wenecji Biennale poświęconym ruchom niezależnym i dysydenckim w komunistycznej części Europy, eksponaty z Polski - przemycone przez ludzi z KOR - wystawione zostały pod tytułem "Fasada i tyły". Znalazły się tam druki i czasopisma "drugiego obiegu", fotoreportaże z pielgrzymek na Jasną Górę i do Piekar Śląskich, zdjęcia z obchodów żałobnych po śmierci Stanisława Pyjasa, kilka grafik. Stanisław Barańczak, współzałożyciel KOR, napisał w referacie na towarzyszącą wystawie sesję, że w Polsce "poza martwą bryłą fasady [...] w całkowitej opozycji do tego trwa gorączkowy ruch". Jakkolwiek nie brakło przesady w przeciwstawieniu "martwej fasady" żywotności tego, co nieoficjalne, cechą tej właśnie dekady było nie tylko powstanie i świadome kształtowanie się kultury niezależnej, ale także fakt, iż coraz więcej twórców uciekało z kręgu zamkniętego cenzurą.

Przesada sformułowania Barańczaka wynikała z polemicznej retoryki, a także z użycia nieprecyzyjnego pojęcia "fasada". Jeśli bowiem uznać za "fasadowe" wszystko to, co ukazywało się w poddanych cenzurze wydawnictwach, wystawiano w państwowych teatrach, pokazywano w państwowych kinach (i było zrobione za "państwowe" pieniądze) bez trudu można dojść do wniosku, iż "fasada" nie była bynajmniej martwa. Sam Barańczak przed 1976 r. wiele publikował w czasopismach cenzurowanych jak wszystkie inne. W polityce kulturalnej PZPR nie brakowało bowiem ambiwalencji i wahań, podobnych zresztą do tych, które cechowały ją od mniej więcej 1955 r. Istniała i dawała się we znaki cenzura, twórcy, którzy w jakiś sposób "wychylili" się politycznie, napotykali trudności czy tracili dostęp do rynku wydawniczego lub publiczności, ale wystarczało zachowanie neutralności i pewna doza autocenzury, aby nie tylko funkcjonować bez przeszkód, lecz także otrzymywać nagrody państwowe.

Jeśli za tworzących "fasadę" uznać tych twórców, którzy otrzymywali nagrody, to trzeba by powiedzieć, że - przy oczywistym premiowaniu posłusznych lub usłużnych miernot - "fasadowe laury" wręczono m.in. Jerzemu Grotowskiemu (1972 r.), Marii Ossowskiej (1972 r.) Stanisławowi Lemowi (1973 r., 1976 r.), Marianowi Brandysowi (1974 r.), Konradowi Swinarskiemu (1974 r.), Bogdanowi Wojdowskiemu (1975 r.), Andrzejowi Wajdzie (1975 r.), Kazimierze Iłłakowiczównie (1976 r.), Ryszardowi Kapuścińskiemu (1976 r.), Gustawowi Holoubkowi (1978 r.), Tadeuszowi Łomnickiemu (1978 r.), Leopoldowi Buczkowskiemu (1979 r.), Teodorowi Parnickiemu (1979 r.) czy Zygmuntowi H□bnerowi (1979 r.). Rzeczywiście pomijani byli z reguły ci, którzy jednoznacznie opowiadali się po stronie opozycji lub wyraźnie kontestowali przeciwko władzom. Nie "zauważono" (ale "widziano") Jerzego Andrzejewskiego, Jacka Bocheńskiego, Kazimierza Brandysa, Andrzeja Kijowskiego, Tadeusza Konwickiego czy Jana Józefa Szczepańskiego, lecz przecież wymienieni wyżej laureaci - a można by wskazać na innych jeszcze - należeli bez wątpienia do "pierwszej gildii" polskiej kultury.

Liberalizm był wątły i selektywny oraz sterowany taktyką polityczną Tak było w przypadku "amnestii" dla twórczości Sławomira Mrożka która wróciła

na polskie sceny w 1973 r., czy dramaturgii Witold Gombrowicza, znów obecnej od polskiej prapremiery Ślubu (reżyser Jerzy Jarocki) w 1974 r. W 1977 r. doszło do pierwszego wykonania - i to w Filharmonii Narodowej - kompozycji Andrzeja Panufnika który "wybrał wolność" w 1954 r. W 1972 r. "rehabilitowano" - po śmiertnie i wybiórczo - Kazimierza Wierzyńskiego dając zgodę na wydanie tomu jego liryki. Ośrodki dyspozycji politycznej brały też pod uwagę zagraniczną renomę twórców. Rozważano np. zachowa nie Krzysztofa Pendereckiego, który po wykonaniu jednego z jego utworów - a większość obracała się wokół tematyki biblijnej i chrystologicznej - ukląkł i ucałował pierścień obecnego na koncercie prymasa Wyszyńskiego. Ówczesny szef "pionu kultury" w KC PZPR, Wincenty Kraśko, uznał, iż pozycja Pendereckiego na forum światowym (zamawiał u niego kompozycje także sekretarz generalny ONZ), nakazuje "puszczenie w niepamięć" tego incydentu. "Fasada" nie była więc martwa, także po 1976 r., gdy coraz to nowi twórcy podejmowali decyzję o ucieczce na obszar wolny od kontroli władzy, a ci którzy uczynić tego nie chcieli - lub nie mogli, jak ludzie teatru czy filmu - borykali się z cenzorami, wydawcami, redaktorami i urzędnikami "od kultury". Choć rosła sterta zakwestionowanych lub wręcz odrzuconych maszynopisów, przybywało "półkowników", jak mówiono o filmach, które zamiast do kin trafiały do archiwów, a wydana przez KOR "Czarna księga cenzury" obrazowała zakres dokonanych spustoszeń, dekada gierkowska nie była "czarną dziurą" w polskiej kulturze.

Pokolenie '68 znalazło swój wyraz w - sekowanych, ale wystawiających - teatrach studenckich takich, jak krakowski Teatr STU czy poznański Teatr Dnia Ósmego. W pierwszej części jego przedstawiciele zdobyli dobre miejsce na "rynku" poezji i z zamiłowaniem podejmowali analizy zarówno stanu jak i możliwości młodych twórców (rozliczne wypowiedzi Stanisława Barańczaka czy Stanisława Stabro, Świat nie przedstawiony Juliana Kornhausera i Adama Zagajewskiego, 1974 r.), Rok 1974 przyniósł pierwszy tom Pana Cogito Zbigniewa Herberta, który rozpoczął swój triumfalny podbój świadomości kolejnych młodych pokoleń. Ukazało się co najmniej kilka wybitnych powieści czy dzieł prozatorskich i to zarówno przed, jak i po 1976 r., który - jak zasadnie wywiódł Barańczak - stał się jedną z ważniejszych cezur w XX-wiecznej historii kultury polskiej. Wariacje pocztowe Kazimierza Brandysa (1972 r.) czy Listopadowy wieczór Andrzeja Kijowskiego (w tym samym roku) zapewne nie mogłyby ukazać się wówczas, gdy pisarze ci sygnowali protesty, ale w 1980 r. wydana została jedna z najwybitniejszych powieści lat powojennych Obłęd Jerzego Krzysztonia. Ukazał się niewielki tomik ważnego dla debaty o polskiej świadomości eseju Tomasza Łubieńskiego Bić się czy nie bić (1978 r.), dotarły do księgarń długo czekające na zezwolenie Rozmowy z katem Kazimierza Moczarskiego (1977 r.), szybko zaliczono do klasyki wielkiego reportażu Cesarza Ryszarda Kapuścińskiego (1978 r.) czy wstrząsającą rozmowę Hanny Krall z Markiem Edelmanem Zdążyć przed Panem Bogiem (1977 r.).

Kilka wielkich inscenizacji - Biesy według Fiodora Dostojewskiego (1971 r.) czy Noc listopadową Stanisława Wyspiańskiego (1974 r.) - dał Andrzej Wajda. Przed tragiczną śmiercią (19 sierpnia 1975 r.) parę znaczących przedstawień - Wszystko dobre, co się dobrze kończy Williama Szekspira (1971 r.) i Wyzwolenie Stanisława Wyspiańskiego - przygotował Konrad Swinarski. Stałym nieomal dostawcą inscenizacji wysokiej klasy był Jerzy

Jarocki (S. I. Witkiewicza-Witkacego Szewcy w 1971 r.i Matka w 1972 r.; W. Gombrowicza Ślub; W. Szekspira Król Lear w 1977 r.; Sen o bezgrzesznej w 1979 r.). Systematycznie dawał o sobie znać, wciąż poszukujący nowych form wyrazu Kazimierz Dejmek (Operetka Witolda Gombrowicza w 1975 r.; Dialogues de passione w tym samym roku). Od 1975 r. szła przez sceny świata Umarła klasa Tadeusza Kantora i jego trupy (Cricot II). Jerzy Grotowski stał się "guru" światowej superawangardy teatralnej, a za jego przykładem powstały wcale liczne "warsztaty twórcze" próbujące tworzyć nowe wartości w kameralnych czy ulicznych spektaklach. Pod prąd romantyczno-kombatanckich stereotypów szedł Tadeusz Różewicz, którego Do piachu wystawił Tadeusz Łomnicki (1979 r.).

W opozycji do epickich skłonności Andrzeja Wajdy, raczej tropem Krzysztofa Zanussiego (Iluminacja w 1973 r., Barwy ochronne w 1977 r.) powstała nowa polska szkoła zwana "kinem moralnego niepokoju" z takimi dziełami jak Blizna (1975 r.) i Amator (1978 r.) Krzysztofa Kieślowskiego, Wodzirej (1978 r.) Feliksa Falka, Aktorzy prowincjonalni (1979 r.) Agnieszki Holland czy Kung Fu (1980 r.) Janusza Kijowskiego. Ważnym filmem była Śmierć prezydenta jednego z weteranów polskiego kina Jerzego Kawalerowicza. Andrzej Wajda nieomal co roku wprowadzał na ekrany swoje filmy, a były wśród nich tak wybitne jak Ziemia obiecana (1975 r.) czy wstrząsający - choć "dopracowany" przez cenzurę - rozrachunek ze stalinizmem w Człowieku z marmuru (1977 r.) wedle scenariusza Aleksandra Ścibor-Rylskiego. Nie zabrakło wielkich fresków - sentymentalnych Nocy i dni Jerzego Antczaka (1975 r.) i brawurowego Potopu (1974 r.) Jerzego Hoffmana. W filmie i teatrze doszło do mistrzostwa młodsze pokolenie aktorskie z Krystyną Jandą, Jerzym Stuhrem, Wojciechem Pszoniakiem, Jerzym Radziwiłłowiczem czy Jerzym Trelą.

Polska muzyka symfoniczna utrzymała swój wysoki poziom i była niezwykle przychylnie przyjmowana na świecie. Wielkim wydarzeniem była pieczołowicie i z polotem przygotowana potężna wystawa Marka Rostworowskiego Polaków portret własny (inauguracja we wrześniu 1979 r.). Wspaniała lekcja historii narodowej wymuszająca zastanowienie się nad teraźniejszością. Wydaje się niewątpliwe, że Barańczak czytał te książki, oklaskiwał spektakle i koncerty, oglądał filmy.

Równie oczywiste jest, że w latach 70., szczególnie zaś od 1976 r., rozbrat między pewną częścią intelektualistów i środowisk twórczych a władzą wszedł w nową, "jakościowo" inną fazę. Zewnętrznie uwidaczniało się to w przypadku pisarzy, eseistów czy dziennikarzy, dla których "drugi obieg" stał się miejscem wypowiedzi, ale sprzeciw, czy to bezpośrednio - udział w opozycyjnych przedsięwzięciach, czy pośrednio - dążność do opisu rzeczywistości nieprzychylnego władzy (i systemowi), zataczał coraz szersze kręgi. W owym "drugim obiegu" uczestniczyli twórcy bodaj wszystkich generacji czynnych intelektualnie i artystycznie: od Jerzego Andrzejewskiego i Kazimierza Brandysa, przez Juliana Stryjkowskiego, Tadeusza Konwickiego i Zbigniewa Herberta, Marka Nowakowskiego i Kazimierza Orłosia, po Jacka Bieriezina czy Leszka Szarugę. Najbardziej powszechny był exodus poetów pokolenia '68. Choć nie istniała ostra granica między tymi, którzy zdecydowali się na działalność tylko tam, gdzie "trwał gorączkowy ruch", a twórcami borykającymi się z cenzurą w murach "fasady", ludzie związani z "drugim obiegiem" mieli naturalną skłonność do konstruowania

własnego systemu wartości, w którym normy estetyczne nieraz ustępowały wobec ideowych czy politycznych. Odpowiedzią na przemilczanie lub brutalne atakowanie przez krytyków z "fasady" była podobna - acz z licznymi wyjątkami - postawa autorów "Zapisu" czy "Pulsu" wobec kolegów drukujących "pod cenzurą".

Jeśli pogłębiały się podziały w środowiskach twórczych w kraju, to lata 70. - a w szczególności od powstania "drugiego obiegu" - przyniosły zrastanie się i wzajemne przenikanie kultury krajowej i emigracyjnej. Wspomniałem już o tym, że dotarła nad Wisłę twórczość Miłosza, nie "nadające" się do oficjalnego druku dzieła Gombrowicza, wiersze Wierzyńskiego, eseje Herlinga-Grudzińskiego. Ruch wszakże trwał i w drugą stronę. Wytrwale drukował w oficynie Jerzego Giedroycia swoje aktualno-polityczne powieści Stefan Kisielewski (ps. Tomasz Staliński - Tomasz: od "tow. Tomasza" czyli Bieruta, a Staliński: wiadomo). W 1973 r. pod własnym nazwiskiem wydał Cudowną melinę Orłoś, o co wybuchła wielka awantura na zjeździe Związku Literatów Polskich w lutym 1975 r. Po 1976 r. było już łatwiej - i bardziej naturalnie. W wydawnictwach emigracyjnych drukowali Stanisław Barańczak, Bogdan Madej, Wiktor Woroszylski, Tadeusz Konwicki, Jerzy Ficowski, Roman Zimand, Marcin Król. Publikowanie w oficynach i czasopismach emigracyjnych oraz w "drugim obiegu" było nie tylko wyzwoleniem się spod pęt cenzury, ale także złamaniem monopolu państwowego mecenasa. Podobną rolę, w coraz większym zakresie, odgrywały niezależne - choć cenzurowane - wydawnictwa katolickie: "Więź", "Znak" (i ich biblioteki wydawnicze), "Tygodnik Powszechny" czy elitarne "W drodze" oo. dominikanów.

"Fasada" czy "tyły" - Polacy jak zawsze najczęściej czytali Sienkiewicza lub Kraszewskiego. A także korzystali bez oporów z rodzimych i importowanych wytworów kultury masowej, które współtwo rzyły klimat "dynamicznego rozwoju" i prawdziwej nowoczesności: "czerwony sztandar nad dyskoteką" - pisano o tym zjawisku. Wprawdzie milicja urządzała polowania na hippisów, ale jak najbardziej socjalistyczne związki młodzieży częściej zajmowały się organizowaniem dyskotek, w których odtwarzano nieodmiennie imperialistyczne hity, niż szkoleniem ideologicznym. Współtwórca "propagandy sukcesu", prezes telewizji i radia Maciej Szczepański, nie wahał się przed lansowaniem rodzimych widowisk i sprowadzaniem amerykańskich seriali. Każdy sezon letni znaczyły kolejne festiwale piosenki, usilnie i z powodzeniem lansowane przez telewizję oglądała je większość spośród niemal 8 mln posiadaczy odbiorników. Umiejętnie, ale bez trudu, ekscytowano opinię wynikami, polskich sportowców, a triumfy "wielkiej jedenastki" Kazimierza Górskiego (złoty medal olimpijski w 1972 r. trzecie miejsce na mistrzostwach świata w 1974 r.) traktowane były jako najlepszy dowód tężyzny systemu.

Nakłady książek, choć wciąż dalekie od potrzeb, powoli rosły (1970 r. - 112 mln egz., 1980 r. - 147 mln). Podnosił się - przynajmniej formalny - poziom wykształcenia, w 90 szkołach wyższych w roku akademickim 1978ż8ş79 studiowało (łącznie ze studiami zaocznymi) ok. 470 tys. osób. Jednorazowy nakład dzienników i czasopism sięgał 41 mln egz. Liczby były wymowne i nieustannie je przytaczano, skrywając za nimi przede wszystkim to, że cała kultura - od programów szkolnych po układanie repertuaru czołowych teatrów - podporządkowana była celom politycznym hegemonicznie rządzącej partii.

Gorące lato

Choć wstrząs, który przeżyła Polska w sierpniu 1980 r., był przewidywalny, jego zasięg i głębokość zaskoczyły wszystkich: i tych, którzy liczyli nań jako oznakę, że system wchodzi w fazę schyłku, jak i tych, którym odebrał stanowiska i spowodował osobistą klęskę. Ani rosnąca aktywność SB, ani natężenie działań propagandowych, ani dokonane jeszcze zimą roszady personalne, nie zapobiegły wydarzeniom, które przetoczyły się przez kraj. Narastały one crescendo - po "umiarkowanym", jak sądzili inicjatorzy, podniesieniu cen na niewielki w gruncie rzeczy asortyment mięsa. Mimo tęgich min i często okazywanej pewności siebie, autorytet ekipy Gierka był nikły. Nie tylko niezręczne wycofanie się z podwyżki cen w 1976 r., uderzająca nieumiejętność przełamania kryzysu ekonomicznego czy wyraźna obawa przed załogami widoczna w pierwszej, lipcowej fali strajków, były tego powodem.

Od jesieni 1978 r., a szczególnie wyraźnie od czerwca roku następnego, większość Polaków była przekonana, iż ich autentycznymi, potężnymi przywódcami duchowymi są papież i prymas. Wydaje się, iż poczucie to - na równi z oczywistym dla wszystkich zagubieniem się władz - nadawało pewności siebie, nie oczekiwanej przez nikogo. Organizacje opozycyjne nie miały wiele wspólnego z ruszeniem lawiny strajkowej - wywołały ją nie przemyślane, choć nieuniknione decyzje władzy. Obecność kontestatorów stała się jednak stymulatorem akcji strajkowych. W ciągu niespełna czterech lat istnienia środowiska opozycyjne okrzepły i to zarówno pod względem doświadczenia w działalności politycznej, jak i programowym.

Mimo istnienia wielu grup, na otwartej scenie opozycyjnej dominował KOR, przekształcony jesienią 1977 r. w Komitet Samoobrony Społecznej "KOR" (KSS KOR). Debaty wewnętrzne i polemiki z innymi środowiskami nie doprowadziły wprawdzie do skrystalizowania jasnej wizji zmiany ustrojowej, niemniej wiele jej elementów było oczywistych. Polska demokratyczna i suwerenna była generalnym kierunkowskazem, ale działano wedle zasady "ruch jest wszystkim" koncentrując się na tworzeniu "społeczeństwa alternatywnego", Właściwie w samej nazwie - "samoobrona", "społeczna" - mieściło się główne założenie: samoorganizujące się grupy miały krok po kroku wyzwalać swych uczestników, a wraz z nimi całe środowiska społeczne, spod kurateli omnipotentnego państwa zawłaszczonego przez partię komunistyczną. KSS KOR i stosunkowo liczne związane z nim zalążki takich właśnie "samoobronnych" struktur, w wyjątkowych tylko sytuacjach sięgały po wystąpienia o charakterze publicznych manifestacji. "Korowcy" proponowali swoistą "pracę u podstaw" i oddziaływanie raczej na świadomość niż na emocje. Gazetki, broszury i książki, ulotki, spotkania dyskusyjne, informowanie o nadużyciach władzy (czym zajmowało się sprawnie kierowane przez Zofię i Zbigniewa Romaszewskich Biuro Interwencyjne). Założenie ewolucyjnego charakteru zmian, usilnie przez KSS KOR podkreślane, miało zapobiec ostrzejszym represjom i zapewnić autorów doktryny "o ograniczonej suwerenności", iż zmiany w Polsce nie spowodują międzynarodowej destabilizacji. Ale także wypływało z negatywnej oceny tradycji rewolucyjnej i przekonania o groźbie

przekształcenia się wielkiego zrywu ku demokracji w antydemokratyczny, jeśli nie dyktatorski, reżim. Niemałą rolę, jak sądzę, odgrywały też związki ideowe i mentalne z tymi nurtami dawniejszej lewicy, które - jak Edward Abramowski - zmianę świata uważały za wynik zmian w człowieku, i przeciwstawiały się tezie, iż nowy ustrój stworzy nowego człowieka.

Naturalny dla "korowskiego" sposobu widzenia polskiej rzeczywistości i dróg wpływania na nią był pozytywny stosunek do nawet nikłych tendencji reformatorskich w PZPR oraz akceptowanie późno "nawróconych grzeszników". Znamienna w tym względzie była głośna polemika między Piotrem Wierzbickim, który ostro zaatakował środowiska intelektualne nie mogące się zdecydować na porzucenie "państwowej kasy" (Traktat o gnidach), a Adamem Michnikiem nie godzącym się na opozycyjny fundamentalizm (Gnidy i anioły). Postawa taka, a generalniej to, co Jan J. Lipski nazywał "etosem KOR", powodowała, iż miał on łatwy dostęp do środowisk intelektualnych i twórczych. Coraz mocniejsze były związki "korowców" z rosnącym na znaczeniu, szczególnie po wyborze na papieża Karola Wojtyły, środowiskiem opozycyjnej inteligencji katolickiej - "Więzią", "Znakiem", warszawskim i krakowskim KIK, "Tygodnikiem Powszechnym".

Jednocześnie KSS KOR dysponował największymi wpływami w aktywnych opozycyjnie grupach robotniczych, a ogłoszona w grudniu 1979 r. "Karta praw robotniczych" została szeroko rozpropagowana. Jeden z punktów tego dokumentu przypominał nie tylko rolę strajków ("nawet niewielkich"), ale zwracał także uwagę, iż kluczową sprawą jest utworzenie przedstawicielstwa, które w razie powodzenia strajku winno czuwać nad realizacją postulatów. "Kartę" sygnowali reprezentanci wszystkich istniejących WZZ. W sumie kilkudziesięciu sygnatariuszy było robotnikami, a obok Stoczni Gdańskiej najliczniejsi byli pracownicy Huty im. Lenina z podkrakowskiej Nowej Huty. Charakterystyczna była obecność ludzi z niższych szczebli zarządzania - inżynierów, techników. Tekst "Karty", ogłoszonej w "Robotniku", rozkolportowano w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy i choć nie nawoływano w niej do bezpośredniego wystąpienia, apel o aktywność ("początkowo nawet niejawną") oraz tworzenie WZZ był jednoznaczny. Wśród "korowców" koncentrujących się na działalności wśród robotników - a z czasem: z robotnikami - były także osoby od dawna trwające w opozycji (m.in. Jan Lityński, jeden z bardziej znanych "komandosów", i Henryk Wujec).

Istotnym elementem działania KSS KOR były kontakty z opozycjonistami w innych krajach socjalistycznych. Po wymianie deklaracji i tekstów, w sierpniu 1978 r., w 10, rocznicę inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację, miało miejsce spotkanie przedstawicieli KSS KOR i "Karty 77", głównej inicjatywy opozycyjnej u południowego sąsiada. W styczniu 1979 r. doszło do wizyty Zbigniewa Romaszewskiego u Andrieja Sacharowa, najbardziej znanego na świecie radzieckiego dysydenta. Był to owoc konsekwentnej linii politycznej, a przyczyniał się dodatkowo do popularności KSS KOR w opinii międzynarodowej.

Inne bardziej znaczące grupy opozycyjne, nie odrzucając większej części taktyki i form działania KSS KOR, inaczej rozkładały akcenty i gdzie indziej gromadziły siły. Odnosi się to zwłaszcza do Konfederacji Polski Niepodległej, która kładła wyraźny nacisk na zmiany o charakterze politycznym, i to zarówno w kwestiach wewnętrznych, jak i problemie

suwerenności. KPN wychodziła z założenia, że nie reforma - nawet najdalej idąca - nie zmiana, ale "wymiana" ustroju jest celem zarówno zasadniczym, jak i najpilniejszym. Odzyskanie niepodległości i ustrój demokratyczny były, w myli KPN, nierozdzielne i jedno bez drugiego niemożliwe do osiągnięcia. Propagując samoorganizację społeczeństwa widziano w niej przede wszystkim etap na drodze do powstania alternatywnych instytucji politycznych, wyłaniających swoją reprezentację na szczeblu ogólnonarodowym. Etapem pośrednim byłoby więc powstanie sytuacji, w której zaistniałby rodzaj dwuwładzy. Nie wykluczano, że momentem zwrotnym byłby strajk powszechny zorganizowany i koordynowany przez ową reprezentację narodową, który obaliłby reżim. Zakładano przy tym, iż ZSRR nie będzie bezpośrednio interweniował, m.in. dzięki istnieniu sił politycznych, które zaproponowałyby Moskwie ustalenie zasad rzeczywiście dobrosąsiedzkich i pokojowych stosunków. W publicystyce KPN sporo więc było rozważań geopolitycznych i ustrojowych, a w organizacji kładziono duży nacisk na powstanie zwartych i scentralizowanych struktur, w ich nazewnictwie nawiązując nawet do konspiracji AK i WiN ("obszary", "kierownictwo akcji bieżącej" etc.). KPN była też zwolennikiem wystąpień ulicznych, koncentrując się na obchodach rocznic związanych z niepodległością (11 listopada). Konfederacja dysponowała niewielką, ale na ogół zdyscyplinowaną i zdeterminowaną siatką we wszystkich nieomal dużych miastach, w tym - poza Warszawą - w Gdańsku, Lublinie, Krakowie i na Śląsku.

Trzeci człon opozycji, ROPCiO, pod względem organizacyjnym podobny do federacyjnego KSS KOR, ideowo bliższy był Moczulskiemu niż Kuroniowi. Zdecydowanie mniej wpływowy niż środowisko "korowskie" i mniej radykalny w programie niepodległościowym niż "konfederaci", nie zdołał właściwie złapać drugiego oddechu po rozłamach z 1978 r., ale - co uwidoczniło się szczególnie w końcu 1979 r. - zbliżała się ku niemu energiczna grupa Antoniego Macierewicza wydająca pismo "Głos". Nie opuściła ona wprawdzie KSS KOR, którego była współtwórcą, jednak coraz wyraźniej akcentowała postulaty niepodległościowe. ROPCiO akcentował swój związek z katolicyzmem i propagował tzw. myśl społeczną Kościoła, ale nie oznaczało to żadnych uprzywilejowanych stosunków z hierarchią, która nie wyróżniała - ani in plus, ani in minus - żadnej grupy opozycyjnej. Oparciem ROPCiO było dawne środowisko "Ruchu" oraz liczne kontakty kombatanckie utrzymywane głównie przez Wojciecha Ziembińskiego. Działacze "Ruchu", którego leaderem był nadal Andrzej Czuma, aktywni byli w organizowaniu manifestacji patriotycznych, a ich publicystyka charakteryzowała się częstymi nawiązaniami do tradycji niepodległościowej.

Szczególnie w Trójmieście ważnym składnikiem opozycji był Ruch Młodej Polski, nawiązujący do tradycji narodowodemokratycznej sprzed jej radykalno-totalistycznego zwrotu z końca lat 20. "Bratniak", pismo RMP, było ważnym uczestnikiem ideowych sporów, a członkowie Ruchu aktywni zarówno w działalności gdańskich WZZ, jak i przy organizowaniu manifestacji patriotycznych. Stałym już kompo nentem opozycji, ale nie posiadającym koordynującej struktury, było kilka najbardziej czynnych Studenckich Komitetów Solidarności, które "dostarczały" wykonawców do działań podejmowanych głównie przez KSS KOR. W środowiskach akademickich Krakowa, Wrocławia czy Warszawy obecność SKS była wyraźna i dostrzegana.

W sumie więc opozycja, choć silnie podzielona - i nadal dzieląca się -

obecna była w wielu miastach, grupach społecznych, w kilku dużych zakładach pracy. Dysponowała niezłą siatką informacyjną 3I wewnątrz kraju, miała też utorowane drogi komunikowania się ze światem. Mimo systematycznie dokonywanych konfiskat posiadała własny "park poligraficzny", doświadczenie drukarskie i kolporterskie. Była też zdeterminowana, choć niezbyt jasno wyobrażała sobie możliwe scenariusze rozwoju sytuacji, a zwłaszcza mało konkretne były pomysły na to "co dalej".

Strajki, które od początku lipca "przerzucały się" z jednej fabryki do drugiej i z jednego miasta do innego, przez pierwsze dni nie spowodowały poważniejszego zagrożenia dla ekipy Gierka. "Gaszono" je sprawnie spełniając, na ogół niewygórowane, żądania płacowe. "Otarliśmy się o wielkie niebezpieczeństwo", stwierdził 11 lipca Stanisław Kania i głęboko się pomylił. Poprzedniego dnia zaczął się bowiem strajk w Lublinie, gdzie w ciągu tygodnia stawały kolejne zakłady, w tym ważny dla komunikacji z ZSRR węzeł kolejowy. Interweniować musiało już Biuro Polityczne, a wicepremier Mieczysław Jagielski stanął na czele rządowej komisji mającej rozpatrzyć postulaty, co dało pozytywne dla władzy rezultaty. Fala opadała, ale w całym nieomal kraju wystarczała już tylko groźba strajku lub głośno wypowiedziane żądania, aby dyrekcje i wyższe instancje zarządzania gospodarką skłonne były do częściowych chociażby ustępstw ("nie staniesz, nie dostaniesz", mówiono).

Opozycja natychmiast zareagowała na wydarzenia. W kolejnych oświadczeniach - z 2 i 11 lipca - KSS KOR zaapelował do robotników o organizowanie się i unikanie zachowań mogących ułatwić prowokacje. Przypomniano też katalog doraźnych postulatów: zmiana polityki rolnej, ustawowe uznanie prawa do strajku, tworzenie niezależnych organizacji zawodowych lub komitetów reprezentujących załogi oraz zniesienie cenzury. Gdzieniegdzie współpracownicy Komitetu wspomagali strajkujących (tak było w finalnej fazie strajku lubelskiego), zdarzały się podobne działania podejmowane przez inne grupy (m.in. KPN). Ważniejsze chyba było informowanie, głównie za pośrednictwem RWE, opinii kraju o charakterze i zasięgu strajków. Było to tym bardziej istotne, że fala opadła, ale nie wygasła. To tu, to tam napięcie przekształcało się w protest. Najbardziej spektakularny charakter miały strajki w stolicy - zakładów oczyszczania miasta i generalny strajk komunikacji miejskiej (11 sierpnia).

Przełom w tym "pełzającym proteście" nastąpił w połowie sierpnia, a strajk, który rozpoczął się 14 sierpnia w Stoczni Gdańskiej, miał od początku nieco odmienny niż inne charakter. Zorganizowali go działacze WZZ, pierwszym zaś postulatem było przywrócenie do pracy wyrzuconych Anny Walentynowicz i Lecha Wałęsy. Domagano się także budowy pomnika ofiar z grudnia 1970 r. I oczywiście podwyżek płac. Od 15 sierpnia stawały kolejne zakłady. 16 sierpnia dyrekcja stoczni przyjęła żądania i Wałęsa, jako przewodniczący Komitetu Strajkowego, ogłosił koniec strajku. Decyzja wywołała zastrzeżenia tych, którzy przypomnieli o podjętych strajkach solidarnościowych ze stocznią. Wałęsa odwołał zakończenie protestu. W nocy z 16 na 17 sierpnia do stoczni dotarli przedstawiciele 21 nie pracujących zakładów i utworzono Międzyzakładowy Komitet Strajkowy (MKS). Strajki rozszerzały się błyskawicznie: 18 sierpnia w MKS reprezentowane było 156 zakładów. Wojewoda gdański, jako przedstawiciel władzy państwowej, otrzymał listę 21 postulatów: otwierało ją żądanie "akceptacji niezależnych od

partii i pracodawców wolnych związków zawodowych, wynikające z ratyfikowanej przez PRL Konwencji nr 87 Międzynarodowej Organizacji Pracy dotyczącej wolności związkowych". Tego samego dnia stanęła stocznia i znaczna część zakładów Szczecina, gdzie powstał własny MKS, a na jego liście (37) postulatów punkt pierwszy brzmiał nader podobnie do gdańskiego ("Powołać wolne, niezależne od partii i rządu, związki zawodowe oraz stworzyć warunki dla niezależne działalności").

Strajk w stoczni 14 sierpnia wzbudził poważne zaniepokojenie "centrali" - "rej wodzą dwaj korowcy oraz [...] Wałęsa, związany z grupą Kuronia", skonstatowano na posiedzeniu Biura Politycznego. Postanowiono prosić Gierka o powrót z urlopu - który tradycyjnie spędzał na Krymie - i zadecydowano o konieczności wystąpienia przed kamerami TV premiera Babiucha. Przemówienie to, wygłoszone 15 sierpnia, nie wywołało żadnych doraźnych skutków poza rozdrażnieniem widzów i uznaniem, że władze są w defensywie. Podczas kolejnych posiedzeń zastanawiano się nad "twardym" rozwiązaniem, powołano Zespół Kryzysowy z udziałem przedstawiciel MSW i wojska, ale szef tego zespołu, Kania, uznał, że "nie mamy żadnych realnych szans, jeśliby doszło do starcia".

Na strajkujących nie wywarło też wrażenia wystąpienie prymasa, który w dolnośląskich Wambierzycach apelował o spokój i ład. Tego samego 17 sierpnia wystąpił w telewizji osobiście I sekretarz z perswazyjnym i nieprzekonywającym przemówieniem do "klasy robotniczej". Miał zapewne rację członek BP, stary komunista Władysław Kruczek, gdy przekonywał towarzyszy, iż "musimy pokazać, że nie boimy się". Tyle że nie było wiadomo na czym - poza użyciem milicji (a nawet wojska) - miałoby polegać udowodnienie pewności siebie. Tymczasem strajki zaczynały się rozszerzać. 19 sierpnia powstał MKS w Elblągu, a 20 sierpnia gdański komitet zrzeszał ponad 300 zakładów. Tego samego dnia 64 intelektualistów podpisało list, w którym zwracano się równocześnie do strajkujących - popierając ich postulaty - i do władz apelując o podjęcie rozmów. Z uwagi na skład sygnatariuszy, wśród których byli członkowie PZPR i osoby znane jako "prorządowe", list ten został uznany przez kierownictwo partyjne za objaw "wielkiego kryzysu zaufania". Jeszcze większy niepokój kierownictwa budził fakt, iż mimo nasilającej się kampanii propagandowej we wszystkich mass mediach, w całym kraju panowała atmosfera przychylna dla strajkujących i zaczęły się pojawiać akcje solidarnościowe z Wybrzeżem (m.in. w fabryce traktorów w podwarszawskim Ursusie).

Na niewiele zdały się też - przeprowadzone 20 sierpnia - pierwsze aresztowania wśród działaczy opozycyjnych. Do aresztów trafiła spora grupa najbardziej aktywnej czołówki KSS KOR i przywódca KPN. Oba główne MKS były już świetnie zoganizowane, kontrolowały niemal całkowicie życie Trójmiasta i Szczecina, a mimo blokady informacyjnej i telefonicznej wiadomości o ich istnieniu i działaniu szybko się rozchodziły. Do Gdańska zjechały dziesiątki dziennikarzy, a komitet strajkowy chętnie witał zagranicznych korespondentów. Środowiska opozycyjne kolportowały niemal we wszystkich większych miastach ulotki, sierpniowy numer "Robotnika" został wydrukowany w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy. Władze nie decydowały się na "rozwiązanie siłowe", choć przygotowania zostały podjęte, nie tylko przez MSW, ale także przez MON. Delegowano do Gdańska i Szczecina członków Biura Politycznego i wicepremierów - Kazimierza Barcikowskiego i Mieczysława

Jagielskiego - z pełnomocnictwami do rozmów. Po próbach ignorowania MKS podjęto (22 i 23 sierpnia) negocjacje. 23 sierpnia do Gdańska dotarła delegacja strajkujących ze Szczecina i postanowiono, że zasadniczym żądaniem będzie zgoda na utworzenie wolnych związków zawodowych.

Moskwa odezwała się dyskretnie wyrażając zaniepokojenie sytuacją w Polsce, ale bynajmniej nie zachęcając do "siłowych" rozwiązań. Kierownictwo PZPR postanowiło zastosować wypróbowany manewr: "konieczne jest dokonanie przegrupowania w ekipie kierowniczej" - stwierdzono 22 sierpnia. Premier Babiuch zaproponował, aby "ratować partię i kraj, niech krytyka cała idzie na rząd". 24 sierpnia posiedzenie plenarne KC przyjęło projekt potężnej roszady personalnej - z Biura Politycznego "wyprowadzono" 6 osób, odwołano premiera i dwóch jego zastępców, a także prezesa Komitetu ds. Radia i Telewizji, który stał się symbolem korupcji. Postanowiono jednak dążyć do "rozwiązania politycznego", przez które rozumiano w zasadzie ustępstwa płacowe w zamian za rezygnację z postulatów politycznych. Środkiem wspomagającym miała być wytrwała kampania propagandowa oraz mobilizacja członków PZPR. Ani jedno, ani drugie jednak nie skutkowało, choć partyjno-państwowi negocjatorzy przywiązywali pewne znaczenie do pojawienia się w obu MKS przedstawicieli opozycji, którzy utworzyli zespoły doradców. Liczono na znalezienie z nimi wspólnego języka i na ich skłonność do kompromisu, której dawał wyraz "apel 64".

Strajkowi negocjatorzy byli jednak zdeterminowani, w czym podtrzymywały je masy strajkujących. Narodziła się wśród nich atmosfera stymulowana z jednej strony mszami organizowanymi na terenie strajkujących zakładów i nastrojami religijnego uniesienia, z drugiej szybko rodzącym się swoistym "folklorem strajkowym" (ballady, występy artystyczne, napisy i transparenty na murach). Nie tylko tłumy gromadzące się przed bramami stoczni, ale także napływające zagraniczne ekipy telewizyjne i radiowe utwierdzały w przekonaniu o wadze wydarzeń i roli tych, którzy zamknęli się za murami fabryk. Prowadzenie strajku okupacyjnego i niewychodzenie na ulice okazało się - zgodnie ze sloganem Kuronia: "nie palcie komitetów, zakładajcie własne" - niezwykle skuteczne.

Ani "odnowa" ekipy, do której wróciło po prostu kilku znanych już polityków (Stefan Olszowski, Andrzej Żabiński), ani nowy premier - stary partyjny wyjadacz Józef Pińkowski - ani kolejny apel telewizyjny Gierka nie były w stanie zmienić sytuacji. Strajkujący zignorowali te "przegrupowania". Nie wpłynęło na nich nawet kazanie prymasa Wyszyńskiego 26 sierpnia na Jasnej Górze i we fragmentach - najbardziej dogodnych dla władz - emitowanych tego samego dnia przez telewizję. Prymas wzywał do "zachowania, oszczędzania, szanowania" dotychczasowego dorobku materialnego, co było oczywistą namową do niepodejmowania akcji strajkowych, aczkolwiek nie szczędził - rzecz jasna - słów krytyki władzom, które czynił odpowiedzialne za stan, w jakim znalazł się kraj. Tego samego dnia członkowie najwyższego partyjnego gremium najbliżsi chyba byli podjęcia decyzji o zmianie taktyki. Zdawali sobie bowiem w pełni sprawę z dalekosiężnych skutków zgody na "pierwszy postulat": "wyrazimy zgodę, pokonamy strajki, ale za cenę powołania do życia struktury trwałej, groźniejszej, silnej, wielomilionowej" mówił Kania. "To akt polityczny - podsumował Gierek - o nieprzewidzianych dziś reperkusjach dla kraju i dla

całego obozu socjalistycznego".

Atoli właśnie 26 sierpnia powstały MKS we Wrocławiu i Komitet Strajkowy w Hucie im. Lenina, zastrajkowały zakłady "Cegielskiego" w Poznaniu i kopalnia "Thorez" w Wałbrzychu. Fala szła niepowstrzymanie przez cały kraj. Władze przypierane były do muru. I to ze wszystkich stron. Ambasador Awierkij Aristow przekazał ostre w tonie oświadczenie Breżniewa, który m.in. dziwił się, że do tej pory nie zamknięto granicy z Zachodem. Prezydent Giscard d'Estaing, wielki admirator Gierka, apelował o "rozwiązanie trudności zgodnie z pragnieniami narodu". Oba MKS były nieustępliwe. Biuro Polityczne zaś nerwowo rozpatrywało różne możliwości: "zaostrzyć blokadę Wybrzeża", "wprowadzić stan zagrożenia w głównych ośrodkach", "przeprowadzić większe aresztowania", "zastanowić się nad ogłoszeniem stanu wyjątkowego". Padła też propozycja, aby dać hasło - "Komuniści wystąp!". Na każdą z nich znajdowała się replika: "w tej chwili nie mamy partii", "komuniści wystąp, ale nie wiemy, czy wystąpią. Możemy pozostać sami", "jak wyegzekwować rygory (stanu wojennego], kiedy stanie cały kraj", "kto uruchomi urządzenia" po zdobyciu portów?

Od 27 sierpnia stawały fabryki w Łodzi i Warszawie, 28 sierpnia zastrajkował kombinat miedziowy w Legnickiem. 29 sierpnia nie zjechali pod ziemię górnicy z kopalni "Manifest Lipcowy" w Jastrzębiu i powołali "węglowy" MKS, zaczęła strajk Huta Katowice... Oznaczało to, że zbuntowali się "najwierniejsi z wiernych", osunęła się główna ostoja Gierka. Nie było wyjścia: postanowiono "skonsultować sojuszników", tj. Moskwę, ale nie czekając na ich odpowiedź zwołać posiedzenie KC i zatwierdzić na nim zgodę na utworzenie wolnych związków zawodowych.

30 sierpnia rano, zanim jeszcze gremium "właścicieli PRL" zebrało się - by posłusznie, jak zwykle, zaakceptować decyzję Biura Politycznego - Barcikowski podpisał porozumienie w Szczecinie, a ostrożniejszy Jagielski parafował inne z gdańskim MKS. Do obu komitetów ciągnęły zresztą całe pielgrzymki delegatów innych MKS, fabrycznych komitetów strajkowych czy załóg, które wciąż jeszcze nie mogły się zdecydować. Od paru już dni władza rzeczywista podzielona była między warszawski Biały Dom, gdzie w permanencji obradowało kierownictwo PZPR, i stoczniową salę BHP, w której trwało nieustające posiedzenie MKS. 31 sierpnia, po uzyskaniu solennej obietnicy o wypuszczeniu z aresztów wszystkich opozycjonistów, podpisy pod porozumieniem złożyli Lech Wałęsa i wicepremier Mieczysław Jagielski. Euforia ogarnęła wszystkich na sali, na terenie stoczni i wielotysięczny tłum zgromadzony przed jej bramami. Cały kraj słuchał radiowej transmisji z tej niezwykłej chwili.

Następnych kilka dni zajęła "kosmetyka" sytuacji. 3 września w Jastrzębiu podpisano trzecie porozumienie. Dwa dni później, na kolejnym posiedzeniu KC, ustąpił Gierek. Choć nie było to wiele więcej niż pogłębienie "przegrupowania w ekipie kierowniczej", tych kilka tygodni sierpnia wstrząsnęło Polską. Ruch tektoniczny którego epicentrum było w Gdańsku, poruszyć miał całą Europę: Choć na ogół nie zdawano sobie z tego sprawy, zbliżał się początek końca realnego socjalizmu w jego klasycznej, radziecko-europejskiej postaci.

Rozdział VII.ă

Długi marsz - prolog

Sto pierwszych dni

Z dniem 1 września 1980 r. Międzyzakładowe Komitety Strajkowe (MKS) w Gdańsku, Szczecinie i Wrocławiu przekształciły się w Międzyzakładowe

Komitety Założycielskie (MKZ), a z chwilą zakończenia strajków na Śląsku podobnie postąpiły tamtejsze struktury. Mimo podpisanych porozumień fala strajkowa objęła większość regionów, które jej poprzednio nie uległy. Wszędzie zgłaszano żądania płacowe i socjalne, ale powodem niepokojów była przede wszystkim postawa władz - nie tylko lokalnych - które dążyły do ograniczenia zasięgu "niezależnych, samorządnych związków zawodowych" m.in. przez interpretację, z której można było wnosić, że nowe organizacje mają prawo bytu tylko tam, gdzie zawarto ugodę z MKS. W wielu ośrodkach przemysłowych o mniejszym znaczeniu lokalne komitety PZPR i administracja stwarzały rozliczne trudności w tworzeniu struktur związkowych, co dodatkowo podgrzewało atmosferę. W nieomal całym kraju istniała też blokada informacyjna i środki masowego przekazu na ogół nie powiadamiały o tworzeniu nowych związków.

Do ich organizowania włączyły się wszędzie grupy opozycji demokratycznej, nawiązujące kontakty także tam, gdzie ich uprzednio nie miały. W niektórych miastach sporą rolę odegrały kluby inteligencji katolickiej, bliskie im parafie czy ośrodki duszpasterskie. Zdarzało się, że swoich lokali użyczały lokalne oddziały PAX. W głównych centrach środowisk opozycyjnych proces organizowania się ruchu związkowego był ułatwiony dzięki temu, że "podziemie" oddawało do dyspozycji swoje urządzenia drukarskie, ludzi umiejących je obsługiwać i mających jakie takie doświadczenie redakcyjne. Do MKZ zgłaszali się też licznie dziennikarze, ekonomiści czy socjolodzy oferując wiedzę i umiejętności organizacyjne. Działacze i współpracownicy KSS "KOR", ROPCiO, Towarzystwa Kursów Naukowych, RMP i KIK gremialnie zasilali powstające struktury zakładowe i regionalne, a także ogólnokrajowe. Niektórzy wchodzili do tymczasowych władz, inni formowali grupy doradcze lub zapewniali obsługę techniczną.

Mniej aktywne na terenie związkowym było środowisko KPN, przeciwko któremu władze państwowe podjęły szczególne środki. Aresztowano m.in. przywódcę partii Leszka Moczulskiego (23 września) obawiając się zapewne, że Konfederacja wniesie do ruchu hasła niepodległościowe. Niektóre ośrodki nowo powstającego związku przyjmowały też - podsuwane przez propagandę - argumenty o konieczności utrzymania "apolityczności", co skierowane było zarówno przeciw KPN, jak i KSS KOR. Oczywistym centrum był gdański MKZ, ale w niektórych ośrodkach - szczególnie na Śląsku - kwestionowano tę pozycję. Niemniej z całego kraju ciągnęły do Gdańsk pielgrzymki zarówno ciekawskich, jak i organizatorów: po porad; środki, pomoc, a także dla otrzymania "namaszczenia" potrzebnego nie tylko do zaspokojenia własnych ambicji, ale też podniesienie autorytetu koniecznego w nieustannych potyczkach z administracją: Mimo rozlicznych przeszkód napływ do tworzonych struktur był

masowy, a skala tego zjawiska przekraczała wszelkie oczekiwania W ciągu dwóch tygodni komitety założycielskie powstały we wszystkich większych zakładach pracy, łącznie z fabrykami uczestniczący mi w programach zbrojeniowych, w wielu instytucjach centralnych i sądach. 17 września spotkali się w Gdańsku przedstawiciele ponad 30 MKZ z całego kraju, reprezentujący - jak szacowano - ponad 3 mln osób, które wstąpiły do związku lub zadeklarowały chęć wstąpienia. Do tego momentu właściwiej byłoby używać liczby mnogiej ("do związków"), nie było bowiem jasne, czy powstanie jedna lita organizacja czy też ruch składać się będzie z nie powiązanych ze sobą struktur regionalnych i zakładowych. Taka była zresztą intencja PZPR.

Na gdańskim spotkaniu postanowiono jednak - po długiej i zaciętej dyskusji, wbrew silnym oporom "gdańszczan" - utworzenie jednolitego związku, opartego na jednym obowiązującym wszystkich statucie. Mówcami, których wypowiedzi przeważyły, byli adwokat Jan Olszewski z Warszawy, autor projektu statutu i historyk Karol Modzelewski z Wrocławia, autor nazwy: Niezależny Samorządny Związek Zawodowy (NSZZ) "Solidarność". Za jednym, ogólnokrajowym związkiem opowiadały się także mniejsze MKZ, które obawiały się konfrontacji z władzami. Decyzja taka wynikała wszakże - i to zapewne zadecydowało o jej przyjęciu - z logiki samej sytuacji: istnienia daleko posuniętej centralizacji decyzji politycznych i gospodarczych.

"Solidarność" jednak nie zamierzała powielać wzoru PZPR, a tendencje decentralizacyjne były w niej stale obecne. Nie powtarzała też tradycyjnego wzoru związków zawodowych opierających się na pionach "branżowych", które tworzyły struktury regionalne i ogólnokrajowe. Podstawowymi elementami organizacyjnymi "Solidarności", już w trakcie powstawania związku, stały się komisje zakładowe zrzeszone w regiony (piony "branżowe" powstały później i nigdy nie odgrywały większej roli). Gdańskie spotkanie podjęło też postanowienie o utworzeniu Krajowej Komisji Porozumiewawczej (KKP), której sama nazwa wskazywała na instynktowną niechęć do centralizacji. W skład KKP wchodziły wszystkie MKZ z jednym głosem niezależnie od liczby członków. Struktura regionalna, podkreślająca wagę interesów lokalnych, dawała związkowi dodatkowe możliwości mobilizacyjne i sprzyjała aktywizacji mniejszych ośrodków (a także podnosiła znaczenie lokalnych leaderów).

Na pierwszym, improwizowanym posiedzeniu, KKP wybrała przewodniczącego Komisji, którym - co było dla wszystkich oczywiste - został Lech Wałęsa. Elektryk, aktywny uczestnik gdańskiego strajku grudniowego z 1970 r., działacz WZZ, zręczny negocjator w rozmowach z komisją rządową, doskonale panujący nad salą pełną delegatów strajkujących zakładów i tłumami okupujących stocznię (także nad doradcami i dziesiątkami dziennikarzy) był uosobieniem Sierpnia. Dla znacznej części społeczeństwa personifikował ogół robotników, tej grupy społecznej, która kolejny raz wstrząsnęła krajem i zmusiła komunistyczne władze do ustępstw. Dla wielu, zwłaszcza inteligentów, był ideałem "człowieka z ludu", godnym sakry "przywódcy narodu". W wielu regionach "Solidarności" pojawiali się młodzi, dynamiczni robotnicy i rówieśni im inżynierowie z wielkich zakładów, którzy stawali się leaderami zrazu lokalnymi, a potem członkami związkowej elity. W ruchu tym można było dostrzec bunt młodych, których aspiracje tłumił przez system nomenklatury i sztywność biurokratycznych układów.

Podstawowy jednak podział, dobrze widoczny w okresie tworzenia się

"Solidarności", biegł między szeroko pojętą "klasą zarządzającą" a jej podwładnymi. Podział ten sformalizował jeden z przepisów statutowych, który zakazywał piastowania funkcji związkowych przez osoby pełniące stanowiska kierownicze. Przekładał się on też w skali globalnej na przeciwstawienie "Solidarności" - jako zorganizowanego społeczeństwa - PZPR, będącej uosobieniem władzy dowolnego szczebla.

Nie oznaczało to, iż do związku nie garnęli się także - z reguły szeregowi - członkowie "siły przewodniej". Wynikało to nie tyle z chęci opanowania nowego ruchu od wewnątrz (choć i takie postawy występowały), ile ze wspólnego dla znacznej części społeczeństwa sprzeciwu wobec metod rządzenia i sytuacji gospodarczej kraju. "Solidarność" postrzegana była - zapewne przez większość - jako ruch protestu i środek nacisku, a nie jako organizacja tworząca alternatywę ustrojową. Stanowisko takie zajmowały nie tylko władze partyjne, które przypomniały dawne hasło "socjalizm - tak, wypaczenia - nie", ale także znacząca część "solidarnościowych" leaderów. Za znamienne można uznać wypowiedzi działaczy związkowych ze Śląska, którzy w wywiadzie dla partyjnego tygodnika "Polityka" twierdzili, że "ludzie nie chcą zmiany systemu socjalistycznego - tylko jego naprawy" czy, że społeczeństwo chce "autentycznego, sprawiedliwego" socjalizmu. Pierwszą z tych konstatacji wygłosił Kazimierz Świtoń, związany z ROPCiO twórca pierwszych WZZ, drugą Andrzej Rozpłochowski, niebawem jeden z najbardziej radykalnych działaczy "Solidarności".

Moskwa coraz bardziej niepokoiła się obrotem sytuacji w Polsce: Biuro Polityczne KC KPZR na posiedzeniu 3 września jednoznacznie stwierdziło, że kompromis, który został zawarty, "będzie miał najwyraźniej charakter przejściowy". Za generalne zadanie uznano "przygotowanie kontrataku". Zalecano wprawdzie "elastyczność polityczną" i wykorzystanie m.in. prorządowych masowych organizacji społecznych, ale dopuszczano, aby "w razie konieczności wykorzystywać wyważone środki administracyjne". Już wówczas kremlowskie kierownictwo sugerowało "skierowanie do pracy na stanowiskach kierowniczych w organach partyjnych doświadczonych pracowników politycznych Wojska Polskiego".

W stanowisku Moskwy kluczowe było sformułowanie o "przejściowym charakterze" porozumień zawartych między władzami a strajkującymi robotnikami. Narodziny "Solidarności" postrzegane były jako groźna anomalia systemowa. Sposób jej pojawienia się i rozległość były jednak na tyle zaskakujące, że nie było możliwe podjęcie bezpośredniej akcji. Nawet przy użyciu "wyważonych środków". Nie mówiąc o wojsku.

`nv

Sto pierwszych dni (cd.)

Ale powstawanie nowego związku nie obyło się bez poważnych trudności. 24 września delegacja KKP złożyła w warszawskim Sądzie Wojewódzkim - który zgodnie z pospiesznie podjętą uchwałą Rady Państwa miał rejestrować nowo powstające związki zawodowe - statut związku i wniosek o rejestrację. Wyraźne opory ze strony władzy wobec form organizacyjnych, które przybrała "Solidarność", a także pojawiające się w wielu rejonach kraju przeszkody w funkcjonowaniu związku, zapowiadały trudności z rejestracją. Społeczne podniecenie zwiększała też zwłoka w realizacji postulatów płacowych. Tworząca się organizacja czuła potrzebę "policzenia" swoich sił i

możliwości organizacyjnych, toteż KKP bez oporów podjęła decyzję o przeprowadzeniu ogólnokrajowego strajku ostrzegawczego. Odbył się on 3 października w formie 1-godzinnej przerwy w pracy lub - w zależności od decyzji władz regionalnych - symbolicznego zamanifestowania (flagi, transparenty, wycie syren, opaski) swego stanowiska. Wedle większości

obserwatorów wykazał powszechność poparcia dla "Solidarności" i wysoki stopień dyscypliny wewnątrz związku.

Nie rozładował jednak napięcia. Narastało ono w miarę, jak przedłużało się oczekiwanie na decyzję o rejestracji i ponawiane były protesty w sprawach płacowych (m.in. w dniach 21-27 października miała miejsce zbiorowa głodówka kolejarzy we Wrocławiu). Decyzja sądu zmieniająca statut związku - w tym skreślająca fragmenty dotyczące prawa do strajku i dodająca stwierdzenie o "kierowniczej roli" PZPR - spowodowała powszechne oburzenie i żądania ogłoszenia strajku generalnego. Biuro Polityczne rozważało ewentualność wprowadzenia stanu wojennego, ale powstała wątpliwość - którą wyraził m.in. szef MON gen. Wojciech Jaruzelski - "czy można wyegzekwować skutki stanu wojennego wobec milionów strajkujących?". Władze znajdowały się w głębokiej defensywie i nawet przedstawiciele najbardziej "twardego" skrzydła - nazwanego później "betonem" - optowali za rozwiązaniami stopniowymi. Liczyli na wytracenie przez ruch początkowego impetu i osłabienie go przez pogłębienie (widocznych) podziałów w "Solidarności". Mieli także nadzieję, że uda się odtworzyć możliwości mobilizacyjne partii, dzięki którym zdołałaby ona ograniczyć wzrost NSZZ. Niektórzy działacze PZPR uważali, być może, że uda się włączyć "Solidarność" w instytucje systemu. Tak można by interpretować stwierdzenie Kani o "strukturalnym charakterze kompromisu", użyte nie w wypowiedzi propagandowej, ale podczas posiedzenia Biura Politycznego.

Na razie nie było innego wyjścia niż wycofanie zastrzeżeń sądu. Po pełnych napięcia rozmowach oraz otoczonych dyskrecją spotkaniach przedstawicieli KKP i rządu, 10 listopada "Solidarność" uzyskała formalne podstawy działania. Strajk odwołano, a w warszawskim Teatrze Wielkim odbyła się wielka gala: od czasu likwidacji mikołajczykowskiego PSL po raz pierwszy władze komunistyczne zostały zmuszone do przyznania prawa legalnego działania zorganizowanej opozycji. Był powód do satysfakcji.

Wymuszone uznanie nie oznaczało jednak trwałego odprężenia. W ciągu następnych tygodni napięcie ponownie narastało. Stało się tak za przyczyną zarówno wydarzeń w kraju, jak i posunięć państw Układu Warszawskiego. Oba te czynniki występowały mniej więcej równolegle, choć trudno określić, czy było to kwestią zbiegu okoliczności czy przygotowanego scenariusza. Oczywiste było, iż zaniepokojenie Moskwy biegiem wydarzeń nie minęło z chwilą zakończenia wielkiej fali strajkowej i podpisania porozumień, na które kierownictwo KPZR wyraziło zgodę. Jako tradycyjne już i pozytywne rozwiązanie przyjęto na Kremlu eliminację Gierka, objęcie jego funkcji przez Stanisława Kanię i inne zmiany personalne w najwyższych władzach PZPR. ZSRR obiecał dodatkowe dostawy, a komunikat TASS po wizycie Kani w Moskwie (30 października) mówił o "całkowitej jedności" poglądów, co oznaczało zgodę na linię polityczną reprezentowaną przez I sekretarza.

Przyzwolenie na taką linię postępowania nie oznaczało jednak przyzwolenia na niekontrolowany rozwój "Solidarności", tym bardziej niepokojący, że

przykład związku kierowanego przez Wałęsę - przy ważnym i widocznym współudziale opozycji, nazywanej nie bez racji "antysocjalistyczną" - był zaraźliwy. 16 września powstał Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych, w którym główną rolę odgrywały osoby związane z TKN i DiP. W dniach 18-19 października powołano Ogólnopolski Komitet Założycielski Niezależnego Zrzeszenia Studentów (NZS), który wnet złożył wniosek o rejestrację. Zwołany 29-31 października zjazd Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich wybrał nowe władze, w których zdecydowaną przewagę zyskały środowiska opozycyjne lub bliskie opozycji, a w każdym razie mocno krytycznie nastawione do sterowania mass mediami zza biurek KC. Prezesem został Stefan Bratkowski, wprawdzie członek PZPR, ale od paru już lat zrewoltowany przeciwko realnemu socjalizmowi i główny animator DiP.

Daleko groźniejszy dla władzy - i systemu jako takiego - niż organizowanie się grup inteligenckich był wszakże fakt utworzenia 21 września Komitetu Założycielskiego NSZZ Rolników, który także złożył papiery do sądu rejestrującego. Aczkolwiek siła oddziaływania działaczy organizujących niezależny ruch w środowisku wiejskim była nieporównywalnie mniejsza niż ich "miejskich" odpowiedników, nie było wcale pewności, czy stan rozbicia i słabość nie miną, gdy związek zostanie oficjalnie uznany. Wizja powstania "drugiej a Solidarności >" musiała budzić coś więcej niż niepokój. Sąd odrzucił wnioski studentów i chłopów, co tylko wydłużyło listę postulatów. Jakby tego było mało, zaraza wtargnęła do Granady: 27 października zebrała się w Toruniu Komisja Konsultacyjno-Porozumiewawcza Organizacji Partyjnych. Stworzyło to niebezpieczny precedens łamania zasady centralizmu demokratycznego, w myśl której komórki partyjne nie utrzymywały łączności między sobą. Powstała w ten sposób "struktura pozioma" groziła, w razie rozprzestrzenienia się, utratą sterowności przez płynący po wzburzonych falach partyjny okręt.

W tej sytuacji nie trzeba było długo czekać na pierwsze publiczne reakcje sąsiadów PRL. 30 października NRD, a 18 listopada Czechosłowacja zawiesiły umowy o swobodzie ruchu osobowego. 9 listopada TASS zakomunikował o odbywaniu się na terenie Polski manewrów wojskowych z udziałem jednostek polskich i radzieckich. 21 listopada centralne organy partyjne w Berlinie i Pradze zaatakowały bezpośrednio Wałęsę, a "Rude Pravo" niedwuznacznie ostrzegało przed zbyt daleko idącym liberalizmem Kani, snując porównania między sytuacją w Polsce i "praską wiosną". Choć trudno wykluczyć, że Gustav Husak i Erich Honecker wybiegali przed szereg, którym dowodził Breżniew, dosyć oczywiste było, że co najmniej bez przychylności Kremla nie podejmowaliby inicjatywy. Aczkolwiek sytuacja gospodarcza u zachodnich i południowych sąsiadów była bez porównania lepsza niż w Polsce, a opozycja znacznie słabsza (Czechosłowacja) lub dopiero w powijakach (NRD), obaj zasadnie mogli się obawiać importu polskich wzorów.

Na te mnożące się dowody rosnącego zaniepokojenia sojuszników nałożył się - a może "został nałożony"? - gwałtowny kryzys wewnętrzny, który wybuchł 21 listopada. Po rewizji w siedzibie Regionu Mazowsze aresztowano współpracownika tej instancji (Jana Narożniaka) i jego kolegę z powielarni sądów, którzy przekazali związkowi tajny okólnik Prokuratora Generalnego PRL. Prok. Lucjan Czubiński zalecał w nim sposoby zwalczania opozycji,

wśród których na poczesnym miejscu znalazły się chwyty pozostające w

sprzeczności z kodeksem postępowania karnego. 24 listopada rozpoczął się strajk protestacyjny wytypowanej do tej akcji fabryki traktorów w Ursusie i zażądano powołania komisji sejmowej do zbadania działalności MO, SB i prokuratury. Dwa dni później KKP udzieliła pełnego poparcia MKZ Mazowsze, zaczęły się akcje protestacyjne w kilkunastu miastach, a na posiedzeniu Biura Politycznego, zaproszony w tym celu wiceminister spraw wewnętrznych gen. Adam Krzysztoporski wprost oświadczył, iż "aparat [MSW] jest przekonany, że to już ostatni próg". Rzeczywiście - żądanie rozliczenia "aparatu", które mogło ciągnąć się wstecz aż po rok 1944, było odczytane jako natarcie na "twarde jądro systemu" i próba rozbrojenia ludowej władzy. Wprawdzie uniknięto konfrontacji, której obawiali się zarówno Kania (i jego zwolennicy w kierownictwie partii), jak i kręgi kierownicze "Solidarności" oraz intelektualne środowiska opiniotwórcze, ale gwałtownie narosło napięcie zewnętrzne. 29 listopada zarządzone zostało dla zachodnich obserwatorów w NRD ograniczenie pobytu w strefie granicznej z Polską. 3 grudnia odbyło się niespodziewane spotkanie premierów NRD i Czechosłowacji.

Prezydent James Carter publicznie stwierdził fakt "bezprecedensowego zgromadzenia sił radzieckich wzdłuż polskiej granicy", a KC PZPR przygotował, ogłoszony 4 grudnia, dramatyczny apel rozpoczynający się niespotykaną w dziejach PRL inwokacją: "Rodacy! Ważą się losy narodu i kraju!". Następnego dnia kierownik wydziału prasy KC oświadczył na konferencji prasowej, że jeżeli "władza wymknie się z rąk demokracji [...] komuniści polscy będą mieli prawo i obowiązek prosić o pomoc". Tegoż dnia wieczorem całe najściślejsze kierownictwo PZPR - z ministrami obrony narodowej i spraw wewnętrznych włącznie - odleciało do Moskwy na zwołaną, poza regularnym kalendarzem, naradę Politycznego Komitetu Doradczego Układu Warszawskiego.

Na naradzie, która odbyła się 5 grudnia, nie podjęto decyzji o interwencji militarnej w Polsce. Zażądano od towarzyszy z Warszawy zastosowania bardziej zdecydowanych środków wobec rosnącego ruchu społecznego, ale w osobistej rozmowie Breżniew zapewnił Kanię: "biez tiebia nie wajdiom". Być może sojusznicy rzeczywiście zamierzali udzielić zbrojnej pomocy polskiemu kierownictwu, które najwyraźniej nie czuło się na siłach do jednorazowego, "siłowego" wystąpienia. Być może zarówno oczywiste przygotowania wojskowe, jak i publicznie wyrażane groźby, miały być swoistym szantażem wobec Kani i jego najbliższych współpracowników.

Drugi kompromis

Jakkolwiek było, kryzys został zażegnany i uroczyste obchody dziesiątej rocznicy rewolty robotników Wybrzeża, zaplanowane na 16-17 grudnia 1980 r., przebiegły bez zakłóceń. Można było sądzić, że - zgodnie ze słowami Kani - "Solidarność" uznana została za niezbywalny element pejzażu polityczno-społecznego oraz, część struktury ustrojowej. Że była to ułuda, pokazały następne miesiące, podczas których dochodziło do ostrych konfliktów zarówno regionalnych (27 stycznia - 6 lutego 1981 r. strajk generalny w regionie podbeskidzkim, 30 stycznia - 10 lutego podobny strajk w regionie sudeckim) i środowiskowych (2 stycznia - 18 lutego protest

okupacyjny rolników w Rzeszowie, 21 stycznia - 17 lutego strajk studentów w Łodzi), jak i ogólnokrajowych (konflikt o wolne soboty, w tym m.in. bojkot "soboty pracującej" 10 stycznia).

Z początkiem 1981 r. znów zaostrzył się ton propagandy radzieckiej, a 29 stycznia agencja TASS w materiale pt. "O wydarzeniach w Polsce" uznała, iż "Solidarność" prowadzi działalność "kontrrewolucyjną". Pogłębiały się też podziały w PZPR, w której - jak stwierdzono na jednym z posiedzeń Biura Politycznego - "aktyw domaga się pryncypialnego działania [a] masy partyjne rozmów i porozumienia". Zapadła decyzja o zwołaniu nadzwyczajnego zjazdu, co przez "beton" zostało uznane za ustępstwo wobec sił "rewizjonistycznych" i "kapitulanckich". Istotnie: Gomułka w podobnej sytuacji nie tylko nie zaakceptował pomysłów o odbyciu zjazdu nadzwyczajnego, ale nawet zdołał odłożyć o rok termin statutowy (zamiast w 1958 r. III Zjazd PZPR odbył się w 1959 r.).

Coraz bardziej było oczywiste, że "Solidarność" nie pozwoli się wchłonąć w system. Struktury związku umocniły się i w końcu 1980 r. zrzeszał on ok. 9 mln członków, co stanowiło ok. 54% wszystkich zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej i ok. 28% całego dorosłego społeczeństwa. Pod "parasolem" związku podejmowano działania mające na celu organizowanie innych grup społecznych - obok wymienionych już tworzył się m.in. NSZZ Rzemieślników Indywidualnych "Solidarnośó", powstała sekcja emerytów, pojawiły się inicjatywy utworzenia związku zawodowego pracowników cywilnych MSW, od grudnia 1980 r. powstawały w całym kraju komitety obrony więzionych za przekonania. W końcu stycznia 1981 r. odbył się pierwszy zjazd prasy związkowej, który m.in. powołał Prasową Agencję "Solidarność" ("AS"), co nadawało nowego impulsu - i tak szybko rozwijającym się - gazetkom i wydawnictwom ukazującym się poza kontrolą cenzury. Komisje zakładowe w większych przedsiębiorstwach miały dostęp do sieci telefonicznej i - co ważniejsze - teleksowej zapewniając niezły obieg informacji wewnętrznej. W okresie "kryzysu grudniowego" wyeliminowano z regionalnych struktur niektórych działaczy odgrywających dwuznaczną rolę (m.in. Jarosława Sienkiewicza na Śląsku).

Po dłuższych debatach w połowie lutego ogłoszony został wstępny projekt platformy programowej związku, co konsolidowało ruch i nadawało mu nowego politycznego znaczenia. Wprawdzie założenia te charakteryzowały się eklektyzmem ideowym - powoływano się na "najlepsze tradycje narodu, etyczne zasady chrześcijaństwa, polityczne wezwanie demokracji i socjalistyczną myśl społeczną" - stwierdzano jednak zdecydowanie, że nie może być reformy gospodarczej bez przemian w systemie politycznym. Postulowano zmianę ordynacji wyborczej i dokonanie na jej podstawie wyborów do rad narodowych jeszcze w 1981 r. Dokument stwierdzał jednoznacznie: "Możemy iść tylko naprzód ku pełnej odnowie kraju". Choć konflikty wewnętrzne - często na tle ambicjonalnym, ale także inspirowane lub podtrzymywane przez władze (próbujące oddzielić "zdrowy nurt robotniczy" od "elementów antysocjalistycznych") - nie ustawały, związek nie tracił spoistości. Zaś w oczach jego pezetpeerowskich przeciwników był organizacją zwartą, zdyscyplinowaną, podporządkowaną centrum. Choć było w tej ocenie wiele przesady, jednolitości ruchu sprzyjało wiele czynników. W tym także niepodważalny autorytet Wałęsy.

Pozycja jego została dodatkowo umocniona, gdy przyjęty został - wraz z

delegacją "Solidarności" - przez Jana Pawła II (15 stycznia) i w małym odstępie czasu dwukrotnie spotkał się z prymasem Polski (19 stycznia, 6 lutego). Aczkolwiek Kościół nie zachęcał do radykalizacji działań i żądań, niemniej jednoznacznie popierał związek i stanowczo (m.in. w kazaniu prymasa Wyszyńskiego 2 lutego) opowiadał się za uznaniem niezależnej organizacji chłopskiej. Odgrywając rolę pośrednika - jak np. w czasie strajku na Podbeskidziu - Episkopat umacniał swoją pozycję wobec władz, a jednocześnie zyskiwał uznanie w oczach tych wszystkich, którzy wprawdzie popierali "Solidarność", ale nie byli zwolennikami działań prowadzących do fizycznej konfrontacji.

Umacnianiu się ośrodków niezależnych towarzyszył spadek autorytetu rządu, który obarczany był winą za powolne realizowanie porozumień i prowokowanie lokalnych konfliktów, a także - może nawet: przede wszystkim - za pogarszającą się drastycznie sytuację gospodarczą. Produkcja przemysłowa - także z powodu strajków z drugiej połowy 1980 r. - wykazywała tendencję do szybkiego zmniejszania się, kiepski urodzaj spowodował spadek produkcji rolniczej o blisko 10%, co przy równoczesnym wzroście funduszu płac (o ok. 13%) pustoszyło, od dawna słabo zaopatrzone, półki sklepowe. Brakowało zarówno artykułów przemysłowych, które coraz częściej można było kupić tylko wraz z łapówką, jak i spożywczych. Kolejki stały się zjawiskiem codziennym (a nawet conocnym), w godzinach popołudniowych trudno było dostać mleko, sery czy pieczywo. Nie mówiąc już o mięsie. W wielu środowiskach społecznych coraz natarczywiej wysuwano żądania wprowadzenia systemu kartkowego.

Kierownictwo partyjne uznało za konieczne zdecydowane wzmocnienie egzekutywy, tym bardziej że nieobce mu były kasandryczne wizje rozwoju sytuacji. Na posiedzeniu Biura Politycznego, 7 lutego, I sekretarz mówił: "Może rzeczywiście zbliża się katastrofa, usilne prowadzenie nas do tego, aby przyszedł z pomocą sąsiad. [chodzi o] Stworzenie u nas takiej sytuacji, od której zacznie się wielki zwrot w świecie". Choć stan świadomości społecznej bynajmniej nie przemawiał za tym, iż mogłyby zyskać poparcie programy zmierzające do całkowitej zmiany ustrojowej, obawy Kani nie były pozbawione podstaw: jak się okazało w niespełna dziesięć lat później, fenomen "Solidarności" był jedną z dźwigni, które wyważyły system. W tym sensie rzeczywiście "zaczął się wielki zwrot na świecie", choć jego mechanizm był zupełnie inny niż ten, którego obawiano się w polskim Białym Domu - sąsiad pozostawił PZPR sam na sam z "Solidarnością".

Decyzje podjęte w rządzącej ekipie były nietypowe dla systemu realnego socjalizmu: 11 lutego Sejm odwołał ze stanowiska premiera bezbarwnego Józefa Pińkowskiego i powołał na jego miejsce gen. Wojciecha Jaruzelskiego, który zachował tekę ministra obrony narodowej. Tydzień później szefem Urzędu Rady Ministrów, ważnej pozycji kontroli nad aparatem administracji terenowej, został gen. Michał Janiszewski. Rozpoczął się powolny proces swoistej militaryzacji administracji państwowej - latem 1981 r. w gabinecie Jaruzelskiego zasiadało (poza nim) trzech ministrów-generałów, dwóch innych było wiceministrami w resortach "cywilnych". W osobie gen. Jaruzelskiego pojawił się silny człowiek reżimu, co wynikało zarówno z jego cech osobistych - podówczas znanych tylko w wąskich kręgach ludzi władzy - jak i siły, którą reprezentował jako wieloletni (od wiosny 1968 r.) szef wojska, instytucji zdyscyplinowanej, a nadto, co istotne, cieszącej się znacznym

prestiżem społecznym.
Objęcie kierownictwa rządu przez gen. Jaruzelskiego spotkało się na ogół z pozytywnym przyjęciem zarówno opinii publicznej, jak i "Solidarności". Uspokajało też ale i zachęcało do większej aktywności - aparat partyjny, który nieomal w całości opowiadał się za twardą linią wobec przeciwników. Premier zaapelował o "90 spokojnych dni" i w połowie lutego wygasły główne ogniska strajkowe. Delegacja PZPR uczestnicząca w XXVI Zjeździe KPZR (23 lutego - 3 marca) usłyszała wprawdzie sporo mocnych słów na temat sytuacji w Polsce (w komunikacie z rozmów dwustronnych pisano o "istnieniu anarchii i chaosu"), ale potwierdzone zostało przyrzeczenie dane Kani cztery miesiące wcześniej, że nie będzie interwencji bez zgody polskich komunistów.
Wydawało się, że rzeczywiście nastąpi okres względnej ciszy. 10 marca doszło do spotkania Wałęsa - Jaruzelski. Zakończono rozmowy w sprawie zasad reglamentacji mięsa (decyzję ogłoszono 27 lutego, a wchodziła w życie z dniem 1 kwietnia), toczyły się debaty na temat ustawy o cenzurze, nowej ustawy o związkach zawodowych, działała komisja opracowująca raport o stanie gospodarki i założenia reformy ekonomicznej. Głównym terenem bieżącego sporu pozostawała natomiast sprawa niezależnej organizacji chłopskiej, której twórcy - zapewne za zgodą prymasa Wyszyńskiego - postanowili działać metodą faktów dokonanych: 13 lutego na spotkaniu w Bydgoszczy doszło do porozumienia trzech głównych ośrodków, a w dniach 8-9 marca odbył się w Poznaniu zjazd, na którym oficjalnie powołano NSZZ Rolników Indywidualnych (NSZZ I) "Solidarność" i wybrano na przewodniczącego młodego działacza Jana Kułaja.
Choć sytuacja w kraju daleka była od spokojnej, a trudności życia codziennego pogłębiały się, nagły wzrost napięcia zaskoczył większość opinii. 16 marca grupa rolników domagających się m.in. rejestracji niezależnego związku chłopskiego wszczęła strajk okupacyjny w budynku Wojewódzkiego Komitetu ZSL w Bydgoszczy. Tego samego dnia rozpoczęły się na terenie Polski, planowane na 10 dni, manewry wojsk Układu Warszawskiego pod kryptonimem "Sojuz 81". 19 marca podczas sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy doszło do sprowokowanego przez Prezydium WRN konfliktu z goszczącą na obradach delegacją Regionu Bydgoskiego "Solidarności". W wyniku interwencji MO (w tym także grup specjalnych) pobici zostali trzej członkowie delegacji, m.in. Jan Rulewski, przewodniczący Regionu i członek Prezydium KKP. W opublikowanym wczesnym rankiem 20 marca komunikacie KKP stwierdzono wprawdzie, że akcja MO" jest oczywistą prowokacją wymierzoną w rząd premiera Jaruzelskiego", niemniej uznano ją za atak na związek i ogłoszono stan gotowości strajkowej.
Rozpoczęła się wielodniowa gra nerwów i "zimna wojna" między "Solidarnością" a władzami, które uporczywie podtrzymywały tezę, iż "organy porządkowe [...] działały zgodnie z prawem". Równolegle do mniej lub bardziej poufnych rozmów przedstawicieli KKP i rządu oraz mediacji podejmowanych zarówno przez prymasa Wyszyńskiego (apel z 22 marca, spotkanie z premierem 26 marca, spotkanie z Wałęsą 28 marca), jak i środowiska intelektualne, trwała mobilizacja "Solidarności". Po gwałtownej dyskusji, w której nie brakło głosów domagających się ogłoszenia bezterminowego strajku powszechnego, ale także ostrzeżeń (najdobitniej formułowali je doradcy KKP Jan Olszewski i Władysław Siła-Nowicki) przed

"niebezpieczeństwem śmiertelnym", KKP na dwudniowym posiedzeniu (23-24 marca) zarządziła 4-godzinny strajk powszechny na dzień 27 marca, a w przypadku niespełnienia żądań, rozpoczęcie strajku bezterminowego z dniem 31 marca. W dniu zakończenia obrad KKP ogłoszony został komunikat o przedłużeniu manewrów "Sojuz 81" na czas nieokreślony.

Wedle zgodnych opinii strajk 27 marca miał imponujący przebieg nie tylko dzięki zasięgowi i intensywnej akcji propagandowej, ale także pełnej dyscyplinie strajkujących. W prasie radzieckiej - a za jej przykładem w innych mass mediach państw Układu Warszawskiego - wzmożono ataki na "Solidarność". Departamenty Stanu i Obrony USA, podobnie jak w grudniu, ostrzegały przed wejściem do akcji Armii Radzieckiej, której zachodnie okręgi wojskowe oraz jednostki stacjonujące w Polsce i NRD znajdowały się od wielu miesięcy w stanie podwyższonej gotowości bojowej. W dniu strajku gen. Jaruzelski podpisał podstawowe dokumenty, które miały regulować tryb "rozwiązania siłowego", w tym tekst pt. "Myśl przewodnia wprowadzenia stanu wojennego".

Dla kierownictwa PZPR szczególnie niedogodne było łączenie przez "Solidarność" żądań doraźnych (ukaranie winnych "za Bydgoszcz") Z postulatami o charakterze strategicznym: ustanowienia praworządności, dostępu związku do publicznych środków masowego przekazu, rejestracja związku rolników. Zgoda na rejestrację tego związku "dziś oznacza - mówił Kania na posiedzeniu Biura Politycznego (24 marca) - zgodę na wybory do Sejmu jutro, czyli pokojowy finał przejęcia władzy". Wysoce niepokojący był też gremialny udział członków PZPR w strajku ostrzegawczym i wyrażane przez dziesiątki organizacji partyjnych poparcie dla postulatów "Solidarności". W kraju panowała atmosfera jak przed walną bitwą. Cały aparat MSW postawiony był w stan pełnej gotowości, trwające manewry często pokazywano w głównym wydaniu dziennika telewizyjnego. W zakładach pracy czyniono przygotowania do bezterminowej okupacji, gromadzono koce, żywność i lekarstwa (nawet środki opatrunkowe). Telefaksy nieustannie przekazywały informacje i polecenia, pracowały bodaj wszystkie urządzenia poligraficzne w zarządach regionów i fabrykach, ulice miast oklejone były hasłami i podobiznami trójki pobitej w Bydgoszczy. Zwołane na 29 marca posiedzenie KC PZPR zakończyło się ogłoszeniem twardego w słowach komunikatu. W rozmowach z przedstawicielami związku strona rządowa dawała do zrozumienia, że w razie rozpoczęcia strajku generalnego interwencja zbrojna jest nieunikniona.

W przeddzień planowanego rozpoczęcia strajku, 30 marca, w południe rozpoczęły się ostateczne rozmowy negocjatorów. W wieczornym dzienniku telewizyjnym wiceprzewodniczący KKP, jeden z najbardziej radykalnych przywódców "Solidarności" Andrzej Gwiazda odczytał komunikat o zawarciu porozumienia i odwołaniu strajku. Rząd uznał, że postępowanie prowadzących obrady bydgoskiej WRN było niezgodne "z obowiązującymi regułami prawnymi", złożył wyrazy ubolewania z powodu pobicia trzech działaczy, zapowiedział osądzenie winnych pobicia, zobowiązał się przyspieszyć prace nad ustawą o związkach zawodowych, a także "unikania konfliktów" w sprawie zrzeszania się rolników, co faktycznie oznaczało zgodę na rejestrację NSZZ RI "Solidarność". Po raz drugi w ciągu siedmiu miesięcy gwałtowny konflikt między, znaczną częścią społeczeństwa a władzą został zakończony kompromisem - pierwszy został nazwany "porozumieniem sierpniowym", ten z 1981 r. wielu określało, raczej pejoratywnie, jako "ugodę warszawską". Choć

obu towarzyszyło naturalne poczucie ulgi, powszechnie wyczuwano istotną różnicę między nimi. Po Sierpniu dominowało uczucie zwycięstwa u strajkujących i ich zwolenników oraz poczucie dobrze spełnionego obowiązku uniknięcia totalnej tragedii narodowej u ludzi władzy. Po 30 marca znaczna część członków "Solidarności" uważała, iż nie wykorzystano sytuacji i zawarto "zgniły kompromis", który przedłuża patową sytuację, w jakiej znalazł się kraj, a związek zepchnięty został do defensywy. W obozie władzy rozgorzała ostra walka wewnętrzna, przy czym stroną atakującą były te siły w PZPR, które uznały, że należało doprowadzić do konfrontacji i zniszczyć "pełzającą kontrrewolucję".

Zbieranie sił

Najpierw do przesilenia doszło w łonie związku. Po burzliwej, dwudniowej debacie (31 marca - 1 kwietnia) KKP uznała wprawdzie oświadczenie z 30 marca "jako wstępne porozumienie, pozwalające na wszczęcie negocjacji z rządem", ale zaznaczył się wyraźny kryzys zaufania do przewodniczącego związku i grona doradców. Protestacyjną dymisję złożył rzecznik prasowy "Solidarności" Karol Modzelewski, zrezygnował z wypełniania stanowiska wiceprzewodniczącego Andrzej Gwiazda, z funkcji sekretarza KKP odwołano Andrzeja Celińskiego, najbliższego współpracownika politycznego Wałęsy. Zarzucano Wałęsie - i uczestnikom pertraktacji - złamanie zasad demokracji oraz: nierespektowanie postanowień KKP, która 24 marca uchwaliła, że strajk może być odwołany tylko przez obradującą w pełnym składzie KKP. Stosunek do "ugody" stał się ważnym czynnikiem róż nicującym w rozpoczętych 26 kwietnia kolejnych walnych zebraniach delegatów regionu, którzy wybierali po raz pierwszy regularne, statutowe władze związku oraz delegatów na zjazd krajowy. Na wielu zebraniach przeważały nastroje radykalne, częste były ostre konflikty personalne i grupowe. Procedury wyborcze przeciąga się m.in. z powodu wielkiej liczby kandydatów i przyjęcia zasad publicznego "przesłuchiwania" ich, co podnosiło temperaturę na sali. Wprawdzie dotychczasowi leaderzy obronili na ogół swoje pozycje, ale bezpardonowość walki wyborczej pogłębiała istniejące podziały.

Oliwy do ognia dodawała widoczna niechęć władz do wykonania postanowień porozumienia z 30 marca, z których została zrealizowana tylko rejestracja NSZZ RI "Solidarność" (12 maja). W "sprawie bydgoskiej" stosowano coraz widoczniejsze uniki, nie doszło do żadnego porozumienia w sprawie dostępu do mass mediów. O niepowodzenia oskarżano na równi doradców, negocjatorów, jak i Wałęsę. Mimo intensywności owych dysput, nie powstały w łonie "Solidarności" wyraźniej zarysowane frakcje, które mogłyby zdestabilizować związek lub spowodować secesje.

Czynnikiem konsolidującym była bez wątpienia obecność niezwykle silnego - i wspólnego dla wszystkich orientacji - przeciwnika oraz niski stopień centralizacji związku. "Solidarność", nieomal od powstania, w ogóle charakteryzowała się radykalizmem debat przy umiarkowaniu decyzji, które po nich podejmowano. Niemniej "konflikt bydgoski" stał się jednym z

katalizatorów dla poglądów i projektów idących coraz dalej w kierunku żądań zasadniczej przebudowy struktur państwowych, a także ustrojowych. Nabierała aktywności niestatutowa struktura związku, utworzona formalnie jeszcze 17 marca. Sieć Organizacji Zakładowych Wiodących Zakładów Pracy ("Sieć") - zrzeszająca kilkanaście wielkich organizacji fabrycznych "Solidarności" z całego kraju - coraz usilniej forsowała koncepcję oddania zarządzania w ręce samorządów pracowniczych. Na jej podstawie podjęta została nawet próba utworzenia "solidarnościowej" Polskiej Partii Pracy, której pierwsze dokumenty rozpowszechniać zaczęto w maju. PPP zakładała, że jeśli po zmianie ordynacji wyborczej weźmie udział w demokratycznych wyborach do Sejmu, odniesie w nich zwycięstwo (spełniając "czarne prognozy" Kani z początku marca). Aktywizował się i poszerzał ruch komitetów obrony więźniów politycznych, który odbył swój pierwszy ogólnokrajowy zjazd 9 maja. 25 maja w całym kraju miały miejsce - z różną frekwencją - marsze w obronie więźniów politycznych, a dodatkowego impulsu dodało temu ruchowi rozpoczęcie się procesu czterech przywódców KPN (15 czerwca). Manifestacje z 25 maja były pierwszymi (jeśli nie liczyć "białych marszy" po zamachu na Ojca Świętego) ulicznymi demonstracjami organizowanymi przez środowiska "solidarnościowe".

Niewielkie znaczenie miały coraz liczniejsze partie i grupy polityczne - od Polskiej Partii Komunistycznej "Proletariat" po faszystowski Polski Związek Wspólnoty Narodowej Bolesława Tejkowskiego - najczęściej o lokalnym zasięgu, a z reguły z folklorystycznymi programami. Natomiast niezwykle intensywny był rozwój wydawnictw, zarówno periodycznych, jak i książkowych (głównie broszur), w których nie tylko toczono debaty nad stanem kraju oraz - rzadziej - wizjami przyszłości, ale przede wszystkim atakowano władzę w jej wyraźnie słabym punkcie. legitymizacji przez przeszłość. Rozpoczęta jeszcze przez opozycję "przedsierpniową" batalia o "białe plamy" w najnowszej historii Polski i przywrócenie tradycji wielkich postaci i nurtów politycznych epoki II Rzeczpospolitej, przybrała rzeczywiście potężne - i wysoce niepokojące kierownictwo PZPR - rozmiary.

Powoływane we wszystkich regionach "Solidarności" Wszechnice Robotnicze częściej niż szkoleniem związkowym zajmowały się wykładami, dyskusjami i publikacjami z zakresu historii. Polska martyrologia na Wschodzie w latach 1939-1945, zbrodnia katyńska, nie zafałszowane dzieje Armii Krajowej (zwłaszcza na kresach), porwanie przywódców Polski Podziemnej (i proces w Moskwie), terror aparatu bezpieczeństwa wobec legalnej opozycji lat 1945-1947, partyzantki i konspiracji niepodległościowej, tajemne dzieje PPR z lat okupacji (śmierć Marcelego Nowotki) - były tematami, których najczęściej domagali się organizatorzy i uczestnicy odczytów. Obchody piątej rocznicy strajków w Radomiu i Ursusie, a przede wszystkim dwudziesta piąta rocznica krwawych wydarzeń poznańskich, stały się nie tylko powodem do manifestacji i wznoszenia pomników, ale także do publikacji, które starały się odpowiedzieć na pytania o mechanizmy ustrojowe i odpowiedzialność personalną.

Obchody "radomsko-ursuskie" odwoływały się wprost do powstania opozycji antytotalitarnej (KOR), a łącznie z rocznicą wydarzeń marcowych 1968 r. przypominały o ideowych korzeniach jednej z najbardziej opiniotwórczych formacji niezwykle czynnej w życiu publicznym. Charakterystyczna była ambiwalencja "Solidarności" wobec święta 1 Maja. Kierownictwo związku dało

wolną rękę regionom i komisjom zakładowym, a władze PZPR w niektórych miastach starały się skłonić lokalnych działaczy związkowych do uczestnictwa we wspólnych pochodach. Nieomal nigdzie "Solidarność" nie brała w nich udziału, gdzieniegdzie organizowano - odwołując się do starej tradycji robotniczej - pikniki. Pierwszemu majowi przeciwstawiano rocznicę 3 Maja, którą z kolei władze "przyznały" Stronnictwu Demokratycznemu.

Istotne znaczenie dla kształtowania się postaw miało też przełamywanie tabu i zakazów w zakresie kultury. Na ekranach kin zaczęli pojawiać się "półkownicy", filmy zakazane przez cenzurę. Ewenementem była Złota Palma Festiwalu w Cannes, najbardziej prestiżowa nagroda, dla Człowieka z żelaza Andrzeja Wajdy, filmu publicystycznego o powstaniu WZZ i strajkach sierpniowych. 27 lipca, dwa miesiące po jej przyznaniu, odbyła się premiera i film triumfalnie - acz nie bez przeszkód - przeszedł przez polskie ekrany. Czasopisma "oficjalne" przypominały o istnieniu literatury emigracyjnej, a ewenement ten został szczególnie "nagłośniony" z okazji wizyty w Polsce Czesława Miłosza (5-19 czerwca). Laureat Nagrody Nobla - dzięki której jeszcze w październiku 1980 r. zdjęto z jego twórczości zakaz cenzorski - spotkał się m.in. z robotnikami w Stoczni Gdańskiej. Po dziennikarzach i pisarzach kolejne związki twórcze zmieniały swoje statutowe władze, a 31 lipca - po wielomiesięcznych dyskusjach i negocjacjach - Sejm uchwalił ustawę o cenzurze. Dawała ona możliwość odwołania się od decyzji urzędu na drodze sądowej, z czego zresztą mało kto korzystał.

Na władzach oświatowych wymuszano zmiany w programach historii i literatury. Komisje zakładowe tworzyły biblioteki związkowe, w których dominowały pozycje drukowane poza zasięgiem cenzury. W siedzibach władz regionalnych, w większych zakładach, na uczelniach, funkcjonowały - dobrze prosperujące - stoiska sprzedające taką samą literaturę. Wydawany (od 3 kwietnia) w półmilionowym nakładzie "Tygodnik Solidarność", pod redakcją Tadeusza Mazowieckiego, wiele miejsca poświęcał nieodległej przeszłości. Do tego tonu dostrajały się niektóre czasopisma (zwłaszcza tygodniki i miesięczniki) "oficjalne" oraz w całości prasa PAX, czemu sprzyjało zarówno rozkojarzenie kontroli cenzorskiej, jak i próby ze strony kierownictwa PZPR "ucieczki do przodu". Nieprzekraczalną granicę wyznaczano nieomal tylko w sprawach dotyczących stosunku ZSRR do Polski i Polaków. Wszystko to animowało szerokie kręgi społeczne i wzmagało nieufność - a nawet nienawiść - wobec komunistycznej władzy. Odwołanie się do tradycji niepodległościowej (Józef Piłsudski, bitwa warszawska 1920 r.), a jeszcze wyraźniej "wypełnianie białych plam" z lat 1939-1945, miało silne akcenty antyradzieckie. Stawiano też problem doktryny Breżniewa o "ograniczonej suwerenności", co było szczególnie aktualne wobec wydarzeń zarówno z przełomu listopada-grudnia 1980 r., jak i z okresu "kryzysu bydgoskiego".

Osobnym problemem było drastyczne pogarszanie się zaopatrzenia, a realizacja nowo wprowadzonych kartek (22 kwietnia - masło, mąka, ryż, kasza, 1 czerwca - mleko w proszku, kasza manna, proszek do prania ubiorów dziecięcych) stawała się coraz trudniejsza. W wielu regionach kraju zaczęło brakować alkoholu i papierosów. Tworzyła się swoista subkultura "kolejkowa", w której gremialne potępianie władz przeplatało się z wzajemną agresją oczekujących. Produkcja spadała mniej z powodu strajków, bardziej z uwagi na rozprzężenie systemu zarządzania i trudności zaopatrzeniowe, które

dotykały także - a nawet przede wszystkim - przedsiębiorstwa zależne od importu komponentów lub surowców. Dawno już utraciły swoją moc tradycyjne dla systemu bodźce motywacyjne (np. współzawodnictwo pracy), a próby ich zastąpienia np. ułatwieniami w zakupie artykułów spożywczych czy przemysłowych dla pewnych branż lub regionów, z reguły spotykały się z niechęcią lub nawet sprzeciwem. Tak było np. po wprowadzeniu 11 kwietnia "motywacyjnych" dostaw żywności dla górników pracujących w soboty.

Coraz bardziej masowe było zjawisko spekulacji, które objęło także na dosyć szeroką skalę artykuły spożywcze. Po zapowiedzi (23 lipca) o ograniczeniu kartkowych przydziałów mięsa i podwyżce cen żywności, wiele regionów "Solidarności" zgłosiło nie tylko werbalne protesty, ale zapowiedziało uliczne manifestacje. Punktem szczytowym stał się "marsz głodowy" kobiet (z dziećmi) w Łodzi, który odbył się 30 lipca. KKP uznała (26 lipca), iż "nie ma obecnie ważniejszej sprawy dla naszego Związku, niż zagwarantowanie elementarnych warunków życia narodu".

Emocje towarzyszyły powtarzającym się przypadkom nadużycia prawa - i siły - przez milicję, a rządowa propaganda roztaczała wizję rozpadu porządku publicznego i bezpieczeństwa. Był to oręż obosieczny, gdyż zarazem wzmacniał żądania "zaprowadzenia porządku", jak i obniżał autorytet władzy. A prestiż instytucji oficjalnych - z wyjątkiem wojska - wciąż spadał. Wedle sondażu oficjalnego Ośrodka Badań Opinii Publicznej (OBOP), w czerwcu 1981 r. zaufanie do rządu deklarowało 24% respondentów, do KC PZPR zaledwie 6%, a do "Solidarności" 62%. Niejednoznaczny wpływ na nastroje społeczne wywarły też dwa wielkie wstrząsy, jakimi były zamach na Jana Pawła II (13 maja), który cudem ocalał, i śmierć prymasa Stefana Wyszyńskiego (28 maja). Z jednej strony sprzyjały one skupieniu w niepokoju o papieża i żałobie po odejściu Prymasa Tysiąclecia, z drugiej wzmagały obawy, czy Kościół znajdzie dość siły, aby - jeśli zajdzie taka potrzeba - pośredniczyć między władzą a społeczeństwem lub stanąć po jego stronie, gdy komuniści rozpoczną natarcie.

Znaczna część społeczeństwa znajdowała się w stanie ekscytacji czy to z uwagi na wydarzenia polityczne, czy pod wpływem trudnych warunków życiowych. Elity "solidarnościowe" z trudem kontrolowały zachowania i postawy zarówno członków związku, jak i jego sympatyków. Mimo powtarzających się radykalnych wystąpień - najczęstszych ze strony działaczy związkowych "średniego szczebla" - przeważała opinia uznająca konieczność utrzymywania zasady "samoograniczającej się rewolucji", przede wszystkim jeśli chodzi o żądania i działania mogące dać Moskwie pretekst do interwencji. Niemniej w wielu środowiskach coraz silniejsze były tendencje do nacisku na zmiany w systemie zarządzania i dystrybucji. Idea samorządów pracowniczych, zasada samodzielności przedsiębiorstw oraz żądania społecznej kontroli nad decyzjami gospodarczymi władz (w tym kontroli nad gospodarką żywnościową) stawały się powszechne, aczkolwiek tylko ta ostatnia znajdowała szerokie zrozumienie i poparcie, wyrażające się m.in. we wspomnianych "marszach głodowych".

W kręgach kierowniczych związku, a może jeszcze wyraźniej wśród działaczy ze szczebla regionalnego i wielkich zakładów pracy panowało przekonanie o istnieniu "społeczeństwa zrewoltowanego" przeciwko władzy, co umacniało poczucie siły. Bardzo mocno zakorzenione było operowanie przeciwstawieniem "społeczeństwo - władza" ("my" - "oni"), które stało się nie tylko

elementem gry propagandowej, ale uznane za stan faktyczny, na którym opierano prognozy i plany. W istocie, jak wykazywały to badania opinii publicznej, ruch sprzeciwu był siłą potężną, ale choć obejmował większość społeczeństwa, nie obejmował całości. Był on w dodatku niezwykle mocno zróżnicowany, a motywy sprzeciwu różnych grup czy środowisk niejednokrotnie wzajemnie sprzeczne. Niemniej "spirala delegitymizacji władzy" rozkręcała się.

Władza zaś - czy to pojmowana jako ogół osób spełniających najróżniejsze funkcje kierownicze, czy tylko sfery przywódcze PZPR - znajdowała się przez wiele miesięcy w stanie kryzysu wewnętrznego. Podpisanie "ugody warszawskiej" i zakończenie manewrów "Sojuz 81" nie oznaczało zmniejszenia nacisku zewnętrznego na ekipę Kania-Jaruzelski. Do zwyczajowego już elementu, jakim w propagandzie radzieckiej (czechosłowackiej czy enerdowskiej) były ataki na "Solidarność" i inne przejawy kontrrewolucji, doszły nowe. W końcu marca praskie "Rude Pravo" uznało, iż w PZPR istnieją groźne "postawy rewizjonistyczne", które znajdują "wspólny język z ekstremistami z "Solidarności"". 2 kwietnia agencja TASS skrytykowała stołeczną organizację PZPR, iż nie dała należytej "odprawy" kontrrewolucjonistom z Uniwersytetu Warszawskiego. W istocie - wydarzenia bydgoskie poszerzyły i umocniły tendencje reformatorskie w rządzącej partii, które z ideologicznego punktu widzenia mogły być uważane za równie niebezpieczne jak otwarcie antykomunistyczne postawy "Solidarności". 15 kwietnia odbyła się ogólnokrajowa konferencja "struktur poziomych", w której uczestniczyło ok. 750 delegatów z 14 województw. Domagali się oni nie tylko zmian w kierownictwie, ale także m.in. zniesienia cenzury i zapewnienia respektowania zasad demokratycznych w czasie wyborów delegatów na nadzwyczajny zjazd i takichże procedur w czasie jego trwania. Podział, który istniał w skali ogólnospołecznej w sposób wyraźny - a dla kierownictwa niebezpieczny - odtwarzał się w łonie "siły przewodniej".

Jego ostrość stała się szczególnie widoczna, gdy zaczęły się organizować najbardziej "twarde" środowiska komunistyczne. 8 marca, pod gmachem dawnego MBP mało do tej pory znane Zjednoczenie Patriotyczne "Grunwald" zorganizowało wiec unaoczniający istnienie swoistej formacji "nacjonalkomunistów", która wysuwała hasła szowinistyczne (w zasadzie antysemickie) i populistyczne, a zarazem odwoływała się do marksizmu-leninizmu. 24 kwietnia ZP "Grunwald" został zarejestrowany i mógł rozwijać coraz żywszą działalność. Z inspiracji grupy członków najwyższych władz PZPR - m.in. Stefana Olszowskiego, Tadeusza Grabskiego i Stanisława Kociołka - utworzono tygodnik "Rzeczywistość", którego pierwszy numer pojawił się w kioskach 21 maja, uzupełniając w ten sposób listę "betonowych" czasopism, w istocie bliskich sposobowi myślenia "grunwaldczyków". 28 maja, rachityczny klub im. Bolesława Bieruta działający w środowisku pezetpeerowskim Śląska, przekształcił się w Katowickie Forum Partyjne, które ogłosiło deklarację niezwykle entuzjastycznie ocenioną przez TASS. Moskwa uznała, iż Forum jako pierwsze w Polsce dało prawdziwie "marksistowsko-leninowską ocenę sytuacji". W ślad za komunistami ze Śląska poszło kilka innych ośrodków. W centralnych organach PZPR i w prasie wojskowej, które od lata 1980 r. ani na jotę nie odchodziły od twardej linii, nasilały się wypowiedzi kierujące się nie tylko przeciw "Solidarności" czy zbliżonym do niej intelektualnym

środowiskom, ale także przeciwko rewizjonistom i reformatorom w samym PZPR. Czasopisma takie jak "Polityka", z której po objęciu stanowiska wicepremiera odszedł jej wieloletni redaktor Mieczysław F. Rakowski, uważany za leadera liberalnej części partyjnej elity, znajdowały się na cenzurowanym w opinii aparatu partyjnego. Podobnie było z warszawską "Kulturą".

Pojawienie się zorganizowanych środowisk "prawdziwych marksistów-leninistbw" i ich aktywizacja zbiegły się - zapewne nieprzypadkowo - z nagle zaostrzonym atakiem Moskwy na tandem rządzący w Polsce. W wewnętrznym dokumencie Biura Politycznego KC KPZR z 16 kwietnia znalazło się stwierdzenie, że "PZPR w znacznej mierze straciła kontrolę nad procesami zachodzącymi w społeczeństwie", że część organizacji partyjnych znalazła się pod kontrolą "elementów oportunistycznych". 5 czerwca KC KPZR przekazał list do polskiego KC, co już samo w sobie było ewenementem, gdyż zwykle tego rodzaju wystąpienia odbywały się na szczeblu "Biuro do Biura" (lub sekretarz do sekretarza). W piśmie tym stwierdzano, że "PZPR krok za krokiem ustępowała pod naciskiem wewnętrznej kontrrewolucji", co "doprowadziło kraj do punktu krytycznego". Fakt, że kierownictwo radzieckie swoje oceny zaadresowało do całego KC, był odczytany jako zgoda - lub zachęta - do ataku na Kanię. Tym bardziej że treść listu, nie bez udziału Ambasady ZSRR, szybko "przeciekła" na zewnątrz. Powstała atmosfera napięcia wewnątrz PZPR i w środowiskach opiniotwórczych, "struktury poziome" próbowały mobilizować zwolenników, 24 intelektualistów ogłosiło oświadczenie odrzucające posądzenia o istnienie w Polsce grup "liczących się w opinii społecznej", które "dążyłyby do zerwania obowiązujących sojuszy".

Po gorączkowych debatach w łonie ścisłego kierownictwa i bez przygotowania wspólnego stanowiska, w dniach 9-10 czerwca odbyło się posiedzenie plenarne KC. Doszło na nim do gwałtownych ataków na Kanię. Grabski zadał wprost pytanie: "Czy członkowie Biura Politycznego zdolni są do wyprowadzenia kraju z kryzysu w obecnym składzie, pod kierownictwem [...] tow. Kani?" i sam udzielił odpowiedzi: "Takiej możliwości nie widzę". Po czym zażądał głosowania nad wotum nieufności wobec I sekretarza. W przerwie obrad odbyło się dramatyczne zebranie Biura Politycznego, na którym chęć złożenia dymisji zgłosił m.in. gen. Wojciech Jaruzelski, Mieczysław Moczar, Mieczysław Jagielski. W końcu przeważyła opinia o koniecznej jedności kierownictwa wobec sytuacji w kraju i zbliżającego się zjazdu. Istnienie silnego przeciwnika wywarło podobny skutek, jaki wywierało w szeregach tegoż przeciwnika - obie strony były w znacznym stopniu skazane na ograniczanie do niezbędnego minimum zmian personalnych, które mogły prowadzić do wewnętrznej destabilizacji.

Siłą Kani było nie tylko to, że pełnił już funkcję I sekretarza, ale przede wszystkim fakt, iż miał pełne poparcie gen. Jaruzelskiego - a więc wojska - a także, iż premier wkraczał już przez swoich ludzi na teren aparatu bezpieczeństwa i MSW: od ponad miesiąca przewodniczącym rządowej Komisji Koordynacyjnej ds. Przestrzegania Prawa, Praworządności i Porządku Publicznego był szef Wojskowej Służby Wewnętrznej (WSW) gen. Czesław Kiszczak. Ostatecznie Kania obronił swoje stanowisko, a w istocie także dotychczasową linię pokonania przeciwnika "na drodze konfrontacji politycznej, konfrontacji prowadzonej własnymi siłami". Na posiedzeniu

Sekretariatu KC, które odbyło się w dzień po zebraniu KC, stwierdził nawet, że "z tej psychozy [list KC KPZR i przebieg plenum] może wyniknąć i dobre", oba te fakty "stworzyły klimat korzystny w sytuacji zagrożeń". Niewątpliwie miał na myśli zarówno efekt konsolidacyjny wewnątrz PZPR, jak i "nastraszenie" opinii publicznej - a także kierownictwa "Solidarności" - wizją dojścia do władzy "betonu". Odparcie przez Kanię i Jaruzelskiego ataków nie oznaczało wszakże sukcesu "struktur poziomych" czy innych grup reformatorskich. Raczej odwrotnie - w obawie przed ortodoksami i Moskwą Kania musiał wyeliminować od udziału w zjeździe zwolenników dalej idących zmian. Przyszło mu to tym łatwiej, że średni i niższy aparat partyjny siedział dosyć mocno w siodle. Wprawdzie od sierpnia 1980 r. doszło do znacznych zmian personalnych na wszystkich szczeblach, ale nowo promowani - nawet jeżeli wywodzili się spoza etatowego aparatu - mentalnością i poglądami niewiele różnili się od swych poprzedników. Podobnie było z delegatami na zjazd, a w całej PZPR rosła rola "baronów", sekretarzy wielkich organizacji wojewódzkich. IX Nadzwyczajny Zjazd odbył się w dniach 14-20 lipca. Uczestniczyło w nim blisko 2 tys. delegatów reprezentujących ok. 2,8 mln członków. Od lata 1980 r. ubyło ok. 300 tys. osób, a opuszczanie partii (i wyrzucanie z niej) trwało nadal. Ubywało robotników i ludzi młodych, rosła liczba emerytów. Rosła także liczba etatowych pracowników aparatu przekraczając 19 tys. osób, czyli na jednego "aparatczyka" przypadało niespełna 150 członków partii.

W odróżnieniu od wszystkich poprzednich zjazd odbywał się w gorączkowej atmosferze ostrych polemik i utarczek personalnych, a Biuro Polityczne z trudem panowało nad salą, na której przeważali ludzie nowi, ale bynajmniej nie zwolennicy zasadniczych zmian. Delegaci z reguły niechętnie nastawieni byli do znanych osobistości z partyjnej elity i to nieomal niezależnie od ich stanowiska w głównym sporze dzielącym PZPR. W wyborach do KC przepadło wielu działaczy zarówno z "betonu" jak i "liberałów". Kania, który okazał się dosyć łatwym zwycięzcą, miał spore trudności ze skompletowaniem Biura Politycznego i Sekretariatu spośród na ogół mało znanych i niczym szczególnym nie wyróżniających się członków najwyższego gremium partyjnego.

Uchwały i rezolucje zjazdu odzwierciedlały przewagę "centrystów" spod znaku I sekretarza. Deklaracje o odnowie i zmianach zakończyły się przyjęciem mało przekonywających postanowień, a język oficjalnych dokumentów pozostał w dawnych normach: uchwała programowa nosiła tytuł "Program rozwoju socjalistycznej demokracji, umacniania przewodniej roli PZPR w budownictwie socjalistycznym i stabilizacji społeczno-gospodarczej kraju". Podkreślano, że zjazd potwierdził "linię porozumienia", ale rozumiano je wedle poprzedniego schematu - miało ono polegać na pozbyciu się przez "Solidarność" "ekstremy" i wejście w system na warunkach określonych przez komunistów. Nic też nowego nie powiedziano w sprawach gospodarczych. Wszystko to jednak oznaczało, że PZPR przezwyciężyła wewnętrzny kryzys i stawała się znów sterowalnym organizmem, choć oczywiste było, iż nie powrócił jeszcze czas całkowitego panowania I sekretarza nad partią.

W każdym bądź razie, 20 lipca Kania i jego najbliższy współpracownik gen. Jaruzelski wyszli z Sali Kongresowej warszawskiego Pałacu Kultury i Nauki silniejsi niż wkraczali do niej sześć dni wcześniej. Wnet też uzyskali

całkowitą kontrolę nad newralgicznym resortem spraw wewnętrznych - szybko rozbudowującym swoje kadry i siatkę agenturalną - na czele którego od 31 lipca stanął gen. Kiszczak. Aczkolwiek przygotowania do użycia siły i wprowadzenia stanu wojennego były prowadzone co najmniej od wczesnej jesieni 1980 r. - o czym Kania wielokrotnie informował członków najwyższych kół kierowniczych PZPR - oczywiste było, że musi on mieć wsparcie w zdyscyplinowanej i posłusznej kierownictwu partii. Po zjeździe warunek ten był w zasadzie spełniony.

Obrady zjazdu - transmitowane przez radio i telewizję - były śledzone z zainteresowaniem, ale bez wielkich emocji. Większość Polaków koncentrowała się na pokonywaniu trudności dnia codziennego i nie miała przekonania, że zjazd dokona przełomu. Inni skupiali swoją uwagę na dobiegającej końca kampanii wyborczej w "Solidarności" i trwających nieustannie "przepychankach" z rządem i administracją lokalną. Rozmowy grup negocjujących wciąż utykały w miejscu, gdyż "Solidarność" nie zamierzała poddać się zwierzchnictwu komunistów, a ci z kolei starannie blokowali wszystko, co mogłoby prowadzić do osłabienia - "demontażu", jak mówili - systemu. Wciąż dochodziło do najróżniejszego rodzaju i skali konfliktów.

Najgłośniejszą była blokada centralnego skrzyżowania Warszawy przez demonstrującą kolumnę autobusów i ciężarówek, zerwanie rozmów w nocy z 5 na 6 sierpnia czy "Dni bez prasy" (19-20 sierpnia) polegające na wstrzymaniu druku i kolportażu dzienników. Zbliżał się termin odbycia I Krajowego Zjazdu Delegatów "Solidarności", po którym członkowie związku wiele sobie obiecywali, a do którego kierownictwo i aparat PZPR z góry nastawiony był negatywnie, a w najlepszym razie sceptycznie. Co najmniej dwie decyzje ogłoszone przed tym zjazdem wskazywały, że władze przygotowują ostrą konfrontację polityczną: 21 sierpnia stanowisko rzecznika prasowego rządu objął Jerzy Urban, bezpartyjny, utalentowany dziennikarz, chlubiący się swoim cynizmem; 2 września Prokuratura Wojewódzka w Bydgoszczy zakomunikowała, iż z powodu niewykrycia winnych umorzono śledztwo w sprawie pobicia z 19 marca.

Zjazd związku rozpoczął się w atmosferze solennej powagi Mszą świętą koncelebrowaną przez następcę ks. Wyszyńskiego, prymasa Józefa Glempa. Zgodnie z przygotowanym programem obrady toczyły się w dwóch turach - 5-10 września i 26 września - 7 października - w obszernej hali sportowej w Oliwie k. Gdańska. Blisko 9,5 mln członków "Solidarności" reprezentowało niemal 900 delegatów z 38 regionów. Na sali panowała na ogół nerwowa atmosfera, wywoływana zarówno wewnętrznymi konfliktami, jak i nieufnością do elity związkowej, którą z różnych stron oskarżano o manipulację. Godzinami ciągnęły się nużące spory proceduralne i formalne, ale wokół hali kwitła atmosfera pikniku i ludowego święta. Nie ostudził jej nawet fakt, iż w przeddzień rozpoczęcia obrad na całym południowym Bałtyku, na Białorusi, Litwie i w obwodzie kaliningradzkim rozpoczęły się manewry "Zapad 81", ocenione przez NATO jako największe, jakie przeprowadzała Armia Radziecka po 1945 r. Z plaży w Oliwie widać było na horyzoncie sylwetki okrętów wojennych. Mimo tej wrogiej asysty, zjazd toczył się bez przeszkód. Przyjęto szereg uchwał w różnej wagi sprawach, wyłoniono 13 zespołów roboczych i Komisję Programową, która miała opracować przygotowane przez nie wnioski. Najistotniejsze decyzje dotyczyły samorządów pracowniczych, ale największą burzę - na sali oklasków - wywołało uchwalenie 8 września

"Posłania do ludzi pracy Europy Wschodniej". Deklaracja wyrażała poparcie dla tych, którzy "zdecydowali się wejść na trudną drogę walki o wolny ruch związkowy" oraz nadzieję, że "niedługo wasi i nasi przedstawiciele będą się mogli spotkać celem wymiany związkowych doświadczeń". Znaczna część kierownictwa związku była zaskoczona i zdetonowana treścią "Posłania", ale sala uchwaliła je przez aklamację. To, co wówczas wydawało się wielu politycznym awanturnictwem, "dziecinadą", a nawet prowokacją, dziewięć lat później nabrało wymiaru symbolicznego. Choć nigdzie w Europie Wschodniej nie powstały związki zawodowe choćby zbliżone charakterem do "Solidarności", polskie doświadczenie stało się niezmiernie istotnym elementem załamania się realnego socjalizmu na całym tym obszarze.

10 września TASS skomentował I turę zjazdu jako "orgię antysocjalistyczną i antyradziecką", a także stwierdził, co było słabo zakamuflowaną groźbą, że z tego powodu "rośnie fala oburzenia". W istocie propaganda rządowa niezwykle ostro zaatakowała "Posłanie", zjazd i w ogóle "Solidarność". 16 września Biuro Polityczne KC PZPR oświadczyło, że uznaje, iż porozumienia z 1980 r. zostały złamane i "zastąpione programem politycznej opozycji, która godzi w żywe interesy narodu i państwa". Dwa dni później ogłoszono deklarację KC KPZR, która stwierdzała, że oczekuje od polskiego kierownictwa na "zdecydowane i radykalne kroki". Poza tymi ostrymi oświadczeniami jednak na zewnątrz nic pozornie się nie zmieniło. Zapadały kolejne decyzje rządowe traktowane przez "Solidarność" jako prowokujące (np. nie ogłoszona uchwała nr 199 wprowadzająca wysokie stawki dla górników pracujących w wolne soboty), ale w istocie ich podejmowanie było konsekwencją prób ratowania gospodarki bez wprowadzania w niej istotnych zmian. Pewnym ewenementem było użycie siły do usunięcia z warszawskiej hali sportowej szykujących się do protestu strajkowego organizatorów Związku Zawodowego Funkcjonariuszy MO. Niezależni intelektualiści próbowali - jak zwykle - mitygować; odbyło się spotkanie Komisji Wspólnej Rządu i Episkopatu; tonująca była też w gruncie rzeczy decyzja Sejmu o przyjęciu ustawy o samorządzie robotniczym i przedsiębiorstwie państwowym.

Druga tura zjazdu przebiegła już sprawniej, choć wiele czasu zajęły przeciągające się wybory do Komisji Krajowej i debata programowa. 28 września senior KSS KOR, prof. Edward Lipiński, odczytał deklarację o zakończeniu działalności przez - nie funkcjonującą już de facto od roku - organizację. Przy okazji dyskusji nad wnioskiem o wyrażenie przez zjazd podziękowań dla KOR i innych grup opozycji demokratycznej, doszło do ostrego politycznego konfliktu, który unaocznił głębokość podziałów nie tylko w związku, w którym postawy "antykorowskie" i antyinteligenckie stawały się coraz częstsze, ale w środowisku opozycyjnym. Dzień wcześniej działacze z kręgu ROPCiO, RMP i skupieni wokół Antoniego Macierewicza, powołali do życia Kluby Służby Niepodległości, quasi-partię polityczną o nastawieniu prawicowo-niepodległościowym. Ale oczywiście nie te sprawy, dla większości delegatów - a tym bardziej dla rzeszy członków związku - uboczne, decydowały o wadze zjazdu.

Uchwalona została obszerna platforma programowa zatytułowana "Samorządna Rzeczpospolita", co dosyć dobrze oddawało jej generalny kierunek. W odróżnieniu od projektu z lutego, program przyjęty na zjeździe nie odwoływał się ani razu do tradycji socjalistycznej, choć sama idea samorządności miała mocne zakorzenienie w niektórych nurtach

nieortodoksyjnego i niemarksowskiego socjalizmu z przełomu wieków. Wiele emocji wzbudziły wybory przewodniczącego "Solidarności", którym (większością 55% głosów) został Lech Wałęsa, mający za konkurentów Mariana Jurczyka, Jana Rulewskiego i Andrzeja Gwiazdę. Zwycięstwo bohatera Sierpnia '80 było spodziewane, potwierdziło też stosunkowo umiarkowane stanowisko większości delegatów, gdyż kontrkandydaci reprezentowali nieco bardziej radykalne opcje polityczne i programowe.

Uchwalenie nowego statutu, programu i wybór władz - wszystko to z niezwykle skrupulatnym przestrzeganiem procedur - nadawało tej blisko 10-milionowej organizacji legitymizmu, którego nie można było podważyć propagowaniem tezy, iż ruch ten jest narzędziem w ręku niewielkiej grupki antykomunistów. Większość delegatów wyraźnie zadeklarowała, iż wszyscy są jednakowo antykomunistyczni.

Przygotowania do bitwy

Sytuacja gospodarcza stawała się - nawet jak na standardy RWPG - dramatyczna. Produkcja spadała, więzy kooperacyjne były poszarpane, codziennością stawała się wymiana "towar za towar" między fabrykami. Koszty utrzymania - wedle komunikatu Głównego Urzędu Statystycznego (GUS) - tylko w I półroczu wzrosły o 15%, a przecież wiele produktów żywnościowych było dostępnych tylko na prywatnym rynku, na którym ceny " były znacznie wyższe od urzędowych. "Jak nazywa się po japońsku sklep mięsny?" - pytano w popularnym dowcipie. "Nagiehaki" - brzmiała prawidłowa odpowiedź. Rósł tzw. nawis inflacyjny, który już wiosną szacowano na ok. 300 mld zł, rosły też wkłady w PKO sięgając w końcu września 600 mld zł. Był to wszystko "gorący pieniądz" rzucany na rynek, gdy tylko pojawiły się w sklepach jakie dobra trwałego użytku.

Niektóre transakcje prywatne - kupno mieszkań czy samochodów - zaczęto realizować (i obliczać) w dolarach. Zadłużenie zagraniczne rosło, a eksport spadał. Wierzyciele z rosnącą niechęcią rozpatrywali rządowe prośby o odłożenie płatności. Zarówno rząd, jak i "Solidarność" roztaczały apokaliptyczne wizje nadchodzącej zimy - brak dostaw prądu, wyłączenie centralnego ogrzewania, brak węgla i koksu, zakłócenia w dostawach gazu, kartki na chleb. Niektóre komisje zakładowe "Solidarności", z pomocą partnerskiego związku rolników, zajmowały się dystrybucją ziemniaków i cebuli. Potęgowała się fala wyjazdów za granicę. Obozy dla polskich uchodźców w Austrii czy w RFN trzeszczały w szwach. Zarządy regionów związku powoływały specjalne grupy, które miały działać w czasie zapowiadanych klęsk zimowych. Przy prezydium rządu istniały już od lata Operacyjny Sztab Antykryzysowy, sztab rolny i Komisja Nadzwyczajna do Walki ze Spekulacją (wszystkie kierowane przez wicepremierów).

Prace nad reformą gospodarczą dreptały w miejscu blokowane przez ideowe imponderabilia i uwarunkowania zewnętrzne. Powracały pomysły, jeszcze z lat 1956-1957, o "urynkowieniu gospodarki socjalistycznej", decentralizacji i samodzielności przedsiębiorstw. Zgadzając się pod naciskiem na rozszerzenie wpływu samorządu pracowniczego, strona rządowa drastycznie ograniczyła listę przedsiębiorstw podlegających tym uregulowaniom, chroniąc w ten

sposób mechanizm nomenklatury. Także i "Solidarność" nie miała klarownego programu zmian w sferze gospodarczej, co uwidoczniło się w trakcie dyskusji programowej na zjeździe związku. Przeważyła orientacja samorządowa, która nie wyłamywała się z pryncypiów gospodarki uspołecznionej, a wspierała na przykładzie jugosłowiańskim, który - w porównaniu z innymi krajami Europy Wschodniej - zdawał się dobrze funkcjonować. Konkurencyjny projekt, przygotowany przez Stefana Kurowskiego, także nie wychodził poza generalne ramy systemu gospodarczego. Przewidywał on szybką i zdecydowaną restrukturyzację przemysłu, ostre podwyżki cen, wymianę pieniądza - wszystko jednak centralnie sterowane.

Zasadnicza różnica między projektami rządowymi i związkowymi mieściła się raczej w sferze politycznej niż ekonomicznej. "Solidarność" domagała się "społecznej kontroli" nad reformą i całym życiem gospodarczym, przez co należało rozumieć utworzenie najpierw jakiejś instancji nadrzędnej - proponowano nazwę Społeczna Rada Gospodarki Narodowej - ale w perspektywie nieuchronnie prowadziło do wprowadzenia zasad demokratycznych i wolnych wyborów reprezentacji parlamentarnej. Było to, oczywiście, dla PZPR niemożliwe do zaakceptowania: wolne wybory oznaczały koniec jej władzy. Ponawiano więc próby - chyba już bez przekonania - wmontowania "Solidarności" w instytucje kontrolowane przez komunistów proponując powołanie Rady Porozumienia Narodowego, która miałaby być w istocie nowym wydaniem Frontu Jedności Narodowej. Propozycja ta była jednak z kolei nie do przyjęcia dla związku i stojących przy nim innych organizacji społecznych, gdyż oznaczała przyzwolenie na "kierowniczą rolę" komunistów, a więc pozostawienie wszystkiego po staremu. Coraz więcej osób zdawało sobie sprawę, że stojące naprzeciw siebie dwie wielkie siły - PZPR i cały aparat państwowy oraz "Solidarność" i związane z nią inne organizacje - zmierzają do decydującego starcia.

Znaczna część społeczeństwa wyraźnie zaniepokojona była tą perspektywą. Następował też powolny odwrót od utożsamiania "Solidarności" z szansą na poprawę sytuacji, gdyż wszelkie dotychczasowe działania związku okazywały się nieskuteczne. Charakterystyczne było, że w opinii publicznej - jak wynika z przeprowadzonych późną jesienią badań - zaznaczał się wprawdzie lekki spadek zaufania do rządu i Sejmu, ale zauważalny wzrost zaufania do KC PZPR (z 6% wiosną do 12%) i wyraźne obniżenie się poparcia dla "Solidarności" - z 62% w czerwcu do 41%. Kierownictwo związku, jak się wydaje, znacznie słabiej niż poprzednio kontrolowało całość ruchu. Wśród działaczy, zwłaszcza leaderów regionalnych, umacniały się, tendencje radykalne. Popularność zdobywała m.in. idea strajku czynnego, czyli przejmowania bezpośrednio przez związek zarządzania zakładami przemysłowymi. Nasilała się kampania propagandowa wspierająca żądanie dostępu związku do państwowych mass mediów, co uważane było za najważniejszy z postulatów programowych. PZPR traktował to jako próbę wydarcia mu jednego z głównych atrybutów władzy.

W niektórych fabrykach podjęto akcję propagandową na rzecz usunięcia z terenu zakładu organizacji partyjnej. Za ograniczeniem roli PZPR opowiadało się zresztą, w ogólnopolskich sondażach, ok. 60% respondentów (w tym niemal połowa członków PZPR). Trwał wciąż odpływ z partii - od zjazdu o kolejne 200-300 tys. osób. Atmosferę podsycała aktywność niezależnych organizacji społecznych - chłopskich i studenckich - które znajdowały się w sytuacji

jeszcze gorszej niż "Solidarność", gdyż nie były traktowane przez władze jako partner do (choćby pozorowanych) rozmów. Gorączkowo działały dziesiątki "minipartii" nie znajdujących zrozumienia ani w społeczeństwie, ani wśród działaczy związkowych. Próba skanalizowania rosnących niepokojów, jednogodzinny strajk ostrzegawczy przeprowadzony 28 października, pokazała wprawdzie, iż "Solidarność" ma nadal potężne możliwości mobilizacyjne, ale atmosfera strajku odbiegała od tej, która panowała w czasie zrywu z marca.

Aczkolwiek kierownictwo PZPR nie miało większych złudzeń, że zjazd "Solidarności" przyniesie rozstrzygnięcia idące ku złożeniu broni przez związek, decydujące działania wszczęto po opuszczeniu hali "Olivii" przez delegatów. Momentem przełomowym była zmiana na stanowisku I sekretarza. Podczas trwającego 3 dni (16-18 października) posiedzenia KC przedstawił - przyjętą 104 głosami przeciwko 79 - swą dymisję Stanisław Kania. Motywy były dosyć oczywiste: "partia potrzebuje demonstracji siły", "partia chce zmiany kursu", "odrzuca linię porozumienia", "kto w Biurze Politycznym jest za nadzwyczajnymi środkami, powinien zostać, kto przeciw - odejść", "sytuacja jest rewolucyjna i rewolucyjnymi środkami trzeba działać", jednym z nich zaś jest "przejęcie całej władzy przez wojsko" - takie głosy padały w najwyższym gremium partyjnym.

Formuła zwlekania i nękania przeciwnika wyczerpała się. W pewnym stopniu spełniła swoje zadania. Następcą Kani został gen. Wojciech Jaruzelski, za którym głosowało 180 członków KC przy 4 głosach przeciwnych. W węższym już gremium postanowiono, że zachowa on stanowisko premiera (i formalnie ministra obrony narodowej), co gwarantowało szybkość i spójność procesów decyzyjnych. Gen. Florian Siwicki, wiceminister obrony narodowej, a faktycznie p.o. ministra, został dziesięć dni później dokooptowany na stanowisko zastępcy członka Biura Politycznego, a kierownikiem Wydziału Personalnego KC mianowano gen. Tadeusza Dziekana. 24 października ogłoszono komunikat o rozpoczęciu działalności - najpierw na wsi - przez Wojskowe Terenowe Grupy Operacyjne. Miesiąc później weszły one do miast, tj. fabryk i instytucji administracji lokalnej. W dniu zakończenia październikowego plenum KC Rada Ministrów podjęła uchwałę o przedłużeniu - na dwa miesiące - służby dla żołnierzy mających odejść do cywila. Rocznik ten rozpoczął służbę jesienią 1979 r. i zakładano, że jest w znacznym stopniu immunizowany na wpływy "sił kontrrewolucyjnych". Przygotowania do ataku na związek weszły w ostatnią fazę.

W trwających nieomal bez przerwy negocjacjach rządu z "Solidarnością" z najwyższym trudem dochodziło do kompromisów i wyłącznie w kwestiach drugo- czy trzeciorzędnych. Kończyły się niczym (i zdawkowymi komunikatami) spotkania prymasa i gen. Jaruzelskiego (21 października) czy rozmowy "Wielkiej Trójki" Glemp-Wałęsa-Jaruzelski (4 listopada). W całym kraju wybuchały lokalne strajki. Niektóre przeciągnęły się, inne kończyły nie dając satysfakcji żadnej ze stron. Władzom wyraźnie zależało na tworzeniu obrazu natężającej się anarchii. Prezydium Komisji Krajowej alarmowało - 30 października - że "akcje protestacyjne przybrały charakter żywiołowy i nie zorganizowany". Gdy wygasał jeden strajk, pojawiał się inny. Krótko po rozpoczęciu roku akademickiego wybuchły strajki na uczelniach, m.in. na tle przewlekających się dyskusji nad ustawą o szkolnictwie wyższym. Krwawo stłumiono bunt więźniów w Kamieńsku (5-6 listopada). Wśród aparatu i aktywu partyjnego - a także pracowników MSW i oficerów - szerzono głuche pogłoski

o przygotowywanych przez "Solidarność" "listach proskrypcyjnych" i uzbrojonych bojówkach. 30 października rząd przekazał do Sejmu projekt ustawy "o nadzwyczajnych środkach działania w interesie ochrony obywateli i państwa". Posiedzenie KC PZPR, odbywające się w dniach 27-28 listopada, przyjęło uchwałę, w której mówiono o "bezpośrednim zagrożeniu bytu państwowego". 2 grudnia jednostki specjalne MSW dokonały spektakularnej akcji, z użyciem desantu helikopterowego, dla rozbicia strajku studentów Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarnictwa (WOSP), którzy domagali się wyłączenia ich uczelni spod gestii MSW. Był to dobitny sygnał, że władza przechodzi od "wyważonych środków administracyjnych" do działań siłowych, a zarazem sprawdzian gotowości odpowiednich służb. Dowódca wojsk Układu Warszawskiego marsz. Kulikow wizytował kolejne państwa, a 24 i 25 listopada przebywał w Polsce. 1-2 grudnia odbyła się konferencja ministrów spraw zagranicznych w Budapeszcie, 1-4 grudnia ministrów obrony narodowej w Moskwie, a 1-3 tegoż miesiąca szefów agencji prasowych w Pradze. Sojusznicze zaplecze przygotowywało się do tego, co miało stać się w Polsce.

Na posiedzeniu Biura Politycznego 1 grudnia uznano, że "sytuacja jest dramatyczna" i postanowiono wprowadzić "od zaraz" stan pogotowia, "dyżury całodobowe, łączność, wzmożone patrolowanie", "ochronę gmachów państwowych i partyjnych". Niedawny minister spraw wewnętrznych, sekretarz KC odpowiedzialny za MSW, Mirosław Milewski pytał dramatycznie: "Czy już dziś nie jesteśmy czasami aktorami na smutnej scenie?". Kierownictwo PZPR zdawało sobie bowiem doskonale sprawę z faktu, iż partia jako siła mobilizująca w istocie nie istnieje, a co najmniej utraciła możliwość samodzielnego działania. Kilka dni później zastanawiano się nawet, czy nie zajdzie konieczność rozwiązania jej i "utworzenia partii komunistycznej".

Na wspomnianym posiedzeniu Biura Politycznego Marian Orzechowski stwierdził, że "doszliśmy do kresu". To samo mogła powiedzieć "Solidarność" - wszystkie jej podstawowe postulaty były odrzucane. Na nadzwyczajnym zebraniu Prezydium KK i przewodniczących regionów, które odbyło się 3 grudnia w Radomiu, nie pozostawało nic innego niż raz jeszcze powtórzyć listę żądań: zaprzestanie ataków na związek, przyjęcie ustawy o związkach zawodowych, demokratyczne wybory do rad narodowych, utworzenie Społecznej Rady Gospodarki Narodowej, dostęp do środków masowego przekazu. W odpowiedzi na skierowany do Sejmu projekt nadzwyczajnych pełnomocnictw dla rządu, zapowiedziano 24-godzinny strajk w przypadku uchwalenia go i bezterminowy strajk powszechny, gdyby rząd wprowadził pełnomocnictwa w życie. Padały ostre słowa i mocne sformułowania, a oficjalnie przyjęte stanowisko głosiło to samo, co w kierownictwie PZPR definitywnie powiedziano sześć tygodni wcześniej: "dalsze pertraktacje na temat porozumienia narodowego stały się bezprzedmiotowe".

Kampania propagandowa przybierała niesłychane rozmiary, wykorzystywano w niej m.in. przekazane przez agenta (jednego z przewodniczących regionów) taśmy z nagraniem obrad radomskich. Kościół wyzwał do zaniechania przez Sejm uchwalenia nadzwyczajnych pełnomocnictw. Zjazd delegatów Regionu Mazowsze, po zaciekłej dyskusji, postanowił zorganizować 17 grudnia - w rocznicę masakry gdyńskiej - wiec protestacyjny na warszawskim placu Zwycięstwa. Decyzja ta zapadła 6 grudnia i została w propagandzie późniejszej przedstawiona jako kropla, która przelała puchar. Wszakże

wprowadzenie stanu wojennego zostało zaakceptowane na posiedzeniu Biura Politycznego już o dzień wcześniej, wówczas, gdy prymas Glemp odbywał swoje przedostatnie spotkanie z Wałęsą.

Zebrani w sali obrad Białego Domu byli w zasadzie jednomyślni. Zbigniew Messner ostrzegał, że "za kilka tygodni nie będzie komu i dla kogo wprowadzać stanu wojennego". Józef Czyrek przypominał, że "wielkie kryzysy w historii nie były rozwiązywane przez rozszerzenie demokracji, a przez nadzwyczajne umacnianie władzy, wprowadzanie dyktatury". Jaruzelski z ponurą ekscytacją stwierdził, iż "liczył na instynkt klasowy robotników", że "jest to potworna, makabryczna kompromitacja dla partii, że po 36 latach sprawowania władzy trzeba jej bronić siłą milicyjną [sic!]. Ale przed nami nie ma już nic". Nieliczni bardziej umiarkowani (Hieronim Kubiak) uważali, że wprowadzenie stanu wojennego należy ogłosić w chwili rozpoczęcia przez "Solidarność" strajku generalnego. Przygniatająca większość była jednak za wyprzedzeniem przeciwnika. Wybór "godziny W" scedowano, bez słowa, na generała-sekretarza-premiera. Nikt nie wspominał o sojusznikach, którzy byli w pełnej gotowości do przyjścia w sukurs, gdyby nie powiodło się pierwsze uderzenie. Pół roku wcześniej na tym samym forum Mieczysław Moczar mówił, że "Polskę muszą rozminować polscy minerzy". "Przeklną nas pokolenia - dodawał - jeśliby przyjaciele mieli przyjść z czołgami". 5 grudnia 1981 r. chyba wszyscy uczestniczący w podejmowaniu decyzji podzielali to przekonanie i brali na siebie ryzyko.

Zimowe dni i wieczory były pełne napięcia. 9 grudnia kilkuosobowa delegacja "Solidarności", z udziałem Wałęsy, spotkała się z prymasem, który wyrażał zaniepokojenie rozwojem sytuacji i ostrzegał przed działaniami władz. Cóż kierownictwo związku mogłoby jednak zrobić - ogłosić kapitulację? Zdawano sobie sprawę z gwałtownego wzrostu napięcia, zakładano jednak, że konfrontacja zostanie rozpoczęta w majestacie prawa, tj. po uchwaleniu przez Sejm odpowiednich ustaw. Wizja, którą w "Tygodniku Solidarność" z 11 grudnia roztoczył Krzysztof Czabański - "na skrzyżowaniach ulic staną czołgi, patrole policyjne i wojskowe wyroją się na ulicach" - wydawała się nierealna bez uprzedniej procedury legislacyjnej. Tak na ogół interpretowano krążące już od pewnego czasu pogłoski o stanie - jak zwykle mówiono - "nadzwyczajnym", działalność grup operacyjnych, atak na WOSP. Widoczne przejawy mobilizacji MO czy ZOMO traktowano jako powtarzającą się od ponad roku grę nerwów.

11 grudnia rozpoczął się w Warszawie przygotowywany od dawna Kongres Kultury Polskiej, na który zaproszono przedstawicieli rządu. Na otwarciu obrad zjawili się członek Biura Politycznego Hieronim Kubiak, wicepremier Mieczysław Rakowski oraz minister kultury i sztuki Józef Tejchma. Kongres zaplanowany był na trzy dni. Tego samego dnia rozpoczęły się dwudniowe obrady Komisji Krajowej "Solidarności", która w zasadzie miała przedyskutować propozycje przyjęte na niestatutowym posiedzeniu radomskim i podjąć ostateczne decyzje co do dalszego działania związku. Dyskusja w Gdańsku była ostra i długa, przede wszystkim dlatego, iż wszyscy bodaj zdawali sobie sprawę, że powstała sytuacja całkowicie patowa: "ludzie zdecydowani są nie godzić się na system - mówił Olszewski - a rząd nie jest przygotowany do jego zmian". Tak było co najmniej od sierpnia 1980 r. "Do tej pory - stwierdził Wałęsa - mieliśmy tylko drobne sprawy, teraz

doszliśmy do spraw cholernie poważnych". Przeważały głosy radykalne, a

nawet desperackie. Nie zdołało ich stonować oświadczenie sześciu doradców - o różnych orientacjach ideowych (Geremek, Macierewicz, Mazowiecki, Olszewski, Siła-Nowicki, Strzelecki) - którzy uważali, iż należy pozostać na platformie projektów przyjętych w Radomiu. Uchwalono owe projekty, a nadto postanowiono rozpisanie referendum - ogólnonarodowego lub w samym związku - na "tematy zasadnicze", przez co rozumiano m.in. wypowiedzenie się w sprawie "metod sprawowania władzy przez naczelne i terenowe organa administracji państwowej". W luźniejszej, dyskusyjnej formie rozważano też ewentualny skład Społecznej Rady Gospodarki Narodowej, którą część zebranych uważała za substytut rządu.

Dwudziestogodzinne obrady - odbywające się w historycznej już sali BHP Stoczni Gdańskiej - toczyły się w napiętej atmosferze. Późnym wieczorem 12 grudnia, gdy powoli zbliżały się do końca, zaczęły napływać niepokojące sygnały. O godz. #22#/30 przestał działać teleks, pół godziny później zamilkły telefony.

Tymczasem od dwóch godzin maszynistki z MON spisywały pod dyktando Wiesława Górnickiego - od niedawna doradcy premiera, a od dawna jednego z bardziej znanych dziennikarzy polskich - tekst przemówienia, które wczesnym rankiem jego pryncypał miał wygłosić przez radio i telewizję. Dokładnie o północy telewizja przerwała emisję filmu i bez zapowiedzi zawiesiła nadawanie programu. O godz. #00#/30 Komisja Krajowa zakończyła obrady. Pół godziny później w Belwederze zebrała się na nadzwyczajnym posiedzeniu Rada Państwa, mając dać sankcję "godzinie W".

Rozdział VIII.ă
Długi marsz - wojna i pokój

"Idą pancry..."

O godz. #1#/00 w nocy z soboty na niedzielę 13 grudnia zebrano w Belwederze członków Rady Państwa, w celu uchwalenia dekretów o stanie wojennym. Gdy zgromadzone kworum (11 na 16 osób) rozpoczęło półtoragodzinne obrady, stan wojenny na obszarze całego kraju trwał de facto od paru godzin. Już od godz. #15#/40 wysyłano do komend wojewódzkich MO szyfrogramy nakazujące rozpoczęcie akcji i ogłoszono stan alarmu w wyznaczonych do działań jednostkach wojskowych. Około godz. #23#/30 jednostki MSW (grupy specjalne, oddziały ZOMO, jednostki antyterrorystyczne, zespoły funkcjonariuszy SB, oddziały Jednostek Nadwiślańskich) wspierane przez wojsko przystąpiły do jednoczesnej akcji. W centrach telekomunikacyjnych przerwano wszystkie połączenia krajowe i zagraniczne. Obsadzono radio i telewizję. Do tysięcy mieszkań wyruszyły grupy składające się z milicjantów i funkcjonariuszy SB z zadaniem wręczenia nakazu internowania i przewiezienia do odpowiedniej komendy (komisariatu) MO uprzednio

wytypowanych osób. Oddziały ZOMO wkroczyły do lokali zarządów regionalnych "Solidarności", by zniszczyć (lub zablokować) urządzenia łącznościowe i poligraficzne oraz zatrzymać przebywające tam osoby. Jednostki pancerne i zmechanizowane wyruszyły w stronę węzłów komunikacyjnych, tras wylotowych, głównych skrzyżowań, gmachów rządowych, obiektów strategicznych. Także budynków ambasad. Gen. Jaruzelski, wraz z najbliższym otoczeniem, przebywał w gmachu Rady Ministrów, gdzie Wiesław Górnicki zakończył pisanie tekstu deklaracji premiera, I sekretarza, ministra obrony narodowej i przewodniczącego - jeszcze nie ujawnionej - Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego (WRON) w jednej osobie. Uczestnicy obrad Komisji Krajowej "Solidarności" zaczęli opuszczać teren Stoczni. Oznaczało to, że skoncentrowane w Gdańsku siły porządkowe mogą wkroczyć do akcji nie obawiając się oporu ze strony zgromadzonych w jednym miejscu przywódców dziesięciomilionowej organizacji. I sekretarz KW PZPR w Gdańsku, Tadeusz Fiszbach, otrzymał z centrali polecenie przeprowadzenia rozmowy z Wałęsą i nakłonienia go do udania się do Warszawy "na rozmowy z przedstawicielami państwa". Krótko po godz. #1#/00 ZOMO otoczyło hotele, w których nocowali członkowie władz i doradcy "Solidarności", przystępując do zatrzymywania obecnych. O godz. #3#/00 Wałęsa oświadczył, iż pod przymusem zgadza się na wyjazd do Warszawy. Gdy w eskorcie SB wieziono go na gdańskie lotnisko, gen. Jaruzelski jechał do studia, które mieściło się w koszarach pułku łączności wojsk lotniczych, aby nagrać przemówienia dla radia i telewizji.

W zimną, grudniową noc żołnierze zajmujący - pod osłoną czołgów i wozów pancernych (SKOT) - pozycje w opustoszałych o tej porze miastach, zaczynali rozpalać koksowniki. O godz. #5#/30 przedstawiciele władz obudzili prymasa Glempa, zawiadamiając go o wprowadzeniu stanu wojennego. Budy aresztanckie dowoziły do więzień pierwszych internowanych, którzy przeszli już przez przesłuchania na komisariatach, innych zatrzymanych wypuszczano po podpisaniu zobowiązania o zaniechaniu działalności politycznej. Od kilku godzin wielkie agencje prasowe, ministrowie obrony i spraw zagranicznych oraz służby wywiadowcze państw zachodnich wiedziały, iż w Polsce rozpoczęto zakrojoną na szeroką skalę akcję przeciwko "Solidarności". O godz. #4#/20 waszyngtoński Departament Stanu ogłosił pierwszy, lakoniczny komunikat stwierdzający, iż "nie zasygnalizowano żadnego ruchu wojsk radzieckich".

O godz. #6#/00 - w I programie radia, jedynym, który podjął emisję - rozpoczęto (poprzedzone hymnem narodowym) nadawanie wystąpienia gen. Jaruzelskiego: "Ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią [...], nadeszła godzina ciężkiej próby. Próbie tej musimy sprostać, dowieść, że "Polski jesteśmy warci"". Mówca powiadomił o wprowadzeniu stanu wojennego i ukonstytuowaniu się ("w dniu dzisiejszym") WRON. W przemówieniu raz zostało użyte słowo "socjalizm" ("podjęte dziś kroki służą zachowaniu podstawowych przesłanek socjalistycznej odnowy"). PZPR nie została wymieniona. Przemówienie, powtarzane co godzina, uzupełnione zostało (o #10#/00) proklamacją WRON. O godz. #12#/00 filmową wersję przemówienia nadał I program telewizji.

Rozpoczęto odczytywanie obwieszczenia Rady Państwa: dekretu o stanie wojennym, uchwały o wprowadzeniu stanu wojennego, dekretów o postępowaniu w sprawach przestępstw i wykroczeń, o zmianie ustrojów sądów wojskowych i prokuratury wojskowej. W polowym studiu telewizyjnym monotonnym głosem czytali je na zmianę popularni spikerzy odziani w mundury wojskowe. Ich

ubiór sankcjonował ogłoszony o godz. #16#/30 komunikat Komitetu Obrony Kraju o militaryzacji części administracji państwowej, komunikacji, telekomunikacji, energetyki, górnictwa, portów morskich oraz 129 "kluczowych fabryk". Do zmilitaryzowanych instytucji skierowano ponad 8 tys. komisarzy wojskowych (w tym ok. 400 do instytucji centralnych i resortów), z reguły oficerów służby czynnej. Stan wojenny pozwolił pozostawić w wojsku "stary rocznik", którego służbę już i tak przedłużono uprzednio o 2 miesiące (do 15 grudnia). Minister spraw wewnętrznych wydał, ze swej strony, rozporządzenie o obowiązku zdeponowania wszelkiej broni i amunicji oraz zakazie zmiany miejsca pobytu. MON powołało dziesiątki tysięcy rezerwistów. W bezpośrednich działaniach wzięło udział ok. 70 tys. żołnierzy, ok. 30 tys. funkcjonariuszy MSW, wyprowadzono na ulice 1750 czołgów, 1400 pojazdów opancerzonych, 500 wozów bojowych piechoty, 9 tys. samochodów. Około 1/4 wszystkich sił skoncentrowano w Warszawie i na przedmieściach stolicy.

W braku przepisów o stanie wyjątkowym dyspozycje te były drakońskie i przewidywały ewentualności raczej nieprawdopodobne w przypadku konfliktu wewnętrznego (np. przymusowe dokwaterowywanie mieszkańców zniszczonych - przez bomby? - dzielnic). Wyłączono komunikację telefoniczną, zamknięto stacje benzynowe, wprowadzono godzinę milicyjną (od #22#/00 do #6#/00), na wyjazdy poza miejsce zamieszkania trzeba było uzyskać zezwolenie władz (przepustki), dworce były patrolowane, a na wylotach z miast ustawiono rogatki. Wprowadzono cenzurę korespondencji, zamknięto granice i lotniska cywilne (także krajowe), zawieszono wydawanie prasy pozostawiając tylko dwa dzienniki centralne (organ PZPR "Trybunę Ludu" i pismo MON "Żołnierz Wolności"). Dekret zawieszał działalność wszystkich organizacji społecznych i zawodowych, zakazywał zebrań, zgromadzeń i manifestacji.

Od rana jednostki ZOMO penetrowały ponownie lokale "Solidarności" - konfiskowano dokumenty, pieniądze, księgozbiory i sztandary, zrywano plakaty, rozpędzano gromadzących się ludzi, zatrzymywano pracowników i działaczy, którzy nie zostali w nocy internowani. Po ulicach krążyli zdezorientowani ludzie, na dworcach gromadzili się ci, którzy chcieli (lub musieli) wracać do domów. Jeździły kolumny ciężarówek i milicyjnych "suk", maszerowały wyposażone w broń długą patrole. Po szosach całego kraju sunęły w stronę dużych miast i przemysłowych aglomeracji kolumny czołgów i zmotoryzowanej piechoty. 49 "ośrodków odosobnienia" zapełniało się szybko internowanymi, których liczba w ciągu tygodnia doszła do ok. 5 tys. W więzieniach znalazła się znaczna część krajowych i regionalnych leaderów "Solidarności" (także rolniczej i organizacji działających "pod parasolem" związku), doradców, członków komisji zakładowych dużych fabryk, działaczy opozycji demokratycznej, intelektualistów związanych z "Solidarnością" (m.in. zawieszono odbywający się w Warszawie Kongres Kultury Polskiej). Dla propagandowego efektu internowano też kilkadziesiąt osób z poprzedniej ekipy władzy - w tym Gierka, Jaroszewicza i Babiucha. Na gmachu KC PZPR zamiast czerwonej łopotała flaga narodowa.

Reakcje w stolicach zachodnich były jednoznaczne, ale dalekie od zdecydowania. "Naród polski - oświadczył amerykański sekretarz stanu Aleksander Haig - powinien sam znaleźć sposób na przezwyciężenie aktualnych trudności i doprowadzić do kompromisu między istniejącymi tam siłami". Rząd francuski - deklarował premier Pierre Mauroy - "pragnie wznowienia dialogu

między Polakami i powrotu do wolności obywatelskich i związkowych". Dla świata najważniejszy był fakt, że akcja rozpoczęła się bez udziału wojsk Układu Warszawskiego. Późnym wieczorem, tuż po powrocie z weekendu, podkreślił to prezydent Ronald Reagan: "Stany Zjednoczone - stwierdził wobec dziennikarzy - wyraźnie zapowiedziały ZSRR, że nie będą bagatelizowały jakiejkolwiek interwencji w wewnętrzne sprawy Polski".

Takie było jednak założenie zarówno Kremla, jak i organizatorów stanu wojennego, wielokrotnie zresztą przypominane zarówno przez b. I sekretarza Kanię, jak i gen. Jaruzelskiego. Pomoc zewnętrzna w jakiejkolwiek otwartej formie była brana pod uwagę jako ostateczność, na wypadek gdyby okazało się, że wojsko, siły porządkowe i aktyw PZPR nie są w stanie zapanować nad sytuacją lub gdyby - co było najmniej prawdopodobne - któraś z tych instytucji wyłamała się spod kontroli. Gra, jeśli to, co się działo w Polsce od 13 grudnia, można tak określić, kryła w sobie pewne ryzyko. Największe, jak się wydaje, dla gen. Jaruzelskiego i jego ekipy: w przypadku niepowodzenia pierwszego uderzenia nie zabrakłoby w najwyższym kierownictwie PZPR chętnych do zajęcia jego miejsca nawet za cenę wezwania Armii Radzieckiej. Moskwa, naciskając już od lata 1980 r. na "załatwienie sprawy", nie kwapiła się do interwencji, świadoma jej kosztów politycznych, a także po prostu materialnych, zwłaszcza wobec przedłużającej się interwencji w Afganistanie.

W wielu miastach i zakładach pracy w ciągu tej niedzieli podejmowane były różne próby zreorganizowania rozbitych struktur "Solidarności". Spore grono regionalnych leaderów uniknęło aresztowania w Gdańsku i rano zjawiali się w swoich miastach, tworzyli regionalne - lub międzyzakładowe - komitety strajkowe. W istocie nie było potrzeby formułowania nowych zadań: zarówno statut, jak i uchwały posiedzeń Komisji Krajowej stanowiły, iż w przypadku "ataku na związek" automatycznie ogłasza się strajk powszechny. W Porcie Gdańskim powstał Krajowy Komitet Strajkowy z Mirosławem Krupińskim na czele. Komitet Regionalny utworzył we Wrocławiu Władysław Frasyniuk, w Hucie im. Lenina Komisją Robotniczą Hutników kierował Mieczysław Gil, powstał MKS w Szczecinie.

W większości przypadków inicjatywa przechodziła w ręce ocalałych z pogromu działaczy komisji zakładowych. W niektórych fabrykach pracujących w niedzielę już po południu rozpoczęły się strajki. Uderzenie jednak rozbiło nieomal wszystkie kanały łączności nie tylko między regionami, ale także na terenie poszczególnych miast i właściwie nie było możliwości prowadzenia skoordynowanej akcji. Gwałtowność ataku i wielkość wprowadzonych do akcji sił wywołały szok paraliżujący działania, o co właśnie władzy chodziło. "Solidarność" nie była przygotowana - ani nie próbowała się przygotować - do fizycznej konfrontacji na taką skalę, aczkolwiek wielu jej działaczy często używało mocnych słów i wysuwało maksymalistyczne żądania. Leaderzy nie mieli utajnionych "dublerów", nie istniała rezerwowa sieć łączności ani gotowe do pracy, ukryte urządzenia poligraficzne. Nie mówiąc o środkach obrony. Siłą strajków z grudnia 1970 r. czy sierpnia 1980 r. było m.in. zaskoczenie władz rozmiarami i formami wystąpień. Tym razem efekt zaskoczenia działał na rzecz autorów stanu wojennego.

Dwa kazania, wygłoszone w ciągu owej niedzieli przez prymasa Glempa (poranne w Częstochowie i wieczorne w Warszawie), oddawały nie tylko

stanowisko Kościoła, ale także - jak się wydaje - stan ducha znacznej części społeczeństwa. "Trzeba spokojnie zastanowić się nad sytuacją, której celem powinien być pokój, zachowanie życia, aby nie polała się krew" - mówił do uczestników studenckiej pielgrzymki. Jeszcze wyraźniejsze było przesłanie wieczorne - od godz. #22#/00 transmitowane (bez wiedzy hierarchy) przez radio - do tłumu zgromadzonego w kościele oo. Jezuitów: "Będę wzywał o rozsądek nawet za cenę narażenia się na zniewagi i będę prosił, nawet gdybym miał boso iść i na kolanach błagać: Nie podejmujcie walk Polak przeciwko Polakowi. Nie oddawajcie waszych głów bracia robotnicy [...], każda głowa i każda para rąk bezcenne będą dla odbudowywania tej Polski, jaka będzie i jaka być musi po zakończeniu stanu wojennego". Zwrócił też uwagę, iż wedle władzy "stan wojenny podyktowany jest wyższą koniecznością, jest wyborem mniejszego zła zamiast najgorszego" i dodawał, że "przeciętny człowiek podporządkowuje się nowej sytuacji". Zapewnił jednocześnie, iż Kościół bronić będzie prześladowanych. Było to wezwanie do zaniechania oporu fizycznego.

Jednak 14 grudnia już od porannych zmian fala strajkowa szybko obejmowała cały kraj. Pojawiły się apele i ulotki. Strajki okupacyjne z niewielkimi wyjątkami ogłoszono w kilkuset największych zakładach pracy: wszystkich stoczniach, portach, kopalniach, hutach, w większości fabryk przemysłu metalowego i lekkiego. Nie powiodły się z reguły akcje strajkowe w przedsiębiorstwach komunikacji miejskiej, w zasadzie nie podjęły ich w ogóle kolej i międzymiastowa komunikacja samochodowa. W większości uczelni - mimo zawieszonych zajęć - gromadzili się zarówno studenci, jak i pracownicy naukowi, a w części podjęto przygotowania do okupacji budynków. W nieomal wszystkich instytucjach - poza centralnymi - a nawet w sądach, praca była sparaliżowana, choć rzadko (jak w niektórych instytutach naukowych czy w Bibliotece Narodowej) podejmowano próby strajków okupacyjnych.

Władze stosowały nieomal wszędzie jednakową taktykę, ale z uwagi na rozmiar protestu i liczbę "punktów zapalnych" nie były w stanie wystąpić jednocześnie. Do akcji - poprzedzanej mniej lub bardziej pro forma wygłaszanymi ostrzeżeniami - przystępowały liczne, wyposażone w broń palną jednostki ZOMO (i innych formacji milicyjnych). Większe obiekty otaczano kolumnami pojazdów opancerzonych lub czołgami. W większości przypadków w akcji brały udział specjalnie przeszkolone grupy - także z jednostek antyterrorystycznych i oddziałów dywersyjnych - które z niezwykłą brutalnością uderzały na zgromadzonych. Wiele takich akcji przeprowadzono w nocy (głównie z 14 na 15 grudnia) z użyciem petard, granatów łzawiących i reflektorów. Specjalne jednostki przerzucane były z jednego obiektu na inny oraz - przy użyciu samolotów transportowych i helikopterów - z miasta do miasta.

Wielkie akcje pacyfikacyjne przeprowadzono m.in. w Stoczni Szczecińskiej, Hucie im. Lenina, kopalni "Manifest Lipcowy", zespole fabryk na wrocławskim Grabiszynku. 20 grudnia rozbito ostatecznie strajk w Porcie Gdańskim, 23 grudnia w Hucie Katowice, 24 grudnia zakończył się, prowadzony pod ziemią, strajk okupacyjny w kopalni "Ziemowit", a cztery dni później opuścili kopalnię strajkujący górnicy "Piasta". W wielu miejscowościach strajkom towarzyszyły demonstracje uliczne przekształcające się w zamieszki. Najbardziej gwałtowny przebieg miały w Gdańsku (17-18 grudnia).

Szczególnie mocny opór stawiali robotnicy Śląska, a protest górników strajkujących w głębi kopalń był najtrudniejszy do złamania. Tam też, w kopalni "Wujek", doszło do masowego użycia broni palnej. Rankiem 16 grudnia kopalnia otoczona została przez wojska pancerne, czołgi wyłamały wejścia na jej teren, a za nimi wdarły się oddziały ZOMO i pluton jednostek specjalnych. Żołnierze z tego plutonu otworzyli ogień do broniących się górników: sześć osób zginęło na miejscu, trzej ciężko ranni zmarli w szpitalu. Broni używano podczas wielu ataków i rozpędzania tłumów na ulicach (m.in. w Gdańsku, w Hucie Katowice, we Wrocławiu) - zginęło na miejscu lub zmarło co najmniej 5 osób - ale rozbicie strajku w "Wujku" miało najbardziej dramatyczny i najkrwawszy przebieg. Opór górników z tej kopalni stał się symbolem postawy ludzi "Solidarności" wobec wprowadzenia stanu wojennego. Wydarzenie to utrwalone zostało także w - rozkwitającej wówczas - poezji ludowej, a refren jednej z piosenek powtarzał: "idą, idą pancry na Wujek".

Opór strajkowy, wobec zdezorganizowania struktur "Solidarności" i brutalnej determinacji władzy, nie trwał długo. Miał on zresztą charakter w istocie enklawowy, nawet w tych miejscach, w których - jak na Śląsku czy w Gdańsku - był najbardziej powszechny. Nieomal nigdzie strajki nie przybrały charakteru powszechnego: w fabrykach zamykała się z reguły tylko część załóg; manifestacje uliczne wybuchały żywiołowo, bez koordynacji ze strajkami okupacyjnymi; w większości zakładów pracy - w zasadzie we wszystkich mniejszych - odbyły się tylko chaotyczne masówki. Wynikało to w znacznym stopniu z siły i rozległości uderzenia, fali aresztowań przywódców i uczestników rozbitych strajków (wedle oficjalnych danych sankcje prokuratorskie otrzymało ok. 4 tys. osób, a pierwsze procesy odbyły się 24 grudnia), masowych zwolnień strajkujących załóg (np. w kopalni "Piast" wyrzucono z pracy co najmniej 2 tys. robotników). Podjęte też zostały na szeroką skalę działania "dyscyplinujące" administrację państwową (i gospodarczą), a także samą PZPR. W ciągu pierwszego tygodnia zwolniono z funkcji partyjnych ok. 500 osób i rozwiązano kilkadziesiąt organizacji PZPR, usunięto ze stanowisk kilkudziesięciu wojewodów i wicewojewodów oraz kilkuset dyrektorów i kierowników fabryk i instytucji. Wojskowi komisarze objęli faktyczne kierownictwo w setkach przedsiębiorstw i urzędów. We wszystkich województwach działali specjalni pełnomocnicy KC PZPR, a władzą nadrzędną stały się Wojewódzkie Komitety Obrony. Władzom ułatwiała sytuację ogólna atmosfera społeczna, już jesienią 1981 r. coraz mniej sprzyjająca zbyt daleko idącym postulatom i żądaniom. Znaczna część Polaków zmęczona była przedłużającymi się trudnościami życia codziennego, chaosem i nieustającym napięciem podsycanym przez propagandę obu stron. W samym związku - a właściwie w resztkach ocalałych jego struktur i wśród leaderów - już po kilku dniach oporu pojawiły się tendencje do hamowania masowych wystąpień, które w oczywisty sposób okazywały się nieskuteczne. 21 grudnia jeden z czołowych działaczy Regionu Mazowsze Zbigniew Janas w odezwie "Do wszystkich działaczy NSZZ "Solidarność"" wypowiadał się przeciwko czynnemu oporowi, za podstawowe zadanie związku uważając pomoc dla prześladowanych i ich rodzin oraz odbudowę kontaktów, prowadzenie działalności informacyjnej (wydawniczej) i powoływanie głęboko utajnionych komitetów przygotowujących się do proklamowania strajku generalnego - jeśliby wybuchł "spontaniczny bunt". Był to zaczątek wielkiej debaty o tym, "co robić".

Gdy 22 grudnia zebrali się - po raz pierwszy od wprowadzenia stanu wojennego - członkowie Biura Politycznego KC PZPR, opór strajkowy na ogół był już złamany. Aczkolwiek zebrani nie popadli w stan euforii, oczywiste dla nich było, iż wprowadzenie stanu wojennego przyniosło realizację doraźnych celów: "wygraliśmy pierwszą bitwę" - konkludował gen. Jaruzelski. W swoim wojskowym języku ostrzegał jednak: "nie wygraliśmy kampanii (na co potrzeba kilku miesięcy) ani wojny (potrzeba 10 lat, aby odwojować spustoszenia w świadomości i podźwignąć gospodarkę z ruin)". Czas miał pokazać, że tak jak to często bywa - wygranie pierwszej bitwy, a nawet kampanii, nie gwarantuje wygrania wojny.

Społeczeństwo podziemne

Wygaśnięcie i rozbicie strajków okupacyjnych nie oznaczało zakończenia

czynnego oporu. Wznowiony został w końcu stycznia 1982 r., a masowe wystąpienia miały powtarzać się przez blisko 10 miesięcy. Wprawdzie pierwsze strajki (Wrocław) i uliczne manifestacje (Gdańsk) zorganizowano jako protesty przeciwko wprowadzeniu (1 lutego) drastycznych podwyżek cen, ale nieomal wszystkie następne wystąpienia nawiązywały do rocznic i dat symbolicznych. Od lutego powtarzały się, krótkie na ogół, strajki i mniej lub bardziej masowe i gwałtowne demonstracje w rocznice (raczej "miesięcznice") wprowadzenia stanu wojennego. Dochodziło do starć, aresztowań, zwolnień z pracy. Aczkolwiek akcje te miały miejsce w różnych miastach, z czasem jako "twierdze "Solidarności"" utrwaliły swoją pozycję Gdańsk, Wrocław, Nowa Huta i Warszawa, gdzie wystąpienia powtarzały się najczęściej. Znaczne rozmiary przybrały demonstracje zorganizowane 1 maja, gdy manifestujący pod hasłami "Solidarności" bądź to włączali się - lub usiłowali włączyć - do pochodów oficjalnych, bądź (częściej) organizowali "kontrmanifestacje". Zachęceni widocznym sukcesem pod względem liczby uczestników członkowie "Solidarności", a także coraz liczniejsze w tych wystąpieniach grupy młodzieży szkolnej, stawili się masowo na manifestacje w dniu tradycyjnego święta narodowego 3 Maja. W Warszawie, w wąskich uliczkach i na placach Starego Miasta, zgromadziło się kilkadziesiąt tysięcy osób, wielotysięczne tłumy demonstrowały w co najmniej kilkunastu miastach.

Najszerszy zasięg przybrały wystąpienia w drugą rocznicę "umów gdańskich" i powstania "Solidarności". Wedle oficjalnych komunikatów 31 sierpnia 1982 r. demonstracje odbyły się w miastach 34 województw, zatrzymano ponad 5 tys. osób, przed różnymi instancjami sądowymi i kolegiami ds. wykroczeń stanęło ponad 3 tys. osób. W Lubinie, jednym z miast legnickiego zagłębia miedziowego, jednostki ZOMO otworzyły ogień: na miejscu zginęło dwóch robotników, w szpitalu zmarł trzeci. Ofiary śmiertelne były też we Wrocławiu i Gdańsku. Ostatnie w tej fazie ("kampanii" jak powiedział gen. Jaruzelski) manifestacje i strajki odbyły się w październiku - po uchwaleniu przez Sejm ustawy o związkach zawodowych i formalnym rozwiązaniu "Solidarności" - oraz w listopadzie, z okazji drugiej rocznicy rejestracji związku i Święta Niepodległości. Od tej pory manifestacje uliczne odbywały

się z mniejszą częstotliwością i z reguły organizowane były z okazji świąt narodowych (3 Maja, 11 Listopada) oraz głównych rocznic "solidarnościowych" (31 sierpnia, a na Wybrzeżu 17 grudnia).

W pierwszych tygodniach stanu wojennego wystąpienia miały w przeważającej mierze charakter spontaniczny, wzywały do nich ulotki, napisy na murach, pierwsze konspiracyjne gazetki, dobrze funkcjonująca "poczta pantoflowa". Tradycyjne formy protestu uzupełniane były przez takie innowacje jak wygaszanie świateł w domach i wystawianie w oknach zapalonych świeczek (13 każdego miesiąca) czy uliczne spacery w porze głównego wydania dziennika telewizyjnego (zainicjowane w Świdniku). Mury miast pokrywały tysiące sloganów, z najbardziej znanymi takimi jak "WRON won za Don", "Zima wasza wiosna nasza", "C[iąg] D[alszy] N[astąpi]" czy "Wrona orła nie pokona" oraz oparty na motywach okupacyjnej "kotwicy" Polski Walczącej znak "Solidarności" Walczącej. Specjalne ekipy zamalowywały w nocy te napisy, nieraz wypisując własne (np. "KOR = Żydzi" czy "S" = dolar).

W odręcznie lub na prymitywnych powielaczach sporządzonych kopiach krążyły piosenki i ballady, w większości oparte na tradycyjnych melodiach i wzorach (np. "13 grudnia roku pamiętnego" zamiast "Dnia 1 września roku pamiętnego"). Dosyć szybko pojawiły się nagrania magnetofonowe m.in. piosenek nadawanych przez Radio Wolna Europa. Protestacyjny "folklor" został zasilony obfitą twórczością powstającą w "internatach" i więzieniach. Wykupywano oporniki, które wpinano w ubrania. Powszechnie używanym symbolem stał się znak "V" (victoria), a za nim poszła popularność tak niewinnego zwierzątka jak zając, którego długie uszy znak ten tworzyły. Dosyć popularny był medalik przedstawiający rozpiętego na krzyżu orła i różnego rodzaju miniaturowe odznaki ("CDN", "Solidarność"). W okresie wielkanocnym pojawiły się kartki propagandowe, które razem ze znaczkami "poczty Solidarności" były jednym ze sposobów zdobywania pieniędzy przez struktury konspiracyjne (z czasem rozwinął się cały "podziemny rynek" nie zawsze pracujący na rzecz autentycznego podziemia).

Mało skuteczne, ale długo ponawiane, były hasła bojkotu rządowych mass mediów. Respektowała je spora część środowisk artystycznych i intelektualnych odmawiająca występowania w telewizji, a nawet - przez pewien czas - w teatrach. W listopadzie 1982 r. odbył się pierwszy spektakl "Teatru Domowego" Ewy Dałkowskiej z przedstawieniem zdjętym przez cenzurę. W tym samym czasie trwały w wielu diecezjach Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej, w których uczestniczyli na nie spotykaną uprzednio skalę aktorzy, malarze, publicyści czy naukowcy. Bojkot rządowych instytucji

kultury i mass mediów zbiegł się z "akcją weryfikacyjną" dziennikarzy, w wyniku której pracę utraciło co najmniej 800 osób, których część - zapewne wbrew intencji władz - podjęła działalność w prasie podziemnej. Zarówno w środowiskach intelektualnych i inteligenckich, jak i w fabrykach powszechne były przejawy bojkotowania kierowników różnego szczebla, członków PZPR, osób wyrażających poparcie dla władz stanu wojennego.

Podziały polityczne, tak dobrze widoczne już w latach 1980-1981, przybierały niejednokrotnie drastyczne rozmiary, czemu sprzyjały także liczne - zwłaszcza w pierwszym okresie - przejawy rewanżu branego przez środowiska partyjne za lęki i frustracje z okresu, jak mówiono, "legalnej "Solidarności"". Nastroje wrogości podsycała brutalna i nie przebierająca w

argumentach propaganda rządowa, której ton nadawał w swych cotygodniowych konferencjach prasowych Jerzy Urban. Dążyła ona do zdyskredytowania zarówno poszczególnych działaczy "Solidarności", jak i całego ruchu, przy czym notorycznie uciekano się do fałszerstw i przeinaczeń. Diabolizowano obraz związku, przedstawiając - z reguły sfingowane - dowody przygotowań do "rozpętania wojny domowej" i powiązań ze "służbami specjalnymi państw zachodnich" zarówno przed, jak i po 13 grudnia. Kolportowano oszczerstwa i pomówienia, często posługując się szowinistycznymi sloganami. W odpowiedzi propaganda "solidarnościowa" operowała czarno-białymi schematami, co ułatwiała zarówno formalna terminologia stanu wojennego, jak i retoryka rządowych mass mediów. Upowszechniły się w ten sposób takie terminy, jak "wojna z narodem" czy "nowa okupacja", a na sygnał podziemnego radia wybrano melodię znaną z czasów niemieckiej okupacji ("Siekiera, motyka..."). Niezależnie od zamieszek ulicznych trwała swoista "zimna wojna domowa", dzieląca załogi, środowiska, nawet rodziny.

Aczkolwiek, zwłaszcza w pierwszym okresie, przejawy oporu miały w znacznym stopniu charakter żywiołowy, ich zaplecze organizacyjne stanowiły zarówno tajne komisje zakładowe, jak i coraz liczniejsze struktury regionalne. W ciągu pół roku powstały one we wszystkich większych ośrodkach, a na ich czele stali zarówno ludzie znani z okresu działalności legalnej (m.in. Władysław Frasyniuk i Józef Pinior we Wrocławiu, Zbigniew Bujak, Zbigniew Janas, Zbigniew Romaszewski i Wiktor Kulerski w Warszawie, Bogdan Borusewicz i Bogdan Lis w Gdańsku), jak i będący w cieniu członkowie zarządów regionów. 13 stycznia pierwszy komunikat ogłosił Ogólnopolski Komitet Oporu "Solidarności" (OKO), ale dopiero powołana 22 kwietnia Tymczasowa Komisja Koordynacyjna (TKK), której proklamację podpisali w imieniu czterech regionów Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk, Władysław Hardek (Małopolska) i Bogdan Lis, została powszechnie uznana za centralę podziemnego związku. Rozbieżności na tle taktyki działania spowodowały powstanie organizacji, które nie w pełni uznawały "zwierzchność" TKK (jak Międzyzakładowy Robotniczy Komitet "Solidarności" - MRK "S" - w Warszawie), bądź nawet ogłosiły swoją całkowitą odrębność (jak "Solidarność Walcząca" Kornela Morawieckiego we Wrocławiu). W lipcu powołane zostało przez TKK oficjalne Biuro Koordynacyjne za Granicą (z Jerzym Milewskim jako kierownikiem), W tym samym czasie utworzono w Warszawie tajną Radę Edukacji Narodowej, która zapoczątkowała powstanie całej grupy nielegalnych struktur zajmujących się sprawami szkół (Komitet Oświaty Niezależnej), środowisk artystycznych (Komitet Kultury Niezależnej) czy akademickich (Społeczny Komitet Nauki). 15 sierpnia ogłosił swoją deklarację Ogólnopolski Komitet Oporu Rolników (OKOR) będący emanacją "Solidarności" Rolników Indywidualnych.

Odtworzyły się w konspiracji struktury Niezależnego Zrzeszenia Studentów (NZS). Na podstawie poprzednich kontaktów rozpoczął działalność Uczniowski Ruch Odnowy (URO). Zrazu dosyć rozpowszechnione były efemeryczne komitety oporu społecznego ("Kosy"), opierające się na więziach towarzyskich. Przejściowo mniejsze znaczenie, m.in. z powodu licznych aresztowań, odgrywała Konfederacja Polski Niepodległej. Podobnie gdański Ruch Młodej Polski, Nie odrodziły się ani rozwiązany we wrześniu 1981 r. KSS"KOR", ani ROPCiO, które już w 1980 r. de facto rozpłynęły się w ruchu "Solidarności".

Zniknęły też liczne, acz bez wyjątku "kanapowe", partia, które powstały w latach 1980-1981.

Równolegle do tajnych organizacji powstawała prasa konspiracyjna. Pierwsze gazetki zaczęły ukazywać się jeszcze w czasie grudniowej fali strajkowej (warszawskie "Wiadomości"), a w ciągu kilku tygodni w każdym większym ośrodku wydawano po kilka czy kilkanaście tytułów. Najbardziej znane i najszerzej kolportowane były wrocławskie "Z dnia na dzień", poznański "Obserwator Wielkopolski", gdańska "Solidarność", krakowski "Biuletyn Małopolski", nowohucki "Głos Wolnego Hutnika", lubelski "Informator", warszawskie "Wola", "Tygodnik Wojenny". Wkrótce po powstaniu (11 lutego), czołową rolę, dzięki swym związkom z TKK, zaczął odgrywać "Tygodnik Mazowsze", którego podstawą był zespół dawnego biuletynu Agencji "Solidarność" (AS). W ciągu 1982 r. ukazywało się co najmniej 800 czasopism nielegalnych, z reguły związanych ze strukturami "Solidarności".

Nie później niż w lutym 1982 r. pojawiły się też pierwsze broszury i książki, zrazu głównie sygnowane przez znane "przedgrudniowe" oficyny NOWa i Krąg. Do końca roku wydano co najmniej 300 pozycji. Wielkość zasięgu podziemnego ruchu wydawniczego potwierdzały publicznie ogłoszone informacje o działalności służb bezpieczeństwa - wedle nich do listopada "zlikwidowano" 360 punktów druku, skonfiskowano blisko 1200 urządzeń powielających, 730 tys. egzemplarzy ulotek. 12 kwietnia rozpoczęło (w Warszawie) emisje Radio "Solidarność", którego inicjatorem był Zbigniew Romaszewski. Od lata nadajniki działały już w kilku miastach i choć ich możliwości informacyjne były niewielkie, sam fakt istnienia był zachętą do aktywności.

Choć zasięg obiegu prasy podziemnej i ulotek był dosyć znaczny, podstawowym źródłem informacji w skali masowej stało się radio zagraniczne. Sporą popularnością cieszyły się prowadzone z werwą audycje polskie Radio France International, tradycyjnie słuchano BBC i Głosu Ameryki, ale największy zasięg miała Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa, której kierownikiem został (1 kwietnia) Zdzisław Najder, twórca Polskiego Porozumienia Niepodległościowego w 1976 r. Rozgłośnie zagraniczne opierały się nie tylko na serwisach agencyjnych i korespondencjach z Polski czołowych dzienników światowych, ale także - a z czasem przede wszystkim - na drukach podziemnych oraz informacjach i komentarzach docierających z kraju czy to za pośrednictwem pracowników ambasad, czy uczestników bardzo licznych i częstych transportów z pomocą (żywność, lekarstwa, odzież) dla Polski.

Po zaskoczeniu, dzięki któremu władze wygrały pierwszą bitwę, wśród działaczy "Solidarności" przez czas pewien trwały dyskusje nad taktyką. Jednym z problemów była sprawa form organizacyjnych. Wyraźnie przeważały głosy przeciwne próbom centralizacji działań i tworzenia hierarchicznych struktur. Było to zgodne z tendencjami istniejącymi w związku od początku jego istnienia, a także miało stanowić zabezpieczenie przed infiltracją podziemnych struktur przez SB. Przeciwnego zdania był m.in. Jacek Kuroń, który w swych "Tezach o wyjściu z sytuacji bez wyjścia" przemyconych z więzienia, postulował "organizowanie się wokół ośrodka centralnego" i "okazanie mu pełnej dyscypliny". Pojawiły się nawet propozycje zbudowania Państwa Podziemnego, na wzór istniejącego w czasie II wojny światowej. Ostatecznie, mimo wielomiesięcznej rezerwy ze strony wielu znanych

działaczy, powstały zarówno władze regionalne, jak i TKK. Nie tworzyły one zwartej struktury, ale lojalność wobec zakonspirowanych ogniw kierowniczych okazała się zjawiskiem trwałym i wykazywali ją nawet ci, którzy wysuwali pod ich adresem zastrzeżenia i pretensje.

W kilku tekstach opublikowanych w lutym-maju 1982 r. zarysował się podział między zwolennikami przygotowywania się do mającej rychło nastąpić akcji czynnej (w postaci strajku powszechnego) a działaczami opowiadającymi się za "walką pozycyjną". Pierwsze stanowisko najdobitniej wyraził (we wspomnianym tekście) Kuroń, jego głównym oponentem był Bujak. Radykalne koncepcje ogłaszali m.in. Romaszewski i - jeden z najbardziej popularnych publicystów konspiracyjnych - "Maciej Poleski" (wł. Czesław Bielecki) opowiadający się za koncepcją strajku generalnego i "czynnym, metodami siły" prowadzonym sprzeciwem wobec działań "państwa-terrorysty". Emocjonalnego napięcia nadawały tej polemice zarówno powtarzające się wystąpienia uliczne, liczne procesy uczestników grudniowych strajków (najwyższy wyrok - Ewy Kubasiewicz - 10 lat więzienia), jak i śmiertelne postrzelenie milicjanta przez grupę młodych chłopców, którzy chcieli odebrać mu pistolet. Wielu obawiało się powstania terroryzmu, który uważali zarówno za naganny, jak i niosący zagrożenie wzmożonymi represjami. W maju z propozycją przyjęcia koncepcji "długiego marszu" wystąpił (z więzienia) Adam Michnik, który opowiadał się za działaniami "żmudnymi" i "często nieefektownymi", ale koniecznymi dla "rekonstrukcji społeczeństwa cywilnego".

Mimo istnienia różnic większość opowiadała się za szukaniem możliwości porozumienia z władzą. Nawet radykalny wówczas Kuroń uważał strajk generalny za "środek przyspieszający zawarcie ugody". TKK w swej pierwszej deklaracji stwierdzała, że "rozwiązanie stojących przed Polską problemów jest niemożliwe bez podjęcia rozmów między władzą a społeczeństwem" i za jedyny warunek przystąpienia do nich uznała zwolnienie internowanych, aresztowanych i skazanych.

Stanowisko takie miało silne oparcie w wypowiedziach duchowieństwa, a także Jana Pawła II - wielokrotnych w ciągu pierwszych miesięcy trwania stanu wojennego - oraz "Tezach Prymasowskiej Rady Społecznej w sprawie ugody społecznej" ogłoszonych 5 kwietnia. Szczególnie wyraźnie zwolennikiem kompromisów - nawet kosztem kształtu "Solidarności" i tych jej działaczy, których uznawano za radykałów - był prymas Glemp, którego z tego powodu niejednokrotnie krytykowała prasa podziemna. Stanowisko takie, choć nie podzielało go wielu przedstawicieli niższego kleru (a nawet niektórzy biskupi), zgodne było z generalną linią wytyczoną jeszcze przez prymasa Wyszyńskiego, który starał się ochronić Kościół przed bezpośrednim uderzeniem ze strony państwa. W konsekwencji prymas Glemp wielokrotnie oferował pomoc Kościoła w nawiązaniu dialogu, ale władze ignorowały te propozycje. Jednym z powodów ugodowych tendencji Episkopatu była planowana na 1982 r. papieska wizyta w Polsce. Rozmowy w tej sprawie trwały parę miesięcy i dopiero 21 lipca nadeszła z Watykanu oficjalna informacja o jej odłożeniu. Władze uczyniły z niej dogodny sposób wywierania nacisku na Kościół i wymuszania na nim ugodowej postawy. W jaskrawy sposób uwidoczniło

się to, gdy 8 listopada 1982 r. - na dwa dni przed planowanymi strajkami w rocznicę rejestracji "Solidarności" - po spotkaniu prymasa z gen. Jaruzelskim ogłoszono komunikat o zaproszeniu papieża na czerwiec 1983 r.

Jakkolwiek stanowisko prymasa i Episkopatu było ostrożne, Kościół jako instytucja stał się schronieniem dla "solidarnościowego" podziemia i miejscem, w którym toczyła się poważna część "bitwy o świadomość społeczną". Wielu księży głosiło prawdę o stanie wojennym, a nawet udzielało pomocy podziemiu. Msze za Ojczyznę, odprawiane w wielu kościołach (najbardziej znane odbywały się w kościele św. Stanisława Kostki, gdzie celebrował je ks. Jerzy Popiełuszko) były istotnym składnikiem podtrzymywania w oporze szerokich rzesz wiernych. Ważnym elementem roli Kościoła były - powstałe jeszcze w pierwszych dniach stanu wojennego - Prymasowski Komitet Pomocy i jego diecezjalne odpowiedniki. Organizowały one pomoc - głównie zbierając pieniądze i rozdzielając przesyłki z zagranicy - dla dziesiątek tysięcy osób (internowanych, więźniów i ich rodzin). Księża dosyć rychło dotarli do więzień.

Wygasanie jesienią 1982 r. fali ulicznych wystąpień i niepowodzenia kolejnych wezwań do strajków oznaczało, że - jak przewidywał gen. Jaruzelski - "kampania" została wygrana przez władze. Życie samo rozstrzygnęło dylemat "czynny opór" czy "długa droga": nie pozostawało nic innego niż to drugie wyjście. Autorzy stanu wojennego też zdawali sobie sprawę, że bezpośrednie zagrożenie ze strony "Solidarności" znikło. Dla udowodnienia tego zwolniono z internowania - w którym przebywał cały czas w pojedynkę - Lecha Wałęsę. 14 listopada, gdy znalazł się w domu, PAP w oficjalnym komentarzu stwierdziła, iż "były przywódca byłej "Solidarności" jest obecnie osobą prywatną". 19 grudnia Rada Państwa uchwaliła zawieszenie stanu wojennego, a w przeddzień Wigilii min, Kiszczak nakazał uwolnienie internowanych i likwidację ośrodków, w których byli więzieni. Nie oznaczało to jednak pobłażania dla tych, którzy uważani byli za najbardziej niebezpiecznych. Do czterech "korowców", którzy jeszcze we wrześniu otrzymali w obozie dla internowanych sankcje prokuratorskie, dołączono w grudniu siedmiu znanych działaczy związku, czyniąc z tej - jak wówczas mówiono - "reprezentacyjnej jedenastki" zbiorowego zakładnika. Nie ustawały też procesy osób zaangażowanych w działalność konspiracyjną. Stan wojenny został zresztą zastąpiony przez "szczególną regulację prawną", która utrzymywała w mocy postanowienia najważniejsze dla kontynuowania represji.

W oświadczeniu programowym, ogłoszonym pt. ""Solidarność" dziś" 22 stycznia 1983 r., TKK podtrzymywała swoje poprzednie stanowisko: "Celem naszej walki pozostaje realizacja programu [...] demokratycznych reform niezbędnych dla podniesienia kraju z upadku". Wymaga to - pisano - "stworzenia sytuacji, w której władza zmuszona jest do szukania kompromisu ze społeczeństwem". Gdy w kwietniu doszło do pierwszego (konspiracyjnego) spotkania TKK z Lechem Wałęsą, oczywiste się stało, że nie ma między nimi poważniejszych rozbieżności co do taktyki działania. Stan taki został umocniony wystąpieniem - w sprawie pluralizmu związkowego - sygnowanym 6 maja 1983 r. przez Wałęsę i innych działaczy "Solidarności" wspólnie z przedstawicielami kilku central związkowych, które przed 13 grudnia nie należały bynajmniej do opozycyjnych (tzw. związki autonomiczne, Związek Nauczycielstwa Polskiego).

Od początku 1983 r. zaniechano właściwie prób podejmowania akcji

strajkowych na skalę krajową czy nawet regionalną, nie ustawały natomiast manifestacje, które wszakże rzadko osiągały rozmiary z pierwszego roku stanu wojennego. Główny wysiłek środowisk opozycyjnych koncentrował się na działalności wydawniczej, oświatowej, kulturalnej i propagandowej. Wiele energii pochłaniała też techniczna strona konspiracji. Trzonem "podziemnego społeczeństwa" pozostawała nadal "Solidarność", ale wiele inicjatyw - nawet powołujących się na nią - miało charakter samodzielny.

Trwałym i nader ważnym nurtem w życiu opozycji była aktywna działalność prasowa. W latach 1982-1985 ukazało się co najmniej 1,7 tys. tytułów, W 1983 r. pojawiły się na szerszą skalę czasopisma społeczno-polityczne i kulturalne, o sporej nieraz objętości (m.in. "Obecność" we Wrocławiu, "Obraz" w Szczecinie, "Arka" w Krakowie, "Vacat" w Warszawie). Publikowały one analizy sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej, teksty (i dokumenty) poświęcone najnowszej historii, prozę, poezję. "Tygodnik Mazowsze" osiągał nakłady w granicach kilkunastu tysięcy egzemplarzy, a czołowe pisma regionalne drukowały po kilka tysięcy. W MSW obliczano, że "jednorazowa moc produkcyjna" podziemnej poligrafii wynosi ok. 1 mln kartek formatu A4.

W tym samym czasie wydano nie mniej niż 1,8 tys. książek i broszur, w nakładach sięgających niekiedy po 5-6 tys. egzemplarzy, Największą część (zapewne niemal połowę) stanowiły publikacje o charakterze politycznym: broszury polemiczne, analizy sytuacji, propaganda "antywronowa". Wiele też było tekstów literackich, w tym dużo poezji, najczęściej o charakterze politycznym: satyr i grotesek czy sentymentalnych utworów typu martyrologicznego. Wydano co najmniej 200 pozycji z zakresu historii, niemal bez wyjątku dotyczących dziejów sowieckiego totalitaryzmu, losów Polaków na Wschodzie, ustanawiania systemu komunistycznego w Polsce. W "produkcji wydawniczej" konspiracji uderzający - acz oczywisty - był udział przedruków z publikacji emigracyjnych. Niektóre czasopisma emigracyjne wydawane były w postaci wyborów ("Kultura"), a nawet przedruków całych zeszytów ("Aneks", "Zeszyty Literackie").

Największym "zagłębiem" drukarskim i centrum wydawniczym była Warszawa, w której ukazywało się niemal 114 gazetek i czasopism oraz blisko 213 książek i broszur. Na pozycji największego wydawcy utrzymywała się NOWa, do znaczących należały też "stare" oficyny Krąg i Głos, ale pojawiło się i utrwaliło wiele nowych inicjatyw (od 1982 r. - m.in. CDN, Słowo i Przedświt, od 1983 r. - m.in. Pokolenie, Rytm i Unia). Wokół prasy konspiracyjnej i wydawnictw podziemnych gromadziło się sporo osób debiutujących jako autorzy - także jako redaktorzy i wydawcy - ale z uwagi na charakter inicjatywy te były anonimowe, posługiwano się najczęściej pseudonimami.

Coraz bardziej upowszechniały się różne formy alternatywnej - wobec oficjalnych instytucji - kultury. W tej dziedzinie niezastąpiona była rola Kościoła. Nieomal wszystkim uroczystościom religijnym związanym z rocznicami ważnymi dla tradycji towarzyszyły występy artystyczne - wieczory poezji, wystawy, spektakle. Tygodnie kultury chrześcijańskiej, odbywające się bodaj we wszystkich diecezjach, a nawet większych parafiach, miały program raczej patriotyczno-narodowy niż ściśle religijny. W pomieszczeniach parafialnych (nieraz w samych kościołach) odbywały się sesje popularnonaukowe - najczęściej dotyczące historii Polski - a nawet naukowe sympozja. Choć w otoczeniu Kościoła katolickiego nigdy nie

brakowało ludzi sztuki czy intelektualistów, skala ich uczestniczenia w imprezach organizowanych przez księży była ewenementem. Rzadko też trafiały się wypadki odmowy zaproszenia kogoś dlatego, że był ateistą: W polemikach politycznych podnosiły się wprawdzie głosy, iż środowiska nie mające uprzednio nic - lub niewiele - wspólnego z katolickim wyznaniem wiary traktują Kościół instrumentalnie, ale większość kleru nie podejmowała tego problemu.

Rozwijały się - a nawet rozkwitały - także różne formy "świeckiej" kultury opozycyjnej, z natury rzeczy bardziej kameralne: spektakle teatrów i kabaretów "domowych", prywatne seanse filmów nagranych na kasety magnetowidowe (także w "podziemiu" lub na emigracji), wspólne słuchanie piosenek utrwalanych na taśmach magnetofonowych, wernisaże grafiki czy malarstwa. Na działalność tego typu - a także na niektóre badania naukowe i akcje oświatowe - napływały środki z zagranicy, od prywatnych fundacji, związków zawodowych, ze zbiórek. Podziały, powstałe głównie po 13 grudnia, w środowiskach twórczych i naukowych, wyraźnie utrwalały się i np. pewna część badaczy czy krytyków literackich i artystycznych usuwała się - często dobrowolnie - z oficjalnych mediów (rzadziej z instytucji) funkcjonując wyłącznie w "drugim obiegu" lub w prasie i wydawnictwach katolickich, których liczba od 1982 r. wyraźnie wzrosła.

Utrwalanie się sytuacji wywołanej przez stan wojenny i dosyć wyraźna stabilizacja - a nawet swoisty konserwatyzm - struktur i propozycji politycznych "Solidarności", powodowały coraz częstsze pojawianie się inicjatyw poza ruchem podziemnym skupionym wokół osoby Wałęsy. Od końca 1982 r., i ze stale nasilającą się tendencją rozwojową, wznawiała działalność część dawniej czynnych grup politycznych, a przede wszystkim powstawały nowe. W niektórych środowiskach umacniało się przeświadczenie, że wprowadzenie stanu wojennego było "łabędzim śpiewem" realnego socjalizmu i wynikające z tego w naturalny sposób dążenie do wypracowania i propagowania programów zakładających nie reformę, ale upadek systemu. Część tych środowisk pozostawała w obrębie ruchu "solidarnościowego" - jak Grupa Polityczna "Wola" czy Ruch Polityczny "Wyzwolenie" - ale uważały za konieczne wyraźniejsze upolitycznienie "Solidarności" i wysuwanie bardziej radykalnych projektów niż czynili to TKK i Wałęsa oraz otaczający go doradcy.

Znakiem czasu było szybkie rozprzestrzenianie się idei niepodległościowej i wysuwanie w wypowiedziach programowych oraz publicystyce na plan pierwszy hasła suwerenności państwowej. Idea "finlandyzacji", niegdyś uważana za awanturniczą, zaczynała być często traktowana jako oportunizm (jeśli nie zdrada narodowa). Środowiska te z reguły wydawały własne pisma i choć nieraz była to w istocie ich jedyna działalność, stopniowo poszerzała się gama poglądów i różnicowała - jeszcze podziemna - scena polityczna. Inną cechą charakterystyczną, zwłaszcza nowo powstających grup, było odrzucanie nie tylko gospodarki centralnie planowanej (nakazowo-rozdzielczej), ale także "solidarnościowych" projektów samorządowych i odwoływanie się do wolnego rynku oraz liberalizmu. Przeważająca część tych grup nie miała wpływów, a nawet nie starała się o nie. Na tym tle tym bardziej wyróżniały się dwie formacje radykalne nie tylko w propozycjach, ale także w działaniach. Jedną była Konfederacja Polski Niepodległej widoczna zwłaszcza od roku 1984. Drugą Solidarność Walcząca, która - już od 1983 r. - cieszyła

się znaczną popularnością wśród młodzieży. Specyficzne miejsce - początkowo tylko lokalnie - zajmował gdański Ruch Społeczeństwa Alternatywnego (RSA), który wyrósł z młodzieżowych grup uczestniczących w różnego rodzajach demonstracjach "Solidarności". Pokolenie, które lata 1980-1981 przeżyło u boku aktywnych rodziców lub starszego rodzeństwa, po 1982 r. zapragnęło być czynnym uczestnikiem wydarzeń. Bunt pokoleniowy wyrażał się przede wszystkim w postawach wobec władz, ale także w sprzeciwie wobec kunktatorstwa "dorosłej" "Solidarności" i bierności większości społeczeństwa, która rychło pogodziła się z sytuacją. Nosił on wyraźne cechy kontrkulturowe, wyrażające się najdobitniej w muzyce tzw. młodzieżowej (zarówno w tekstach, jak i w zachowaniach publiczności na koncertach).

Aczkolwiek możliwości mobilizacyjne środowisk opozycyjnych były zdecydowanie mniejsze niż w ciągu 1982 r., uczestnictwo w działaniach konspiracyjnych nie przestawało być powszechne. Prasa podziemna i wydawnictwa angażowały - drukarzy, redaktorów, autorów, kolporterów - z pewnością kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt tysięcy osób. Składki związkowe zbierano w tysiącach zakładów pracy i instytucji, a pewna część nielegalnych komisji zakładowych wypłacała zasiłki i udzielała pomocy aresztowanym czy zwolnionym z pracy. Tysiące osób brały czynny udział w aktywności kulturalnej. Podobnie w partiach politycznych. Kilkaset osób ukrywało się, co oznaczało całe sieci "konspiry" - łączników (częściej łączniczek), lokale kontaktowe i konspiracyjne mieszkania. Częścią ruchu była aktywność emigracji, nie bez racji zwanej "solidarnościową", licznymi kanałami powiązanej z krajem. Składali się na nią zarówno dawniejsi wychodźcy (m.in. z "emigracji marcowej") czy ci, których stan wojenny zastał za granicą, jak i wyjeżdżający - często wprost z ośrodków internowania i więzień - działacze związku i uczestnicy strajków. Wedle oficjalnych danych w latach 1982-1983 emigrowało w ten sposób ok. 4 tys. osób.

Wprawdzie pomysły utworzenia Państwa Podziemnego nie doczekały się realizacji - m.in. dzięki zdecydowanemu sprzeciwowi "Solidarności" - zasięg konspiracji był znaczny, a stopień jej zorganizowania należy ocenić jako wysoki. Choć wiele osób czynnych jeszcze w 1982 r. wycofało się z działalności, a oddziaływanie konspiracji kurczyło się, znacząca wciąż - choć nie stanowiąca bynajmniej większości - część Polaków udzielała jej wytrwałego poparcia.

Zmiany bez zmian

Powodzenie pierwszej "bitwy", przeprowadzonej wyłącznie siłami MSW i wojska, nasuwało pytanie o rolę PZPR i jej miejsce w zarządzaniu stanem wojennym. Kierownictwo znalazło się w rękach tzw. Dyrektoriatu, w skład którego - pod komendą gen. Jaruzelskiego - wchodzili m.in. szef MSW gen. Kiszczak, wiceminister MON gen. Siwicki, wicepremier Rakowski oraz trzech (z dziewięciu) sekretarzy KC: Barcikowski, Milewski i Olszowski. WRON pełniła funkcje czysto dekoracyjne, rząd wyłącznie wykonawcze, a Biuro Polityczne - jak się wydaje - właściwie tylko doradcze. Pierwsze w stanie

wojennym posiedzenie plenarne KC odbyło się dopiero w końcu lutego. Wcześniej nawet zebrał się Sejm (25-26 stycznia), którego sesja była niezbędna do formalnego zatwierdzenia dekretów i uchwał przyjętych 12 (właściwie 13) grudnia. Przebiegło ono gładko: pięć głosów wstrzymujących się i jeden (Romualda Bukowskiego) przeciw.

Zarówno Dyrektoriat, jak i Sekretariat oraz Biuro Polityczne KC debatowały nad losami PZPR. Odezwały się głosy za przyjęciem "wariantu węgierskiego", tzn. rozwiązania partii i utworzeniem nowej, pod inną nazwą. Częściej proponowano głęboką weryfikację. wymianę legitymacji, a nawet (jak sugerował Kociołek) - przy okazji wymiany - "składanie deklaracji politycznej". Ostatecznie nie podjęto kroków radykalnych, ale przeważały opinie o konieczności "aktywizacji" i - jak mówił gen. Jaruzelski - "operatywnego sprzyjania wychodzeniu z partii ludzi obcych". Było to w pewnym stopniu bezprzedmiotowe, gdyż odpływ z PZPR - który rozpoczął się po sierpniu 1980 r. - trwał nieprzerwanie: w połowie 1981 r. PZPR liczyła ok. 2,9 mln członków, a rok później ok. 2,3 mln (od 1984 r. stan ustabilizował się na wysokości ok. 2,1 mln). Utrzymano więc charakter masowy partii, co w wyraźny sposób wpływało negatywnie na jej "bojowość".

Wprowadzenie stanu wojennego wywołało w części środowisk pezetpeerowskich odruch radykalny. Przy lokalnych komitetach tworzyły się grupy aktywu noszące takie nazwy jak Milicja Robotnicza, Gwardia Partii czy Grupy Samoobrony. W niektórych miejscowościach część członków owych grup była uzbrojona, a gdzieniegdzie nawet skoszarowana. Dla opanowania tych inicjatyw w lutym Sekretariat KC nakazał utworzenie z nich "jednostek polityczno-obronnych", które miałyby "realizować specjalistyczne zadania pod ścisłym kierownictwem instancji partyjnych". Podobny - acz bardziej "cywilny" - charakter miały powstające nieomal w całym kraju Obywatelskie Komitety Ocalenia Narodowego (OKON). Ton temu wszystkiemu nadawali - jak się wydaje - emerytowani funkcjonariusze partyjni, b. pracownicy MSW (i MBP), wojskowi w stanie spoczynku oraz różnych generacji zwolennicy "powrotu do rewolucyjnych źródeł". Ożywili się, przytłumieni po IX Zjeździe PZPR, "prawdziwi komuniści" z Forum Katowickiego czy pisma "Rzeczywistość". Jednym z elementów tego ruchu był także ZBoWiD, a inicjatywa ZG tej organizacji o wzniesieniu pomnika poległych w obronie władzy ludowej (11 lutego 1982 r.) dobrze współgrała z najbardziej radykalnymi pomysłami. W połączeniu z kampanią propagandową, w której chętnie uciekano się do haseł populistycznych i "antyimperialistycznych" - a także, na czołowym miejscu, antyinteligenckich - stwarzało to w niektórych środowiskach atmosferę zarazem wojny domowej, jak i "rewolucji kulturalnej".

Aczkolwiek radykałowie, tacy jak Kociołek, Olszewski czy Siwak, mieli mocne pozycje na szczycie władzy, a wśród etatowego aparatu partyjnego (który liczył już blisko 20 tys. osób) zapewne większość opowiadała się za "twardym" kursem, gen. Jaruzelski dosyć spokojnie przeprowadzał swoją linię. Miała ona - w wymiarze pezetpeerowskim - charakter centrowy: "musimy wyjść [...] z programem, który jednoznacznie podkreśli marksistowsko-leninowski charakter partii", ale winien mieć on równocześnie "charakter reformatorski" - mówił na posiedzeniu Biura Politycznego. Stan wojenny wykorzystał zarówno dla obrony i konsolidacji systemu rozchwianego półtoraroczną "anarchią", jak i umocnienia osobistej władzy oraz realizacji własnego programu, który bynajmniej nie cieszył się powszechnym poparciem w

PZPR.
Nie było jednak wątpliwości, że drakońskie przepisy z 13 grudnia oraz ruchy kadrowe dokonywane w partii i administracji były skierowane przeciwko "Solidarności", opozycji i, generalnie rzecz biorąc, zbuntowanej części społeczeństwa. Nie miały na celu ani rozbicia PZPR, ani zakwestionowania kanonu o kierowniczej roli partii komunistycznej. Centrowy charakter polityki gen. Jaruzelskiego widoczny był m.in. w stabilizacji na szczytach elity władzy: z KC usunięto 3 osoby, bardziej zaangażowane w działalność "struktur poziomych"; stanowiska w Sekretariacie KC (zachowując członkostwo w BP) utracili Olszowski i Kubiak; z Biura Politycznego usunięto tylko Jana Łabęckiego, sekretarza PZPR w Stoczni Gdańskiej, którego zastąpiono innym robotnikiem-aktywistą.
`nv
Zmiany bez zmian (cd.)

Obecność "komunistów w mundurach" pełniących funkcje partyjne i stanowiska państwowe stała się wprawdzie trwałym elementem, ale wraz ze zmianami w pejzażu stanu wojennego okazywało się, że realna władza znajduje się w dalszym ciągu w rękach instancji PZPR. Zniknęli komisarze wojskowi, biura Inspekcji MON powróciły do kontroli koszar i poligonów, wojewodowie z generalskimi stopniami zastępowani byli przez cywilów. Zmiany w aparacie partyjnym dokonane po 13 grudnia spowodowały powrót do poprzednich układów wewnętrznych. Wedle obliczeń Paula G. Lewisa struktura wieku i stażu "aparatczykowskiego" I sekretarzy komitetów wojewódzkich była w 1985 r. podobniejsza do tej z roku 1975 niż z 1981. Wprawdzie odstąpiono od ograniczeń nałożonych 13 grudnia 1981 r. na niższe instancje PZPR, ale nic nie zmieniono w wewnętrznych mechanizmach hegemonicznej partii: centralizm demokratyczny pozostał kanonem, a wraz z nim zasada kooptacji zastępująca wybory. Stosowano starą taktykę "cięcia po skrzydłach" i gdy zwalniano z funkcji lub zawieszano działalność jakiejś grupy, założeniem było, iż mniej więcej równocześnie dotykało to reprezentantów "betonu" i (resztek) "reformatorów". Trudno byłoby się spodziewać, że tak zarządzana partia może być promotorem demokratycznych reform.
W składzie rządu dokonywano nieustannych zmian, ale struktura centralnej administracji państwowej pozostawała nienaruszona i opierała się na kanonie z czasów Bieruta i Minca. W listopadzie 1985 r. - tuż przed upływem kadencji Sejmu (przedłużonej o przeszło rok) - w Radzie Ministrów zasiadało 39 osób (wobec 41 w 1980 r.), w tym 8 wicepremierów. Nawet jeżeli przyjąć, że trzech spośród nich piastowało swoje stanowiska z racji "porozumienia koalicyjnego" (ZSL, SD, PAX) była to i tak liczba znacząca. Zwłaszcza że kluczowe decyzje zarówno administracyjne, jak i gospodarcze - nie mówiąc o politycznych, wojskowych czy dotyczących MSW - zapadały w gmachu KC. Reformy w administracji centralnej ograniczały się do niewielkich zmian w zakresie działania poszczególnych resortów. Nie inaczej było w administracji terenowej. Samorząd terytorialny pozostawał w dalszym ciągu całkowicie ubezwłasnowolniony, czego dowodem był m.in. sposób przeprowadzenia wyborów do rad narodowych (17 czerwca 1984 r.) niczym nie różniący się od poprzednich. Można powiedzieć, że w funkcjonowaniu urzędów państwowych i samorządowych rzeczywiście "nie było powrotu do sytuacji sprzed Grudnia", natomiast całkowicie powrócono do sytuacji "sprzed

Sierpnia". Przybyło tylko trochę "mundurowych", ale trudno się było spodziewać po nich czegokolwiek niż zwiększenia dyscypliny i biurokratyzacji urzędów, tym bardziej że spora część delegowanych na stanowiska cywilne przychodziła nie "z linii", ale ze sztabów i intendentury. System nomenklatury pozostał nienaruszony: nomenklatura centralna (w gestii różnych instancji KC) obejmowała niemal 5 tys. stanowisk i funkcji, terenowa zaś blisko 300 tys.

Wprawdzie w ciągu 1982 r. wojsko wycofywano do koszar i w rozpędzaniu manifestacji, tak częstych jeszcze w 1983 r., brały udział wyłącznie jednostki MSW, uruchomiona na wielką skalę machina "sił porządkowych" umacniała swoją - widoczną i skrytą - obecność Stan liczebny Służby Bezpieczeństwa MSW przekroczył wielkości z lat stalinowskich i wynosił co najmniej 40 tys. funkcjonariuszy (w tym 22 tys. na etatach oficerskich). MO liczyło ok. 90 tys. pracowników, bez Nieetatowych Oddziałów MO (NOMO), przeznaczonych wyłącznie do starć ulicznych. W 18 batalionach utworzonych w 1984 r. dysponowały one blisko 13 tys. specjalnie szkolonych osób (a istniały nadal Jednostki Nadwiślańskie WW o podobnej wielkości). Niemała liczba etatowych "esbeków" pracowała wyłącznie na zewnątrz resortu, starając się - często skutecznie - przeniknąć do struktur "Solidarności" i grup opozycyjnych. Internowania i areszty zwiększyły szanse na rekrutacje nowych tajnych współpracowników. O rozmiarach aktywności operacyjnej może świadczyć rozbudowa "pionów" specjalistycznych i utworzenie (jesienią 1984 r.) Departamentu VI, który zajmował się "ochroną" gospodarki żywnościowej, leśnictwa i przemysłu drzewnego. Powracano więc do dawnej struktury obejmującej w osobnych "pionach" wszystkie ważniejsze działy gospodarki narodowej. Powstało osobne Biuro Studiów, zajmujące się działaniami destrukcyjnymi w łonie konspiracji i dezinformacją. Archiwum działu ewidencji puchło od nowo zakładanych "teczek obiektowych" i personalnych. W Departamencie IV, który zajmował się wyłącznie Kościołem, utworzono Sekcję D, której symbol odpowiadał zadaniom - dezinformacja i dezintegracja.

Choć nie powrócono do strategii masowego i krwawego terroru z okresu przed 1956 r., zarówno rozmiary aparatu represji, jak i brutalność jego działań, rozpętana w pierwszych dniach stanu wojennego, stały się trwałym elementem sprawowania władzy. Nie mówiąc już o używaniu siły na skalę masową podczas rozpędzania demonstracji, kiedy niejednokrotnie używano broni. Powtarzały się wciąż napady - nawet morderstwa - dokonywane przez "nieznanych sprawców" na działaczach podziemia. Najbardziej aktywni byli zakamuflowani funkcjonariusze SB w regionie toruńskim. Milicja i SB chętnie i często biły osoby zatrzymywane, a stosowanie "środków D" zakładało agresję fizyczną i prowokację. Toteż trudno uznać za daleko odbiegające od operacyjnej normy - niezależnie od tego, na jakim szczeblu i w jakiej formie wydany został rozkaz - zabójstwo ks. Jerzego Popiełuszki, którego dokonali 19 października 1984 r. trzej funkcjonariusze Departamentu IV.

Używając "kija", nie zapominał gen. Jaruzelski o "marchewce". Ponieważ nie mógł nią być poziom zaspokajania potrzeb materialnych - jako że sytuacja gospodarcza w pierwszym roku stanu wojennego nie poprawiła się - szukano gorączkowo poparcia społecznego i próbowano reanimować "pasy transmisyjne" (z wyjątkiem związków zawodowych). W rządowych mass mediach wypowiadali się, popierając władze, dosyć liczni intelektualiści (na ogół starszej generacji), akcentując z reguły ideę "państwowotwórczą" i nieraz

wprost nawiązując do dawnych haseł piłsudczykowskich. Przywrócono kontrolę nad PAX przez usunięcie zeń Ryszarda Reiffa i wyhamowano - słabe zresztą - tendencje do usamodzielniania się ZSL i SD. 3 maja 1982 r. Sejm przyjął oświadczenie "w sprawie porozumienia narodowego", a 20 lipca PZPR i partie satelickie (z katolickimi włącznie) ogłosiły deklarację o powstaniu Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego (PRON). Przewodniczącym został znany pisarz katolicki związany z PAX Jan Dobraczyński.

PRON miał być platformą skupiania wokół partii komunistycznej różnych środowisk popierających istniejący stan rzeczy, a niebawem przejąć rolę Frontu Jedności Narodu (FJN), tradycyjnej już instytucji stwarzającej pozory koalicji. Dla przydania PRON autorytetu scedowano nań zgłaszanie inicjatyw mających złagodzić restrykcje stanu wojennego, zwalnianie internowanych i więźniów, uchwalanie amnestii (w lipcu 1984 r.). Podejmowano działania obliczone na "kokietowanie" społeczeństwa, a jednocześnie pozbawienie "Solidarności" tradycji, do której się odwoływała; 25 czerwca w Radomiu, a 28 czerwca w Poznaniu odbyły się oficjalne obchody upamiętniające wydarzenia z lat 1976 i 1956 (podobnie uczyniono w grudniu w Gdańsku).

Choć deklarowano wielokrotnie, że "nie będzie powrotu do sytuacji sprzed 13 grudnia", ale także do tej sprzed sierpnia 1980 r., technika rządzenia przypominała do złudzenia dawne metody. "Chcieliśmy odnowy - wspominał po latach Rakowski - ale [...] stare zawsze we właściwym momencie pukało do drzwi". Nie wydaje się, aby ktokolwiek z kierownictwa PZPR usiłował zamknąć te drzwi na klucz i utrudnić "wejście starego". W grudniu 1981 r. gen. Jaruzelski mówił, w tonie nieco patetycznym, do swoich towarzyszy z Biura Politycznego, o potrzebie "drugiej rewolucji", która dokonywana będzie "przez ludzi prawych, skromnych, odważnych, bojowników o sprawiedliwość społeczną". Pomijając bezprawie i brutalność samego stanu wojennego, wydaje się uzasadnione stwierdzenie, że "rewolucja" ta odbyła się przez zakonserwowanie - a nawet umocnienie - wszystkich dawnych struktur władzy.

Ekipa gen. Jaruzelskiego eksponowała formułę: "kto nie jest przeciwko nam, ten powinien być z nami", ale w tzw. terenie i na niższych szczeblach aparatu partyjnego i państwowego wciąż silne były tendencje do różnego rodzaju czystek personalnych i usuwania niewygodnych osób. Używanie tej formuły nie modyfikowało dawnej praktyki: "być z nami" znaczyło po prostu podporządkować się. Dotyczyło to nie tylko osób, ale także organizacji społecznych. O ile obawiano się otwartego postawienia sprawy prawnej likwidacji "Solidarności", o tyle nie było oporów przed "karaniem" stowarzyszeń twórczych: 20 marca 1982 r. rozwiązano Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich (SDP), a później (już w 1983 r.) Związek Polskich Artystów Plastyków (ZPAP), Związek Literatów Polskich (ZLP), zarząd Polskiego PEN-Clubu. Starano się nie pozostawiać pustego pola i na miejsce rozwiązanych organizacji - które z reguły kontynuowały działalność nielegalnie - powoływano nowe.

Zgodnie z tradycją działacze PZPR nie wysuwali się w nich na pierwszy plan, ale bez trudu znajdowano chętnych bezpartyjnych dziennikarzy, pisarzy czy aktorów, którzy przyjmowali funkcje kierownicze. W niektórych związkach - nazywano je "legalnymi" dla odróżnienia od "podziemnych" - widoczne były tendencje do rewanżu wobec kolegów, którzy stanęli po stronie opozycji. Środowiska dzieliły się, panował wzajemny ostracyzm, dominowały odrębne

hierarchie autorytetów, ale nawet najbardziej radykalni organizatorzy "neozwiązków" nie proponowali powrotu do estetycznych norm socrealizmu. Wyższych uczelni nie można było "rozwiązać" (choć zdarzały się i takie pomysły jak powołanie w Warszawie uczelni mającej przejąć niektóre wydziały z UW), więc stosowano taktykę eliminowania ze stanowisk kierowniczych osób związanych z opozycją - rektorów, dziekanów, dyrektorów instytutów. W niektórych uczelniach, tam gdzie opór pracowników był słaby i zabrakło grupowej solidarności, wiele osób zwolniono z pracy (np. na Uniwersytecie Śląskim).

Podejmowano długie zabiegi wobec "Solidarności", starając się - trudno powiedzieć, czy z nadzieją na sukces - skłonić część jej członków do udziału w próbie podporządkowania związku wymaganiom władz pod generalnym hasłem - znanym jeszcze z dawniejszych czasów - "oddzielenia zdrowego robotniczego nurtu od brudnej piany". Choć znaleziono kilku działaczy szczebla regionalnego, którzy ogłosili odpowiednie deklaracje (nieraz pod naciskiem, a nawet szantażowani), to jednak nie ugięli się ani powszechnie uznani leaderzy, ani - co ważniejsze - Wałęsa. Konspiracyjne struktury związku zdecydowanie odrzuciły rządowe propozycje o "przyszłości ruchu związkowego", ogłoszone 20 lutego 1982 r.

Władze uznały jednak, że operacja formalnej likwidacji jest na tyle delikatna, że przeprowadzenie jej odłożono na jesień. 8 października 1982 r. Sejm uchwalił ustawę o związkach zawodowych, na mocy której unieważniono wszystkie dotychczasowe akty rejestracyjne. O ostrożności i obawach świadczył fakt, iż ustawa przewidywała możliwość rejestrowania nowych związków tylko na szczeblu zakładu pracy i dopiero z dniem 1 stycznia 1983 r. Formalnie więc w Polsce od chwili wprowadzenia stanu wojennego, który zawieszał działalność wszystkich związków zawodowych, przez nieco ponad rok nie mogły funkcjonować żadne organizacje syndykalne.

Konstruowanie "swoich" związków rozpoczynano z rozwagą. Dopiero w czerwcu 1983 r. zarejestrowano pierwszą ponadzakładową strukturę (Federacja Hutniczych Związków Zawodowych), dwa miesiące później odbyło się pierwsze "ogólnopolskie spotkanie związkowców", a drugie zorganizowano nieomal rok później (w maju 1984 r.). W końcu listopada 1984 r., a więc ponad dwa lata od uchwalenia ustawy o związkach zawodowych, powołano Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych (OPZZ). Jego przewodniczącym został dotychczasowy szef związku hutników, członek PZPR, ale nie pełniący w niej żadnych funkcji, Alfred Miodowicz.

Struktury "neozwiązków", aczkolwiek napotykały liczne opory i nieufność, wchłonęły także część członków "Solidarności", choć wejście do nich traktowane było jako odstępstwo. Organizacje, które włączyły się do OPZZ, liczyły kilka milionów członków, co stanowiło znaczną siłę, przez pierwsze lata nieomal całkowicie posłuszną wytycznym i zaleceniom PZPR. Ale budowanie ich było mozolne, zwłaszcza w wielkich fabrykach, o co szczególnie zabiegano. Zdarzały się i takie sytuacje, że nawet członkowie PZPR - mimo nakazów partyjnych - nie zgłaszali swego akcesu. W wielu organizacjach zakładowych spory odsetek stanowili emeryci, szukający w nich pomocy materialnej. Stopień "uzwiązkowienia" wynosił przeciętnie ok. 30% załóg, wyższy był w małych zakładach i urzędach, mniejszy w dużych fabrykach i w takich środowiskach jak nauczyciele akademiccy czy pracownicy instytutów naukowych.

Możliwości mobilizacyjne OPZZ, aczkolwiek nie do pogardzenia, dalekie były od tych, jakimi dysponował CRZZ przed latem 1980 r. Wprawdzie od 1983 r. pochody pierwszomajowe były już wcale liczne, ale nie próbowano na szerszą skalę takich środków jak współzawodnictwo pracy. Wyraźna większość organizacji należących do OPZZ wyrażała tendencje rewindykacyjne, respektując tradycyjne zadania syndykatów pracowniczych: obronę doraźnych interesów swoich członków. Znacznie bardziej uległa na polityczne wskazania PZPR była opezetzetowska "góra". Owe dążności rewindykacyjne, jakkolwiek uciążliwe dla aparatu gospodarczego, były - jak się wydaje - wkalkulowane w koszty reanimacji ruchu związkowego. Odbierały bowiem "Solidarności" monopol na reprezentowanie interesów materialnych pracobiorców.

Wprawdzie działały - wydawały pisma, zwoływały zebrania i podejmowały

uchwały - dawne organizacje "transmisyjne", takie jak związki młodzieżowe czy kobiece, ale nie zdołały nabrać impetu. Np. w szkołach wyższych dwa oficjalne związki o charakterze politycznym (ZSMP i ZMW), mimo usilnej agitacji i dysponowania pewnymi przywilejami, w 1985 r. zrzeszały niespełna 5% studentów, a ZSP - niegdyś bardzo popularny - mniej niż 20%. Nie oznaczało to masowego akcesu do struktur podziemnych, co było niemożliwe choćby z technicznego punktu widzenia.

Nie był to jednak jedyny powód. Zarówno w środowisku studenckim, jak i w różnych grupach zawodowych, coraz wyraźniej poszerzała się strefa "niczyja", przekształcająca się w "milczącą większość". Wedle sondażu z jesieni 1983 r., 16,4% ankietowanych swój stosunek do wprowadzenia stanu wojennego określiło jako "zdecydowanie pozytywny", dalsze 26,3% uznało go za "raczej pozytywny". Aczkolwiek można zakładać, że część takich odpowiedzi wynikała czy to z obaw, czy z naturalnego w tego typu badaniach odpowiadania w sposób uważany za zgodny z oczekiwaniami organizatorów ankiety, wydaje się pewne, iż znaczący odsetek Polaków popierał działania władz lub zachowywał wobec nich postawę życzliwą. Choć taki rozkład opinii nie dawał kierownictwu PZPR podstaw do nadmiernego triumfalizmu, nietrudno było uznać go - w świetle tego, co działo się między Sierpniem a Grudniem i w 1982 r. - za satysfakcjonujący. Zgniecenie "Solidarności", wedle recepty ekipy gen. Jaruzelskiego, musiało być sprzężone z neutralizacją większości społeczeństwa, co uważano za niezbędny etap na drodze do uzyskania nad nim kontroli.

Ważnym czynnikiem w tej grze był dla PZPR Kościół katolicki. Już 22 grudnia 1981 r. na posiedzeniu Biura Politycznego gen. Jaruzelski przedstawił trzy możliwe, wedle niego, modele stosunku do Kościoła - walkę, fraternizację lub "konstruktywne współistnienie". Wybrano ten ostatni. W istocie centralne hasło taktyki politycznej jego ekipy: "walka i porozumienie", najbardziej odnosiło się właśnie do Kościoła, bo przecież wobec "solidarnościowej" konspiracji i całej opozycji stosowano pierwszy człon tego sloganu. W stosunku do Kościoła w oficjalnych wystąpieniach eksponowano z kolei tylko drugi, choć - jak pisałem wyżej - nie zaniedbano niczego, co mogłoby ułatwić kontrolę SB nad księżmi i hierarchami, a w propagandzie stale obecne były wypowiedzi antyklerykalne. Nie ustawały różnego rodzaju szykany, nawet brutalne, jak najście bojówki na siedzibę Prymasowskiego Komitetu Pomocy (3 maja 1983 r.). U schyłku 1983 r. rozpoczęto na szeroką skalę akcję "dekrucyfikacji" szkół, co wywołało

liczne protesty rodziców i uczniów z najbardziej znanymi w Miętnem k. Garwolina i we Włoszczowej (marzec i grudzień 1984 r.).

Ambiwalencję, a zarazem instrumentalizm, stanowiska PZPR wobec Kościoła katolickiego dobrze oddał przebieg oficjalnego powitania w Belwederze Jana Pawła II, gdy 16 czerwca 1983 r. rozpoczęła się druga wizyta papieża. Gen. Jaruzelski wygłaszając przemówienie był - co doskonale widoczne było w bezpośredniej transmisji telewizyjnej - niezwykle zdenerwowany. Nie bez powodu: w rozmowie w cztery oczy Jan Paweł II powiedział I sekretarzowi, że postrzega kraj jako "jeden wielki obóz koncentracyjny". Sam fakt wyrażenia zgody na odbycie pielgrzymki był w pewnym sensie "aktem heroizmu" ze strony władz, które nie miały podstaw, aby spodziewać się, że papież Polak będzie nawoływał rodaków do bezwzględnego posłuszeństwa wobec (komunistycznego) państwa. Wszelako bez wszczęcia "drugiego etapu" stanu wojennego, tzn. zastosowania masowego terroru, nie było szans na uspokojenie nastrojów i stabilizację inaczej niż przez ugodę z Kościołem oraz uznanie jego roli - jak pisał Rakowski - "wielkiego mediatora".

Prymas Glemp, Episkopat i, jak się wydaje, przeważająca część kleru nie tylko godziła się na taką rolę, ale widziała w niej zarówno spełnienie swojej misji, jak i szansę na poszerzenie wpływów. Przypominało to sytuację z jesieni 1956 r. czy zimy 1970 r., ale skala trudności była inna, a czasochłonność operacji normalizacyjnej znacznie większa. Z punktu widzenia PZPR groziło to utrwaleniem się obecności Kościoła na scenie politycznej, na której występował czynnie co najmniej od sierpnia 1980 r. Usiłowano więc, z lepszym lub gorszym skutkiem, utrzymać całą gamę nacisków na Kościół i środowiska czynnych politycznie katolików. Przywrócono więc zawieszone 13 grudnia 1981 r. czasopisma katolickie, a nawet respektowano poprzednie ustalenia i powstawały nowe (niekiedy wznawiane po kilkudziesięcioletniej przerwie) i nie stawiano zbyt silnych barier inicjatywom tworzenia nowych klubów inteligencji katolickiej. Władze w dalszym jednak ciągu podtrzymywały swoje poparcie dla PAX i tych parapartyjnych organizacji katolickich, które były wobec nich lojalne. Wydawano liczne zgody na budownictwo sakralne, ale jednocześnie nie ustawały ataki propagandowe. Stale też próbowano znaleźć wśród kleru i biskupów osoby skłonne do publicznych aktów lojalności. W aparacie partyjnym i w aktywie PZPR dominował sprzeciw, a w najlepszym razie rezerwa, wobec polityki "konstruktywnego współistnienia" i (starej zresztą) tezy, że Kościół będzie funkcjonował tak długo, jak "będą sobie tego życzyli wierni". Gen. Jaruzelski wprost zalecał, aby "konsekwentnie przestrzegać zasady "kija i marchewki", co Kościołowi i duchowieństwu powinno się opłacać, co zaś nie". "Musimy to doskonalić - mówił - konkretnymi działaniami, karać, nagradzać, wymierzać podatki [...]. Trzeba umiejętnie punktować słabe strony Kościoła". Oczywiste było dla wszystkich - a dla elity PZPR w szczególności - że przebieg i powodzenie "normalizacji" ściśle jest uzależnione od stanu gospodarki. Przygotowywana od jesieni 1980 r. reforma ekonomiczna, której zasięg i tryb wprowadzania były przedmiotem licznych polemik z ekspertami "Solidarności", została rozpoczęta (zgodnie z planem) z dniem 1 stycznia 1982 r. Przewidywała ona znaczne zwiększenie samodzielności przedsiębiorstw, likwidację pośrednich ogniw zarządzania (zjednoczenia), szersze uwzględnianie mechanizmów rynkowych, likwidację ograniczeń dla sektora prywatnego w przemyśle

drobnym, zrównanie gospodarstw indywidualnych ze spółdzielczymi i PGR w zasadach kredytowania i dostępu do środków produkcji. Wszakże reforma ta, niezależnie od zastrzeżeń zgłaszanych przez zwolenników nadania jej bardziej radykalnego charakteru, zderzyła się ze stanem wojennym, który raczej pogłębił niż osłabił mechanizmy reglamentacyjne w konsumpcji indywidualnej i "nakazowo-rozdzielcze" w stosunkach między przedsiębiorstwami.

Powołany jeszcze latem 1981 r. Sztab Antykryzysowy nie tylko nadal funkcjonował, ale poszerzył zakres swego działania. W wielu ogniwach zarządzania pojawiły się "intendenckie" metody preferowane przez komisarzy wojskowych. W istocie wprowadzono w życie nieomal tylko cenowe elementy reformy, m.in. drastyczną podwyżkę cen: żywność podrożała średnio o 241%, opał i energia o 171%. W rezultacie realne dochody (wedle danych oficjalnych) były w 1982 r. niższe o 32% niż rok wcześniej. Problem polegał wszakże nie tylko na społecznym odbiorze pierwszych efektów reformy. Tak jak wszystkie poprzednie grzęzła ona w systemie nomenklatury, nieumiejętności aparatu gospodarczego, jego postawie obronnej wobec "nowinek", które miały uszczuplić jego władzę. Przede wszystkim jednak utkwiła w niezniszczalnej "pętli ideologicznej" i zależności polityki gospodarczej od bieżącej taktyki politycznej oraz generalnych decyzji podejmowanych w Moskwie.

Wprawdzie już w 1983 r. zahamowano spadek dochodu narodowego (w 1985 r. osiągnięto nieomal jego wielkość z 1978 r.), zaczęła wyraźnie - i wcale szybko - wzrastać produkcja zarówno przemysłowa (1982-1986 globalnie o 20%) jak i rolnicza (w tym samym okresie o 12%), nie udało się jednak osiągnąć równowagi rynkowej. Braki produktów żywnościowych i towarów przemysłowych były nadal dotkliwe, co zmuszało do utrzymywania reglamentacji wielu artykułów (oczywiście "na czele" z mięsem). Rosła presja inflacyjna, tym wyraźniejsza, że ustępstwa płacowe i rekompensaty podwyżek były konieczną osłoną procesu normalizacji: w latach 1981-1985 średnioroczny wskaźnik inflacji tylko w zakresie cen urzędowych wynosił 15%. Mimo znacznego ograniczenia, a właściwie zablokowania inwestycji, budżet państwa wykazywał stały deficyt, pokrywany drukiem "pustego pieniądza".

W zarządzaniu odżyły - o ile były w ogóle "uśpione" - wszystkie dawne mechanizmy. Tzw. programy rządowe, które miały ograniczać strumień państwowych dotacji kierując je do najbardziej newralgicznych miejsc (gospodarka żywnościowa, towary dla dzieci etc.), rozrastały się pod naciskiem branżowych - i politycznych - grup nacisku. "Ręczne sterowanie" przepływem środków produkcji uniemożliwiało racjonalizację gospodarki na poziomie przedsiębiorstwa. Nie zdemontowano potężnej sieci branżowych ministerstw, a zlikwidowane zjednoczenia odradzały się pod nowymi formami. Powołana (1 kwietnia 1982 r.). Konsultacyjna Rada Gospodarcza przy Radzie Ministrów, której przewodniczącym został autor "cudu odbudowy" z lat 1946-1949 Czesław Bobrowski, stała się - i zapewne miała być - typową instytucją-atrapą. Mimo że stopniowo dochodzono do porozumienia z wierzycielami, zadłużenie zagraniczne rosło (w 1986 r. osiągnęło 33,5 mld dolarów), a pojawiło się też potężne zadłużenie w obrotach z krajami RWPG, głównie z ZSRR (w tym samym roku wynosiło 6,5 mld rubli transferowych).

Reforma gospodarcza, z takim natężeniem propagowana zarówno przed 13 grudnia, jak i po wprowadzeniu stanu wojennego, znalazła się nie tyle w

impasie, ile się po prostu "rozpełzła" w niechętnym jej - a nawet wrogim - otoczeniu. Także ze strony społeczeństwa nie było zachęt do jej wprowadzania. Panowała powszechna niewiara zarówno co do jej skuteczności, jak i reformatorskiej determinacji władzy. W wielu środowiskach opozycyjnych, zwłaszcza tych, które nie były związane z "Solidarnością", coraz częstsze były głosy o konieczności przejścia do liberalnej gospodarki rynkowej. Opinia publiczna przyzwyczajała się do nich, tym bardziej że w naturalny niejako sposób łączyły się z takimi pojęciami jak demokracja czy suwerenność.

Ekipa gen. Jaruzelskiego była najwyraźniej usatysfakcjonowana wynikami swych działań, choć reperkusje morderstwa ks. Popiełuszki wprowadziły sporo zamieszania w istotnych ogniwach władzy i podważyły - mimo gorączkowych zabiegów i szybko zorganizowanego procesu czterech osób bezpośrednio zań odpowiedzialnych (wyroki od 14 do 25 lat zapadły 7 lutego 1985 r.) - mozolnie odbudowywany autorytet na arenie międzynarodowej. Atmosfera, która powstała po tej bestialskiej zbrodni, stawiała też nowe wyzwania władzy, gdyż pewna część działaczy "Solidarności" przeszła do działań półjawnych tworząc komitety obrony praw człowieka. Od jesieni 1983 r., gdy Wałęsa uhonorowany został pokojową Nagrodą Nobla, coraz trudniej było atakować "byłego przewodniczącego byłego związku", a nawet blokować jego aktywność. Niemniej władze uznały, iż podstawy "normalizacji" zostały osiągnięte, co miały udowodnić przeprowadzone 18 października 1985 r. w oparciu o stare zasady (jedna lista, firmowana tym razem przez PRON) wybory do Sejmu. Wedle oficjalnych wyników wzięło w nich udział 78,8% uprawnionych, co potwierdzało odzyskanie kontroli nad masowymi postawami społecznymi. Wprawdzie konspiracyjna "Solidarność", która dokonała częściowej weryfikacji głosowania, stwierdziła, że w miastach frekwencja nie przekraczała 213 uprawnionych, ale i taki rezultat można było uważać za pozytywny dla PZPR.

Kremlowskie kuranty

W kuluarach I Zjazdu Delegatów "Solidarności", gdy na redzie stały radzieckie okręty wojenne, jeden z najbardziej popularnych działaczy związku zapowiadał, że niebawem nadejdzie czas, gdy "kremlowskie kuranty zagrają Mazurka Dąbrowskiego". Jakkolwiek prognoza ta była powszechnie uważana za typową "polską mrzonkę" i wyraz kompleksu wyższości, zarówno samo istnienie niezależnej, wielomilionowej, organizacji, jak - może nawet jeszcze wyraźniej - próba jej zdławienia przez wprowadzenie stanu wojennego miały jednoznacznie destabilizacyjny wpływ na stosunki między supermocarstwami. Pogłębiły zastarzały konflikt, który znajdował się w ostrej fazie po udzieleniu "przyjacielskiej pomocy" komunistom afgańskim, co niebezpiecznie zbliżało ZSRR do "ciepłych mórz" i naftowych szybów Bliskiego Wschodu.

Jakkolwiek brutalna próba złamania "Solidarności" została wykonana "własnymi siłami", zarówno opinia światowa, jak i rządy państw demokratycznych dobrze wiedziały, że Moskwa mocno naciskała na zdecydowane działania. Odpowiedzialnością za wprowadzenie stanu wojennego obciążano

zarówno leaderów PZPR i KPZR, jak i system realnego socjalizmu jako taki. Decyzja z 12 grudnia 1981 r. była kolejnym dowodem na niereformowalność komunizmu, który nie był w stanie ścierpieć utraty kontroli nad społeczeństwem (i państwem), ponawiała często przywoływane ostrzeżenia o jego agresywności i związanych z tym niebezpieczeństwach. Pewne wypowiedzi gen. Jaruzelskiego, choć czynione na użytek wewnętrzny, jak to o "wyborze mniejszego zła", były interpretowane jako próba przenoszenia odpowiedzialności na Moskwę. Wprawdzie ekspansywność ZSRR, tak widoczna w latach 60. i 70., wyraźnie osłabła, nie było wszak pewności, czy nie jest to po prostu zbieranie sił przed następnym skokiem. Zarówno obecność potężnego kontyngentu Armii Radzieckiej w Afganistanie (przekraczającego 50 tys. żołnierzy), jak i polskie wojskowo-milicyjne uderzenie na masowy ruch odwołujący się do zasady non violence, stawiały pod znakiem zapytania trwałość polityki odprężenia. Grzebało to, jak się miało okazać definitywnie, teorię konwergencji, ważny składnik odprężenia.

Nic więc dziwnego, że reakcja państw zachodnich - a przede wszystkim Stanów Zjednoczonych - była dosyć ostra i objęła wiele płaszczyzn. Jedną z nich było faktyczne zamrożenie oficjalnych kontaktów międzypaństwowych oraz sankcje wobec Polski, których nie podejmowano "na ślepo". Zawieszono gwarancje rządowe na kredyty i ograniczono kwoty połowowe oraz przywileje dla PLL "Lot" (23 grudnia 1981 r.). Mocniejsze ostrzeżenie przyszło w październiku 1982 r., po uchwaleniu nowej ustawy o związkach zawodowych i formalnej delegalizacji "Solidarności": prezydent Reagan zarządził cofnięcie Polsce klauzuli najwyższego uprzywilejowania. Wprawdzie inne państwa zachodnie nie spieszyły się z naśladowaniem Waszyngtonu, w sumie jednak podejmowały podobne decyzje. Zmuszało to ekipę gen. Jaruzelskiego do poszukiwania partnerów niejako zastępczych (Austria, Dania), a jej nerwowe reakcje - zwłaszcza rzecznika rządu Jerzego Urbana, który groził a to wycofaniem języka francuskiego ze szkół, a to "przerwaniem współpracy naukowej" ze Stanami Zjednoczonymi - raczej pogłębiały izolację Polski niż zmuszały do umiarkowania zachodnich leaderów.

Było jednak mało prawdopodobne, aby państwa NATO postępowały w sposób całkowicie jednolity, a przede wszystkim, aby sankcje wobec Polski przybrały trwały charakter. Od początku 1984 r. stopniowo je znoszono. Celem ich była bowiem możliwość wywierania nacisku na warszawski Biały Dom, a nie wypowiedzenie Polsce gospodarczej wojny. Kraj podziemnej "Solidarności" był wciąż - mimo stanu wojennego i osiągniętego poziomu "normalizacji" - "słabym ogniwem" w obozie socjalistycznym, wrażliwym na bodźce zewnętrzne. Głównym przeciwnikiem była przecież nie Warszawa, ale Moskwa.

Ważnym czynnikiem, który w pierwszej połowie lat 80. wzmocnił pozycję Zachodu wobec ZSRR, był boom gospodarczy odczuwalny w Stanach Zjednoczonych już od początków 1983 r. Umiejętna polityka administracji Reagana nie tylko go zainicjowała, ale zdołała podtrzymywać przez kilka lat, co zarówno wzmacniało potencjał militarny, jak i zapewniało Zachodowi posiadanie silnego przywództwa. W latach 1982-1987, tj. do początków nowej fali recesyjnej, produkt narodowy brutto Stanów Zjednoczonych wzrósł o 27%, a produkcja przemysłowa o 33%. Nieomal cały świat gospodarki wolnorynkowej przeżywał stosunkowo szybki wzrost. Obok większości państw EWG dotyczyło to przede wszystkim Japonii i dalekowschodnich "czterech tygrysów" (Korea Pd.,

Taiwan, Hongkong, Singapur), a także europejskich państw pozostających poza strukturami wspólnotowymi. Prezydent Reagan reagował też zdecydowanie na obszarze, który uważał za strategicznie ważny dla rządzonego przez niego państwa (interwencja na Grenadzie w październiku 1983 r.) lub występował jako "strażnik" atakując państwa powiązane z międzynarodowym terroryzmem (rajd bombowy na Tripolis w kwietniu 1986 r.).

Aczkolwiek Stany Zjednoczone nie zaniedbywały niczego, co pozwalałoby kontynuować - wlokące się w nieskończoność - rozmowy rozbrojeniowe, coraz wyraźniej występowały w nich z pozycji siły. Mimo ostrych reakcji Kremla i licznych wystąpień własnych pacyfistów i wahań niektórych rządów, realizowano postanowienia o instalowaniu w Europie nowej generacji rakiet (pershing II i cruise), a w marcu 1983 r. podano do publicznej wiadomości plan przygotowania niezwykle kosztownego programu "wojen gwiezdnych". System laserowej obrony przeciwrakietowej wymagał nie tylko dużych środków, ale stosowania wyrafinowanych technologii. Gwałtowna "rewolucja informatyczna" była jego decydującym elementem, a dysproporcja między możliwościami ZSRR i państw zachodnich w tej właśnie dziedzinie stawała się coraz widoczniejsza. Rozszerzającej się luki technologicznej nie mogły zastąpić najdoskonalsze nawet siatki szpiegowskie nastawione na kradzież (częściej dokonujące po prostu nielegalnych zakupów) gotowych urządzeń. Gospodarka ZSRR cierpiała na swoje zadawnione już choroby: brak innowacyjności, enklawowy charakter użytkowania nowoczesnych technologii, niezrównoważony rynek, niedostateczną produkcję żywności. Rosło zadłużenie zagraniczne i coraz więcej złota wędrowało na rynki zachodnie. Wprawdzie wskaźniki ekonomiczne wciąż wskazywały przyrosty, ale rzeczywistość dotkliwie od nich odbiegała. Coraz większym ciężarem kładła się na gospodarce radzieckiej wojna afgańska i konieczność podtrzymywania równie nieskutecznych gospodarek w afrykańskich i środkowoamerykańskich państwach satelickich. Dodatkowym, ale w istocie dającym się przewidzieć, kłopotem była biologiczna - jeśli tak można powiedzieć - niestabilność na szczytach władzy.

W listopadzie 1982 r. zmarł 76-letni Breżniew, jego następca Jurij Andropow panował niespełna półtora roku i złożony został pod kremlowskim murem w wieku lat 70. Jeszcze krócej zasiadał w fotelu "Pierwszego" Konstantin Czernienko: w marcu 1985 r., mając 74 lata, podzielił los swoich poprzedników. Krótko przed Breżniewem odszedł z tego świata Michaił Susłow, członek KC od 1941 r. i główny ideolog partyjny. Nie mówiąc już o "niezniszczalnym" Gromyce (szef MSZ od 1957 r.), także spora część dowództwa dożywała swoich lat. Zmianom na najwyższym stanowisku w partii-państwie towarzyszyły mniej lub bardziej widoczne walki o sukcesję utrudniające procesy decyzyjne i konserwujące dotychczasowe struktury władzy. Będący w wieku radzieckich gerontokratów Reagan był przy nich uosobieniem witalności i aktywności (nieźle też sobie radzili jeszcze starsi przywódcy chińscy). "Brudna wojna" w Afganistanie i brutalność zademonstrowana w Polsce dawała okazję do wzmożenia antykomunistycznej propagandy, aż po słynne określenie ZSRR jako "imperium zła". Przewaga ekonomiczna, militarna, a także psychologiczna wielkich demokracji stawała się coraz bardziej wyraźna, a ZSRR tkwił w marazmie i stagnacji.

Trudno powiedzieć, jakie czynniki - i w jakich proporcjach - spowodowały, iż 54-letni Michaił Gorbaczow, który przejął sukcesję po Czernience,

zdecydował się na próbę zreformowania struktur władzy i technik zarządzania gospodarką. Szło za nią także łagodzenie napięć w stosunkach z drugim supermocarstwem. Klimat kolejnych spotkań (listopad 1985 r. - Genewa, październik 1986 r. - Rejkiawik, grudzień 1987 r. - Waszyngton, maj 1988 r. - Moskwa) z Reaganem był coraz lepszy, a ustępstwa coraz wyraźniejsze. W wymiarze międzynarodowym zasadnicze decyzje - zgoda na likwidację rakiet krótkiego i średniego zasięgu oraz wycofanie się z Afganistanu - zapadły jesienią 1987 r. Co równie ważne, były realizowane: 15 maja 1988 r. rozpoczęła się ewakuacja i 9 miesięcy później gen. Borys Gromow, jako ostatni żołnierz Armii Czerwonej, opuszczał niegościnną ziemię. Niedługo potem Reagan mógł z satysfakcją oświadczyć, iż w ciągu jego - liczącej już łącznie blisko 2800 dni - prezydentury "ani jeden cal Ziemi nie znalazł się pod panowaniem komunizmu". Konstatację tę potwierdzało zawieszenie broni między komunistycznymi władzami Nikaragui a antyrządową (i wspieraną przez Amerykanów) partyzantką, do którego doszło w połowie 1988 r. Równie ważne z punktu trwałości systemu były zmiany zachodzące wewnątrz ZSRR. Zaczęły się one nieomal równo rok po objęciu władzy przez - jak nazywano go w zachodnich mass mediach - Gorbiego, na XXVIII Zjeździe KPZR (27 lutego - 7 marca 1986 r.). Hasła, pod którymi zmian tych dokonywano, nie były nowe. Sloganów o "pieriestrojce" (przebudowie) i "uskorieniju" (przyspieszeniu) używano już w końcu lat 20., gdy rozpoczynał się na dobre proces stalinizacji. Tym razem jednak sens "pieriestrojki" był nieomal dokładnie przeciwny: chodziło o liberalizację, a nie rozpętanie terroru. Aczkolwiek reformatorski impet Gorbaczowa napotykał silny opór aparatu - partyjnego i gospodarczego - skupiła się wokół niego grupa zwolenników i powoli, ale systematycznie dokonywano kolejnych zmian. Silnym bodźcem, który głównie uderzył w autorytet władzy, stała się katastrofa reaktora w elektrowni jądrowej w Czarnobylu na pograniczu Ukrainy i Białorusi. Mimo prób tuszowania - co czyniło wątpliwą realność innego ulubionego zawołania o "głasnosti" (jawności) - wywarła ona poważny wpływ na opinię publiczną zarówno w samym ZSRR, jak i za granicą.

Rotacja kadr partyjnych i administracyjnych stawała się coraz szybsza, a poszukiwanie dodatkowego wsparcia społecznego coraz bardziej niezbędne. Momentem o symbolicznym wymiarze stał się telefon Gorbaczowa do przebywającego od stycznia 1980 r. na wygnaniu w Gorki niekwestionowanego przywódcy opozycji Andrieja Sacharowa. 16 grudnia 1986 r. kremlowski gospodarz, wydając polecenie zdjęcia z Sacharowa państwowej klątwy, dał do zrozumienia, iż uważa, że dalej idących zmian nie można przeprowadzać zamykając się we własnym gronie. Nie była to jeszcze oferta do wzięcia przez dysydentów współodpowiedzialności za kraj ani nawet zgoda na ich nieskrępowane działanie. Niemniej rozmowa ta oznaczała coś więcej niż gest wielkopańskiej łaski.

Werbalne i personalne zmiany zaczęły stopniowo docierać "w dół". 23 sierpnia 1987 r., w rocznicę podpisania układu Ribbentrop-Mołotow, setki tysięcy mieszkańców Litwy, Łotwy i Estonii demonstrowały swoją wolę odzyskania niepodległości. Gorbaczowowska "odwilż" rozmroziła też utajone lub duszone w zarodku konflikty społeczne. Zgodnie z przewidywaniami niektórych zachodnich sowietologów (m.in. Hż%şlż%şne Carrere d'Encausse) pierwsze pęknięcia pojawiły się wzdłuż szwów, którymi przez tyle lat udawało się utrzymywać jednolitość wielonarodowego imperium. Masakra

Ormian, do której doszło w lutym 1988 r. w Azerbejdżanie, zapoczątkowała długotrwałe konflikty etniczne od Pamiru po Boh.

Z etapu odgórnej i kontrolowanej reformy ZSRR zaczął wchodzić w etap ogólnej destabilizacji. Kierownictwo KPZR, mimo podejmowanych gestów dyscyplinujących (m.in. odsunięcie wysuwającego radykalne hasła Borysa Jelcyna), traciło możliwość sterowania zmianami. Co za tym idzie, traciło też możliwość utrzymania w dotychczasowym wymiarze kontroli nad "imperium zewnętrznym" w Europie Środkowo-Wschodniej. Przed ekipami komunistycznymi rządzącymi w tej części Starego Kontynentu stanęła konieczność ratowania się na własną rękę. Dla. czołgów radzieckich, na które zawsze można było liczyć i którymi wytrwale szantażowano własne społeczeństwa, zaczynało brakować benzyny. Kremlowskie kuranty grały wciąż jeszcze Międzynarodówkę, ale coraz mniej było chętnych do stawienia się w polu na wezwanie tej pieśni.

Ucieczka do przodu

Założenia taktyczne stanu wojennego zostały zrealizowane tylko częściowo: "Solidarność" została rozbita, ale nie pokonana; gospodarka wyprowadzona ze stanu głębokiej zapaści, ale nie zreformowana. Wygrana bitwa i zwycięska kampania nie oznaczały wygrania wojny, na co gen. Jaruzelski dawał sobie 10

lat. Po kilku latach ożywienia gospodarczego, któremu towarzyszyły wszystkie systemowe wady i braki, sytuacja zaczęła ponownie pogarszać się. Produkcja spadała, mnożyły się "wąskie gardła", umacniała się presja inflacyjna. Głównym remedium były kolejne "operacje cenowo-dochodowe", których skuteczność była bardzo ograniczona m.in. z uwagi na lęk przed społecznymi niepokojami. Władze robiły jednak dobrą minę do złej gry, czego dowodem były nie tylko - i nie tyle - wypowiedzi propagandowe, ile (wspomniane już) wybory do Sejmu. O poczuciu stabilizacji świadczyło też odbycie kolejnego zjazdu PZPR (29 czerwca - 3 lipca 1986 r.).

Zjazd ten miał, w zamyśle kierownictwa partyjnego, przyczynić się do reanimacji PZPR znajdującej się - jako całość - w marazmie, z którego nie zdołał jej wyrwać stan wojenny ani natarczywe działania radykałów ("betonu"). Stan liczebny nie ulegał zmianom, a struktura - z punktu widzenia interesów partii - pogarszała się. W 1984 r. robotnicy stanowili ok. 38,5% członków, a ludzie w wieku 18-29 lat zaledwie 7,6% (przy 23,5% w roku 1978). PZPR starzała się w niepokojącym tempie, coraz więcej w niej było emerytów i urzędników. Mimo istnienia rozgałęzionego systemu nomenklatury wyraźnie traciła na atrakcyjności. Nieufność i niechęć przeważały nad korzyściami, które dawało posiadanie legitymacji. Natomiast rozrastał się aparat partyjny; w 1985 r. PZPR była jednym z największych w Polsce "pracodawców" zatrudniając ok. 20,5 tys. osób (w tym 1,3 tys. w aparacie KC). Gen. Jaruzelski, prowadząc wytrwale politykę centrową, dokonywał stopniowych, ale w sumie mało znaczących roszad personalnych.

Nowe postaci we władzach najwyższych nie cieszyły się ani autorytetem społecznym, ani - najczęściej - zaufaniem aparatu terenowego i aktywu. Ponieważ I sekretarz całkowicie panował nad zjazdem, jego wybrańcami były

osoby, które nie stwarzały groźby posiadania własnego zdania na sprawy o zasadniczym znaczeniu, ale mogły uchodzić za "inteligentnych wykonawców". O trzymaniu się starych schematów może świadczyć fakt, że do Biura Politycznego wszedł Miodowicz. Spełniało to być może jego ambicje osobiste, ale podważało wiarygodność kierowanego przezeń OPZZ. Mimo panowania nad partią gen. Jaruzelski nie zrezygnował z posiadania zespołu - prywatnych niejako - doradców, do którego wchodzili m.in. Wiesław Górnicki, Jerzy Urban, Stanisław Ciosek i gen. Władysław Pożoga (wiceminister spraw wewnętrznych). Do wąskiej, "osobistej ekipy" generała należeli też Rakowski, gen. Józef Baryła, gen. Siwicki i gen. Kiszczak. Mówiło się - półoficjalnie - o potrzebie rządów prezydenckich, pojawiało się określenie "absolutyzm oświecony", co miało m.in. oznaczać dezideologizację władzy.

Retoryka ideologiczna trwała jednak w najlepsze, obecna w prasie, telewizji czy radiu, a także wypowiedziach samego Jaruzelskiego. Nie ułatwiało to - zapowiadanego jeszcze w grudniu 1981 r. "odwojowania spustoszeń w świadomości" społecznej. W rzeczywistości "spustoszenia" rozprzestrzeniały się coraz bardziej, głównie dzięki wydawnictwom "drugiego obiegu", akcjom popularyzatorskim opierającym się na Kościele, funkcjonowaniu zagranicznych rozgłośni polskich (audytorium Radia Wolna Europa sięgało - w połowie lat 80. - 25% ludności). Tworzono rozbudowane "programy edukacji" historycznej czy ekonomicznej, rozrastały się agendy walki na "froncie ideologicznym". W kwietniu 1984 r. utworzono Akademię Nauk Społecznych, potężny instytut partyjny, posiadający uprawnienia uczelni państwowej. Pracownicy ANS zasypywani byli zamówieniami z KC na ankiety, sondaże, analizy, wszelako wnioski z nich - nawet najbardziej rzetelne - nie nadawały się do realizacji. Chyba że podjęto by decyzje o dokonaniu zasadniczego zwrotu.

Świadomość o jego konieczności powoli torowała sobie drogę. Zasadniczym elementem pchającym ku głębokiej reformie był impas w gospodarce, który groził w każdej chwili wybuchem społecznym o skuteczności tym większej, że istniejące podziemne struktury "Solidarności" mogłyby nim pokierować. W sytuacji, w której powiodła się zaledwie neutralizacja znacznej części społeczeństwa, oznaczać to mogło, iż działacze konspiracyjni mogliby występować z pozycji siły. Sytuacja powstała po morderstwie ks. Popiełuszki "usztywniła" też stanowisko Kościoła. Nie stanowiły wprawdzie bezpośredniego zagrożenia, ale na dłuższą metę mogły okazać się niebezpieczne, coraz częstsze przejawy pluralizacji w łonie szeroko pojmowanej opozycji. Szczególną aktywność wykazywały różne grupy młodzieżowe, z utworzonym w kwietniu 1985 r. Ruchem "Wolność i Pokój" (WiP) i anarchizującymi środowiskami Ruchu Społecznej Alternatywy (RSA) na czele. Mnożyły się grupki polityczne, rozrastała radykalna Solidarność Walcząca. Wałęsa i TKK zaczęli siłą rzeczy "pełnić funkcje" opozycji umiarkowanej.

Stali koalicjanci wykazywali ponownie tendencje do autonomii, zaniepokojeni tym, że pogrążają się wraz z PZPR. Dochodziło do drobnych scysji, m.in. z ZSL na tle budowy pomnika Witosa. Rosło w siłę OPZZ, które zrzeszało niemal 6 mln osób, a Miodowicz nie był w stanie zapanować nad całością ruchu, w którym stopniowo narastały tendencje rewindykacyjne. Dodatkowego - poza sytuacją gospodarczą - impulsu nadawała im obecność osłabłych, ale istniejących struktur zakładowych podziemnego związku, zwłaszcza w dużych zakładach pracy. Poczucie frustracji, widoczne zwłaszcza

w młodszych pokoleniach, nie tylko nie ustępowało, ale miało tendencje do rozszerzania się. Wykazywały to zarówno sondaże socjologiczne, jak i nieustająca fala "głosowania nogami" - w latach 1980-1986 pozostało za granicą ponad 700 tys. osób, wśród których ludzie mający mniej niż 35 lat stanowili ponad 2/3. Opuszczały kraj tysiące wysoko kwalifikowanych fachowców: inżynierów, lekarzy, naukowców. Aczkolwiek bezpośrednie powody fali emigracyjnej miały charakter ekonomiczny, w istocie traktowana była ona - także przez samych emigrantów - w kategoriach decyzji o podłożu politycznym: niewiary w możliwość zmian w kraju.

Ekipa gen. Jaruzelskiego stawała przed kolejną ścianą i coraz jaśniej - jak się wydaje - rysowała się alternatywa: ponowienie uderzenia w stylu 13 grudnia lub próba wciągnięcia części opozycji do współodpowiedzialności. Sytuacja międzynarodowa, a zwłaszcza pojawienie się Gorbaczowa i jego "pieriestrojki", osłabiały realność pierwszego wariantu, do którego zresztą ekipa I sekretarza nie miała przekonania. "Drugi etap" reformy gospodarczej lansowany z wielkim natężeniem propagandowym nie wywarł wrażenia ani na społeczeństwie, ani na administracji gospodarczej, a towarzyszące mu akcje takie jak "atestacja stanowisk" nie były w stanie ani zracjonalizować zarządzania i produkcji, ani zastąpić rzeczywistych zmian. Nie wzbudzały zainteresowania - ani tym bardziej nadziei - takie zmiany jak przekazanie fotela premiera ekonomiście Zbigniewowi Messnerowi, co miało podkreślić fachowy charakter rządu. Potrzebne były gesty (i działania) polityczne w większej skali.

Aktem tym stała się decyzja - ogłoszona 11 września 1986 r. przez gen. Kiszczaka - o uwolnieniu wszystkich więźniów politycznych, co dotyczyło, jak oficjalnie podano, 225 osób (w więzieniu pozostali m.in. skazani za udział w zabójstwie milicjanta w lutym 1982 r.). Niejako jej dopełnieniem była inicjatywa powołania Rady Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa, którym od listopada 1985 r. był gen. Jaruzelski. Wypuszczenie "politycznych" miało być - i było - gestem dobrej woli, który miał wiele adresatów. Były wśród nich państwa zachodnie, na których władzom specjalnie zależało w obliczu nie dających się pokonać trudności gospodarczych. Był nim Kościół katolicki, który - jak mówił gen. Jaruzelski na posiedzeniu Sekretariatu KC w październiku 1986 r. - "przyjął pozycję recenzenta", a który powinien być "wciągnięty do współodpowiedzialności za losy kraju". Posunięcie to było tym ważniejsze, iż na rok następny planowana była kolejna pielgrzymka Jana Pawła II do Polski. Akt ten miał również utrudnić działalność podziemnej "Solidarności", której odbierano możliwość posługiwania się jednym z głównych i najszerzej akceptowanych żądań.

Utworzenie Rady Konsultacyjnej - w istocie niemożliwe bez wypuszczenia więźniów politycznych - było krokiem naprzód w tym samym kierunku. Miało ono jeszcze inny, ważny dla władz, aspekt, wynikający m.in. z całkowitej plajty PRON, który raczej odpychał niż przyciągał do PZPR te środowiska, na których jej zależało. Rada Konsultacyjna miała stać się narzędziem podzielenia opozycji i wyłuskania z niej grona osób cieszących się autorytetem na tyle znaczącym, iż mogłyby stać się przeciwwagą dla Wałęsy, skupionych wokół niego intelektualistów i TKK.

Zamierzenia te wypełniono tylko częściowo. Wprawdzie uwolnienie więźniów zostało powitane przez TKK jako "spełnienie jednego z głównych postulatów", ale w tym samym oświadczeniu przypomniano pozostałe - ważniejsze i

trudniejsze do realizacji: "przywrócenie pluralizmu związkowego", "przebudowę systemu gospodarczego", umożliwienie "niezależnych działań społecznych". Istotniejsze wszakże niż reakcja werbalna były działania podjęte przez "Solidarność". 29 września 1986 r. Wałęsa - stawiając władze przed faktami dokonanymi - powołał jawnie działającą Tymczasową Radę związku, w której skład weszło siedmiu wybitnych działaczy struktur konspiracyjnych, a powstaniu tej instancji towarzyszyło oświadczenie, iż "dialog wymaga instytucjonalizacji, ale nie fasadowej". "Oznacza to - pisał dalej Wałęsa - przyjęcie zasady niezależności i reprezentatywności wszelkich ciał społecznych".

W ślad za powołaniem Tymczasowej Rady szły kolejne regiony "Solidarności" tworząc jawne struktury. W początkach listopada pierwsze "komitety założycielskie" ogniw zakładowych związku - składające się z działaczy podziemia - zaczęły przedstawiać w sądach wnioski o rejestrację. Wałęsa ze swej strony wykonał gest dobrej woli sygnując 10 października - w towarzystwie ośmiu opozycyjnych intelektualistów - apel do prezydenta Reagana o zniesienie ostatnich sankcji gospodarczych wobec Polski.

Stanowisko kierowniczego gremium "Solidarności" pokrzyżowało plany związane z utworzeniem Rady Konsultacyjnej. Zostało ono wsparte m.in. decyzją warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej (KIK), który podjął postanowienie o niedelegowaniu do niej swoich przedstawicieli, W rezultacie Rada, która powołana została w początkach grudnia, liczyła zaledwie parę osób, które mogły uchodzić za powiązane z opozycją (Władysław Siła-Nowicki) lub Episkopatem (Andrzej Święcicki, Krzysztof Skubiszewski). Żadna z nich nie miała społecznego mandatu i choć debaty Rady były swobodne, a stenogramy szeroko kolportowane, jej działalność nie wywołała ani szerszego zainteresowania, ani nie stała się "wentylem" dla opozycji.

Inne, podejmowane w ciągu 1987 r., działania ekipy gen. Jaruzelskiego były podobnie nieskuteczne i w istocie nieśmiałe. Ani reaktywowanie "drugoobiegowej" "Res Publiki", ani rozmowy sekretarza KC Józefa Czyrka z

reprezentatywnym gronem działaczy klubów inteligencji katolickiej, nie przyniosły - i przynieść nie mogły - zwrotu w postawach opozycji. Gesty liberalizacyjne ułatwiały natomiast kolejne demonstracje niezależności: od happeningów wrocławskiej Pomarańczowej Alternatywy (pierwszy odbył się w Dzień Dziecka 1 czerwca 1987 r.), przez takie imprezy, jak międzynarodowe seminarium WiP, po tworzenie towarzystw gospodarczych organizowanych przez "pozytywistycznie" nastawionych działaczy opozycji (m.in. Mirosława Dzielskiego z Krakowa).

Aczkolwiek opozycja i "Solidarność" nie odnotowały spektakularnych sukcesów, coraz wyraźniej nabierały pewności siebie, której nie mogły stłumić nowe metody szykan (konfiskaty, grzywny). Zmieniającą się atmosferę

można było wyczuć w trakcie podróży Jana Pawła II (8-14 czerwca 1987 r.), który odprawiał msze m.in. w miastach "zakazanych" w 1983 r. - Gdańsku i Szczecinie. Wielomilionowe tłumy najwyraźniej nie były tak spięte emocjonalnie, jak podczas poprzedniej pielgrzymki, ale wszędzie masowo pojawiały się transparenty i symbole "Solidarności". Przyjazd papieża witała osobnym oświadczeniem grupa opozycyjnych intelektualistów, zebranych przez Wałęsę, przypominając, że "Polacy - jak każdy naród świata - mają

prawo do niepodległości", demokracji i "samodzielnego kształtowania ładu gospodarczego". Władze dyskretnie okazywały niezadowolenie z przebiegu pielgrzymki. Niepokoiło je nie tylko spotkanie Jana Pawła II z Wałęsą, które tym razem - ponieważ odbywało się w rezydencji biskupiej - miało nieomal oficjalny charakter. Niepokoiły także wypowiedzi papieża, w których na próżno oczekiwano zachęty do posłuszeństwa wobec państwa i wsparcia inicjatyw gen. Jaruzelskiego.

Kierownictwo PZPR nie mogło jednak zneutralizować tej atmosfery. Tak jak nie mogło już dłużej izolować Wałęsy od przybywających do Polski oficjalnych gości rządu. Zbyt zależało mu na poprawnych stosunkach z Zachodem, a prawdę mówiąc z kredytodawcami. Toteż w styczniu 1987 r. rozmowę z przewodniczącym (byłym) związku (byłego) odbył zastępca sekretarza stanu John Whitehaed, a we wrześniu tegoż roku doszło do spotkania Wałęsy z wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych - i nieoficjalnym jeszcze kandydatem republikanów na miejsce w Białym Domu - George'em Bushem.

Spotkania te, uzupełniane coraz liczniejszymi rozmowami doradców Wałęsy i działaczy "Solidarności", którzy stawali się częstymi gośćmi w zachodnich ambasadach, umacniały pozycję związku jako powszechnie uznawanej siły opozycyjnej - co najmniej wobec rządzącej ekipy, a w istocie wobec całego systemu. W sytuacji gdy na Kremlu coraz silniejsza była reformatorska frakcja Gorbaczowa, liberalizacja w Polsce mogła być uznawana za pożądane wsparcie. Opozycja jednak coraz bardziej - jakby w oczekiwaniu na zasadnicze zmiany - różniczkująca się, nie wykonywała żadnych widoczniejszych gestów, zgodnych z intencjami PZPR. Przy każdej okazji ponawiano żądanie legalizacji "Solidarności" i stworzenia prawnych możliwości budowy niezależnych organizacji społecznych i politycznych. Uznawanie, że ekipa gen. Jaruzelskiego nabiera "ludzkiego oblicza", nie oznaczało legitymizowania jej ani popierania. Wobec zmian w Moskwie teza "mniejszego zła" traciła swoją nośność, a pozytywne opinie o stanie wojennym - których apogeum przypadło na wiosnę 1986 r. (32,5% "zdecydowanie pozytywnych" i 33,3% "raczej pozytywnych") - zaczęły się kurczyć.

Nie mogąc uzyskać instytucjonalnego wsparcia ze strony Wałęsy i "Solidarności" - w gruncie rzeczy uważając je wciąż za zbędne, a na pewno niebezpieczne - kierownictwo partyjne postanowiło podjąć próbę zdobycia plebiscytarnego poparcia. Byłoby ono o tyle wygodne, że nie wynikały z niego żadne zobowiązania wobec konkretnej siły politycznej czy grupy społecznej. Na 29 listopada 1987 r. rozpisano więc referendum, które poprzedziła spektakularna reorganizacja centralnego aparatu państwowego likwidująca nieomal wszystkie ministerstwa branżowe. Z 26 ministrów pozostało 19, a liczbę wicepremierów sprowadzono do dającej się racjonalnie wytłumaczyć liczby trzech. Pytania stawiane w referendum były raczej ogólnikowe ("uzdrowienie gospodarki", "głęboka demokratyzacja życia politycznego") i przypominały - powtarzane do znudzenia - reformatorskie zaklęcia, z których nic konkretnego nie wynikało. Postawiono natomiast (sobie) bardzo wysokie wymagania: do uznania pozytywnego wyniku referendum potrzebne miało być 50% głosów osób uprawnionych, a nie tylko - jak to się zwykle stosuje - biorących udział w głosowaniu. Ułatwiło to niezwykle zadanie opozycji, wzywającej do bojkotu lub głosowania "dwa razy nie". Wedle oficjalnych danych, nie tak jednoznacznie podważanych przez opozycję

jak wyniki wyborów do Sejmu i rad narodowych, frekwencja wynosiła 63,3%. Na pierwsze pytanie potwierdzająco odpowiedziało 66%, a na drugie 69% głosujących, co oznaczało, iż na żadne nie uzyskano wymaganego limitu. Zabrakło wprawdzie niewiele, bo ok. 5%, ale... zabrakło.

Opozycja tymczasem konsolidowała się wokół Wałęsy, czemu nie było w stanie zagrozić nawet pojawienie się drugiej - po Kornelu Morawieckim - "frondy" w postaci Grupy Roboczej Komisji Krajowej. W październiku 1987 r. "Solidarność" powołała Krajową Komisję Wykonawczą (KKW), na czele której stał osobiście przewodniczący związku. Powtarzały się też spotkania i wystąpienia skupionych wokół "Solidarności" opozycyjnych intelektualistów. W grudniu w środowiskach "solidarnościowych" pojawiła się koncepcja zawarcia "paktu antykryzysowego" z reformatorskim - jak to oceniano - centrum partyjnym. W lutym 1988 r., należący do PRON tygodnik "Konfrontacje", ogłosił wywiad z Bronisławem Geremkiem uzasadniającym tę propozycję, a jeszcze wcześniej (w grudniu) partyjna "Polityka" i opozycyjny "Tygodnik Powszechny" opublikowały list otwarty czynnego w opozycji, znanego historyka Jerzego Holzera do Wałęsy i Jaruzelskiego, wzywający ich do spotkania się "bez warunków wstępnych".

Jakkolwiek władze miały podstawy do nieufności wobec tych inicjatyw, odrzucenie ich świadczyłoby o wierze we własne siły. Doradcy wprawdzie jeszcze we wrześniu 1987 r. ostrzegali generała, że "sytuacja jest groźniejsza niż przez cały czas po 13 grudnia 1981 r.", proponowali, aby "uprzedzić wydarzenia", i sugerowali nawet, że "I sekretarz KC powinien stanąć na czele niezadowolenia". Owo przywództwo wyobrażali sobie jednak jako "ostre zganienie złej, ślamazarnej, niekonsekwentnej realizacji polityki, którą wytyczyła partia". Najbardziej radykalną propozycją było "zaproszenie Wałęsy do Rady Konsultacyjnej" oraz pomysł postawienia w referendum pytania o wprowadzenie urzędu prezydenta. Przy założeniu, że wszyscy rozumieć będą, iż ma to być urząd dla Generała, uzyskałby on w ten sposób "ogólnonarodową legitymację". Okazało się jednak, że I sekretarz zadowala się (na razie) legitymacją PZPR.

Toteż 1 lutego 1988 r., zgodnie z programem "drugiego etapu reformy" - i jak kazał reformatorski obyczaj - wprowadzono podwyżkę cen. Choć towarzyszyły jej rekompensaty, tym razem nie "wytrzymali" już nawet członkowie OPZZ. Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta, a za detonator posłużył czysto ekonomiczny strajk komunikacji miejskiej w Bydgoszczy (24 kwietnia). Wnet ruszyły wielkie przedsiębiorstwa - Huta Lenina i huta w Stalowej Woli, 2 maja strajk okupacyjny rozpoczęła część załogi Stoczni Gdańskiej, a do żądań ekonomicznych doszły polityczne, dotyczące "Solidarności". Nowym elementem - widocznym zwłaszcza w Gdańsku - był udział w proteście młodych robotników, nie należących do dawnej, "legalnej" "Solidarności". Po krótkich wahaniach, mimo prób mediacji podejmowanych przez osoby wyznaczone przez Kościół, władze zdecydowały się na użycie siły. Niektóre strajki zostały rozbite przez oddziały ZOMO, inne - zagrożone przez interwencję - zakończono. 10 maja zakończył się, bez podjęcia formalnych rozmów, strajk gdański. Kolumna jego uczestników z Wałęsą i Mazowieckim na czele opuściła gromadnie stocznię i przemaszerowała do kościoła św. Brygidy, stałego "miejsca pobytu" gdańskiej opozycji.

Dla wielu było to deprymujące, dla władz zachęcające. Można było sądzić, że bezpośrednie zagrożenie dla nich minęło, wytłumiona fala nie powróci

szybko, a autorytet Wałęsy i "Solidarności" doznał poważnego uszczerbku. Gen. Jaruzelski poczuł się zapewne wzmocniony raczej życzliwym przyjęciem, z jakim spotkał się w Polsce Michaił Gorbaczow, choć zawiódł on tych, którzy liczyli, że radzieccy komuniści uderzą się w piersi i wyznają żal za zbrodnię dokonaną na polskich oficerach w 1940 r. W kraju wprawdzie nie było spokoju, radykalne środowiska i grupy nie przejmowały się próbami ograniczenia ich działalności, opozycja w istocie działała półjawnie, ukrywając tylko - jak "przed sierpniem" - swoje techniczne zaplecze. Mogło się wydawać, że na tym właśnie poziomie nastąpi pewna stabilizacja, z której obie strony będą przynajmniej częściowo usatysfakcjonowane.

"Wiosna nasza"

Zapowiadana pierwszymi hasłami konspiracji z początków stanu wojennego "wiosna nasza" zaczęła się w istocie w środku lata, i - jak to wiosną bywa - nie brakowało gwałtownych ochłodzeń. 15 sierpnia 1988 r. zastrajkowali górnicy z kopalni "Manifest Lipcowy". W ciągu kilku dni przerwano pracę w kilkunastu dalszych kopalniach, stanęły Port Szczeciński i Port Północny w Gdańsku. Po tygodniu fala objęła kolebkę "Solidarności" - Stocznię Gdańską. Do pewnego stopnia zaskoczyło to zarówno władze, jak opozycję.

Tym razem już nieomal wszędzie na czele strajków - i powoływanych międzyzakładowych komitetów strajkowych - stawali nowi ludzie, najbardziej aktywna była młodzież (także wśród osób wspomagających strajkujących). 20 sierpnia, na dwa dni przed unieruchomieniem macierzystego zakładu pracy Wałęsy, gdy wznosząca się fala najwyraźniej wymykała się spod kontroli i władz, i opozycyjnego związku, rozpoczęły się rozmowy sondażowe, w których uczestniczył - z upoważnienia Episkopatu i Wałęsy - Andrzej Stelmachowski. Chodziło w nich o znalezienie formuły umożliwiającej "nawiązanie dialogu". Tym bardziej dla ekipy Jaruzelskiego był on potrzebny, iż OPZZ - broniąc zasady "jeden zakład pracy = jeden związek zawodowy" - nie tylko ostro krytykował politykę gospodarczą rządu, ale wezwał marszałka Sejmu (jak zwykle "chłopa" z ZSL) do zwołania w tej sprawie nadzwyczajnego posiedzenia izby. "Neozwiązki", zrzeszające już blisko połowę liczby zatrudnionych, nie mogły trwać w milczeniu bez obawy o utratę wpływów. Była to dodatkowa presja na ekipę Jaruzelskiego, a zarazem dogodna dla niej pomoc w próbach przekonania aparatu i aktywu partyjnego co do konieczności poczynienia ustępstw wobec opozycji.

26 sierpnia Konferencja Episkopatu - dla której tłem była wielka pielgrzymka na Jasną Górę - uznała, iż trzeba "szukać dróg prowadzących do pluralizmu związkowego i do tworzenia stowarzyszeń". Następnego dnia gen. Kiszczak wystąpił z oświadczeniem, w którym ogłosił gotowość do rozmów "z przedstawicielami różnorodnych środowisk społecznych i pracowniczych". Wprawdzie słowo "solidarność" nie mogło mu (jeszcze) przejść przez gardło, ale dla wszystkich - także dla uczestników odbywającego się właśnie posiedzenia KC PZPR - było oczywiste, kto ma być głównym interlokutorem. 31 sierpnia, być może nie przypadkiem w rocznicę sławetnych Porozumień Gdańskich, na które wszyscy się powoływali, szef MSW spotkał się z leaderem "Solidarności". Ze strony władz warunkiem rozpoczęcia pertraktacji o

zorganizowanie "okrągłego stołu" było wygaszenie strajków, co Wałęsie - nie bez trudu - powiodło się w ciągu kilku dni. Władze nie zapomniały jednak o tym, że mają w rezerwie inne możliwości niż dialog. Komitet Obrony Kraju już 20 sierpnia zadecydował o wszczęciu przygotowań do wprowadzenia stanu wyjątkowego. Wydano odpowiednie zarządzenia - zarówno dla wojska, jak i administracji państwowej - i ustalono termin ostatecznej gotowości: 31 października.

Rozmowy między przedstawicielami władz i "Solidarności" z udziałem obserwatorów - a w istocie mediatorów - ze strony Kościoła odbyły się 15 i 16 września. Wnet jednak zostały zawieszone. Rozbiły się one o nieustępliwe stanowisko "Solidarności" co do jej legalizacji oraz o odmowę zaakceptowania prawa weta władz wobec składu ewentualnej reprezentacji związku przy Okrągłym Stole. Kiszczak nie zgadzał się na udział w niej osób, które "nie przestrzegają porządku konstytucyjnego" - konkretnie chodziło o Kuronia i Michnika. Z kolei OPZZ i aparat partyjny, nieomal w całości, protestowały przeciwko zasadzie pluralizmu związkowego. W rzeczywistości władze wydawały się usatysfakcjonowane zahamowaniem fali strajkowej i najwyraźniej były przekonane, że znajdą rozwiązanie, nad którym będą całkowicie panowały. Miodowicz dopiął swego - 19 września Sejm odwołał gabinet Messnera - co było działaniem otwierającym ekipie Jaruzelskiego nowe pole manewru. Na stanowisko premiera powołany został Mieczysław F. Rakowski, od 1981 r. jeden z najbliższych współpracowników autora stanu wojennego, cieszący się resztkami opinii reformatora. Zastosował on stary chwyt usiłując wyłuskać ze środowisk opozycyjnych chętnych do objęcia ministerialnych tek, ale wszyscy, do których się zwracał, zdecydowanie odmówili.

Był to zapewne taktyczny wybieg ze strony tego impulsywnego i elokwentnego polityka, który - jak wynika z jego własnych wspomnień - realizując od dawna żywione ambicje wierzył w swoją dobrą gwiazdę. Tak czy inaczej Rakowski postanowił (za oczywistym przyzwoleniem Biura Politycznego) obyć się bez pertraktacji z opozycją i postawić na własne siły. Jednym z atutów było dokonanie dalszych przekształceń w administracji rządowej, polegające nie tylko na kolejnej redukcji ministerstw czy przekształceniu uważanej za jeden z hamulców reformy Komisji Planowania w Centralny Urząd Planowania (CUP), czym nawiązywano do lat 1945-1948 i funkcjonującej wówczas zasady "gospodarki wielosektorowej".

Zaskakujące były także niektóre nominacje, a przede wszystkim powierzenie stanowiska ministra przemysłu Mieczysławowi Wilczkowi, który był wprawdzie członkiem PZPR, ale jednocześnie właścicielem dobrze prosperującej firmy. Miał być on nie tylko realizatorem nowej polityki gospodarczej, ale także jej symbolem. Nowy rząd, nie zaprzątając sobie głowy sprawami rozgrywki politycznej, przygotowywał cały zestaw decyzji ekonomicznych, których głównym założeniem była zdecydowana liberalizacja prywatnej działalności gospodarczej, zniesienie ograniczeń w obrocie dewizowym, zelżenie kontroli cen. Miała to być kolejna - i najbardziej odważna - próba wprowadzania zasad rynkowych.

O tym, że Rakowski nie myślał "głaskać" opozycji, świadczyło pozostawienie na stanowisku rzecznika rządu pogardzanego powszechnie (ale z

masochistyczną przyjemnością oglądanego) Jerzego Urbana. Mocniejszym sygnałem było stwierdzenie premiera, że społeczeństwo woli stół "dobrze zastawiony" niż "okrągły", ale prawdziwym znakiem - zarazem projektowanych zmian gospodarczych, jak przede wszystkim lekceważenia "Solidarności" - była ogłoszona 31 października decyzja o postawieniu w stan likwidacji Stoczni Gdańskiej.

Tym gestom kojarzonym z polityką "twardej ręki" towarzyszyły, toczone w gorączkowej atmosferze, dyskusje wewnątrzpartyjne. Tezę o "pluralizmie związkowym" próbowano zastąpić tezą o "pluralizmie społecznym". W najwyższych gremiach PZPR zastanawiano się nawet, czy nie byłoby dogodniejsze dopuszczenie istnienia opozycyjnych partii politycznych niż "Solidarności", która była nie do strawienia dla przeważającej części aparatu i związkowców Miodowicza. Wykonywano dziesiątki sondaży i analiz, zwracano się w różnych kierunkach - także do "antysolidarnościowych" środowisk nacjonalistycznych - o wzięcie udziału w "ogólnonarodowej debacie nad przyszłością Ojczyzny". Coraz wyraźniej propagowano tezę o rozróżnianiu "ekstremistów" od "opozycji konstruktywnej". Nie szczędzono też wysiłków, aby przekonać aparat partyjny o konieczności zmian. Ekipa gen. Jaruzelskiego prowadziła przy tym swego rodzaju walkę na dwa fronty: "Solidarność" przekonywała o niemożliwości poważniejszych ustępstw, którym przeciwstawia się partyjna "baza", tej zaś z kolei grożono nowymi wybuchami społecznymi, które mogą doprowadzić do załamania się systemu. W sumie jednak, pomimo kolejnego spotkania Wałęsa-Kiszczak (18-19 listopada), trwał impas.

Paradoksalnie, pierwszego poważnego kroku do jego przełamania dokonano z inicjatywy jednego z najbardziej zdecydowanych przeciwników ugody z "Solidarnością": Miodowicz wystąpił publicznie z propozycją odbycia transmitowanej na żywo debaty telewizyjnej ze swym "wrogiem nr 1", Wałęsą. Biuro Polityczne wyraziło zgodę, choć - przezornie - zastrzegło, iż leader OPZZ nie może występować w imieniu kierownictwa partii. Debata ta, przeprowadzona wieczorem 30 listopada 1988 r., przyniosła bezdyskusyjny triumf szefa "Solidarności", który był spokojny, umiarkowany i pewny siebie. "Nie wiem, co się stało Miodowiczowi - komentował to w zaufanym gronie Jaruzelski - Coś przerażającego. I pchał się w tę rozmowę jak ćma do ognia". Przyznał jednak: "Myślałem, że go rozgromi".

Łatwość, z jaką laureat pokojowej Nagrody Nobla osiągnął wynik inny niż sądził I sekretarz, wypływała - jak się wydaje - w znacznym stopniu z tego, że Wałęsa mówił o prostych prawdach i to, co myślał, nie krępowany taktycznymi ograniczeniami. Już samo pojawienie się w telewizji człowieka, którego tak niedawno odsądzano od czci i wiary, było silnym impulsem dla milionów widzów. Przebieg debaty uświadomił zaś wielu, nawet przeciwnikom Wałęsy i "Solidarności", że mają do czynienia z partnerem poważnym i myśleniem rzeczywiście alternatywnym wobec ustrojowych kanonów. Sukces odniesiony w kraju umocnił Wałęsa wizytą we Francji (9-12 grudnia) - gdzie spotkał się m.in. z Andriejem Sacharowem - której polskie mass media nie mogły przemilczeć.

Jakkolwiek kierownictwo PZPR było raczej zdetonowane niż zadowolone przebiegiem tego telewizyjnego pojedynku, skłonił on je do kontynuacji niż do porzucenia reformatorskich zabiegów. Być może, poza przekonaniem o ich niezbędności i słuszności, wytworzył się już mechanizm obrony raz przyjętej

linii działania, a opór "bazy" zwiększał determinację. Podczas kolejnego posiedzenia KC - które podzielono na dwie tury (20-21 grudnia 1988 r., 16-18 stycznia 1989 r.) - doszło do ostrej konfrontacji między ekipą I sekretarza a większością centralnego aktywu partii. Stopień zaangażowania gen. Jaruzelskiego w forsowaną linię polityczną był już taki, iż wycofanie się z niej mogło oznaczać całkowitą klęskę i konieczność ustąpienia jeśli nie samego generała, to większości jego najbliższych współpracowników. Po dramatycznych obradach, w których padało wiele głosów zdecydowanie przeciwstawiających się polityce Jaruzelskiego, często określanej jako kapitulancka, stanowisko "centrum" zostało jednak zaakceptowane. W kluczowym momencie "generalska trójka" (Jaruzelski, Kiszczak, Siwicki) - do której dołączył się premier - zagroziła dymisją. Poddano pod głosowanie wniosek o wotum zaufania dla całego Biura Politycznego, który przeszedł wprawdzie, ale fakt, że na 178 członków KC aż 32 było przeciw (a 14 wstrzymało się) świadczył, iż I sekretarz daleki jest od pełnej kontroli nad sytuacją. Sytuacja taka nieczęsta była w partiach komunistycznych. Przyjęte ostatecznie "Stanowisko KC PZPR w sprawie pluralizmu politycznego i pluralizmu związkowego" otwierało drogę do rozmów z "Solidarnością".

W porównaniu z "szarpaniną", jaką przeżywała PZPR, opozycja przygotowywała się do nowej - acz jeszcze nie znanej - roli w (przynajmniej pozornym) spokoju i porządku. 18 grudnia 1988 r. 119 osób zaproszonych przez Wałęsę ukonstytuowało Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ "Solidarność". Do grona tego wchodzili opozycyjni intelektualiści różnych orientacji ideowych, grono dotychczasowych doradców "zwykłego obywatela" - jak określał Wałęsę rzecznik prasowy rządu - oraz działacze związku, zarówno z lat konspiracji, jak i niektórzy leaderzy strajków z 1988 r. Komitet Obywatelski, którego sekretarzem został dawny "korowiec" Wujec, a faktycznymi leaderami byli Geremek i Mazowiecki, podzielony został na zespoły robocze, które stanowić miały jego reprezentację podczas rozmów Okrągłego Stołu. Nie skupiał on wszakże przedstawicieli wszystkich nurtów opozycyjnych. Poza Komitetem pozostały nieomal wszystkie partie i grupy polityczne, także te, które - jak Solidarność Walcząca - wywodziły się z "sierpniowego pnia". Scena opozycyjna podlegała coraz ostrzejszej polaryzacji na część umiarkowaną i radykalną, która kontestowała samą koncepcję pertraktowania z "komuchami". Należeli do niej zarówno opozycjoniści "starej daty", tacy jak Leszek Moczulski i jego partia, młodzi na ogół ludzie, którzy do życia politycznego weszli w czasie stanu wojennego (najbardziej aktywni w Federacji Młodzieży Walczącej i RSA, ale także w NZS), jak i skłóceni z Wałęsą niektórzy historyczni leaderzy "Solidarności" (m.in. Marian Jurczyk, Jan Rulewski czy Andrzej Gwiazda). Aczkolwiek formacje radykalne były aktywne i widoczne, znajdowały się w stanie rozproszenia i nie mogły zagrozić poważnie pozycji Wałęsy i jego Komitetu Obywatelskiego. Odgrywały one wobec przewodniczącego w pewnym sensie podobną rolę jak po drugiej stronie barykady OPZZ. Na ich tle - podobnie jak Jaruzelski czy Kiszczak na tle Miodowicza lub Kociołka - zwolennicy Wałęsy prezentowali się jako siła umiarkowana i skłonna do współpracy.

Przygotowania Komitetu do rozmów opierały się w zasadzie na koncepcji wywierania instytucjonalnego nacisku na władze dzięki rejestracji

"Solidarności" (także rolniczej i NZS) oraz legalizacji partii i grup politycznych. Większość podnoszonych postulatów nawiązywała do żądań z lat 1980-1981, takich jak liberalna ustawa o cenzurze, dostęp opozycji do państwowych środków masowego przekazu, możliwość posiadania własnych gazet, likwidacja nomenklatury, energiczne wprowadzanie reformy gospodarczej (m.in. na podstawie samorządów pracowniczych), swoboda zrzeszania się, likwidacja organizacyjnych monopoli (takich jak oficjalny ZHP), niezależność wymiaru sprawiedliwości, uwolnienie samorządu terytorialnego spod nacisku administracji i PZPR. Towarzyszył temu pokaźny pakiet żądań ekonomicznych o charakterze rewindykacyjnym, w tym przyjęcie zasady waloryzacji płac proporcjonalnej do wzrostu kosztów utrzymania.

Większość członków Komitetu - a także sam Wałęsa - nie rozpatrywała sytuacji pod kątem przejęcia władzy ani nawet udziału w jej sprawowaniu. Wielu uważało to za zbyt ryzykowne wobec pogłębiającego się kryzysu gospodarczego, realnej siły w postaci wojska i aparatu bezpieczeństwa, a także niepewności co do stanowiska Moskwy wobec gwałtownej i generalnej zmiany. Umiarkowanie to miało po części charakter taktyczny, ale ambiwalencja "konstruktywnej opozycji" była widoczna nie tylko w wypowiedziach publicznych, lecz także w poufnych rozmowach przygotowawczych prowadzonych w rządowej willi w podwarszawskiej Magdalence. Dodatkowym czynnikiem moderującym była obecność przedstawicieli Episkopatu, który był zdecydowanym przeciwnikiem radykalnych pomysłów.

Niemniej postawiono podczas tych rozmów - wyraźnie, choć być może w celach przetargowych - kluczowy problem: "dla nas, ludzi "Solidarności" - mówił 27 stycznia Geremek - zasadniczą wartością są wolne wybory. Rozumiemy konieczność ograniczeń [...], które pozwoliłyby realizować układ ewolucyjny, a równocześnie wyjść naprzeciw potrzebie wolności, której słusznie domaga się społeczeństwo". "Nie jesteście w stanie blokować wolności - dodawał Wałęsa. - Nie da się zrobić rozwoju bez wolności". Reprezentacja parlamentarna miała być czynnikiem inicjującym zmiany legislacyjne i kontrolnym wobec PZPR, a jednocześnie nie biorącym udziału w egzekutywie. Niemniej jednak sprawa jej wyłonienia - i terminu wyborów - stała się zasadniczym elementem rozgrywki. Józef Czyrek referując w KC stanowisko Kościoła cytował: "Róbcie wybory, kiedy chcecie, pod warunkiem, że kolejne będą wolne". Tym, co miało zapewnić "układ ewolucyjny", stała się koncepcja wyborów "niekonfrontacyjnych".

Punkt wyjścia kierownictwa PZPR był zupełnie inny. Decyzję o rozmowach Okrągłego Stołu podjęto - jak stwierdził na jednym z posiedzeń Sekretariatu KC gen. Jaruzelski - "wobec narastającej groźby strajku, wobec możliwości wyprzedzenia nas przez Wałęsę, wobec konieczności wygrania na czasie". Odpowiedzialny za sprawy ekonomiczne Władysław Baka podnosił, że do rozmów "zmusiła nas prognoza rozwoju sytuacji gospodarczej, która się potwierdza w najgorszym wariancie". Podobnie uzasadniał pójście na kompromis I sekretarz w rozmowie z wysoce zaniepokojonym rozwojem sytuacji w Polsce Erichem Honeckerem. Dla pezetpeerowskiej ekipy podstawowym warunkiem powodzenia jej planów były "wspólne wybory" - wspólny program wyborczy i wspólne listy (łącznie z listą krajową), na których znalazłyby się miejsca dla "bezpartyjnych". PZPR gotowa była przyznać im 30-35% mandatów. Była to kalkulacja w miarę bezpieczna, gdyż faktycznie wciągałaby opozycję do

koalicji rządowej, w której kluczowe resorty znalazłyby się w rękach komunistów, ale odpowiedzialność za nieuchronne załamanie gospodarki - tym szybsze, im więcej przyjęto by postulatów z pakietu "rewindykacyjnego" - ponosiliby wszyscy. "Partia chce się podzielić władzą, ale mądrze": taki był tenor rozważań na najwyższych szczeblach.

Wprawdzie Jaruzelski dostrzegał "niepokojące sygnały o zachowaniu się sojuszników, [którzy] są w opałach", ale zadowalano się propozycją gen. Kiszczaka, aby im "brutalnie uświadomić, że trzymamy nad nimi parasol ochronny". Większe kłopoty były z OPZZ, które obawiało się, że rejestracja "Solidarności" spowoduje gremialny odpływ z ich organizacji i zepchnie "neozwiązki" na daleki plan. Działacze OPZZ, ku konsternacji i ostro nieraz wyrażanemu niezadowoleniu ekipy I sekretarza - zwłaszcza przez premiera - szli na całego próbując wzbudzić falę strajkową i wyprzedzić w radykalizmie "Solidarność" (zniesienie cenzury, wolne wybory). W istocie kierownictwo PZPR znajdowało się w gorszej sytuacji niż Komitet Obywatelski, tak jak najczęściej w gorszej sytuacji jest ten, kto się cofa wobec tego, który idzie naprzód. "Sami sobie zakładamy pętlę - mówił w chwili desperackiej szczerości Kiszczak - idziemy na rzeź jak barany".

Gdy 6 lutego 1989 r., w wielkiej sali Pałacu Namiestnikowskiego, rozpoczynały się plenarne obrady Okrągłego Stołu, kraj był w stanie nerwowego oczekiwania na bieg wydarzeń. W tle bitwy politycznej, która coraz wyraźniej rozgrywała się jawnie, przy otwartej kurtynie, wznosiła się fala żądań płacowych związanych z przyspieszającą biegu inflacją, a środowiska radykalne występowały coraz bardziej energicznie i coraz śmielej. Strajk, który wybuchł w kopalni węgla brunatnego "Bełchatów", groził rozszerzeniem się na całe górnictwo, a jednym z jego inicjatorów był związek opezetzetowski. 17 lutego w Krakowie zaczęły się - trwające z przerwami przez tydzień - demonstracje NZS, KPN i FMW, podczas których dochodziło do starć z milicją. Manifestacje organizowała też Solidarność Walcząca i radykalny odłam PPS. Na przełomie marca i kwietnia doszło do starć milicji z demonstrującymi w Poznaniu ekologami. W zwyczaj weszły coniedzielne "zadymy" w Gdańsku, których promotorem był RSA.

W wieczornych wydaniach dziennika telewizyjnego zdjęcia z obrad komisji, na które podzielili się uczestnicy Okrągłego Stołu, przeplatały się ze scenami szarż ZOMO na młodych - często młodocianych - manifestantów. Nie uspokajały emocji nieustające kłopoty życia codziennego, puste sklepy, kolejki, a wzmagały je coraz bardziej widoczne przejawy spekulacji i narodzin wolnego rynku, pobudzone m.in. decyzją rządu o wewnętrznej wymienialności złotówki.

Kościół, na którego moderujący wpływ tak bardzo liczono w ekipie gen. Jaruzelskiego, nie zachęcał wprawdzie do żadnych wystąpień i wytrwale wspierał wszystkie umiarkowane środowiska, ale nie miał możliwości oddziaływania na masowe emocje. "Z żalem musimy stwierdzić - mówił abp Stroba na jednej z poufnych rozmów z udziałem Rakowskiego - że działania Kościoła są ograniczone". Skoncentrował się on, jak można sądzić, na "pilotowaniu" obrad Okrągłego Stołu, w których raz po raz dochodziło do spięć, mogących grozić zerwaniem rozmów.

Okrągły Stół przekształcił się w potężną machinę, w której uczestniczyło kilkaset osób, podzielonych na trzy zespoły (gospodarki i polityki społecznej, pluralizmu związkowego, reform politycznych), 9 podzespołów

(m.in. reformy prawa, środków masowego przekazu, górnictwa, rolnictwa) i 3 grupy robocze (m.in. do spraw indeksacji płac). W obradach plenarnych, które jako gospodarz otworzył gen. Kiszczak, brało udział 57 osób. Po jednej stronie Wałęsy zasiadł jego główny doradca Mazowiecki, po drugiej "legenda podziemia" Zbigniew Bujak. O ile strona opozycyjno-solidarnościowa była jednolita, o tyle druga - rządowo-koalicyjna - kłopotała się z

wewnętrznymi sprzecznościami, których głównym motorem była reprezentacja OPZZ.

Obrady przeciągały się, budząc zniecierpliwienie opinii, a dla uratowania ich od klęski musiano odbyć - poza rozmowami całkowicie nieformalnymi, a nawet prywatnymi - serię "spotkań roboczych", które niemal wszystkie odbywały się w cieszącej się coraz większym rozgłosem Magdalence. Ośmiotygodniowy maraton, będący sam w sobie wielkim spektaklem, objął setki różnego kalibru problemów. Najważniejszym jego owocem było obszerne porozumienie polityczne, nazwane - na poły ironicznie, na poły krytycznie - "kontraktem stulecia". Obejmowało ono pakiet ustaleń dotyczących zarówno zasadniczej reorganizacji najwyższych organów państwowych - wprowadzenie drugiej izby parlamentu (Senat) i urzędu Prezydenta PRL - jak i kształtu ordynacji wyborczej. Strona koalicyjno-rządowa ustąpiła ze swego najistotniejszego żądania odbycia wyborów z jednej listy i na podstawie wspólnej deklaracji. Po długich targach ustalono, iż wszystkie miejsca w Senacie oraz 35% miejsc w Sejmie obsadzonych będzie w wyniku wolnej gry wyborczej, natomiast pozostałe 65% posłów zostanie wybranych z list o charakterze "kurialnym" podzielonych między PZPR i jego sojuszników z PRON (w tym 35 z listy krajowej).

W ten sposób komuniści zapewniali sobie, jak sądzono, "kontrolny pakiet" mandatów wystarczający do bieżącego zarządzania państwem, ale praktycznie uniemożliwiali jednostronne zmiany o charakterze konstytucyjnym wymagające 2/3 głosów. Dzięki ograniczonemu do 100 miejsc składowi Senatu stwarzali też ogromną szansę wyboru na prezydenta popieranego przez siebie kandydata, ponieważ elekcji tej miały dokonywać obie izby połączone w Zgromadzenie Narodowe. W ten sposób, wedle litery zapisu, wybory stawały się w istocie "niekonfrontacyjne", przy czym PZPR uważała, iż formuła ta oznacza także łagodną kampanię przedwyborczą.

Istotnym elementem "kontraktu" były prerogatywy prezydenta, gdyż oczywiste - a nawet ustalone - było iż najpoważniejszym kandydatem będzie gen. Jaruzelski. Wprawdzie nie posunięto się do wprowadzenia rządów prezydenckich, ale urzędowi temu przydano niemało uprawnień - przede wszystkim zwierzchność nad siłami zbrojnymi i odpowiedzialność za wewnętrzne i zewnętrzne bezpieczeństwo kraju. Prezydent (czytaj: Jaruzelski) miał być gwarantem ewolucyjnego kontynuowania prawdopodobnych dalszych zmian ustrojowych. W zamian za zgodę na to opozycja uzyskała wzmocnienie pozycji Senatu, którego weto wobec ustaw musiało być odrzucone przez większość 2/3 posłów.

5 kwietnia nastąpiło uroczyste zakończenie obrad i podpisanie głównych dokumentów: "Stanowiska w sprawie reform politycznych", "Stanowiska w sprawie polityki społecznej i gospodarczej oraz reform systemowych" i "Stanowiska w sprawie pluralizmu związkowego". Gen. Kiszczak solennie obiecał respektowanie zasady pacta sunt servanda, Wałęsa przypomniał dawne

zawołanie manifestantów "Nie ma wolności bez "Solidarności"". Reguły zostały ustalone, sformalizowane odpowiednimi decyzjami Sejmu, ale wynik gry wyborczej był niemożliwy do precyzyjnego przewidzenia. Odpowiedź miał przynieść dzień 4 czerwca. Obszernie relacjonowany w telewizji i radiu, opisywany w prasie Okrągły Stół stał się wydarzeniem daleko wykraczającym poza granice Polski. Śledzony był uważnie zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie. Gorbaczow nie zabierał głosu, zajęty zresztą coraz bardziej wewnętrznymi sprawami (wybory "deputatów", nieustające niepokoje etniczne). Stolice zachodnich demokracji wysyłały liczne sygnały wspierające Wałęsę i jego otoczenie, ale nie angażowały się, a nawet chętnie podtrzymywały oficjalne - także gospodarcze - kontakty z rządem Rakowskiego. Najpilniej przyglądali się biegowi wydarzeń przywódcy komunistyczni z Europy Środkowo-Wschodniej. Jedni jak Honecker czy Żiwkow z rosnącym niepokojem, inni jak węgierscy z pewną nadzieją, ponieważ sami już zaangażowali się w proces reform ogłaszając w styczniu m.in. swobodę zgromadzeń i stowarzyszeń. W końcu marca rozpoczął prace budapeszteński Okrągły Stół, tyle że na razie konstytuowali go sami opozycjoniści szykujący się do własnej batalii z partią komunistyczną.

Kolejny raz, w ciągu niespełna 10 lat, Polska stanęła w centrum zainteresowania światowej opinii publicznej, choć - ze zrozumiałych względów - obserwatorzy zwracali szczególną uwagę na Moskwę. Pokojowy i racjonalny sposób rozwiązywania polskiego kryzysu postrzegany był jako wspólna zasługa Wałęsy, Jaruzelskiego i pana na Kremlu. "Gorbimania" znalazła na Zachodzie nowy impuls. Istotniejsze było wszakże wystąpienie niedawno zaprzysiężonego prezydenta Busha, który w przemówieniu wygłoszonym 17 kwietnia podnosił wagę "eksperymentu Polski" i wyrażał nadzieję, że "inne kraje pójdą jego śladem". Dodawał też zachęcająco, iż "pomoc Zachodu przyjdzie wraz z liberalizacją".

W Polsce tymczasem obie strony szykowały się do kampanii wyborczej, o której zresztą myślano już w trakcie obrad toczących się w Pałacu Namiestnikowskim. 7 kwietnia KKW "Solidarności" podjęła uchwałę uznającą "za sprawę pierwszorzędnej wagi, aby [...] maksymalnie wykorzystać powstałe możliwości, mimo że nie będą to jeszcze wybory w pełni demokratyczne". Następnego dnia, na wniosek Wałęsy i KKW, Komitet Obywatelski podjął się roli promotora wyborczej walki strony "opozycyjno-solidarnościowej", a 23 kwietnia odbyło się pierwsze posiedzenie Komitetu z udziałem przedstawicieli regionalnych komitetów obywatelskich, podczas którego zatwierdzono listę kandydatów i program wyborczy.

Wszystko to odbywało się w iście ekspresowym tempie, powodowanym m.in. przez obawy, że będąca w stałej gotowości partyjna machina zagłuszy kiepsko zorganizowaną opozycję. Doszło przy tej okazji do konfliktów, gdyż niektórzy działacze Komitetu (m.in. Mazowiecki) protestowali przeciwko niedemokratycznemu doborowi kandydatów i narzucaniu "terenowi" osób z "centrali". Wzmagała się też kampania prowadzona przez ośrodki przeciwne "kapitulacji przy Okrągłym Stole", do której przyłączali się - niekoniecznie z powodów ambicjonalnych - działacze skłóceni z Wałęsą (a bardziej jeszcze z jego doradcami). Niektórzy z nich, jak Władysław Siła-Nowicki, zdecydowali się na wysunięcie własnych kandydatur poza listami Komitetu Obywatelskiego. Na start w wyborach zdecydowała się też KPN.

Nie odbierało to impetu kampanii prowadzonej przez zdecydowaną większość opozycji pod egidą Komitetu Obywatelskiego. 1 maja odbyła się cała seria pochodów "solidarnościowych" - największy w Warszawie liczył blisko 100 tys. osób - i choć nie brakło "zadym" (najpoważniejsze miały miejsce we Wrocławiu), wykazały one sprawność organizacyjną i szybko rosnące możliwości mobilizacyjne związku. 8 maja ukazał się pierwszy numer

codziennej "Gazety Wyborczej", której istnienie zostało uzgodnione przy Okrągłym Stole. Pismo powstało na kadrowej podstawie zawieszonego z tej okazji "Tygodnika Mazowsze", którego szefowa Helena Łuczywo została faktycznym redaktorem naczelnym nowej gazety, przy Adamie Michniku wyznaczonym osobiście przez Wałęsę. 9 maja telewizja emitowała pierwszy program Studia "Solidarność", którego sygnałem dźwiękowym była znana z konspiracyjnego Radia "Solidarność" wojenna melodyjka.

W kampanię spontanicznie angażowały się dziesiątki tysięcy osób: od licealistów roznoszących ulotki i rozlepiających plakaty, przez starsze panie wytrwale dyżurujące w - przypadkowych i źle wyposażonych - lokalach komitetów, po gwiazdy sceny i ekranu oraz sportowe sławy (jak himalaistka Wanda Rutkiewicz czy żeglarka Krystyna Chojnowska-Listkiewicz). Furorę robił - wydrukowany przez włoskich sympatyków - plakat przedstawiający Gary Coopera w scenie ze słynnego westernu "W samo południe". Samotny szeryf miał wpięty znaczek "Solidarności".

Ostrości kampanii nadawali radykałowie, a najgłośniejsze i najbardziej "widowiskowe" były trwające przez parę dni (17-18 maja) zamieszki w Krakowie inicjowane przez anarchizującą Akcję Studencką WiP. Wbrew oczywistym zamiarom organizatorów były one na rękę PZPR, która wytrwale prezentowała się jako siła stabilizująca sytuację i odpowiedzialna. Groźniejszy dla komunistów był ton kampanii "solidarnościowej", w której mniej miejsca poświęcono sprawom gospodarczym i hasłom rewindykacyjnym, a koncentrowano się na opisie i demaskacji despotycznego charakteru rządów i podkreślano zależność PRL od Wielkiego Brata.

Bitwa o świadomość społeczną, a w szczególności świadomość historyczną, była już zresztą przegrana przez PZPR, która notorycznie nie nadążała ze swoimi inicjatywami. Uzyskana od Gorbaczowa zgoda na powołanie komisji partyjnych historyków, którzy wyświetlić mieli "białe plamy" w stosunkach polsko-radzieckich, przyszła wówczas, gdy poza zasięgiem cenzury ukazywały się już setki książek, broszur i artykułów, a w dodatku wciąż nie udawało się wydobyć z Moskwy oficjalnego potwierdzenia prawdy o zbrodni katyńskiej. Świadectwem tej daremnej pogoni może być fakt, iż jeszcze w kwietniu Biuro Polityczne debatowało nad dokumentem pt. "Propozycje w sprawie likwidacji pozostałości stalinizmu w Polsce" i zastanawiano się, jak przeprowadzić ten zabieg nie narażając na szwank dobrego imienia dziesiątków tysięcy "budowniczych i obrońców Polski Ludowej". Aktywności propagandowej opozycji sprzyjały nieomal wszystkie kościoły, aczkolwiek większość księży nie angażowała się w nią osobiście.

Kierownictwo PZPR, choć jako pierwsze przewidywało odbycie wyborów, a nawet to z jego inicjatywy ustalono ten a nie inny termin, było najwyraźniej zaskoczone tempem organizowania się przeciwników. Jeszcze 18 kwietnia Biuro Polityczne rozpatrywało dokument, zgodnie z którym "strategicznym zadaniem partii jest włączenie [...] konstruktywnej opozycji

do wspólnego prowadzenia kampanii wyborczej". Nie powiodło się ze wspólną listą, to niechże będzie chociaż wspólna kampania. Brakowało jednak partnera do tak pomyślanej akcji, a coraz częściej ataki na komunizm pojawiały się - zwłaszcza w terenie - także w wystąpieniach koalicjantów. Wieloosobowy sztab wyborczy KC działał gorączkowo, korzystając z intelektualnego wsparcia ANS. Wyszukiwano coraz to nowe chwyty propagandowe. 9 maja Biuro Polityczne zaakceptowało wytyczne zalecające m.in. "pokazywać dwulicowość i hipokryzję przypominając ewentualną partyjną przeszłość kandydatów opozycji, ich laickość, antyklerykalne zaangażowanie, udział w praktykach stalinowskich", sugerowano także zadawanie - podczas spotkań wyborczych - kandydatom KO pytania o "stosunek do projektu ustawy o ochronie prawnej dziecka poczętego". Niektórzy kandydaci z listy PZPR prowadzili kampanię z rozmachem i z wielkimi kosztami, prawdziwie "po amerykańsku". Dla wzmocnienia kampanii - i utrzymania pełnej kontroli nad "medium nr 1" - przewodniczącym Komitetu ds. Radia i Telewizji został mianowany Jerzy Urban, na którego zdolności (i cynizm) bardzo liczono. W sumie kampania propagandowa daleka była od "niekonfrontacyjnego" charakteru.

PZPR oczywiście swobodnie korzystała z posiadanego monopolu władzy. Odkładano na później niepopularne decyzje gospodarcze, troszczono się o zwiększenie dostaw do sklepów, w kampanię włączała się administracja państwowa - zwłaszcza terenowa - i kontrolowany samorząd lokalny. Starano

się, aby na rzecz list "koalicyjnych" grały też oficjalne kontakty międzypaństwowe (m.in. wizyta w Polsce prezydenta Włoch Francesco Cossigi). Pospiesznie sfinalizowano porozumienie z NRD w sporze o granice wód terytorialnych w Zatoce Pomorskiej.

Wprawdzie ostatnie sondaże opinii - utajniane i dostępne tylko wąskiemu kręgowi ludzi władzy - wskazywały na rosnącą przewagę opozycji (40% preferowało kandydatów KO, 15% listy "koalicyjne"), ale pocieszano się znacznymi rozmiarami niezdecydowanego "środka", który zazwyczaj oddaje swoje głosy na partię gwarantującą stabilność. Ale nawet wśród członków PZPR wielu było zdecydowanych głosować za "Solidarnością". Jeszcze więcej podobnych deklaracji składali członkowie ZSL i SD. "Mimo że czarno zaczynałem widzieć przyszłość - wspominał Rakowski - nie upadałem na duchu". Podobnie nieomal wszyscy jego towarzysze, a najbardziej optymistycznie nastawieni byli, jak się wydaje, członkowie sztabu wyborczego.

Dobre nastroje panowały w obozie przeciwnym, choć nie dysponowano tu poufnymi sondażami, które zapewne wzmocniłyby optymizm. Atmosfera nieustannego chaosu przypominająca swawolny piknik powstawała głównie dzięki temu, że w komitetach i sztabach wyborczych "Solidarności" właściwie nie było zawodowców, a tym bardziej politycznych urzędników. Wielkim atutem, z którego zdawano sobie sprawę i który eksploatowano bez wytchnienia, było poczucie jedności. Nie zdołały go zakłócić lokalne incydenty, jak w Radomiu, gdzie z poparciem biskupa zgłoszono kandydaturę konkurencyjną wobec założyciela KOR Jana J. Lipskiego. Wszyscy kandydaci Komitetu Obywatelskiego reklamowali się afiszami, na których występowali w towarzystwie Wałęsy, także ci, którzy go po raz pierwszy widzieli z bliska podczas robienia zdjęcia. "Drużyna Wałęsy" - było wspólnym sloganem. Choć

panowała pewność co do uzyskania co najmniej dobrego wyniku, ostrożniejsi mówili o zdobyciu 50-60% miejsc pozostawionych do wolnych wyborów do Sejmu i tyluż w Senacie. Troszczono się też - co zrozumiałe - o obsadę miejsc w komisjach wyborczych. Wszędzie, nawet w obwodach zagranicznych, zapewniano obecność "mężów zaufania".

Akt głosowania przebiegał bez zakłóceń, jeżeli nie liczyć raczej izolowanych przypadków kolportowania ulotek wzywających do bojkotu. Większe wrażenie wywarły wiadomości napływające z Pekinu o masakrze pokojowej manifestacji studenckiej, ale nie miały one oczywiście wpływu na polskie wybory. Późnym wieczorem sztab wyborczy PZPR, na podstawie napływających informacji, zorientował się, że "zarysowały się wyraźne kontury porażki". Po południu 5 czerwca wiadomo już było wszystkim, że "strona koalicyjna" poniosła sromotną klęskę. Przegrana okazała się większa niż kalkulowali najwięksi optymiści w obozie "solidarnościowym": na 161 miejsc w Sejmie poddanych wolnym wyborom "drużyna Wałęsy" obsadziła 160, a na 100 krzeseł senatorskich zdobyła 92. Na 35 kandydatów z listy krajowej, skupiającej znaczną część czołówki politycznej PZPR i jej sojuszników, mandaty zdobyli tylko dwaj, a zgodnie z ordynacją pozostali zostali wyeliminowani, gdyż dla tej listy nie przewidywano w ogóle drugiej tury. Wieczorem rzecznik prasowy KC PZPR uznał porażkę, co można było traktować jako rezygnację z prób podważenia decyzji społeczeństwa.

Po ostrych rozmowach powołana jeszcze przez Okrągły Stół grupa robocza uzgodniła przeniesienie wakujących 33 miejsc z listy krajowej na lokalne listy koalicji pezetpeerowskiej. Druga tura (18 czerwca) nie przyniosła - bo i przynieść nie mogła - żadnych zmian. "Solidarność" zdobyła ostatnie z "demokratycznych miejsc" w Sejmie i siedem z ośmiu wakujących miejsc w Senacie. W wyniku tego dysponowała 260 miejscami w 560-osobowym Zgromadzeniu Narodowym i przy wahaniach ze strony posłów ZSL czy SD wybór Jaruzelskiego na prezydenta mógł być poważnie zagrożony. Plebiscyt wyborczy dał wynik jednoznaczny: Polacy odrzucali komunizm. Nie zmieniły tej opinii bardziej szczegółowe analizy, które nakazywały większą ostrożność. Oto do urn stawiło się niespełna 62% uprawnionych, co oznaczało niepokojące - zwłaszcza przy takim właśnie charakterze wyborów - rozmiary społecznej apatii, a także (czego nie można było wykluczyć) wpływy radykałów wzywających do bojkotu. Tak liczna absencja powodowała też, że faktyczne poparcie dla "Solidarności" było mniejsze niż wynikające z decyzji tych, którzy głosować poszli. Ponieważ kandydaci Komitetu Obywatelskiego zdobyli poparcie ok. 72% głosujących, można wnioskować, że opowiedziało się za nimi nie więcej niż 40% uprawnionych. Jak zauważył w swojej analizie Stanisław Gebethner, ok. 25% głosujących optowało zarówno za kandydatami KO, jak i PZPR (występowali na osobnych listach), czyli trudno ich uważać za zdecydowanych zwolenników skończenia z komuną. W wyborach do Senatu kandydaci KO zdobyli wprawdzie 99% miejsc, ale poparło ich niespełna 68% głosujących.

Wyliczenia te były nieistotne dla ogólnej oceny sytuacji, zwłaszcza wyrażanej przez szeroką opinię publiczną, która nie wnikała w statystyczne niuanse. Klęska PZPR została powszechnie uznana za całkowitą i całkowicie przekreślającą dotychczasowy - dawny wymuszony i nowy "urabiany" za pomocą reformatorskich działań - mandat do sprawowania władzy. Opozycja pierwsza wyciągnęła wnioski z lekcji, którą historia dała komunistom. Parę dni po I

turze Lech Wałęsa przekazał, za pośrednictwem Michnika, sygnał ekipie gen. Jaruzelskiego: brana jest pod uwagę możliwość, iż w przypadku (spodziewanego) wyboru I sekretarza na prezydenta, "Solidarność" byłaby zainteresowana objęciem stanowiska premiera. W kierownictwie partii zostało to uznane za pogwałcenie porozumień, ale potwierdzenie, że taki obrót wydarzeń jest całkiem realny, przyszło z najbardziej autorytatywnej strony. Gdy zapytano doradcę Gorbaczowa Władimira Zagładina, co sądzi o ogłoszonym 3 lipca w "Gazecie Wyborczej" artykule Michnika pod prowokującym tytułem: Wasz prezydent, nasz premier, radziecki dygnitarz spokojnie oświadczył: "Decyzja w tej sprawie jest wewnętrzną sprawą naszych polskich przyjaciół". Z wielkim trudem można by się w tej opinii dopatrzyć zachęty do przekreślenia wyników wyborów gąsienicami czołgów. A jeśli już - to tylko polskich.

Wymowa faktów była nieubłagana: wybory nie stały się punktem szczytowym procesu reform ustrojowych PRL, ale oznaczały wejście w okres transformacji systemu. Nie tylko w Polsce. 13 czerwca rozpoczęły się obrady węgierskiego Trójkątnego Stołu, zmierzające w tym samym kierunku, co ich polski odpowiednik. 26 czerwca o podjęcie rozmów upomniała się - w petycji zatytułowanej "Kilka zdań" - opozycja czechosłowacka.

Nieomal dokładnie pół wieku po tym, jak dwa drapieżne totalitaryzmy ruszyły na podbój świata, komunizm - ten, który wyszedł jako największy zwycięzca z odmętów wojny światowej - dożywał swoich dni. Przynajmniej w europejskiej części swego "zewnętrznego imperium".

Wykaz skrótów

AB - Ausserordentliche Befriendungsaktion
ACEN - Assembly of Captive European Nations (Zgromadzenie Europejskich Narodów Ujarzmionych)
AK - Armia Krajowa
AL - Armia Ludowa
ANS - Akademia Nauk Społecznych
"AS" - Agencja "Solidarność"
BCh - Bataliony Chłopskie
BIP - Biuro Informacji i Propagandy (ZWZ, AK)
BP - Biuro Polityczne
BSSR - Białaruska Socjalistyczna Sowiecka Respublika
ChSS - Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne
CIA - Central Intelligence Agency (Centralna Agencja Wywiadowcza)
CKON - Centralny Komitet Organizacji Niepodległościowych
CRZZ - Centralna Rada Związków Zawodowych
CUP - Centralny Urząd Planowania
DiP - Doświadczenie i Przyszłość
DP - displaced persons (wysiedleńcy)
DSZ - Delegatura Sił Zbrojnych
DVL - Deutsche Volksliste (Niemiecka Lista Narodowościowa)
EWG - Europejska Wspólnota Gospodarcza
FJN - Front Jedności Narodu

FMW - Federacja Młodzieży Walczącej
FSC - Fabryka Samochodów Ciężarowych
FSO - Fabryka Samochodów Osobowych
GG - Generalne Gubernatorstwo (Generalgouvernement)
GL - Gwardia Ludowa
GRU - Gławnoje Razwieditielnoje Uprawlenije (Główny Zarząd Wywiadu)
GUS - Główny Urząd Statystyczny
IKKN - Instytut Kształcenia Kadr Naukowych
IRA - Irish Republican Army (Irlandzka Armia Republikańska)
KBW - Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego
KC - Komitet Centralny
Kedyw - Komenda Dywersji
KG - Komenda Główna
KIK - Klub Inteligencji Katolickiej
KK - Komisja Krajowa
KKP - Krajowa Komisja Porozumiewawcza
KKW - Krajowa Komisja Wykonawcza
KOP - Korpus Ochrony Pogranicza
KOR - Komitet Obrony Robotników
KP - Komitet Powiatowy
KPCz - Komunistyczna Partia Czechosłowacji
KPD - Komunistiche Partei Deutschland (Komunistyczna Partia Niemiec)
KPJ - Komunistyczna Partia Jugosławii
KPN - Konfederacja Polski Niepodległej
KPZR - Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego
KRM - Krajowa Rada Ministrów
KRN - Krajowa Rada Narodowa
KRP - Krajowa Reprezentacja Polityczna
KSS "KOR" - Komitet Samoobrony Społecznej "KOR"
KW - Komitet Wojewódzki
KWK - Kierownictwo Walki Konspiracyjnej
KWP - Kierownictwo Walki Podziemnej
KZMP - Komunistyczny Związek Młodzieży Polski
LWP - Ludowe Wojsko Polskie
MBP - Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego
MCK - Międzynarodowy Czerwony Krzyż
MKS - Międzyzakładowy Komitet Strajkowy
MKZ - Międzyzakładowy Komitet Założycielski
MO - Milicja Obywatelska
MON - Ministerstwo Obrony Narodowej
MRK "S" - Międzyzakładowy Robotniczy Komitet "Solidarność"
MSW - Ministerstwo Spraw Wewnętrznych
MSZ - Ministerstwo Spraw Zagranicznych
NATO - North Atlantic Treaty Organisation (Organizacja Paktu Północnego Atlantyku)
NiD - Niepodległość i Demokracja
NLOW - Narodowo-Ludowa Organizacja Walki NK - Naczelny Komitet
NKGB - Narodnyj Komisariat Gosudarstwiennoj Biezopastnosti (Ludowy Komisariat Bezpieczeństwa Państwowego)
NKW - Naczelny Komitet Wykonawczy

NKWD - Narodnyj Komisariat Wnutriennych Dieł (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych)
NOW - Narodowa Organizacja Wojskowa
NOWa - Niezależna Oficyna Wydawnicza
NPR - Narodowa Partia Robotnicza
NRD - Niemiecka Republika Demokratyczna
NSZ - Narodowe Siły Zbrojne
NSZZ - Niezależny Samorządny Związek Zawodowy
NSZZ RI - Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Rolników Indywidualnych
NZS - Niezależny Związek Studentów
NZW - Narodowe Zjednoczenie Wojskowe
OBOP - Ośrodek Badania Opinii Publicznej
OKO - Ogólnopolski Komitet Oporu
OKON - Obywatelski Komitet Ocalenia Narodowego
OKOR - Ogólnopolski Komitet Oporu Rolników
OMTUR - Organizacja Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych
ONR - Obóz Narodowo-Radykalny
ONZ - Organizacja Narodów Zjednoczonych
OP - Organizacja Polska
OPZZ - Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych
ORMO - Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej
OUN - Orhanizacija Ukrajin□kych Nacionalistiw (Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów)
PAP - Polska Agencja Prasowa
PAU - Polska Akademia Umiejętności
PCK - Polski Czerwony Krzyż
PGR - Państwowe Gospodarstwo Rolne
PKB - Państwowy Korpus Bezpieczeństwa
PKP - Polityczny Komitet Porozumiewawczy
PKPG - Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego
PKRP - Polski Korpus Rozmieszczenia i Przysposobienia PKWN - Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego
PLAN - Polska Ludowa Akcja Niepodległościowa
POP - Podstawowa Organizacja Partyjna
POSK - Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny
POW - Polska Organizacja Wojskowa
PPN - Polskie Porozumienie Niepodległościowe
PPP - Polska Partia Pracy
PPR - Polska Partia Robotnicza
PPS - Polska Partia Socjalistyczna
PPS-D - Polska Partia Socjalno-Demokratyczna
PRON - Patriotyczny Ruch Ocalenia Narodowego PS - Polscy Socjaliści
PSL - Polskie Stronnictwo Ludowe
PSZ - Polskie Siły Zbrojne
PZPR - Polska Zjednoczona Partia Robotnicza
RAF - Royal Air Force (Królewskie Siły Powietrzne)
RFN - Republika Federalna Niemiec
RJN - Rada Jedności Narodowej
RMP - Ruch Młodej Polski
ROAK - Ruch Oporu Armii Krajowej

ROCH - Ruch Oporu Chłopów

ROMO - Ruchome Odwody Milicji Obywatelskiej
ROPCiO - Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela
RPPS - Robotnicza Partia Polskich Socjalistów
RSA - Ruch Społeczeństwa Alternatywnego
RSW - Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza
RWE - Radio Wolna Europa
RWPG - Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej
SB - Służba Bezpieczeństwa
SD - Stronnictwo Demokratyczne
SDP - Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich
SEATO - South East Asia Treaty Organisation (Organizacja Paktu Południowo-Wschodniej Azji)
SED - Sozialistiche Einheitspartei Deutschlands (Niemiecka Socjalistyczna Partia Jedności)
SG - Sztab Generalny
SKS - Studencki Komitet Solidarności
SL - Stronnictwo Ludowe
SL - "Roch" - Stronnictwo Ludowe - "Roch"
SN - Stronnictwo Narodowe
SOE - Special Operation Executive (Kierownictwo Operacji Specjalnych)
SOS - Społeczna Organizacja Samoobrony
SP - Stronnictwo Pracy
SZP - Służba Zwycięstwu Polski
TAP - Tajna Armia Polska
TASS - Tielegraficzeskoje Agientstwo Sowieckogo Sojuza
TKK - Tymczasowa Komisja Koordynacyjna
TKN - Towarzystwo Kursów Naukowych
TKR SN - Tymczasowa Komisja Rządząca
SN TNRP - Tymczasowa Narodowa Rada Polityczna
TPD - Towarzystwo Przyjaciół Dzieci
TRJN - Tymczasowa Rada Jedności Narodowej
TUR - Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych
UB - Urząd Bezpieczeństwa
UNRRA - United Nation Relief and Rehabilitation Administration (Administracja Pomocy i Odbudowy Naroddw Zjednoczonych)
UPA - Ukrajinśka Powstanśka Armia (Ukraińska Postańcza Armia)
WiN - Wolność i Niezawisłość
WiP - Wolność i Pokój
WKP(b) - Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia (bolszewików)
WOG - Wielkie Organizacje Gospodarcze
WOP - Wojska Ochrony Pogranicza
WOSP - Wyższa Oficerska Szkoła Pożarnictwa
WP - Wojsko Polskie
WRN - Wojewódzka Rada Narodowa
WRN - Wolność - Równość - Niepodległość
WRON - Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego
WZZ - Wolne Związki Zawodowe
ZBoWiD - Związek Bojowników o Wolność i Demokrację

ZISPO - Zakłady im. Stalina Poznań
ZLP - Związek Literatów Polskich
ZMP - Związek Młodzieży Polskiej
ZMS - Związek Młodzieży Socjalistycznej
ZMW - Związek Młodzieży Wiejskiej
ZNTK - Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego
ZOMO - Zmechanizowane Odwody Milicji Obywatelskiej
ZPAP - Związek Polskich Artystów Plastyków
ZPP - Związek Patriotów Polskich
ZSL - Zjednoczone Stronnictwo Ludowe
ZSRR - Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich
ZWZ - Związek Walki Zbrojnej
ŻOB - Żydowska Organizacja Bojowa
ŻZW - Żydowski Związek Wojskowy

Nota o literaturze przedmiotu

Jak już wspomniałem we Wstępie, literatura - monografie, artykuły, wspomnienia, wydawnictwa źródłowe - dotycząca lat 1939-1989 jest przeogromna, nawet jeżeli ograniczyć się do historii Polski sensu stricto, tzn. bez międzynarodowego kontekstu. Niniejsza nota ma więc na celu tylko wskazanie opracowań i zbiorów dokumentów, które obejmują całość problematyki poszczególnych okresów składających się na omawiane tu półwiecze, oraz tych publikacji, które - wedle mojego przekonania - mają szczególne znaczenie, gdyż poruszają sprawy rzadko podejmowane w książkach o charakterze syntetycznym lub stanowią ich znaczące uzupełnienie. Jako że lata wojny i okres powojenny różnią się między sobą w radykalny sposób, literatura im poświęcona zostanie przedstawiona odrębnie. Ponieważ nota ma służyć przede wszystkim tym, którzy chcą "zasięgnąć rady" autora, jakimi pozycjami warto uzupełnić i poszerzyć wiedzę zawartą w tej książce, wskażę w niej także pozycje opublikowane już po I wydaniu Pół wieku dziejów Polski. Podobnie jak cała książka również i propozycje lektur wynikają z indywidualnych, badawczych preferencji autora. Można więc powiedzieć, że mają charakter subiektywny.

Okres II wojny światowej

Najbardziej wszechstronna i syntetyczna jest praca Czesława Łuczaka Polska i Polacy w drugiej wojnie światowej (Poznań 1993). Autor skoncentrował się jednak na historii społecznej i gospodarczej, a pewnym mankamentem jest dysproporcja między częściami poświęconymi okupacji niemieckiej i radzieckiej. Książka została zaopatrzona w liczącą kilkaset pozycji bibliografię. Wartość informacyjną i interpretacyjną zachowuje t. III (1939-1945) Najnowszej historii politycznej Polski (wyd. III, Londyn 1983) Władysława Pobóg-Malinowskiego. Godna uwagi jest syntetyczna, skoncentrowana na wydarzeniach militarnych (w kraju i na frontach), praca

Józefa Garlińskiego Polska w drugiej wojnie światowej (Londyn 1982). Niesłusznie, jak sądzę, pomija się w literaturze przedmiotu na wpół dziennikarski fresk Jerzego Śląskiego Polska walcząca (t. I-IV, Warszawa 1985-1986). Losy ziem Polski przyłączonych w 1939 r. do ZSRR wciąż nie mają opartej na nowych źródłach całościowej monografii, a najlepsza z poprzednich - Jana T. Grossa Revolution from Abroad (Princeton 1988) - nie doczekała się polskiego tłumaczenia. W tej sytuacji przydatne są m.in. Longina Tomaszewskiego Kronika wileńska 1939-1941 (Warszawa 1989) i Jerzego Węgierskiego Lwów pod okupacją sowiecką 1939-1941 (Warszawa 1991).

Jakkolwiek może się to wydawać dziwne, nie ma do tej pory odpowiednio obszernej syntezy całości wysiłku zbrojnego konspiracji, choć istnieją dziesiątki szczegółowych, opartych - na rzetelnej wiedzy źródłowej - opracowań, opisujących czy to dane formacje, czy regiony. Użyteczna jest więc krótka praca Marka Ney-Krwawicza Armia Krajowa Siła Zbrojna Polskiego Państwa Podziemnego (Warszawa 1993). Podobną rolę odgrywa opracowanie Stanisława Salmonowicza Polskie Państwo Podziemne. Z dziejów walki cywilnej 1939-45 (Warszawa 1994). Jednakże ci, którzy - nawet nie będąc zawodowymi historykami - chcą poszerzyć wiedzę zarówno o walce zbrojnej, jak i "cywilnej" mogą sięgnąć do źródeł, m.in. do sześciu tomów Armii Krajowej w dokumentach (Londyn 1970-1989). Bardzo inspirujący jest esej Tomasza Strzembosza Refleksje o Polsce i podziemiu 1939-1945 (Warszawa 1990). Osobnym przedmiotem zainteresowań historyków jest Powstanie Warszawskie, któremu poświęconych jest wiele wartościowych opracowań. Najpełniejszą panoramę wydarzeń zawiera Rzeczpospolita Walcząca. Powstanie Warszawskie 1944 (Warszawa 1994) Andrzeja K. Kunerta, ale w środek kontrowersji wokół Powstania wprowadzają przede wszystkim prace Jana M. Ciechanowskiego, Stanisława Salmonowicza, Antoniego Przygońskiego, Janusza K. Zawodnego. Niezwykle interesujące źródło stanowi czterotomowa seria Ludność cywilna w powstaniu warszawskim (Warszawa 1974-1994).

Dla poznania opinii elit ważny jest tom dokumentów Wizje Polski. Programy polityczne lat wojny i okupacji 1939-1944 (oprac. K. Przybysz, Warszawa 1992), a najciekawszą propozycję interpretacji owych wizji dał Andrzej Friszke w rozprawie Myśl polityczna Polski Podziemnej ([w:] Polska Podziemna 1939-1945, Warszawa 1991). Ważnymi dla pogłębienia wiedzy o okupowanym kraju są m.in.: Tomasza Szaroty Okupowanej Warszawy dzień powszedni (Warszawa 1988), Włodzimierza Borodzieja Terror i polityka. Policja niemiecka a polski ruch oporu w GG 1939-1944 (Warszawa 1985), esej Kazimierza Wyki Życie na niby (Wrocław 1964) oraz oryginalne, tzn. prowadzone ówcześnie, dzienniki i osobiste zapiski (m.in. K. Wyki, Z. Klukowskiego, Z. Nałkowskiej, L. Landaua, A. Czerniakowa), a także niektóre z ogromnej liczby wspomnień (m.in. J. Czapskiego, Z. Herlinga-Grudzińskiego, Z. Zaremby, K. Pużaka, S. Jankowskiego, K. Leskiego, J. Nowaka, M. Wojewódzkiego, W. Gomułki). Wśród pamiętników i wspomnień "zbiorowych" na szczególną uwagę zasługuje tom W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali... (orac. I. Grudzińska-Gross, J. T. Gross, Londyn 1983). Dobrym przeglądem wspomnień Polaków na Wschodzie jest Polska literatura łagrowa (Warszawa 1992) Eugeniusza Czaplejewicza. Holocaust i los Żydów polskich w najbardziej syntetycznej formie opisała Teresa Prekerowa w rozprawie zamieszczonej w pracy zbiorowej Najnowsze dzieje Żydów w Polsce (red. J. Tomaszewski, Warszawa 1993). Tamże znajduje się

lista ważniejszych publikacji.
Tom Władze RP na obczyźnie podczas II wojny światowej (red. Z. Błażyński, Londyn 1994) stanowi najobszerniejsze kompendium wiedzy o "rządzie emigracyjnym", a także o prowadzonej przezeń polityce. Dobrym jego uzupełnieniem jest monografia Eugeniusza Duraczyńskiego Rząd polski na uchodźstwie 1939-1945. Organizacja. Personalia. Polityka (Warszawa 1993). Dla poznania całości polskiego wysiłku zbrojnego na frontach "zachodnich" trzeba sięgać raczej do dawniejszych opracowań, np. Franciszka Skibińskiego czy zbiorowych Polskich Sił Zbrojnych w II wojnie światowej (t. II: Kampanie na obczyźnie, Londyn 1975), ale poszczególnym formacjom (m.in. Armii Polskiej w ZSRR i II Korpusowi) i rodzajom wojsk oraz bitwom poświęcono już wiele monografii. Ważnym (i interesującym w lekturze) źródłem są wspomnienia m.in. Władysława Andersa, Edwarda Raczyńskiego, Adama Pragiera, Stanisława Kopańskiego. Najnowsza próba przedstawienia polskiego wysiłku zbrojnego pod egidą ZSRR została podjęta w pracy zbiorowej Bez możliwości wyboru. Wojsko Polskie na froncie wschodnim 1943-1945 (Warszawa 1993).
Problemowi, który określany jest często jako "sprawa polska w II wojnie światowej", poświęcono już wiele opracowań. Ogłoszono też niemało źródeł. Najobszerniejszy, choć mocno skażony politycznie, jest wywód Włodzimierza T. Kowalskiego Walka dyplomatyczna o miejsce Polski w Europie (Warszawa 1970). Syntetyczny, rzeczowy wykład przeprowadził Jan Karski, który okresowi wojny poświęcił dwie piąte swojego opus magnum Wielkie mocarstwa wobec Polski 1919-1945 (Warszawa 1985). Podstawowe znaczenie ma wnikliwa rozprawa Krystyny Kersten Jałta w polskiej perspektywie (Londyn-Warszawa 1989).

Okres powojenny

Opracowania poszczególnych okresów

Tylko pierwszy okres dziejów powojennych ma rzetelną i obszerną monografię. Jest nią książka Krystyny Kersten Narodziny systemu władzy. Polska 1943-1948 (wyd. I krajowe Warszawa 1984, następne Paryż 1986, Poznań 1990), zaopatrzona w pokaźną bibliografię. Dla późniejszych odcinków czasowych dysponujemy dotychczas opracowaniami o charakterze popularnonaukowym, ale opartymi na dobrej znajomości literatury i źródeł, choć koncentrują się one na historii politycznej. Ukazały się w serii Dzieje PRL (red. ogólna A. Garlicki, A. Paczkowski) i są to: Andrzeja Garlickiego Stalinizm, Wiesława Władyki Październik '56 (de facto lata 1954-1956), Zbigniewa Landaua Polska Gomułki, Andrzeja Friszke Poiska Gierka, Jerzego Holzera Polska 1980-1981 i Mirosławy Marody Długi finał (lata 1982-1989). Każdy z zeszytów zaopatrzony jest w wykaz podstawowej literatury.

Historia społeczna i gospodarcza

Niezwykle obfita i różnorodna literatura dotycząca zmian społecznych i ekonomicznych jest stosunkowo mało znana szerszej publiczności. Jeżeli chodzi o sprawy gospodarcze, to do podstawowych dzieł należy syntetyczna praca Janusza Kalińskiego Gospodarka Polski w latach 1944-1989. Przemiany strukturalne (Warszawa 1995). Walory informacyjne zachowuje, mająca charakter podręcznikowy, Historia gospodarcza Polski Ludowej 1944-1985 (wyd. ostatnie Warszawa 1988) Andrzeja Jezierskiego i Barbary Petz. Tamże obszerna literatura przedmiotu. Zbigniew Landau i Wojciech Roszkowski konfrontują swoje opinie w syntetycznym, paralelnym tomie Polityka gospodarcza II RP i PRL (Warszawa 1995). Propozycją interesującej interpretacji jest rozprawa Krystyny Bolesny-Kukułka Gra o władzę a gospodarka. Polska 1944-1991 (Warszawa 1992), w której główny nacisk został położony jednak na wchodzenie w okres zmiany ustrojowej po 1989 r. Procesy industrializacyjne pierwszego trzydziestolecia omawia Tadeusz Lijewski w monografii Uprzemysłowienie Polski 1945-1975 (Warszawa 1978). Problemy zapoczątkowania zmian na wsi opisuje Henryk Słabek w Dziejach polskiej reformy rolnej 1944-1948 (Warszawa 1972), syntetyczne zaś ujęcie jednego z ważniejszych problemów "pierwszej dekady" daje Adolf Dobieszewski w rozprawie Kolektywizacja wsi polskiej 1948-1956 (Warszawa 1993).

Historycy podejmowali liczne badania nad dziejami społecznymi - m.in. Polska Ludowa 1945-1950. Przemiany społeczne (red. F. Ryszka, Wrocław 1974), a zwłaszcza H. Słabek w pracy Historia społeczna Polski Ludowej 1944-1970 (Warszawa 1988) - ale palma pierwszeństwa należy, co zresztą zupełnie naturalne, do socjologów. Pierwszy etap tych poszukiwań może najlepiej podsumowuje zbiór Jana Szczepańskiego Odmiany czasu teraźniejszego (Warszawa 1973), ale należałoby właściwie odesłać czytelnika do wielu prac bardziej szczegółowych, takich jak tegoż autora Zmiany społeczne w Polsce w procesie uprzemysłowienia (Warszawa 1973), czy książek, które ukazały się w ramach dwóch serii wydawniczych - Z badań klasy robotniczej inteligencji (red. J. Szczepański) i Mode pokolenie wsi Polski Ludowej (inicjator i red. J. Chałasiński). Specyficznym, ale zarazem ważnym i interesującym problemem zajęła się Hanna Palska w monografii Nowa inteligencja w Polsce Ludowej. Świat przedstawień i elementy rzeczywistości (Warszawa 1994). Nader ciekawą propozycję z pogranicza socjologii i psychologii społecznej dała w kilku tekstach (m.in. Stalinizm i społeczeństwo polskie) zebranych w tomie Mechanizmy zniewalania społeczeństwa - refleksje u schyłku formacji (Warszawa 1990) Hanna Świda-Ziemba.

Od końca lat siedemdziesiątych socjologowie, m.in. dzięki zdobyciu znacznej autonomii od centrum władzy politycznej, coraz częściej zaczęli badać postawy polityczne w skali masowej. Opisy struktur społeczno-zawodowych zostały zastąpione badaniami nad tym, co ludzie mylą i jak postrzegają siebie i kraj. Ukazało się już wiele prac, spośród których warte wskazania są m.in. Jadwigi Koralewicz Autoryfaryzm, lęk, konformizm. Analiza społeczeństwa polskiego końca lat 70. (Wrocław 1987), Andrzeja Rycharda Władza i interesy w gospodarce polskiej u progu lat 80. (Warszawa 1995), Co nam zostało z tych lat... Społeczeństwo polskie u progu zmian

systemowych (red. M. Marody, Londyn 1991), Społeczeństwo polskie czasu kryzysu (red. S. Nowak, Warszawa 1984) czy Zmierzch socjalizmu państwowego. Szkice z socjologii ekonomicznej (red. W. Morawski, Warszawa 1994). Unikalne źródło stanowi obszerny wybór wyników sondaży opinii publicznej Społeczeństwo i władza lat 80. w badaniach CBOS (Warszawa 1994).

Historia kultury

Podstawowy przegląd wydarzeń daje wciąż dwutomowa Kultura polska po Jałcie. Kronika lat 1944-1981 (Warszawa 1991) Marty Fik. Ważnym informatorem dotyczącym literatury - ale bez analizy utworów czy prądów pisarskich - jest dokumentacyjna praca Oskara S. Czarnika Między dwoma Sierpniami. Polska kultura literacka w latach 1944-1980 (Warszawa 1993). Wśród licznych ujęć syntetycznych, przedstawiających różne dziedziny sztuki w dłuższym odcinku czasowym, można wspomnieć m.in. t. III-VI Historii filmu polskiego (red. J. Toeplitz), Alicji Kępińskiej Nowa sztuka. Sztuka polska w latach 1945-1978 (Warszawa 1981), Marty Fik Trzydzieści pięć sezonów. Teatry dramatyczne w Polsce w latach 1944-1975 (Warszawa 1981). Warto zwrócić uwagę na publikacje dotyczące okresu przed 1956 r., jako badanego także z uwzględnieniem źródeł archiwalnych. Myślę o takich książkach jak Stanisława A. Kondka Władza i wydawcy. Polityczne uwarunkowania produkcji książek w Polsce w latach 1944-1949 (Warszawa 1993), Barbary Fijałkowskiej Polityka i twórcy 1948-1959 (Warszawa 1985) czy Krzysztofa Woźniakowskiego Między ubezwłasnowolnieniem a opozycja. Związek Literatów Polskich w latach 1949-1959 (Kraków 1990). Ukazało się kilka analiz literatury okresu stalinowskiego, m.in. Teresy Wilkoń Polska poezja socrealistyczna w latach 1949-1955 (Gliwice 1992) i Wojciecha Tomasika Polska powieść tendencyjna 1949-1955 (Warszawa 1988). Dylematy twórców z tych lat przedstawił przez serię rozmów Jacek Trznadel w głośnej Hańbie domowej (Paryż 1986). Ciekawy opis propagandy dał Robert Kupiecki w monografii Natchnienie milionów. Kult Józefa Stalina w Polsce 1944-1956 (Warszawa 1993), ale jeśli chodzi o analizy języka propagandy najlepiej się czyta eseje (Rytuał i demagogia, Warszawa 1992) oraz zapiski (Marcowe gadanie, Warszawa 1991, Peereliada, Warszawa 1993) Michała Głowińskiego. Podstawową monografią opisującą tworzenie nowych struktur nauki jest dwutomowa praca Piotra Hubnera Polityka naukowa w Polsce w latach 1944-1953. Geneza systemu (Wrocław 1992).

Emigracja

We wspomnianej już serii Dzieje PRL ukazała się rozprawa Rafała Habielskiego Emigracja (Warszawa 1995) i jest to właściwie pierwsza próba przedstawienia problemu dla całego okresu powojennego (jeśli chodzi o emigrację polityczną, bo emigracja ekonomiczna, tzw. Polonia, to odrębna sprawa, którą się w tej książce właściwie w ogóle nie zajmowałem). Nie jest

to oczywiście jedyna książka, do której warto zajrzeć, aby uzupełnić wiedzę. Sygnalizowałem już publikację wspomnień kilku czołowych przedstawicieli emigracji, ale ukazało się też sporo pozycji dotyczących literatury polskiej na emigracji, w tym Marii Danilewicz-Zielińskiej Szkice o literaturze emigracyjnej (Paryż 1978). O społecznościach emigracji wojennej (lub "kombatanckiej") pisali m.in. Bohdan Czaykowski i Bolesław Sulik w książce Polacy w Wielkiej Brytanii (Paryż 1961). Pod redakcją A. Friszke ukazały się dwie wartościowe prace zbiorowe Warszawa nad Tamizą. Z dziejów polskiej emigracji politycznej po drugiej wojnie światowej (Warszawa 1994) i Myśl polityczna na wygnaniu. Publicyści i politycy polskiej emigracji powojennej (Warszawa 1995). R. Habielski ogłosił interesującą monografię z pogranicza historii politycznej i historii literatury Niezłomni, nieprzejednani. Emigracyjne "Wiadomości" i ich krąg 1940-1980 (Warszawa 1991).

Historia polityczna

Dla zawartości mojej książki jest to obszar, jak łatwo się domyśleć, najważniejszy, gdyż zajmuję się w niej szczególnie dziejami politycznymi, społeczeństwo, gospodarkę czy kulturę traktując w zasadzie w odniesieniu do spraw politycznych. Toteż przedstawię tu tylko publikacje rzeczywiście najważniejsze lub najciekawsze.

Najpierw trzeba wspomnieć, iż ukazało się drukiem wiele dokumentów archiwalnych istotnych zarówno dla pierwszych lat Polski Ludowej, jak i dla lat 1980-1989. Myślę głównie o protokołach posiedzeń centralnych instancji PPR, PPS i PZPR, rozmów PPR-PPS-PSL z lutego 1946 r., rozmów moskiewskich z czerwca 1945 r., o materiałach NKWD dotyczących procesu "szesnastu" i walki z konspiracją, wynikach referendum z czerwca 1946 r., dokumentach różnych instytucji terroru, aktach procesów politycznych, rozmowach przedstawicieli Kościoła katolickiego z reprezentantami władz partyjno-państwowych, protokołach posiedzeń władz NSZZ "Solidarność" itd. Większość z nich jest rozproszona w różnych publikacjach, ale można wskazać na większe zbiory. Znajdują się one m.in. w kilku tomach Archiwum Ruchu Robotniczego, niektórych zeszytach z lat osiemdziesiątych kwartalnika "Z pola walki", w seriach Tajne dokumenty londyńskiego wydawnictwa "Aneks", Dokumenty do dziejów PRL, Archiwum "Solidarności", w wielu numerach paryskich "Zeszytów Historycznych", w dwóch tomach przygotowanych przez Petera Rainę Kościół w PRL oraz (osobno) Arcybiskup Dąbrowski. Rozmowy z władzami PRL, w "Zeszytach Historycznych WiN-u", w tomie Z tajnych archiwów przygotowanym przez A. Garlickiego. Do dyspozycji - raczej profesjonalnych historyków niż "zwykłych" czytelników - są też ogromne ilości zbiorów dokumentów typu oficjalnego: przemówień, uchwał, tekstów programowych czy listów pasterskich.

Niezwykle obfita jest literatura wspomnieniowa, składająca się zarówno z pozycji autorskich, jak i - bardzo modnych - zbiorów rozmów i tzw. wywiadów-rzekach. Niektóre mają trwałą wartość, choć raczej jako zapis mentalności niż jako całkowicie wiarygodne źródła informujące o wydarzeniach. Należą do nich m.in. tłumaczony na wiele języków tom Oni

(Warszawa i Londyn 1985) Teresy Torańskiej, praca zbiorowa Konspira. Rzecz o podziemnej "Solidarności" (Gdańsk 1989), Stanisława Kani Zatrzymać konfrontację (Warszawa b.d.), Mieczysława F. Rakowskiego Jak to się stało (Warszawa 1991), Jana J. Szczepańskiego Kadencja (Kraków 1989), Jacka Kuronia Wiara i wina. Do i od komunizmu (Warszawa 1990), Józefa Kuropieski Nieprzewidziane przygody (Kraków 1988), wspomnienia Lecha Wałęsy, Wojciecha Jaruzelskiego, Edwarda Gierka, Franciszka Szlachica, Marii Dąbrowskiej, Leona Chajna, Henryka Różańskiego, Józefa Winiewicza, Jerzego Putramenta, Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Jerzego Giedroycia, prymasa Stefana Wyszyńskiego ("pro memoria" i zapiski)... Krótko mówiąc setki pozycji. Stosunkowo niewiele ukazało się rzetelnych i obszerniejszych biografii, m.in. Antoniego Dudka i Grzegorza Pytla Bolesław Piasecki. Próba biografii politycznej (Londyn 1990) czy piszącego te słowa Stanisław Mikołajczyk, czyli klęska realisty (Warszawa 1991).

Spośród licznych nowszych monografii i prac zbiorowych, dotyczących ważniejszych zjawisk czy wydarzeń, należy, jak mniemam, wymienić (w porządku chronologicznym przedmiotu opisu) co najmniej kilkanaście tytułów.

Dla lat 1944-1956: wciąż warta lektury Tadeusza Żenczykowskiego Polska Lubelska 1944 (Paryż 1987), dosyć przestarzała, ale nie mająca "zmiennika" monografia Krystyny Kersten PKWN. Lipiec grudzień 1944 (Lublin 1965), Armia Krajowa. Dramatyczny epilog (red. K. Komorowski, Warszawa 1994), Zygmunta Woźniczki Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość 1945-1952 (Warszawa 1992), Edmunda Dmitrowa Niemcy i okupacja hitlerowska w oczach Polaków. Poglądy i opinie z lat 1945-1948 (Warszawa 1987), Romualda Turkowskiego Polskie Stronnictwo Ludowe w obronie demokracji 1945-1949 (Warszawa 1992), Włodzimierza Borodzieja Od Poczdamu do Szklarskiej Poręby. Polska w stosunkach międzynarodowych 1945-1947 (Londyn 1990), Andrzeja Werblana Władysław Gomułka - Sekretarz Generalny KC PZPR 1943-1948 (Warszawa 1988), Dariusza Jarosza i Marii Pasztor W krzywym zwierciadle. Polityka władz komunistycznych w Polsce w świetle plotek i pogłosek z lat 1949-1956 (Warszawa 1995), najbardziej wnikliwa, choć stanowiąca zbiór szkiców, książka o systemie represji Marii Turlejskiej Te pokolenia żałobami czarne... Skazani na śmierć i ich sędziowie 1944-1954 (Londyn 1989), Jerzego Poksińskiego TUN. Tatar-Utnik-Nowicki (Warszawa 1992) o tzw. sprawie generałów i represjach w wojsku, Zbysława Rykowskiego i Wiesława Władyki Polska próba. Październik '56 (Kraków 1989), Pawła Machcewicza Polski rok 1956 (Warszawa 1994), który wydarzenia roku 1956 opisuje w perspektywie ogólnospołecznej, a nie - jak to najczęściej czyniono - w kategoriach "walki w elitach" władzy. Dla poznania okresu stalinowskiego ważne są - z odmiennych powodów - niewielka książeczka Andrzeja Werblana Stalinizm w Polsce (Warszawa 1991) oraz eseje Andrzeja Walickiego w tomie Zniewolony umysł po latach (Warszawa 1993).

Dla lat 1957-1980, które w tej książce ogólnie określiłem jako okres "realnego socjalizmu": Antoniego Dudka Stosunki państwo-Kościół w latach 1945-1970 (Kraków 1995, w istocie monografia ta dotyczy lat "gomułkowskich"), Jerzego Eislera Marzec 1968. Geneza. Przebieg. Konsekwencje (Warszawa 1991), Andrzeja Friszke Opozycja polityczna w PRL 1945-1980 (Londyn 1994, okres 1945-1956 potraktował jako swego rodzaju wstęp do zasadniczego wywodu, a więc książka dotyczy w zasadzie lat 1956-1980), Andrzeja Głowackiego Kryzys polityczny 1970 roku w świetle

wydarzeń na Wybrzeżu Szczecińskim (Warszawa 1985).

I wreszcie "ostatnia dekada" dziejów PRL, której poświęconych jest wiele opracowań, w tym także tłumaczonych z języków obcych. Obok wciąż najlepszej i najpełniejszej monografii Jerzego Holzera, "Solidarność" 1980-1981. Geneza i historia (wyd. I. Paryż i Warszawa 1985), warto zajrzeć do książki Timothy Garton Asha Polska rewolucja. "Solidarność" 1980-1981 (wyd. polskie Warszawa 1990) czy obszernej pracy zbiorowej Polski dramat 1980-1982 (Warszawa 1991). Nie ma jeszcze lepszego przeglądu wydarzeń w chwili wprowadzenia stanu wojennego niż reportaż Gabriela Meretika Noc Generała (wyd. polskie Warszawa 1989), podobnie jak najpełniejszymi opisami dekady są Georgesa Minka Siła czy rozsądek. Historia społeczna i polityczna Polski (1980-1989) (wyd. polskie 1992) oraz Jerzego Holzera i Krzysztofa Leskiego "Solidarność" w podziemiu (Łódź 1990). Ukazała się już również pierwsza, obszerna próba opisania "końcówki" - Jana Skórzyńskiego Ugoda i rewolucja. Władza i opozycja 1985-1989 (Warszawa 1996).